

Jonathan Kellerman

Billy
Straight
Billy Straight

Przełożyli

Ewa i Dariusz Wojtczakowie

*Dla Faye. Dzięki Faye.
Jak zawsze - dla Ciebie, Faye*

*„...jedyna jest moja gołąbka,
moja nieskalana,
jedyna swojej matki”*

Pieśń nad pieśniami, 6, 9
(cyt, za Biblią Tysiąclecia)

Rozdział 1

W parku widuje się różne rzeczy.

Chociaż rzadko takie, jakie zobaczyłem dzisiaj wieczoru.

Boże, Boże...

Jakże pragnąłem, żeby to był tylko sen, ale niestety nie spałem. Powietrze wokół mnie pachniało sosnami, moje ręce zaś mięsem przyprawionym chili i cebulą.

Samochód zatrzymał się na krawędzi parkingu. Oboje wysiedli, rozmawiali przez chwilę, potem on objął ją, jakby zamierzał czule uściskać. Uznałem, że będą się całować i postanowiłem się trochę pogapić.

Nagle kobieta wydała z siebie niesamowity odgłos - zaskoczony pisk, niczym kot lub pies, któremu ktoś nadepnął na łapę.

Mężczyzna puścił ją, a wtedy upadła. Pochylił się nad nią i zaczął bardzo szybko poruszać ramieniem w górę i w dół. Sądziłem, że ją bije. Nie podobało mi się to i zastanawiałem się, czy nie powinienem jakoś zareagować. Wówczas jednak usłyszałem inny dźwięk: szybkie, miękkie trach, trach, trach... Zupełnie jak wtedy, gdy rzeźnik ze sklepu "Stater Brothers" w Watson rąbał mięso.

Mężczyzna ciągle machał ręką w górę i w dół, w górę i w dół.

Wstrzymałem oddech i serce zamarło we mnie z przejęcia. Nogi miałem jak z waty, a w chwilę później poczułem na nich ciepłą wilgoć.

Nasikałem w gacie jak głupi smarkacz!

Dźwięk ucichł. Mężczyzna podniósł się - był wysoki i mocno zbudowany - po czym wytarł ręce w spodnie. Miał coś w ręku; trzymał ten przedmiot z dala od siebie.

Rozejrzał się czujnie dokoła. Nagle skierował wzrok w moją stronę.

Czy mógł mnie zobaczyć, usłyszeć... wywęszyć?

Ciągle patrzył. Chciałem uciec, ale wiedziałem, że wtedy na pewno by mnie usłyszał. Chociaż stojąc tutaj, tkwiłem w pułapce... Czy dostrzeże coś za skałami? Wyglądały jak pozbawiona sklepienia grot, obfitowały w rozpadliny, przez które mogłem zerkać. Świadomie wybrałem je na jedną z moich kryjówek.

Rozbolał mnie żołądek i tak bardzo paliłem się do ucieczki, że drżały mi łydki.

Konarami drzew targnął podmuch wiatru. Poczułem zapach sosny i smród sików.

Czy wiatr poruszy papierem od chiliburgetera i narobi hałasu? Czy mężczyzna wyczuje mój zapach?

Jeszcze przez chwilę uważnie się rozglądał. Żołądek bolał mnie okropnie.

Nagle mężczyzna pospieszenie wrócił do samochodu, wsiadł i odjechał.

Chciałem odwrócić głowę, kiedy przejeżdżał pod lampą w narożniku parkingu, nie zamierzałem odczytywać tablicy rejestracyjnej. Ale stało się.

PLYR 1.

Litery wyryły mi się w pamięci.

Po co je zobaczyłem?

Po co?!

*

Ciągle tu siedzę. Na moim casio jest 1:12 po północy.

Muszę stąd wyjść, ale boję się, że zabójca objedzie okolicę i wróci... Nie; postąpiłby głupio. Dlaczego miałby wracać?

Napięcie wręcz mnie rozsadzało. Kobieta leżała bez ruchu, ja zaś cuchnąłem sikami, mięsem, cebulą i chili. Zjadłem świetną kolację z „Oki-Ramy” na Bulwarze, budki prowadzonej przez Chińczyka, który nigdy się nie uśmiecha i nigdy nie patrzy nikomu w twarz. Zapłaciłem dwa dolary trzydzieści osiem centów, a teraz mam ochotę wyrzygać z siebie całe to żarcie.

Dzinsy stawały się coraz bardziej lepkie. Swędziały mnie nogi. Wyprawa do publicznej toalety na przeciwległym końcu parkingu wydała mi się zbyt niebezpieczna... Wciąż miałem przed oczyma wznoszące się i opadające męskie ramię... Jakby facet rąbał drzewo. Nie był wprawdzie tak wysoki jak Baran-Moran, lecz wystarczająco potężny. Kobieta mu ufała, bez oporu utonęła w jego ramionach... Czym go tak rozwścieczyła... A może jeszcze żyje?!

Nie podejść. Nie ma mowy.

Nasłuchiwałem uważnie, czy ofiara nie wydaje żadnych odgłosów. Nie słyszałem niczego poza stłumionym hałasem dobiegającym z autostrady przebiegającej na wschód od parku oraz szumem Bulwaru. Tej nocy ruch nie był zbyt duży. Czasami, kiedy wiatr wieje z północy, słychać syreny ambulansów, ryk motocykli, klaksony samochodowe. Miasto roztacza się wszędzie dookoła. Park tylko z pozoru przypomina wieś; doskonale wyczuwam różnicę.

Kim była ofiara?... Nie, nie, nie, wcale nie chcę tego wiedzieć.

Pragnę tylko wymazać dzisiejszą noc z pamięci.

Ten jej pisk... Miałem wrażenie, że facet spuszcza z kobiety powietrze. Prawie na pewno

nie... nie żyła. A jeśli żyła? Co wtedy?

Nawet jeśli nie umarła, i tak długo nie pożyje, przecież dźgnął ją tyle razy. Zresztą, jak mógłbym jej pomóc? Nie znam się na sztucznym oddychaniu i nie potrafię zatrzymać krwotoku.

A co zrobię, jeśli facet wróci, gdy będę przy niej?

Eee, chyba nie wróci. Byłby idiotą, lecz z drugiej strony życie jest pełne niespodzianek. Kobieta na pewno odkryła już tę prawdę.

Nie mogę jej pomóc. Muszę o wszystkim zapomnieć.

Posiedzę tutaj jeszcze przez dziesięć minut... nie, piętnaście. Dwadzieścia. Potem zbiore swoje rzeczy i na zawsze wyniosę się z kryjówki numer dwa.

Dokąd? Kryjówka numer jeden, w pobliżu obserwatorium, jest zbyt daleko, podobnie trzecia i czwarta, chociaż trzecia byłaby dobra, ze względu na pobliski strumyk, w którym mógłbym uprać rzeczy. Pozostaje kryjówka numer pięć: w gąszczu paproci, za ogrodem zoologicznym; tyle tam drzew. Leży trochę bliżej niż inne, lecz i tak czeka mnie długi spacer w ciemnościach.

Tyle że kryjówkę numer pięć najtrudniej odszukać.

Dobra, pójdę tam. Tylko ja i zwierzęta. Wprawdzie skrzeczą, ryczą i objają się o klatki tak, że hałas nie daje spać, ale dziś w nocy prawdopodobnie i tak nie zasną.

Tymczasem siedzę bez ruchu i czekam.

Modłę się.

Ojciec nasz, któryś jest w niebie... nie mógłbyś wreszcie skończyć z niespodziankami?

Właściwie modlitwa nigdy mi w niczym nie pomogła i czasami zastanawiam się, czy w górze rzeczywiście jest ktoś, do kogo można się modlić, czy tylko gwiazdy - ogromne wypełnione gazem kule w pustym czarnym wszechświecie?

Martwię się, że bluźnię.

Może istnieje Bóg na niebie; może ocalił mnie wiele razy, a ja jestem po prostu zbyt tępy, by zdawać sobie z tego sprawę. Albo nie jestem dostatecznie dobrym chłopcem, by docenić Jego pracę.

Może Bóg ocalił mnie dziś wieczorem! Może to dzięki Jego woli znalazłem się za skałami, nie zaś na otwartej przestrzeni.

Z drugiej jednak strony, gdyby napastnik dostrzegł mnie, wjeżdżając na parking, prawdopodobnie poniechałby morderstwa. I kobieta by żyła!

Więc Bóg chciał, aby ona...

Nie, nie, facet po prostu pojechałby gdzieś indziej... I tak by zrobił swoje.

Jeśli mnie dziś ocaliłeś, dziękuję Ci, Boże.

Jeśli faktycznie jesteś gdzieś tam, w górze... Czy masz może dla mnie jakiś plan?

Rozdział 2

Poniedziałek, piąta rano.

Kiedy wezwanie dotarło na posterunek policji w Hollywood. Petra Connor pracowała już poza godzinami służby. A jednak była gotowa do działania.

W niedzielę udało jej się zażyć niezwykle spokojnego snu od ósmej rano do szesnastej; żadnych koszmarów, żadnych myśli o mózgu, rozprysniętym w wyniku strzału z rewolweru, o niepłodnym łonie ani o innych rzeczach, które w ogóle nie powinny istnieć. Obudziła się wypoczęta w przyjemne, ciepłe popołudnie, i korzystając ze wspaniałego światła, spędziła godzinę przy sztalugach. Potem zjadła pół kanapki z pastrami, popiła colą, wzięła gorący prysznic i pojechała na posterunek, do pracy.

Wraz z partnerem, Stu Bishopem, wyjechali tuż po zmroku. Krążyli po alejkach, ignorując pomniejsze przestępstwa; mieli ważniejsze sprawy na głowie. Wybrali dogodne miejsce, zaparkowali i obserwowali budynek mieszkalny na Cherokee. Nie rozmawiali.

Zwykle gawędzili, starając się zamienić nudę inwigilacji w swego rodzaju rozrywkę. Ostatnio jednak Stu zaczął się zachowywać bardzo dziwnie. Stał się nieobecny duchem, nieustannie zaciskał usta. Sprawiał wrażenie, jak gdyby praca przestała go interesować.

Zapewne dlatego, że od pięciu dni pracowali na nocnej zmianie.

Petra była zła na niego, ale cóż mogła zrobić - Stu był wyższy rangą.

Odsunęła na bok smutne myśli i skupiła umysł na obrazach flamandzkich mistrzów, które widziała w Muzeum Getty'ego. Zadziwiające barwy, znakomite zastosowanie światłocienia.

Po dwóch godzinach siedzenia oboje mieli serdecznie dość bezczynności. Ich cierpliwość została nagrodzona tuż po drugiej w nocy i kolejny głupi, lecz dotąd nieuchwytny zabójca wpadł w ich sidła.

Teraz Petra siedziała przy odrapanym metalowym biurku naprzeciwko Stu. Uzupełniała papierkową robotę i rozmyślała o powrocie do domu. Chciałaby zrobić dziś kilka szkiców. Ostatnie pięć dni naładowało ją energią.

Stu wyglądał na wpół umarłego, kiedy rozmawiał przez telefon z żoną.

Był upalny czerwiec, wczesny poranek, jeszcze przed świtem. To, że tych dwoje tkwiło tu

nadal, gdy na wyludnionym posterunku dobiegała końca nocna zmiana, było zrzędzeniem losu.

Petra awansowała na detektywa dokładnie przed trzema laty. Pierwsze dwadzieścia osiem miesięcy spędziła w wydziale kradzieży samochodów, ostatnie osiem w wydziale zabójstw jako partnerka Bishopa.

Stu pracował tu od dziewięciu lat. Był żonaty i miał gromadkę dzieci. Jego stylowi życia i biorytmom zdecydowanie bardziej odpowiadała dzienna zmiana. Za to Petra od dzieciństwa była nocnym markiem. W „okresie artystycznym” często nie spała do późnej nocy. Leżenie i patrzanie w granatowe nocne niebo stanowiło dla niej źródło malarskiego natchnienia.

Było to jeszcze przed jej małżeństwem, w trakcie którego do snu kołysał ją oddech Nicka.

Teraz, gdy mieszkała sama, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej kochała czerń nocy. Ze wszystkich kolorów najbardziej lubiła czarny; jako nastolatka ubierała się wyłącznie na ciemno. Czyż zatem nie było zastanawiające, że od czasu ukończenia Akademii nigdy nie poprosiła o przydzielenie jej nocnej służby?

Petra i Stu zaczęli pracować w nocy zupełnie przypadkowo.

Dostali sprawę Wayne'a Carlosa Freshwatera, który krążył nocami po bocznych ulicach Hollywood. Kupował trawę, crack i pigułki oraz... zabijał prostytutki. Nie sposób było go schwytać za dnia.

Przez ponad sześć miesięcy udusił cztery prostytutki (przynajmniej o tylu Petra i Stu wiedzieli). Ciało ostatniej - szesnastoletniej uciekiniarki z Idaho - porzucił w kubie na śmieci w pobliżu alei Selma i Franklina. Nie ugodził jej nożem, choć na miejscu zbrodni znaleziono scyzoryk z jego odciskami palców, dzięki któremu ustalono tożsamość sprawcy.

Gubiąc nóż, Freshwater popisał się nieprawdopodobną głupotą, która zresztą nie zaskoczyła policji. Z akt mordercy wynikało, iż dwukrotnie poddawano go badaniom na iloraz inteligencji. Wyniki: 83 i 91 punktów. Tym niemniej długo pozostawał nieuchwytny.

Trzydziestosekstoletni mężczyzna, czarny, metr siedemdziesiąt, sześćdziesiąt cztery kilo, wielokrotnie aresztowany i karany w ciągu ostatnich dwudziestu lat, po raz ostatni ponownie za napaść z usiłowaniem gwałtu; wysłano go do Soledad na dziesięć lat - wyrok oczywiście zmniejszono do czterech.

Ponura, pospolita gęba na zdjęciu zdradzała znudzenie całą sprawą.

Nawet kiedy go schwyтали, wydawał się znudzony. Nie wykonywał nagłych ruchów, nie próbował ucieczki, po prostu stał nieruchomo w śmierdzącym korytarzu; źrenice rozszerzone, udawał opanowanego. Gdy założyła mu kajdanki, szeroko otworzył oczy i spytał zaskoczony: „Co zrobiłem, pani policjant?”

Zabawne, lecz naprawdę wyglądał na niewinnego. Wiedząc o jego niskim wzroście, Petra oczekiwała kogoś w typie napakowanego testosteronem Napoleona, miała zaś przed sobą filigranowego przygłupa o piskliwym głosiku Michaela Jacksona. W dodatku był nieźle ubrany. Nowiutki sportowy garnitur od Gapa, modny. Później strażnik powiedział Petrze, że pod więziennym khaki Freshwater nosił damską bieliznę.

Czteroletni pobyt w Soledad zaowocował uduszeniem sześćdziesięcioletniej kobiety z Watts. Freshwater opuścił celę bardziej rozszłoszczony niż kiedykolwiek dotąd w swoim parszywym życiu i przez tydzień wprost szalał.

„Nasz system jest doprawdy doskonały” - pomyślała Petra, po czym przypomniała sobie kretyńskie zaskoczenie aresztowanego. Uśmiechnęła się z ironią, kończąc raport.

„Co zrobiłem, pani policjant?”

„Byłeś złym, strasznie złym chłopcem”.

Stu nadal rozmawiał z Kathy:

- Wkrótce będę w domu, kochanie. Ucałuj ode mnie dzieci.

Sześcioro dzieciaków - sporo do wycalowania. Petra widziała kiedyś, jak ustawiły się przed jej partnerem do kolacji. Platynowe główki, wysunięte ręce o czystych paznokciach.

Minęło mnóstwo czasu, zanim nauczyła się patrzeć na dzieci innych ludzi nie myśląc o własnych bezużytecznych jajnikach.

Stu poluźnił krawat. Pochwyciła jego spojrzenie, jednak w chwilę potem odwrócił wzrok. Pewnie odetchnął z ulgą, że wreszcie skończą się nocne zmiany.

Miał trzydzieści siedem lat, był osiem lat starszy od Petry. Wyglądał na najwyżej trzydzieści: szczupły, przystojny mężczyzna o falistych blond włosach i złocisto-orzechowych oczach. Koledzy z wydziału szybko zaczęli nazywać ich dwoje Kenem i Barbie, chociaż loki Petry były ciemne. Stu lubował się w kosztownych tradycyjnych garniturach, białych koszulach z zapinanymi na spinki mankietami, plecionych skórzanych szelkach i pasiastych jedwabnych krawatach. Posiadał najczęściej chyba oliwione w departamencie 9 mm i kartę Gildii Aktorów Filmowych - dzięki zagranii kilku ról w programach o gliniarzach. W zeszłym roku uzyskał tytuł detektywa trzeciego stopnia.

Bystry, ambitny, pobożny mormon. Wraz z piękną Kathy i pół tuzinem maluchów mieszkał na jednoakrowej posiadłości w La Crescenta. Był dla Petry wspianym nauczycielem... Żadnego seksizmu czy osobistych wycieczek. No i potrafił słuchać. Podobnie jak ona, był pracoholikiem - interesowało go wyłącznie dokonanie maksymalnej liczby aresztowań. Świetnie się rozumieli. Aż do ubiegłego tygodnia. Z czego wynikała jego nagła obcość?

Czy chodziło o pracę? Gdy zostali partnerami, już pierwszego dnia poinformował ją, że zamierza kiedyś zostać policyjnym urzędnikiem. Złożył papiery na kurs dla oficerów i zostanie porucznikiem.

Przygotował ją na pożegnanie, lecz od tej pory nie wspominał o tej sprawie ani razu.

Petra zastanowiła się, czy Stu czasem nie mierzy jeszcze wyżej. Jego ojciec był wziętym okulistą i Stu dorastał w ogromnym domu w Flintridge. Surfował na Hawajach, jeździł na nartach w Utah; był przyzwyczajony do dobrobytu.

Kapitan Bishop. Zastępca komendanta Bishop. Potrafiła go sobie wyobrazić za kilka lat, jak z siwiejącymi skroniami i zmarszczkami w stylu Cary'ego Granta czaruje prasę, świetnie gra swoją rolę, choć równocześnie wykonuje solidną robotę. Był bowiem nie tylko uosobieniem dobrego stylu, ale i rzetelności.

Sprawa Freshwatera była ważna. Dlaczego więc nie miała znaczenia dla Stu?

Przede wszystkim dlatego, że w gruncie rzeczy to on ją rozwiązał. W staroświecki sposób. Mimo zachowania *à la* Joe Clean, dziewięć lat praktyki uczyniło partnera Petry ekspertem od spraw ulicy; na jego usługach pozostawała cała armia informatorów z półświatka.

Aż dwóch z nich pomogło w przypadku Freshwatera. Obaj donieśli, że zabójca jest mocno uzależniony od cracku, sprzedaje w nocy na Bulwarze kradzione towary, a dziewczyny ściągają do swojego mieszkania na Cherokee. Stu dostał dwa bezcenne „prezenty”: dokładny adres (wraz z numerem mieszkania) oraz precyzyjne wskazówki co do punktów obserwacyjnych handlarzy narkotyków.

Stu i Petra stali pod kryjówką przez trzy kolejne noce. Trzeciej schwytali Freshwatera, gdy wchodził tylnym wejściem. Petra założyła przestępcy kajdanki.

Wątle nadgarstki.

„Co zrobiłem, pani policjant?”

Znowu zachichotała głośno na to wspomnienie i kaligraficznym pismem wypełniła nie dopasowane długością puste miejsca w protokole zatrzymania.

W chwili gdy Stu odłożył słuchawkę, zadzwonił telefon Petry. Odebrała. Sierżant z dołu powiedział:

- Zgadnij co mam, Barbie? Dzwonili strażnicy parku Griffith. Znaleźli ofiarę na parkingu. Kobieta, prawdopodobnie paragraf 187. Zapisuję, że bierzecie tę sprawę.

- Który parking w Griffith?

- Wschodni kraniec, na tyłach jednego z pól piknikowych. Powinien być odgradzony łańcuchem, ale wiesz, jak to bywa. Jedź na Los Feliz, jak do ZOO. Skręć z autostrady.

Mundurowi będą obok samochodu strażników. Instrukcja numer dwa.

- Jasne, ale dlaczego my?

- Dlaczego wy? - Sierżant roześmiał się. - Rozejrzyj się. Widzisz kogoś poza sobą i Kenem? Złóżcie skargę w radzie miejskiej.

Odłożyła słuchawkę.

- O co chodzi? - spytał Stu. Fular od Carroll & Company miał ciasno zawiązany, włosy zaś idealnie uczesane. Ale był zmęczony, wyraźnie zmęczony. Petra przekazała niemłą nowinę.

Wstał i zapiął marynarkę.

- W drogę.

Żadnego biadolenia. Stu nigdy się nie skarżył.

Rozdział 3

Spakowałem swoje rzeczy z kryjówki numer dwa w trzy plastikowe worki z pralni chemicznej i zacząłem się wspinać po wzniesieniu za skałami między drzewami. Wiele razy potykałem się i upadałem, ponieważ bałem się użyć latarki, póki nie znajdę się w głębokiej gęstwinie. Miałem wszystko gdzieś... chciałem się tylko stamtąd wynieść.

Ogród zoologiczny leży w odległości kilku kilometrów; droga zajmie mi kupę czasu.

Idę jak maszyna, której nie można zranić, ale wciąż myślę o tym, co tamten facet zrobił kobiecie. Niedobrze. Muszę wyrzucić z głowy te bzdury.

Gdy jeszcze mieszkałem w Watson, po scysjach z Baranem-Moranem albo innego rodzaju nieprzyjemnych zdarzeniach zajmowałem umysł, tworząc sobie w głowie spisy. Czasami pomagały mi zapomnieć.

Na przykład prezydenci. W porządku chronologicznym. Waszyngton, Adams, Jefferson, Madison, Monroe, Quincy Adams, Jackson, Martin van Buren... najniższy prezydent.

O cholera, znowu upadłem. Wstaję. Idę dalej.

W Watson miałem książkę o prezydentach, opublikowaną przez Bibliotekę Kongresu. Gruby papier, doskonałe fotografie, urzędowa pieczęć prezydencka na okładce. Dostałem ją w czwartej klasie za zwycięstwo w konkursie. Przeczytałem ją jakieś pięćset razy, w wyobraźni przeskakiwałem w czasie, wyobrażałem sobie, że jestem Jerzym Waszyngtonem i rządę nowiusieńkim krajem albo Thomasem Jeffersonem, wspaniałym geniuszem, który

dokonał kilku wynalazków i umiał pisać pięcioma piórami naraz.

Wcielalem się nawet w Martina van Burena. Był niski, lecz świetnie nad wszystkim panował.

Kiedy wprowadził się do nas Baran, książki stały się problemem. Nienawidził, jak czytałem, szczególnie, gdy miał zepsuty motor albo mamie brakowało pieniędzy.

- Pierdolony gówniarz i te jego jebane książki... wydaje mu się, że jest najmądrzejszy na świecie!

Odkąd się wprowadził, musiałem przesiadywać w kuchni, podczas gdy on z mamą zajmowali mój tapczan i oglądali telewizję. Pewnego dnia, gdy próbowałem akurat odrabiać lekcje, Baran wrócił do przyczepy kompletnie pijany. Wskazywały na to jego oczy i tempo, w jakim krążył po pomieszczeniu, zaciskając i rozwierając dłonie. Do tego jeszcze wydawał z siebie osobliwy charkot. Odrabiałem pracę domową ze wstępu do algebry. Była łatwa. Pani Annison nie uwierzyła mi, kiedy któregoś dnia powiedziałem jej, że opanowałem już całą partię materiału i ciągle dawała mi takie same zadania co reszcie klasy. Szybko rozwiązywałem równania i prawie skończyłem, gdy Baran wyjął z lodówki puszkę fasolki w sosie i zaczął ją jeść rękoma. Patrzyłem na niego, ale tylko przez sekundę. Niestety, wystarczyło. Wyciągnął rękę, szarpnął mnie za włosy, po czym gwałtownie zatrzęsął mi książkę od matematyki na palcach. Później złapał stos zeszytów i podręczników i przedarł je na połowę, łącznie z książką od matematyki, zatytułowaną *Myślimy liczbami*.

- Pieprz to gówno! - warknął i wrzucił wszystko do śmieci. - Zabieraj swój pierdolony tyłek, szczeniaku - dodał. - Zrób coś pożytecznego...

Włosy miałem uwalane fasolką, a następnego dnia ręka tak mi opuchła, że nie mogłem poruszyć palcami, więc trzymałem ją w kieszeni, kiedy tłumaczyłem pani Annison, że zgubiłem podręcznik. Siedziała przy biurku, jadła „Corn Nuts” i poprawiała nasze zadania. Nawet nie raczyła podnieść na mnie wzroku, tylko oświadczyła: „No cóż, Billy, chyba będziesz musiał kupić sobie drugi”.

Nie mogłem poprosić mamy o pieniądze, toteż nigdy nie zdobyłem następnej książki. W efekcie nie byłem w stanie odrabiać zadań domowych i moje stopnie z matematyki zaczęły się pogarszać. Stale myślałem, że panią Annison albo inną nauczycielkę zainteresuje w końcu moja sytuacja, ale nikt mnie o nic nie zapytał.

Innym razem Baran podarł moją kolekcję wycinków z czasopism i książek. Stworzyłem ją z gazet wyrzucanych przez sąsiadów i - w większości - z własnych książek, łącznie z tą o prezydentach.

Tutaj, w Los Angeles, gdy odkryłem bibliotekę przy Hillhurst Avenue, natychmiast

pomyślałem o kolejnej książce poświęconej amerykańskim prezydentom. Znalazłem jedną, lecz znacznie różniła się od tamtej. Wydano ją na gorszym papierze i umieszczono w niej jedynie czarno-białe fotografie. A jednak okazała się interesująca. Dowiedziałem się z niej, że William Henry Harrison przeziębził się tuż po elekcji i umarł.

Pierwszy William, który został prezydentem, miał pecha.

Rozmyślanie pomaga; w głowie znacznie mi się rozjaśniło. Chociaż czuję, jak serce i żołądek nadal płoną. Następni prezydenci: Taylor, Fillmore, Pierce... James Buchanan, jedyny, który nigdy się nie ożenił - musiał się czuć samotny w wielkim Białym Domu. Chociaż... pewnie był dość zajęty. I może lubił być sam. Potrafię go zrozumieć.

Lincoln, Johnson, Grant, McKinley.

Kolejny prezydent imieniem William. Ciekawe, czy ktoś kiedyś nazywał go Billym? Na portrecie łysy, zezowaty, o gniewnym wyglądzie... Wątpię.

Mnie nauczyciele nazywali Williamem tylko w pierwszych dniach szkoły. Wkrótce przestali, gdyż wszystkie dzieci śmiały się z mojego imienia.

Billy Koza, Billy Koziółek.

William Bradley Straight.

Proste imię, nic szczególnego, lepsze niż wiele epitetów, którymi mnie obrzucano.

Trach, trach, trach...

Uff... potknąłem się, lecz nie upadłem. Do kryjówki numer pięć ciągle jeszcze daleko. Noc jest ciepła. Szkoda, że nie mogę zdjąć tych śmierdzących moczem spodni i biec wśród drzew nagi, niczym dzikie, silne zwierzę, które wie, dokąd zmierza... Wezmę dziesięć głębokich oddechów, aby uspokoić serce.

...Lepiej. Następny spis: ryby tropikalne. Piranie, mieczyki, neonowe tetry, gupiki, anioły morskie, oskary, sumy, morskie diabły, kurki czerwone, umbryny, arowany. Nigdy nie miałem akwarium, ale w mojej kolekcji czasopism znajdowały się stare egzemplarze „Akwarysty”. Obrazki kolorowych ryb wypełniły mi głowę.

Przypomniał mi się artykuł o zakładaniu akwarium. Wielokrotnie w nim podkreślano, że należy zachować rozwagę w doborze ryb. Jeśli umieścimy w jednym akwarium duże oskary i arowany, szybko pożrą przedstawicieli wszystkich innych gatunków. A jeśli arowany urosną naprawdę wielkie, spróbują zjeść nawet oskary. Żółte rybki są najspokojniejsze, choć równocześnie najbardziej ślamazarne, toteż pozostałe na nie polują.

Żołądek nadal mnie boli, jak gdyby robak drażył mnie od wewnątrz... Oddycham głęboko... Co jakiś czas dostrzegam zwierzęta parkowe - ptaki, jaszczurki, wiewiórki, węże. Nie zważam na nie.

To samo dotyczy ludzi.

W nocy spotykam czasami bezdomnych szajbusów z wózkami pełnymi śmieci. Nigdy nie zostają długo w jednym miejscu. Widuję również Meksykanów w niskich autach; puszczają strasznie głośną muzykę. Kiedy przystają w pobliżu, nie sposób się skupić. Pełno też ćpunów. Oczywiście, to przecież Hollywood. Obserwuję, jak podchodzą do stolików piknikowych, siadają z pozoru z zamiarem spożycia posiłku, po czym obwiązują sobie ramiona, wbijają w nie igły i gapią się tępo przed siebie.

Gdy narkotyk zaczyna w końcu działać, wzdychają, kiwają głowami, drzemią lub wpadają w trans.

Czasami na skraju parkingu parkują pary; również pedały lub lesbijki. Przekomarzają się, obściskują, palą - papierosy wyglądają z daleka jak małe pomarańczowe gwiazdki.

Zawsze świetnie się bawią.

A tamta para dzisiaj wieczorem... Sądziłem, że też przyjechała się zabawić...

Ktoś zawsze przecina łańcuch, a strażnicy parkowi naprawiają go dopiero po kilku tygodniach. Gliniarzy jest w parku niewielu, bo za terytorium zasadniczo odpowiedzialni są strażnicy. Park jest ogromny. W bibliotece znalazłem książkę, w której napisano, że park zajmuje 4100 akrów. Podobno powstał nieco przypadkowo: teren należał do szalonego pułkownika o nazwisku Griffith, który próbował zabić swoją żonę, i aby uniknąć więzienia, podarował ziemię miastu.

Może to miejsce przynosi kobietom pecha...

Sześćset czterdzieści akrów to mila kwadratowa, więc 4100 to naprawdę sporo. Wiem, ponieważ przemierzyłem większą część jego obszaru.

Czasami strażnicy zatrzymują się. Też palą i gadają. Kilka tygodni temu tuż po północy strażnik i strażniczka zjechali na jedno z pól piknikowych. Wysiedli z samochodu, oparli się o maskę, rozmawiali i śmiali się. Potem zaczęli się całować. Słyszałem coraz szybsze oddechy, jej błogie mruczenie i sądziłem, że posuną się dalej. Nagle kobieta odsunęła głowę i rzuciła: „Nie. Burt, nie. Nie chcemy chyba, żeby ktoś nas zobaczył”.

Mężczyzna początkowo nic nie odpowiedział. Potem stwierdził: „Rany, psujesz całą zabawę”. Śmiał się jednak przy tym, więc ona również się roześmiała. Całowali się jeszcze przez chwilę i obmacywali, w końcu wsiedli z powrotem do samochodu i odjechali. Pewnie nie zrezygnowali z seksu, a jedynie odłożyli go na czas po pracy; prawdopodobnie pojechali wtedy w jakieś ustronne miejsce, gdzie mogli się kochać bez obaw. A może do niego lub do niej do domu albo do któregoś z moteli na Bulwarze, w którym wynajmuje się pokoje na godziny, a przed wejściem stoją prostytutki.

Teraz trzymam się z dala od tych moteli, ale kiedy przyjechałem do miasta, natknąłem się na prostytutkę - tłustą Murzynkę ubraną w jaskrawe szorty i czarny koronkowy podkoszulek (nic pod spodem). Próbowwała mi się sprzedać!

Ciągle powtarzała: „Chodź ze mną, chłopczyku”. Słowa zlewały się i brzmiały jak „chociemo choczyku”. Potem podciągnęła bluzkę i pokazała mi gigantyczny czarny cycek. Sutek miała grudkowaty, duży i purpurowy; przypominał świeżo rozpołowioną śliwkę. Uciekłem, a jej śmiech ścigał mnie uporczywie niczym pies goniący za kotem.

Dziwne, lecz poczułem się wtedy dobrze. Przecież sądziła, iż potrafię z nią to zrobić... Chociaż domyślałem się, że raczej żartowała. Pamiętam jednak ten sutek. Wysunęła go w moją stronę i miałem wrażenie, że mówiła: „No masz, weź go i ssij”. Przy tym szeroko otwierała usta; zęby miała ogromne i białe.

Prawdopodobnie naigrawała się ze mnie, choć niewykluczone, że po prostu bardzo potrzebowała pieniędzy i była gotowa pójść z każdym. Większość prostitutek to narkomanki albo wariatki.

Para strażników śmiała się w trochę podobny sposób jak tamta prostytutka.

Czy istnieje erotyczny śmiech?

Zwykle jednak wszyscy traktują mnie jak dzieciaka, co ma swoje dobre i złe strony. Kiedy wchodzę do sklepu, nawet jeśli stoję w kolejce przed dorosłymi, ich obsługują najpierw. Sporym problemem jest Bulwar i wszystkie boczne uliczki, w których roi się od świrów i zbrojeńców polujących na dzieci. Kiedyś znalazłem na ulicy czasopismo ze zdjęciami zbrojeńców, uprawiających seks z dziećmi - wsadzali im kutasy do tyłków albo do ust. Niektóre dzieciaki krzyczały, inne wyglądały na otumanione. Nie było widać twarzy zbrojeńców, jedynie ich włochate nogi i kutasy. Przez długi czas śniły mi się później koszmary. Te dzieciaki, ich spojrzenia! Potraktowałem to doświadczenie jako przestrozę.

Czasami podjeżdżają do mnie faceci, nawet w biały dzień, machają pieniędzmi, batonikami albo nawet kutasami. Ignoruję ich, a jeśli nie dają mi spokoju, uciekam. Dawniej, kiedy byłem w kiepskim nastroju z powodu głodu albo złych snów, zanim uciekłem, natrząsałem się z nich i grałem na nosie, jednak jakiś miesiąc temu jeden ze zbrojeńców próbował mnie dogonić samochodem. Zwiąłem mu, ale teraz trzymam paluchy przy sobie.

Trudno przewidzieć, co spowoduje kłopoty. Tydzień temu na Gower jeden samochód wjechał drugiemu w tylny zderzak. Mała stłuczka, lekkie uszkodzenie pierwszego auta. A jednak facet, który z niego wyskoczył, walnął kijem baseballowym drugiemu w przednią szybę. Tamten pospiesznie wysiadł i zaczął uciekać, a ten z kijem pognął za nim.

Zewsząd otaczają mnie szaleńcy, krzyczący i wrzeszczący na wszystkich i na nikogo. A

czasami przez całą noc słyszeć strzały. Co rusz natykam się na facetów, którzy - w dziennym świetle widać to znacznie wyraźniej - mają wybrzuszenia w okolicy pasa; to może być wyłącznie broń.

Widziałem tylko jednego trupa - bezdomny, w podeszłym wieku, leżał w alejce obok swego wózka na rupiecie. Usta miał otwarte, jak gdyby spał, ale skóra już mu zsiniała, a muchy kręciły się przy jego wargach. W pobliżu stał śmietnik, w którym często grzebałem w poszukiwaniu jedzenia, wtedy jednak natychmiast odszedłem, całkowicie tracąc apetyt. W nocy obudziłem się naprawdę głodny i pomyślałem, że jestem głupi. Nie powinienem był się przejmować śmiercią kloszarda. I tak był stary.

Kiedy zdobywam wystarczająco dużo jedzenia, przepelnia mnie energia. Jestem bardzo szybki. Podczas biegu czuję się jak odrzutowiec - żadnej grawitacji, zero ograniczeń.

Czasami wpadam w odpowiedni rytm i pędzę przed siebie. Tupot moich stóp kojarzy mi się z biciem bębnow. Bum bum, bum bum. Nic nie zdoła mnie powstrzymać. Gdy nadchodzi mnie ochota na taki bieg, natychmiast staram się zwolnić. To niebezpieczne - zapomnieć, kim się jest.

Zwalniam też zawsze, ilekroć wkraczam do parku. Przystaję, rozglądam się czujnie, upewniam, że nikt mi się nie przygląda, a dopiero potem wchodzę, i odprężony udaję lokatora któregoś z tych dużych domów przy parku.

Baran podarł mi również książkę o ośmiornicach i kałamarnicach, napisaną przez francuskiego naukowca nazwiskiem Jacques Cousteau. W jednym z rozdziałów napisano, że ośmiornice posiadają zdolność dopasowywania własnych barw do otoczenia. Nie jestem ośmiornicą, lecz doskonale potrafię się wtopić w tłum.

*

Biorę sobie różne rzeczy, ale nie uważam się za złodzieja.

Znalazłem tę samą książkę o ośmiornicach w bibliotece, pożyczyłem ją i oddałem.

Wziąłem książkę o prezydentach i zatrzymałem.

Tyle że... Nikt jej nie wypożyczał od dziewięciu miesięcy; tak wynikało z karty umieszczonej na tylnej okładce.

Biblioteka w Watson była żałosna, zwyczajny magazyn obok Domu Weterana, z którego prawie nikt nie korzystał i który był przeważnie zamknięty. Stara bibliotekarka podczas każdej mojej wizyty patrzyła na mnie podejrzliwie, jakbym przyszedł coś ukraść. Zabawne, ale nigdy niczego stamtąd nie ukradłem.

W bibliotece przy Hillhurst także pracuje starsza kobieta, ale zazwyczaj siedzi w swoim

biurze, książki zaś wypożycza młoda ładna Meksykanka o bardzo długich włosach. Uśmiechnęła się do mnie za pierwszym razem, lecz zlekceważyłem ją, a wtedy uśmiech zniknął jej z twarzy, jak gdybym go z niej zerwał.

Nie mam szans na kartę biblioteczną, ponieważ nie posiadam stałego adresu. Co robię? Wchodzę z miną dzieciaka ze szkoły King Middle, który przyszedł odrobić pracę domową. Siadam przy stoliku. Czytam i piszę przez jakiś czas, zwykle równania matematyczne. Potem idę na tyły, do regałów.

Pewnego dnia oddam książkę o prezydentach.

Zresztą... Nawet jeśli zatrzymam ją na zawsze, nikt nie będzie za nią tęsknił. Prawdopodobnie.

*

Wygląd niewinnego dziecka ma jedną wielką zaletę - można wejść do sklepu, wziąć coś sobie i nikt cię nie zauważy. Wiem, że to grzech, ale bez jedzenia się umiera, a samobójstwo też jest grzechem.

Poza tym... Dorośli nie boją się dzieci, przynajmniej białych, więc jeśli poproszę kogoś o parę groszy, nic złego nie może mi się przydarzyć. Najwyżej mi odmówi. Co mają powiedzieć? „Załatw sobie pracę, mały?”

Nauczyłem się tego jeszcze w Watson: „nie działaj ludziom na nerwy, to nie oberwiesz”.

Więc może Bóg mi pomógł, czyniąc mnie za małym jak na mój wiek. Kiedyś jednak chciałbym urosnąć.

Mama, gdy jeszcze była weselsza, czasami trzymała mnie pod brodą i mówiła do mnie: „No, no, no. Mój synek przypomina aniołka. Cholernego cherubinka”.

Nienawidziłem takich gadek; brzmiały strasznie po pedalsku.

Niektóre z gwałconych dzieci w tamtym czasopiśmie wyglądały jak aniołki.

Nie sposób przewidzieć, jakie zachowanie jest bezpieczne. Staram się więc unikać wszystkich ludzi, a park wydaje się do tego idealnym miejscem - 4100 akrów przeważnie ciszy i spokoju.

Dzięki ci, pomyłony panie Griffith.

Próbował zabić swoją żonę, strzelając jej w oko.

Rozdział 4

W ciągu ośmiu miesięcy Petra pracowała nad dwudziestoma jeden zabójstwami. Niektóre zbrodnie były naprawdę paskudne, choć żadna nie dorównywała skalą bestialstwa tej ostatniej. Nawet wesele Hernandeza.

Kobieta została poszatkowana. Była unurzana we krwi, zatopiona w niej niczym owoc w czekoladzie. Przód sukienki stanowił zakrzepniętą skorupę, upstrzoną lśniącymi fragmentami szarych wnętrzności, które wylewały się z przecięć w materiale. Jedwab. Niezbyt dobry materiał dla śledztwa. Krew także zamazała ślady. Trudno zdejmuje się odciski z ludzkiej skóry. Może biżuteria na coś się przyda... O ile zabójca jej dotykał.

Gdy Petra i Stu przybyli na miejsce zbrodni, było jeszcze ciemno. Powitały ich zacięte twarze, trzaski samochodowych odbiorników CB i oślepiająca symfonia czerwonych świateł. Odebrali raporty od parkowych strażników, którzy znaleźli ciało i czekali na wschód słońca, by dokładniej przyjrzeć się ofierze.

Krew wyschła na czerwono-brązowy kolor, tworząc smugi na skórze i asfalcie. Spłynęła po parkingu w strumyczkach; niektóre były jeszcze lepkie.

Petra stała przy zwłokach, szkicując otaczający teren i ciało. Zaznaczała dostrzeżone w słabym świetle rany. Przynajmniej siedemnaście cięć. A widziała jedynie przód ofiary.

Pochyliła się dość blisko, lecz tak by się nie pobrudzić, i zbadała poranione ciało. Dolna warga niemal całkowicie oderwana, lewe oko zredukowane do rubinowej miazgi. Wszystkie uszkodzenia znajdowały się po lewej stronie.

„Gdybyś mógł teraz mnie zobaczyć, tato, swoją przewrażliwioną córeczkę” - pomyślała.

Mimo iż oglądała już dwadzieścia jeden ciał, widok tej poranionej kobiety w świetle słońca przyprawił ją o mdłości. Później poczuła coś znacznie gorszego: ukłucie litości.

Biedna istoto! Biedna, biedna dziewczyno. Dlaczego tak skończyłaś?

Z pozoru panowała nad sobą. Żaden obserwator nie dostrzegłby u niej jakichkolwiek emocji. Po mistrzowsku potrafiła przybierać pozę sprawnej policjantki. Wszyscy jej to powtarzali. Tak też brzmiał zarzut Nicka pod jej adresem: nie była atrakcyjna, bo wydawała się nazbyt opanowana i kompetentna. Chociaż był to zaledwie jeden z licznych zarzutów... Dlaczego tak długo nie zauważała, co się dzieje?

Lubiła być uważana za osobę niezwykle solidną. Dobrze się czuła w tej roli.

Miesiąc temu przypadkowo weszła do salonu na Melrose, poleciła niezbyt życzliwej fryzjerce, aby obcięła jej kilka cali czarnych włosów, a wyszła z łatwością do układania hebanową fryzurką w kształcie klina.

Stu natychmiast zwrócił uwagę na zmianę.

Ocenił, że wygląda bardzo dobrze.

Petra pomyślała, że ta fryzura całkiem dobrze zdobi jej szczupłą twarz.

Ubrania dobierała obecnie jedynie ze względu na ich praktyczność. Markowe kostiumy ze spodniami kupione na wyprzedazy u Loehmanna i w „Robinsons-May”, które dopasowała w domu do swojej długiej szczupłej sylwetki. Zazwyczaj nosiła czarne, tak jak dziś. Miała też parę granatowych, jeden czekoladowobrązowy, jeden ciemnoszary.

Używała szminki od Margaret Astor (głęboka czerwień z dodatkiem brązu), trochę cienia, który powiększał jej małe oczy i maskary. Nie potrzebowała podkładu; jej cera była alabastrowa i gładka jak papier listowy. Żadnej biżuterii. Nic, za co mógłby szarpnąć podejrzany.

Ofiara miała na twarzy podkład.

Petra łatwo go zauważyła, podobnie jak resztki różu, sypkiego pudru oraz - na nietkniętym oku - tuszu do rzęs. Kobieta była nieco intensywniej wymalowana niż policjantka.

Zranione oko miało postać ślepej ciemnowisniowej dziury, gałka oczna skurczyła się jak pomięty celofan, grudki wyciekłej galaretowatej limfy oblepiały nos.

Byłby całkiem ładny, gdyby nie został tak pokiereszowany.

Prawe oko było szeroko otwarte, błękitne, zaćmione. Tępe spojrzenie martwej istoty ludzkiej. Nie sposób go podrobić ani zagrać.

Czy dlatego, że ciało opuściła dusza? Co pozostało? Obudowa, w której nie było więcej życia niż w skórze, zrzuconej przez węża podczas linienia?

Petra nadal przyglądała się zwłokom z wnikliwością artystki. Zauważyła małe lecz głębokie przecięcie na lewym policzku, które wcześniej umknęło jej uwadze. Razem osiemnaście. Nie mogła obrócić ciała. Póki fotograf nie skończy dokumentacji miejsca zbrodni, koroner nie udzieli na to zgody. Ostatecznie liczbę ran ustali patolog, który położy zwłoki na metalowym stole.

Petra doszkicowała na rysunku ranę policzka. Miała nadzieję, że koroner niczego nie przeoczy, wszak lekarze też popełniają błędy.

Stu skończył rozmawiać z koronerem - starszym mężczyzną nazwiskiem Leavitt. Obaj wydawali się poważni, lecz odprężeni. Żadnych niesmacznych dowcipów, jakie słyszy się na

filmach o policjantach. Prawdziwi detektywi, których spotkała w swoim życiu Petra, byli zazwyczaj normalnymi facetami, stosunkowo bystrymi, cierpliwymi i nieustępliwymi; nie mieli wiele wspólnego z kinowymi bohaterami.

Spróbowała, pomijając krew i rany, przyjrzeć się ofierze jako kobiecie.

Młoda i - Petra była tego absolutnie pewna - niezwyklej urody. Nawet tak pokiereszowana, rzucona na parking niczym worek śmieci, wydawała się ładna. Miała regularne rysy. Niewysoka, lecz o długich i zgrabnych nogach obnażonych obecnie do połowy uda; szczupłą talię podkreślała krótka czarna jedwabna sukienka. Co do biustu... Chyba był silikonowy. Ostatnio, ilekroć Petra widziała smukłą dziewczynę z okazałym biustem, podejrzewała zabieg chirurgiczny.

Wprawdzie silikon nie wyciekł, lecz kto wie, może zmieszał się z krwią. Co się właściwie dzieje ze sztucznie powiększonym biustem, gdy pierś zostanie przecięta? Jak wygląda silikon? Podczas ośmiomiesięcznej pracy Petry w wydziale zabójstw ten temat nigdy się nie pojawił.

Majtki ofiary podarły się najprawdopodobniej podczas szamotaniny. Petra nie dostrzegła najmniejszych śladów gwałtu. Wokół poprzecinanych warg ani w okolicy łona nie było nasienia.

Kobieta miała piękne włosy. Miodowy blond, dobra farba, pierwsze ciemne odrosty, ale całość prezentowała się ładnie, z pewnością fryzurę wykonano w doskonałym salonie fryzjerskim. Sukienka ofiary była żakardowa, z ręcznym szwem, a ponieważ część materiału odwinęła się wokół ramion, Petra zdołała odczytać metkę. Armani.

Miała nadzieję, że na biżuterii znajdą odciski palców, zwłaszcza na diamentowej bransoletce zdobiącej lewy nadgarstek (duże, szlifowane kamienie), koktajlowym pierścionku z szafirem i diamentem, złotym damskim roleksie i małych diamentowych kolczykach.

Kobieta nie nosiła obrączki.

Nie miała również torebki, nie będzie jej zatem można natychmiast zidentyfikować. Jak się tu znalazła, biedactwo? Wracała z randki? Niezła fryzura, minisukienka... *callgirl*, którą zwabił na ulicę dodatkowy zarobek?

Torebka zniknęła, a równocześnie nie skradziono biżuterii. Sam zegarek musiał być wart ze trzy tysiące. Nie był to więc napad rabunkowy. Chyba że bandyta był jeszcze większym kretynem niż większość tych ulicznych głupców, którzy chwytają torebkę i wpadają w popłoch.

Nie, takie wyjaśnienie nie miało najmniejszego sensu. Wszystkie te rany nie wskazywały na panikę ani rabunek. Tego typu zabójstwo zabiera sporo czasu.

Porwał torebkę, by upozorować napad, ale zapomniał o biżuterii?

Petra wyobraziła sobie zabójcę - kogoś straszliwie rozwścieczonego. Głębokie przecięcia, żadnych płytkich ran zadanych w obronie własnej... Takie zresztą zdarzały się rzadziej niż sądzi większość ludzi; męczyzna przeciętnego wzrostu nie miałby przecież kłopotów z ujarzmieniem tak szczupłej dziewczyny.

Tym niemniej Petra doszła do wniosku, że ofiara prawdopodobnie знаła swego napastnika.

Wskazywała na to również ogromna ilość ran.

Czy blondynka została zaskoczona?

Przez mózg Petry przepływały szybkie sekwencje obrazów. Stłumiła je. Było za wcześnie, by teoretyzować.

Boże, całość wyglądała przeraźliwie okrutnie. Jak po ataku drapieżnika. Większość zadanych od przodu ciężkich ran była zapewne śmiertelna. Dlaczego napastnik skoncentrował się na twarzy?

Chciał wypatroszyć kobietę, a następnie odrzeć z piękna? Jakaż ogromna nienawiść! Wręcz eksplozja nienawiści!

Sprawa osobista?! Im dłużej Petra myślała o morderstwie, tym większego sensu nabierała jej hipoteza. Jakie związki prowadzą do takich zbrodni? Kim był zabójca dla ofiary? Mężem? Przyjacielem? Czym można aż tak zdenerwować kochanka?

Kimkolwiek był, tej nocy okazał się wypuszczoną na wolność bestią.

Petra rozwarła bezwiednie zaciśnięte dłonie i wsadziła je w kieszenie spodni od kostiumu. Reszta serii od Saksa, lekka krepina, intensywna czerń. Wygodny strój, dlatego wybrała go na inwigilację Freshwatera.

Sukienka blondynki była czarno-błękitna. Czerń i błękit wypłukane w zardzewiałej wodzie.

Dwie kobiety w czerni. Zaczął się okres żałoby.

*

Stu nadal konferował z Leavittem, Petra zaś stała przy ciele niczym samozwańcza opiekunka.

Broniła ziemskiej powłoki, przypominającej skórę, zrzuconą przez liniejącego węża?

Jako mała dziewczynka podczas letnich wypraw z ojcem i bratem Dickiem w Arizonie znajdowała wiele zrzuconych koronkowych skór węży i jaszczurek. Podnosiła je, próbowała skręcać i zwijać, lecz w jej rękach obracały się w pył i Petra zaczęła uważać gady za

stworzenia kruche i tym samym mniej przerażające.

A jednak latami zatruwały jej sny. Podobnie jak skorpiony, żbiki, sowy, rogate ropuchy, latające chrząszcze, czarne wdowy. Nieskończony strumień stworzeń w automatyczny niemal sposób przenikał z jawy do jej snów.

Biedny tato, skazany na conocny godzinny rytuał. Opowiadał jej historyjki, głupie żarty i stale sprawdzał całe pomieszczenie; dopiero wtedy jego najmłodsze dziecko zasypiało i pozwalało samotnemu ojcu na wytchnienie.

Kiedy w końcu miał trochę czasu dla siebie, co z nim robił?

Jeśli dobrze znała tatę, wszelki wolny czas spędzał na czytaniu prac studentów albo pracował nad podręcznikiem, którego nigdy nie ukończył. Wysoka szklanka z whisky marki Chivas dla wzmocnienia. Petra wiedziała, że zawsze trzymał butelkę w nocnej szafce; szybko ją opróżniał, choć nigdy nie widziała go naprawdę pijanego.

Profesor Kenneth Connor zajmował się antropologią kulturową. Był średnio znany w swej dziedzinie. Później zachorował na Alzheimera; umarł przedwcześnie, dwadzieścia miesięcy temu. Petra dobrze zapamiętała ten dzień. Ściagała akurat skradzionego mercedesa aż do Meksyku, kiedy na posterunek zadzwoniono ze szpitala. Wylew krwi do mózgu. Neurolog sugerował, że mózg ojca był osłabiony przez chorobę.

Tato fascynował się również genetyką bezkręgowców, obsesyjnie wręcz kolekcjonował muszle, skóry, czaszki, skorupy i wszelkie świadectwa organicznej przeszłości ziemi. Maleńki dom rodzinny, stojący tuż przy autostradzie niedaleko za Phoenix, wypełniały szczątki i relikty, których zapach przywodził na myśl woń zaniedbanego muzeum. Dobry człowiek, opiekuńczy ojciec. Matka Petry umarła podczas porodu, ale ojciec nigdy nie okazał z tego powodu niechęci swojej córce, choć była pewna, że musiał odczuwać złość. Petra miała podświadome wyrzuty sumienia i chyba chciała ukarać siebie za śmierć matki, zmieniając się w dziką, gniewną nastolatkę. Narastający konflikt z ojcem doprowadził do rozstania - ojciec postanowił wysłać ją do szkoły z internatem i Petra zaczęła się uważać za jego ofiarę.

W swej ostatniej woli wspomniał o kremacji. Petra i jej bracia zastosowali się do tej prośby, rozrzucając jego prochy nad kanionem w mroku nocy.

Później każde z nich czekało, aż ktoś się odezwie.

Ostatecznie milczenie przerwał Bruce:

„To koniec, niech spoczywa w pokoju. Wyośmy się stąd”.

Tato, zbieracz tkanek, zredukowany do garści szarych cząsteczek. Może pewnego dnia za parę milionów lat jakiś archeolog znajdzie cząsteczkę Kennetha Connora i wysnuje na

podstawie jej analizy hipotezę związaną z jakością życia w dwudziestym stuleciu.

Petra wróciła myślą do martwego ciała leżącego tuż przy niej, świeżego i żalosego.

Oceńła wiek kobiety na dwadzieścia pięć do trzydziestu lat. Twarz wyglądała młodo, a przy tym Petra nie dostrzegała żadnych blizn wskazujących na chirurgiczną operację odmładzającą.

Zgrabne kości policzkowe, sądząc po prawej stronie. Cały lewy bok miał postać karmazynowej papki. Zabójca był zatem prawdopodobnie praworęczny: głowa kobiety stoczyła się na prawo, kiedy ją atakował.

Z wyjątkiem sprawy Freshwatera, poprzednie przypadki Petry stanowiły typowy materiał śledczy: strzelaniny w barach, pojedynczy cios noża, śmiertelne pobicie. Głupcy zabijający innych głupców.

Najpaskudniejsze było wesele Hernandeza, sobotnia impreza w Domu Weterana, nieopodal granicy departamentu. Na przyjęciu pan młody zabił ojca panny młodej za pomocą nowiutkiego noża do tortu o rękojeści z masy perłowej. Rozciął starego od mostka do pachwiny, wręcz filetując go na oczach swej nowo zaślubionej, osiemnastoletniej żony i stu innych osób, z przerażeniem obserwujących zdarzenie.

Hmm, niezłe weselisko.

Petra i Stu szybko dopadli pana młodego. Ukrywał się w Baldwin Park. Pokazali mu nakaz, sprowadzili na posterunek. Dziewiętnastoletni pomocnik ogrodnika ukrył nóż w worku z nawozem z tyłu ciężarówki szefa. Idiota.

„Słuchaj, tato, rozwiązałam tę sprawę. Zero koszmarów”.

Wyobraziła sobie zaskoczony uśmiech swego ojca. Była przecież, kiedyś zalęknioną, drżącą ze strachu dziewczynką.

Teraz stała się prawdziwą policjantką!

Łyknęła porannego powietrza. Słodkie. Czowała zapach sosen. Nagle zmęczyło ją czekanie i nieróbstwo, miała ochotę coś zrobić - dowiedzieć się czegoś.

Stu wreszcie opuścił doktora Leavitta i wyszedł za żółtą taśmę policyjną, na brzeg parkingu, gdzie stały radiowozy i samochód koronera. Jak zwykle metodyczny, instruował techników, co mają robić, a czego nie, co wziąć do analizy i tak dalej. Koroner odjechał, ludzie z obsługi kostnicy zaś zostali, słuchając głośno rapu w furgonetce; do uszu Petry docierało basowe dudnienie.

Wszyscy czekali na przybycie fotografa i ekip K-9. Dopiero wtedy ciało zostanie zabrane, a psy ruszą sprawdzić zadrzewiony teren powyżej parkingu.

Stu rozmawiał z jakimś mundurowym, ledwo poruszając wargami. Widziała jego

szlachetny profil, obramowany przez światło słoneczne.

Komendant Bishop. O ile nie dostanie wcześniej wielkiej roli filmowej.

Byli partnerami od dwóch tygodni, gdy wyjął portfel, by zapłacić za lunch w „U Musso i Franka”. Petra dostrzegła obok karty kredytowej Visa legitymację Gildii Aktorów Filmowych.

- Jesteś aktorem? - spytała.

Jego celtycka cera poczerwieniała i Stu zamknął portfel.

- Czysty przypadek. Przyszli kilka lat temu na posterunek. Kręcili wtedy akurat na Bulwarze *Murder Street* i potrzebowali prawdziwych gliniarzy jako statystów. Nalegali, aż w końcu się zgodziłem.

Petra nie mogła się powstrzymać przed pytaniem:

- Kiedy odciśniesz swoje dłonie na Alei Gwiazd?

Oczy Stu w kolorze wody z basenu złagodniały.

- To jest nieprawdopodobnie dumny biznes, Petro. Niewiarygodnie egocentryczny. Wiesz, jak sami zainteresowani go nazywają? Przemysłem. Jak gdyby produkowali stal.

Potrząsnął głową.

- Jakiego typu role dostajesz?

- Drugorzędne epizody. Nawet nie kolidują z moim harmonogramem. Spora część filmowania odbywa się w nocy, więc jeśli nadal jestem w mieście, zostaję. Im później wracam, tym krócej jadę autostradą. Właściwie, w ogóle nie tracę czasu.

Uśmiechnął się. Oboje wiedzieli, że tracił go zbyt wiele.

Petra posłała mu złośliwy uśmiešek.

- Masz agenta?

Stu zrobił się szkarłatny.

- Naprawdę?

- Jeśli chcesz być kimś w tej branży, musisz mieć agenta. Petro. Tam pracują prawdziwe rekiny, warto poświęcić dziesięć procent, by ktoś załatwiał wszystkie sprawy za ciebie.

- Dostałeś kiedyś mówioną rolę? - Petra była autentycznie zainteresowana, choć równocześnie walczyła z chichotem.

- Jeśli bierzesz pod uwagę kwestie w rodzaju: "Stój, szumowino, albo cię zastrzelę jak psa".

Petra skończyła kawę. Stu popijał wodę mineralną.

- A kiedy napiszesz własny scenariusz? - spytała.

- Rany, odpuść - rzucił. Ponownie otworzył portfel i wyjął gotówkę.

Tydzień później statystował w Pacoimie. Wszyscy mieszkańcy Los Angeles, nawet tak prosty facet jak Stu, chcieli być kimś innym.

Z wyjątkiem jej jednej. Gdy Petra przyjechała do Kalifornii, miała za sobą rok w stanowym college'u w Tucson. Tu uczęszczała do Pacific Art Institute, zrobiła dyplom w dziedzinie sztuk pięknych ze specjalnością malarską, rozpoczęła pracę i wyszła za mąż. Nick zajmował się projektowaniem samochodów w nowym przyszłościowym laboratorium GM. Petra współpracowała z działem graficznym reklamy w kilku gazetach ilustrowanych, sprzedała też kilka swoich obrazów do pomniejszych galerii w Santa Monica niemal po cenie kosztów. Pewnego dnia uświadomiła sobie, że prawdopodobnie niewiele się już w jej życiu zmieni. Ale przynajmniej miała Nicka.

Potem, gdy zawiodło ją własne ciało, Nick pokazał swoją prawdziwą duszę czy też raczej jej brak. Zostawił ją oszołomioną, załamana, samotną. W tydzień po jego wyprowadzce ktoś się włamał do jej mieszkania i zabrał nieliczne pozostałe cenne rzeczy, łącznie z jej sztalgami i pędzlami.

Na dwa miesiące popadła w depresję. Aż do pewnej listopadowej nocy, kiedy dźwignęła się z łóżka; jeździła wtedy bez celu po mieście. Bezwładna, ogluchła, bezbronna, pomyślała, że powinna coś zjeść. Cerę miała straszną, włosy zaczynały jej wypadać, ale właściwie nie była głodna; każda myśl o jedzeniu przyprawiała ją o mdłości. Znalazłszy się na bulwarze Wilshire, skręciła i skierowała się do domu, gdy nagle blisko Crescent Heights dostrzegła rekrutacyjny plakat Departamentu Policji Los Angeles. Zadziwiła samą siebie, spisując numer telefonu.

Zadzwoiła dopiero po dwóch tygodniach. Przedstawiciele komisji oświadczyli, że obowiązuje ich parytet płciowy i mają obowiązek przyjąć określoną liczbę kobiet. Petrę przyjęto z sympatią.

Wstąpiła do akademii pod wpływem zachcianki. Początkowo uważała swoją decyzję za głupi, nieprzemyślany krok, później jednak szybko polubiła swoją pracę, a w końcu nawet ją pokochała. Także wyzwania kondycyjne. Ćwiczenia fizyczne nauczyły ją używać własnej giętkości i refleksu zamiast siły, której nie posiadała. Odkryła, że ma naturalny talent do sztuk walki i dzięki sprytowi potrafiła pokonać znacznie silniejszych od siebie przeciwników.

Polubiła nawet mundur.

Nie luźną jasnoniebieską kurtkę i ciemnoniebieskie spodnie kadeta, lecz prawdziwy granatowy uniform, symbol kompetencji i zaufania.

Ona, która tak bardzo nienawidziła szkół z internatem, narzuconego porządku i męczących przepisów, skończyła wtłoczona w mundur.

Wielu kolegów z klasy w akademii miało wygląd kulturystów. Obcisłe niebieskie kurtki wyglądały na nich jak druga skóra, podkreślając bicepsy i nabite mięśniami ramiona.

Chłopięcy odpowiednik powiększającego biust stanika.

Pewnej nocy, pod wpływem impulsu, przerobiła własny mundur, używając starej wysłużonej maszyny do szycia marki Singer, którą przywiozła ze sobą z Tucson. Maszyna była jednym z niewielu przedmiotów, które zostawili jej włamywacze.

Petra mierzyła sto siedemdziesiąt centymetrów, ważyła niecałe sześćdziesiąt kilogramów, miała smukłe nogi, chłopięce biodra, duże, solidne ramiona, pośladki, które uważała za zbyt płaskie i małe, lecz naturalny biust, który w końcu zaczęła doceniać. Gdy dorastała z ojcem i czterema braćmi, odkryła, jak bardzo przydaje się umiejętność szycia.

Przerobiła przede wszystkim bluzkę, która wcześniej marszczyła jej się przy talii i na szczupłych biodrach. Po zmniejszeniu, materiał spłaszczył sylwetkę Petry, ale jej przesadnie nie podkreślał.

Po uroczystości wręczenia świadectw Petra była jeszcze szczęśliwsza i chociaż nie zaprosiła nikogo na ceremonię, i tak strasznie się denerwowała, co pomyśla o niej ojciec i bracia.

Dopiero w miesiąc po rozpoczęciu próbnego roku powiedziała im o swojej nowej pracy. Wszyscy byli zaskoczeni, jednak nikt jej nie wyśmiał. Szybko się pogodzili z jej decyzją.

W pracy policyjnej podobało jej się wszystko. Utrzymywanie sprawności fizycznej, trening, punktualność, ćwiczenie na strzelnicy. Nawet papierkowa robota, ponieważ w szkole z internatem nauczyła się pisać porządną angielszczyznę i ta umiejętność dała jej przewagę nad większością kolegów-kulturystów, przeżywających istne katusze i gryzących ołówkę podczas walk ze składnią i interpunkcją.

W ciągu osiemnastu miesięcy Petra zdobyła tytuł detektywa pierwszego stopnia.

Uzyskała prawo oglądania ludzkich zwłok.

*

Do grupy aut na parkingu podjechał nowy samochód - niewielki, z policyjnym emblematem na drzwiczkach. Wsiadła z niego fotografka, taszcząc profesjonalny aparat marki Polaroid. Była młoda, mniej więcej w wieku ofiary, miała luźny strój i długie, kruczoczarne włosy. Cztery dziurki w jednym uchu, dwie w drugim; same dziurki, bez kolczyków. Przeciętna twarz, zapadnięte policzki, na nich trądzikowe krostki. Wojownicze oczy przedstawicielki pokolenia X.

Kiedy dziewczyna zbliżyła się do ciała, Petra nakreśliła sobie w myślach jej hipotetyczną

osobowość: podobnie jak ona sama, typ artystki, która zarabia na życie w sposób praktyczny. Nocami fotografka prawdopodobnie zakłada czarny strój, pali marihuanę, pije drinki w klubach na Sunset Stripe, spotyka się z niespełnionymi muzykami rockowymi, którzy traktują ją jak równą sobie.

Przygotowała aparat i popatrzyła na ciało.

- Mój Boże, wiem, kto to jest! - zawołała.

- Kto? - spytała Petra i przywołała Stu.

- Nie znam jej nazwiska, ale znam ją z widzenia. To żona Carta Ramseya. A może teraz już eks-żona... Pojawiła się w telewizji jakiś rok temu. Opowiadała, że Ramsey ją pobił. Wystąpiła w jakimś szmatławym talk-show dla ludu. Oświadczyła wtedy, że jej facet jest straszliwym dupkiem.

- Jesteś pewna, że to ona?

- Na sto procent - odparła kobieta z przekonaniem. Z plakietki wynikało, że nazywa się Susan Rose. Była fotografem z pierwszym stopniem specjalizacji. - To ona, wiercie mi. Przedstawiali ją jako królową piękności, którą Ramsey spotkał na paradzie... Boże, popatrzcie, co z niej zostało. Ten facet jest walnięty! - Jej ręka zadrżała i zacisnęła się mocniej na aparacie.

Stu podszedł i Petra powtórzyła mu słowa Susan Rose.

- Jesteś pewna? - spytał.

- Jezu, stary. Tak, zupełnie pewna. - Fotografka zaczęła szybko robić zdjęcia, wysuwając przed siebie aparat niczym broń. - W tamtym programie miała podbite oko i sporo sińców. Cholerny drań!

- Kto? - spytała Petra.

- Ramsey. Pewnie on jej to zrobił, no nie?

- Cart Ramsey - mruknął Stu, krzywiąc się. Petrze przemknęło przez głowę pytanie, czy jej partner występował kiedyś w programie Ramseya. Jak się nazywał ten cykl? „Mediator”? Bohaterem był prywatny detektyw, który rozwiązywał problemy prostych ludzi.

Czyżby sprawa była aż tak prosta?

Susan Rose wyjęła film z aparatu i schowała go do aktówki.

- Dzięki, potwierdzimy te informacje - powiedziała jej Petra. - Tymczasem proszę robić swoje.

- To ona, wiercie mi - oświadczyła Susan Rose drażliwie. - Mogę ją odwrócić? Mam już cały przód.

Rozdział 5

Dwugodzinna wędrówka. Nie potykam się zbyt często.

Boże, nie mogę zapomnieć, jak dźgał ją nożem.

PLYR 1. Na Bulwarze znajduje się bar o nazwie „Players” w którym przesiadują alfonsi. Pewnie uważają się za cwaniaków, ponieważ się obijają i gardzą prawdziwą pracą.

Morderstwo, którego byłem świadkiem, kojarzy mi się z pewnym zdarzeniem z Watson. Miało ono miejsce na jednym z leżących odłogiem pól za pomarańczowymi gajami.

Dwa psy mijają się. Jeden był biały z brązowymi łatami, umięśniony, mieszaniec, trochę podobny do pitbulla. Drugi był dużym czarnym kundlem, który chodził trochę krzywo. Biały wyglądał na spokojnego, zadowolonego z życia, miał niemal uśmiech na pysku. Może dlatego czarny początkowo się go nie bał. Nagle biały odwrócił się bez ostrzegawczego szczeknięcia i skoczył na czarnego, zacisnął szczęki na jego szyi, szarpnął parę razy i czarny pies padł martwy. Wszystko odbyło się błyskawicznie. Biały pies nie szarpał ciałem czarnego ani nie lizał jego krwi, nic z tych rzeczy... Jedyne odgarnął błoto przednimi łapami i obojętnie odszedł.

Wiedział, że posiada władzę.

Źle oceniłem odległość. Czekam jeszcze kawał drogi. Moje stopy ważą chyba tonę i zaczynam się czuć głupio, że mieszkam w parku. Powtarzam sobie, że nie podjąłem najmądrzejszej decyzji.

Ale czy mam wybór? Jest taki zniszczony po pożarze budynek na Selma, niedaleko Bulwaru; okna zabite deskami. Kręci się tam wiele dzieciaków, a późno w nocy wprowadzają do budynku starszych facetów. Czasami widywałem chłopców i dziewczynki, które oddawały się mężczyznom na dworze, w alei.

Wolałbym się zabić niż pozwolić na coś takiego. Samobójstwo jest grzechem, lecz lepiej umrzeć, niż żyć w podły sposób.

Patrzę na zegarek: 4:04. Chyba już blisko. Niezależnie od tego, ile spisów sobie układam, głowę wypełniają mi straszliwe obrazy. Faceci ranią kobiety, psy zagryzają inne psy, samoloty eksplodują w powietrzu, ktoś porywa dzieciaki z sypialni. Widzę uliczne strzelaniny; wszędzie krew.

Myślę o mamie, lecz zamiast niej widzę Barana. Pamiętam, że przez cały czas nazywał ją

dziwką, a ona przyjmowała ten epitet bez słowa sprzeciwu.

Gdy miał zły dzień, bił ją. Zamykałem wtedy oczy, zgrzytałem zębami, próbowałem myśleć o czymś innym. Przez długi czas nie mogłem zrozumieć, po co mama go przygarnęła. Potem uznałem, że pewnie z powodu braku wykształcenia nie uważa się za wartościową osobę. Może sądziła, że nie zasługuje na nikogo lepszego.

Spotkała go w „Sunnyside”, tam, gdzie poznawała wszystkich innych frajerów, których sprowadzała do domu. Nie pracowała już w tym lokalu, ale ciągle chodziła się tam napić, pooglądać telewizję i pożartować z facetami grającymi w bilard.

Wcześniej frajerzy nie zostawiali długo. I wszyscy mnie ignorowali. Pierwszego wieczoru, gdy mama przyprowadziła Barana, nappełnił przyczepę odorem brudnego ciała i smaru motocyklowego. Naćpali się we dwoje. Leżałem na tapczanie i czułem zapach trawy, którą palili. Słyszałem ich śmiech, potem skrzypienie łóżka. Zatkaną palcami uszy i schowałem się pod kocem.

Następnego ranka Baran wyszedł do frontowego pokoju, nagi, z szortami w rękę. Zwały tłuszczu na całym jego ciele pokryte były tatuażami. Udawałem, że nadal śpię. Otworzył drzwi, chrząknął, założył szorty i wyszedł na zewnątrz, by się wysikać. Kiedy skończył, mruknął z zadowoleniem: „Taaa”, charknął i splunął.

W drodze powrotnej do łóżka mamy potknął się i upadł kolanem na moje plecy. Odniosłem wrażenie, że zgniata mnie noga słonia; nie mogłem oddychać. Baran podniósł się, wszedł do kuchni, wziął pudełko „Cap’n’Crunch” i nabrał garść płatków. Podnosząc je do ust, rozsypał wszędzie wokół.

Poruszyłem się. Że niby dopiero się obudziłem. Baran powiedział:

- Och, rany, mały szcur. Cholera. Sharla, nie mówiłaś, że masz dzieciaka.

Mama roześmiała się z sypialni.

- Nie rozmawialiśmy zbyt wiele, co, kowboju?

Zaśmiał się, potem wyciągnął do mnie rękę. Na jego paznokciach były czarne obwódki, a paluchy miał rozmiaru i koloru hot-dogów.

- Motor Moran, brachu. A ty kim jesteś? - Miał dość wysoki głos, jak na tak dużego faceta.

- Billy.

- Billy jak?

- Billy Straight.

- Ha, tak samo jak mama - więc nie masz tatusia. Mała pieprzona wpadka, co? - Opuściłem rękę, lecz złapał ją i potrzęsnał mocno. Bolało mnie, a Baran przypatrywał mi się,

czekając na moją reakcję. Zignorowałem ból.

- To twoje płatki, brachu?

- Nooo.

- No to, cholera, niedobrze. - Nasza wymiana „grzeczności” szczerze go rozśmieszyła.

Weszła mama i zachichotała razem z nim, choć w oczach miała smutek. Wcześniej już wiele razy widziałem u niej to spojrzenie.

„Przepraszam, kochanie, ale cóż mogę zrobić?” - pytały.

Ja również nie potrafiłem jej obronić, więc chyba byliśmy kwita.

Baran walnął mnie pięścią w ramię.

- Motor Moran, mały brachu. Nie pieprz się i pożyj sobie. - Rzucił mi pudełko z płatkami, po czym poszedł do lodówki, wyjął piwo i sos salsa.

- Masz chipsy, kobieto?

- Jasne, kowboju.

- W takim razie rusz tyłek i przygotuj mi do nich jakiegoś dipa.

- Robi się, kowboju.

Mama nazywała „kowbojem” każdą ofiarę losu, jaką ściągała do domu.

Baran pomyślał pewnie, że zwraca się tak wyłącznie do niego.

- Z powrotem w siodle, mała. Pogalopujemy?

Motor Baran-Moran. Naprawdę nazywał się Buell Erville Moran, więc rozumiecie, dlaczego potrzebował pseudonimu, nawet tak głupiego. Jego prawdziwe dane wyczytałem z jego prawa jazdy, które zresztą straciło już ważność i było pełne kłamstw. Na przykład jego wzrost - sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry, a mierzył może z metr osiemdziesiąt pięć. I waga - wpisano dziewięćdziesiąt kilo; na moje oko ważył sporo ponad sto dwadzieścia. Na zdjęciu miał też wielką rudą brodę, teraz zaś zdążył już zgolić zarost na policzkach i wąsa; zostawił tylko ogromne sterczące baczki, które wyglądały strasznie idiotycznie.

Ubierał się codziennie w te same ciuchy: wyświechtane džinsy, cuchnący czarny podkoszulek harleyowców i kowbojskie buciory. Starał się wyglądać jak wyjęty spod prawa motocyklowy *Hell's Angel*, ale nie należał do żadnego gangu, jego maszyna zaś stanowiła kupę przerdzewiałego żelastwa, przeważnie zresztą nie była na chodzie. Nic nie robił całymi dniami - jedynie kręcił się po przyczepie, upijał, ćpał, oglądał jakiś talk-show i jadł, jadł, jadł.

I wydawał zasiłek i rentę mamy. Zasiłek właściwie mnie się należy. Pomoc dla rodzin z „dziećmi na utrzymaniu”. To moje pieniądze.

Obecnie nie jestem już dzieckiem na utrzymaniu.

*

Mama zmieniła się, kiedy miałem mniej więcej pięć lat. Zawsze gnębił ją brak wykształcenia, ale przedtem bywały okresy, gdy wydawała się w miarę szczęśliwa. Kiedyś bardziej dbała o wygląd, używała lokówki, robiła sobie makijaż i nosiła ładne sukienki. Teraz zakłada ciągle podkoszulki i szorty. Nie jest wprawdzie gruba, lecz ciało ma trochę obwisłe, a jej skóra jest blada i szorstka.

Pamiętam, że gdy pracowała w „Sunnyside” w tygodniu, piła i ćpała tylko w weekendy. Nie chcę jej obwiniać - miała ciężkie życie. Zaczęła pracować w polu, odkąd ukończyła czternaście lat. Mnie urodziła, mając szesnaście lat. Teraz ma dwadzieścia osiem i wypadła jej już część zębów, gdyż nie ma pieniędzy na dentystę.

Nigdy się zbyt wiele nie uczyła. Jej rodzice wynajmowali się przy zbiorach owoców, jeździli więc po okolicy w poszukiwaniu pracy. Byli alkoholikami i nie wierzyli w wykształcenie. Mama ledwo potrafiła czytać i pisać. Miała też ogromne kłopoty z gramatyką, jednak nigdy jej o tym nie powiedziałem; nie przeszkadzał mi jej sposób mówienia.

Urodziła mnie dziewięć miesięcy po śmierci jej rodziców, którzy zginęli w wypadku samochodowym. Jej tata był pijany. Wracali do Watson z jakiegoś filmu w Bolsa Chica drogą numer pięć i dziadek rąbnął prosto w słup wysokiego napięcia.

Razem z mamą przejeżdżaliśmy wielokrotnie obok tego miejsca autobusem. Za każdym razem, gdy je mijaliśmy, mama mówiła: „To ten przeklęty słup” i pocierała oczy.

Nie zginęła wówczas tylko dlatego, że zamiast pojechać z rodzicami do kina, zabawiała się z pracownikami sadu.

Ciągle opowiadała mi tę historię, szczególnie kiedy była wstawiona albo naćpana. Z czasem zaczęła dodawać wymyślone przez siebie szczegóły. Najpierw twierdziła, że podczas wypadku znajdowała się na przyjęciu w jakiejś luksusowej restauracji, z szlachami reprezentującymi związek pracowników farm. Później przyjęcie zmieniło się w randkę: mama i jakiś bogaty związkowiec; ona wystrojona („wyglądałam świetnie”). Wreszcie oświadczyła, że facet był bogaty, przystojny i inteligentny; genialny prawnik.

Pewnej nocy strasznie się upiła i zwierzyła mi się dramatycznym głosem, że ten bogaty facet był moim ojcem.

Jej własna wersja bajki o Kopciuszku, tyle że mama nie zdążyła zamieszkać w pałacu.

Fajnie byłoby posiadać bogatego, inteligentnego ojca, wiem wszakże, że to bzdura. Jeśli miał pieniądze, czy nie starałaby się go odszukać?

Czasem, wspominając przeszłość, wyciągała z szuflady swoje stare zdjęcia. Była na nich smukła i ładna i miała gęste, ciemne włosy, które sięgały jej aż do talii.

Nie miała ani jednej fotografii tego tajemniczego bogacza. Też mi niespodzianka!

Kiedy opowiedziała Baranowi swoją historię, odburknął:

- Daj spokój tym bzdurcom, Sharla. Pieprzyłaś się z milionem dupków, na pewno żadnego z nich nie pamiętasz.

Mama nie odpowiedziała. Twarz Barana pociemniała, a on sam popatrzył na mnie z uwagą. Przez minutę sądziłem, że się na mnie zamierzy. Na szczęście tylko się roześmiał i stwierdził:

- Skąd możesz wiedzieć, które ruchanko stworzyło tego gluta?

Mama uśmiechnęła się i nawinęła włosy na palce.

- Po prostu wiem, Buell. Kobiety zawsze wiedzą.

Wtedy uderzył ją na odlew. Upadła na lodówkę, jej głowa odskoczyła, jakby miała odpaść.

Siedziałem przy stole, dojadając resztki, które mi zostawił Baran z ogromnej puszki chili. Przez chwilę zdrętwiałem ze strachu, lecz natychmiast zastąpiła go potworna nienawiść i wściekłość. Poszukałem wzrokiem czegoś, co mogłoby się nadać na broń, ale noże znajdowały się zbyt daleko ode mnie, po drugiej stronie kuchni. Pod łóżkiem leżał pistolet Barana, ale facet stał na drodze.

Mama usiadła i zaczęła płakać.

- Przestań pierdolić - warknął Baran. - Zamknij się, kurwa.

Znowu podniósł rękę. Tym razem podniosłem się z krzesła. Zobaczył mnie i mocno zmrużył oczy. Zrobił się czerwony jak keczup, zaczął głośno sapać i zrobił ruch w moją stronę. Może mama próbowała mi pomóc albo po prostu starała się wstać, tak czy owak doczołgała się do niego na klęczkach, otoczyła jego nogi ramionami i powiedziała:

- Tak, masz rację, kochanie, to bzdura, totalna bzdura. Nie znam faceta. Przepraszam. Nigdy już ci nie powtórzę tych bzdur, kowboju.

Zaczął ją odpychać, jednak po chwili zmienił zdanie.

- Zapomnijmy o wszystkim - rzucił.

- Nie spieram się - odrzekła mama. - Chodź, kochanie, przejedźmy się motorem do miasta i zabawmy się.

Długo nie odpowiadał, w końcu jednak się odezwał:

- Pieprzona elita.

Przyglądając mi się bacznie, polizał policzek mamy i wsunął jej rękę pod podkoszulek.

Zataczał palcami powolne koła.

- Zabawmy się tutaj, mała - oświadczył i zaczął jej zdejmować podkoszulek.

Wybiegłem z przyczepy.

- Wygląda na to, że łatwo rozgniewać dzieciaka bogacza - wrzasnął za mną.

Długo ścigał mnie jego szyderczy śmiech.

*

Zaczął od mocnych uścisków dłoni, potem mnie popychał, wreszcie szczypał mnie w ramię. Kiedy zauważył, że nie reaguję, policzkował mnie z byle powodu, na przykład gdy nie podałem mu odpowiednio szybko marynowanych jajek. Od jego ciosów stale bolała mnie głowa i nie słyszałem dobrze przez kilka godzin.

Najgorsze katusze przeżywałem, kiedy wracałem do domu ze szkoły. Stał wtedy zwykle przed przyczepą i grzebał przy motorze.

- Hej ty, pomioście bogacza! Spierdalaj stąd!

Przyczepa miała tylko jedne drzwi, a ponieważ stał przed nimi, i tak nie mogłem wejść.

Czasami się ze mną drażnił, czasem zaś nie i ta druga sytuacja była chyba bardziej nieznośna, gdyż wyczekiwałem w ciągłym strachu, aż zacznie mnie prześladować.

- Dzieciak bogacza, pieprzony mały szczur, zasrany dupek. Zadziera nosa i myśli, że zeżarł wszystkie rozумы.

Potem podchodził do mnie z narzędziami. Wpychał mi dłuto pod podbródek, wkładał mój kciuk w klucz francuski i zaciskał go na kłyki. Obserwował mnie ciągle, czekając na mój krzyk.

Usiłowałem nie poruszyć oczyma ani inną częścią ciała. Zaciskanie klucza francuskiego przypominało przytrzaśnięcie sobie palca szufladą; z tą różnicą, że tamto trwa ledwie chwilę, tortura Morana zaś przejmowała pulsującym, coraz bardziej przenikliwym bólem. Wyobrażałem sobie, że kostki mi pękają, łamią się i już nigdy się nie goją.

Bąłem się, że będę żył z połamanymi rękami. Będą się śmiać z moich „szponów”.

Następnym razem Baran użył śrubokrętu. Łaskotał mnie nim po uchu, udawał, że wciska mi go w otwór grzbietem dłoni, potem śmiał się i mówił:

- O cholera, nie trafiłem.

Kilka dni później ostrze jego piłki do metalu przesunęło mi się po szyi. Zęby piłki skojarzyły mi się z paszczą rekina, który zamierza odgryźć mi głowę.

Nocami nie sypiałem najlepiej, budziłem się co chwilę, a rano od zaciskania zębów bolała mnie twarz.

Dlaczego po prostu nie zakradłem się do ich łóżka, nie wyjąłem pistoletu i nie zastrzeliłem gnojka?

Po pierwsze, bałem się, że Baran się obudzi i pierwszy sięgnie po broń. Po drugie, nawet gdyby udało mi się go zastrzelić, kto by mi uwierzył, że miałem ku temu rzeczywiste powody? Skończyłbym w więzieniu, co na zawsze zniszczyłoby mi życie. Po wyjściu (o ile w ogóle bym kiedyś wyszedł), byłbym eks-skazańcem, pozbawionym prawa do głosowania.

Zacząłem myśleć o ucieczce. Ostatecznie podjąłem decyzję pewnej niedzieli. Niedziele były najgorsze, ponieważ Baran siedział w przyczepie przez cały dzień. Pił, palił trawę, łykał pigułki i oglądał na wideo filmy o Rambo, a po kilku godzinach sam zaczynał się czuć jak ich bohater.

Którejś niedzieli mama pojechała do miasta kupić coś do jedzenia, ja zaś próbowałem czytać.

- Wypierdalaj - rzucił Baran.

Jednak kiedy wstałem, roześmiał się i wyjął nożyce do cięcia drutu, po czym zdarł ze mnie dzinsy i szorty, po czym włożył mojego fajfusa między ostrza. Jaja też.

Billy Bez Jaj.

Prawie się zsikałem ze strachu, lecz za wszelką cenę usiłowałem się powstrzymać, ponieważ wiedziałem, że jeśli go obsikam, na pewno odetnie mi ptaka.

- Dzieciak bogacza ma małego, a to niespodzianka!

Stałem, próbując nic nie odczuwać i okropnie chciałem znaleźć się gdzieś indziej. Spisy, listy... Nic nie pomagało.

- Rach, ciach i będziesz śpiewał w pieprzonym chłopięcym chórze - mruknął Baran.

Oblizwał wargi. Potem mnie puścił.

Dwa dni później, kiedy oboje byli w „Sunnyside”, przetrząsałem przyczepę w poszukiwaniu pieniędzy. Znalazłem jedynie osiemdziesiąt centów w drobniakach pod materacem tapczanu. Zniechęciłem się i zastanowiłem, czy zdołam się obejść bez pieniędzy. Następnie pogrzebałem w „łazienkowym sezamie” - wiedziałem, że mama chowa część pieniędzy w pudełku po tamponach pod zlewem. Sądzę, że nigdy do końca nie ufała Baranowi, a nie przypuszczała, by tam szukał. Może również czuła się osaczona przez swoje życie i zamierzała uciec pewnego dnia. Jeśli pokrzyżowałem jej plany, przykro mi, lecz mama nadal otrzymuje zasiłek dla rodzin o niskich dochodach, moje jaja zaś tkwiły przecież między ostrzami nożyc! Gdybym został dłużej, Baran na pewno by mnie zabił. Wtedy mama poczułaby się strasznie i do tego prawdopodobnie miałaby sprawę sądową za zaniedbywanie dziecka albo coś w tym guście.

Zatem odchodząc, właściwie oddałem jej przysługę.

W pudełku po tamponach znalazłem sto dwadzieścia sześć dolarów.

Owinąłem je w dwa foliowe woreczki, które włożyłem w papierową torbę, związałem czterema gumkami i wepchnąłem sobie w szorty. Nie mogłem zabrać książek ani zbyt wielu ubrań, toteż wybrałem te najwygodniejsze, wcisnąłem w drugą papierową torbę, zapiąłem na nadgarstku moje casio i odszedłem w noc.

Na parkingu nie było lamp, jedyne światło dochodziło zwykle z wnętrza przyczep, tyle że o tej porze większość ludzi spała, więc wokół mnie panowały bezpieczne ciemności. Właściwie nie mieszkaliśmy na parkingu z prawdziwego zdarzenia, lecz na błotnistym polu obok gaju starych, sękatych, pochylonych nisko z powodu silnego wiatru drzewek pomarańczowych, które już nie owocowały. Od parkingu odchodziła długa i kręta droga; wiodła przez otwarty teren do autostrady.

Szedłem szosą przez całą noc. Kiedy tylko było to możliwe, trzymałem się trawiastego pobocza, więc nie byłem widoczny z samochodów i ciężarówek. Mijały mnie najczęściej gigantyczne tiry; przemykały obok, powodując podmuchy wiatru. Musiałem przejść ze dwanaście mil, ponieważ ze znaku przy Bolsa Chica wynikało, że taka jest odległość do Watson. Stopy nie bolały mnie i czułem się wolny.

Dworzec był nieczynny; pierwszy autobus do Los Angeles odchodził dopiero o szóstej rano. Czekałem i czekałem, aż wreszcie stary Meksykanin pojawił się w okienku i nawet nie podnosząc wzroku wziął czterdzieści z moich „tamponowych” dolarów. Na dworcu kupiłem słodką bułkę, mleko i czasopismo „Mad” ze stojaka z prasą. Byłem pierwszy w autobusie. Usiadłem w ostatnim rzędzie.

Wszyscy pozostali pasażerowie byli Meksykanami, przeważnie robotnikami. Kilka kobiet, jedna z nich, w ciąży, stale kręciła się na siedzeniu. Autobus był stary i mocno się grzał, ale wyglądał na dość czysty.

Kierowca okazał się starym białym facetem o pooranej zmarszczkami twarzy i w zbyt dużym kapeluszu. Żuł gumę i pluł przez okno. Ruszył powoli. Niektórzy Meksykanie natychmiast wyjęli jedzenie.

Jechaliśmy wzdłuż parkingów z używanymi samochodami na peryferiach Bolsa Chica (wszystkie przednie szyby niczym lustro odbijały białe światło), potem obok pól truskawkowych poprzecinanych pasami plastikowych osłon przeciwsłonecznych. Kiedy mijaliśmy je z mamą, zawsze mówiła: „Truskawkowe pola, dokładnie jak w piosence”.

Przez chwilę rozmyślałem o mamie, potem kazałem sobie przestać. Za polami nie otaczało nas już nic z wyjątkiem drogi i gór.

Krótko potem przemknęliśmy obok miejsca, gdzie zjechali z drogi rodzice mamy. Wpatrzyłem się w nie, obserwowałem, jak znikają w tylnym oknie. Nagle zasnąłem.

Rozdział 6

Stu odciągnął Petrę na bok.

- Cart Ramsey. Jeśli to jest prawda.
- Dziewczyna nie miała co do niego wątpliwości.

Zerknął na Susan Rose, ładującą statyw na tyły samochodu.

- Wygląda trochę na ćpunkę, ale rzeczywiście jest pewna swego.
- Od razu pomyślałam, że ofiara znała napastnika.

Stu zmarszczył brwi.

- Zaraz zadzwonię do Schoelkopfa po wytyczne. Wiesz, gdzie mieszka Ramsey?
- Nie mam pojęcia. Myślałam, że może ty wiesz.
- Ja? Ależ... och. - Uśmiechnął się blade. - Nie, nigdy nie wystąpiłem w jego programie.

Oglądałaś go kiedyś?

- Nie. Facet gra prywatnego detektywa, zgadza się?
- Raczej stanowi jednoosobowy oddział straży obywatelskiej. Załatwia sprawy, z którymi nie radzą sobie gliniarze.

- Czarujące.

- Kiepski show, nawet jak na telewizję. Zaczęli go dawać w kablówce, zrezygnowali po jakimś czasie, potem program wrócił, może facet znalazł sponsora. Chociaż producentem programu jest chyba sam Ramsey. - Potrząsnął głową. - Dzięki Bogu, nigdy mnie do niego nie zaproszono. Zapewniam cię, nic zabawnego. - Wykrzywił wargi. Petra odniosła wrażenie, że Stu zaraz splunie, lecz jedynie odwrócił się od niej.

- Ten program jest faktycznie aż taki kiepski? - spytała.

Popatrzył jej w oczy.

- Drewniane dialogi, wątpliwa fabuła, zero psychologicznego rysunku postaci. Ramsey w ogóle nie potrafi grać. Potrzebujesz więcej? Nadają to superarcydzieło późno w niedzielę, więc stacja prawdopodobnie na nim nie zarabia.

- Sądziłam, że Ramsey jest bardzo bogaty.

Stu zatknął kciuki za szelki i spojrzał na przykryte już zwłoki.

- Eks-zona Ramseya będzie niezłym kąskiem dla mediów. Podczas mojej rozmowy z Schoelkopfem poproszę pannę Rose, by trzymała język za zębami, przynajmniej dopóki szef czegoś nie postanowi.

Zanim Petra zdążyła zareagować, ruszył do ich samochodu. Jednak w tym samym

momencie jakiś mundurowy zaczął do nich szaleńczo machać z odległego końca parkingu i oboje pospieszyli w jego stronę.

- Znalazłem ją tam. - Policjant wskazał zarośla w pobliżu bramy wejściowej. - Nie dotykałem jej.

Czarna torebka ze skóry strusia.

Alan Lau, wysoki młody technik założył rękawiczki i przetrząsnął torebkę. Puderniczka, pomadka - również marki Margaret Astor; na ten widok Petrze zadrżał żołądek. Trochę monet luzem, czarny portfel, także ze skóry strusia. W portfelu karty kredytowe, niektóre wystawione na nazwisko Lisa Ramsey, inne na Lisę Boehlinger. Kalifornijskie prawo jazdy ze zdjęciem pięknej blondynki. Lisa Lee Ramsey. Data urodzenia. Dwadzieścia siedem lat. Sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, pięćdziesiąt dwa kilo; wymiary pasowały do zwłok. Adres na Doheny Drive - mieszkanie, Beverly Hills. Żadnych banknotów.

- Opróżniona i porzucona - oceniła Petra. - Rabunek albo ktoś chciał, żeby tak wyglądało.

Stu nie skomentował, tylko ponownie skierował się do samochodu. Lau przekładał rzeczy ofiary do torby. Petra wróciła do ciała. Susan Rose stała blisko stóp, przykrywając obiektyw aparatu.

- Skończyłam - oświadczyła. - Chcecie, żebym coś jeszcze pstryknęła?

- Może tamte wzgórza - odparła Petra. - Czekamy na ludzi z K-9. Wiele zależy od tego, co znajdą.

Susan wzruszyła ramionami.

- Nieważne, i tak mi zapłacą. - Sięgnęła za dekolt brudnej bluzy, wyjęła naszyjnik i zaczęła się nim bawić.

Gitara wisząca na metalowym łańcuszku. Brawo za intuicję detektyw Connor!

- Grasz gdzieś? - spytała Petra.

Susan spojrzała na nią zakłopotana.

- Ach, to... Nie, nie. Mój chłopak gra w kapeli.

- Jaką muzykę?

- Alternatywę. Słuchasz?

Petra potrząsnęła głową bez uśmiechu.

- Mam drewniane ucho.

Susan skinęła głową.

- Rozumiem cię. Potrafię zanucić melodię, ale nic poza tym.

- Słuchaj - powiedziała Petra. - Jeszcze raz dzięki za identyfikację. Miałaś rację.

- Jasne, że tak. Zresztą, to drobiazg... I tak się szybko dowiedzieliście. - Fotografka

odwróciła się, by odejść.

- Jeszcze jedna sprawa, Susan. Tożsamość ofiary komplikuje wiele spraw. Docenimy, jeśli nie powiesz o niej nikomu, póki nie ustalimy, co powinniśmy przekazać prasie.

Susan obracała w palcach łańcuszek.

- Dobra, ale sądzę, że pismaki i tak się dowiedzą, zanim zdążycie przygotować oświadczenie.

- Prawdopodobnie. Musimy zadziałać natychmiast. Detektyw Bishop dzwoni właśnie do szefostwa po wskazówki. Będziemy musieli zawiadomić Carta Ramseya. Wiesz może, gdzie mieszka?

- W Calabasas - odrzekła Susan.

Petra spojrzała na nią z zaciekawieniem.

Fotografka wzruszyła ramionami.

- Mówili o jego domu w tamtym talk-show. Wiesz, „Styl życia bogatych i sławnych”. Ramseyowie siedzieli w jacuzzi, pili szampana, grali w golfa na własnym polu. Były też wcześniej migawki samej Lisy - w bikini podczas wyborów królowej piękności, a potem pojawiła się poturbowana, z podbitym okiem i pękniętą wargą. Rozumiesz, obrazki przed incydem i po nim.

- Królowa piękności - powiedziała Petra.

- Tak, miss czegoś tam. Umiała grać na saksofonie. Popatrz, dokąd zaprowadził ją talent i uroda... O, są psy.

*

Dwóch policjantów z K-9, jeden z owczarkiem niemieckim, drugi z czekoladowym labradorem, odbyło krótką rozmowę ze Stu, po czym wspięło się na wzniesienie nad parkingiem.

Kapitan Schoelkopf był akurat na zebraniu w Parker Center, jednak Stu zdołał się z nim połączyć. Kiedy szef poznał tożsamość ofiary, obrzucił swego rozmówcę stekiem błuźnierstw, zakończonym ostrzeżeniem, żeby nie „spie...” sprawy (skrócony przekład Stu). Doheny Drive leżało na jurysdykcyjnym pograniczu, przecinały się tu kompetencje trzech departamentów policji - Los Angeles, Beverly Hills i Zachodniego Hollywood. Do mieszkania Lisy wysłano mundurowych, którzy zatrzymali pracującą tam służącą. Ponieważ Stu i Petra nie uzyskali informacji o innych krewnych, mieli się najpierw udać do Calabasas, by powiadomić byłego męża o śmierci.

Teraz obserwowali psy, które krążyły po terenie i węszyły, metodycznie wspinając się na

wzgórze, ku obszarowi drzewiastemu, gęsto porośniętego cedrami, platanami i sosnami; drzewa rosły wśród ogromnych głazów. W połowie wzniesienia ciągnęło się kamienne pasmo. Na niektórych skałach wymalowano graffiti, większość była wypolerowana i wygładzona przez wiatr i deszcz. Labrador biegł z przodu, lecz oba psy poruszały się szybko, jeden z lewej, drugi z prawej strony.

„Cóż mogą tam znaleźć?” - zastanowiła się Petra. Chyba nic ciekawego. W Griffith Park mieszały się zapewne setki ludzkich zapachów. Z tego samego powodu nie warto było badać śladów opon na parkingu. Asfalt był gigantycznym malowidłem chaotycznie przeplatających się pasów czarnej gumy.

Wkrótce skierują się do Calabasas. Terytorium szeryfa. Fakt ten dodatkowo komplikował sprawę.

Cart Ramsey. Też nazwisko... Na pewno pseudonim. Naprawdę facet pewnie nazywa się na przykład Ernie Glutz, co nie pasuje do wizerunku nieustraszonego mściciela.

Petra rzadko oglądała telewizję, była jednak przekonana, że Ramsey pojawiał się na antenie od lat. Nigdy nie stał się szczególnie sławny, lecz chyba pracował dość intensywnie.

Z wyglądu wydawał się typem sympatycznym i uprzejmym. Czy był zdolny do tego rodzaju brutalności? Czy każdy mężczyzna - w odpowiednich okolicznościach - był do niej zdolny?

Ojciec powiedział jej kiedyś, że fałszywe jest twierdzenie, jakoby wyłącznie istoty ludzkie dopuszczały się morderstw. Szympany i inne naczelne też czasami zabijają, najczęściej po to, by dominować, jednakże niekiedy bez wyraźnych powodów. Cóż, czy zatem krwawe zabójstwo należy uznać za zachowanie patologiczne czy też jedynie za atawistyczny odruch, doprowadzony do skrajności?

Banalne pytanie. Jałowe rozważania, by zabić czymś czas. „Intelektualne blubry”, jak mawiał brat Petry, Bruce. Choć nie najstarszy z Connorów, był największy, najsilniejszy i najbardziej agresywny. Obecnie inżynier elektronik, pracował dla NASA na Florydzie. Uważał, że wszystko, czego nie da się zmierzyć za pomocą urządzeń, to zabobony.

Kiedy Petra w końcu zwierzyła się rodzinie, że została policjantką, Dick, Erie i Glenn byli oszołomieni. Wymamrotali gratulacje i nakazali jej ostrożność. Bruce zaś powiedział: „Świetnie. Wyjdź na ulicę i zabij w moim imieniu paru sukinsynów”.

Policjant z owczarkiem wyszedł przed kamienne pasmo i zawołał:

- Chodźcie tu i rzućcie na coś okiem.

Natura ułożyła skały w kształt zwartej litery „U”. W środku znajdowało się coś w rodzaju pozbawionej sklepienia jaskini. Głazy były wysokie - miały jakieś dwa, dwa i pół metra - a w miejscach, gdzie łączyły się ze sobą, znajdowały się niewidoczne z dołu rozpadliny. Petra stojąc w „jaskini” wyraźnie dostrzegała przez nie parking.

Idealny punkt obserwacyjny.

I najprawdopodobniej był tu obserwator. Niedawno.

Podłoże „jaskini” usłane było grubą warstwą liści. Petra nie była traperem, lecz nawet ona zauważyła odcisk w kształcie ludzkiego ciała. W pobliżu leżał kawałek pomarszczonego żółtego papieru, pociemniałego do brązowej półprzezroczystości w miejscach nasączonych tłuszczem.

Opakowanie po jedzeniu. Kruszynki czegoś, co wyglądało jak mielona wołowina.

W odległości kilku centymetrów od papieru owczarek wywachał wśród suchych liści lekko zwiędnięte kawałki poszatkowanej sałaty.

Petra powąchała opakowanie. Sos chili. Pikantna kolacja z ubiegłego wieczoru?

Nagle pies ruszył szaleńczo do przodu ku jednemu z narożników skalnej formacji. Stu zawołał technika i kazał mu sprawdzić miejsce.

- Prawdopodobnie mocz - powiedział opiekun owczarka. - Pies zachowuje się w ten sposób, gdy zwącha ludzkie wydzieliny.

Przyszedł Alan Lau. Petra zauważyła, że mężczyzna nerwowo porusza rękoma.

Kilka minut później polowy zestaw analityczny potwierdził podejrzenia.

- Mocz. Na tych liściach.

- Ludzki?

- Ludzki albo małpi - odparł Lau.

- No cóż - stwierdził Stu. - Stawiam na *homo sapiens*. Chyba, że jakiś szympanś uciekł z ZOO i kupił sobie kolację.

Lau zmarszczył brwi.

- Prawdopodobnie masz rację. Co jeszcze mogę dla was zrobić?

- Jakies inne płyny?

- Jak krew?

- Cokolwiek, Alanie.

Lau wzdrygnął się.

- Chyba nie.

- Sprawdź to dokładnie, proszę.

Lau wrócił do wycierania, odkurzania i badania. Susan Rose wezwano ponownie, by

zrobiła zdjęcia skał. Petra również je naszkicowała, potem odeszła.

Wszyscy kontynuowali poszukiwania, ale następnego odkrycia dokonała sama.

Sześć metrów ponad skałami.

Wprawdzie przeszukano już ten teren, lecz psy przeoczyły jakiś przedmiot w połowie zagrzebany wśród liści i sosnowych igieł. Przebłysk koloru pod zielenią i brązem.

Czerwień. Na początku Petra pomyślała: „Znowu krew”, potem jednak schyliła się i przyjrzała znalezisku. Rozejrzała się za Stu.

Stał z tyłu samochodu i rozmawiał przez telefon komórkowy - maleńkie cacko, które dał mu na Gwiazdkę ojciec, emerytowany chirurg-okulista. Petra skinęła na Laua. Obejrzał teren wokół czerwonego obiektu i niczego nie znalazł. Susan zrobiła zdjęcia. Gdy oboje odeszli, Petra założyła rękawiczki i podniosła przedmiot.

Książka. Gruba, ciężka, w twardej oprawie i dodatkowej plastikowej owijce. Na grzbiecie numer biblioteczny.

Nasi prezydenci: Marsz amerykańskiej historii.

Petra otworzyła książkę. Biblioteka publiczna w Los Angeles, filia Hillhurst, okręg Los Feliz.

Karta nadal tkwiła w kieszonce. Niewiele osób wypożyczyło książkę. Siedem pieczętek przez cztery lata, ostatnio dziewięć miesięcy temu.

Ukradzona? Wycofana z obiegu? Petra wiedziała, że biblioteki przez cały czas pozbywają się zbiorów, ponieważ w okresie swego artystycznego biedowania zapępiała półki takimi książkowymi odrzutami.

Przewróciła kilka stron. Nie było pieczętki poświadczającej wycofanie z obiegu, fakt ten jednakże o niczym nie świadczył.

Umysł Petry pracował na pełnych obrotach. Czyżby jakiś zainteresowany amerykańską historią bezdomny znalazł sobie przytulną, naturalną kryjówkę, w której czytał, jadł *taco* i sikał? A przy okazji stał się świadkiem morderstwa?

Ponieważ jednak książka nie była zatłuszczona, Petra pomyślała że może nie istnieje związek między tomem i osobą, która pomieszkiwała za skałami w kształcie litery „U”.

Albo może pan Taco był czyścioszkiem?

Nawet jeśli książka należała do niego, cóż... Nie wiadomo, czy znajdował się tutaj akurat podczas zabójstwa dokonanego na Lisie Ramsey.

A jednak... mocz był świeży. Zdaniem Laua miał najwyżej dwanaście godzin, doktor Leavitt zaś ocenił, że morderstwa dokonano między północą a czwartą nad ranem.

Świadek albo sam morderca? Potwór ze Wzgórz, ukrywający się za skałami w

oczekiwaniu na idealną ofiarę?

Susan Rose logicznie założyła, że głównym podejrzanym jest Ramsey - facet, który pobił własną żonę, Petra musiała wszakże rozważyć również inne możliwości.

Z jakiego jednak powodu Lisa Boehlinger-Ramsey znalazła się w nocy w Griffith Park? I gdzie został jej samochód? Ukradzono go? Czyżby mimo wszystko motywem był napad rabunkowy?

Czy tak rozwścieczony zabójca w ogóle potrzebował motywu?

Zbrodnia szaleńca? Dlaczego w takim razie zniknęły pieniądze, a została biżuteria?

Poszczególne fakty kompletnie do siebie nie pasowały. Przede wszystkim Petra nie potrafiła zrozumieć, po co taka kobieta jak Lisa idzie sama do parku o tej godzinie, w pełnym makijażu, biżuterii i skąpej czarnej sukience.

Musiała wracać z randki i zboczyła do parku. Albo ktoś ją tu ściągnął. W jakim celu? Kto? Jakaś poufna sprawa?

Kupowała narkotyki? W Los Angeles istniały setki łatwiejszych sposobów zdobycia narkotyków.

Randka z mordercą? Czy przywiózł ją tutaj z rozmysłem?

Jeśli Lisa umówiła się w mieście z mężczyzną, może ktoś ich razem widział.

Jedno było pewne: Lisa z pewnością nie wybrała się na randkę z samotnikiem, który czyta stare książki, jada *tacos* i sika za skałami.

Mieszkańcem „jaskini” prawie na pewno był ktoś bezdomny.

Nowoczesny jaskiniowiec, który ogradza sobie mieszkancko za skałami i oznacza teren?

Tak czy owak, z tego miejsca doskonale było widać zbrodnię.

A może facet posikał się ze strachu?

Na widok morderstwa.

W takim razie... podglądając przez szczeliny między skałami, widział sprawcę.

Rozdział 7

Już prawie dotarłem. Słońce weszło i czuję się osobliwie obnażony - niczym cel w grze wideo albo małe zwierzątko, które za chwilę zostanie zjedzone.

Jeśli muszę, potrafię iść bardzo długo bez odpoczynku. Odkąd jestem w Los Angeles, głównie chodzę.

Autobus wysadził mnie na gwałnym i zatłoczonym dworcu. Na zewnątrz niebo miało dziwny kolor brązowawej szarości a powietrze pachniało lepiej. Nie miałem pojęcia, w którą stronę się zwrócić. W jednym kierunku dostrzegłem budynki, które wyglądały na fabryki, słupy wysokiego napięcia, ciężarówki jadące w tę i z powrotem. Ludzie szli w przeciwną stronę, więc poszedłem za nimi.

Otoczył mnie hałas ulicy, wszyscy przechodnie patrzyli prosto przed siebie. Alejki rozdzielające ciąg budynków zastawione były koszami na śmieci, pod ścianami zaś siedzieli faceci o osobliwym wyglądzie. Niektórzy z nich obrzucali mnie przeszywającymi, lodowatymi spojrzzeniami. Przeszedłem trzy przecznice, zanim zorientowałem się, że ktoś za mną idzie. Wyglądał na kompletnego pomyłęńca; głowę miał owiniętą szmatami.

Zobaczył, że go dostrzegłem i przyspieszył. Rzuciłem się do ucieczki i wmieszałem się w tłum. Czułem, jak pieniądze w moich szortach podskakują, ale starałem się ich nie dotykać ani nawet na nie nie patrzeć, by nie prowokować dodatkowo prześladowcy. Wszyscy przechodnie byli wyżsi ode mnie, więc nie widziałem, co się dzieje przede mną. Ciągłe się przepychałem, mówiąc: „Przepraszam, przepraszam” i w końcu, dwie przecznice dalej, natręt zrezygnował z pogoni i zawrócił.

Serce biło mi jak oszalałe. Usta miałem spierzchnięte. Ludzie tłoczyli się na chodniku, przeważnie Meksykanie albo Chińczycy. Niektóre szyldy na restauracjach były po hiszpańsku, a jedno ogromne kino ze złotymi wolutami nad nazwą grało film pod tytułem *Mi Vida, Mi Amor*. Mnóstwo facetów sprzedawało lody owocowe, *churros* i hot-dogi z wózków. Poczujęm, że cieknie mi ślinka i zacząłem podejrzewać, że śnię albo może trafiłem do jakiegoś obcego kraju.

Szedłem i szedłem, aż znalazłem ulicę, gdzie budynki były czystsze i nowsze. Najprzyjemniej wyglądający budynek nosił nazwę College Club. Powiewały przed nimi flagi - amerykańska i kalifornijska. Przed wejściem stał z założonymi rękami rumiany facet w szarym mundurze i kapeluszu. Kiedy przechodziłem, odwrócił wzrok, jakbym pierdnął albo zachował się nieuprzejmie. Potem do krawężnika podjechał długi czarny samochód a mężczyzna niespodziewanie okazał się odźwiernym, pospieszył do drzwiczek, otworzył je i zapytał białowłosego faceta w błękitnym garniturze: „Jak się pan dziś miewa?”

Dotarłem do niewielkiego parku, który wyglądał dość sympatycznie. Była tam fontanna i kolorowe posągi. Jednak kiedy zbliżyłem się, zobaczyłem, że ławki zajmują najdziwniejsi faceci, jakich w życiu widziałem. Tuż obok znajdował się budynek o nazwie Muzeum Dzieci, lecz nie wchodziły tam żadne dzieciaki. Choć byłem zmęczony, głodny i spragniony, nie chciałem wydawać więcej „tamponowych” pieniędzy, póki nie będę miał jakiegoś planu.

Usiadłem w rogu trawnika i zastanowiłem się, co robić.

Przyjechałem do Los Angeles, ponieważ było najbliższym miastem, jakie znałem, ale tak naprawdę słyszałem tylko o Anaheim, gdzie znajduje się Disneyland, oraz o Beverly Hills, Hollywood i Malibu. Anaheim leżało prawdopodobnie daleko stąd; zresztą, cóż tam znajdę poza Disneylandem? Widziałem program telewizyjny o Hollywood, z którego wynikało, że dzieci przyjeżdżają do tej dzielnicy w poszukiwaniu gwiazd filmowych i pakują się w tarapaty. W Beverly Hills mieszkali bogacze. Już ze spojrzenia faceta w szarym mundurze wywnioskowałem, że nie będę tam bezpieczny.

Pozostaje Malibu, to jednak głównie plaża, na której nie sposób się ukryć.

Może powinienem jednak ruszyć w stronę Hollywood. Nie sądziłem - jak większość dzieci - że życie jest filmem. Chciałem jedynie, by mnie zostawiono w spokoju i żeby nikt nie wpychał mi członka między nożyce do cięcia drutu.

Siedziałem w bezruchu przez długi czas, rozmyślając nad tym, jakim szaleństwem była moja ucieczka. Gdzie będę mieszkał? Co będę jadł? Gdzie będę spał? Teraz było ciepło, ale co się ze mną stanie w zimie?

Na powrót jednak było już za późno. Mama z pewnością odkryła brak pieniędzy i uznała mnie za złodzieja. A Baran... Na samą myśl o nim dostałem skurczu żołądka. Przyszło mi do głowy, że wszyscy wokół gapią się na mnie, lecz kiedy się rozejrzałem, nikogo takiego nie zauważyłem. Usta miałem znowu wyschnięte na papier ścierny, w oczach czułem piasek; mruganie sprawiało mi ból.

Wstałem z postanowieniem, że po prostu ruszę przed siebie. Nagle zobaczyłem parę idącą przez park. Trzymali się za ręce. Facet i dziewczyna w dżinsach, mieli po dwadzieścia, góra dwadzieścia pięć lat i długie włosy. Wyglądali na niegroźnych.

- Przepraszam - odezwałem się do nich, uśmiechnąłem, po czym spytałem, gdzie leży Hollywood i - na wszelki wypadek - Malibu.

- Malibu, uhu... - mruknął facet. Miał kędzierzawą krótką bródkę i włosy dłuższe niż dziewczyna.

- Moi rodzice są tam - wyjaśniłem, wskazując na muzeum. - Zabrali do środka mojego małego brata, ale ja sobie pomyślałem, że tam będzie strasznie nudno. Obiecali, że później zabiorą mnie na plażę w Malibu i do Hollywood, jeśli zdołają znaleźć do nich drogę.

- Skąd jesteś? - spytała dziewczyna.

- Kinderhook w stanie Nowy Jork. - Pierwsze słowa, jakie przyszły mi do głowy.

- Och. No cóż, Hollyświrowo leży około ośmiu, dziesięciu kilometrów w tamtą stronę... na zachód. Plaża w tym samym kierunku, jeszcze ze dwadzieścia kilka kilometrów dalej,

Kinderhook, co? To małe miasteczko?

- Aha. - Nie miałem pojęcia. Wiedziałem jedynie, że urodził się tam Martin van Buren.

- Mieszkasz na farmie?

- Właściwie nie. Mieszkamy w domu.

- Och. - Znowu się uśmiechnęła, jeszcze szerzej i popatrzyła na faceta. Wydawał się znudzony. - Wiesz co? Uprzedź swoich rodziców, że Hollyświrowo to naprawdę okropne miejsce. Spotkacie tam wszelkie typy dziwolągów. Bądźcie Ostrożni, dobra? W dzień, jeśli będziesz z rodzicami, nic ci nie grozi. Gorzej w nocy. No nie, Chuck?

- Zgadza się - odrzekł Chuck, gładząc bródkę. - Jeśli tam dotrzesz, mały, wejdź do Muzeum Figur Woskowych na bulwarze Hollywood. Jest całkiem fajne. I Chiński Teatr. Słyszałeś kiedyś o nim?

- Jasne - powiedziałem. - Na chodniku przed nim gwiazdy filmowe zostawiają odciski swoich dłoni i stóp w cemencie.

- Tak - przyznał facet ze śmiechem. - A umysły w rynsztoku.

Roześmiali się i ruszyli dalej.

Gdy wsiadłem do autobusu, kierowca powiedział mi, że muszę rozmiąć pieniądze, więc wysiadłem i kupiłem limonowego rożka lodowego. Dobrze zrobiłem, ponieważ dzięki temu ugasiłem pragnienie, a w ustach zrobiło mi się słodko. Pół godziny później przyjechał kolejny autobus. Miałem już potrzebne monety i ze spokojem wyruszyłem w podróż.

Autobus wiele razy się zatrzymywał i jechał powoli, gdyż na ulicach panował duży ruch. Gdy kierowca krzyknął w końcu: „Bulwar Hollywood”, dostrzegłem przez ciemne okna autobusowe szarawo-różowe niebo.

Otoczenie nie bardzo się różniło od miejsca, z którego przyjechałem: stare budynki z tandetnymi sklepami i kinami. Ten sam hałas. Fale niekończącego się hałasu. Watson też miało swoje dźwięki - szczekanie psów, dudnienie ciężarówek na autostradzie, wrzaski zdenerwowanych ludzi - jednak tam można było od siebie oddzielić poszczególne odgłosy. Tu, w Los Angeles słyszałem tylko jeden wielki szum i jazgot.

Po parkingu przyczep mogłem chodzić nocami i zaglądać w okna. Widziałem nawet ludzi uprawiających seks - nie tylko młodych, także starych o białych włosach i zwiotczalej skórze. Poruszali się pod kocami; mieli zamknięte oczy i otwarte usta, ściskali się tak mocno, jakby mieli lada moment utonąć. Znałem też miejsca w lasku, gdzie zawsze panował spokój.

W Hollywood raczej nie znajdę spokoju, ale trudno, teraz byłem właśnie tu.

Ruszyłem bulwarem Hollywood, wypatrując dziwolągów, przed którymi ostrzegł mnie Chuck. Nie miałem co prawda pojęcia, jak ich rozpoznać. Widziałem dużą, wysoką kobietę z

ogromnymi dłońmi (później zrozumiałem, że jest to przebrany za kobietę mężczyzna), nastolatków z irokezami na głowach i ustami pomalowanymi czarną szminką, pijaków (niektórzy pchali przed sobą wózki z rupieciami), ludzi czarnoskórych, brązowskórych, Chińczyków i innych. Restauracje oferowały dania, o których nigdy nie słyszałem, takie jak *gyros*, *shwarmę* i *oki-dogi*. W sklepach sprzedawano ubrania, kostiumy, maski, upominki, niespodzianki, fantazyjną bieliznę dla dziewcząt...

Minąłem mnóstwo barów. Przed jednym z nich, o nazwie „Jaskinia”, parkowały rzędy harleyów i kręcili się potężni i brzydcy faceci, ubrani jak Baran-Moran. Na ich widok żołądek podskoczył mi do gardła. Ruszyłem dalej naprawdę szybko.

Zauważyłem budkę z hamburgerami, która wyglądała normalnie, lecz facet wewnątrz okazał się Chińczykiem. Nawet nie podniósł na mnie oczu. W jednej ręce trzymał usmażonego kotleta. Jego twarz była na wpół zakryta przez dym i parę.

Dwa dolary czterdzieści pięć centów za hamburgera! Nie mogłem wydać ani centa, zanim nie opracuję planu działania, ale wziąłem sobie kilka torebek keczupu, które leżały na ladzie. Obszedłem budynek, otworzyłem je i wyssałem keczup, potem ruszyłem dalej ulicą o nazwie Zachodnia Aleja. Skręciłem w prawo, gdy zobaczyłem w oddali góry.

Ruszyłem w ich stronę. Minąłem kino porno, przed którym wisiało mnóstwo plakatów blondyn o dużych, otwartych ustach, a później jakieś straszliwie brudne budynki z oknami zabitymi deskami. Widziałem kobiety w króciutkich szortach. Rozmawiały w budkach telefonicznych, podawały sobie papierosy. Obok stali faceci i palili. Góry były ładne. Słońce zaszło już za jeden ze szczytów, oświetlając go żółto-pomarańczową łuną, która wyglądała jak kapelusz ze stopionej miedzi.

Przecznicę dalej musiałem przejść na drugą stronę, bo banda nastolatków śmiała się i wskazywała na mnie palcami. Przeszedłem kolejną aleję. Nie dostrzegłem tu żadnych pijanych dziwaków, tylko mnóstwo pojemników na śmieci przed tylnymi drzwiami sklepów i restauracji. Spocony tłusty facet w poplamionym białym fartuchu wyszedł z lokalu o nazwie „La Fiesta”. W rękach trzymał stosy chleba opakowanego w plastik. Wrzucił wszystko do śmietnika i wrócił do wnętrza.

Czekałem, aż wróci, ale już się nie pojawił. Rozejrzałem się, czy nikt mnie nie obserwuje i podszedłem do śmietnika. By zajrzeć do środka, musiałem stanąć na tekturowym pudle, które nie wydawało się zbyt solidne, i odgonić muchy. Strasznie cuchnęło. Chleb tkwił na stosie zgniłych warzyw z brązowymi obwódkami, mokrych papierów, kawałków mięsa, kości i grud surowego białego tłuszczu. Małe białe robaki pełzały po mięsie, które śmierdziało gorzej niż martwy pies. Chleb jednakże wyglądał na czysty.

Bułki na hot-dogi, ciągle szczelnie zapakowane. Prawdopodobnie czerstwe. Kiedy ludzie idą do restauracji, chcą mieć wszystko superświeże. Pewnego dnia - tylko jeden raz - mama. Baran i ja pojechaliliśmy do restauracji w Bolsa Chica. Nazywała się „U Denny'ego”. Pamiętam, że Baran odesłał smażonego kurczaka, mówiąc, że smakuje jak „przegrzane gówno”. Kelnerka wezwała kierownika, który oświadczył Baranowi-Moranowi, że nie życzy sobie w swoim lokalu takich wyrażen. Baran wstał, aby pokazać kierownikowi, że jest od niego wyższy. Mama trzymała go za ramię i powtarzała: „Przestań, kowboju, przestań”. W końcu kierownik zgodził się dać nam jedzenie za darmo, jeśli natychmiast opuścimy restaurację.

Sięgnąłem do śmietnika i chwyciłem dwie paczki z bułkami. Pobrudziłem sobie przy tym podkoszulek i prawie wpadłem do środka.

Ale miałem bułki. Były czyste. Rozejrzałem się jeszcze raz, a następnie wszedłem głębiej w alejkę, znalazłem zaciemnione miejsce między dwoma innymi śmietnikami, rozdarłem pierwszą paczkę i wgrzyłem się w bułkę.

Rzeczywiście była czerstwa, lecz zmiękczałem ją śliną i przy trzecim kęsie zaczęła smakować słodko. Potem wrócił do mnie zapach śmieci i zacząłem się dławić.

Wstałem, pochodziłem trochę, zrobiłem parę głębokich wdechów i wmówiłem sobie, że smród istnieje tylko w mojej wyobraźni. Później udawałem, że bułki są domowej roboty i trafiły do mnie prosto z pieca, że upiekła je jakaś mama z reklamy telewizyjnej, błyskająca pięknym uśmiechem i żywo zainteresowana sprawami gotowania.

Przez chwilę sztuczka działała. Reszta bułki nie smakowała wprawdzie wybornie, niemniej jednak przełknąłem ją. Gdy skończyłem, ponownie ruszyłem ku góróm.

Wspinałem się. Droga stawała się coraz bardziej stroma. Mijałem posesję za posesją. Skoszone trawniki, setki gatunków drzew, krzewów i kwiatów, poza tym pusto - nie dostrzegłem nikogo. Obecnie, po czterech miesiącach w Los Angeles, zdążyłem się przyzwyczaić do tego, że miejscowi lubią przebywać w swoich domach. Ci, którzy kręcą się na ulicy po zmroku, są podejrzani.

Wyżej Zachodnia Aleja wyginała się i skręcała w ulicę o nazwie Los Feliz. Stojące tu domy były naprawdę ogromne, posiadłości otoczone wysokimi murami z ozdobnymi metalowymi bramami, ogrody porośnięte sosnami i palmami. Pewnie mieszkały tu gwiazdy filmowe.

Góry ciągle jeszcze leżały daleko przede mną, przed nimi zaś rozciągał się spory obszar czystozielonej trawy. Kilka osób leżało tu na kocach; niektórzy spali, mimo hałasu ulicznego. Za trawą dostrzegłem niekończący się las drzew.

Park.

Czekałem, aż samochody przejadą i przebiegłem ulicę.

Napis głosił: „GRIFFITH PARK”.

Jedyny park w Watson był małym wyschniętym kwadratem w środku miasta, z jedną ławką, starym działem i mosiężną tablicą poświęconą pamięci tych, którzy polegli na wojnach. Ten był zupełnie inny. Ogromny. Łatwo można się było w nim zgubić.

Rozdział 8

- Interesujące - mruknął Stu, słuchając o książce z biblioteki. Jego głos jednak zdradzał rozkojarzenie.

Schował telefon do kieszeni.

- Mundurowi z Zachodniego Los Angeles mają służącą Lisy Ramsey. To nie Beverly Hills, ale kilka przecznic stąd. W niedzielę służąca miała wolne, właśnie wróciła. Twierdzi, że Lisa nie spała w domu. Jej porsche nie stoi w garażu, więc najwyraźniej przyjechała gdzieś tutaj sama, została porwana albo spotkała się z zabójcą i przesiadła do jego auta. Mamy pojechać zawiadomić Ramseya w Calabasas, potem przesłuchać służącą. Nie było go w studiu, a zgodnie z regulaminem musimy zawiadomić go osobiście. Ramsey mieszka w jednym z luksusowych kompleksów mieszkalnych, otoczonych płotem i strzeżonych. Mam adres.

Ruszyli do białego forda. Tego dnia prowadził Stu.

- Calabasas to rewir ludzi szeryfa - zauważyła Petra, kiedy Stu uruchomił silnik. Jechał powoli. Jak zwykle. Wolniej niż jakikolwiek inny znany jej policjant.

- Tak, tępaków w jasnobrązowych koszulach - przyznał. - Schoelkopf zadzwonił do szeryfa na posterunek w Malibu, aby ustalić zasady postępowania w tej sprawie, ale ponieważ chodzi o paragraf 187, powiadomiono tych z wydziału zabójstw przy biurze szeryfa. Teoretycznie sprawą mamy się zająć my, ale ktoś z tamtych ma być obecny przy powiadomieniu, ponieważ dom Ramseya leży na ich terenie. Chcą wiedzieć, co się dzieje. Dwóch śledczych od szeryfa spotka się z nami przed bramą wjazdową.

- Daleka droga, z centrum do Calabasas - stwierdziła Petra. - Wydaje im się, że poprowadzą to dochodzenie?

- Kto wie? Może nam jakoś pomogą.

- Na przykład zdobędą informacje o aktach rodzinnej przemocy dokonanych przez Ramseya?

- Może. Albo o czymś innym.

Kiedy wjechali na część drogi między parkiem i autostradą numer pięć, Stu mruknął:

- Schoelkopf palnął mi wykład, jakiego nie słyszałem od czasu szkoły policyjnej: „Nie wchodzić bez pozwolenia, nie przeskakuj przez ogrodzenie, traktuj faceta uprzejmie, jako pogrążonego w smutku eks-małżonka, nie zaś jako podejrzanego. Nigdzie nie szperaj, nie idź nawet do kibla, jeśli miałyby to zostać odebrane jako próba nielegalnej rewizji. Nie zadawaj mu pytań, które mógłby odebrać jako obciążające, ponieważ wtedy trzeba będzie faceta przepraszać. Ani jednej aluzji, że go podejrzewamy”.

- A co z taśmą telewizyjną?

- Na razie nici. Nie możemy jej zarekwirować, bo facet się zorientuje, że mamy go na celowniku.

- Daj spokój. Ten program nadano na cały kraj - obruszyła się Petra.

Stu wzruszył ramionami.

- Kiedy przystąpimy do prawdziwego śledztwa? - spytała.

- Kiedy będziemy wiedzieli więcej.

- Tyle że nie wolno nam szukać.

Stu posłał jej nieznaczny uśmiezek.

- Tak wiele zachodu, bo Ramsey jest telewizyjną szychą? - zapytała.

- Witaj w prawdziwym świecie. Jak ja kocham tę pracę!

Niedawno jeszcze faktycznie ją kochał. Co się zmieniło?

Stu wjechał na autostradę prowadzącą na północ. Półtora kilometra później Petra zagadnęła go.

- A książka i opakowanie po jedzeniu? Mówimy o potencjalnym świadku.

- Jeśli rzeczywiście ktoś jadł i... albo przypadkowo czytał coś dokładnie w momencie zamordowania Lisy... Cóż, moja religia każe mi wierzyć w cuda, lecz...

- „I” czy „albo”?

- Może chodzi o dwie różne osoby. A nawet jeśli o jedną, miejsce wskazuje na bezdomnego lub bezdomną. Lau mówił, że odcisk ciała był niewielki.

- Kloszardka - podsumowała Petra.

- Ktokolwiek tu był, nie zawiadomił policji, więc nie wykazał się obywatelską odpowiedzialnością. Nie sądzisz chyba. Że zgłosi się na ochotnika.

- W dodatku wiele kloszardek cierpi na schizofrenię - zauważyła Petra. - Widok

morderstwa jest przerażający dla każdego, lecz dla kogoś, kto ma kłopoty z głową...

Stu nie skomentował tej uwagi. Petra pozwoliła mu jechać przez chwilę w milczeniu, zanim podjęła:

- Myślałam także... wiem, że to mało prawdopodobne... Ale co, jeśli ten, kto był za skafą zabił Lisę?

Jej partner zastanowił się, potem wymienił te same obiekcje, które miała Petra.

- Poza tym - dodał - zgadzam się z twoim pierwszym wrażeniem: te straszne uszkodzenia twarzy, ogromna ilość ciosów, przesada... wskazują na silne emocje, może namiętność. Sądzę, że ofiara знаła sprawcę. Jeśli prawdą jest to, co fotografka Susie powiedziała o Ramseyu... że niby pobił Lisę... Pasowałby idealnie.

- Niestety, nie możemy go traktować jak podejrzanego.

- Możemy go jednak podczas zawiadomienia inteligentnie przepytac, udając przy tym współczujących pracowników służby publicznej. Dlatego cieszę się, że pojedziesz ze mną. Ramsey jest aktorem - kiepskim, bo kiepskim, lecz nawet tacy lepiej potrafią ukrywać swe uczucia niż zwykli ludzie.

- Cóż to ma wspólnego ze mną? - zdziwiła się Petra.

- Nieźle potrafisz rozgryzać ludzi.

„Z wyjątkiem ciebie” - pomyślała.

*

Gdy wjechali na Sto Trzydziestą Czwartą Zachodnią, niemal natychmiast utknęli w korku.

Petra często grzęzła w korkach i fantazjowała wtedy o latających samochodach przyszłości - volkswagenach ze śmigłami, które widywała w starych ojcowskich numerach „Popular Mechanics”.

Siedzenie w aucie doprowadzało ją do szaleństwa i oboje o tym wiedzieli. Stu był opanowanym kierowcą, czasami wręcz nieznośnie spokojnym.

- Moglibyśmy się przebić - zasugerowała.

Wcześniej słyszał z jej ust tę propozycję już ze sto razy. Uśmiechnął się ze znużeniem.

- Moglibyśmy przynajmniej włączyć światła i syrenę - dodała.

- No pewno - odparł, zwiększając obroty stojącego na jałowym biegu samochodu. - Wyciągnijmy spluwy i uturujmy sobie drogę siłą... Dobra, więc twoim zdaniem jak powinniśmy postąpić z Ramseyem?

- Będziemy współczujący, tak jak proponowałeś. Weź chusteczkę dla jego krokodylich

łez.

- Krokodylich - powtórzył. - Ty decydujesz, szefowo.

- Gdyby mormoni uprawiali hazard, co zrobiłbyś z pieniędzmi?

Pokiwał pobłaźliwie głową, wlepił wzrok w boczną szybę i powstrzymał ziewnięcie. Ruszyli i przejechali czterysta metrów, po czym ponownie się zatrzymali. Petra mocno przetarła powieki i przed jej oczyma pojawiły się bliźniacze kolorowe kalejdoskopy. Zaczynała ją boleć głowa. Postanowiła, że musi nauczyć się lepiej radzić sobie z frustracją.

- Przez te wszystkie lata pracy w Hollywood - zadumał się Stu - nigdy nie prowadziłem sprawy o morderstwo jakiejś znanej osobistości. Najbliższy tego określenia był pewien stary facet, Alphonse Dortmund. Niemiecki emigrant, aktor charakterystyczny, grywał nazistów w filmach o drugiej wojnie światowej. Uduszono go w jego własnym mieszkaniu na Gower. Straszliwa nora. Nie pracował od lat, pił, okropnie się zaniedbał. Mundurowi, których powiadomiono o dochodzącym z mieszkania fetorze, znaleźli go w łóżku przywiązanego... związanego niczym wieprz. Skomplikowane węzły. I lina dokoła szyi.

- Samobójstwo?

- Początkowo tak właśnie sądziłem, jednak myliłem się. Nie zrobił tego sam. Okazało się, że poderwał piętnastolatka na Bulwarze, pokazał mu, jak ma go związać. Dzieciak pociągnął za mocno, udusił starego i splądrował mieszkanie.

- Jak złapałeś dzieciaka?

- Zgadnij.

- Przechwalał się?

- Każdemu, kogo spotkał. Mój ówczesny partner, Chick Reilly, i ja chodziliśmy po lokalach, rozmawialiśmy z ludźmi i dosłownie wszyscy wiedzieli, co się zdarzyło. Czuliśmy się jak wieśniacy, którzy właśnie przyjechali do miasta. - Roześmiał się. - Dziękujmy Bogu, że większość z przestępców to idioci.

- Ciekawe, jak bystry jest Ramsey - rzuciła Petra. - Z jakiegoś szczególnego powodu jest w domu, a nie w biurze?

- Myślisz, że już stchórzył? Nie, absolutnie nie możemy tego zakładać. Po prostu nie kręci w tej chwili. Nagrywa z dużym wyprzedzeniem. Jego programy zajmują stopy kaset.

- Wszystkie programy nagrywa się w ten sposób?

- Wszystkie ważniejsze - odparł Stu. - Ramsey może sobie w tym czasie grać w tenisa, moczyć się w *jacuzzi* albo polecieć czarterowym samolotem na południe Francji.

- Całkiem niezły pomysł.

- Rzeczywiście. Jezu, może rzeczywiście powinniśmy wyjąć broń i utorować sobie drogę,

by wyjść z tego cholernego korka.

*

Czterdzieści pięć minut później wyjechali z autostrady na Calabasas Road i skręcili na północ, w góry Santa Susanna. Na łagodnych, falistych wzniesieniach rosły dęby, które z trudem przetrwały cywilizacyjny postęp. Drzewa były bardzo wrażliwe, źle reagowały na nadmiar wody i nawadnianie terenu zabiło ich setki, zanim ktoś zauważył, że umierają i nakazał ich ochronę.

Petra wiedziała, że w tym rejonie szalały także pożary. Ogień łatwo zajmował suche zarośla i gałęzie drzew, pożerając duże otynkowane na odcień wanilii luksusowe rezydencje w stylu retro-hiszpańskim, typowe dla okolicy San Fernando Valley. Mimo że ich mieszkańcom nie brakowało pieniędzy, domy były „retro” i niewiele więcej można by o nich powiedzieć.

Mijali jedną posesję za drugą; wiele budynków stało za wymyślnie zdobionymi ogrodzeniami. Obok domów ciągnęły się bliźniaczo podobne do siebie wybiegi dla koni, małe korrale wzdłuż kortów tenisowych, stawy z wodospadami i baseny pływackie. Tutejsze powietrze pachniało przyjemnie, parcele były ogromne, a im dalej od autostrady, tym większy panował spokój. Petra wiedziała jednak, że nie mieszkałoby się jej dobrze w tej dzielnicy. Zbyt daleko od księgarni, teatrów, muzeów, od całej - skromnej co prawda - kulturalnej oferty Los Angeles. Poza tym było tu zbyt cicho. Petra czułaby się odcięta od pulsu miasta.

Nie wspominając o dojazdach - codzienne wykreślone z życiorysu dwie godziny, podczas których rozmyślałaby i wpatrywała się w białe linie na drodze Sto Trzydziestej Czwartej.

Calabasas było popularne wśród osób, które Petra (w głębi duszy trochę snobka) uważała za bezmyślnych bogaczy: sportowców, gwiazd rocka, niebieskich ptaków, aktorów takich jak Ramsey. Ludzi, którzy mieli dużo wolnego czasu i uwielbiali słońce, nie przejmując się groźbą złośliwego czerniaka.

Petra podejrzewała, że problemy powodował właśnie nadmiar wolnego czasu. Podobno ostatnio biali nastolatki z West Valley zaczęli naśladować gangsterów ze śródmieścia. Czy tutejsze dzieci potrafiły jedynie pakować się w kłopoty?

Kiedyś, w „okresie artystycznym”, Petra czasami fantazjowała nad swoją ewentualną przyszłością, jeśli kiedyś stanie się sławna i bogata... Dwadzieścia tysięcy za płótno, żadnego dorabiania, zero komercji. Co wtedy? Pół roku w Los Angeles, pół roku w Londynie. Oczywiście, nic z tego nie wyszło. Szkicowała i rysowała przez dwanaście godzin dziennie, udając, że wnosi finansowy wkład do małżeństwa z Nickiem. Wciąż powtarzała mężowi, że

jego pensja należy wyłącznie do niego. Jakież to było z jej strony szlachetne! I jakie głupie.

- No to jesteście - przerwał jej rozmyślenia Stu.

Zamknięte osiedle o nazwie „Ranch Haven” leżało na szczycie pagórka, obsianego złotymi makami. Przed nim stała wysoka, kunsztownie wykonana brama na różowych kolumnach. Za kutym żelazem ciągnęły się największe hacjendy, jakie Petra i Stu widzieli w życiu, rozmieszczone rzadko na wieloakrowych parcelach. Nie oznakowany dodge parkował na poboczu drogi, około dwudziestu metrów przed bramą. Natychmiast zorientowali się, że samochód - podobnie jak ich ford - należy do policji.

Zaparkowali za nim. Z auta wysiadło dwóch mężczyzn. Jeden był Latynosem, miał około czterdziestu pięciu lat, nieco ponad sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, był przy kości, z gigantycznym czarnym wąsem i krawatem gęsto usianym ptakami i kwiatami. Jego partner był biały, dużo młodszy, tego samego wzrostu, ponad dziesięć kilo lżejszy, także wąsaty, choć jego wąs był krótko przystrzyżony i żółto-szary. Obaj nosili szare sportowe marynarki, jeden - czarne, drugi zaś granatowe spodnie. Krawat młodszego był wąski i bordowy. Mężczyzna miał sympatycznie chłopięcą, dość przystojną twarz.

Przedstawili się jako de la Torre i Banks. Przywitali się. Miło i przyjaźnie.

- Co się właściwie stało? - spytał de la Torre.

Stu wprowadził ich w sprawę.

- Paskudnie - ocenił Banks.

- Wasz szef nic wam nie powiedział? - spytała Petra.

Banks przecząco pokiwał głową.

- Słyszeliśmy, że została zabita żona Ramseya, ale nikt nie podał nam szczegółów. Polecono nam przyjechać tutaj i czekać na was. Mamy robić dobrą minę do złej gry. Wiemy, że sprawa jest wasza. Chodzi o to, żeby później nie mówiono, że nas tu zabrakło. Gdzie doszło do morderstwa?

- W Griffith Park.

- Rany, akurat byłem z dziewczynkami w ZOO zeszłej niedzieli - mruknął Banks. Wyglądał na zmęczonego i Petra zastanowiła się, jak długo pracuje w wydziale zabójstw.

- Myślicie, że to on? - spytał de la Torre.

- Z naszych informacji wynika, że pobił ją w zeszłym roku, a wkrótce później się rozwiedli - wyjaśnił Stu.

- Ryzykowny wniosek.

- Jedno jest pewne - kontynuował Stu. - Dziewczyny nie zamordował uliczny rabuś. Mnóstwo ran oznacza ogromną wściekłość zabójcy. Ktoś wyjął gotówkę z torebki, lecz

zostawił karty kredytowe i biżuterię. Sądzymy, że Lisa знаła napastnika. Mniej prawdopodobne jest zabójstwo na tle seksualnym. Zabójca odjechał jej samochodem albo przywiózł ją do parku swoim.

- Czym jeździła? - spytał Banks.

- Porsche 911 targa, czteroletnie, czarne. Nie znaleźliśmy go.

- Niektórzy ludzie są zdolni zabić dla takiego auta.

- Może - przyznał Stu. - Ale dźgać dwadzieścia razy dla czterech kółek? Po co się tak trudzić?

Przez kilka sekund panowało milczenie.

- Gotówka, zero biżuterii - zastanowił się de la Torre. - Może ktoś chciał zrobić Ramseya? Widzieliście kiedyś jego program? Ja widziałem. Raz. Cuchnie.

- Warto sprawdzić - odezwała się Petra - czy Ramsey sprawiał tu jakieś problemy.

- Przejrzemy dla was lokalne akta - zaoferował się Banks, posyłając jej krótki zakłopotany uśmiezek.

- Wspaniale.

- Jaki właściwie macie plan? - spytał de la Torre. - To znaczy... Nie chcielibyśmy wam czegoś spieprzyć.

- Doceniamy waszą uprzejmość - stwierdził Stu.

- A zatem?

Stu popatrzył na Petrę.

- Musimy się zachowywać spokojnie - powiedziała. - Nie wolno nam w żaden sposób zasugerować, że go podejrzewamy. Żadnych uprzedzeń, czysta sympatia.

- Ramsey jest aktorem, więc można się spodziewać przedstawienia... Rany, nie kochacie tego miasta? - mruknął Banks. - Okej, będziemy się po prostu trzymać z dala od całej sprawy. Staniemy się uosobieniem dyskrecji. Potrafisz się dostosować, Hectorze?

De la Torre wzruszył ramionami.

- Nie wiem - odparł głosem jak z kreskówki.

- Hector to intelektualista - wyjaśnił Banks. - Ubiegłego lata obronił pracę magisterską i od tej pory uważa, że ma prawo wygłaszać prywatne opinie.

- Tytuł magisterski z czego?

- Komunikacja medialna.

- Pomyślcie, może któregoś dnia przedstawi wiadomości sportowe w telewizji - powiedział Banks. - Albo pogodę. Opowiedz nam o pogodzie, Hectorze.

De la Torre uśmiechnął się dobrodusznie i podniósł wzrok na niebo.

- Wysokie ciśnienie zderzy się z niskim i razem stworzą średnie ciśnienie. Możliwe opady atmosferyczne. Zaś aktorów, którzy biją żony, pogoda może skłonić do morderstwa.

*

Zatrzymali oba pojazdy przy różowej kolumnie. Bramę pokrywała zielona pseudopatyna. Na lewej kolumnie znajdowała się skrzyneczka z głośnikiem i napisem „DOSTAWY”. Sześć metrów za bramą stała wartownia.

Stu wychylił się, wcisnął guzik na skrzynce i powiedział:

- Policja do pana Carta Ramseya.

Umundurowany strażnik wysunął głowę, potem podszedł. Stu pokazał odznakę. Jeszcze zanim brama się otworzyła. Petra wyczytała z zachowania strażnika jego gotowość do współpracy.

- Mogę w czymś pomóc? - spytał. Starszy facet z wydatnym brzuchem, intensywną opalenizną, wieloma zmarszczkami i pofarbowanymi na ciemny blond włosami. Krótkofalówka i pałka, żadnej broni palnej.

- Musimy porozmawiać z panem Ramseyem - odrzekł Stu. - Prywatnie. Na pewno rozumie pan jak bardzo pan Ramsey i jego sąsiedzi cenią sobie prywatność.

Strażnik otworzył szeroko oczy.

- No jasne.

- A zatem, możemy na panu polegać, panie... Dillbeck. Zachowa pan dyskrecję?

- Pewnie, pewnie... Mam go uprzedzić, że do niego jedziecie? Zwykle tak właśnie postępujemy.

- Nie, nie, dziękujemy - stwierdził Stu. - Wręcz proszę tego nie robić. Niech mi pan powie, czy pan Ramsey wjeżdżał dzisiaj do „Ranch Haven”? A może opuszczał teren?

- Nie podczas mojej zmiany. Jestem od jedenastej.

W tym momencie powinno paść pytanie o strażnika z nocnej zmiany. Stu jednak powiedział tylko:

- Dziękujemy. Jak dojechać do domu pana Ramseya?

- Jedźcie prosto ku szczytowi. Skręćcie w pierwszą w lewo, w Rambla Bonita. Dalej w górę, prosto na wierzchołek. Tam mieszka. Duży różowy budynek, w kolorze identycznym jak te kolumny.

- Różowy - powtórzyła Petra.

- Dokładnie. Kiedy kupił posiadłość, dom był biały, ale Ramsey i żona go przemaalowali.

- Które z nich podjęło taką decyzję?

- Nie wiem. Mnie się w każdym razie nie zwierzał. Ale on w ogóle jest mało rozmowny. Tak jak postać, którą gra.... Dack. Nie pamiętam nazwiska.

- Silny i milczący? - podpowiedziała Petra.

- Można to tak ująć. - Dillbeck odsunął się na bok.

Kiedy dotarli na szczyt pierwszego wzniesienia. Petra zagaiła:

- No cóż, ten fakt wiele wnosi, nieprawdaż? Zawsze mordują ci z pozoru spokojni.

Rozdział 9

Park przyjął mnie po przyjacielsku.

Uczyłem się od niego. Poznałem harmonogram patroli strażników i nauczyłem się ich unikać. Odkryłem restauracje, które wyrzucały najświeższe jedzenie i dowiedziałem się, jak w ciemnościach nie wpaść do śmietnika.

Poznałem tożsamość stałych bywalców.

Faceci na Zachodniej Alei okazali się sprzedawcami narkotyków i pragnęli jedynie spokoju do interesów, więc trzymałem się po drugiej stronie ulicy. Po jakimś miesiącu jeden z nich podszedł do mnie, powiedział: „Bystry chłopiec” i dał mi pięć dolarów.

Dowiedziałem się, jak zdobywać różne rzeczy.

Jeśli pójść Los Feliz wystarczająco daleko na wschód, skończą się luksusowe domy i zaczną zwyczajne budynki z apartamentami. W niedzielę ich mieszkańcy sprzedają różne rzeczy na trawnikach przed budynkiem i jeśli poczekać do końca dnia, można kupić wszystko bardzo tanio, ponieważ właścicielom nie chce się już niczego pakować.

Kupiłem za dolca zielony koc, który śmierdział mokrym psem i śpiwór za trzy dolary, a w dodatku skłoniłem faceta od śpiwora, by dorzucił za darmo scyzoryk z trzema końcówkami (jedną z nich był śrubokręt).

Czasami sprzedawcy dziwnie na mnie patrzyli, myśląc zapewne: „Dlaczego samotny dzieciak kupuje u nas bieliznę?” Zawsze jednak chętnie przyjmowali moje monety.

Kupiłem latarkę, dwa opakowania baterii-paluszek, stare podkoszulki, sweter i okrągłą ozdobną poduszkę, która okazała się twarda jak skała i zgniła. Zmarnowałem tylko pieniądze.

W pierwszym miesiącu wydałem trzydzieści cztery „tamponowe” dolary. Dodając pięć, które dostałem od handlarza narkotyków, zostały mi pięćdziesiąt cztery dolary. Znalazłem pięć kryjówek i przechowywałem w nich swoje rzeczy.

Odkryłem, kiedy uśmiechać się do ludzi, a kiedy nie, na kogo patrzeć, kogo zaś ignorować. Dowiedziałem się, że pieniądze oznaczają porozumienie.

Popełniałem również błędy. Kilka razy najadłem się jakichś paskudztw i zachorowałem, raz naprawdę poważnie - wymiotowałem przez trzy dni pod rząd, miałem gorączkę i dreszcze i o mało nie umarłem. Tkwiłem wówczas w jaskini w kryjówce numer trzy; dzieliłem ją z robakami i pajakami, na które w ogóle nie zwracałem uwagi. Trzeciego dnia wyczołgałem się przed wschodem słońca i wyprałem ubrania w strumyku. Nogi miałem tak słabe, jakby ktoś rozbił mi tłuczkiem kolana. Po pewnym czasie poczułem się lepiej, jednak od tamtego wypadku żołądek często mi doskwiera.

Nauczyłem się sporo o prostytutkach i alfonsach, wielokroć widziałem ludzi uprawiających seks w alejach: kobiety przeważnie klęczały, ssąc członki facetom, którzy nie ruszali się, a tylko stękali.

Powoli docierało do mnie, że jeśli zdobędę dość pieniędzy, nikt mnie już nigdy nie wykorzysta. Ale jak miałem zdobyć pieniądze, skoro byłem niedokształcony i mieszkałem w parku?

Wtedy sobie wykombinowałem, że będę się uczył sam. Do tego potrzebowałem szkolnych podręczników, a gdzieżbym mógł je znaleźć, jeśli nie w szkole. Pozostała mi część gimnazjum, ponieważ w Watson chodziłem do siódmej klasy, chociaż pedagog z Bakersfield pokazał mi kiedyś kilka testów, po czym stwierdził, że mógłbym przejść od razu do ósmej, jeśli tylko mama podpisze kilka formularzy. Mama obiecała, że podpisze, ale nigdy nie podpisała, a potem je zgubiła, zaś pedagog nie nalegał, toteż zostałem w siódmej klasie. Na lekcjach, o ile nie marzyłem, byłem strasznie znudzony i ręka aż mi cierpła od podpierania głowy.

Znalazłem w książce telefonicznej dział poświęcony szkolnictwu i zabrałem książkę do parku. Wśród szkół nie wyodrębniono gimnazjów, co mnie nieco zmieszało, lecz następnego dnia zadzwoniłem do lokalnego kuratorium i najniższym głosem, na jaki potrafiłem się zdobyć, oświadczyłem, że właśnie się przeprowadziłem do Hollywood z moim dwunastoletnim synem i szukam dla niego gimnazjum.

Kobieta na drugim końcu powiedziała: „Chwileczkę, proszę pani”. Kazała mi czekać przez długi czas. Potem wróciła na linię i powiedziała: „Szkoła średnia imienia Thomasa Starra Kinga na Fountain Avenue” i podała mi adres.

Poszedłem tam w południe. Szkoła znajdowała się około trzech kilometrów od kryjówki numer trzy, w zaniedbanej części dzielnicy i była gigantyczna - otoczone wysokim płotem kilka różowych budynków z jasnoniebieskimi drzwiami oraz ogromny dziedziniec.

Prowadziłem obserwację miejsca z przeciwległej strony ulicy i ustaliłem, że lekcje kończą się o trzynastej: setki dzieciaków wybiegały wówczas na ulicę. Śmiały się i poszturchiwały. Na ten widok zaschło mi w gardle.

Ponieważ lekcje kończyły się tak wcześnie, pomyślałem, że jeśli po południu będę się kręcił po okolicy, nikt mnie nie zaczepi.

Zrobiłem sobie plan dnia. Rano mycie, śniadanie złożone z tego, co zdobędę poprzedniej nocy, czytanie, nauka, obchód kryjówek, by sprawdzić, czy nikt nie znalazł moich rzeczy. Popołudnia poświęciłbym na zdobywanie nowego jedzenia i innych potrzebnych drobiazgów.

Wróciłem do szkoły Kinga następnego dnia podczas przerwy o dziesiątej. Dzieci były akurat na dziedzińcu, a nauczyciele rozmawiali. Wślizgnąłem się przez jedną z bram i wszedłem do szkoły, jak inni uczniowie. Dostrzegłem dwa oddzielne pomieszczenia, w których magazynowano książki.

Odwiedziłem szkołę osiem razy, zanim zebrałem pełny zestaw podręczników.

Poszło łatwo. Któż mógłby podejrzewać, że dziecko wynosi książki ze szkoły?

Zdobyłem komplet do siódmej, ósmej i dziewiątej klasy, pióra, ołówki i bloki papieru w linie. Angielski, historia, przyroda, matematyka, wszystko aż po algebrę.

Ponieważ nie otaczali mnie hałaśliwi rówieśnicy, a od nauki nie odrywał Baran, zdołałem się skoncentrować. Przeczytanie wszystkich książek zabrało mi dwa miesiące, przerobiłem nawet algebrę, której wcześniej nie miałem i początkowo wydawała mi się trudna (wszystkie te symbole literowe nie miały dla mnie początkowo najmniejszego sensu). Posuwałem się strona po stronie i udało się.

Podobały mi się zmienne, symbole, które same nic nie oznaczały, lecz przyjmowały każdą wartość, jaką im nadałem.

Potężny „X”. Pomyślałem o sobie jako o chłopcu „X”. Niby nikt, a równocześnie mogłem osiągnąć wszystko.

*

Pewnej nocy odniosłem wszystkie podręczniki z powrotem do szkoły Kinga i zostawiłem je przy płocie. Z wyjątkiem książki do algebry, ponieważ chciałem jeszcze poćwiczyć równania. Wiedziałem, że mój umysł stale musi być czymś zajęty, w przeciwnym razie zgłupieję, byłem jednak zmęczony po tak intensywnej nauce i potrzebowałem wakacji. Postanowiłem, że później będę się dalej kształcił, czytając encyklopedie i biografie ludzi, którzy osiągnęli w życiu sukces. Tęskniłem za moją książką o prezydentach.

Nie zamierzałem czytać bajek ani fantastyki. Nie interesują mnie teksty o rzeczach, które

nie istnieją.

Znalazłem bibliotekę tuż nieopodal Los Feliz, zaledwie kilka przecznic w dół, na Hillhurst. Budynek wyglądał osobliwie, był pozbawiony okien i wbity w sam środek centrum handlowego. Wewnątrz znajdował się jeden duży pokój z kolorowymi plakatami zagranicznych miast (plakaty miały chyba zastępować okna) i tylko kilku starych ludzi czytających gazety.

Miałem na sobie czyste ubranie, a w plecaku podręcznik do algebry, ołówki i papier. Usiadłem w dalekim narożniku i udawałem, że rozwiązuję równania, a równocześnie bacznie się rozglądałem.

Kobieta, która wyglądała na szefową, była stara, zgorzkniała i przypominała mi bibliotekarkę z Watson, lecz siedziała w biurze i rozmawiała przez telefon. Książki wydawała młoda Meksykanka z bardzo długimi włosami. Zauważyła mnie, podeszła i z uśmiechem spytała, czy potrzebuję pomocy.

Potrząsnąłem głową i nadal wykreślałem równania.

„Ach - szepnęła przyjemnym głosem. - Praca domowa z matematyki, co?”

Wzruszyłem ramionami i zupełnie ją zignorowałem, a wtedy przestała się uśmiechać i odeszła.

Następnym razem, gdy wszedłem, próbowała zwrócić na siebie moją uwagę, lecz zlekceważyłem ją i od tej pory dała mi spokój.

Zacząłem się pojawiać raz lub dwa razy tygodniowo, zawsze po trzynastej. Zaczynałem od fałszywych zadań domowych, potem przeglądałem półki, aż znalazłem odpowiednią książkę, którą czytałem przez dwie godziny.

Czasami udawało mi się skończyć w tym czasie całą książkę. W trzecim tygodniu wyszukałem tę samą książkę Jacques'a Cousteau, którą miałem w Watson i pomyślałem: „Z pewnością trafiłem we właściwe miejsce”.

Wkrótce znalazłem inną książkę o prezydentach. Tę jako pierwszą wziąłem ze sobą do parku. I jako jedyną zatrzymałem, nie wiem nawet dlaczego. Bardzo o nią dbałem i owinałem ją w plastikową torebkę z pralni chemicznej. Właściwie więc nie popełniłem kradzieży.

A jednak z powodu tej książki czułem się źle. Ciągłe sobie powtarzałem, że pewnego dnia, gdy dorosnę i będę miał pieniądze, oddam ją do biblioteki. Czasami zastanawiałem się, czy przeżyję wystarczająco długo, aby dorosnąć.

Po zbrodni, której byłem świadkiem, nic nie wydaje mi się trwałe ani pewne. Może nadszedł czas na opuszczenie parku. Tylko dokąd miałbym pójść?

Uderzyłem się o kamień, lecz jakoś utrzymałem równowagę - w końcu dotarłem do

kryjówki numer pięć. Czuję zapach ogrodu zoologicznego, który rozciąga się za płataniną paproci. Czas się ukryć, trochę odpocząć, a później pomyśleć.

Muszę gruntownie przeanalizować sytuację.

Rozdział 10

Na widok domu Ramseya Petra pomyślała o zajęciach z historii architektury. W jakim stylu zbudowano ten dom? Elementy hiszpańskie plus nawiązania do Andrei Palladia? Postmodernistyczny eklektyzm śródziemnomorski? Po prostu nowobogacka hacjenda?

Jedna wielka masa stiuku.

Budowla stała na stoku tak stromym, że Petra musiała wyciągnąć szyję, aby zobaczyć szczyt i była rzeczywiście - tak jak uprzedzał strażnik - otynkowana na różowo, choć odcień był nieco ciemniejszy niż kolor kolumn przy wjeździe. Dom stał za szeregiem kolumnienek i bram i wyglądał jak klatka w klatce. Nawierzchnia drogi dojazdowej przypominała suszoną na słońcu cegłę; po obu stronach drogi rosły szpalery meksykańskich palm. Przez kolumnienki Petra dostrzegła błyszczącego czarnego lexusa, zaparkowanego od frontu.

Dojechali do bramy, skąd było już widać przynajmniej akr ukośnego frontowego trawnika. Dom miał dwa piętra oraz nadbudówkę ponad podwójnymi dębowymi drzwiami wejściowymi, która wyglądała jak kopia filadelfijskiej dzwonnicy. Skrzydła budynku rozchyłały się spadziście niczym skrzydełka indyka, który piekł się zbyt długo i mięso przesadnie się rozluźniło. Front obfitował w dziwacznie ukształtowane okna, niektóre witrażowe. Żelazne balustrady werand i balkonów pokrywała patyna, dachówki zaś lśniły sztucznie postarzanym rdzawym złotem. Na prawo od dębowych drzwi znajdował się bardzo głęboki garaż na pięć aut. Jego długość Petra tłumaczyła sobie obecnością limuzyny.

W okolicy nie stały żadne inne domy. Ramsey był zatem niekwestionowanym królem wzgórza.

Za domem rośło jeszcze więcej palm; ich wachlarzowate czubki wystawały ponad linią dachu, tworząc coś w rodzaju baldachimu. Petra wyczuła zapach koni, choć nie dostrzegła zwierząt w polu widzenia. Kredowobłękitne góry Santa Susanna widniały w oddali. Nigdzie wokół nie rosły dęby, za to wszędzie pełno było zraszaczy.

Stu podjechał powoli fordem pod samą skrzynkę z głośnikiem.

- Czyś gotowa, zwiastunko nieszczęścia?

- O tak.

Przycisnął guzik. Przez sekundę panowała cisza, potem odezwał się kobiecy głos:

- Taaa?

- Chcielibyśmy się widzieć z panem Ramseyem.

- Kim jesteście?

- Z policji.

Milczenie.

- Proszę poczekać.

Minęła długa minuta, podczas której Petra rzuciła okiem na samochód detektywów z biura szeryfa. Hector de la Torre siedział za kierownicą i mówił coś do Banksa. Ten w skupieniu słuchał, lecz gdy zobaczył Petrę, lekko zamachał w jej kierunku ręką. Dokładnie w tym samym momencie z podwójnych drzwi wyszła niewysoka, korpulentna Latynoska w różowo-białym mundurku. Doszła w pół drogi dojazdowej, zatrzymała się i przyjrzała się im. Miała pięćdziesiąt parę lat i wyraźnie utykała na jedną nogę, włosy nosiła ściśle związane z tyłu, zaś twarz miała ciemną i nieruchomą niczym odlew z brązu. W końcu nacisnęła pilota i brama się otworzyła.

Oba samochody wjechały do posiadłości Ramseya. Cała czwórka wysiadła. Powietrze było tu o dobre dziesięć stopni cieplejsze niż w Hollywood. Petra dostrzegła rząd słupków i poprzeczek po lewej stronie od domu - korral. W prześwitach ogrodzenia to pojawiały się, to znikwały brązowe końskie sylwetki.

Z powodu gorąca i małej wilgotności Petra poczuła w oczach piasek. Na północ od posesji, nad górami krążył mały samolot. Stado wron wypadło z zarośli platanów, potem rozproszyło się. Ptaki skrzeczały, jakby coś je przeraziło.

- Proszę - odezwał się Stu, okazując służącej odznakę.

Popatrzyła na niego.

- Jestem detektyw Bishop, a to detektyw Connor.

Żadnej odpowiedzi.

- A pani?

- Estrella.

- A nazwisko?

- Flores.

- Pracuje pani dla pana Ramseya, pani Flores?

- Tak.

- Czy pan Ramsey jest w domu?

- Gra w golfa.

Petra uznała, że kobieta jest wyraźnie przerażona. Nielegalna imigrantka? Ramsey był tak sławnym człowiekiem, że nie musiał się martwić o opinię, może więc służąca pracowała u niego na czarno.

A może chodziło o coś innego. Może o czymś wiedziała? Jakie tajemnice kryje posiadłość Ramseya? Czyżby aktor wychodził ubiegłej nocy? Petra zapisała nazwisko kobiety i zaznaczyła, by się z nią koniecznie ponownie skontaktować.

Zamykając notes, uśmiechnęła się. Estrella Flores niczego nie zauważyła.

- Pana Ramseya nie ma? - spytał dla pewności Stu.

Byłoby to sprzeczne ze stwierdzeniem strażnika.

- Nie. Tutaj.

- Jest tutaj?

- Tak. - Kobieta zmarszczyła brwi.

- Gra w golfa tutaj?

- Na tyłach.

- Ma własne pole golfowe - wyjaśniła Petra, przypominając sobie opowieść Susan Rose o programie telewizyjnym.

- Możemy z nim porozmawiać, pani Flores?

Kobieta spojrzała na dwóch detektywów, stojących kilka metrów dalej, potem ponownie przeniosła wzrok na szeroko otwarte drzwi do domu. Wewnątrz Petra dostrzegła kremowe ściany i podłogi.

- Chcecie wejść? - spytała Estrella Flores.

- Tylko za zgodą pana Ramseya, proszę pani.

Zakłopotanie.

- Może przekaże pani panu Ramseyowi, że przyjechaliśmy.

Petra ponownie się uśmiechnęła do służącej. Jej życzliwość pomogła. Estrella Flores pokuśtykała z powrotem do domu.

Niedługo później przybiegł Cart Ramsey. Za nim pędził jakiś blondyn.

„Telewizyjny detektyw” ubrany był w jaskrawozieloną koszulkę polo, dżinsy i sportowe buty. Niezła figura jak na faceta w tym wieku (Petra oceniła, że ma jakieś czterdzieści pięć, pięćdziesiąt lat). Metr osiemdziesiąt osiem, na oko około dziewięćdziesiąt kilo, szerokie ramiona, wąskie biodra, płaski brzuch, mocna talia, żadnych obwisłości. Czarne, kręcone włosy, telewizyjna opalenizna.

Sztuczna szczęka.

Wąs. Jak nazywał się bohater jego programów? Dack Price.

Towarzysz Ramseya był mniej więcej w tym samym wieku, podobnego wzrostu, równie potężny w ramionach, ale szerszy w biodrach. Sylwetkę miał bardziej typową dla średniego wieku: wydatne wybrzuszenie ponad pasem, nieco obwisłe policzki, dygoczące ciało na piersiach podczas biegu. Jasne włosy, dość długie z tyłu, rzedniały mu na ciemieniu, pod nimi prześwitywał różowa skóra. Mężczyzna nosił małe okrągłe okulary przeciwsłoneczne z czarnymi szklami. Jego jasnoblękitna koszula miała długie rękawy i była na niego zbyt duża, a czarne bawełniane spodnie z zakładkami - obcisłe w pasie. Ramsey biegł od niego znacznie szybciej, a gdy dotarł do samochodu, oddychał normalnie.

- Policja? O co chodzi? - Głęboki telewizyjny głos.

Stu pokazał odznakę.

- Przykro mi, proszę pana, ale mamy nieprzyjemną nowinę.

W błękitnych oczach Ramseya pojawił się przestrah, potem mężczyzna zamrugał, wreszcie zapatrzył się w Stu. Aktor miał niezwykle jasne błękitne tęczęwki, które mocno kontrastowały z rumiano opaloną cerą. Jednakże, kiedy Petra zbliżyła się wystarczająco, dostrzegła, że czarne włosy mężczyzny są niemal na pewno farbowane, a skóra - bardzo ziarnista, z wydatnymi porami na policzkach i siateczką popękanych naczynek na nosie. Zbyt wiele wódek w garderobie? Wszystkie te lata pudrowania twarzy?

- Jaka to nowina? O czym wy mówicie? - W głos Ramseya zaczęła się wkradać panika.

- Pańska była żona...

- Lisa? Co się stało?

- Niestety, nie żyje, proszę pana.

- Co takiego!?! - Wybałuszył oczy. Duże dłonie zacisnął w pięści, mimowolnie napiął bicepsy. Petra przybrała współczującą minę, a równocześnie szukała wzrokiem zadrapań lub sińców na jego ramionach. Nie dostrzegła niczego podejrzanego. De la Torre i Banks także przyglądali się Ramseyowi, który najwyraźniej nie zwracał na nich uwagi. Zgarbił się i zakrył twarz dłonią.

Rosły blondyn w błękitnej koszuli wreszcie do nich dotarł. Był zadyszany, a okulary przekrzywiły mu się na nosie. Jego włosy miały nieco zbyt intensywną barwę, prawdopodobnie rozjaśniał je lub farbował.

- O co chodzi, Cart?

Ramsey nie odpowiedział.

- Cart?

Ramsey, nie zdejmując dłoni z ust, wybełkotał:

- Oni... Lisa.

Stracił głos.

- Lisa? - spytał blondyn. - Co jej się stało?

Dłoń opadła i Ramsey odwrócił się do niego.

- Nie żyje, Gregu! Ci ludzie mówią, że Lisa nie żyje!

- Och, mój Boże... co... jak... - Greg rozdziawił usta i głupkowato wlepił wzrok w detektywów.

- Nie żyje, Gregu! Naprawdę nie żyje! - zaryczał Ramsey. Petra przez moment odniosła wrażenie, że aktor zamierza odciągnąć blondyna na bok i grzmotnąć go w twarz.

Nie zrobił tego jednak, odwrócił się tylko ponownie do nich i czujnie zlustrował ich oboje od stóp do głów. Szczególnie Petrę.

- Jesteście pewni, że to ona?

- Obawiam się, że tak, panie Ramsey.

- Jak możecie... nie mogę... ona... jak? To szaleństwo... gdzie? Co się zdarzyło? Co się, u diabła, stało? Skasowała samochód? Wypadek?

- Została zamordowana, panie Ramsey - oświadczyła Petra. - Znalaziono ją dziś rano w Griffith Park.

- Zamordowana?! - Ramsey zgarbił się jeszcze bardziej i zasłonił dolną część twarzy, tym razem obiema rękoma. - Jezu, Boże... Griffith Park... Co ona, do jasnej cholery, tam robiła?!

- Nie wiemy, proszę pana.

W tej chwili Ramsey mógł coś dodać, ale tylko spytał:

- Dziś rano? Och, Boże, nie mogę w to uwierzyć!

- Wczesnym rankiem.

Ramsey bez końca potrząsał głową.

- Griffith Park? Nie rozumiem. Po co poszła wcześniej rano do parku? Czy ją... jak ona...

Blondwłosey Greg podszedł do swego towarzysza i poklepał go po ramieniu. Ramsey strząsnął jego rękę, lecz na mężczyźnie ten gest nie zrobił najmniejszego wrażenia. Czyżby był przyzwyczajony do takiego traktowania?

- Cart, wejdźmy do środka - odezwał się uspokajająco łagodnym głosem. - Szczegóły możemy podać państwu w środku.

- Nie, nie, muszę się dowiedzieć... Czy została zastrzelona? - spytał Ramsey.

- Nie, proszę pana - odparł Stu. - Zakłuta nożem.

- Jezu Chryste! - Ramsey zachwiał się lekko. - Wiecie kto to zrobił?

- Jeszcze nie, proszę pana.

Potań głowę jedną ręką. Petra zauważyła na niej plamy wątrobowe, poza tym dłoń wyglądała zdrowo - wielka, mocna, palce grube jak cygara, duże, przycięte w kwadrat paznokcie.

- O, do cholery! Lisa nie żyje! Nie mogę w to uwierzyć! Boże, Lisa, coś ty, do diabła, tam robiła?! - Ramsey odwrócił się tyłem do detektywów, odszedł kilka kroków, pochylił się, jakby chciał zwymiotować i przez kilkadziesiąt sekund pozostał w tej pozycji. Petra dostrzegła, że jego szerokie plecy drżą.

Blondyn opuścił ręce.

- Nazywam się Greg Balch, jestem dyrektorem finansowym pana Ramseya...

Ramsey odwrócił się nagle.

- Czy morderstwo miało coś wspólnego z narkotykami?

Zapanowało długie milczenie, potem Stu spytał:

- Czy pani Ramsey brała narkotyki?

- Nie, nie, kiedyś... właściwie nie. Nie wiem. Lisa nie jest już moją żoną, rozwiedliśmy się sześć miesięcy temu, a wtedy wróciła do panińskiego nazwiska. Rozstaliśmy się w przyjaźni, tyle że... już się nie widywaliśmy. - Znowu zasłonił twarz i zaczął płakać. Głośny, przejmujący, barytonowy szloch. Petra nie miała pojęcia, czy jego łkaniu towarzyszą łzy.

Balch otoczył Ramseya ramieniem. Aktor pozwolił mu się zaprowadzić do domu. Detektywi szli za nimi. Później, kiedy Ramsey nawiązał wzrokowy kontakt z Petrą, policjantka zauważyła, że jego oczy są suche i skupione; białka nie były przekrwione, tęczęwki miały kolor bezchmurnego nieba.

*

Dom pachniał bekonem. Petrze od razu rzucił się w oczy wysoki na cztery i pół metra sufit oraz mnóstwo mebli, reprezentujących różne style (poczuła się jak w sklepie), po chwili zaś spostrzegła pięciodrzwiowy garaż.

Ponieważ część mieszkalną oddzielała od garażu ścianka działowa ze szkła, z wnętrza domu widok na garaż był doskonały.

Prostokątne pomieszczenie było ogromne. Na oko wielkości piętnaście metrów na sześć, czyste białe ściany, lśniąca podłoga z czarnego granitu, punktowe oświetlenie. Pięć miejsc, ale tylko cztery były zajęte. Limuzyny nie było, lecz pozostałych marek można się było spodziewać. Czerwone jak pomidor sportowe ferrari z drapieżnym przodem. Stalowe porsche z wyścigowym numerem na drzwiczkach. Czarno-bordowy rolls-royce sedan z pięknie ukształtowanymi zderzakami, gigantyczną chromowaną atrapą chłodnicy i firmową

kryształową figurką na masce, prawdopodobnie autorstwa Lalique'a. Jasnoblękitna wczesna corvette, prawdopodobnie model z lat pięćdziesiątych - w tym samym odcieniu co jedwabna koszula dyrektora finansowego, Grega Balcha.

Na piątym miejscu stała jedynie wanienska ściekowa wypełniona żwirem.

Ściany obwieszono obramowanymi plakatami reklamującymi wyścigi samochodowe i przedstawiającymi lśniące auta rajdowe.

Stu i obaj detektywi zatrzymali się i wpatrzyli z zachwytem. No tak! Mężczyźni i samochody! Petra należała do kobiet, które świetnie rozumiały tę męską słabość. Może dlatego, że wychowywała się z czterema braćmi, a może chodziło o jej poczucie estetyki, żywiła bowiem swego rodzaju uznanie dla sztuki użytkowej. Dostrzegała talent swego byłego męża, Nicka i dość często mówiła mu o tym, „dopieszczając” jego *ego*. Drań nie miał serca, lecz potrafił projektować samochodowe arcydzieła. Jego ulubieńcem był stingray z 1967 roku, „szczyt *designu*”, jak go nazywał. Kiedy Petra powiedziała mu o ciąży, popatrzył na nią w taki sposób, jakby kupiła sobie najpośledniejsze z możliwych aut...

Greg Balch szedł parę metrów przed nimi, prowadząc Ramseya do następnego pomieszczenia. Detektywi wreszcie oderwali się od szklanej ściany i ruszyli za tamtymi. Balch posadził Ramseya na dwuosobowej otomanie obitej kremowym jedwabiem. Aktor nadal się garbił i Petra odniosła wrażenie, że się modli - głowa opuszczona, ręce splecione na prawym kolanie, potężne mięśnie szyi napięte.

Czworo detektywów zajęło miejsca naprzeciw niego, na trzymetrowej sofie. Zanim usadowili się wygodnie, przez moment kręcili się wśród pastelowych poduszek. Jedna poduszka kończyła się pod grubymi udami de la Torrego i mężczyzna zabębnił krępychmi brązowymi paluchami po połyskującym materiale. Banks siedział spokojnie, niemal bez ruchu. Między Ramseyem i policjantami stała ława - granitowy kamień ze szklaną płytą na blacie. Balch zajął krzesło z boku.

Petra badawczo rozejrzała się po pokoju. Był wręcz groteskowo wielki. Przypuszczała, że właściciel domu spędza tu większość czasu. Pomieszczenie składało się z trzech równie rozległych części, każdą wypełniała zbyt duża ilość podobnych mebli, większość z jasnego drewna. Na ścianach wisały ogromne, szkaradne obrazy abstrakcyjne w pastelowych barwach. Za szklanymi drzwiami widać było trawę, palmy, skalną sadzawkę z wodospadem, małe pole golfowe na cztery dołki z prawie szarą trawą skoszoną aż do samej ziemi.

„Gra w golfa” - przypomniała sobie Petra. Na trawie leżały dwa chromowane kije.

Za zielenią ciągnął się korral, do którego przylegała ładna mała różowa stajnia.

Gdzie zaginał pojazd numer pięć? Został ukryty, by można go było oczyścić ze śladów,

wyszorować krew?

Nie mogli nawet o niego spytać. Petra doskonale wiedziała, ile czasu zajmuje technikom przebadanie podejrzanego pojazdu. Jeśli kiedykolwiek uzyskają nakaz rewizji domostwa Ramseya, przegląd samochodów zajmie sporej ekipie dobre kilka dni.

Petra ponownie spojrzała na korral. Kostki siana, starannie ułożone. Dostrzegła dwa konie: brązowego i białego. Wyobraziła sobie Lisę na białym, ubraną w obcisły kaftan i zwyczajowe bryczesy; rozwiane podczas jazdy miodowe włosy.

Czy Lisa w ogóle jeździła konno? Petra kompletnie nic o niej nie wiedziała.

Dwa konie. Pięć samochodów. I ślady w... tym, który powinien zajmować puste miejsce?

Ramsey nadal siedział pochylony i milczał. De la Torre. Banks i Stu obserwowali go ukradkiem. Balch wyglądał na skonsternowanego, najwyraźniej nie miał pojęcia, jak pomóc swemu pracodawcy, de la Torre ponownie obejrzał się na garaż. Marsowe oblicze, uosobienie dobrego policjanta; kątem oka oceniał lakier pojazdów, obicia, lukrecjowoczarne opony. Banks zerknął na swego partnera i nieznacznie się uśmiechnął, potem przeniósł wzrok na Petrę i uśmiechnął się nieco szerzej.

Stu siedział nieruchomo z kamiennym wyrazem twarzy. Często tak postępował, czekając, aż przesłuchiwana osoba odezwie się pierwsza. Może bez problemu rozpracuje Ramseya, choćby dlatego, że nie interesowały go samochody - w każdym razie Petra nic o tym nie wiedziała. Prywatnie posiadał zarzuconego zabawkami białego chevy suburbana z dwoma fotelikami dla dzieci. Petra jechała nim kilka razy, gdy rodzina Bishopów zaprosiła ją na kolację, o ile można nazwać kolacją wyprawę z sześciorgiem dzieci na lokalu Chucka E. Cheese'ego. Petra lubiła dzieci, a zabawki jej nie przeszkadzały...

Przyłapała się teraz, że mimowolnie dotyka swego płaskiego brzucha; przywołała się do porządku i skierowała całą uwagę na Ramseya.

Jego czarne loki poruszały się, bowiem aktor ciągle potrząsał głową w geście oznaczającym niedowierzanie. Petra nawykła już do podobnych reakcji. Maniacko odmawiał zaakceptowania prawdy. Albo udawał. W końcu grał w telewizji prywatnego detektywa. Na pewno starannie przygotowywał się do swojej roli i świetnie wiedział, jak się w takiej sytuacji zachować.

Greg Balch znowu poklepał go po plecach. Dyrektor finansowy wciąż miał minę bezradnego lokaja.

Petra przyjrzała się dokładniej Ramseyowi. „A jeśli jest czysty? - pomyślała. - Co wtedy?”

Potem przypomniała sobie, że kiedyś pobił Lisę i współczucie zniknęło. Tak, na pewno

odgrywał przed nimi przedstawienie. Był przecież aktorem i zarabiał na życie udawaniem.

Rozejrzała się po ogromnym bezkształtnym pomieszczeniu. Kryjówka numer jeden, kryjówka numer dwa, kryjówka numer trzy. Ilu kryjówek potrzebuje wilk?

Wreszcie mężczyzna wyprostował się i powiedział:

- Dziękuję, że przyjechaliście... Chyba muszę zadzwonić do jej rodziców... O Jezu... - Wyrzucił w górę rękę.

- Gdzie mieszkają rodzice Lisy? - spytała Stu.

- W Cleveland. Na przedmieściu Chagrin Falls. Jej ojciec jest lekarzem. Doktor John Boehlinger. Nie rozmawiałem z nim od dnia rozvodu.

- Mogę ich zawiadomić - zadeklarował się Stu.

- Nie, nie, to powinien być ktoś, kto... Zwykle tak robicie? To znaczy, czy tak wygląda procedura?

- Tak, dokładnie.

- Aha. - Ramsey wciągnął powietrze i powoli je wypuścił, po czym przetarł oczy małym palcem. - Nie, chyba powinienem osobiście... chociaż problem polega na tym, że właściwie się nie... rodzice Lisy i ja. Od czasu rozvodu. Wiecie, jak to jest.

- Są do pana wrogo nastawieni? - spytał Stu.

- Nie wiem, czy mój telefon nie pogorszy sprawy... Chodzi o to, że naprawdę nie wiem, jakie jest moje miejsce w tym wszystkim - Ramsey wyglądał na nieszczęśliwego. - Chcę powiedzieć, że już nie jesteśmy małżeństwem, więc czy muszę występować oficjalnie?

- W jakim sensie? - spytał Stu.

- Identyfikacja, kwestia pogrzebu... No sami wiecie... Lisa i ja... kochaliśmy się i szanowaliśmy, ale bardzo... się od siebie oddaliliśmy. Żyliśmy osobno. - Ponownie podniósł rękę. - Przepraszam, mówię bez ładu i składu... niczym idiota. A kogo, do cholery, obchodzi pogrzeb?! - Uderzył pięścią w dłoń drugiej ręki i odwrócił się w prawo, profilem.

„Cóż za klasyczny podbródek” - oceniła w myślach Petra. W jego świetle miłość i szacunek równają się podbitemu oku i rozstaniu. Nagle dolna warga mężczyzny zaczęła się trząść i zagryzł ją. Grał czy nie?

- Może posiada pan jakieś informacje o byłej żonie - odezwała się - które pomogłyby nam w śledztwie?

Ramsey obrócił się powoli i popatrzył na nią, a Petrze wydało się, że dostrzega coś nowego w jego jasnych oczach - analizę, chłodną ocenę, siłę. Jednak w sekundę później, mężczyzna ponownie pogryzł się w żal, więc nie miała pewności, czy jej się tylko zdawało.

Tymczasem oczy Ramseya zwilgotniały.

- Była świetną dziewczyną - stwierdził. - Nasze małżeństwo trwało prawie dwa lata.

- A narkotyki? - spytała Petra.

Ramsey popatrzył na Balcha, na co blondyn wzruszył ramionami.

- Nic wielkiego - powiedział Ramsey. - Nie powinienem być w ogóle o tym wspominać. Nie chciałbym, żeby media przyczepiły się do niej i obsmarowały ją jako... Jezu, zrobią to, prawda? O cholera! Bzdurna sprawa, Lisa nie była ćpunką, po prostu czasem...

Opuścił wzrok i wpatrzył się w swoje kolana.

- Ma pan rację - mruknęła Petra. - Prędzej czy później sprawa się wyda, toteż lepiej, abyśmy poznali fakty jako pierwsi. Narkotyki często wiążą się z przemocą, zatem jeśli mógłby pan nam opowiedzieć...

Uświadomiła sobie, że Ramsey wyraźnie ją sonduje. Czy pozostali detektywi zauważyli zmianę w jego zachowaniu? Jeśli tak, nie dali niczego po sobie poznać. De la Torre znowu poządlawie przyglądał się samochodom, a Stu i Banks siedzieli nieruchomo i z pozoru obojętnie.

Petra musnęła dłonią włosy i założyła nogę na nogę. Ramsey utkwiał wzrok w jej twarzy, lecz zamrugał oczyma, kiedy zaszeleściła czarna krepa. Petra poruszyła stopą.

- Nie ma o czym mówić - oświadczył.

- Naprawdę nic wielkiego - dodał Greg Balch. Również miał błękitne oczy, lecz w porównaniu z oczyma Ramsey'a wydawały się mętne i pozbawione wyrazu. - Lisa lubiła czasem zażyć kokainę, to wszystko.

Ramsey obrzucił go piorunującym spojrzeniem.

- Do cholery, Greg!

- I tak się dowiedzą, Cart.

Nie spuszczać wzroku ze swego towarzysza, Ramsey zrobił głęboki wdech.

- No dobrze, dobrze. Koka była podstawową przyczyną rozpadu naszego małżeństwa. Chociaż, szczerze mówiąc, różnica wieku też odegrała negatywną rolę. Reprezentuję inne pokolenie. Dla nas „impreza” oznaczała spotkanie, na którym rozmawia się i tańczy. Wypiję czasem dla towarzystwa, ale to wszystko. A Lisa chciała wachać... Jezu, nie mogę uwierzyć, że już jej z nami nie ma!

Ponieważ po raz kolejny zaczął ukrywać twarz. Petra odezwała się trochę głośniej, by go przed tym powstrzymać.

- Ile lat miała Lisa, panie Ramsey?

Podniósł wzrok, potem opuścił na swoje kolana, wreszcie ponownie wpatrzył się w twarz policjantki.

- Miała - odparł. - Miała... Nie mogę uwierzyć, że teraz już zawsze będę o niej mówił w czasie przeszłym... dwadzieścia siedem lat, pani detektyw...

- Connor.

- Dwadzieścia siedem lat, detektyw Connor. Poznałem ją cztery lata temu na paradzie. Była królową piękności. Pełniłem rolę mistrza ceremonii, ją zaś dopiero co wybrano Miss Ohio. Grała na saksofonie i miała znakomity głos. Spotykaliśmy się przez jakiś czas, mieszkaliśmy razem przez rok, po czym się pobraliśmy. A następnie rozwiedliśmy się. Pierwsze małżeństwo dla nas obojga... Chyba zabrakło nam praktyki... Czy coś jeszcze? Ponieważ jeśli nie... - Dotknął szyi. - Czuję się podle, naprawdę muszę zostać sam.

- Proszę państwa - wtrącił się Balch. - Może pozwolicie panu Ramseyowi na odrobinę prywatności?

Aktor nadal tarł szyję. Twarz mu zbladła i osobliwie odrętwiała. Wyglądał na autentycznie wstrząśniętego.

Petra kontynuowała łagodniejszym głosem.

- Przykro mi, proszę pana, wiem, że sytuacja jest dla pana stresująca. Jednakże czasami szczegóły, które przychodzą do głowy podczas stresu są naprawdę cenne. A wiem, że pragnie pan nam pomóc w odnalezieniu zabójcy żony.

Z rozmysłem powiedziała „żona”, a nie „była żona”. Chciała sprawdzić, czy Ramsey ją poprawi.

Nie zrobił tego, tylko słabo pokiwał głową.

Balch zaczął coś mówić, Petra jednak przerwała.

- Wie pan, skąd brała narkotyki, panie Ramsey?

- Nie. Powtarzam, że nie była narkomanką. Wąchała dla zabawy i tyle. Z tego co wiem, nigdy nie kupowała, tylko brała „na sępa”.

- Od kogo?

- Nie mam pojęcia. Nie należę do tego światka. - Usiadł prosto. - Zdobycie narkotyku w branży rozrywkowej nie nastęrcza szczególnych trudności. Chyba nie muszę wam tego tłumaczyć. Czy tam było... zdarzyło się coś... co wskazuje na związek z narkotykami?

- Nie, proszę pana. Zaczynamy dokładnie od zera.

Ramsey zmarszczył brwi i wstał. Balch rzucił się w jego stronę i stanął obok niego.

- Przepraszam, naprawdę muszę odpocząć. Dopiero co wróciłem z rekonesansu plenerowego nad Jeziorem Tahoe, niewiele wypoczywałem przez dwa ostatnie dni. W samolocie czytałem scenariusze, potem Greg kazał mi podpisywać papiery, obaj zasnęliśmy dość wcześnie. A teraz coś takiego. Jezu!

Petra zauważyła, że Ramsey nieproszony przedstawił im drobiazgowy alibi. Niby zmęczony, lecz na tyle rześki, by od rana grać w golfa!

Wszyscy czterej detektywi słuchali go z uwagą. Żaden się nie odezwał. Nie wolno im było drążyć zbyt głęboko.

Balch przerwał milczenie.

- To były naprawdę męczące dni. Obaj byliśmy straszliwie wyczerpani.

- Został pan tutaj na noc, panie Balch? - spytała Petra, wiedząc, że stąpa po niebezpiecznym gruncie. Zerknęła na Stu, który lekko skinął głową.

- Tak. Zdarza mi się to od czasu do czasu. Mieszkam w Rolling Hills Estates, a nie lubię prowadzić samochodu, kiedy jestem zmęczony.

Oczy Ramseya były szkliste. Patrzył na podłogę.

Stu ponownie skinął głową Petrze i detektywi wstali. Stu podał aktorowi wizytówkę, którą ten włożył do kieszeni bez czytania. Cała szóstka skierowała się ku frontowym drzwiom. Obok Petry nagle znalazł się Ramsey.

- Więc zadzwoni pani do rodziców Lisy, pani detektyw?

- Tak, proszę pana. - odparła, mimo iż oferta wyszła od Stu.

- Doktor John Everett Boehlinger. Matka Lisy ma na imię Vivian. - Wyrecytował numer i poczekał, aż Petra go zapisze. Balch i reszta detektywów szli kilka metrów przed nimi. Zbliżali się już do szklanej ściany garażu.

- Chagrin Falls w Ohio, tak? - spytała Petra.

- Zabawna nazwa, prawda? Jak gdyby każdy mieszkaniec żałował, że tam mieszka. Lisa na pewno żałowała. Kochała Los Angeles.

Petra uśmiechnęła się. Ramsey odpowiedział uśmiechem.

Czuła, że ją ocenia. Ale nie jako policjantkę. Jako kobietę. Zasmucony były mąż wciąż ją lustrował i szacował.

Nie lubiła tego rodzaju spojrzeń. Nie uważała się za męską maskotkę, jednak świetnie wyczuwała, kiedy mężczyźni oszacowują jej wartość jako kobiety.

- Los Angeles było, wprost stworzone dla Lisy - oznajmił Ramsey, gdy ruszyli dalej. - Kochała energię tego miasta.

Dotarli do szklanej ścianki. Petra wyciągnęła rękę.

- Dziękuję panu. Przykro mi, że musiał pan przez to przejść.

Ramsey chwycił jej dłoń, przytrzymał ją, ścisnął. Jego była sucha i ciepła.

- Wciąż jeszcze nie mogę uwierzyć w to, co się stało. Dla mnie to zdarzenie jest nierealne... niczym scenariusz. - Zagryzł wargę, potrząsnął głową, puścił jej rękę. -

Prawdopodobnie nie będę w stanie zasnąć, ale pewnie powinienem spróbować, zanim wpadną tu sępy.

- Media?

- To tylko kwestia czasu... Nie dacie im mojego adresu ani numeru, prawda?

Zanim Petra zdołała cokolwiek odpowiedzieć, wezwał na pomoc Balcha.

- Powiedz w wartowni, żeby nikogo do nas nie wpuszczali. Zadzwoń zaraz.

- Jasne. - Balch pospiesznie odszedł.

Petra dotknęła szklanego przepierzenia, uniosła brwi i ostentacyjnie zapatrzyła się w samochody.

Ramsey wzruszył ramionami. Jak na mężczyznę w średnim wieku, często zachowywał się bardzo chłopięco.

- Zbieramy zabawki, aż nagle zdajemy sobie sprawę z ich niewielkiego znaczenia.

- A jednak - zauważyła Petra - nie ma nic złego w posiadaniu ładnych rzeczy.

Ramsey zamrugał błękitnymi oczyma.

- Chyba nie.

- Który to rocznik ferrari?

- Siedemdziesiąty trzeci - odparł. - Daytona spider. Kiedyś należał do naftowych szejków.

Nabyłem go na aukcji. Trzeba go regulować co tydzień, a godzina za kółkiem jest zabójstwem dla kręgosłupa, jednak... to dzieło sztuki.

Jego głos podniósł się z entuzjazmu. Najwyraźniej Ramsey uświadomił sobie ten fakt, ponieważ skrzywił się, po czym potrzęsnał głową.

Starając się nadać swoim słowom lekki ton, Petra spyła:

- Co stało tam, w pustym miejscu?

- Moje codzienne cztery kółka.

- Lexus?

Spojrzał uważnie na korytarz wejściowy, w którym stało pozostałych trzech detektywów.

- Nie, to samochód Grega. Ja jeżdżę mercedesem... Dziękuję za życzliwość, pani detektyw. I za zawiadomienie rodziców Lisy. Pozwólcie, że was odprowadzę do bramy.

*

Oba policyjne samochody opuściły teren osiedla i zjechały cichą boczną drogą. Gdy domy ustąpiły miejsca polom, Stu dał znak jadącym z tyłu detektywom z biura szeryfa, by zjechali na bok. Wszyscy czworo wysiedli. De la Torre palił papierosa.

- Zapewnił sobie alibi - zagaił. - Że niby całą noc spędził w domu ze starym dobrym

Gregiem. A zauważyliście, jak się zarzekał, że nie chce żadnych publicznych wystąpień?

- Jasne - odparł Banks. - Próbował się odciąć od całej sprawy. Oficjalnie przed nami, a prywatnie niedługo pewnie sam zacznie w to wierzyć.

- Może i tak - powiedział Stu i popatrzył na Petrę.

- Interesujące - odezwała się. - Podobnie jak temat narkotyków, który poruszył, nie spytany. Potem, kiedy spytaliśmy o szczegóły, udawał, że pragnie chronić reputację swojej eks-pani.

- Moim zdaniem jest umoczony jak cholera - ocenił de la Torre. - To pseudoalibi szczególnie mnie wkurzyło. No powiedzcie sami. Ktoś zaszlachtował twoją starą, ty jesteś czysty, w domu zjawia się policja, by cię powiadomić, a ty co robisz? Czujesz nieodpartą potrzebę poinformowania ich, że w noc morderstwa poszedłeś wcześniej do łóżka?

- Zgadzam się, że to podejrzane - powiedziała Petra. - Weźcie jednak pod uwagę, że facet ma na sumieniu akt przemocy małżeńskiej, która niezwykle się upubliczniła od czasów O. J. Simpsona. Ramsey wie, że będziemy mu się przypatrywać i ma powód, by się zabezpieczyć.

- Niemniej jednak - wtrącił de la Torre - nazbyt to, cholera, cwaniackie. Facet kręci program o zbrodniach i dlatego sądzi pewnie, że zna wszystkie sztuczki. - Odchrząknął i palił dalej w milczeniu.

Petra przypomniała sobie spojrzenie aktora. Zastanowiła się nad nim. Żaden z detektywów nie wspomniał o tej sprawie. Czy powinna z nimi o niej pomówić? Chyba nie, bez sensu.

- Nienawidzę programów o gliniarzach - oświadczył de la Torre. - Do trzeciej reklamy dranie łapią wszystkich parszywych zgniłków, obniżając tym moje poczucie własnej wartości.

- Ramsey nie gra w tym programie gliniarza - zauważył Banks. - Jest prywatnym detektywem, uszczęśliwaczem ludzkości o wyglądzie *macho*, który chroni ludzi i rozwiązuje ich problemy, gdy policja nie potrafi sobie poradzić.

- To jeszcze gorzej. - de la Torre przygładził wąsa.

- Niby płakał, niby był załamany, ale zachował się całkiem praktycznie, każąc Balchowi zadzwonić na wartownię - stwierdził Banks. - Żona jeszcze nie ostygła, a on martwi się jedynie tym, jak ocalić tyłek przed atakiem mediów.

- Hej - mruknął de la Torre - koleś jest dużą pieprzoną gwiazdą telewizyjną. - Wydmuchnął dym. - No dobra... co możemy dla was zrobić?

- Przejrzyjcie lokalne akta, sprawdźcie, czy były jakieś zgłoszenia na temat przemocy małżeńskiej - odparł Stu. - Albo coś innego na niego. Tylko postępujcie dyskretnie. Nikt nie może nawet podejrzewać, że przyglądamy się Ramseyowi.

- A co to było: wizyta z kondolencjami? W cztery osoby?

- Zgadza się.

- Kupił to?

- Może i kupi. Jest przyzwyczajony do szczególnego traktowania.

- Okej - mruknął z namysłem Banks. - Przejrzymy papiery. Po cichu. Coś jeszcze?

- Na razie nic więcej nie przychodzi mi do głowy - odrzekł Stu. - Jestem jednak otwarty na sugestie.

- Chyba - roześmiał się de la Torre - powinniśmy pójść do kościoła i pomodlić się za was.

Ta sprawa nie będzie łatwa.

- Pomódlcie się tak czy owak - stwierdziła Petra. - Przyjmiemy wszelką pomoc.

Banks uśmiechnął się do niej.

- Zauważyłem, że rozmawialiście przy szklanej ścianie. Powiedział ci, jakiego samochodu brakuje?

Petra przez chwilę mierzyła go wzrokiem.

- Jego codziennych czterech kółek. Mercedesa.

- Sądzisz, że teraz go czyszczą?

- Możliwe - przytaknęła. - Tyle krwi... Siedzenia mogły się pobrudzić.

- Nie było na miejscu zbrodni odcisków butów?

- Nie - odburknął Stu. - Facetowi udało się nie wdepnąć w krew.

- To znaczy, że się cofnął. Albo odepchnął ofiarę. A może po prostu dobrze się przygotował.

Stu przemyślał spostrzeżenie z zaciśniętymi ustami.

- Chciałbym mieć nakaz na tego mercedesa, lecz niczego nie dostaniemy bez dowodów.

- Ramsey pewnie się czegoś nauczył podczas kręcenia tych swoich programów - zauważył de la Torre. - Pewnie zna świetne metody tuszowania zbrodni. Tyle że po gwiazdach zawsze ktoś musi posprzątać. Menedżer, agent, warsztat... Ale o czym ja mówię. To przecież wasza sprawa. Powodzenia.

Uścisnęli sobie dłonie i detektywi szeryfa odeszli.

- Wyglądali na przyzwoitych - rzuciła Petra.

Wrócili do forda. Kiedy Stu go uruchomił, upewniła się:

- Czy nie naciskałam za bardzo na Ramsey'a?

- Mam nadzieję, że nie.

- Co myślisz o tych wszystkich samochodach?

- To było do przewidzenia. Gwiazdy nieustannie chcą mieć wszystko, co najlepsze.

W jego głosie dosłyszała złość.

- Sądysz, że on również?

- Bardzo prawdopodobne. Kiedy wrócimy, powiadomię rodzinę.

- Ja to zrobię - zaoferowała się Petra, nagle irracjonalnie pragnąc nawiązać kontakt z rodziną Lisy. Porozmawiać o Lisie.

- Nie, zostaw to mnie. - Ruszył. Jego wykrochmalony kołnierzyk był trochę brudny, a na brodzie pojawiły się blond igiełki zarostu. Nie spali od ponad dwudziestu czterech godzin. A jednak Petra czuła się dobrze.

- Naprawdę nie ma problemu, Stu. Zadzwoń.

Oczekiwała kłótni, lecz partner ustąpił i spytał:

- Jesteś pewna?

- Absolutnie.

- Zawiadamiałaś rodzinę w sprawie Gonzalesa i Chouinarda. Pamiętam, że nie było przyjemnie.

Dale Chouinard był robotnikiem budowlanym, którego pobito na śmierć przed tawerną na bulwarze Cahuenga. Petra poinformowała jego dwudziestoczteroletnią żonę, że jej czworo dzieci poniżej szóstego roku życia zostało sierotami. Sądziła, że rozegrała to odpowiednio. Pocieszała kobietę, podtrzymywała ją na duchu i pozwalała jej się wypłakać na swoim ramieniu. Potem, w kuchni, pani Chouinard wpadła w szał i rzuciła się na Petrę. Niemal wydrapała policjantce oko.

- Nie martw się, przez telefon nikt mnie nie uderzy.

- Chyba lepiej sam zadzwonię, Petro - nalegał.

Wiedziała jednak, że nie miał na to ochoty. Na początku ich znajomości wyznał jej, że tej części pracy najbardziej nienawidzi. Pomyślała, że jeśli go wyręczy, Stu uzna ją może za idealną partnerkę, otworzy się przed nią i powie, co go gryzie.

- Zrobię to, kolego. Chętnie też porozmawiam ze służącą.

- Ze służącą Lisy?

- Ramseya. O ile zdołam ją wyciągnąć z domu tak, by się nie dowiedział. Ale ze służącą Lisy również mogę pogadać.

- Z Estrellą Flores chwilowo się wstrzymaj - poradził Stu. - To zbyt ryzykowne. - Wyciągnął notes i przekartkował. - Pokojówka Lisy ma na imię Patricia... Nazywa się Kasempitakpong. - Starannie i bardzo powoli wymówił trudne nazwisko. - Prawdopodobnie Tajka. Mundurowi zatrzymali ją, jeśli jednak dziewczyna zechce wyjechać, nikt nie zdoła jej powstrzymać przed odlotem do Bangkoku. Może też zadzwonić do „National Enquirer”.

- Pojadę tam natychmiast po telefonie do rodziców Lisy.

Stu podał jej adres na Doheny Drive.

- Przy wsparciu biura szeryfa może uda nam się przycisnąć Ramseya - oceniła Petra.

- Tak, ale nie możemy narażać żadnego z departamentów na złą prasę.

- Wiem. - W zeszłym miesiącu media zaatakowały biuro szeryfa za wypuszczanie na wolność morderców (powodem były jakieś papierkowe niedociągnięcie), za zbyt kosztowne żywienie więźniów hrabstwa (z pieniędzy podatników) i marnowanie milionów dolarów. Pół roku wcześniej kilku ludzi szeryfa zostało aresztowanych za dokonanie poza służbą napadu z bronią w rękę, a pewnego nowicjusza znaleziono nagiego i oszołomionego, jak włóczył się po wzgórzach w pobliżu posterunku Malibu.

- Ten adres coś mi przypomina... - zamyślił się Stu. - Kilka przecznic od „Chasen”. Rozkopali ten teren. Zamierzają tam chyba zbudować centrum handlowe.

- O rany! - mruknęła Petra. - Nie będzie już więcej proszonych kolacyjek w „Chasen”, kolego.

- Pamiętam szczególnie jedną - odparł. - Byłem szefem ochrony podczas wesela. Córka znanego w przemyśle prawnika, goście - same wielkie gwiazdy.

- Nie wiedziałam, że bawiłeś się w takie rzeczy. - „Także takie!” - dodała w myślach.

- Och, to było przed laty. Głównie nuda i męka. Chociaż wtedy lubiłem „Chasen”. Nakarmili mnie. Chili, żeberka, stek. Wspaniały lokal, pierwszorzędna atmosfera. Ulubiona restauracja Reagana... No tak, pogadaj z tajsą służącą i powiadom rodziców Lisy, ja zaś przed pójściem do domu zastanowię się, z kim z przemysłu mógłbym pogawędzić o Ramseyu, spróbuję zdobyć nakaz na mercedesa i sprawdzę, co ma koroner i technicy. Jeśli czegoś się dowiem, zawiadomię cię. Co jeszcze?

- Zadzwoń do firmy telefonicznej, sprawdzę rachunki Lisy.

- Dobry pomysł.

Rutynowa procedura.

- Stu, jeśli Ramsey jest zabójcą, w jaki sposób go ruszyć?

Brak odpowiedzi.

- Wiesz, uważam, że to ważne - Petra przerwała przedłużające się milczenie. - Powinniśmy zrobić wszystko, by odkryć mordercę dziewczyny!

Przesunął palcami po włosach i poprawił rypсовy krawat.

- Musimy się posuwać małymi krokami - odezwał się w końcu. - Działaj najlepiej, jak potrafisz. To samo mówię moim dzieciom o szkole.

- Chcesz powiedzieć, że jesteśmy w tej sprawie jak dzieci?

- W pewnym sensie.

Rozdział 11

Małpy są największymi krzykaczami. Jest dopiero szósta rano, a te już się drą w niebogłosy.

Za cztery godziny ZOO zostanie otwarte. Bywałem tutaj, gdy ogród roił się od ludzi. Przeważnie panował straszny gwar, ale czasami wyłapywałem poszczególne słowa, na przykład gdy małe dzieci krzyczały: „O, lody!” albo „O, lwy!”

Kiedy ludzie chodzą po ZOO, zwierzęta milkną, za to w nocy przechodzą same siebie. Najgorszy jest ten małpi wrzask i jeszcze jeden odgłos: ciężkie, basowe, zmęczone sapanie... Może to nosorożec. Jakby krzyczał: „Zabierzcie mnie stąd! Przecież ludzie mnie tu wpakowali. Nie wyobrażacie sobie, jaka to dla mnie męczarnia!”

Gdyby drapieżniki kiedykolwiek wydostały się z klatek, pobiegłyby prosto do zagród roślinożerców - powolnych i bezbronnych - rozszarpałyby je i zeżarły razem z kośćmi.

Mniej więcej miesiąc temu obejrzałem dokładnie płot z drutu kolczastego otaczający ogród zoologiczny. Znalazłem wejście na samym szczycie, ponad wybiegami dla zwierząt Afryki. Napis na płocie brzmiał: „NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY. WEJŚCIE TYLKO DLA PERSONELU ZOO”. Z daleka zauważyłem lśniąca kłódkę, jednak brama była otwarta. Przemknąłem się przez nią, uszedłem może z kilkaset metrów i znalazłem się na parkingu pełnym małych jasnobrązowych pojazdów elektrycznych, którymi jeżdżą po ogrodzie pracownicy. Za parkingiem stały budynki, które pachniały zwierzęcym gównem. Ich cementowe posadzki niedawno polano wodą. Nieco dalej dostrzegłem gęstą roślinność i dróżkę z kolejnym znakiem: „PRZEJŚCIE TYLKO DLA OSÓB UPOWAŻNIONYCH”.

Bez wahania wszedłem do ZOO. Dotarłem do dużej klatki dla ptaków otoczonej dorosłymi i wrzeszczącymi dzieciakami. Potem obszedłem cały ogród. Świetnie się tego dnia bawiłem, uważnie studiując tablice, które opowiadały o pochodzeniu zwierząt, ich diecie i zagrożonych gatunkach. W terrarium widziałem kobrę królewską. Nikt w ZOO nie patrzył na mnie dziwnie. Po raz pierwszy od dawna byłem zrelaksowany i czułem, się normalnie.

Miałem przy sobie trochę pieniędzy, więc kupiłem lody bananowe, karmelowe chrupki i colę. Zjadłem wszystko zbyt szybko i rozboleł mnie brzuch, ale nie przejąłem się tym. I tak

czułem się jak nowo narodzony.

Dziś znów spróbuję tam wejść.

Choć nie wiem, czy powinienem. Muszę się upewnić, że nie należę do zagrożonych gatunków.

*

Nie mogę przestać myśleć o tamtej kobiecie i o tym, co zrobił jej ten facet.

Straszne! Okropne! Najpierw ją ścisnął, a chwilę potem dźgał bez końca. Trach, trach, trach... Czemu ludzie robią sobie takie rzeczy?

Dlaczego Bóg na to pozwala?!

Boli mnie żołądek. Zrobiłem pięć głębokich oddechów, aby go uspokoić.

Zwykle po całonocnym marszu nogi w ogóle mnie nie bolały, teraz jednak strasznie mnie bolą, a w dodatku tenisówki wydają się za ciasne. Zdjąłem je. Zdjąłem też skarpetki. Chyba urosła mi noga. Buty co jakiś czas robią się za ciasne. Są stare, przywiozłem je tu ze sobą. No i na podszewkach w kilku miejscach prawie się już przetarły.

Wystawiłem gołe stopy na wiatr, poruszałem w lewo i w prawo palcami u nóg.

Później rozwinę plastikową płachtę.

Ach... co za ulga.

W kryjówce numer pięć nie ma wody do kąpieli. Czy nie zaziębię się, jeśli pójdę do ZOO, wskoczę do sadzawki morskiego lwa i popływam? Morskie lwy są głupie i nie wiedzą, co się wokół nich dzieje. Ale muszę się kontrolować, by nie śmiać się zbyt głośno.

Śmierzę moczem. Nienawidzę brudu i smrodu, nie chciałbym się przemienić w jednego z tych kloszardów ciągnących wózki z rupieciami. Można ich wyczuć na kilometr.

Zawsze uwielbiałem kąpiel pod prysznicem, jednak odkąd wprowadził się Baran-Moran, nigdy nie udawało mi się skorzystać z gorącej wody. Co prawda on się nie kąpał, za to mama chciała dla niego ładnie pachnieć, więc często po pół godziny tkwiła pod prysznicem, a potem spryskiwała się perfumowanym dezodorantem.

Dlaczego zależało jej, żeby zrobić na nim wrażenie? Po co się zadawała z tymi wszystkimi frajerami?

Wiele czasu poświęciłem rozmyśleniom o mamie. Doszedłem tylko do jednego wniosku - moja mama chyba nie lubiła siebie za bardzo.

Wiem, że to prawda, ponieważ kiedy stłukła jakiś przedmiot albo coś jej nie wyszło, na przykład zacięła się przy goleniu nóg, przeklinała siebie głośno i obrzucała się wyzwiskami. Gdy wprowadził się Baran, nieco się opanowała, ponieważ on stale się odgrażał, że ją

grzmotnie, jeśli się nie zamknie.

Wchodziłem czasami do łazienki, siadałem obok mamy, gładziłem po włosach i pytałem: „O co chodzi, mam?” Zawsze jednak mnie zbywała, mówiąc: „Nic, nic”. W jej głos wyczułem gniew, więc w końcu przestałem próbować.

Potem pewnego dnia zrozumiałem, że płacze przeze mnie. Ponieważ jej się przydarzyłem, ponieważ starała się mnie wychować, a uważała, że nie potrafi.

Mój widok ją zasmucał.

Myślałem o tym przez długi czas i uznałem, że najlepiej zrobię, jeśli nauczę się jak najwięcej, zdobędę dobrą pracę, a później zaopiekuję się mamą. Jeśli zobaczy, że dobrze sobie radzę, może przestanie się czuć tak okropnie bezwartościowa.

*

Słońce - gorące i pomarańczowe - przesuwają się wśród drzew. Jestem potwornie zmęczony, lecz i tak nie zdołam zasnąć. Czas rozwinąć plastik.

Używam plastikowych toreb z pralni chemicznej do owijania i noszenia rzeczy oraz ochrony ich przed deszczem i błotem. Każda warstwa jest zadrukowana ostrzeżeniem, że niemowlęta mogą się w nich udusić. Torby są cienkie i łatwo się dra, lecz jeśli złożyć je po trzy na raz, stają się bardzo mocną i doskonałą osłoną. Przeważnie znajduję je w śmietnikach, trzymam zwinięte we wszystkich pięciu kryjówkach: pod skałami, w jaskini, wszędzie...

W kryjówce numer pięć najfajniejsze jest drzewo - ogromny eukaliptus z okrągłymi, srebrno-błękitnymi liśćmi, które pachną jak dropsy na kaszel. Wiem, że nazywa się eukaliptus, ponieważ kiedyś zatrzymałem się w ogrodzie zoologicznym przy klatce misiów koala. Cały teren był porośnięty dokładnie tym samym gatunkiem, obok wisiała etykieta z napisem: EUCALYPTUS POLYANTHEMUS. Z opisu wynikało, że misie koala jedzą wyłącznie liście *eucalyptus polyanthemus* i nie żywią się niczym innym, co skłoniło mnie do zastanowienia, jak bym się czuł, gdybym tkwił w kryjówce numer pięć bez jedzenia - z wyjątkiem tych drzew. Spytałem dziewczynę z personelu ZOO. Uśmiechnęła się i odparła, że nie wie, ale sama woli hamburgery.

„Moje” drzewo ma pień tak gruby, że ledwie mogę go objąć. Gałęzie eukaliptusa zwisają bardzo nisko, wręcz dotykają ziemi. W środku człowiek się czuje jak w srebrno-błękitnej chmurze. Tuż obok pnia, ukryty za konarami, leży wielki, płaski, szary kamień. Z wyglądu wydaje się cięższy niż jest w rzeczywistości; daję radę trochę unieść i wsunąć pod niego coś, a potem utrzymać go przez moment nisko na ziemi, tak jak się podnosi lewarkiem oponę. Niewiele czasu zabrało mi rozkopanie ziemi pod kamieniem i stworzenie schowka. Teraz,

gdy kamień leży na swoim miejscu, działa jak zapadnia.

Dzisiaj podnoszenie idzie mi niesporo, ponieważ bolą mnie ramiona od całonocnego targania mojego dobytku z kryjówki numer dwa, ale użyłem buta do podparcia skały i wyjąłem ze schowka rzeczy owinięte w plastik. Majtki od Calvina Kleina (dwie sztuki), które kupiłem w zeszłym miesiącu w Los Feliz na podjazdowej wyprzedaży (zbyt duże na mnie, z haftem „LARRY R.” po wewnętrznej stronie paska); gdy wymoczyłem je w strumieniu Fern Dell, poszarzały, lecz przynajmniej są teraz czyste. Mała latarka i dwie baterie-paluszki. Zamknięta paczka wędzonej wołowiny, którą buchnąłem w „Pink Dot” na Bulwarze Zachodzącego Słońca. Ówierćlitrowa butelka coli i całe pudełko miodowo-orzechowych Cheerios; kupiłem je następnego dnia w tym samym markecie, ponieważ czułem się źle z powodu kradzieży mięsa. Stare czasopisma, które znalazłem za czyimś domem na Argyle Street - „Westways”, „People”, „Reader's Digest” - oraz karton po jednoprocetowym mleku firmy Knudsen; w kartonie trzymałem długopisy i ołówki, obrazki, zwinięty papier notesowy i inne drobiazgi.

Na kartonie widnieje chłopięca twarz czarnego dzieciaka nazwiskiem Rudolfo Hawkins, którego porwano pięć lat temu. Rysunek pochodzi z czasu, gdy chłopiec miał sześć lat. Ma na sobie białą koszulę, krawat i uśmiecha się; może zdjęcie zrobiono podczas jego urodzinowego przyjęcia lub innej szczególnej okazji.

Obok rysunku jest informacja, że z Compton w stanie Kalifornia chłopca porwał własny ojciec i teraz mogą przebywać w Scranton, w stanie Pensylwania albo w Detroit, w stanie Michigan. Często patrzyłem na obrazek i zastanawiałem się, co się stało z malcem. Minęło pięć lat, więc chyba już wszystko dobrze... Przynajmniej nie porwał go żaden zboczeniec, tylko ojciec.

Pewnie chłopiec szczęśliwie wrócił do Compton i mieszka teraz z matką.

Znów pomyślałem o mamie. Czy mnie szuka? Nie wiem.

Kiedy byłem mały - miałem pięć, sześć lat - często mi mówiła, że mnie kocha. Stanowiliśmy parę, tylko my dwoje przeciw całemu pieprzonemu światu. Potem zaczęła więcej pić i ćpać, i zwracała na mnie coraz mniejszą uwagę. A kiedy Baran się wprowadził, stałem się niewidzialny.

Czy zatem mnie szuka?

Nawet gdyby chciała, czy wiedziałaby jak się za to zabrać? Przecież nie ma wykształcenia.

Baran-Moran byłby problemem. Powiedziałby coś w rodzaju: „Olej tego małego kutasa, Sharla. Nie jest ci potrzebny, chuj z nim. Lepiej daj mi *nachos*”.

Ale nawet pomijając Barana, nie mam pojęcia, jak mama się czuje. Może jest smutna, że odszedłem, a może na mnie zagniewana.

A może czuje ulgę. Nigdy nie chciała mnie mieć. Sądzę, że radzi sobie najlepiej, jak potrafi.

Wiem, że na początku dobrze się mną zajmowała, ponieważ widziałem zdjęcia z czasów, kiedy byłem małym dzieckiem. Mama trzyma te zdjęcia w kopercie w kuchennej szufladzie; wyglądam na nich zdrowo i szczęśliwie. Oboje dobrze wyglądamy. Zrobiono je w Boże Narodzenie, za nami stoi choinka obwieszona lampkami. Mama trzyma mnie w górze niczym jakieś trofeum, na twarzy ma szeroki uśmiech w rodzaju: „Och, popatrzcie, co dostałam na Gwiazdkę”.

Urodziłem się dziesiątego sierpnia, w święta miałem więc cztery i pół miesiąca. Moja głowa na zdjęciu jest toporna i tłusta, z różowymi policzkami i łysa. Mama jest blada i chuda. Ja mam na sobie głupkowaty błękitny strój marynarski. Nie pamiętam u mamy tak wielkiego uśmiechu, czyli że musiała być szczęśliwa właśnie z mojego powodu, przynajmniej na początku.

Jako że jej rodzice zginęli w tamtym wypadku samochodowym przed moim urodzeniem, cóż innego mogłoby ją skłonić do takiego uśmiechu?

Z tyłu fotografii znajdowały się naklejki z napisem: „PRZYTUŁEK DOBREGO PASTERZA, MODESTO. KALIFORNIA”. Spytałem ją o to miejsce i powiedziała, że to katolicki przytułek i chociaż nie jesteśmy katolikami, mieszkaliśmy tam, gdy byłem niemowlęciem. Kiedy próbowałem naciskać o szczegóły, zabrała zdjęcia i powiedziała, żebym sobie nie zaprzętał tym głowy.

Tej nocy mama bardzo długo płakała, a ja wczytałem się w książkę Jacques’a Cousteau, aby nie słuchać jej szlochów.

Wtedy już jej chyba nie uszczęśliwiałem.

Dość tych rozmyślań, czas rozwinąć plastik z kryjówki numer dwa. Co my tu mamy? Szczoteczkę do zębów i żel Colgate - darmowe próbki, które wyjąłem z czyjejś skrzynki na listy. Na przesyłce nie było nazwiska, do nikogo zatem nie należały. Kolejna para majtek, prawdopodobnie wydobyta ze śmietnika za jednym z wielkich domów na krańcu parku, saszetki z keczupem, musztardą i majonezem zabrane z restauracji. Moje książki...

Tylko jedna książka. Algebra.

Gdzie jest biblioteczna książka o prezydentach? Musi być gdzieś w torbie. Użyłem trzech warstw... Nie, nie tutaj. Wypadła, kiedy się rozpakowywałem? Nie... Upuściłem ją w pobliżu?

Wstaję, rozglądam się.

Nie ma jej.

Cofam się drogą, którą przyszedłem.

Nie znajduję książki.

Chyba upuściłem ją w ciemnościach.

Och, nie! Cholera. Planowałem oddać ją kiedyś do biblioteki.

Teraz jestem złodziejem.

Rozdział 12

Stu wysadził Petrę przed posterunkiem i odjechał.

Gdy znalazła się z powrotem przy swoim biurku, zadzwoniła do informacji w Cleveland i poprosiła o numer doktora Boehlingera w Waszyngtońskim Szpitalu Uniwersyteckim. Podano jej również numer domowy. Najwyraźniej w Chagrin Falls ludzie byli ufni.

Wystukała numer, odezwała się automatyczna sekretarka - damski głos.

Z powodu różnicy w czasie w Ohio było popołudnie. Czyżby pani Boehlinger wyszła na zakupy? Jaką okropną wiadomość Petra miała jej do przekazania! Wyobraziła sobie matkę Lisy krzyczącą, łkającą, może rzucającą sprzętami w bezsilnej rozpacz.

Przypomniała sobie teatralną rozpacz Ramseya, jego prawie suche oczy. Kiepski aktor niezdolny wydusić z siebie parę łez?

Odłożyła słuchawkę, uznając, że nie wypada zostawiać takich wieści na automatycznej sekretarce. Wystukała numer szpitala. Gabinet Boehlingera nie odpowiadał. Wezwano go przez interkom, ale nie zjawił się.

Nie poczuła ulgi, wiedziała bowiem, że prędzej czy później będzie musiała wypełnić przykre zadanie. Zadzwoniła do firmy telefonicznej. Kilkakrotnie ją przełączano, zanim trafiła do odpowiedniej osoby - kobiety o sympatycznym głosie. By uzyskać całoroczny billing, należało wypełnić mnóstwo papierów, lecz rozmówczyni Petry obiecała przefaksować ostatni rachunek, gdy tylko go odnajdzie. Policjantka podziękowała jej, po czym opuściła posterunek i pojechała na Doheny Drive, by pomówić ze służącą Lisy, Patsy o trudnym do wypowiedzenia nazwisku.

Na Bulwarze Zachodzącego Słońca był korek, więc Petra skręciła w Cahuenga, pojechała na południe do Beverly Boulevard i przejechała całkiem szybko. Podczas jazdy zabijała czas jedną ze swoich ulubionych rozrywek intelektualnych - wyobraziła sobie tajską służącą:

młoda, drobna, rezolutna, ledwie umie mówić po angielsku. Siedzi w kolejnym kremowym pokoju, przerażona wszystkimi tymi policjantami, którzy udają silnych i milczą, niczego jej nie tłumacząc.

Budynek mieszkalny na Doheny miał dziesięć pięter i kształt bumerangu. Hol był niewielki, cztery ściany inkrustowanych złotymi ornamentami luster, rośliny doniczkowe i imitacja krzeseł Ludwika XIV. Pomieszczenia strzegł młody Irańczyk o nerwowej twarzy i w błękitnym blezerze. Z identyfikatora wynikało, że nazywa się „A. RAMZISADEH”. Towarzyszył mu umundurowany policjant. Petra pokazała odznakę i rzuciła okiem na stojące na biurku dwa monitory. Czarnobiałe obraz niekończących się korytarzy, nikogo, żadnych ruchów; obraz przesuwał się co kilka sekund.

Strażnik lekko uściśnął jej dłoń.

- Straszne! Biedna panna Boehlinger. Tu nigdy by się coś takiego nie zdarzyło.

Petra przybrała życzliwy ton.

- Kiedy ostatnio ją pan widział?

- Chyba wczoraj... Przyszła do domu z pracy o osiemnastej.

- Nie dzisiaj?

- Nie, przykro mi.

- W jaki sposób mogła wyjść niezauważona?

- Na każdym piętrze są dwie windy. Jedna od frontu, druga od tyłu. Tylna prowadzi do garaży.

- Bezpośrednio na ich poziom?

- Większość ludzi dzwoni do nas, by im podstawić samochód.

- Ale pani Boehlinger nie zadzwoniła.

- Nie, zawsze prowadziła sama. Zjeżdżała prosto do garażu.

Petra postukała w jeden z ekranów.

- Czy monitorujecie również garaż?

- Jasne, proszę spojrzeć. - Ramzisadeh wskazał na czarno-biały obraz. Półmrok, niewyraźne kontury samochodów, jedynie od czasu do czasu błyski karoserii i zderzaków.

- Winda jest tam - powiedział.

- Zachowujecie taśmy?

- Nie.

- Więc w żaden sposób nie można się dowiedzieć, o której godzinie pani Boehlinger wyszła?

- Nie, proszę pani.

Petra ruszyła do windy. Podszedł do niej policjant.

- Niezbyt pomocny, co? - Wcisnął guzik. - W górę, na sam szczyt. Tysiąc siedemnaście.

*

Drzwi do mieszkania Lisy Ramsey były zamknięte, choć nie na klucz. Kiedy Petra weszła, zobaczyła służącą, siedzącą na skraju tapczanu. Tak bardzo przypominała to, co wcześniej Petra sobie wyobraziła, że aż zaparło jej dech. Dziesięć punktów w skali do dziesięciu. Cóż za intuicja!

Patricia Kasempitakpong mierzyła najwyżej metr pięćdziesiąt pięć, ważyła może ze czterdzieści pięć kilo. Miała ładną twarz w kształcie serca pod gęstą czupryną długich, lakierowanych, hebanowych włosów. Nosiła beżową bluzkę z bawełny, błękitne džinsy i czarne półbuty na płaskim obcasie. Na sofie leżało równie dużo poduszek jak na tej w domu Carta Ramsey, lecz wcale nie były kremowe (na tym trafne przepowiednie Petry się skończyły).

Mieszkanie Lisy Ramsey było niezwykle kolorowe. Czerwono-błękitne aksamitne tapczany przykryte frędzlowymi kapami, parkietowe podłogi muśnięte czernią, dywanik ze skóry zebry rzucony na drewno; dywan z prawdziwej zebry - głowa zwierzęcia spoczywała obok wypełnionego żółtymi żonkilami wazonu z czarnego szkła.

Z tego, co Petra widziała, mieszkanie było małe. Kuchnię stanowiła tylko nisza polakierowanego na biało drewna z szarą kafłową ladą. Sufity były niskie i płaskie. Zwyczajny, typowy dla Los Angeles jednoosobowy apartament. Tym niemniej z okien i rozsuwanych szklanych drzwi rozciągał się fantastyczny widok na zachodnią część miasta, aż do oceanu. Za drzwiami znajdował się wąziutki balkon. Pusty. Nie stały na nim ani fotele, ani palmy w doniczkach. Nad horyzontem wisiał pas smogu.

Dwóch mundurowych podziwiał krajobraz. Odwrócili się do Petry jedynie na chwilę, w której zdążyła błysnąć odznaką. Pod ścianą za Patricią „Kasem-cośtam” stała otwarta czarna metalowa szafka, mieszcząca czarny sprzęt stereo i dwudziestopięciocalowy telewizor.

Petra nie zauważyła ani jednej książki.

Nie dostrzegła ich również w mieszkaniu Ramsey. Nuda podstawą związku?

Ostre kolory sugerowały, że Lisa zmęczyła się pastelami. A może nigdy ich nie lubiła.

Zatem kremowy i różowy prawdopodobnie wybrał Ramsey. Czyżby z tymi barwami kojarzył mu się dobry gust? Interesujące pytanie.

Uśmiechnęła się do Patricii, która popatrzyła na nią bez wyrazu. Petra podeszła i usiadła obok.

- Witaj.

Służąca była przerażona, ale po chwili się rozluźniła. Mówiła płynnie po angielsku. Urodziła się w Stanach. („Nie przejmuj się moim nazwiskiem. Wszyscy nazywają mnie Patsy K.”) Pracowała dla Lisy zaledwie od dwóch miesięcy i nie wiedziała, jak mogłaby pomóc.

Rozmawiała przez godzinę, ale Petra niewiele uzyskała.

Lisa nigdy nie powiedziała Patsy, dlaczego opuściła Ramseya ani czy rzeczywiście eks-mąż ją pobił. Wspomniała kiedyś, że był dla niej za stary i popełniła błąd, poślubiając go. Służąca sypiała w pokoju dla gości, utrzymywała mieszkanie w czystości, biegła po sprawunki. Lisa była wspaniałą szefową, zawsze płaciła na czas, była porządna i schludna. „Naprawdę przyjemna osoba”.

Patsy K, popłakała się.

W kwestii alimentów powiedziała, że Lisa otrzymywała co miesiąc czek od firmy pod nazwą Player's Management.

- Wizytówka jest na lodówce. - Petra wzięła ją. Adres spółki - Ventura Boulevard, Studio City. Na dole nazwisko Gregory'ego Balcha, dyrektora finansowego. Ramsey płacił żonie za pośrednictwem swojej firmy.

- Wiesz może, na jaką kwotę opiewały te чеки?

Patsy zarumieniła się, bez wątplenia ze względu na własną niedyskrecję.

- Wszystko, co powiesz, może nam pomóc - zachęciła ją Petra.

- Siedem tysięcy.

- Miesięcznie?

Patsy pokiwała głową.

Osiemdziesiąt cztery tysiące rocznie. Dość, by zapłacić czynsz, rachunki i mieć trochę zabawy, jednak drobiazg przy siedmiocyfrowym dochodzie Ramseya. A jednak, takie sprawy bywają kłopotliwe i denerwujące. Wielu ludzi zadaje sobie pytanie: „Dlaczego właściwie mam płacić komuś, do kogo mam pretensje, komuś, kto mnie poniżył w publicznej telewizji?”

Z pewnością taka sytuacja mogła wywołać między eks-małżonkami napięcie, lecz nie wystarczała jako motyw zbrodni.

A zatem Lisa uważała, że Ramsey jest dla niej za stary. On także napomknął o różnicy wieku.

- Czy Lisa i pan Ramsey rozmawiali przez telefon?

- Nigdy nie widziałam.

- Co jeszcze możesz mi powiedzieć, Patsy?

Służąca potrząsnęła głową i znowu zaczęła płakać. Mundurowi na balkonie obserwowali

zachód słońca; nawet się nie odwrócili.

- Była miła. Czasami traktowała mnie jak przyjaciółkę. Jadłyśmy razem kolację, jeśli nie wychodziła. Umiem gotować po tajsku, a ona lubiła egzotyczną kuchnię.

- Często wychodziła?

- Czasami dwa, trzy razy w tygodniu, a czasami wcale, przez kilka tygodni.

- Dokąd chodziła?

- Nigdy mi nie mówiła.

- Nie domyślasz się?

- Może do kina. Na robocze projekcje. Była montażystką.

- Dla kogo pracowała?

- Dla Empty Nest Productions przy Argent Studios w Culver City.

- Z kim się spotykała?

- Pewnie z mężczyznami, ale odkąd tu pracowałam, nigdy żadnego nie przyprowadziła do domu.

- Spotykała się z nimi poza domem?

Patsy skinęła głową, a Petra dodała:

- Ale przypuszczasz, że to byli mężczyźni, tak?

- Była taka piękna. Zdobyła kiedyś tytuł miss swojego stanu. - Patsy przypatrzyła się policjantom na balkonie.

- Podczas dwóch miesięcy, które tu przepracowałam, nigdy nie widziałam żadnego mężczyzny?

- Jeden kiedyś przyszedł, lecz był chyba tylko kolegą. Pracowali razem. Wydaje mi się, że na imię miał Darrell. Murzyn.

- Ile razy przyszedł?

- Dwa, o ile dobrze pamiętam. Może miał na imię Darren.

- Kiedy to było?

Patsy zastanowiła się.

- Może z miesiąc temu.

- Potrafisz go opisać?

- Wysoki, o jasnej cerze... To znaczy jak na Murzyna. Krótkie włosy, dobrze ubrany.

- Zarost?

- Nie, chyba nie.

- Ile miał lat?

- Około czterdziestki.

Kolejny starszy facet. Petra przyjrzała się Patsy.

Najwyraźniej nie dostrzegła ironii losu.

Lisa szukała tatusia?

- Jaki był harmonogram pracy Lisy?

- Pełna dyspozycyjność - odparła służąca. - Jeśli zadzwonili, musiała natychmiast się stawić.

- A pan Ramsey nigdy się tu nie pojawił?

- Nic o tym nie wiem.

- I nie rozmawiali przez telefon.

- Lisa mało telefonowała. Nie lubiła telefonu, często go wyłączała, chciała mieć spokój i ciszę.

- Okej - powiedziała Petra. - Więc twoim wolnym dniem jest niedziela?

- Od sobotniego wieczoru do poniedziałku rana. Kiedy przyszedłam tutaj o ósmej. Lisy nie było. Pomyślałam, że może dostała nocne zlecenie. Potem zjawiła się policja.

Patsy objęła się ramionami i lekko zakotłosała. Zakaszła i zakrztusiła się własną śliną. Petra podała jej wodę pellegrino z miniaturowej białej lodówki. W środku były jeszcze trzy butelki, świeże winogrona, trzy kartony odtłuszczonego jogurtu malinowego, wiejski twarożek. Same dietetyczne produkty.

Patsy wypijała parę łyków. Gdy odsunęła butelkę od ust, Petra stwierdziła:

- Byłaś bardzo pomocna. Doceniam to.

- Wciąż... nie mogę w to uwierzyć... - Wytarła oczy.

- Teraz muszę zapytać cię o coś nieprzyjemnego. Czy Lisa brała narkotyki?

- Nie... ona... nie widziałam. - Butelka pellegrino zadygotała w jej rękach.

- Patsy, natychmiast po zakończeniu naszej rozmowy przeszukamy mieszkanie od podłogi po sufit. Jeśli są tu narkotyki, znajdziemy je. Mnie osobiście nie obchodzi, czy Lisa brała. Jestem z wydziału zabójstw, nie z Narkotyków. Ale narkotyki prowadzą do przemocy, a twoją pracodawczynię bardzo brutalnie zamordowano.

- Ale... - zaczęła służąca. - Moja pani nie była ćpunką. Czasem trochę wachała i tyle.

- Inne narkotyki poza kokainą?

- Tylko trochę trawki. - Spuściła wzrok. Czyżby Lisa dzieliła się z Patsy haszyszem? A może służąca kradła?

- Rzadko czegoś używała - upierała się dziewczyna. - Nieregularnie.

- Jak często?

- Nie wiem... Kokainy właściwie nigdy nie widziałam.

- A trawa?

- Czasami paliła skręta podczas oglądania telewizji.

- Gdzie brała kokę?

- Zawsze w swoim pokoju. Za zamkniętymi drzwiami.

- Jak często? - powtórzyła pytanie.

- Niezbyt często... Może raz w tygodniu. Co dwa tygodnie. Wiem o narkotykach tylko dlatego, że ścierałam czasem trochę proszku z toaletki. Niekiedy też zostawiała żyletkę lub miała zaczerwieniony nos i zachowywała się inaczej niż zwykle.

- Inaczej? To znaczy jak?

- Była ożywiona. Nadpobudliwa. Nic szalonego, tylko trochę za bardzo ruchliwa.

- Upierdliwa?

Milczenie.

- Patsy?

- Czasami nieco kapryśna. - Drobną dziewczyną skuliła się. - Ale poza tym była naprawdę fajna.

Petra złagodziła ton.

- Więc raz w tygodniu. W swoim pokoju.

- Nigdy nie brała przy mnie. Nie pociągają mnie narkotyki. - Patsy oblizła wargi.

- Wiesz może, skąd brała kokainę?

- Nie.

- Nigdy nie mówiła?

- Nigdy.

- Nie odbywały się tu żadne transakcje narkotykowe?

- Na pewno nie, nigdy. Sądzę, że zdobywała je w studio.

- Dlaczego?

- Ponieważ to jest powszechne w tym biznesie. Wszyscy o tym wiedzą.

- Czy Lisa ci tak powiedziała?

- Skąd - zaprzeczyła Patsy. - Po prostu ludzie tak mówią. W telewizji wszyscy biorą, prawda?

- No dobrze - mruknęła Petra. - Teraz trochę się tu rozejrzę. Poczekaj jeszcze chwilę.

Wstała i spojrzała ku balkonowi. Niebo za balustradą miało ciekawą barwę - głęboki szafirowy błękit z pomarańczowymi smugami. Na jego tle dwóch mundurowych wyglądało dość osobliwie. Nagle uderzył Petrę gwar ruchu ulicznego z Doheny. Usłyszała go dopiero teraz. Wcześniej była całkowicie skupiona na swojej pracy. Zahipnotyzowana

przesłuchaniem.

Najpierw weszła do sypialni Patsy. Imponujących rozmiarów szafa ścienna, pojedyncze łóżko, mała dębowa komoda i dopasowana kolorystycznie nocna szafka. Ubrania od Targeta, Gapa, z Old Navy. Na komodzie stał przenośny telewizor. W szufladzie szafki nocnej znalazła dwie książki na temat kosmetyki i stary egzemplarz magazynu „People”.

Jedna łazienka, dzielona przez obie kobiety, ciasna, z mozaiką czarnych i białych kafli; czarna wanna z jacuzzi. Petra dowiedziała się z apteczki, że Patsy K, brała kortyzon na skórny wysypkę, zaś Lisa Ramsey cierpiała na okresowe infekcje drożdżakowe, na które przepisano jej antifungal. Żadnych tabletek antykoncepcyjnych, chociaż może były schowane w którejś z szuflad komody. Reszta nie wносиła niczego szczególnego do charakterystyki lokatorki.

Petra weszła do sypialni Lisy.

Dwa razy większa od sypialni Patsy, ale i tak niezbyt okazała. Ogólnie rzecz biorąc, ciasny mały apartamencik. Czyżby Lisa potrzebowała skromnego schronienia po luksusach różowej hacjendy?

Łóżko było królewskich rozmiarów, z jaskrawoczerwoną narzutą z satyny i czarną pościelą. Czarne lakierowane meble, czarny sprzęt gimnastyczny w kącie pokoju, na komodzie buteleczki z perfumami - Gio i Poison. Gołe ściany. Bardzo schludnie, dokładnie tak, jak mówiła Patsy.

W dolnej szufladzie komody Petra znalazła narkotyki. Białe granulki w częściowo przezroczystej kopercie i druga paczuszka z trzema małymi, starannie zwiniętymi skrętami, wciśnięta pod swetry narciarskie, spodnie i inne zimowe stroje. Nadal żadnych pigułek, ani diafragmy. Może Lisa naprawdę pragnęła spokoju i ciszy.

Petra spakowała narkotyki do woreczka na dowody, zawołała gliniarzy z balkonu, pokazała im kokainę i poprosiła, by zawieźli ją do hollywoodzkiego laboratorium.

Na komodzie stała szkatułka na biżuterię pełna błyszczących drobiazgów. Przeważnie broszki, obok dwa pierścionki z perłami hodowlanymi. A zatem Lisa ubiegłej nocy miała na sobie swoją najlepszą biżuterię. Ważna randka?

Petra zaczęła przetrząsać dolne szuflady. Znalazła w nich bieliznę marki Victoria's Secret - seksowną i dość ekskluzywną - parę wygodnych kraciastych flanelowych koszul nocnych, bieliznę z bawełny i jedwabiu, podkoszulki, szorty, swetry i kamizelki oraz trzy pary mocno spranych francuskich błękitnych dżinsów od Freda Segala z Melrose. Długą na całą ścianę szafę ścienną zapełniały stroje od Krizii, Versusa i Armaniego. Podkoszulki, suknie, spódnice i bluzki, rozmiar od 4 do 6.

Przewaga czerni, trochę bieli i czerwieni, czasami beż, jedna jaskrawozielona zakardowa

spódnica, która rzucała się w oczy niczym papuga na wyschniętym drzewie. Trzydzieści par butów, uszeregowanych w trzech starannych rzędach na dnie szafy, noskami do drzwiczek. Wszystkie czółenka pochodziły od Ferragamo, obok jakiś przypadkowy Kenneth Cole. Dwie pary białych sportowych butów do biegania marki New Balance, jedna prawie zupełnie nowa.

W szufladzie nocnej szafki Petra znalazła książeczkę czekową Citibanku, książeczkę oszczędnościową filii Home Saving z Beverly Hills oraz wizytówkę maklera z Merrill Lynch w Westwood - Morada Ghadoomiana - którego nazwisko i numer Petra sobie zapisała.

Trzy tysiące dolarów na bieżącym rachunku oszczędnościowo-rozliczeniowym, dwadzieścia trzy tysiące plus jakieś drobne na koncie oszczędnościowym, z dwoma rzucającymi się w oczy miesięcznymi wpłatami: siedem tysięcy z alimentów i kolejne trzy tysiące osiemset - prawdopodobnie gaża montażystki.

Również dwie stałe comiesięczne wypłaty. Dwa tysiące dwieście - pewnie czynsz - i tysiąc dwieście, które Petra uznała za pobory Patsy K. Nieregularne wydatki sięgały od dwóch do czterech tysięcy na miesiąc.

Średnie dochody miesięczne - ponad jedenaście tysięcy dolarów. Wydawała pięć, sześć, zostawała jej więc całkiem spora sumka, jak na samotną dziewczynę. Podatki już opłacone. Skoro Lisa zdołała zaoszczędzić dwadzieścia trzy tysiące. Petra była gotowa uwierzyć, że jej nałóg narkotykowy rzeczywiście nie był przesadny.

Sporadyczne niuchnięcia w domu. Może także w pracy, poczęstunek od przyjaciół z przemysłu.

W reakcji na co?

Ramsey był głównym podejrzanym, lecz Petrze pozostawało mnóstwo luk do wypełnienia.

*

Skończyła około piętnastej trzydzieści. Zanotowała nazwisko przyjaciółki (w Alhambrze), u której Patsy K, zamierzała się zatrzymać; kazała mundurowym obserwować, jak służąca pakuje swoje rzeczy.

Następne dwie godziny spędziła, chodząc od drzwi do drzwi po piętrze Lisy, a także dwa piętra wyżej i dwa niżej oraz po bocznych uliczkach otaczających budynek. Spośród nielicznych osób, które zastała w domu, nikt nie widział, by Lisa wychodziła w niedzielę wieczorem albo wcześniej rano w poniedziałek. Nikt też nie dostrzegł czarnego porsche.

Siedemnasta trzydzieści. Petra musiała ponownie spróbować dodzwonić się do Boehlingarów.

Dlaczego nie zostawiła tego zadania Stu? Siostra miłosierdzia! Jej partner jakoś nie okazał szczególnej wdzięczności.

Najmądrzej byłoby wrócić na hollywoodzki posterunek i skorzystać z telefonu departamentu, lecz Petra nie miała ochoty oglądać swego biurka, więc wróciła do mieszkania na Detroit Avenue, na wschód od parku La Brea.

Gdy znalazła się w środku, rzuciła marynarkę na krzesło i natychmiast odkryła, że tęskni za czymś zimnym do picia. Nie poddała się jednak pragnieniu, lecz najpierw zadzwoniła do domu Boehlingerów. W Cleveland zapadł już wieczór. Telefon był zajęty. Miała nadzieję, że nikt jej nie uprzedzi w przekazaniu przykrych wiadomości.

Biorąc z lodówki puszkę korzennego piwa, zzuła buty i popijając, usiadła przy jadalnym stole. Zastanowiła się nad kolacją, chociaż właściwie nie była głodna. W głowie łagodnie zahuczał głos jej ojca: „Pamiętaj o jedzeniu. Pet. Trzeba dbać o aminokwasy”.

Wychowywał ją od niemowlęctwa, miał prawo jej matkować. Kiedy myślała o wyniszczającej go okrutnej chorobie, przenikał ją wręcz fizyczny ból. Szybko wyrzuciła z umysłu obraz umierającego ojca, ale poczuła nagłą pustkę, która nie poprawiła jej samopoczucia.

Tak, jedzenie... Przygotowała sobie kanapkę. Suche salami na czerstwej *ciabatie*, musztarda, majonez, zielenina... koszerne pikle. Tak, tak, policyjne żarcie.

Nawet nie skosztowała. Odstawiła talerz i po raz trzeci spróbowała się dodzwonić do Boehlingerów. Ciągłe zajęte. Czy ta historia mogła tak szybko trafić do mediów?

Włączyła telewizor, znalazła kanał wiadomości. Nic. Radio zaserwowało jej jakąś symfonię. Petra skubała twardą kanapkę.

Rozejrzała się po swoim małym mieszkanku. Płaciła czynsz mniejszy niż połowa czynszu Lisy.

Z Nickiem mieli kiedyś mieszkanie w Zachodnim Los Angeles, jednakże tuż po spontanicznym ślubie w Vegas wydzierżawili dużo większe mieszkanie. Piętrowe, przy Founlain, blisko La Cienega. Wzmacniane ołowiem okna, parkiet na podłogach, dziedziniec z fontanną, cudowna hiszpańska architektura. Oboje mieli wystarczająco dużo miejsca do pracy, nawet za dużo... Nick twierdził, że potrzebuje przestrzeni, by rozwinąć skrzydła. Przemienił główną sypialnię w swoją pracownię.

Nigdy nie umeblowali mieszkania - żyli wśród pudeł i skrzyń, spali na materacu w mniejszej sypialni. Sztalugi i farby Petry skończyły w jadalni z widokiem na wschód. Petra radziła sobie z porannym słońcem, zaciągając rolety.

Teraz sztalugi stały w salonie. Petra nadal nie miała prawie żadnych mebli. Po co miała

się trudzić, skoro bywała tutaj tak rzadko (wpadała jedynie się przespać) i nie przyjmowała gości.

Trzypiętrowa kamienica, w której mieszkała, leżała na południe od Szóstej Ulicy. Uroczy stary dom z grubymi ścianami, wysokimi sufitami, złożoną sztukaterią, woskowanymi dębowymi podłogami. Poziom przestępczości w okolicy był umiarkowany. Osiemset dolarów czynszu stanowiło prawdziwą okazję, ponieważ właścicielka domu, tajwańska imigrantka nazwiskiem Mary Sun, ucieszyła się z lokatorki-policjantki. Zwierzyła się: „Ach, to miasto, wszyscy ci czarni, okropność”.

Muzeum Row znajdowało się w odległości krótkiego spacerku od kamienicy, podobnie jak galerie na La Brea. Niestety, Petra nie zdążyła jeszcze odwiedzić wielu z nich.

Kiedy miała wolną niedzielę, przeglądała dokładnie gazety w poszukiwaniu informacji o aukcjach, pchlich targach, wystaw antyków, nawet wyprzedazach garażowych (o ile były w dobrych dzielnicach).

Niewiele udawało jej się kupić. Większość ludzi uważała własne rupiecie za istny skarb, zresztą Petra była raczej szperaczem niż kupcem. Jednak te kilka rzeczy, które nabyła, wyglądało nieźle.

Śliczne metalowe okucia do łóżka, prawdopodobnie francuskie, pokryte niemożliwą do podrobienia patyną. Dwie brzozone szafki nocne z kwiecistym wzorkiem i żółtymi marmurowymi blatami. Stara kobieta, z którą się targowała, twierdziła, że są angielskie, lecz Petra wiedziała, że szwedzkie.

Kilka starych butelek na parapecie kuchennego okna. Spiżowa statuetka chłopca z małym psem, także francuska.

Wszystko.

Wstała i postawiła talerz na blacie przy zlewozmywaku. Kafelki były czyste, lecz stare i w kilku miejscach popękane. Kuchnia w mieszkaniu przy ulicy Fountain miała europejski wygląd i błękitne granitowe kontuary.

Zimne kontuary.

Nick uprawiał miłość na dwa sposoby. Zgodnie z planem A mówił jej, jak bardzo ją kocha, pieścił ją delikatnie, czasem zbyt delikatnie, ale nigdy nie protestowała, aż w końcu zaczynał stosować właściwy nacisk. Całował ją w szyję, w oczy, w czubki palców i cały czas prowadził romantyczną gadkę o urodzie Petry, o jej szczególnej naturze. Mówił, jaki to ogromny przywilej kochać się z nią.

Według planu B kładł ją na błękitny granit, zarzucał jej spódniczkę, zdejmował majtki, równocześnie starając się rozpiąć własny rozporek, kładł jej obie ręce na ramionach i

wchodził w nią brutalnie niczym gwałcieiel.

Początkowo Petrę podniecał zarówno plan A, jak i plan B.

Później straciła apetyt na plan B.

Po pewnym czasie Nick pragnął już tylko planu B.

Nagle resztki salami, chleba, musztardy i majonezu wydały jej się odpadami laboratoryjnymi. Odepchnęła talerz i podniosła słuchawkę.

Tym razem odebrał mężczyzna w średnim wieku o kulturalnym głosie.

- Doktor Boehlinger.

Nieco zimny, całkowicie opanowany. A zatem jeszcze się nie dowiedzieli.

Serce jej załomotało. Czy rozmowa z matką Lisy byłaby gorsza?

- Doktorze, mówi detektyw Connor z policji Los Angeles...

- Lisa.

- Halo?

- Chodzi o Lisę, prawda?

- Obawiam się, że tak, doktorze. Pańska...

- Nie żyje?

- Niestety, doktorze...

- Dobry Boże... Cholera, cholera, ten drań! Ten cholerny drań, ten drań!

- O kim pan, doktorze...

- A o kimże innym, jak nie o tym śmieciu, za którego wyszła. Powiedziała nam, że jeśli coś się wydarzy, to będzie jego sprawka... Och, Boże, moja mała dziewczynka! O Jezu! Nie, nie, nie!!!

- Przykro mi...

- Zabiję drania. Och, Jezu, nie, to niemożliwe, moja mała dziewczynka, moja biedna dziewczynka!

- Doktorze - odezwała się, mężczyzna wszakże nie umilkł. Przemawiał, przeklinał i przyrzekał zemstę głosem, którego bardzo się starał nie podnosić.

W końcu stracił oddech.

- Doktorze Boehlinger...

- Moja żona - szepnął z niedowierzaniem. - Wyszła dziś wieczorem. Poszła do szpitala na jakieś cholerne zebranie dla wolontariuszek. Zwykle to ja wychodzę, a ona zostaje w domu. Wiedziałem, że Lisa martwiła się z jego powodu, ale jak mogło dojść do czegoś takiego!

Zapadło milczenie.

- Doktorze Boehlinger...

Żadnej odpowiedzi.

- Proszę pana? Czy dobrze się pan czuje?

Jeszcze przez chwilę panowała cisza, po czym Petra dosłyszała bardzo ciche i zduszone:

- Co takiego?

Uświadomiła sobie, że mężczyzna płacze, choć próbował to ukryć.

- Co? - spytał ponownie.

- Wiem, że to okropny moment, doktorze, ale jeśli moglibyśmy porozmawiać o...

- Tak, tak, porozmawiajmy. Przynajmniej póki moja żona nie wróci do domu... Wtedy... Jezus... Która jest godzina... Dwudziesta druga czterdzieści. Dopiero wróciłem do domu. Ratuję życie głupcom, podczas gdy moja mała...

Petra niemal wzdrygnęła się na odgłos przenikliwego, straszliwego śmiechu, który rozległ się po drugiej stronie słuchawki. Starając się uspokoić mężczyznę, spytała:

- Jest pan chirurgiem?

- Tak, pracuję w izbie przyjęć. W Waszyngtońskim Szpitalu Uniwersyteckim. Jak to zrobił?

- Słucham?

- Jak ją zabił? Pytam o sposób. Czy ją udusił? Zwykle mężowie strzelają do swoich żon albo je duszą. Przynajmniej z tego, co wiem... Jak, do cholery, ją zabił?

- Lisa została zakłuta nożem, proszę pana. Jednak nie znamy jeszcze sprawcy...

- Ależ, tak, zna go pani... Nie pamiętam pani nazwiska... Oczywiście, wie pani, że to on. Mówię pani, więc pani wie. To on! Niech pani nie wątpi w to nawet przez jedną cholerną minutę. Nie traćcie czasu na szukanie gdzieś indziej, tylko od razu aresztujcie tego śmiecia, a będziecie mieli sprawę rozwiązana.

- Proszę pana...

- Nie rozumie pani, co do pani mówię?! - Teraz Boehlinger krzyczał. - Uderzył ją przecież... Zadzwoiła do nas i powiedziała, że ją uderzył. Cholerny aktorzyzna. Niewiele lepszy od dziwki! U diabła, był dla niej zbyt stary, a pobicie było ostatnią kroplą, która przepełniła czarę!

- Co Lisa mówiła państwu o tym incydencie?

- Incydencie?! - ryknął. - Facet wściekł się z jakiegoś powodu, dopadł ją i pobił. Mówiła, że opowie o tym w telewizji i chciała, żebyśmy wiedzieli pierwsi. Powiedziała, że ją śmiertelnie przeraził... Co tydzień mam do czynienia z podobnymi historiami na izbie przyjęć, ale żeby moją córkę... Powiedziała pani, że jest detektywem, prawda? Panno...

- Connor. Tak, proszę pana, jestem detektywem. I wiem o akcie przemocy małżeńskiej.

- Przemocy małżeńskiej - burknął Boehlinger. - Kolejne głupawe stwierdzenie. Potraficie tylko przeinaczać fakty. Mówimy o pobiciu własnej żony! Jestem żonaty trzydzieści cztery lata i nigdy nie podniosłem ręki na żonę! A ten?! Najpierw zalecał się do Lisy niczym księżę z bajki, potem zrzucił maskę i zmienił się w pana Hyde'a... Bała się go, panno Connor. Bała się do szaleństwa. Dlatego go opuściła. Błagaliśmy, by wróciła do Ohio, żeby zostawiła to wasze psychotyczne bagno. Ale nie chciała, kochała filmy, miała tę swoją cholerną pracę, karierę...! Niech pani tylko popatrzy, dokąd ją zaprowadziła ta kariera... O Jezu! Boże, moja maleńka dziewczynka, moja maleńka, maleńka!

Rozdział 13

Sharla Straight, osłabiona, nadal na wpół naćpana, usiadła na tapczanie w przednim pomieszczeniu przyczepy, gdzie Buell „Motor” Moran jadł zimny gulasz wołowy z puszki i kończył ostatnie piwo. Ciągle czuła się chora. Moran potraktował ją brutalnie, wziął ją od tyłu, szarpiąc jej pośladki. Umysł jej się nieco rozjaśnił, gdy wyobraziła sobie twarz Billy'ego.

Jej słodki chłopczyk...

Motor chrząknął i zniszczył tok jej myśli.

Lubił ją posuwać od tyłu, ponieważ mógł wtedy stać, nie obciążając rąk i nie napinając mięśni szyi. Sharla dostrzegła w takim stosunku tylko jedną korzyść - nie musiała patrzeć mu w twarz.

Nawet z tyłu niemiłosiernie cuchnął. Niczym brudne ubranie.

Jej całe życie tak śmierdziało.

Bolała ją głowa. Tequila jej nie służyła, zwłaszcza ten tani szajs, który Motor kupował w „Stop & Shop”. Piwo było lepsze, piwo i trawka - najlepsze ze wszystkiego, ponieważ sprawiały, że Sharla czuła się uwolniona od tego pieprzonego świata. Teraz jednak nie mieli trawy, a Motor wyłopał całe piwo.

Straszna była z niego świnia... Wielki, podły, włochaty knur, jeszcze gorszy niż tato. Przypomniła sobie, jak jego paznokcie wpijały się jej w biodra, pamiętała ich czarne obwódki... Ciągle myślała: „Brudno, on jest brudny, ja jestem brudna”.

Czy musiała skończyć w ten sposób? Jeśli nie, to jak?

Nie wiedziała, po prostu nie wiedziała.

Gorąca, martwa mgiełka, która wisiała w przyczepie, dusiła ją. Kawałek materiału,

którym przykryła małe okno nad łóżkiem, częściowo spadł. Za oknem Sharla widziała jedynie kwadrat czerni. Wszyscy na parkingu spali, musiało być późno... Która była godzina?

Która godzina była tam, gdzie przebywał Billy? Jeśli jest gdzieś i nie...

Minęły już cztery miesiące od tego strasznego dnia, gdy odszedł. Pamiętała ten dzień. Wspomnienie wbijało się jej w serce jak nóż.

Martwiła się o niego. Czy nie leżał w jakimś rowie?

Może jakiś zboczeniec zdążył go już pokroić.

Albo przejechała go ciężarówka na jakimś bezludziu. To małe, chude, białe ciało, takie małe... Zawsze był taki drobny. Chociaż jako niemowlę miał taką tłuściutką buzię... Dlatego że karmiła go piersią i nie chciała go przestać karmić, nawet kiedy nie miała już mleka i sutki jej krwawiły, a zakonnice kazały jej przestać; jedna z nich, wysoka, której imię Sharla już zapomniała, poleciła rozkazującym tonem: „Przestań, dziewczyno. Będziesz miała jeszcze wiele okazji do poświęceń”.

Billy odszedł. Minęły prawie dwa dni, zanim to zrozumiała.

Nie było go, gdy wraz z Motorem dotarli do domu tamtej nocy, lecz Billy czasami wychodził samowolnie, więc po prostu zasnęła, a gdy obudziła się o dziesiątej rano, uznała, że pewnie poszedł do szkoły. Kiedy następnego dnia zrobiło się ciemno, wiedziała, że coś jest nie tak, ale była już naćpana i nie mogła się ruszyć.

Następnego ranka, gdy nikt nie przyniósł jej rozpuszczalnej kawy, zdała sobie sprawę, że nie widziała syna od dłuższego czasu. Panika, niczym cios nożem, wstrząsnęła jej ciałem i Sharla zaczęła strofować się w myślach: „Ach, nie, to niemożliwe... Gdzie, dlaczego, kto, dlaczego?”

Nie powiedziała głośno ani słowa, nie okazała Motorowi swego złego samopoczucia. Ani nikomu innemu.

Tego dnia gdy Motor wyszedł, opuściła tak wcześnie rano przyczepę po raz pierwszy od może miesiąca... Słońce raziło ją w oczy, w jego świetle zdała sobie sprawę, że ma okropnie brudną sukienkę, a jeden z butów mocno podziurawiony.

Rozejrzała się po Watson. Krążyła tak długo, aż rozboleły ją stopy.

Dzień był naprawdę skwarny, w powietrzu wiele ptaków, na chodnikach ludzie, którym nigdy właściwie się nie przyglądała; koty, psy, tłumy ludzi. Przemierzyła każde pole i gaj, odwiedziła wszystkie sklepy, „Stop & Shop”, „Sunnyside”, nawet szkołę, ponieważ pomyślała, że może spędził gdzieś noc i poszedł do szkoły... Chociaż taka koncepcja nie miała najmniejszego sensu - po co miałyby to zrobić?

Z drugiej strony wielu rzeczy wokół siebie nie rozumiała. Dawno temu przestała czekać,

aż świat nabierze sensu.

Tak czy owak, ciągle chodziła, szukała i wszędzie sprawdzała. Z przyzwyczajenia oprócz pepsi kupiła w „Stop” batonik payday. Orzeszki ziemne zawsze napełniały Billy'ego pozytywną energią.

Nie zapytała nikogo, czy widział jej syna. Nie chciała, by ludzie pomyśleli, że jest aż tak złą matką.

Nie rozmawiała też z szeryfem, obawiając się, że mężczyzna nabierze podejrzliwości i każe przeszukać przyczepę, a wtedy znajdzie prochy.

Tej nocy powiedziała Motorowi o Billym. Motor odparł: „Wielka rzecz. Po prostu, kurwa, dzieciak spierdzielił. Wszyscy spieprzają z chaty”. On sam uciekł, gdy miał piętnaście lat, po bijatyce z ojcem. Czyż Sharla sama tego nie zrobiła? Wszystkie dzieciaki uciekają. W końcu mały gówniarz odkrył, że ma jaja.

Ale Billy miał zaledwie dwanaście lat, a wyglądał na jeszcze mniej. Taki mały... To nie to samo co jej ucieczka albo takiego wielkiego knura jak Motor. Nie ma mowy.

Tego dnia, gdy wszędzie szukała syna, nikt ją nawet o niego nie spytał. Nikogo nie zainteresowało, dlaczego Sharla tak krąży po mieście. Nikt jej o nic nie spytał. Ani pierwszego dnia, ani drugiego, ani trzeciego, nigdy. Ani razu.

Od tej pory minęły już cztery miesiące i nadal nikt jej nie zadawał żadnych pytań. Ani nauczyciele, ani sąsiedzi... Z pewnością nie przyjaciele Billy'ego, ponieważ jej syn nigdy ich nie miał, prawdopodobnie z jej winy, gdyż kiedy był mały, mieszkała w jeszcze gorszej przyczepie niż teraz, z pewnymi ludźmi, o których nadal próbowała zapomnieć. Rany, była wtedy stracona! Ale nie sądziła, żeby któryś z nich skrzywdził Billy'ego.

Zawsze był cichym dzieckiem, nawet jako niemowlę, tak cichym, że nigdy nie było wiadomo, gdzie jest...

Łzy napłynęły jej do oczu, załazy zamknięte powieki. Powieki spuchły i Sharla musiała trochę otworzyć oczy. A wtedy łzy spłynęły po policzkach.

Gdy otwierała oczy, zawsze zaskakiwał ją fakt, że znowu znajduje się w przyczepie. Nic się zatem nie zmieniło. Widziała blade zarysy kuchenki, Motora siedzącego przy stole i jedzącego, brudne talerze. Brudno, wszędzie brudno.

Gdzie jest jej mały mężczyzna?

Dzień po jego zniknięciu przyśnił jej się koszmar. Była w jakimś ciemnym, wilgotnym lochu, w sali tortur. Jakiś wariat znalazł Billy'ego, jak błądził po lesie... Jeden z tych facetów, o których stale się słyszy, że krążą w pobliżu szkół i tego typu miejsc, porywają dzieci i robią im potworne rzeczy, ranią je. Obudziła się drżąca i spocona. Żołądek jej płonął, jakby

połknęła rozżarzony węgiel.

Motor chrapał, kiedy wpatrywała się w jaśniejącą od wschodzącego słońca zasłonkę na oknie przyczepy. Sharla odczuwała zbyt wielki strach, by się poruszyć lub choćby pomyśleć. Potem przypomniała sobie o sali tortur i ogarnęły ją mdłości.

Pobiegła do ustępu i wyrzuciła z siebie wszystko. Starła się wymiotować jak najciszej, by nie obudzić Motora.

Każdej nocy przez tydzień budziła się zlaną potem od podobnych snów. Usiłowała leżeć nieruchomo, cicho jak myszka, byle tylko nie obudzić Motora.

Była chora z poczucia winy i strachu. Czowała się wstrętnie, była okropna, była najgorszą matką na świecie, nigdy nie powinna zostać matką, w ogóle nie powinna się urodzić! Wokół siebie siała jedynie nieszczęścia i grzech. Zasłużyła na gwałcenie od tyłu przez cuchnącego knura...

Koszmary skończyły się, kiedy odkryła zniknięcie „tamponowych” pieniędzy. Wiedziała już, co się zdarzyło.

Ucieczka. Plan.

Przechowywała te pieniądze przez długi czas, ukrywała je przed Motorem i wszystkimi jego poprzednikami. Stanowiły zabezpieczenie.

Na co?

Na czarną godzinę. Na wszelki wypadek.

Na wypadek czego?

Niczego.

Lepiej, że Billy je wziął. Doskonale wiedziała, że sama nigdy by z nich nie skorzystała. Nie zasłużyła sobie na nie, nie mogłaby ich użyć. Była najgorszą matką na całym świecie!

No, może jednak nie najgorszą... Tamta szalona dziewczyna, która wjechała samochodem do jeziora, topiąc siebie i dwoje niemowląt, tamta była jeszcze gorsza od niej. Sharla widziała też w telewizji reportaż o młodej matce, która wyskoczyła z okna, trzymając przed sobą niemowlę. Ta również była od niej gorsza.

Słyszała również o ludziach, którzy spalili swoje dzieci albo straszliwie je okaleczyli... Wiedziała, że tacy rodzice istnieją... Jednak porównania z nimi wcale jej nie pomagały.

Prawda była taka, że Sharla uważała się za złą matkę i tyle.

Nic dziwnego, że Billy od niej uciekł.

Ona nie mogła uciec, nie była na to dość bystra ani wystarczająco dobra. Tak jak powiedział jej kiedyś tato (stukając się ręką w głowę), brakowało jej piątej klepki.

Próbował jej wyjaśnić, że jest głupia albo szalona.

Nie była szalona, ale...

Potrafiła wszak jasno myśleć, gdy nie była naćpana.

Okej, czytanie sprawiało jej pewne trudności, podobnie jak liczby, ale umiała myśleć, wiedziała, że czasem potrafi myśleć. Niekiedy co prawda nie rozumiała tego, co robiła, lecz nie była wariatką. Na pewno nie!

Lepiej się nie zastanawiać... Jednak... dokąd uciekł Billy?

Taki mały i chudziutki.

Właściwie jej nie zaskoczył. Pamiętała jego ojca.

Niesamowite, że właśnie z nim wpadła. Przecież zawsze lubiła dużych mężczyzn. Dużych jak jej tato. Spasione buhaje, takie jak Motor i inni. Zapomniała już ich imiona i twarze... Wszystkich tych futbolistów ze szkoły średniej i zapaśników, którzy robili jej dokładnie to, o co tato ich podejrzewał. Tato wałczy ją pasem po tyłku, mimo że nigdy nie potrafił niczego udowodnić.

Chciała mu wytłumaczyć: „Nie chodzi mi o ruchanie, chcę się tylko zbliżyć do ludzi, którzy mają przed sobą cel”.

Nie wyjaśniła mu tego nigdy.

Cel... Minęło już sporo czasu, odkąd myślała o przyszłości.

Zbyt wiele brudnych lat.

A potem ta jedna, jedyna słodka noc i najładniejsza niemowlę na świecie. Zakonnice bywały zrzędlive, ale dość dobrze ją traktowały. Doceniała ich uprzejmość, chociaż wiedziała, czego chcą. Chciały, by porzuciła Billy'ego.

„Nie ma mowy” - powiedziała sobie wtedy. To było jej dziecko.

Często pieściła w sobie wspomnienie tłuściutkiej dziecięcej buzi jej maleńkiego chłopczyka. Czyż jednak nie zasłużyła na trochę przyjemnych wspomnień?

Tamtej nocy, kiedy...

Była wtedy znacznie młodsza, dużo ładniejsza, szczuplejsza. Leżała sama w gaju. Po północy. Chciała być sama. Może Billy też pragnął być sam? Może dlatego odszedł?

A zatem choć w tym jednym byli do siebie podobni!

Uśmiechnęła się na tę myśl. Przypomniała sobie tamtą noc. Wtedy naprawdę coś czuła!

Ciepło między nogami, na całym ciele i twarda ziemia, która wcale nie kaleczyła jej pleców.

Drzewka pomarańczowe - zielone jak butelkowe szkło w księżycowej poświacie, śnieżnobiałe od kwiecica, ponieważ był sezon kwitnienia, cały gaj pachniał tak kremowo i słodko, piękne niebo, ciemne, z aureolą ładnego światła nad głową, gdyż księżyc był duży,

tlusty, złoty i ociekał światłem, niczym polany masłem naleśnik.

Leżała w bezruchu, gdy ją pocałował i przeprosił, że musi już iść. Jej spódnica, nadal zadarta, poruszała się na wietrze.

Potem Sharla poczuła wibrację... Głośną, bliską, gdy szybko przemieszczające się chmury zasłoniły księżyc.

Cykady, miliony cykad, zaroilo się od nich w gaju.

Słyszała opowieści o nich, lecz nigdy wcześniej ich nie widziała.

Od tamtej nocy również nigdy ich już nie widziała.

Ten jeden jedyny raz!

Może to był sen, może cała tamta noc była snem...

Takie ogromne owady... Powinna odczuwać strach.

Dwa razy większe od błyszczących czarnych leśnych pszczoł, które kiedyś ją przestraszyły, przylatując znikąd.

Cykady były jeszcze głośniejsze i było ich tak wiele. Gdyby krzyknęła ze strachu, pewnie by je spłoszyła.

Ale nie krzyknęła. Leżała tylko płasko na plecach, czuła się słodko i kobieco, czuła się jak wielki kielich pełen kwiatowego pyłku i miodu. Obserwowała z ciekawością cykady, które siadały na kolejnych rzędach drzewek pomarańczowych, aż pokryły cały gaj niczym pasy szarobrazowych chmur.

Co robiły? Jadły kwiaty? Żuły maleńkie zielone pomarańcze, gorzkie i twarde jak kora?

A później ni z tego, ni z owego wszystkie zniknęły. Odleciały w niebo i rozplynęły się w nicości niczym tornado z kreskówki. Drzewa wyglądały dokładnie tak samo jak przed owadnim nalotem.

Noc cykad.

Magiczna, jakby nigdy się nie wydarzyła, jak cudny sen.

Ale się zdarzyła. Sharla nie miała wątpliwości. Pozostał jej po tej nocy namacalny dowód.

Billy. Gdzie jest Billy?!

Rozdział 14

Liso, ty niuchająca kokę suko.

Tańcz ze mną. Niech się stanie.

Tańcz dla mnie. Niech się dzieje.

Och, radość.

Oda do radości - czy nie napisał jej Bach?

Nienawidził Bacha. W szpitalu, do którego zabrali jego matkę i gdzie założyli jej kask, by się nie zraniła, stale grali Bacha i inne klasyczne bzdury.

Próbowali taką muzyką uspokajać pacjentów.

Pacjenci, akurat! Więźniowie - tym naprawdę byli.

Lisa próbowała go doprowadzić do szaleństwa.

Starła się go zdominować.

Och, ta jej minka, to spojrzenie... Tańcz ze mną, tańcz, kochana.

Rozdział 15

Taśmę, na której Lisa opowiadała o akcie małżeńskiej przemocy, wyemitowano we wszystkich programach informacyjnych o dwudziestej trzeciej. Lisa i Cart Ramsey, oboje urodziwi i opaleni, zanurzeni w bąbelkach jacuzzi; grają w golfa na przydomowym polu, wykonują numer Roya Rogersa i Dale Evans na lśniących koniach, pozują dla paparazzich. Później Lisa jako królowa piękności i przepiękna panna młoda. I w końcu zbliżenia jej straszliwie pobitej twarzy.

Posępni reporterzy opowiadali o brutalnych ranach zabitej, po czym pojawił się rzecznik departamentu, fotogeniczny kapitan z Parker Center nazwiskiem Salmagundi, który powtarzał pytania i praktycznie pozostawiał je bez odpowiedzi.

Petra oglądała wiadomości przy stole jadalnym, zgarbiona nad kolejną kanapką. Nie czuła się najlepiej.

Gdy odłożyła słuchawkę po rozmowie z doktorem Boehlingerem, próbowała ukończyć pustynny krajobraz, który malowała od miesięcy: zawirowania w kolorze sieni i umbry

podkreślone intensywniejszą czerwienią i bardzo subtelnymi śladami lawendy. Całość miała stanowić nostalgiczny powidok pieszych wycieczek, które odbywała przed laty z ojcem.

Podczas pracy była pewna, że obraz się uda. Kiedy jednak oddaliła się od płótna, ujrzała na nim jedynie błotniste pacnięcia. Starła się je poprawić, ale ruchy pędzla wydały jej się niezdarne, jakby nagle całkowicie straciła talent.

Myła pędzle, wyłączywszy telewizor, i rozmyślała o doktorze Boehlingerze i jego żonie, która dopiero pozna tragiczną wiadomość.

Jak to jest stracić dziecko?! Prawdziwe dziecko!

Jak to jest mieć dziecko? Myśl ta otworzyła w jej umyśle bramy piekła. Pamiętała, jak czuła się w ciąży, gdy prawie wszystko wokół traciło znaczenie.

Nagle rozplakała się. Z oczu trysnęły jej fontanny łez. Nie mogła nad nimi zapanować, choć z drugiej strony jakiś wewnętrzny głos beszał ją i pytał: „Co, u diabła, kobieto, w ciebie wstąpiło?”

Co, tak naprawdę?

Zanim się uspokoiła, musiała zrobić kilka ostrych wdechów, później z irytacją przetarła oczy papierową serwetką.

Boże, cóż za popis, obrzydliwa rzewność. Biedny doktor John Everett Boehlinger i jego żona stracili dziecko, a ona ciągle się mazgai, jakby to, co wypadło z jej łona było podobne do człowieka.

Kawałek miążgi wielkości winogrona w krwawej zupie.

Krwawa masa spłynęła w muszli klozetowej. A Petra klęczała, wymiotowała i zwijała się w konwulsjach. Nienawidziła wtedy Nicka i mogłaby go zabić za to, że tak przez niego cierpi.

To jego wina. Była tego pewna. Stres, zimna dezaprobata.

Odszedł od niej, chociaż na początku ich związku obiecał, że nigdy jej nie opuści. Wyjaśniła mu, że dorastała bez matki, ojciec zaś coraz bardziej marniał w sanatorium w Tucson. Wyznała, że samotne życie byłoby dla niej prawdziwym piekłem. Błagała, by nigdy jej nie porzucił.

Może był szczery, gdy jej przyrzekał.

Jedno zapłodnione jajeczko diametralnie odmieniło sytuację.

- Sądziłem, że się w tej sprawie dogadaliśmy, Petro! Stosowaliśmy antykoncepcję, na litość boską!

- Dziewięćdziesiąt procent skuteczności to nie sto, kochanie.

- Dlaczego zatem nie używałaś pewniejszych środków?

- Sądziłam, że wybrałam wystarczająco skuteczne...

Przepraszała? Czy naprawdę go przepraszała?

- Świetnie, Petro. Rozpiernicz nasze życie. Jesteś przecież wykształconą kobietą! Jak mogłaś być taka głupia?

*

Krwawa miazga. Czula ostre skurcze, wydawało jej się, iż coś rozrywa ją od wewnątrz na strzępy. Położyła policzek na zimnej krawędzi porcelanowej muszli. Rozpalona słuchała spływającej wody.

Samotna, ledwie zdolna ustać na nogach, pojechała do szpitala. Badania, nie kończące się testy, trzy dni w dwuosobowym pokoju obok kobiety, która właśnie urodziła czwarte dziecko. Dwóch chłopców, dwie dziewczynki, członkowie rodziny wszędzie wokół; gruchali i wzdychali.

Pocztówka od Nicka przyszła dwa tygodnie później. Olśniewający zachód słońca ponad piaskiem. Santa Fe. „Potrzebuję trochę czasu na przemyślenie wszystkiego”. Nigdy więcej go nie zobaczyła.

Pustka, która ogarnęła umysł Petry, rozdrażniła ją i dodatkowo osłabiła jej system odpornościowy. Pojawiły się kolejne skurcze, gorączka, infekcja. I znowu szpital.

Wizyty. Stopy w strzemionach. Zbyt wyczerpana, by mogła czuć się poniżona.

Smutne współczucie doktora Franklina. „Porozmawiajmy w moim gabinecie”. Wykresy i rysunki.

Niezdolna skupić się bardziej niż podczas wszystkich nudnych lekcji poświęconych zdrowiu w szkole z internatem. Otepiała.

- Co pan mi chce powiedzieć? Że jestem bezpłodna?

Franklin odwrócił oczy, potem opuścił wzrok na podłogę.

Tak samo jak podejrzani, kiedy zamierzali skłamać.

- Nikt nie może tego stwierdzić na pewno, Petro. Zrobiliśmy jednak wszystkie dostępne aktualnie badania.

Jej życie się skończyło, skończyło się też jej małżeństwo.

Wybrała pracę związaną ze śmiercią. Gdy widziała rozpacz innych osób, stale przypominała sobie, że jej sytuacja nie jest wcale taka zła. Prawda? W tym sensie, im bardziej brutalne były zbrodnie, z którymi miała do czynienia, tym lepiej.

Okaleczone ciała...

Dlaczego więc, do diabła, płakała?! Od lat jej się to nie przydarzyło.

Sprawa Lisy? Przecież ledwie się zaczęła. Poza tym Petra nie odczuwała najmniejszej

więzi emocjonalnej z ofiarą.

Wtedy usłyszała nazwisko Lisy i skierowała zapłakane oczy ku ekranowi. Pokazano całą historię. Początkowe zaskoczenie szybko ustąpiło irytacji z powodu własnego niedopatrzenia. Powinna się była tego spodziewać. Ona i Stu nie potrafili poprosić o sześćdziesiąt sekund taśmy, którą teraz oglądały na swoich ekranach miliony ludzi.

Czy Stu widział nagranie? Wiedziała, że chodził spać bardzo wcześnie, szczególnie kiedy nadrabiał nieprzespane noce. Jeśli nie widział, na pewno chciałby o nim wiedzieć. Tak przypuszczała.

Zatelefonowała do jego domu w La Crescenta. Odebrała Kathy Bishop. Miała znużony głos.

- Obudziłam cię? Przepraszam...

- Nie, nie, nie śpimy, Petro. Właśnie obejrzelśmy wiadomości. O, jest Stu.

Zwykle trochę dłużej gawędziły. Kathy lubiła pogadać. Czyżby się pokłócili? Jakaś scysja małżeńska? Nie, to niemożliwe, Bishopowie stanowili idealne stadło. „Nie pozbawiaj mnie reszty złudzeń. Panie” - pomyślała.

Do telefonu podszedł Stu.

- Właśnie rozmawiałem z Schoelkopfem. Cytuję: „Nie chcemy kolejnego pieprzenia o O.J. Moje biuro, ósma rano”.

- W sam raz na pobudkę.

- Tak. Jak tam zawiadomienie?

- Rozmawiałam z ojcem Lisy. Wściekle nienawidzi Ramseya, jest pewien, że drań zabił mu córkę.

- Poparł to jakimś dowodem?

- Wspomniał o pobiciu. Mówił też, że Lisa bała się byłego małżonka.

- Czego konkretnie się bała?

- Nie powiedział.

- Aha... Okej, ósma rano.

- Co sądzisz o programie?

Milczenie.

- Uważam, że może nam pomóc. Ramsey stał się teraz publicznym podejrzanym. Żeby nie wyjść na durniów, góra na pewno pozwoli nam go trochę przycisnąć.

- Trafna ocena - przytaknęła.

Milczenie.

- Okej, nie zatrzymuję cię... Jeszcze tylko jedna kwestia: doktor Boehlinger pracuje w

izbie przyjęć, prawdopodobnie szybko podejmuje decyzje. Jestem pewna, że wraz z żoną przyjadą tu najprędzej jak będą mogli. Facet nienawidzi Ramseya. Co zrobimy, jeśli zdecyduje się na jakieś samowolne działania?

- Hmm - mruknął, chyba nie bardzo zainteresowany. W ten sam sposób zareagował na biblioteczną książkę, którą znalazła Petra na miejscu zbrodni. O co chodziło? - Podzieli się tą wątpliwością z kapitanem. Będzie wiedział, co robić.

*

Wtorek, siódma pięćdziesiąt siedem.

Edmund Schoelkopf wyglądał bardziej na Latynosa niż nordyka. Niewysoki, szczupły mężczyzna tuż po pięćdziesiątce, wilgotne czarne oczy, gęste, wyglądające na przeszczep czarne włosy, zaczesane do tyłu z płaskiego niskiego czoła i delikatne usta. Cerę miał smagłą. Nosił dwurzędowe garnitury od Armaniego i agresywnie kolorowe krawaty. Ogólnie rzecz biorąc, wyglądał jak eks-gliniarz, który się poświęcił działalności związkowej. A jednak ich szef spędził każdą chwilę swego pracowitego życia w Departamencie Policji Los Angeles i prawdopodobnie nie opuści go aż do czasu ustawowej emerytury.

Jego biuro było nijakie, stanowiło typową mieszaninę zgrzebnych państwowych sprzętów i kompletnie niepasujących darowizn od przeróżnych instytucji wspomagających policję finansowo.

Natychmiast zaprosił Stu i Petrę do środka.

- Kawy? - Jego bas rano brzmiał szczególnie grubo i bardziej przypominał ryk zwierzęcia niż ludzki głos. Na ścianach wisiały standardowe statystyki i graficzne wykresy - poziom przestępczości, sinusoidalne wskaźniki morderstw, które czasem nieco się obniżały, lecz wydawały się niemożliwe do opanowania.

Kawa pachniała spalenizną. Jak zwykle odmówili. Schoelkopf odepchnął się na krześle przed biurkiem i założył nogę na nogę, podciągając starannie uprasowane spodnie z kantami.

- Mówcie - zahuczał.

Stu opowiedział o wizycie w domu Ramseya, zaś Petra o przesłuchaniu Patsy K., rewizji mieszkania Lisy, rozmowach z sąsiadami i zawiadomieniu doktora Boehlingera. Wyglądało na to, że wykonała znacznie więcej pracy niż jej partner. Tak rzeczywiście było, zaś Stu najwyraźniej zupełnie nie przywiązywał wagi do tego faktu. Stale się kręcił i rozglądał. Schoelkopf również wyglądał na roztargnionego, nawet gdy Petra wspomniała o narkotykach znalezionych w mieszkaniu denatki.

- Ojciec obwinia Ramseya, szefie - dodała. - Chyba zresztą od początku szczerze go

nienawidził.

- Doprawdy? A zatem... Sprawdzicie tego czarnego faceta w studio - Darrella.

- Dobrze, ale co zrobimy, jeśli doktor Boehlinger zechce się mieszać w sprawę?

Smoliste oczy Schoelkopfa skupiły się na środku jej czoła.

- Poradzimy sobie z nim, jeśli zacznie nam sprawiać kłopoty. Teraz skoncentrujemy się na faktach. Wiem, że laboratorium ma mnóstwo materiału, lecz... Czy istnieje choćby najmniejszy dowód?

Już miała potrząsnąć przecząco głową, kiedy odezwał się Stu:

- Petra znalazła coś interesującego. Książkę z biblioteki, porzuconą mniej więcej trzydzieści metrów od ciała. A także inne wskazówki, że ktoś przebywał w pobliżu. Jest tam skalna formacja...

- Widziałem zdjęcia z miejsca zbrodni - warknął Schoelkopf. - Jeszcze jakieś rewelacje?

Petra zacisnęła ręce w pięści. Próbowwała wymienić spojrzenie z partnerem, Stu wszakże skoncentrował się na kapitanie. Co się z nim działo?

- Opowiedz mi o innych znaleziskach, Barbie - polecił Schoelkopf.

- Opakowanie po jedzeniu - odparła. - Prawdopodobnie z budki z *fast-foodem*. Drobinki mielonej wołowiny, może *tacos*. I mocz na jednej ze skał...

- Ktoś jadł, sikał i czytał? A jaka to książka?

- O prezydentach Stanów Zjednoczonych.

Informacja zirytowała go.

- Wypożyczona niedawno?

- Nie, szefie. Dziewięć miesięcy temu.

- No nie, dajcie spokój... Brzmi to absurdalnie. - Wypił ogromny łyk kawy. Kubek parował. Picie wrzątku musiało sprawiać ból. - Dlaczego sądzisz, że ta osoba była tam w ostatnich dniach?

- Mięso nie było wyschnięte, szefie.

- Kruszyнки mięsa?

- Kilka drobin. Mielona wołowina.

- Jak długo wysycha mielona wołowina?

- Nie wiem, szefie.

- Ja również, ale założę się, że zależy to od ilości tłuszczu w mięsie, temperatury, wilgotności, kto wie, czego jeszcze... Co z moczem?

- Technicy sądzili, że jest...

- Mówimy o parku - przerwał jej Schoelkopf. - Ludzie przychodzą tam, by zjeść coś i

odpocząć, pewnie czasem też sikają, gdy nikt nie patrzy... Niedaleko od miejsca zbrodni stoją piknikowe stoliki, nieprawdaż?

- Tak, szefie. Niedaleko, choć nie aż tak blisko. Te skały...

- Czasami ludziom się nie chce szukać kibla... Daleko stamtąd jest toaleta?

- Tuż obok stolików piknikowych.

- Ludzie są leniwi... Rozumiem... Jedzenie i siki mogą się na coś przydać, ale książka nie ma chyba wiele wspólnego z morderstwem. Przecież nocą w tym miejscu jest kompletnie ciemno, Barbie?! Po co, do cholery, ktoś miałby tam przychodzić i czytać po ciemku?

- Osoba mogła przyjść wcześniej i zostać aż po zmroku...

- Hmm, intelektualista zainteresowany politologią czyta sobie o prezydentach - nie wiadomo dlaczego, w końcu to wszystko banda szumowin. - Je, sika, a później przykładą głowę do skały, zasypia i budzi się przypadkiem, gdy obok ktoś zarzyna dziewczynę? Doskonale! Zatem gdzie jest ten wasz świadek?!

- Nie twierdzimy, że książka miała jakiś związek z jedzeniem - odparła. - Jednak znaleziono ją niedaleko...

- Dobra - prychnął Schoelkopf. - Oczekujecie prezentu od Świętego Mikołaja, świetnie. Może to Ramsey siedział za tymi skałami. Żuł burgera, nasikał... Siedział i czekał na nią. Pojawiła się, a wtedy się na nią rzucił.

- Szefie, ubrana była jak na randkę.

- Z kim?

- Może z Ramseyem. Mercedesa, samochodu, którym jeździ na co dzień, nie było w garażu podczas naszej wizyty. Gdybyśmy mogli go podpytać, może powiedziałby nam, gdzie jest auto.

Schoelkopf pochylił się do przodu na krześle.

- Sądziście, że nie wolno wam pytać?

Petra nie odpowiedziała.

- Przestrzegano nas, byśmy postępowali ostrożnie - wtrącił Stu.

- Do kurwy nędzy, od kiedy tu pracujecie? Nie pamiętacie podobnych spraw? Nie wiecie, co się dzieje, kiedy policja postępuje zbyt ostro?

Milczenie.

Schoelkopf napił się kawy, nadal pochylony do przodu.

- Będziecie mogli sobie poszaleć, kiedy znajdziecie więcej dowodów. Wróćmy do waszego scenariusza i przyjmijmy, że Lisa wybrała się na randkę, która zakończyła się spotkaniem w parku. Ramsey, narkotyki albo schadzka z żonatym facetem. Zresztą, może

miała zwyczaj łączyć po jakichś podejrzanych klubach, kto ją tam wie. Powiedzmy, że wasz potencjalny świadek rzeczywiście obserwował zbrodnię zsa skały. Kto nocami sypia w parku i sika na skały? Widzi brutalne morderstwo i nie zawiadamia nas. Kloszard?

- Pewnie jakiś bezdomny... - zaczęła Petra.

- Dokładnie - przerwał jej Schoelkopf. - Nędzarz, w dodatku deczko walnięty. Nikt przy zdrowych zmysłach. Rozsądny facet nie tkwi samotnie w nocy w Griffith Park. Czyli: włóczęga, wariat albo sam morderca. Do diabła, przełknę szumowinę, która czyta o prezydentach, ale z drugiej strony póki nie znajdziecie poszlaki, nie zgadzam się na żadne oświadczenie dla mediów. Nie chcecie przecież, żebyśmy wyszli na idiotów.

- Jasne, szefie - przytaknęła Petra.

Schoelkopf pogłaskał się po górnej wardze. Czyżby kiedyś nosił wąsa?

- Okej, więc wychodzi na to, że zaczynamy od pieprzonego zera. Niby macie jakieś ślady - jedzenie, książka, siki - ale nie opierajcie się na nich, ponieważ są słabe. I znajdźcie ten pieprzony samochód ofiary. Tymczasem powiem wam, co dla was zrobiłem w rzeczywistym świecie: postarałem się, żeby koroner przydzielił naprawdę kompetentnego patologa, a nie jednego z tych rzeźników. Poprosiłem Romanescu, by osobiście doglądał tej sprawy. Zgodził się, lecz z drugiej strony, kto by mu tam, do cholery, ufał. Pracował kiedyś dla komunistów. Tak samo technicy: poprosiłem Yamadę o nadzór, nie chcemy żeby dziennikarze spieprzyli sprawę, durne mądrale z mediów. Niedługo zaczną gadać, ale wtedy będziecie już mieli wyniki. Trzeba poddać mikroanalizie każde znalezione włókienko i każdą kroplę płynu. Wiem, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent tego okaże się bezużyteczne, musimy jednak wszystko sprawdzić. Słyszałem, że wnosząc po braku sińców i zadrapań na rękach, dziewczyna nie broniła się, co nie znaczy, że w ogóle nie próbowała stawiać oporu. Módlmy się, żeby nam się trafiła chociaż jedna cholerna molekuła tkanki mordercy.

Podrapał paznokciem przedni ząb.

- Ramsey nie ma żadnych ran, prawda?

- Żadnych widocznych - odparł Stu.

- No cóż - stwierdził Schoelkopf - nie liczcie na to, że facet sam z siebie odstawi przed wami striptiz. - Przejrzał notatki. - Przynajmniej uniknęliśmy kwestii rasowych. Jak do tej pory.

- Co to znaczy, szefie?

Podnosząc pusty kubek, Schoelkopf zajął do niego w zamyśleniu.

- Ten czarny facet, Darrell. Czyż nie byłoby rozkosznie, gdyby okazał się mordercą? Co o nim wiemy?

- Służąca powiedziała, że pracował z Lisą. I że był od niej starszy. Dokładnie tak jak Ramsey.

- Zatem dziewczyna szukała w kolejnych facetach swego tatuśka. Napisz podręcznik do psychoanalizy. - Schoelkopf odstawił kubek, spojrzął na nich oboje, po czym zapatrzył się w dal. - Następna sprawa: Ramsey zadzwonił do mnie ostatniej nocy o dwudziestej drugiej... Sam, bez pośrednictwa prawnika. Na szczęście mądra telefonistka połączyła go. Najpierw opowiadał, jak strasznie mu przykro, że nie może pomóc. Potem wspomniał o pobiciu eks-żony. Wiedział, że powiedzą o tym w wiadomościach. Twierdził, że zdarzyło mu się coś takiego jedynie raz. Nie tłumaczył się, po prostu podkreślił ten fakt. Dodał, że rzuciła się na niego, a wtedy się wściekł. Wyznał, że była to najgłupsza rzecz, jaką zrobił w życiu i czuje wstyd.

Schoelkopf machnął ręką.

- I tak, kurwa, dalej.

- Dbaj o swój tyłek - zauważył Stu. - Nam nawet o tej sprawie nie wspomniał.

- Jest gwiazdą - bąknęła Petra. - Rozmawia tylko z tymi na szczycie.

Schoelkopf zarumienił się.

- Tak, drań rzeczywiście postąpił chytrze, dzwoniąc bez prawnika. Coś mi mówi, że uważa się za bystrzejszego niż jest w rzeczywistości. Więc jeśli zdobędziemy jakieś dowody z miejsca zbrodni, może zdołamy go przycisnąć. Chociaż wtedy pewnie będzie z nami gadał przez adwokata. Wpadnie na ten pomysł szybciej niż Michael Jackson zdecyduje się na kolejną operację plastyczną twarzy. Tymczasem my również zadziałamy przebiegle. Rozumiecie? Żadnych przedwczesnych aluzji, nie sugerujcie, że go podejrzewamy. Niech czuje się pewnie.

- Wiadomości telewizyjne... - zaczęła Petra.

- Dają wam niezły powód do rozmowy na każdy temat, lecz równocześnie musicie dokładnie sprawdzić w aktach przypadki podobnych zabójstw. Mówię o okresie dwóch lat... może trzech. Wszystkie komisariaty w mieście. Wszystkie dane.

Petra była oszołomiona. Czekał ich nadludzki wysiłek... Godziny... dni sprawdzania. Petra łypnęła na Stu.

- O jak bliskich związkach mówimy?

- Zaczniście od dziewczyn, którym zadano wiele ran nożem - odparł Schoelkopf. - Młode kobiety zabite w parkach, blondynki zabite w parkach... Jezu, sami wiecie, w końcu jesteście detektywami. Poszukajcie też danych o nowych nożownikach działających na terenach podmiejskich, które graniczą z parkami. Burbank, Atwater. Może Glendale, Pasadena... Tak,

koniecznie Glendale i Pasadena. La Canada, La Crescenta. Zaczynjcie od nich.

Stu i Petra milczeli.

- Coście się tak nadęli? - warknął Schoelkopf. - To będzie dla was zabezpieczenie. Powiecie później: „Tak, panie Lizodupie Obrońco, zajrzeliśmy do każdego cholernego kąta i zakamarka, zanim przytrzasnęliśmy tyłek pana Ramseya”. Wyobraźcie sobie wasze facjaty w „Court TV”. Jesteście na pierwszej linii, chyba że sprawa się rozrośnie i zabiorą nam ci z biura szeryfa. Ich pieprzony wydział zabójstw.

- Może już nam ją zabrali - mruknął Stu.

Schoelkopf błysnął zabójczym uśmiechem.

- Wszystko jest możliwe, Ken. I dlatego nasza praca jest tak czarująca. - Zaczął przeglądać informacje telefoniczne.

- A co z Ramseyem? - spytał Stu. - Sprawdzamy najpierw podobne sprawy czy też wolno nam pogadać z nim od razu?

- Znowu pytasz, co wam wolno, a co nie? Jesteście dziećmi, czy co?

- Po prostu staram się ustalić zasady.

Schoelkopf podniósł oczy.

- Jedyną zasadę wyznacza wasza inteligencja. Cholera, tak, macie porozmawiać z Ramseyem. Jeśli tego nie zrobicie, utkniemy. Tylko pamiętajcie również o innych tropach. Po to w końcu Bóg wymyślił nadgodziny.

Schoelkopf podniósł jedną z fizek i słuchawkę. Stu nie wstał, więc Petra także się nie ruszyła. Czekwała na sygnał partnera.

- Mam znajomych w studiach filmowych. Mogę poszperać w przeszłości Ramseya... - drążył Stu.

- Byle nie było z tego powodu problemów - odrzekł Schoelkopf, patrząc na niego z nad telefonu. - Ludzie w przemyśle rozrywkowym to sprzedajne dupki. Skoro twoi znajomi gadają z tobą, znaczy, że nie potrafią trzymać gęby na kłódkę, nie sądzisz?

- To prawda, ale...

- Nie ma żadnych „ale”.

- I tak nic ich nie powstrzyma od rozmów z prasą, prawda, kapitanie? - spytała Petra. - Jeśli brukowce zaczną płacić informatorom i pisać dyrdymały, co wtedy? Skonfiskujemy wydanie gazety albo aresztujemy redakcję telewizyjnych plotek?

Schoelkopf zazgrzytał zębami.

- Okej, pogadaj z paroma osobami, Ken - rzucił, ignorując Petrę. - Tylko uważaj, kogo wybierasz. Facet może się wygadać. No i porozmawiajcie z tym czarnym. Zobaczcie, co z

niego za ziółko. Jak najszybciej. Miłego dnia.

Rozdział 16

Oczy mam zamknięte i rozmyślam, kiedy nagle czuję, że coś po mnie łązi. Mrówki. Prawdopodobnie wyniuchały chrupki miodowo-orzechowe. Zrywam się na równe nogi i strząsam je z siebie; zabijam tyle, ile zdołam. Przypadkowy obserwator uznałby mnie za wariata.

Po zbrodni, którą widziałem, park nie wydaje mi się już przyjemnym i bezpiecznym miejscem, lecz jaki mam wybór? Przez sekundę zawładnęła mną wizja, że morderca mnie odnajduje, ściga, wreszcie przypiera do muru. Ma nóż, ten sam, chwytą mnie i dźga. Serce skacze mi do gardła i napotyka ostrze.

Po co w ogóle o tym myślę?

Jest 11:34, muszę się otrząsnąć z próżnych rozważań. Otwieram książkę od algebry, rozwiązuję w głowie równania. Próbuję coś zjeść - może kawałek wędzonej wołowiny - i o trzynastej schodzę do wiadomego przejścia w płocie. Sprawdzam, czy furtka nadal jest otwarta.

*

Wszedłem. W Afryce bardzo cicho. Mam w kieszeni pięć dolarów. Resztę pieniędzy spakowałem i zakopałem.

Jest gorąco. Lato nadchodzi tego roku wcześniej. Mnóstwo zwierząt śpi, większość ukrywa się w swoich jaskiniach. Niewielu ludzi... Turyści, przeważnie Japończycy i młode mamy z niemowlętami w spacerówkach. Mam ze sobą notes i ołówek. Chcę wyglądać na ucznia, który ma tu do wykonania zadanie. Na powietrzu nie pachną tak źle. Nikt nie patrzy na mnie dziwnie i tacy jedni nawet się uśmiechają... Para turystów: mężczyzna i kobieta, Amerykanie, starzy, mają kilka aparatów fotograficznych i mapę ogrodu zoologicznego, której chyba nie potrafią rozszyfrować. Pewnie przypominam im wnuka albo inne dziecko z rodziny.

Wciąż krążę po rejonie afrykańskim. Większość zwierząt śpi, ale nie dbam o to. Fajnie jest chodzić, gdy nie trzeba nigdzie dojść. Widzę na wybiegu samicę nosorożca, która łypie na mnie złowrogo, więc kieruję się do goryli.

Trafiam na dramatyczną scenę.

Dwie młode mamy szaleją. Jedna z nich wyciera bluzkę i krzyczy: „Och, Boże, co za obrzydliwa bestia!", druga szybko ucieka ze spacerówką. Potem obie odchodzą pospiesznie ku Północnej Ameryce.

Natychmiast odkrywam powód zdenerwowania kobiet.

Cholera! Wszędzie wokół klatki leżą małpie kupy.

Pięć goryli jest na wybiegu, cztery siedzą dokoła, drapią się lub drzemią, a jeden stoi w typowy dla tych zwierząt sposób, pochylony z przednimi łapami, które prawie sięgają ziemi. Młoda samiczka. Samce mają wielkie głowy i srebrny pasek wzdłuż kręgosłupa.

Gorylica zaczyna się kręcić, zatrzymuje się, zerka ukradkiem na swoich towarzyszy, drapie się, znowu chodzi. Potem podnosi gigantyczny kawałek gówna.

I rzuca nim!

Na szczęście nie trafia mnie w głowę. Łajno ląduje na ziemi tuż obok mnie, rozplaskując się w paskudnie śmierdzącą miazgę. Trochę gówna obryzguje mi buty. Staram się je strząsnąć, gdy leci w moją stronę następny pocisk. I jeszcze jeden.

- Idioto! - słyszę własny krzyk. W pobliżu nie ma nikogo.

Gorylica składa ramiona na piersi i tylko patrzy na mnie; przysięgam, że się kpiąco uśmiecha, jakby nacięła mnie na stary dobry małpi kawał.

Wskazuje na mnie. Potem podnosi kolejny kawał swoich odchodów.

Uciekam stamtąd. Świat oszalał.

*

Kupuję lemoniadę z automatu i chodzę, popijając. Mam nadzieję, że strząsnąłem z siebie całe gówno, ponieważ naprawdę mam dość śmierdzących rzeczy.

Może odwiedzę terrarium. Jest tam chłodno i panuje cień. Fajnie byłoby znowu zobaczyć kobrę królewską.

Po drodze spotykam tę samą parę starszych turystów. Znowu się uśmiechają, a ja czuję się zakłopotany. Krążę przy węzach boa, anakondach, żmijach, jaszczurkach, grzechotnikach, kolejnych żmijach i kobrach. Spędzam trochę czasu na obserwacji pytona albinosa, ogromnego i tłustego, z różowo-białymi łuskami i niesamowitymi czerwonymi oczyma.

Czy jego brzydki blady pysk przyśni mi się dziś w nocy?

Nie byłoby źle, - gdyby wąż pożarł PLYR 1.

Stoję nieruchomo i wyobrażam sobie siebie jako zaklinacza węży, który potrafi się porozumieć z gadami wyłącznie za pomocą siły własnego umysłu. Wołam pytona albinosa, aby owinął się wokół PLYR 1, dusząc go i wyciskając jak soczystą pomarańczę.

Wiem, co mu się przydarzy. To nie będzie zwyczajna śmierć. Wiem o tym.

*

Nieco później docieram do skraju ZOO, obok placu zabaw, który - jak sędzę - przeznaczony jest dla małych dzieci, znudzonych zwierzętami. Przy placu ciągnie się zagon warzywny otoczony liną.

Kukurydza, fasolka, pomidory i papryka. Na znaku czytam, że uprawia się tu warzywa dla zwierząt, by miały świeży pokarm. Widziałem szympansy, które skubały kukurydzę, więc goryle też zapewne ją jedzą. Fakt ten skłania mnie do myślenia.

Ja także kocham kukurydzę, przyrządzoną na parze, na słodko, w domu nigdy jednak jej nie jadałem. Kiedyś, gdy byłem w szóstej klasie, z okazji Święta Dziękczynienia na szkolnym boisku przygotowano przekąski dla uczniów: indyk, kukurydza i słodkie ziemniaki polane syropem prawoślazowym. Dla każdego, kto zapłacił. Wszystko ustawione w wysokich stosach na długich stołach, mamy w fartuszkach nakładały jedzenie łyżkami. Przyszedłem rzucić okiem, chociaż nie miałem pieniędzy, aby sobie coś kupić. Kręciłem się aż do końca imprezy, znalazłem w kieszeni parę luźnych ćwierćdolarówek i zagrałem w kulki, ale lunch był wykluczony - pięć dolarów.

Któraś pani z komitetu rodzicielskiego spostrzegła, jakim wzrokiem patrzę na kukurydzę i dała mi całą kolbę, stokrotkowożółtą i połyskującą od masła oraz indyczą nogą, tak wielką, że wyżywiłaby rodzinę. Zabrałem posiłek pod drzewo i zjadłem. To było najwspanialsze Święto Dziękczynienia w całym moim życiu.

Podchodzę do grządki warzywnej i rozglądam się.

Pusto.

Prędko przeskakuję przez linę, idę prosto do kukurydzy, odłamuję trzy kolby i wpycham je do kieszeni. Sterczą, więc wciskam je pod podkoszulek, przeskakuję z powrotem i jak gdyby nigdy nic idę powoli, aż znajduję toalety.

Wchodzę do jednej z kabin, zamykam drzwi, siadam na klapie klozetu, wydaję jedną z kolb, oddzieram liście i włochate paskudztwo. Zastanawiam się, jak będzie smakowała na surowo.

Jest dość dobra. Twarda, chrupka, co prawda nie tak pyszna jak gotowana na parze z masłem, lecz ma słodki kukurydziany smak. Szybko pochłaniam dwie kolby, trzecią wolniej, przed połknięciem żując dokładnie każdy kęs i czytając wypisane kolorowym sprayem przekleństwa na ścianach. Kiedy kończę, zlizuję kukurydziany sok z kaczanów, rzucam je w róg kabiny, sikam i korzystam z łazienkowego zlewu, by umyć sobie twarz i ręce. Potem

podwijam dżinsy i myję także nogi.

Żołądek znów mnie boli, ale tym razem inaczej.

Ciaży mi jak kamień. Przejadłem się.

Twój lunch jest teraz w moim brzuchu, gorylu.

Zemsta jest równie słodka jak kukurydza!

Rozdział 17

W drodze powrotnej do pokoju detektywów, Stu rzucił:

- Tylko raz ją pobił. Równiacha z niego.

- Olał nas i zadzwonił do Schoelkopfa - odparła Petra. - Niezłe posunięcie. -

Podtrzymywała rozmowę, choć wolałaby zapytać partnera, co się z nim dzieje.

Przystanęła i oparła się o szafkę.

- Po co poruszyłeś temat książki?

Stu stanął obok niej.

- Książka to namacalny fakt, a nie miałem ochoty na kolejny wykład pod tytułem: „Pobożne życzenia kontra dowody”.

- I tak palnął nam mównicę.

Stu wzruszył ramionami.

- Schoelkopf uważa, że książka jest nic niewarta - kontynuowała. - Zgadzasz się z nim, prawda?

Wyprostował się i jedną ręką poluźnił węzeł krawata.

- Objawieniem raczej faktycznie nie będzie. Ale cóż, laboratorium znajdzie na niej jakieś odciski. Jeśli chodzi o bezdomnego, istnieje szansa, że był gdzieś notowany i może zdołamy go zlokalizować. Jeśli nie, i tak nic nie tracimy.

Milczała.

- O co chodzi? - spytał.

- Nie podobało mi, że mówiłeś o tej sprawie w całkowicie obojętny sposób.

- Hej, czasem potrafisz zaskakiwać. Nawet ja. - Popatrzył na nią twardo, po czym odszedł.

Nie odwrócił się, by sprawdzić, czy Petra za nim podąża.

Stała przez chwilę zaciskając pięści. Przypomniła sobie szorstki głos Kathy ostatniej nocy przez telefon. Jeśli Stu miał problemy małżeńskie, Petra powinna być wyrozumiała i

wybaczyć mu to chwilowe rozkojarzenie. Okej, spokojnie, trzeba się skoncentrować na pracy. Prawda jednak była taka, że Petra nie znosiła niespodzianek.

*

Z pozostałych dwudziestu pięciu hollywoodzkich detektywów na porannej zmianie jedynie sześciu siedziało przy swoich biurkach. Porządkowali papiery i zdjęcia, stukali w klawiatury świeżo otrzymanych komputerów, które stanowiły dla nich tylko dodatkowy problem, mamrotali przez telefon, czytali kryminały. Gdy Petra i Stu weszli, wszyscy podnieśli na nich wzrok i posłali im współczujące spojrzenia.

Nawet detektywom, którzy lubią napotykać przy pracy łamigłówek, serce załomotało. Przypadek Ramseya należał do tych najbardziej paskudnych.

W pokoju nie pachniało najlepiej - w pozbawionym okien pomieszczeniu wyczuwało się zaduch męskiej frustracji.

- Wiedziałem, że nieźle się zabawicie, gdy tylko zobaczyłem szefa - odezwał się czarny detektyw drugiego stopnia nazwiskiem Wilson Fournier. - Poruszał szczęką, jakby żuł gumę, chociaż nic nie miał w ustach.

Petra uśmiechnęła się do niego i mężczyzna wrócił do przeglądania zdjęć. Stu siedział przy swoim biurku stojącym naprzeciwko jej biurka. Usiadła i czekała.

Wreszcie jej partner przerwał milczenie.

- Jak chcesz się zabrać za szukanie spraw podobnych do zbrodni Lisy?

- Nie mam pojęcia.

Zahaczył kciuki o paski szelek. Jego dziewięć milimetrów wisiało w kaburze wysoko pod pachą. Petra nosiła swoją broń w ten sam sposób. Od pistoletu bolało ją ramię, więc go wyjęła.

- Wiesz, jak to widzę? - odezwał się Stu. - Mamy dwa wyjścia. Pójść do Parker Center i przez tydzień przeglądać mikrofilmy. Potem trzeba będzie sprawdzić Burbank. Atwater i Glendale czy inne dzielnice. Możemy też podpytać telefonicznie wszystkich detektywów z wydziałów zabójstw. Schoelkopf powiedział: „Dwa albo trzy lata”. Sprawdźmy dwa. Może będziemy mieli szczęście i zakończymy całą sprawę w przeciągu tygodnia. Osobiście wolę rozmawiać z ludźmi niż grzebać się w centralnych archiwach, ale wybór należy do ciebie.

- W pełni się z tobą zgadzam - stwierdziła Petra. - Co twoim zdaniem jest ważniejsze? Najpierw dzwoniemy czy mam się spotkać z tym Darrellem?

- Przeznaczmy ranki na czarną robotę, a popołudnia na rozrywkę przy telefonie. - Zerknął na zegarek. - Sprawdź Darrella, a ja, zacznę węszyć po studiach.

Petra rozejrzała się po pokoju.

- Jeśli chodzi o ludzi, możemy zacząć od naszych kolegów. Może to strata czasu, ale trzeba to zrobić.

- Tak, tak, zacznijmy od własnego podwórka. Zajmij się tym.

Petra wstała, odgarnęła włosy z czoła i teatralnie odchrząknęła. Trzech z sześciu detektywów spojrzało na nią.

- Panowie - zagała. Pozostali trzej również przerwali zajęcia.

- Jak wiecie, detektywowi Bishopowi i mnie przydzielono fascynującą sprawę, fascynującą tak bardzo, że aż otrzymaliśmy z góry wytyczne, abyśmy postępowali wyjątkowo rozważnie, żeby sprawie nadać właściwy kontekst - prychnięcia - gdyż zostaniemy... cytuję: „ocenieni”.

Ponure spojrzenia.

- Detektywowi Bishopowi i mnie zależy na celującej cenzurce, toteż prosimy was o pomoc w zlokalizowaniu nieznanego sprawcy owej nikczemnej zbrodni... który, oczywiście, jest absolutnie nieznaną i musimy wykazać maksimum delikatności w jego odnalezieniu, aby go nie spłoszyć.

Chytre uśmieški. Opisała miejsce zbrodni i obrażenia Lisy, po czym spytała:

- Przypominacie sobie jakieś podobne w ciągu ostatnich dwóch lat?

Potrząśnięcia głowami.

- Gdzie był O.J., w tym czasie? - zażartował detektyw nazwiskiem Markus.

Śmiech.

- Dziękuję panom za uwagę.

Usiadła. Aplauz, choć dość anemiczny.

Stu także klaskał. Wyglądał teraz normalnie, w jego błękitnych oczach ponownie zamigotały ciepłe ogniki. Może po prostu był niewyspany.

- Sześć rejonów - mruknął. - Sporo roboty. Podzielmy się strefami. Według pionu. Ja wezmę wschód, ty zachód, dobrze?

Na wschód od Hollywood rozciągały się bardziej niebezpieczne dzielnice. Pracowało tam więcej detektywów, było więcej akt. Stu brał zatem na siebie większą część czarnej roboty. Czuł się winny?

- Ty masz wszystkie studia, ja tylko Darrella - broniła się. - Wezmę wschód.

- Nie ma mowy - odparł. - Powiedziałem Kathy, żeby zbyt szybko się mnie nie spodziewała. - Zamrugnął szybko, jakby bolały go oczy i podniósł słuchawkę.

Rozwód po tylu latach? Petra bardzo chciała uzyskać odpowiedź na to pytanie.

- Może zjemy lunch, zanim się rozjedziemy? U Musso i Franka?

Zawahał się. W końcu odrzekł:

- Jasne, zasłużyliśmy na dobre żarcie. - Zaczął wystukiwać cyfry, potem przerwał. - Powinniśmy chyba też zadzwonić do tych z biura szeryfa... de la Torrego i Banksa. Trzeba ich spytać, czego się dowiedzieli o skardze Lisy w sprawie pobicia.

- W wiadomościach mówili, że Lisa nigdy nie wniosła oficjalnej skargi.

- I pewnie tak było - odburknął Stu. - W wiadomościach zawsze mówią prawdę.

*

Petra zadzwoniła do centralnego wydziału zabójstw przy biurze szeryfa i poprosiła o połączenie z Hectorem de la Torre albo detektywem Banksem. Nie pamiętała, a może nie знаła imienia młodszego detektywa. Na linii pojawił się właśnie Banks, pozdrawiając ją zaskakująco ciepłym tonem.

- Domyślałem się, że zadzwonisz.

- Dlaczego?

- Z powodu wczorajszych wieczornych wiadomości. Niestety, nie mamy jeszcze dla was żadnych danych. Na posterunku przy Agoura nie znalazłem żadnych skarg. Wygląda więc na to, że Lisa faktycznie nie zaskarżyła męża.

- Okej, dzięki.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział nieco nerwowym tonem. - Nie chodzi o żadne brudne współzawodnictwo między departamentami. Miesiąc temu nasi ludzie pokonali waszych chłopców w boksie, toteż czujemy się bezpieczni... Tak czy owak, jestem po waszej stronie. Dziś wczesnie rano w wiadomościach odtworzyli ponownie taśmę. Dom wygląda na niej jeszcze bardziej luksusowo, niż w rzeczywistości? Ani słowem nie wspomnieli jednak o jego małym muzeum samochodowym.

Cóż za gaduła!

- Jedynie jacuzzi, konie i golf.

- Interesujące, prawda? - spytał Banks. - Ludzie, którym się tak doskonale żyje, potrafią wszystko spartaczyć. Mogę ci jeszcze jakoś pomóc?

- Wiesz, że chyba tak - odparła, nagle bowiem przyszedł jej do głowy pewien pomysł. - Jeśli masz trochę czasu... Widzisz, szef kazał nam poszukać podobnych zabójstw w ciągu ostatnich dwóch lat. Masz łatwy dostęp do danych okręgowych?

Banks roześmiał się.

- Pracujemy w Los Angeles... Nic tu nie jest łatwe. Ale jasne, musimy sobie pomagać.

Podobne zbrodnie, tak? Szukacie innego sprawcy? Po co?

- Szef sobie zażyczył. Denerwuje się.
- No tak, jasne. Sprawdzę to dla was.
- Naprawdę będę wdzięczna, detektywie Banks.
- Mów mi Ron.
- Czeka cię harówka, Ron. Nie przemęczaj się.
- Jaki jest do ciebie bezpośredni numer?

Podyktowała mu.

- Mówiąc „podobne” - ciągnął - mam na myśli miejsce przestępstwa, typ ran i ich ilość, dziwactwa, cechy charakterystyczne ofiary. Czy na miejscu przestępstwa było coś niezwykłego, o czym powinienem wiedzieć?

- Nie - odrzekła. Starła się chronić swoje informacje. - Tylko mała masakra.
- Okej. Zatem zadzwonię do ciebie, jeśli się czego dowiem... Zadzwonię tak czy inaczej.
- Dzięki, Ron.

- Jasne... hmm... Słuchaj, wiem, że przez tę sprawę nie masz zbyt dużo wolnego czasu, ale gdybyś znalazła... To znaczy, może zechciałabyś się ze mną spotkać... Wiesz, chociaż przy filiżance kawy... Jeśli się narzucam, powiedz.

Jąkał się niczym licealista.

Zrozumiała teraz jego ciepły ton.

Właściwie nie był w jej typie. A jaki był jej typ? W każdym razie, ledwie pamiętała twarz Banksa. Była niemal całkowicie skoncentrowana na Ramseyu. Czy detektyw nosił obrączkę? Wspomniał chyba o wycieczce z dziećmi do ZOO.

Przynajmniej miał dzieci! Przynajmniej nie odczuwał do nich nienawiści!

Prawdopodobnie zastanawiała się zbyt długo, ponieważ mężczyzna dodał:

- Słuchaj, przepraszam, nie zamierzałem...

- Nie, nie, w porządku - usłyszała własny głos. - Jasne, spotkajmy się. Kiedy tylko trochę sobie poukładam swoje sprawy. Wtedy chętnie się z tobą umówię.

Boże, dopomóż jej.

Rozdział 18

Kompleks Paragon Studios leżał trzy przecznice na północ od Melrose, na wschód od Bronson. Studio obejmowało grupkę wieżowców, których jasnobrązowy tynk nieco już przybladł, oraz szereg hangarów z pofalowanej blachy. Całość otoczona była czteroipółmetrowym murem. Paragon należało do ostatnich tak dużych studiów z siedzibą w Hollywood.

Rokokowe frontowe wrota były otwarte i Stu Bishop, choć nieco zdenerwowany z powodu osobistych problemów, starał się podczas powolnej jazdy nieoznakowanym fordem ku wartowni przybrać minę służbisty.

Przed nim posuwały się dwie furgonetki. Jedna z nich strasznie się wlokła.

Petra wyszła z posterunku przed nim i odjechała własnym samochodem.

Ufała mu chyba trochę mniej niż wczoraj.

Nie miał o to do niej pretensji, skoro postąpił w kompletnie nieprzemyślany sposób i bez uprzedzenia wygadał się przed Schoelkopfem na temat książki z biblioteki. Zachował się zbyt impulsywnie. Czyżby prywatne kłopoty zaczęły mu przeszkadzać w pracy?

Naprawdę uważał, że książka nie jest warta funta kłaków a znalezisko Petry wykorzystał, by zbyć czymś kapitana. A Schoelkopf i tak wygłosił im kazanie.

Ileż razy Stu musiał znosić tego typu gadki. Od nauczycieli, od pracodawców. Od ojca! Easton Bishop, doktor medycyny, nigdy nie czuł się lepiej, niż gdy obwieszczał prawdy absolutne niemej widowni złożonej z ośmiorga własnych dzieci. Ze swoimi dziećmi Stu postępował wręcz na odwrót. Starał się je uczyć głównie poprzez przykład, wiedział, że Kathy ma na nie największy wpływ... Kathy... dobry Boże, biedna Kathy.

Niby wierzył w wyrozumiałego Boga, jednak żył po swojemu, traktując Najwyższego jak surowego i nieustępliwego perfekcjonistę. Działał ostrożnie i starał się nie grzeszyć. Czym więc sobie zasłużył, na te straszne zdarzenia, które rozgrywały się wokół niego? Dlaczego akurat teraz wszystko się rozpadało?

Głupie pytanie.

Druga furgonetka minęła wartownię i przyszła kolej na samochód Stu. Strażnika, Erniego Roblesa, poznał w trakcie czterech tygodni, podczas których grał tu małą rolę w *Gliniarzu z Los Angeles* („milczący glina z sali detektywów; mnóstwo pisania na maszynie i

telefonowania"). Mężczyzna sprawiał wrażenie przyzwoitego i spokojnego. Nie miał za sobą policyjnej przeszłości.

Bazgrał coś w notesie, gdy Stu zatrzymał forda i czekał.

- Hej, jak leci, detektywie Bishop! Piękna pogoda, co?

Rzeczywiście, dzień był ładny. Ciepły i bezchmurny. Niebo było niemal równie błękitne jak na filmach (filmowcy ustawiali w tle specjalne malowane plansze, by niebo nad Los Angeles wyglądało bardziej „niebiańsko”). Stu uzmysłowił sobie, że od rana ani razu nie spojrzał w górę.

- Wspaniała, Ernie - przyznał.

Robles podniósł notes.

- Grasz? W czym?

- A jak sądzisz?

- W *Gliniarzu*? Dzisiaj nie filmują.

- Nie, nakręciliśmy już odcinki do końca roku. Po prostu muszę się dzisiaj z kimś zobaczyć... A tak przy okazji, przywiozłem ci coś z posterunku.

Wręczył Roblesowi cienkie czasopismo ilustrowane. Obrzeźone czerwienią jaskrawożółte litery układały się w tytuł: „Wartownik”. Pod nimi widniały zdjęcia groźnie wyglądającego czarnego półautomatycznego pistoletu z tłumikiem i mosiężnych nabojów zakończonych czarnymi kulami. Reklamówka od Hecklera & Kocha. Stosy ich leżały na każdym posterunku policji. Stu przekartkował pismo na czerwonym świetle. Reklamy śrutówek marki Benelli, ogłoszenia o terminach szkolenia strzeleckiego, reklamy „PSG1 - strzelba za dziesięć tysięcy dolarów i warta swej ceny!” Stu obejrzał kilka fotografii pistoletów, lecz szybko się znudził.

Robles przeglądał pismo, wpatrując się w obrazki.

- Najnowszy numer, Ernie.

- Widzi pan te towary? Och, wielkie dzięki.

Stu wjechał na teren studia.

*

Zaparkował i wszedł do kompleksu produkcyjnego, gdzie dość łatwo znalazł Scotta Wembleya. Asystent reżysera - ze zwieszonymi długimi rękoma i oblizując wargi - wychodził z szarego niepozornego bungalowu.

Była godzina lunchu. Wembley szedł sam, prawdopodobnie kierował się do kantyny.

Stu poszedł za nim.

- Cześć, Scott.

Wembley odwrócił się. Pociągła blada twarz bez wyrazu.

- Witaj, Stu.

Jak większość asystentów reżyserów był młokosem, ledwie parę lat po uniwersytecie Berkeley, absolwentem wydziału filmowego, bez słowa sprzeciwu tolerującym niską płacę, długi dzień pracy i obelgi ważniaków - wszystko za imponująco brzmiące stanowisko i szansę nawiązania odpowiednich znajomości.

I podobnie jak wielu podobnym do niego młodym ludziom. Scottowi brakowało silnej woli i realnego osądu własnej sytuacji.

Uścisnęli sobie ręce. Wembley nosił typowy tu strój: workowate dzinsy Gapa i wielką kraciastą rozpinaną koszulę, która wydawała się za gruba na tę pogodę i zbyt kosztowna na jego zarobki. Stalowy rolex zdziwił Stu jeszcze bardziej.

Chłopak wyglądał jeszcze szczuplej niż w zeszłym roku, miał kościstą, ni to męską, ni to żeńską twarz. Wyglądał jak z reklamy Calvina Kleina. Pryszcze na policzkach? Coś nowego.

Dłoń miał miękka, chłodną i wilgotną. Jego gładkie czoło rosił pot. Gruba koszula! Koszula z długim rękawem, zapięte mankiety.

No tak, oczywiście, oczy. Te źrenice. Biedny Scotty najwyraźniej niczego się nie nauczył. Znowu brał.

Podczas miesiąca, który Stu spędził na planie, Wembley stale się koło niego kręcił i nieustannie wypytywał o szczegóły pracy na ulicy. Koniecznie chciał wiedzieć, jak naprawdę wygląda ulica. Pisał scenariusz (jak wszyscy inni), chociaż jego prawdziwe marzenie było inne - pragnął zostać drugim Martinem Scorsese; najwybitniejsi reżyserzy mają pełną kontrolę nad filmem.

Stu odpowiadał cierpliwie na jego pytania. Uznał chłopaka za rozrzewniającą kombinację brawury „pokolenia X” i kompletnej ignorancji.

Potem, w ostatni piątek spędzony na planie zdjęciowym, już po godzinach pracy, Stu chciał dokończyć jakąś robotę papierkową w gigantycznym pustym pomieszczeniu o wygłuszonych ścianach. Czyjeś głośne westchnienia przyciągnęły go do sali, gdzie odkrył Wembleya. Chłopak, na wpół ukryty przez przenośną ściankę, siedział na podłodze. Z żyły w ramieniu sterczała mu strzykawka z heroiną.

Nie usłyszał kroków Stu. Miał zamknięte oczy, żyły na długim, chudym ramieniu były nabrzmiące, wyglądały jak makaron. Strzykawka była z gatunku tanich plastikowych jednorazówek.

- Scott! - warknął ostro Stu. Otwierając oczy, dzieciak ujrzał najgorszy z możliwych dla ćpuna scenariuszy. Głina. Wembley gwałtownie wyszarpnął igłę i rzucił ją na ziemię. Upadła

z brzękiem na beton, na którym rozprysnął się płyn o barwie mleka. - A niech cię, mały - skomentował policjant.

Wembley wybuchnął płaczem.

Moralny dylemat.

W końcu Stu postanowił nie aresztować młodzieńca, chociaż ewidentnie naruszył w ten sposób wewnętrzne przepisy departamentu: „Będąc świadkiem przestępstwa...”.

Udawał, że wierzy Wembleyowi, który upierał się, że wziął po raz pierwszy, że tylko eksperymentuje. Dwa inne ślady po igle na jego rękach świadczyły o czymś wręcz przeciwnym, ale oba wyglądały na stare. Stu uznał, że chłopak na szczęście nie narkotyzuje się regularnie - przynajmniej jak do tej pory. Skonfiskował narkotykowy zestaw, który znalazł w kieszeni lotniczej kurtki Wembleya i wrzucił do śmietnika na parkingu - ponownie działając wbrew przepisom. Popełnił jeszcze gorsze przestępstwo niż Scott, lecz dzięki Bogu dzieciak nie był wystarczająco bystry, by się zorientować.

Zawiózł Wembleya do kafeterii „Go-Ji” na bulwarze Hollywood, posadził w ławie pod tylną ścianą i napił mocną, czarną kawą (którą Stu uważał również za swego rodzaju narkotyku), po czym pozwolił, by bezmyślny dzieciak rozejrzał się po sali pełnej „zaawansowanych” ćpunów.

Towar w strzykawce musiał być dość słaby, ponieważ Wembley wyglądał na poruszonego widokiem. Otworzył szeroko oczy. A może strach zneutralizował działanie ogłupiającego narkotyku.

Stu zamówił chłopakowi hamburgera, zmusił go do jedzenia, udzielając mu tymczasem srogiej reprymendy. Wkrótce Wembley opowiedział mu swoją smutną biografię: okropności dorastania w dostatnim, konserwatywnie nastawionym Marin County, przy nadopiekuńczych rodzicach, którzy ograniczali jego wolność; samotność po ukończeniu college'u, wyalienowanie i lęk przed przyszłością. Stu udawał, że traktuje historię poważnie i zastanawiał się, jakie będą w tym wieku jego własne dzieci. Przed upływem godziny Wembley ślubował uroczystość czystości, prawości i lojalności wobec flagi.

Stu zawiózł go wtedy z powrotem do studia. Scott miał niemal ochotę go wyciąć, okazywał mu wdzięczność jak panienka i detektyw zastanowił się, czy dzieciak nie jest na dodatek gejem.

Później Wembley unikał go na planie. Było to bez znaczenia. Stu wiedział bowiem, że młody człowiek ma wobec niego spory dług i w każdej chwili będzie mógł zażądać jego spłaty, chyba że asystent reżysera porzuci show-biznes i wróci do domu.

Teraz nadszedł właściwy dzień.

- Dobrze, że cię widzę, Scott.

- Też się cieszę. - Dzieciak nie umiał kłamać. Usta mu drżały i stale pociągał nosem.

Czerwonym nosem. A jego oczy... Głupi, mały idiota.

- Jak się masz?

- Świetnie. Co mogę dla pana zrobić, detektywie?

Otoczył ramieniem kościste łopatki Wembleya.

- Rzeczywiście, chcę cię poprosić o przysługę, Scott. Znajdźmy spokojne miejsce i pogadajmy.

Poprowadził Wembleya na ławkę.

- Potrzebuję informacji o Carcie Ramseyu. Dyskretnych informacji.

- Wiem tylko to, co mówili w dzienniku.

- Nie słyszałeś w studiu żadnych plotek?

- Dlaczego miałibyśmy tu o nim plotkować?

- Ponieważ nie ma większych plotkarzy niż ludzie z branży filmowej.

- No cóż, jeśli nawet krążą jakieś plotki, nie słyszałem ich.

- Twierdzisz, że nikt nic o Ramseyu nie mówi?

Wembley nerwowo zagryzł wargi.

- Noo... coś tam niektórzy gadali.

- Co takiego?

- Że ją zabił.

- Skąd to przypuszczenie, Scott?

- Pobił ją, prawda? Może chciał do niej wrócić, a ona odmówiła.

- To twoja teoria czy kogoś innego?

- Wszystkich. Pańska nie? - odparował Wembley. - W przeciwnym razie, po co przychodziłby pan tutaj?

- Jaką Ramsey ma reputację?

Wembley prychnął.

- Jako aktor - marną. Poza tym, nic nie wiem. Facet mnie nie interesuje.

- No cóż - wycedził Stu. - Od dziś zacznie, Scott. Teraz powinieneś bardzo się nim zainteresować.

Rozdział 19

Miałem dziś dość dobry dzień. Zjadłem kukurydzę i nikt się mnie nie czepiał. Wrócę do kryjówki numer pięć i zaplanuję, co dalej.

Skierowałem się akurat ku otwartej furtce, gdy zobaczyłem, że ktoś do mnie macha.

Para starszych ludzi. Stoją przy samym zakręcie.

Mężczyzna trzyma w górze aparat. Oboje machają, a kobieta woła:

- Młody człowieku, pozwolisz do nas na sekundkę?

Nie chcę przyciągać uwagi nagłą ucieczką albo innym dziwacznym odruchem, więc podchodzę do nich.

- Hej, kolego - mówi facet. Co za palant. Ubrany w podkoszulek z logo Dodgersów, szorty, skarpety i buty, na głowie jasnobłękitny kapelusz. Skóra różowa, duży bryłowaty nos, jak u dupków z „Sunnyside”.

Jego aparat jest ogromny, w dużym czarnym pokrowcu, pokrytym mnóstwem sprzączek i zatrzasków; żona starego ma dokładnie taki sam.

- Przepraszam, że przeszkadzamy, przyjacielu, ale wydałeś nam się taki miły - mówi on, prezentując w uśmiechu żółte zęby.

- Dziękuję, proszę pana.

- Uprzejmy - mówi ona, uśmiechając się. - Nie każdy, kogo spotykamy, jest uprzejmy. Jestem pewna, że potrafisz to dla nas zrobić, kochanie.

Mężczyzna odchrząkuje i porusza pokrowcem z aparatem.

- To jest japoński aparat, nikon. Wraz z żoną zastanawiamy się, czy mógłbyś wyświadczyć nam przysługę i zrobić zdjęcie. Chcielibyśmy być na nim razem.

- Jasne.

- Serdeczne dzięki, synu. - Sięga do szortów i wyjmuje banknot dolarowy.

- Nie musi mi pan płacić - mówię.

- Ależ, mój drogi, nalegamy - stwierdza żona i chociaż - ukrywa oczy za okularami przeciwsłonecznymi, widzę, że zmienia się wyraz jej twarzy - zaledwie na sekundę jej wargi wyginają się w podkówkę. Jakby była smutna. Albo przepełniona współczuciem. Jakby wiedziała, że potrzebuję pieniędzy.

Wpadam na pomysł, że jeśli będę wyglądał na bardzo ubogiego, dostanę więcej, więc

garbię się trochę, lecz kobieta tylko klepie mnie po ręce.

- Weź to. Proszę.

Chowam dolara do kieszeni.

- W porządku - mówi on. - Zatem zawarliśmy interes. - Szerszy uśmiech, więcej żółtych zębów. - Dobra, kochanie, gdzie jest najlepsze miejsce?

- Dokładnie tam, gdzie staliśmy. Słońce jest tam idealne. - Kobieta wskazuje miejsce i wchodzi kilka kroków na wzgórze, tupie nogą i dotyka własnego aparatu. „Po co im dwa aparaty?” - myślę, ale uznaję, że widocznie niektórzy nie ufają urządzeniom. A może własnej pamięci. Staruszkowie prawdopodobnie chcą mieć pewność, że sfotografują wszystko, co zobaczą, by pokazać to wnukom.

- Okej! - mówi ona.

Dają sobie jakieś znaki. Kobieta jest niska, chuda, nosi męską marynarkę na podkoszulku z Dodgersami i zielonych spodniach.

Mężczyzna wyjmuje aparat z pokrowca, podaje mi go i podchodzi do żony. Aparat wygląda na kosztowny i trzymając go, denerwuję się.

- Nie martw się - mówi kobieta. - Zdjęcie robi się łatwo, a ty wydajesz się bystrym młodym człowiekiem.

Patrzę na nich przez wizjer. Są zbyt daleko, toteż podchodzę bliżej.

- To automat, synu - mówi starszy człowiek. - Tylko naciśnij guziczek.

Naciskam. Nic się nie dzieje. Próbuję jeszcze raz. Nadal nic.

- O co chodzi? - pyta.

Wzruszam ramionami.

- Nacisnąłem.

- Och, nie, czyżby znowu się zaciął? - pyta ona.

- Sprawdzę - mówi on i znowu podchodzi. Daję mu aparat. Odwraca go. - Ach. Stale ten sam problem.

- O Boże - mówi staruszka, tupiąc nogą. - Mówiłam ci, że trzeba zabrać na wszelki wypadek także mój. Kiedy wrócimy do domu, od razu pójdę do serwisu i każę im naprawić tym razem porządnie!

Mężczyzna posyła mi zakłopotany uśmiech. Chyba nie lubi takiego tonu.

Kobieta przyłącza się do nas. Pachnie jakimś mydłem. On pachnie cebulą.

- Przykro mi, kochanie, to zajmie tylko minutkę - mówi ona, otwiera pokrowiec swojego aparatu i wyjmuję z niego coś dużego i czarnego. Wcale nie aparat, lecz pistolet! Nie mogę uwierzyć w to, co widzę! Nagle kobieta brutalnie dźga mnie łufą w pepek. Brak mi tchu, a

ona pcha mnie, jak gdyby chciała wbić we mnie broń, drugą rękę zaś zaciska mocno na mojej szyi. Nie wyglądała na taką silną. On również mnie chwytła i przyciska mi ramiona do boków.

Stoją po obu moich stronach niczym dziadkowie. Pewnie dla osób postronnych wyglądamy jak rodzina, tyle że nie mogę oddychać; sprawiają mi ból.

- No, uliczny śmieciu - mówi ona - chodź grzecznie z nami. Zrób jeden niewłaściwy ruch, a zabijemy cię. Wierz mi, nie żartuję!

Znowu się uśmiecha. Na jej twarzy nie ma już litości, jest natomiast coś innego - to samo spojrzenie, które widziałem u Barana-Morana, zanim szedł po narzędzia.

Prowadzą mnie ku otwartej furtce. Wiedzą o mojej kryjówce - też mi kryjówka! Ależ ze mnie głupiec!

Jej twarz jest jak maska, ale on zachłannie łapie powietrze, wyraźnie jest podekscytowany. Usta ma otwarte, skórę różową jak gumka-myszka, chucha na mnie odorem cebuli. Ciągną mnie ku kryjówce numer pięć.

- Zrobimy ci dobrze, dziecko - mówi ona. - Nigdy ci tak dobrze nie było.

Rozdział 20

Petra stała przy biurku i dzwoniła do firmy telefonicznej w sprawie rachunku Lisy. Potwierdzono, że jeszcze dziś dostanie niezbędne wydruki. Zaczęła też wstępną robotę papierkową w sprawie uzyskania sądowego pozwolenia na wgląd w billing roczny, zadzwoniła do koronera i kryminalistów. Wyników sekcji jeszcze nie było, z ubrania Lisy zaś, z jej ciała i biżuterii nie udało się zdjąć żadnych odcisków palców. Technik zaopiniował, że sprawca zapewne działał w rękawiczkach. Petra, orzeźwiona kawą z automatu, sprawdziła wszystkie oficjalne policyjne parkingi, na które odholowywano pojazdy, i przejrzała spisy odnalezionych aut. Nigdzie nie figurowało porsche Lisy.

Później zajęła się „czarną robotą” dla Schoelkopfa. Rozmawiała już z tuzinem detektywów - dzienna zmiana od Van Nuys po Devonshire. Obdzwoniła też Zachodnie Los Angeles. Teraz zatelefonowała na Pacific Northwest.

Za każdym razem słyszała te same słowa: „Chyba żartujesz!”

Nikt nie miał wątpliwości, kto zabił Lisę Ramsey, wszyscy jednak rozumieli polecenie jej szefa. Gdy tylko przestawali się śmiać, natychmiast okazywali jej współczucie z powodu niewdzięcznego zadania.

Końcowy rezultat - żadnych podobnych spraw. Tymczasem Cart Ramsey pewnie grał w golfa, moczył się w gorącej kąpieli lub cieszył widokiem samochodów w swoim małym muzeum. A poranione ciało jego zamordowanej żony spoczywało na stole koronera.

Mercedesa prawdopodobnie szorowano, czyszczono i odkurzano. Będzie wyglądał porządniej niż sala operacyjna.

Petra pomyślała o ciele Lisy, o krwawej dziurze w brzuchu ofiary, o wypadających wnętrznościach, okaleczonej twarzy pięknej młodej kobiety. Zastanowiła się, czy miłość faktycznie może doprowadzić do tak potwornych czynów.

Czy do takiej zbrodni może dojść z powodu namiętności? A może zabójca był po prostu nienormalny?

Domowe szczęście, domowa krew. Tak, w życiu Petry też była taka chwila - zaledwie chwila, która trwała nie dłużej niż ułamek sekundy - gdy czuła się zdolna do morderstwa.

Dlaczego stale wracała myślami do własnej przeszłości?

„Uporaj się z tym wreszcie, mała!”

Zadręczała się wspomnieniami.

Dwudziestopięcioletnia absolwentka malarstwa, która udawała osobę chłodną i opanowaną, lecz była tak ślepo zakochana, że poświęciłaby dla Nicka niemal wszystko. Ten przyływ emocji, ta namiętność, jakiej nigdy przedtem nie czuła. Seks aż do bólu. Po stosunku - rozmowy w pościeli, gdy leżeli obok siebie, a Petra całą sobą nadal pragnęła swego mężczyzny.

Nick wydawał się świetnym słuchaczem. Dopiero później odkryła, że udawał. Sam nic nie mówił, ponieważ nie zamierzał się przed nią otwierać. Nie zamierzał jej nic z siebie dać.

Opowiedziała mu o wszystkim: o dorastaniu bez matki, o irracjonalnym poczuciu winy, które ją dręczyło, ponieważ - we własnym mniemaniu - przyczyniła się do jej śmierci, o tym, że tak bardzo rozwścieczyła swym zachowaniem ojca, iż jedynym rozwiązaniem stał się internat. Połowę okresu dojrzewania spędziła w zatęchłych kilkusobowych pokojach. Inne dziewczyny chichotały, paliły papierosy, plotkowały o chłopakach, czasem się masturbowały; stale słyszała szelest przesuwanej kołdry.

A Petra - tajemnicza, milcząca dziewczyna z Arizony - leżała bez ruchu w swoim łóżku i rozmyślała nad tym, że zabiła własną matkę.

Powierzyła Nickowi swoje najintymniejsze sekrety, gdyż uważała, że łączy ich prawdziwa i głęboka miłość.

Potem którejs nocy wyjawiała mu nową tajemnicę:

- Zgadnij, co się zdarzyło, kochanie? I pogłaskała się po brzuchu.

Oczekiwała zaskoczenia, może początkowej urazy, która powinna się szybko ulotnić. Przecież jej mężczyzna ją kochał!

Niestety, w jego oczach pojawił się chłód. Nick straszliwie zbladł. Nie był urażony, lecz wściekły. Przeszył ją pełnym nienawiści wzrokiem (siedzieli przy stole w jadalni), potem obdarzył tak pogardliwym spojrzeniem, że aż zamarła z osłupienia. Wyjątkowy posiłek, który przyrządziła specjalnie dla niego, pozostał nietknięty. Niby mieli świętować, choć może podświadomie Petra przeczuwała, że Nick nie będzie zadowolony i że jego ulubione potrawy - cielęcina, *gnocchi* i klasyczne chianti za dwadzieścia dolarów - nie są niczym więcej niż tylko łapówką.

Jej mężczyzna siedział przez chwilę w bezruchu, nic nie mówił... Te cienkie wargi, które początkowo wydawały jej się arystokratyczne, były takie bezkrwiste... Okropne usta starego, wstrętnego dziada.

- Nicku...

- Jak mogłaś, Petro!?

- Nicku, kochanie...

- Ty, kretynko! Jak mogłaś być taka głupia... Nie wiesz, co oznacza dla nas dziecko?!

- Nicku...

- Odwal się!

Gdyby wtedy miała broń, może...

Dopiero gdy otworzyła oczy, uprzytomniła sobie, że je zamknęła. Hałas w sali niemal ją ogłuszył. Rozejrzała się. Pozostali detektywi byli zajęci swoją pracą.

Wiedziała, że powinna robić to samo.

Wróciła do telefonu, choć uważała swoje zadanie za stratę czasu.

A jednak detektywi z czwartego rejonu w Pacific opowiedzieli jej o pewnym przypadku.

Sprawa pozostawała nie rozwiązana od trzech lat. Ładna blondynka mocno poharatana nożem, znaleziona na południowym krańcu Venice, w pobliżu przystani jachtowej. Sprawę prowadził detektyw drugiego stopnia, nazwiskiem Phil Sorensen.

- Wiesz - powiedział - kiedy usłyszałem o żonie Ramseya natychmiast skojarzyłem, tyle że nasza dziewczyna była Niemką, stewardesą Lufthansy na urlopie. Trop prowadził do jej austriackiego przyjaciela, bagażowego, który wrócił do Europy, zanim zdążyliśmy z nim porozmawiać. Poprosiliśmy o pomoc austriacką policję, Interpol, kogo się dało, ale niestety nie znaleziono go.

- Dlaczego go podejrzewałeś? - spytała Petra.

- Widziała go koleżanka ofiary, też stewardesa. Mówiła, że pojawił się w hotelu

nieoczekiwanie i był strasznie zdenerwowany, ponieważ ofiara - nazywała się Ilse Eggermann - opuściła Wiedeń bez uprzedzenia. Ilse zdradziła przyjaciółce, że sporo się kłócili, facet ponoć miał paskudny charakter, traktował ją brutalnie, więc go rzuciła. Zdenerwowała się, gdy musiała pracować w pierwszej klasie z podbitym okiem. To zdarzenie podobno przechyliło szalę... A jednak, kiedy chłopak odnalazł ją w Los Angeles, dała się przekonać i umówiła się z nim. Wyszli o dziewiątej wieczorem, a Ilse została znaleziona o czwartej nad ranem. Jej ciało porzucono na parkingu nieopodal Ballona Creek. Okazało się, że chłopak przyleciał Lufthansą poprzedniego ranka, miał zniżkę dla pracowników. Nie miał dużego bagażu i nie zameldował się w żadnym hotelu czy motelu w Los Angeles.

- Czyli planował krótki pobyt - podsumowała Petra. - Zrobił, co zaplanował i wrócił do kraju.

- Tak to wyglądało. - Sądząc po głosie. Sorensen był mężczyzną blisko emerytury. Łagodny głos, powolny sposób mówienia, czasem lekko się wahał. Starannie dobierał słowa. Używał staroświeckich wyrażań.

- Jak była ubrana Ilse, gdy ją znaleźliście? - spytała Petra.

- Ładna sukienka, ciemna - granatowa albo czarna. Chyba czarna. To była bardzo piękna dziewczyna. Wyglądała na miłą. Zważywszy na ilość... - Sorensen zakaszłał. - Nie znaleźliśmy śladów gwałtu. Nie potrzebowaliśmy Sherlocka Holmesa, by ustalić, że spotkała się wieczorem ze swoim chłopakiem - Karlheinzem Lauchem. Kelner, który podawał im kolację u Antoine'a na molo przy Redondo Beach, zapamiętał ich, gdyż jedli mało, za to sporo rozmawiali. A może zapamiętał napiwek. Założyliśmy, że Lauch namawiał Ilse do pojednania, nie zgodziła się, więc się wściekł, zawiózł ją gdzieś, zabił i porzucił ciało. Nie wiemy, czym jechał, ponieważ nie zdołaliśmy ustalić wynajętego samochodu, a Austriak nie miał w Kalifornii znajomych.

Sorensen podniósł trochę głos. Pamiętał mnóstwo szczegółów jak na tak dawno popełnioną zbrodnię. Najwyraźniej nadal ją wspominał.

- Znalaziono ją o czwartej rano - podsunęła Petra. - Wiecie, o której została zabita?

- Mniej więcej o drugiej, drugiej trzydzieści.

Wczesnym rankiem - tak samo jak Lisę. Morderca również porzucił ciało na parkingu. A podmokły teren Ballona Creek należał - podobnie jak Griffith - do miejskich parków.

- Ile ran kłutych?

- Dwadzieścia dziewięć... Istna miazga, ale taki szal pasował do gniewu Laucha. Wcześniej zresztą wielokrotnie pobił Ilse. Dużo podobieństw ze sprawą Lisy Ramsey?

- Tak, są podobieństwa, detektywie Sorensen - odparła Petra wymijająco, choć w

rzeczywistości przypadek wyglądał dla niej jak pieprzona kserokopia.

- No cóż, znasz takich facetów - mruknął. - Nienawidzą kobiet. Działają zazwyczaj szablonowo.

- To prawda - przyznała. - Gdzie pracował Lauch?

- Na lotnisku w Wiedniu. Rodzinę miał jednak w Niemczech. Po morderstwie nie wrócił już do pracy ani do rodzinnego miasta. Sprawdziliśmy w innych liniach lotniczych, niestety nic nie znaleźliśmy. Mógł zmienić nazwisko albo przeprowadzić się do innego kraju. Miałem ochotę polecieć do Europy i przyrzeć się sprawie osobiście, ale wiesz... budżet policyjny i tak dalej. Musieliśmy więc polegać na policji austriackiej i niemieckiej, tyle że nikt tam nie przejawiał szczególnego zainteresowania zbrodnią, ponieważ miała miejsce tutaj.

- Gdyby Lauch pracował jako bagażowy pod innym nazwiskiem, miałby prawo do zniżki pracowniczej - zamyśliła się Petra. - Może nadal lata w tę i z powrotem.

- Wrócił do Los Angeles i ponownie zamordował?

- Mam nadzieję, że nie, Philu, jednak ze względu na zbieżności z naszym przypadkiem trzeba będzie sprawdzić Laucha dokładnie jeszcze raz. Możesz mi przefaksować dane?

- Daj mi godzinę - odparł Sorensen. - Może się okazać, że to ślepy trop, choć facet z pozoru pasuje. Oczywiście, najpierw musisz ustalić, czy był tutaj w czasie zabójstwa Lisy Ramsey, potem sprawdzić, czy coś go z nią łączyło, a przy tym nie spuszczać z oczu jej męża. Doprawdy zabawne.

- Też się świetnie bawię. Dzięki za pomoc, Phil.

- Słuchaj - dodał - szczerze bym chciał, aby moja sprawa ci pomogła. Byłbym ci nawet wdzięczny. Od trzech lat się dręcę, że nie wyjaśniłem tamtej zbrodni. Taka ładna dziewczyna, a gnojek zrobił z niej coś potwornego.

*

Była trzynasta, najwyższy czas, aby zacząć szukać montażysty Darrella (czy też Darrena), jednak Petra chciała poczekać na faks z danymi Karlheinz Laucha.

Sprawa Ilse Eggermann była zaskakująca, lecz Sorensen miał rację: podobieństwo da się wyjaśnić za pomocą wzorca zachowań typowy dla mężczyzn bijących swoje kobiety - stara, wciąż powtarzająca się tragedia, przynajmniej od czasu Otella.

Równie dobrze mogła to być kwestia zwykłego rachunku prawdopodobieństwa... „Szukajcie, a znajdziecie”. W ciągu trzech lat w Los Angeles dokonano ponad trzech tysięcy zabójstw. Jedna podobna sprawa w tak długim czasie... Z pewnością fakt ten nie trafi do *Księgi rekordów Guinnessa*.

Tymczasem postanowiła porozmawiać z pozostałymi detektywami z Pacific Northwest, kilkoma z San Fernando Valley (nieobecni, gdy dzwoniła po raz pierwszy). Może powinna zadzwonić jeszcze raz z kondolencjami do rodziców Lisy w Chagrin Falls, sprawdzić, czy pani Boehlinger jest w domu, dowiedzieć się, kiedy państwo Boehlingerowie przyjadą zidentyfikować zwłoki córki.

Czy pani Boehlinger z taką samą mocą nienawidzi Ramseya jak jej mąż?

Petra przeanalizowała własne odczucia co do aktora: nie pytany przedstawił im alibi, opowiedział im o narkotykowych problemach Lisy, potem pominąwszy ich, zadzwonił bezpośrednio do Schoelkopfa. Wreszcie, zaprezentował się jej jako subtelny Don Juan.

Uznała go za napuszonego, skoncentrowanego na sobie narcyza. Czy mógłby wpaść w szal, gdyby kobieta go rozgniewa albo odrzuciła?

Petra nie była co do tego pewna, wiedziała wszakże jedno - Ramsey nie zrobił nic, by rozwiązać podejrzenia. Mimo sprawy Ilse Eggermann, nadal pozostawał głównym podejrzanym.

W głowie policjantki zaczął się konkretyzować scenariusz zdarzenia: Lisa - tak jak Ilse Eggermann i tak jak wiele innych kobiet maltretowanych przez mężczyzn - dała się namówić eks-mężowi na spotkanie. Poczula nawrót dawnej namiętności? A może Ramsey zarzucił na nią przynętę, jakiej nie ulega rzadko która kobieta: zaoferował szansę wyjaśnienia wszystkich nieporozumień.

Połknęła haczyk, gdyż kiedyś mnóstwo ich łączyło, a uczucia jeszcze nie umarły, a tylko lekko osłabły. Ponieważ pamięć ludzka jest wybiórcza, a kobiety zawsze mają nadzieję, że ich mężczyźni się zmieniają.

Randka... gdzie? Nie w restauracji, raczej w jakimś bardziej intymnym miejscu. Romantycznie. W odosobnieniu.

Nie w domu w Calabasas, zbyt duże ryzyko. Nawet jeśli Greg Balch skłamałby dla swojego szefa, ktoś inny mógłby coś zauważyć - strażnik, któryś z sąsiadów. Służąca.

Petra przypomniała sobie, jak spłoszona wydała jej się Estrella Flores. Trzeba z nią koniecznie porozmawiać, lecz jak to załatwić, nie alarmując równocześnie Ramseya? Czekala ją również pogawędka z nocnym strażnikiem w „Ranch Haven”. Rażące niedopatrzenie! Wszystko dlatego, że od początku mieli związane ręce.

Miała sporo do zrobienia... Wróciła myślą do swego „scenariusza”. Gdzie Ramsey zabrałby Lisę?

Czy miał inny dom? Weekendową kryjówkę? Z tego, co Petra słyszała, większość aktorów stale wyjeżdżała gdzieś wypocząć.

W pobliżu plaży? W górach? Arrowhead. Big Bear? A może na północy - Santa Barbara, Santa Ynez. Wiele osób z showbiznesu kupowało sobie rancza...

Jeśli plaża, to prawdopodobnie Malibu. Fale uderzające o brzeg, czysty piasek... Cóż może być bardziej romantycznego?

Petra zaznaczyła w notesie, by jak najszybciej sprawdzić stan majątkowy Ramseya. Musiała ustalić, ile posiadał nieruchomości.

Plaża świetnie jej pasowała do melodramatu pod tytułem „Ostatnia randka”. Petra wyobraziła ich sobie: Ramsey i Lisa na miękkiej sofie w oszklonym pokoju z widokiem na plażę. Szampan, kawior, koka. Może przyjemnie trzaskający kominek. Czarujący Ramsey.

Lisa żywo reaguje na jego adorację. Krótka, seksowna czarna sukienka. Obnażone uda. Kiedyś łączyła małżonków miłosna chemia... Uczucia powracają... Z niewielką pomocą kawioru Moet & Chandon. I najczystsze go towaru z Medellfn. Albo inny rodzaj zachęty - pieniądze. Lisa wprawdzie nieźle zarabiała, ale lwia część jej dochodu pochodziła od Ramseya.

Bogaty mężczyzna kupuje sobie miłość młodej dziewczyny? Znow ta sama historia? Petrę nagle ogarnął smutek i natychmiast przypomniała sobie, że nie wolno jej nikogo osądzać. Co zrobiłaby ona sama, gdyby którejś samotnej, przepełnionej pożądaniem nocy zadzwonił Nick... Powiedziałaby: „Cześć, Pet”. Jak by zareagowała?

Nie, nie! Trzasnęłaby słuchawką z całej siły, jak gdyby chciała, by samolubnemu skurczybykowi popękały od tego bębni w uszach.

Dalszy ciąg potencjalnego spotkania w Malibu. Odgłos fal uderzających o brzeg, czułe wspomnienia, pierwsze intymne gesty.

Ramsey kusi, przyciąga.

Jednak Lisa rozmyśla się, opiera, sprzeciwia Ramseyowi.

On dostaje szału, czuje się poniżony, ma ochotę stłuc byłą żonę. Pamięta wszakże, co się stało poprzednim razem - Lisa publicznie go skompromitowała - więc tłumi wściekłość.

Zachowuje spokój i odwozi ją do domu.

Z Malibu do Doheny Drive Hills mogli pojechać autostradą Pacific Coast do Bulwaru Zachodzącego Słońca albo drogą przez San Fernando Valley i jeden z kanionów. Zamiast jednak skręcić na południe, Ramsey jedzie dalej na wschód, może Laurel Canyon w dół Hollywood Boulevard, w górę Zachodniej Alei do Los Feliz, a potem do Griffith Park.

O tej porze ruch jest niewielki. Ramsey zatrzymuje się na parkowym parkingu. Lisa czuje, że coś jest nie w porządku. Próbuje mu się wymknąć.

Ramsey po raz ostatni ją obejmuje.

A później stalowy pocałunek!

Żadnej agresji seksualnej. Napastnikowi wystarcza krwawy orgazm.

Zdaniem Petry miało to ręce i nogi.

Gregory Balch kłamie detektywom prosto w oczy. Potwierdza alibi Ramseya.

Tak, Petra postanowiła, że musi się więcej dowiedzieć o tym Balchu. Kolejne zadanie.

Sprawa Ilse Eggermann i Karlheinz Laucha. Niewiarygodne podobieństwo. Petra wyobraziła sobie szeroki uśmiech Schoelkopfa i zde gustowane spojrzenie na twarzy Stu. Gdy wychodziła, nie podniósł oczu, tylko wymamrotał wymuszone pożegnanie.

Hmm, a on sam? Czy ni stąd, ni zowąd nie powiedział na zebraniu o książce? Kiedyś zawsze postępował rozważnie. Był człowiekiem bardzo zorganizowanym. Może nie chodziło o jego małżeństwo, może niepokoił się o karierę. Właśnie nadarzyła się szansa, by awansować na porucznika, on tymczasem utkwiał w miejscu, nie mogąc rozwikłać sprawy, która może mieć decydujący wpływ na jego dalszą karierę. To, co dla Petry jest po prostu kolejnym zadaniem, dla niego stanowi „być albo nie być”.

Petra zastanowiła się, czy w sytuacji krytycznej Stu dla kariery poświęciłby jej przyjaźń.

Przez osiem miesięcy jeździli razem, jadali razem, pracowali ramię w ramię. Stu spędzał z nią równie dużo czasu, co z Kathy, czasami nawet więcej i zawsze traktował ją jedynie jako współpracowniczkę, nigdy jej nie dotknął, nie pozwolił sobie na jakiegokolwiek dwuznaczne gesty czy uwagi.

Sądziła, że go zna, lecz z drugiej strony osiem miesięcy to niezbyt długo, nieprawdaż?

Petra była z Nickiem przez ponad dwa lata. Mniej więcej tyle samo co Lisa i Ramsey.

Mężczyźni i kobiety...

*

Kiedy Petra miała piętnaście lat, obudziła się którejś z długich letnich nocy podczas wakacji w Arizonie. Była godzina pierwsza po północy. Petra słyszała jakieś urojone odgłosy, aż w końcu stwierdziła, że to trzeszczą ściany domu, smagane gorącym pustynnym wiatrem. Zaniepokojona i nieco zdenerwowana, wyszła do sieni, wpatrzyła się w swojski pas światła pod drzwiami gabinetu ojca, zastukała i weszła do maleńkiego, przyćmionego, zagraconego pokoju.

Ojciec siedział na dębowym krześle. Rozmyślał, wpatrzony w pustą kartkę wkręconą w maszynę Royal. Dostrzegł córkę i posłał jej słaby uśmiezek; gdy podeszła bliżej, w oddechu ojca wyczuła szkocką, zobaczyła otępienie w jego oczach. Wykorzystała jego kiepski stan, tak jak tylko nastolatki potrafią. Skłoniła go do rozmowy na temat, którego nienawidził

poruszać - kobiety, która umarła, rodząc Petrę.

Była świadoma tego, że zadaje mu ból, lecz niech to szlag, miała prawo wiedzieć!

Ojciec mówił mamrotał półgłosem.

Anegdotki, wspomnienia, opowieść o spotkaniu niezgrabnego Kennetha Connora i wspaniałej Maureen McIlwaine na promie na Long Island, gdzie znaleźli prawdziwą miłość. Doskonale znała te historie, ale mogłaby ich słuchać bez końca. Nigdy nie miała ich, dość.

Tej nocy siedziała po turecku na wypaczonej podłodze z twardego drewna, bez ruchu, w milczeniu i bała się, że coś rozproszy ojca i przerwie jego opowiadanie.

W końcu rzeczywiście zamilkł; przez chwilę patrzył na córkę, po czym ukrył twarz w dłoniach.

- Tatusiu...

Ręce opadły mu na kolana. Wyglądał tak smutno.

- To wszystko, co pamiętam, kochanie. Twoja matka była cudowną kobietą, ale...

Wtedy zaczął płakać i znowu ukrył przed Petrą twarz.

Mężczyźni wstydzą się płaczu.

Podeszła i uściskała jego szerokie, kościste ramiona.

- Och, tatusiu, jestem taka...

- Była taka cudowna, kochanie. Jedna na milion, choć nie idealna. Pet. Nasza historia też nie przypominała tych z bajek.

Otworzył szufladę w biurku i spojrzał na jej zawartość - zapewne na butelkę.

Kiedy odwrócił się z powrotem do córki, oczy miał suche i uśmiechał się, jednak nie żadnym ze znanych Petrze uśmiechów - nie owym ciepłym, opiekuńczym, ani drwiącym, sarkastycznym czy też tym pijackim, który tak ją kiedyś drażnił.

Ten był inny - płaski, pusty, zastygły jak u posągu. W dziesiątej klasie na lekcjach angielskiego Petra uczyła się o tragedii i uśmiech ojca jednoznacznie skojarzył jej się z tym właśnie gatunkiem literackim.

Uśmiech człowieka przegranego. Przeróżający niczym przeblysłk wieczności.

- Tatusiu...

Podrapał się po głowie, potrząsnął nią, po czym podciągnął skarpetę na bladej łydce.

- Problem w tym, Pet, że niezależnie od... Chcę ci powiedzieć, że mężczyźni i kobiety należą w istocie do dwóch odrębnych gatunków. Możesz twierdzić, że to bzdurna gadka antropologa, tym niemniej tak jest naprawdę. Różni nas od siebie jeden mały fragment DNA. Zabawne, prawda? Liczy się chromosom „x”, Petro. „Y” przysparza jedynie kłopotów - rodzi agresję... Rozumiesz, co mówię, kochanie? My mężczyźni naprawdę nie jesteśmy zbyt wiele

warci.

- Och, tatusiu...

- Mama i ja też mieliśmy problemy. Większość powstawała z mojej winy. Musisz o tym wiedzieć, ponieważ chyba zbyt romantycznie traktujesz pewne rzeczy, oczekujesz zbyt wiele od... żądasz zbyt wiele od samej siebie. Rozumiesz, kochanie? Czy to, co mówię, ma dla ciebie sens?

Trzymał ją za ramiona. Światło w jego oczach wydało jej się niemal błyskiem szaleństwa.

- Tak, tatusiu, tak.

Puścił ją a jego uśmiech się zmienił. Teraz wyglądał normalnie. Był ludzki.

- Chodzi o to, Petro, że istnieją poważne pytania, pytania kosmiczne, choć nie mają nic wspólnego z gwiazdami i galaktykami.

Czekał na jej reakcję. Nie wiedziała, co powiedzieć, więc po chwili ciągnął dalej:

- Na przykład pytanie o to, czy mężczyźni i kobiety potrafią w ogóle poznać się nawzajem albo o to, czy zawsze i wszędzie musi się pojawić jakiś niedorajda, który wszystko zepsuje.

Wzdrygnął się, stłumił czknięcie, wstał, wszedł do swojej sypialni i zamknął za sobą drzwi; Petra usłyszała przekręcanie zasuw.

Następnego ranka Glenn, jedyny z jej braci, który nadal z nimi mieszkał, zszedł na śniadanie i spytał:

- Co z tatą?

- A co się stało?

- Wybrał się na wycieczkę po okolicy. Wyszedł chyba jeszcze przed wschodem słońca. Zostawił mi to. - Machnął kartką z notosu z informacją: „Jestem na pustyni, dzieci”.

- Jak zwykle wyruszył na poszukiwanie kości - stwierdziła Petra.

- No tak - mruknął Glenn - tyle że zabrał ze sobą zestaw biwakowy, więc chyba długo go nie będzie. Wiesz coś o jego planach? Bo widzisz, wczoraj umówiliśmy się na wyprawę do „Big Five”. Mieliśmy kupić sprzęt hokejowy.

- Coś mi wspominał - skłamała.

- Świetnie - odburknął Glenn. - Po prostu świetnie. Tobie powiedział, a mnie nie.

- Jestem pewna, że miał zamiar, Glenn.

- Tak, jasne, świetnie... Cholera, naprawdę potrzebuję nowego kija. Możesz pożyczyć trochę pieniędzy?

Zatelefonowała jeszcze do siedmiu detektywów, siedem razy przełknęła „chyba żartujesz”; nie znalazła żadnych spraw podobnych do zbrodni na Lisie.

Włączył się stojący na przeciwległym końcu pokoju faks. Petra podskoczyła i w sekundę znalazła się przy nim, wręcz wrywając papiery z podajnika. Poruszała się tak szybko, że ściągnęła na siebie zdumione spojrzenia paru detektywów. Ale nie na długo. Również byli zajęci. W tym pokoju... i w tym mieście krew nigdy nie przestawała płynąć.

Karlheinz Lauch był wysoki - mierzył metr dziewięćdziesiąt trzy - i brzydki. Miał małe, ciemne, zezowate oczka, które wyglądały jak rodzynki w cieście, cerę pomarszczoną jak krepa, usta wykrzywione w przecinek, wąs, który przypominał ściekający tłuszcz. Proste jasne włosy (w papierach zapisano, że były brązowe, choć na zdjęciu raczej kojarzyły się z kolorem pomyj) ułożone w wyszukaną czuprynę, którą ciągle jeszcze noszą niektórzy Europejczycy.

Petrze wydał się odrażającą ofiarą losu.

Portret Laucha pochodził sprzed czterech lat. Załączono wiedeńskie akta - sporo długich niemieckich słów i umlautów. Raport Sorensena wyjaśniał, że mężczyznę aresztowano za napad w Austrii na rok przed zamordowaniem Ilse Eggermann - barowa burda, nic szczególnego.

Na zdjęciach Lauch wyglądał na człowieka złośliwego i zdolnego do wszelkiej podłości. Czy to możliwe, by drań przyleciał do Los Angeles w poszukiwaniu ładnych blondynek? Czy mógł być jakoś powiązany z Lisą?

Ach, czyż nie byłoby pięknie, gdyby okazał się winny i gdyby go schwytali? Łatwe, szybkie i zadowalające wszystkich rozwiązanie. Stu mógłby otrzymać awans, a Petra... może pochwałę?

„Fantazjujesz, mała” - skarciła się w myślach.

Jeszcze przez chwilę przyglądała się twarzy Laucha, zastanawiając się, w jaki sposób taki brzydal mógłby namówić Lisę na randkę? Czy założyłaby dla niego małą czarną sukienkę i diamenty? Wątpliwe.

Z drugiej strony, potrafił omotać Ilse Eggermann, która zdaniem Phila Sorensena również była piękna. Ale stewardesa nie była eks-żoną telewizyjnej gwiazdy i nie doświadczyła życia w luksusach.

Tyle że Lisa uciekła od takiego życia. A niektóre kobiety, nawet piękne, mają w sobie skłonność do swego rodzaju masochizmu i z niewiadomych względów ulegają „urokowi” brutalnych i prymitywnych bydlaków z dołów społecznych.

Piękna i bestia? Lisa zaryzykowała kontakt z prostytutką i zapłaciła za swój błąd?

Petra wpatrywała się w twarz Laucha. Na myśl o cielesnym kontakcie z nim poczuła skurcz żołądka.

Lubiła mężczyzn inteligentnych, dbających o uczucia innych, w miarę przystojnych. Prawdopodobnie dlatego, że jej ojciec był inteligentny, postawny, szlachetny. Był prawdziwym dżentelmenem.

Jaki był ojciec Ilse Eggermann?

Jaki był doktor John Everett Boehlinger, kiedy nie szalał z rozpaczy?

Dobra, starczy tej amatorskiej psychoanalizy. Zresztą, uznała, że chwilowo nic więcej nie wymyśli.

Wpisała fakty związane ze sprawą Eggermann-Lauch do notesu, wstała i podeszła do szafki, otworzyła ją i wyjęła snickersa z torby, którą trzymała na górnej półce, nad butami gimnastycznymi, dressem i tanimi czarnymi swetrami przeznaczonymi do pracy w wyjątkowo zimne noce i nieuniknione kontakty z zakrwawionymi denatami.

Nazywała taki strój „mopem śmierci”.

Akryl, który wyglądał jak akryl. „Uwaga, klienci Kmartu, nasze stylowe rozpinane swetry w szerokiej gamie kolorów kosztują teraz tylko 13.95 dolara”. Petra kupowała po pięć, zawsze czarne. Gdy zakrwawiły się podczas oględzin zwłok, wyrzucała je. W osiem miesięcy do śmieci trafiło dziesięć swetrów.

Na miejscu zbrodni Lisy nie miała na sobie czarnego swetra, ponieważ wezwanie przyszło z nienacka.

Zwłoki Lisy nie poplamiły jej ubrania.

Nie podeszła wystarczająco blisko.

Rozdział 21

- Ruszaj się, ruszaj! Nie zatrzymuj się, mała gnido.

Syczący szept w moim uchu. Ściskają moje ramiona, szturchają mnie, pchają.

Kobieta jest wyraźnie rozgniewana, mężczyzna raczej przestraszony i zdenerwowany. Nawet się potknął kilka razy.

- Chodź! - Kobieta wbija mi broń w żebra, a kiedy krzyczę, wciska mi ją mocniej i cedzi przez zęby: - Zamknij się! - W jej głosie prawie nie słychać zdenerwowania. To raczej władczy rozkaz.

Jest tutaj szefową.

Kiedy zbliżamy się do miejsca, w którym matki parkują spacerówki, zaczynam się modlić, by pojawił się ktoś z personelu ZOO; niestety tym razem nie ma tu nikogo. Może powinienem krzyknąć? Nie, broń wbija mi się w żebro. Kobieta w każdej chwili może pociągnąć za spust, wypruwając ze mnie wnętrzności. Jesteśmy już przy płocie. Brama okazuje się zamknięta!

- Otwieraj! - kobieta warczy na męża, rozglądając się czujnie we wszystkie strony i nadal przyciskając broń do mojego ciała. Mężczyzna wyjmuje klucz z kieszeni i przekręca zamek.

Znają to miejsce!

Wszystko doskonale zaplanowali. Zgwałcą mnie!

Mężczyzna wraca, boleśnie ściska mnie za ramię i oblesnie sapie mi w ucho. Nagle żołądek podchodzi mi do gardła: aż mnie skręca. Robi mi się niedobrze. Muszę iść do łazienki.

Znów pchają mnie do przodu. Cała sytuacja wydaje mi się nierzeczywista, jakbym grał w filmie. Stwierdzam, że strach powoli ustępuje i coraz lepiej mi się myśli. Odnoszę wrażenie, że śpię i nie śpię równocześnie, że jestem we śnie, lecz wiem, że w nim jestem i potrafię kontrolować wydarzenia, jeśli tylko się skoncentruję. Mogę pójść, dokąd zechcę i zrobić, co mi tylko przyjdzie do głowy.

Może właśnie tak się czuje człowiek po śmierci.

Przechodzimy przez bramę i zaczynamy się wspinać drogą wśród drzew. Mężczyzna wydaje niskie, flegmowate chrząknięcia.

- Ty! - rzuca, ściskając jeszcze silniej moje ramię. Czyżbym zrobił coś nie tak?

Trzymam spuszczoną głowę, patrzę na swoje buty, potem na jego.

- Okej, chodź już, chodź - nakazuje kobieta, machając ręką. Idziemy otoczeni gąszczem paproci, ścieżką, którą często chodziłem i którą uważałem za swój sekret.

Ciągle mnie popychają, zmuszając do szybszego marszu. Prowadzą mnie w stronę dużego drzewa, nie ku mojemu eukaliptusowi, ku innemu drzewu, którego gałęzie także zwieszają się nisko.

Mijamy je. Dochodzimy do kolejnego drzewa. Jest tu bardzo cicho, nikogo nie ma w pobliżu - nawet jeśli zacznę krzyknąć, nikt mnie nie usłyszy.

Kobieta staje po jednej stronie i ciągle trzymając mnie na muszce, kiwa głową na pokrowiec aparatu. Przytrzymując mnie za ramię, mężczyzna wyjmuje aparat i podaje żonie.

- Dobra - zwraca się do mnie kobieta.

Nie wiem, czego chce, więc się nie odzywam i nie ruszam.

Podchodzi i uderza mnie mocno w twarz. Głowa mi odskakuje, jednak wcale nie czuję bólu, jakiego można by się spodziewać po takim ciosie.

- Zrób to, mały wszarzu!

- Co? - pytam dziwnie obcym głosem. Zdaje mi się, że pytanie zadało jakieś inne dziecko, ja zaś wyszedłem ze swojego ciała i stoję obok, obserwując siebie grającego w filmie o robotach.

Kobieta podnosi rękę do ponownego uderzenia. Próbuję osłonić twarz ramieniem. Mężczyzna posyła mi kopniaka w pośladki. Boli!

- Zdejmuj spodnie, uliczny śmieciu - mówi ona. - Puść go, kochanie. Niech się rozbiera.

Jej mąż puszcza mnie. Kobieta nie przestaje we mnie celować. Dotykam spodni, ale nie zdejmuję ich. Mężczyzna rozpina swoje, opadają mu do kostek. Ma na sobie workowate białe bokserki. Gdy sięga do rozporka, odwracam się.

- Co takiego? - Śmieje się ona. - Nie widziałeś go wcześniej? Ściągaj spodnie i pokaż nam swoje skarby.

Nie ruszam się. Kobieta mnie policzkuje. Gdyby nie miała broni, oddałbym jej tak, że aż by jej głowę urwało.

Kobieta znowu się śmieje.

- Bądź posłuszny, a wszystko skończy się, zanim zdążysz powiedzieć „och”. Małe zadanko i tyle.

Cmoka, on robi to samo.

- Jasne - mówię, nadal głosem innego dziecka. - Dobrze wiem, co macie na myśli. Tylko że...

- Tylko że co? - Kobieta przysuwa się bliżej, przystawia mi pistolet do nosa. Jest zimny i pachnie smarem.

Kątem oka dostrzegam, że bokserki jej męża są spuszczone, lecz tkwią jeszcze wokół jego kostek, jakby mężczyzna nie chciał się całkowicie obnażyć. Widzę też, że porusza ręką w tył i w przód.

- Tylko że - piszczę. - Ja... to... jak ja... mogę to zrobić. Jasne, okej, ale wy... to... jak teraz... najpierw muszę...

- Co musisz? - Kobieta macha mi pistoletem przed oczyma.

- No wiecie.

- Niczego nie wiemy! Co musisz!?

- Muszę się... wysrać.

Milczenie.

- Słyszałeś to? - mówi ona do niego.

- Tak - odpowiada on bardzo cicho, a ja myślę: „Och, nie, może przez to będę jeszcze bardziej go rajcował? Czy przypadkiem nie popełniłem błędu?”

Kobieta odwraca się i znacząco spogląda na męża. Przez sekundę myślę o ucieczce, potem jednak jej twarz znowu znajduje się tuż przed moją. Nie wiem dlaczego, lecz nagle przychodzi mi do głowy, że moja prześladowczyni wygląda na nauczycielkę. Jest także czyjaś matką albo babką. To nie moja wina...

- Więc? - pyta go.

- Hmm... nie dzisiaj.

- Okej, śmieciu - zwraca się do mnie. - Rób swoje. Wytrzymaj sobie dupę koszulą, a później pokażesz nam tę ładniejszą stronę.

Zdejmuję spodnie. Chociaż dzień jest ciepły i piękny, lemoniadowy i kukurydziany, nogi mam zimne jak lód.

- Ale biały dzieciak - ślini się stary.

- No dalej, pospiesz się - rzuca twardo ona. Już rozumiem. Zboczeniec robi dzieciom „te rzeczy”, ona zaś stoi na straży.

- Gacie w dół, niech cię szlag. Dalej gówniarzu, pospiesz się.

Zdejmuję szorty. Kucając, zdołałem się od niej odsunąć, lecz zaledwie o kilka centymetrów. Wokół panuje przeraźliwa cisza. Jest zielono i spokojnie, nawet liście się nie poruszają. Wydaje mi się, że we troje stanowimy fragment wielkiej fotografii. Może za moment Bóg zniszczy cały świat. Dlaczego nie miałby tego zrobić?

- Prędejj, gówniarzu, albo cię zabiję! - Broń i aparat są wycelowane we mnie. Najwyraźniej kobieta zamierza wszystko sfotografować. Jestem dla niej czymś w rodzaju pamiątki.

Problem w tym, że choć bardzo się staram, nie mogę się załatwić. Jakby moje jelita zaczopowane były bryłkami lodu.

- Srajj wreszcie albo wystrzelam z ciebie gówno!

Na dźwięk jej głosu albo na myśl o śmierci, mój żołądek zaczyna działać i udaje mi się.

Potem sięgam ręką za siebie i podnoszę własne odchody.

Ogólnie rzecz biorąc, nienawidzę się brudzić, lecz wmawiam sobie, że kał jest jedynie przetrawionym jedzeniem, które zjadłem, a potem...

- Spójrz tylko na niego - mówi ona. - Wstrętny mały zwierzak.

- Obrzydliwe - potwierdza staruszek, myśli jednak zupełnie coś innego.

Podnoszę na nią wzrok i kiwam głową. Uśmiecham się. Kobieta jest zaskoczona, nie

spodziewała się uśmiechu i na sekundę traci rezon. Odwraca wzrok.

Sięgam w tył i chociaż nigdy nie byłem mistrzem baseballu, celuję w nią i rzucam.

Bam! Trafiam jej prosto w twarz. Kawałki gówna rozpryskują się jej na aparat i bluzkę.

Kobieta wrzeszczy, cofa się i otrzepuje policzki, zaś jej mąż potyka się o swoje szorty. Jest zdezorientowany. Prostuje się i rzuca się na mnie, lecz to ona jest tu szefową, ona rządzi i ona ma broń. Kobieta tymczasem ciągle krzyczy i uderza się po twarzy. Gwałtownie podciągam szorty i spodnie, i nie zdążywszy ich założyć, uciekam. Pędzę przez gałęzie, które drapią mi twarz, przemierzam przestrzeń, zieleń... bezkresną zieleń, czas, który nigdy się nie kończy, biegnę, biegnę, biegnę... potykam się, leczę, gnam.

Pędzę.

Słyszę za sobą odgłos wystrzału, lecz nie zatrzymuję się, nic mnie nie boli, czuję się dobrze, a może nie, sam nie wiem, nic nie czuję, już chyba nie potrafię odczuwać; byłoby nieźle, byłoby całkiem nieźle.

Rzucam się przez zieleń.

Dzięki ci, gorylicco. Gdybym mógł oddychać, parsknąłbym śmiechem.

Rozdział 22

Akurat gdy Petra miała zadzwonić do Empty Nest Productions i zapytać o Darrella (albo Darrena), przyszedł kolejny faks. Ostatni telefoniczny rachunek Lisy.

Patsy K, miała rację - Lisa faktycznie nienawidziła telefonu. Piętnaście rozmów w ciągu całego miesiąca. Jedna zamiejscowa, pierwszego dnia miesiąca, do Chagrin Falls, trzy minuty. Krótka pogawędka z mamą? Tylko raz na miesiąc? Niezbyt bliskie kontakty.

Trzy rozmowy w obrębie stanu, wszystkie do Alhambry. Petra znalazła numer w swoich - należał do przyjaciółki Patsy K. Resztę stanowiły połączenia lokalne: trzy do „Jacopo’s w Beverly Hills, by zamówić pizzę, dwie do „Shanghai Garden” w tej samej dzielnicy po chińszczyznę oraz po jednej do „Neiman-Marcus” i „Saksa”.

Ostatnie cztery Lisa wykonała do Culver City, gdzie znajdowała się wytwórnia Empty Nest. Petra zadzwoniła do studia i poprosiła Darrella z montażu.

- Darrella Bresheara? - spytała recepcjonistka.

- Tak.

- Chwileczkę, łączę panią.

Breshear nie miał sekretarki, tylko automat. Jego głos był przyjemny. Patsy K, oceniła wiek mężczyzny na około czterdziestki, lecz z głosu wydawał się młodszy. Petra nie zostawiła informacji, ponieważ zdecydowała, że zadzwoni później, a tymczasem sprawdzi, czy Breshear nie jest przypadkiem notowany.

Był czysty. Uśmiechnęła się cierpko, gdy uświadomiła sobie, że wciąż nie sprawdziła Ramseya.

Zatelefonowała do okręgowego notariusza i po krótkiej rozmowie z nieuprzejmym urzędnikiem zdołała się dowiedzieć, że pan H. Carter Ramsey posiada ponad tuzin nieruchomości w Los Angeles. Wszystkie znajdowały się w San Fernando Valley: dom w Calabasas, biurowce na bulwarze Ventura i na ruchliwym Encino, w Sherman Oaks, w Północnym Hollywood i w pobliżu Studio City. Jeden z domów w Studio City pasował do adresu biura Grega Balcha w Player's Management.

Ramsey nie posiadał niczego w Malibu ani w Santa Monica, niczego, co można by nazwać romantyczną kryjówką. Być może lubił dalekie eskapady. Trzeba by sprawdzić północ stanu i wyżej, a jeśli nie znajdzie tam żadnej posiadłości, pozostają jeszcze górskie kurorty na wschodzie.

Notariusz przy ulicy Ventura był bardziej skory do współpracy, jednak rozmowa nie przyniosła żadnych rezultatów. Urzędnik w Santa Barbara jeszcze bardziej zrzędził niż ten z Los Angeles, ale Petra trafiła: H. Carter Ramsey (jakie imię kryło się za inicjałem H.?) posiadał dom w Montecito.

Zapisała adres, później znalazła w komputerze pełne imię Ramseya.

Herbert.

Herb. Herbie C. Ramsey - takie nazwisko nie bardzo pasowało do głównego aktora „Mediatora”.

Następnie sprawdziła numery rejestracyjne pojazdów, które widziała w małym muzeum oraz nieobecnego tam mercedesa 500. Ten ostatni pojazd miał tablicę: PLYR 1.

Okazało się, że Ramsey posiadał dodatkowo dwuletniego jeepa wranglera z numerem PLYR 0. Zarejestrowany w Montecito.

Skrót „PLYR” pochodził od Player's Management. Ciekawe, że Ramsey używał nazwy związanej z własną firmą. Większość sław tęskniła wszak za anonimowością. Pewnie wyczuwał, że jego sława błędnie i czuł, że potrzebuje reklamy.

PLYR... Uważał się za prawdziwą szychę?

Interesujące - wspominał o mercedesie, lecz ani słowa o jeepie. Dlaczego? Dlatego, że ukrył jeepa w Montecito? A może rozmyślnie pominął istnienie auta?

A zatem: do morderstwa użyto wranglera z napędem na cztery koła czy też czerwonego mercedesa?

Czyżby Ramsey potrafił być aż tak przebiegły? Raczej głupi, bo tego typu podstęp miał krótkotrwałe działanie. Facet powinien wiedzieć, że policja dość szybko sprawdzi wszystkie akta.

Z drugiej strony, jeśli scenariusz Petry pod roboczym tytułem: „Ostatnia randka” był prawdziwy, mężczyzna dokonał zbrodni pod wpływem impulsu... Oczywiście, do pewnego stopnia, ponieważ musiał wziąć ze sobą do samochodu nóż. Więc może tylko udawał wściekłego, a w rzeczywistości wszystko starannie zaplanował?

Montecito... Dzielnica prawdziwego luksusu. Wieloakrowe posiadłości takie jak w Calabasas, lecz starsze i bardziej klasyczne. Żadnego przytulnego małego *pied-à-terre*. [*pied-à-terre* (fr.) - mieszkanie, z którego korzysta się dorywczo (przyp, tłum.)] Ramsey wprost kochał wygodę. Był właścicielem dwóch rezydencji.

Zachłanny facet. Chciał wszystkiego? „Jeśli nie mogę posiadać Lisy, nikt jej nie będzie miał?”

Petrze nasunęło się skojarzenie z obrazem Thomasa Harta Bentona, który widziała w książce do rysunków: „Legenda o zazdrosnym kochanku z Samotnej Zielonej Doliny”. Kościsty prostak w szerokim kapeluszu i o oczach psychopaty wbija kobiecie nóż w pierś. Na pierwszym planie wiejscy muzykanci grają smutną melodię, w tle - połacie zieleni opadają i wznoszą się faliście, symbolizując przedśmiertne drgawki ofiary. Obrazek do żywego przeraził Petrę i przez jakiś czas mężczyźni i namiętność kojarzyli jej się ze śmiercią. Może nawet wspomnienie noża z obrazu zaważyło na wyborze zawodu.

Zazdrosny kochanek z Calabasas i Montecito.

Wszędzie wokół powtarzała się ta sama stara historia. Petra uświadomiła sobie, że jeśli zostanie w wydziale zabójstw, będzie miała z nią do czynienia jeszcze wielokrotnie.

*

Na lunchu miała się spotkać ze Stu u Musso i Franka, ale o 13:45 zadzwonił i powiedział:

- Przepraszam, jestem strasznie zajęty. Przeżyjesz, jeśli się nie zobaczymy?

Właściwie jej ulżyło.

- Nie ma sprawy. Dowiedziałeś się czegoś niezwykłego?

- Na razie wiem tylko, że nikt nie cenił Ramseya jako aktora. Co u ciebie?

Opowiedziała mu o Montecito i o jeepie, po czym dodała:

- Zgadnij, co mam? Podobną sprawę!

Przedstawiła mu szczegóły zabójstwa Ilse Eggermann.

- Cudownie - stwierdził. - Phil Sorensen to dobry detektyw. Jeśli on nie rozwiązał tej sprawy, była prawdopodobnie nie do rozwiązania. Może powinniśmy oddać morderstwo Lisy tym z centrum.

Petra miała już pewność, że coś jest nie w porządku. Stu nigdy szczególnie nie cenił elitarnych bystrzaków z centralnego wydziału policji przy biurze szeryfa, uważał ich za arogantów, którzy nie są w swoim fachu nawet w połowie tak dobrzy jak im się wydaje. Utrata dużej sprawy zawsze stanowiła bolesne przeżycie dla każdego detektywa z wyjątkiem tych najbardziej leniwych, a Stu przecież zawsze był ambitny. A teraz chciał oddać sprawę? W ogóle przy tym nie licząc się ze zdaniem partnerki?

Gdyby chodziło o karierę, o zbliżający się awans... Nie, to nie miało sensu, chyba że Stu był pewny, iż ta sprawa nie przyniesie im nic dobrego, żadnych zaszczytów ani korzyści. Lepiej zrezygnować zawczasu niż okazać się idiotą?

- Żartujesz - powiedziała ostrym tonem.

- Tak, chyba żartuję - odparł ze znużeniem. - Po prostu nie chciałem słuchać o tej podobnej sprawie. Ale nic, poradzimy sobie z tym. - Petra usłyszała, głębokie westchnięcie Stu. - Okej, w razie czego dzwoń na komórkę. Nadal nic nie wiadomo o samochodzie Lisy?

- Nie. Chciałabym sprawdzić dom Ramseya w Montecito.

Milczenie.

- Zanim coś zdecydujemy, powinniśmy omówić to z Schoelkopfem.

- Nie rozumiem, po co - odburknęła. - Z dzisiejszego porannego zebrania wywnioskowałam, że mamy odwalić czarną robotę i poszukać podobnych spraw, ale poza tym szef zapalił zielone światło dla zwykłego śledztwa. Sam stwierdził, że jeśli wkrótce nie pogawędzimy szczerze z Ramseyem, wyjdziemy na kretynów. Uważam, że trzeba szybko zainicjować kolejne spotkanie twarzą w twarz. Bez lokaja, który się będzie co rusz wtrącał. Jeśli Ramsey nie zechce rozmawiać bez adwokata, wtedy wszystko jasne. Gdy będzie na odwrót, będziemy się nadal do niego odnosić po przyjacielsku i spróbujemy go rozpracować.

- Obawiam się, Petro, że źle zrozumiałaś intencje Schoelkopfa. Jemu na razie nie chodzi o rozwiązanie sprawy, chce po prostu chronić wydział... Musimy mieć to na uwadze...

- Stu...

- Wysłuchaj mnie. Pamiętasz, kto padł na sprawie O.J. Simpsona? Detektyw, nie szycha. W chwili, gdy poprosimy o możliwość przyjrzenia się posiadłościom Ramseya i jego samochodom, nawet jeśli będzie to prośba nieoficjalna, a nie nakaz, facet automatycznie zostanie uznany za głównego podejrzanego. Od tej pory gra będzie wyglądała zupełnie

inaczej. Moim zdaniem nie powinnaś nawet za głęboko grzebać w aktach.

- Trudno mi w to uwierzyć.

- Uwierz.

- Świetnie - szepnęła. - Ty wiesz lepiej.

- Niczego nie wiem, Petro - odrzekł najsmutniejszym tonem, jaki kiedykolwiek u niego słyszała. - Po prostu sędzę, że powinniśmy zachować ostrożność.

*

Opuściła posterunek wściekła. Trzy przecznice dalej uświadomiła sobie, że jedzie się spotkać z Darrellem Breshearem, nie uzgodniwszy wcześniej terminu. Zobaczyła budkę telefoniczną, zatrzymała się i ponownie zadzwoniła do studia. Tym razem nagrała na taśmę swoje nazwisko i stopień służbowy. Poprosiła Bresheara, by zadzwonił do niej jak najszybciej...

- Mówi Darrell.

- Dziękuję, panie Breshear. Pracuję nad sprawą Lisy Boehlinger-Ramsey i chciałabym porozmawiać z panem o ofierze.

- Dlatego że byliśmy przyjaciółmi?

Dziwna reakcja.

- Dokładnie.

- Jasne - powiedział pewnym siebie tonem. - Co chciałaby pani wiedzieć?

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko, wolę spotkanie w cztery oczy, panie Breshear.

- Och... z jakiegoś szczególnego powodu?

„Ponieważ chcę obserwować twoje miny, osiągnąć kontakt wzrokowy, zobaczyć, czy się pocisz, krzywisz lub patrzysz na ziemię zbyt często. Ponieważ chcę się przekonać, czy kłamiesz”.

- Taka jest procedura - odparła krótko.

Nic nie odpowiedział.

- Panie Breshear?

- No dobrze - mruknął. - Zgoda... Ale czy moglibyśmy się spotkać poza studiem?

- Mogę spytać dlaczego?

- Cóż... Nie chciałbym zwracać na siebie uwagi. Obecność policji denerwuje... to jest...

Zawsze zwracacie uwagę.

- Obiecuję, że nikogo nie zdenerwuję, proszę pana.

Nie uważał jej odpowiedzi za zabawną.

- Wie pani, co mam na myśli.

- Rozumiem - rzuciła. Facet był zdenerwowany. Z jakiego powodu? - Gdzie pan zatem proponuje?

- Hmm... Może w jakiejś kawiarni? Wokół jest wiele lokali.

- Proszę któryś wskazać.

- Może... „Pancake Palace” na Venice w pobliżu Overland. Powiedzmy jutro o dziesiątej rano?

- Zgoda, panie Breshear, na „Pancake Palace”, lecz wołałabym się spotkać wcześniej. Mniej więcej za pół godziny.

- Och. No cóż... Niestety, tkwię obecnie po uszy w dużym projekcie. Ostateczny montaż filmu, mamy projekcję...

- Rozumiem pana, ale Lisa została zamordowana.

- Tak, tak, oczywiście... No dobrze. „Pancake Palace”, za pół godziny. Mogę spytać, kto pani zasugerował, żeby ze mną porozmawiać o Lisie?

- Kilka osób - odparła wymijająco. - Do zobaczenia, panie Breshear. I z góry dziękuję za pomoc.

Wróciła do samochodu i pojechała w dół Zachodniej Alei do Olympic tak szybko, jak tylko pozwalały jej względy bezpieczeństwa. Miała nadzieję, że facet zjawi się i nie skomplikuje jeszcze bardziej jej życia.

Rozdział 23

Błękitne ściany, brązowe kanapy, mdlące opary sztucznego syropu klonowego.

Bez trudu rozpoznała Darrella Bresheara. O tej godzinie lokal „Pancake Palace” był prawie pusty, montażysta zaś okazał się w nim jedynym Murzynem. Siedział przy narożnej ławie i wyglądał na niezbyt szczęśliwego.

Miał młody głos, lecz rzeczywiście wyglądał na mężczyznę w średnim wieku. Patsy K, oceniła go na czterdzieści lat. Petra jednak dawała mu czterdzieści pięć do pięćdziesięciu. Pił już kawę. Mimo tylu prób uniknięcia rozmowy, przyjechał do kawiarni natychmiast. I był wyraźnie podenerwowany.

Szczupły i chyba dość wysoki, miał krótko przycięte siwiejące włosy, skórę prawie tak bladą jak Petry, ale zdecydowanie afrykańskie rysy twarzy. Nosił czarną koszulkę polo pod

szarą marynarką w jodełkę.

Worki pod oczami sugerowały zmęczenie. Kiedy Petra podeszła bliżej, spostrzegła, że miał prawie bursztynowe tęczęwki. Kilka piegów pstrzyło grzbiet jego nosa.

Zauważył ją i wstał. Na oko metr osiemdziesiąt pięć.

- Dzień dobry, panie Breshear.

- Witam, pani detektyw.

Uścisnęli sobie dłonie. Jego była sucha.

- Kawy? - spytał, wskazując na swoją w połowie opróżnioną filiżankę.

- Jasne.

Kiwnął na kelnerkę, zamówił kawę dla Petry, powiedział „proszę” i „dziękuję”, czym wywołał uśmiech na twarzy dziewczyny.

- Przepraszam, że tak zareagowałem - wytłumaczył się. - Śmierć Lisy mnie zaszokowała. Nie sądziłem, że będę świadkiem. - Potrząsnął głową.

- Jeszcze pan nim nie jest, panie Breshear. - Wyjęła notes, zapisała parę słów i zaczęła szkicować jego twarz.

- To dobrze. - Spojrzał gdzieś w lewo. - Więc...

Petra napiła się kawy. Mężczyzna nerwowo błędził wzrokiem po sali.

- Proszę opowiedzieć, co pana łączyło z Lisą Ramsey.

- Pracowaliśmy razem.

- Pan również jest montażystą filmowym?

- Starszym montażystą. Lisa pracowała w moim zespole.

- Starszy montażysta - powtórzyła z namysłem Petra. - A zatem działa pan w tej branży już od dłuższego czasu.

- Dwanaście lat. Wcześniej trochę grywałem.

- Doprawdy?

- Nic wielkiego. Nie w filmie... Teatr muzyczny, jeszcze na wschodzie.

- Faceci i laleczki!

Uśmiechnął się.

- To też. Różne przedstawienia. Dowiedziałem się wtedy czegoś o sobie.

- Czego mianowicie?

- Że nie jestem tak utalentowany, jak sądziłem.

Petra odwzajemniła uśmiech.

- Zatrudnił pan Lisę osobiście?

- Studio Empty Nest ją zatrudniło. Została przydzielona do mojego zespołu. Dobrze sobie

radziła. Biorąc pod uwagę, że była w tym fachu nowicjuską. Szybko się uczyła. Była inteligentna. Nie mogę uwierzyć, że ktoś zrobił jej coś takiego.

Ramiona Bresheara opadły. Popatrzył Petrze w oczy.

- Czy przedtem pracowała już przy montażu? - spytała.

- W college'u wybrała specjalizację filmową, potem skończyła kurs montażu.

- Długo z panem pracowała?

- Około pół roku. - Odwrócił oczy. Wziął łyk kawy, przytrzymał filiżankę przed sobą, zasłaniając usta.

- Czy łatwo otrzymać pracę montażysty?

- Bynajmniej.

- Ale Lisa dostała ją wyłącznie ze względu na zajęcia w college'u?

- Nooo... Niezupełnie - odparł Breshear, Nadal chował usta za filiżanką. Petra pochyliła się do przodu i mężczyzna opuścił naczynie. - Lisa... Powiedziano mi, że otrzymała tę pracę dzięki znajomościom.

- Kto panu tak powiedział?

- Mój szef, Steve Zamoutis. Jest producentem.

- O jakie znajomości chodziło?

- Była eks-żoną Ramseya. Podobno przyjęli ją po jego telefonie.

- Sześć miesięcy temu - dodała Petra. - Tuż po rozwodzie.

Breshear skinął głową.

Wyświadczył przysługę byłej żonie. Czyżby fakt ten potwierdzał słowa Ramseya o przyjaznym rozstaniu? A może starał się zatrzymać Lisę w Los Angeles, nadzieję na pojednanie?

- Chciałabym dobrze zrozumieć, panie Breshear. Czy Lisa miała odpowiednie kwalifikacje na swoje stanowisko?

- Tak - odpowiedział trochę za szybko. - Biorąc pod uwagę jej niedoświadczenie, była bardzo kompetentna.

Petra zapisała sobie jego odpowiedź. I dalej szkicowała.

- Nie twierdzę, że nie musiała się nauczyć pewnych rzeczy - oświadczył.

Petra przez chwilę zastanawiała się nad tym zdaniem z podwójnym przeczeniem. Czy Breshear myślał w tak zawiły sposób, czy też może za skomplikowanymi stwierdzeniami pragnął coś ukryć?

- I pan ją nauczył.

- Starałem się, jak mogłem.

- Czyli pracowaliście razem nad kilkoma filmami?

- Zmontowaliśmy dwa - przytaknął i podał tytuły. Petra nigdy nie słyszała o żadnym z nich.

- Nie weszły jeszcze na ekrany - dodał szybko.

- Jaki gatunek reprezentują?

- Komedie.

- Oczywiście bez wątków kryminalnych? - mruknęła.

Breshear parsknął śmiechem i chyba natychmiast pożałował swego wybuchu, gdyż przez chwilę głęboko oddychał, próbując się opanować.

- Żadnych. - Popatrzył na zegarek.

- Co jeszcze może mi pan powiedzieć o Lisie? - spytała.

- Niewiele wiem. W pracy nie miała problemów. Kiedy się dowiedziałem o morderstwie, byłem kompletnie zaszokowany.

- Podejrzewa pan, kto mógł ją zabić?

- Wszyscy obwiniają Ramseya, ponieważ ją kiedyś pobił, ale prawdę mówiąc nie mam pojęcia.

- Czy Lisa rozmawiała z panem o tym zdarzeniu?

- Nie, nigdy.

Petra kończyła jego portret. Na rysunku wydawał się zdenerwowany - miał przestraszone oczy.

- Ani razu?

- Ani razu, pani detektyw. Nazwisko Ramseya nigdy między nami nie padło. Kropka.

- Widział pan kiedyś, żeby Lisa zażywała narkotyki?

Breshear otworzył usta i natychmiast je zamknął. Ponownie parsknął śmiechem.

- Właściwie nie... Czy musimy o tym mówić?

- Niestety tak, proszę pana. - Petra pochyliła się jeszcze niżej i przesunęła dłonią po stole zaledwie kilka centymetrów od ręki mężczyzny.

Breshear odsunął się.

- Proszę mi wierzyć, Lisa nie była narkomanką. Ale wie pani, ludzie z przemysłu mają skłonności do... Tak, parokrotnie widziałem, że niuchała.

- Parę to znaczy dwa?

- Trochę więcej. Trzy albo cztery. Góra pięć.

- W trakcie pracy?

- Och, nie. - Miał wystarczająco jasną cerę, by się zarumienić. Świetnie. Spuścił oczy, po

czym powiedział: - Nie, ściśle rzecz biorąc, nie przy pracy. To znaczy... Wtedy nie pracowaliśmy... Byłem przecież jej szefem i ponosiłem odpowiedzialność za wszystko, co się działo w mojej ekipie.

- Rozumiem, panie Breshear. Nigdy nie pozwala pan mieszać kokainy z pracą. Jednak widział pan, jak Lisa niuchała trzy albo cztery razy w studio. Po pracy. Gdzie dokładnie?

- W pokoju montażowym, ale naprawdę było już po godzinach. Mogę spytać, po co chce pani o tym słuchać? Sądzi pani, że zabójstwo Lisy może się wiązać z narkotykami? Żyjemy w pomylonym mieście. A przemysł filmowy jest absolutnie zwariowany. Bez odrobiny szaleństwa nie ma mowy o sztuce.

Długa przemowa. Policzki Bresheara pozostały zarumienione. Zmniejszył się kontrast między piegami i skórą.

- Gdzie poza pokojem montażowym widział pan, by Lisa brała?

- W... w moim samochodzie. Zaskoczyła mnie. Prowadziłem, aż tu nagle wyjęła szklaną tubkę, a gdy zatrzymałem się na czerwonym świetle, wniuchała kokę przez nos.

- W pańskim samochodzie. - Petra zapisała w notesie. Kątem oka dostrzegła, że mężczyzna się zaniepokoił. - Dokąd jechaliście?

- Nie pamiętam. - Breshear złapał filiżankę i opróżnił ją. Podeszła kelnerka i dołała kawy. Natychmiast zaczął pić.

Petra odmówiła dolewki, a kiedy ponownie została z mężczyzną sama, zajęła się dokończeniem szkicu. Dodała cienie i kontury, które postarzyły obiekt.

- Więc nie przypomina pan sobie, dokąd jechaliście. Jak dawno temu to było?

Wlepił wzrok w filiżankę.

- Powiedziałbym, że miesiąc, może dwa miesiące temu.

- Czy mieliście romans, panie Breshear?

- Nie, nie... Po prostu pracowaliśmy razem. Do późna. Tak się montuje. Dzwonią po ciebie, przyjeżdżasz i tniesz.

„Tniesz”. Petra zapamiętała słowo, którego użył.

- Zatem pracowaliście z Lisą do późna i...

Breshear nie dopowiedział.

- Wsiadliście do samochodu, tak? - podsunęła Petra.

- Prawdopodobnie odwoziłem ją do domu, a może chcieliśmy się trochę przejechać. Dlaczego właściwie mnie pani o to pyta?

- Interesują nas wszyscy mężczyźni, których znała, panie Breshear. Ktoś nam powiedział, że umawiał się pan z Lisą. Tylko sprawdzam.

- Nieprawda, nigdy się nie umawialiśmy!

- Tak, pewnie nasz informator się pomylił. - Uśmiechnęła się. Wiedziała, że montażystę zdziwi istnienie „informatora”.

Znowu się zarumienił i prędko odwrócił wzrok. Na pewno nie był psychopata, lecz wyraźnie coś ukrywał.

- Pewnie tak - mruknął.

- Powie mi pan, gdzie pan był w noc morderstwa?

Spojrzał na nią. Dotknął czoła, wytarł je, choć Petra nie dostrzegła na nim potu. Teraz mężczyzna patrzył na swoją rozmówczynię rozszerzonymi, przerażonymi oczyma - dokładnie takimi, jakie narysowała na jego portrecie. „Popatrz, tatusiu, potrafię przewidywać przyszłość!”

- Byłem z kobietą. - odparł półgłosem.

- Mogę poprosić o jej nazwisko?

Na jego twarzy pojawił się smutny, przepełniony poczuciem winy, nieładny i nieatrakcyjny uśmiech.

- Z tym może być pewien problem.

- A to dlaczego?

- Ponieważ jestem żonaty, a ta kobieta nie jest moją żoną.

- Skoro potrafi być dyskretna, ja również mogę, panie Breshear. - Petra zamachała ołówkiem.

- Wolałbym jednak nie wymieniać jej nazwiska - powiedział. - Proszę posłuchać... Będę z panią szczerzy, detektyw Connor. Nie chcę, aby się pani dowiedziała od kogoś innego i pomyślała, że coś ukrywam. Przez krótki czas było coś między nami, jednak nie było to nic poważnego.

- Coś...

- Spaliśmy ze sobą. Siedem razy.

Policzył! Jaki dokładny!

- Siedem - powtórzyła.

- Trwało to tydzień.

Miała ochotę zapytać: „A zatem, proszę mi powiedzieć, drogi Darrellu, czy robiliście to raz dziennie przez siedem dni, czy też może dwa razy co drugi dzień?”

- Tydzień.

- Zgadza się. - Jego bursztynowe oczy skakały nerwowo po pomieszczeniu. - Właściwie, nawet nie spaliśmy ze sobą. Ściśle mówiąc... Boże, ależ to krępujące.

- Co takiego?

- Rozmowa o takich szczegółach... Sądzę, że łatwiej rozmawiałoby mi się z mężczyzną.

Uśmiechnęła się.

- Przykro mi.

Znowu wpatrzył się w filiżankę z kawą. Wyglądał, jakby zamierzał osunąć się pod stół.

- No więc - podsunęła Petra - kiedy doszło do tego „czegoś”?

- Jakiś miesiąc temu, może sześć tygodni.

Okres zgadzał się ze wspomnieniami Patsy K.

- Zatem byliście blisko - dodała Petra. Złagodziła głos, starając się nie zniechęcić Bresheara. - Lecz nigdy nie spaliście ze sobą?

- Zgadza się - powiedział Breshear. - Nigdy nie zostałem na noc w jej mieszkaniu i oczywiście nie mogłem jej zabrać do siebie.

- Dokąd jeździliście?

Rumieniec pogłębił się. Policzki mężczyzny przybrały ładny, rdzawo-mahoniowy odcień. Petra uznała jego wrażliwość niemal za pociągającą.

- Jezu... Czy ta rozmowa jest naprawdę konieczna?

- Jeśli dotyczy pańskiego romansu z Lisą i alibi w noc morderstwa, obawiam się, że tak.

- I pani to wszystko zapisuje?

- Jeśli okaże się, że pańskie wyznanie nie ma związku ze śmiercią Lisy, nie będzie powodu, by ktokolwiek dowiedział się o naszej rozmowie. - Kłamała. Wszystkie fakty trafiły do akt. Niemniej jednak, zamknęła notes.

Mężczyzna potarł skronie i dalej patrzył w kawę.

- Cholera... No dobrze, w noc, gdy Lisa została zamordowana, byłem z kobietą nazwiskiem Kelly Sposito. W jej mieszkaniu.

- Poproszę o adres. - Petra otworzyła notes.

Wyrecytował adres na Czwartej Ulicy w Venice.

- Numer mieszkania?

Pytanie wyraźnie jeszcze bardziej go zdeprymowało. Może zdał sobie sprawę z powagi sytuacji.

- Nie, to jest dom...

- Zatem był pan w domu pani Sposito. Od której do której?

- Całą noc. Od dwudziestej drugiej do szóstej rano. Wcześniej od około siedemnastej do osiemnastej jedliśmy kolację w restauracji meksykańskiej w pobliżu studia. Nazywa się „Hacienda”, zaledwie przecnicę od wytwórni, na Washington Boulevard.

- Pani Sposito pracuje z panem?

Skinał głową.

- Tak, również jest montażystką.

Ponownie wytarł czoło.

- Więc nie wrócił pan do domu, a żona niczego nie podejrzewała?

- Mojej żony nie było wówczas w mieście. Jest akwizytorką, wiele podróżuje.

Szarmancki ogier z pokoju montażowego! Gdyby go przycisnęła, pewnie opowiedziałaby jej o paru innych skokach w bok.

- Musi pani zadzwonić do Kelly? - spytał.

- Tak, proszę pana. Wie pan, gdzie jest?

- W pracy. Czy to już wszystko?

- Prawie - odrzekła Petra. - Potrafi mi pan powiedzieć, kto dostarczał Lisie kokainę?

- Nie - odparł. - Absolutnie nie.

- Nikt ze studia?

- Nie mam pojęcia. Na pewno nie z naszego.

- Skąd ta pewność?

- Znam wszystkich moich ludzi. Nie rozprowadzają narkotyków.

- No dobra - mruknęła Petra. - Ale w całym studio prawdopodobnie bez trudu można by znaleźć drobnego dealera, prawda?

- Niech pani da spokój - zaperzył się, wyraźnie poirytowany. - Sądzi pani, że ludzie show-biznesu cały dzień tylko balują? W grę wchodzi wielkie pieniądze, pani detektyw. To interesy. Pracujemy cholernie ciężko. Nigdy w studio nie byłem świadkiem żadnej transakcji narkotykowej, a Lisa nie opowiadała mi o swoich źródłach. Faktycznie, gdy brała przy mnie pierwszy raz, zaproponowała mi działkę, ale jej powiedziałem: „Nie życzę sobie, żebyś niuchała w moim samochodzie”.

- A jednak nie przestała brać - oświadczyła Petra. - I to w pańskim samochodzie.

- No cóż, tak. Była dorosła. Nie miałem prawa jej niczego narzucać. Sam jednak nie brałem. - Trzymał filiżankę w obu rękach. - Każe mi się pani wypowiadać z własnych grzechów? Proszę bardzo. Miałem trochę problemów z alkoholem. Nie piję od dziesięciu lat i zamierzam pozostać trzeźwy do końca życia.

W bursztynowych oczach pojawiły się błyski. Szczere oburzenie, które wyglądało na prawdziwe. Może jednak powinien grać w filmach zamiast je kleić. Albo występować na scenie, śpiewając o tym, co mu leży na sercu.

- No dobrze - zakończyła rozmowę Petra. - Dziękuję, że poświęcił mi pan tyle swojego

cennego czasu.

- Nie ma sprawy - odparł Breshear. - Proszę zadzwonić do Kelly. Świetnie. Tylko nie do mojej żony, dobrze? Nie było jej feralnej nocy w mieście, więc nie zdoła pani pomóc. Lisa i ja byliśmy przyjaciółmi, to wszystko. Dlaczego miałbym ją krzywdzić?

- Tylko przyjaciółmi, z wyjątkiem jednego tygodnia.

- Nic wielkiego, naprawdę - stwierdził. - Przelotny romans. Lisa była samotna, trochę zdołowana, a mnie wówczas nie układało się najlepiej z żoną. Pracowaliśmy do późna i zdarzyło się.

Wzruszył ramionami w geście „wie pani, jak to jest”.

Zdarzyło się siedem razy.

Tylko co?

- Ale nigdy nie spędziliście razem nocy? - spytała. - Zupełnie inaczej z Kelly Sposito.

- Lisa nie chciała. Była zbyt dumna... Bardzo ceniła sobie własną niezależność.

- Dokąd jeździliście?

- Nigdzie. Po prostu... O Jezu! W porządku, powiem: wszystko odbywało się w samochodzie. Pojechaliśmy na przejażdżkę, a w drodze powrotnej Lisa poprosiła, żebym skręcił na plażę. Kazała mi zaparkować koło starego Sand Dune Club.

Nie miałem pojęcia, co się dzieje. Wtedy wyciągnęła tę rurkę i niuchnęła.

- Brała zatem kokainę w proszku, a nie crack.

Breshear uśmiechnął się.

- Tylko czarni ćpają crack, nieprawdaż?

Petra zignorowała jego uwagę.

- Tak, to był proszek - zgodził się w końcu.

- Niuchnęła i co potem?

- Dość szybko zrobiła się ze tak powiem... pobudzona. Fizycznie.

- I uprawialiście seks w samochodzie.

- Mniej więcej tak to wyglądało - przyznał jakimś nowym tonem. Czyżby bawiło go to wspomnienie?

- Siedem razy - dodała Petra. - Wyjeźdzaliście, niuchała i kochaliście się w samochodzie.

- Dokładnie pięć razy tak się odbyło. Dwa pozostałe - ostatnie dwa - poszedłem z nią do jej mieszkania, poczekałem, aż się przebierze, a później wyszliśmy na kolację. Ale nigdy się nie umawialiśmy... to nie był prawdziwy związek. Zawsze z jakiegoś powodu musiała jechać do domu.

- Narkotyki?

- Nie wiem - odrzekł.

Ale pewnie tak właśnie myślał. Podobnie jak Petra. Do tej pory jego historia zgadzała się z opowieścią Patsy K.

Breshear głęboko zaczerpnął oddechu.

- Nie wiem, dlaczego w ogóle to pani mówię, lepiej zakończmy już ten temat. Właściwie... nigdy nie odbyliśmy prawdziwego stosunku. Po prostu Lisa miała ochotę na... Hmm...

Patrzył teraz Petrze prosto w oczy. Siedział wyprostowany, prowokując policjantkę do bardziej szczegółowych pytań. Wiedziała dlaczego. Miał wybujały temperament seksualny, a skoro pokonał już początkowy wstyd, mówienie o minecie wręcz dodawało mu pewności siebie.

- Seks oralny? - podsunęła.

- Tak - odparł Breshear i na sekundę zamknął oczy. - Najpierw Lisa nakręcała się narkotykiem, a potem to robiła. Przez siedem wieczorów, raz dziennie, za każdym razem tak samo. Ósmego dnia powiedziała: „Lubię cię, Darrellu, ale...” Nie spierałem się, ponieważ prawdę mówiąc uważałem, że to co było między nami jest bez sensu. Lisa to rozpoczęła i ona to zakończyła. Była bardzo miła i czuła, po prostu w pewnej chwili uznała, że... hmm, czas ruszać dalej. Odniosłem wrażenie, że nie pierwszy raz postępowała w ten sposób.

- Z czego pan to wywnioskował?

- Zwyczajne przecucie. Wydawała się... doświadczona.

Petra milczała i oczy Bresheara ponownie się zaokrągliły.

- O co chodzi, proszę pana?

- Trudno mi myśleć o jej ciele... tak strasznie pociętym. W wiadomościach podkreślano, że morderstwo było brutalne.

Petra powstrzymała się od komentarza.

- Była piękną kobietą - oznajmił z uczuciem. - O Boże, mam nadzieję, że złapiecie tego psychola.

- Również mam taką nadzieję. Chce mi pan powiedzieć coś jeszcze, panie Breshear?

- Nie, nic więcej nie przychodzi mi do głowy. Tylko proszę nie dodzwonić się do mojej żony, dobrze? Zaczyna nam się ostatnio coraz lepiej układać. Nie chcę tego sparać.

Rozdział 24

Gdy Breshear wyszedł, Petra zadzwoniła do Empty Nest i poprosiła o połączenie z Kelly Sposito, aktualną kochanką. Skoro układało mu się lepiej z żoną, miał tylko jedną damę na boku?

Sposito rzeczywiście była w pracy. Miała wysoki, nieprzyjemny głos, który stał się piskliwy, gdy Petra przedstawiła się i wyjaśniła, po co dzwoni.

- Darrell? Jest pani pewna? - Jednak w chwilę później potwierdziła alibi Bresheara.

- Więc był z panią przez całą noc?

- Już powiedziałam... Proszę posłuchać, niech pani nie mówi o tym prasie. Nie potrzebuję kłopotów.

- Jestem detektywem, nie reporterką, pani Sposito.

- Gdy zobaczę swoje nazwisko w gazecie, zaskarżę was.

Gazetowa tygrysica. Też coś ukrywała?

- Dlaczego prześladowuje pani Darrella? Ponieważ jest czarny? - spytała podniesionym głosem.

- Przepytujemy ludzi, którzy znali Lisę, pani Sposito...

- Wszyscy wiedzą, kto to zrobił.

- Kto?

- O nie! - odburknęła. - Nie namówi mnie pani na podanie jego nazwiska. Zresztą, świetnie pani wie, o kogo chodzi. I facet się wykręci, ponieważ jest bogaty.

Petra podziękowała kobiecie za pomoc, odłożyła słuchawkę i wróciła do samochodu. Przejechała pięć przecznic, dotarła do wytwórni, użyła odznaki oraz kombinacji stanowczości i uroku, po czym dostała się do środka. Zapytała o drogę do pokoju montażowego faceta z długimi włosami, który wyglądał jak aktor, lecz nosił pas z narzędziami.

Wytwórnia zajmowała szereg białych bungalowów (z zielonymi żaluzjami w oknach), rozproszonych wśród pobielonych dźwiękoszczelnych studiów i budynków biurowych. Cały teren wyglądał nieskazitelnie, niczym utopijna wioska z sowieckich filmów propagandowych. Billboardy reklamujące programy telewizyjne i filmy stały na metalowych wieżach. Ogrodzony teren pełen satelitarnych talerzy przywodził na myśl zagon gigantycznych naczyń stołowych.

Kobieta w bungalowie A powiedziała Petrze, że Breshear pracuje w D. Petra weszła do małej, pustej recepcji. Mosiądz, szkło, czarne drewniane podłogi, trzy telefony, żadnej maszyny do pisania ani komputera. Sporo plakatów tanich filmów, których nie znała. Zapach ryby. Usłyszała głosy za drzwiami, więc zastukała i natychmiast je otworzyła.

Breshear siedział w środku między dwiema dwudziestokilkuletnimi kobietami przy długim stole zastawionym szeregiem szarych urządzeń, które wyglądały jak skrzyżowanie filmowego projektora i mikroskopu. W otwartym pudełku ze styropianu stały trzy porcje *sushi* na wynos.

Pierwsza kobieta nosiła wielki czarny sweter na obcisłych czarnych legginsach, miała ostrą, ładną twarz, brązową skórę prawdopodobnie od samoopalacza i grzywę gęstych czarnych kudłów opadających na plecy. Druga miała arktycznie bladą cerę i rzadkie blond włosy, spięte różowym grzebykiem. Kudłata wyglądała atrakcyjnie, choć nie należała do prawdziwych piękności. Na widok Petry Breshear zaczął się lekko odsuwać w tył, dystansując się od swoich towarzyszek.

- Detektyw Connor - mruknął z wyraźną niechęcią. W rękę trzymał kubek, nad którym unosiła się para. Pewnie rzeczywiście nie brał narkotyków, lecz jak wielu byłych alkoholików nadużywał kofeiny.

- Witam - odparła Petra. - Pani Sposito?

- Tak? - spytała kudłata i wstała. Wysoka, z metr siedemdziesiąt pięć, bardzo zgrabne ciało widoczne nawet pod workowatym swetrem. Miała poważne ciemne oczy, które wydawały się o dziesięć lat starsze niż ona sama. Na rzęsy nałożyła tyle tuszu, że przypominały pióra miniaturowej samochodowej wycieraczki. Do modelki czy aktorki trochę jej brakowało, lecz z pewnością niejednemu mężczyźnie mogłaby zawrócić w głowie. Lwica z długą grzywą.

- Pomyślałam, że wpadnę i porozmawiam z panią osobiście.

Breshear obrócił się szybko i spojrzał znacząco na przyjaciółkę. Zapewne próbował się domyślić, co takiego powiedziała Petrze przez telefon, że policjantka zapagnęła ją poznać.

Sposito przeszła ją pełnym nienawiści wzrokiem i podeszła wielkimi krokami.

Blondynka przypatrywała się im obu, wyraźnie skonsternowana.

W odległości dwóch kroków od Petry Sposito oświadczyła:

- Porozmawiajmy w cztery oczy. Skorzystam z twojego biura, Caro - rzuciła w stronę blondynki.

- Jasne - odparła tamta. - Mam poczekać tutaj?

- Tak. To nie potrwa długo.

W pokoju Cary Sposito położyła ręce na biodrach.

- O co chodzi?

„To błąd, dziewczyno Tarzana - pomyślała Petra. - Po co się tak złościysz?”

- Wyraża pani dość stanowcze opinie o panu Ramseyu - odrzekła Petra.

- Och, rany boskie! „Opinie” to dobre słowo. Zresztą, wszyscy mówią to samo. Szanowny pan Ramsey już raz się zachował jak bydlę. Szaleństwem jest podejrzewać Darrella. Spotkali się kilka razy, ale to nie znaczy, że miał coś wspólnego z jej zamordowaniem. Okej, spytała pani, gdzie był tej nocy, a ja pani odpowiedziałam. I tyle. Nie mam nic więcej do dodania. Dość już obrywam za mój związek z nim, nie potrzebuję dodatkowych kłopotów.

- Od kogo pani, hmm... „obrywa”?

- Od wszystkich. Od społeczeństwa.

- Rasizm?

Kelly Sposito roześmiała się.

- Zaledwie kilka tygodni temu byliśmy w Rose Bowl na meczu i jakiś idiota rzucił pod moim adresem obelżywą uwagę. Można by się zdziwić, prawda? Jak to? To przecież Los Angeles, lata dziewięćdziesiąte, najbogatszą kobietą w Stanach jest właśnie Murzynka. Oprah. - Kobieta zmarszczyła czoło i wokół jej ust pojawiła się siateczka zmarszczek. - Związek z Darrellem mi odpowiada. Nie chcę go zepsuć.

Gdybyś tylko wiedziała, kochana.

- Rozumiem - stwierdziła Petra. - Chce się może pani ze mną podzielić jeszcze jakimiś opiniami? Na temat morderstwa? Samej Lisy?

- Nie. Chciałabym już wrócić do pracy. Czas nas goni.

Dlaczego ludzie filmu tak strasznie się starali udowodnić, że ciężko i uczciwie pracują?

- Jak długo pani tu pracuje, Kelly? - Użyła imienia, nie nazwiska, podkreślając swoją przewagę nad rozmówczynią.

Sposito zatrzepotała rzęsami.

- Około roku.

- Zatem pracowała pani z Lisą?

- Nie przy jednym projekcie. Dziewczyna potrzebowała przeszkolenia, więc Darrell z nią pracował. Ja zawsze działałam sama.

- Lisa była niedoświadczona?

Kelly prychnęła.

- Była zupełnie zielona. Darrell odwał za nią robotę.

- Przez całe sześć miesięcy, które tu przepracowała?

- No nie, w końcu się nauczyła, potrafiła co nieco zrobić, choć prawdę mówiąc... Nie, nie, nic nie powiem, nie chcę teraz źle o niej mówić.

Petra uśmiechnęła się, Kelly w odpowiedzi wyszczerzyła zęby. Policjantka przypuszczała, że ma to być uśmiech.

- Okej, jak zwykle chlapnęłam za dużo. Pragnęłam jedynie powiedzieć, że posada montażysty jest trudna do zdobycia, trzeba mieć sporą wiedzę. A Lisa była kompletnym żółtodziobem. Uznałam, że dostała tę pracę dzięki koneksjom.

- Jakiego rodzaju?

- No, nie wiem.

Kolejna sprawa, którą Darrell nie podzielił się ze swą lwicą. Nagle Petra poczuła współczucie dla dziewczyny.

- Co prywatnie pani o niej sądziła, Kelly?

- Ona wykonywała swoją pracę, a ja swoją. Nie utrzymywałyśmy stosunków towarzyskich.

- Lubiała ją pani? - spytała Petra.

Kelly zamrugła oczyma.

- Szczerze? Nie należała do moich faworytek, ponieważ uważam, że nie traktowała ludzi dobrze. Ale... naprawdę nie chcę jej oczerniać.

- Kogo źle traktowała?

Ciemne oczy zwęziły się.

- Wszystkich. Miała cięty języczek, pewnie dlatego tak paskudnie skończyła.

- Co ma pani na myśli, Kelly?

- Bywała sarkastyczna. Potrafiła wyrazić swoją krytyczną opinię bez słów. Rozumie pani, o czym mówię? Spojrzenia, ton głosu, język ciała. - Przesunęła pięściami po biodrach, zgięła nogę jak balerina, po czym ją wyprostowała. - Lisa miała na swój temat dość wygórowane zdanie, wie pani? Jeśli kogoś uważała za gorszego od siebie, natychmiast w taki czy inny sposób go o tym informowała. Chce pani usłyszeć moją opinię? Ramsey pewnie próbował ją odzyskać, a ona go odtrąciła. Mężczyźni molestujący swe żony to z reguły maniacy, nieprawdaż?

Jaka bystra dziewczyna!

- Zdarzają się - powiedziała Petra, szczerze zafascynowana.

- Może Ramsey chciał namówić Lisę do powrotu - ciągnęła Kelly. - Powiedzmy, że się spotkali. On próbuje się z nią kochać, ale mu nie wychodzi, Lisa drwi sobie z niego i facet dostaje szału.

Petra nie dała po sobie poznać zdumienia. Spopsito, która jeszcze pięć minut temu okazywała jej niechęć i wzbraniała się przed rozmową, teraz wygłosiła swą własną kryminologiczną teorię. Powtórzyła właśnie scenariusz „ostatniej randki”, naszkicowany wcześniej przez Petrę.

- Skąd przypuszczenie, że Ramsey jest impotentem?

- Lisa nam kiedyś powiedziała... No, przynajmniej dała do zrozumienia. Jakies trzy, cztery miesiące temu. Jedliśmy lunch całą ekipą: Darrell, Cara, ja, Lisa i jeszcze jedna montażystka od nas, Laurette Benson, lesbijka. Wyłynął temat sławnych aktorów i ich wypaczonej osobowości. Mówiliśmy, że często są strasznie popieprzeni, z czego publika przeważnie nie zdaje sobie sprawy, ponieważ słyszy tylko bzdury do znużenia powtarzane przez telewizję i prasę. Potem zaczęliśmy gadać o tym, że aktorzy są współczesnymi symbolami seksu. Ktoś powiedział, że odkąd Madonna urodziła dziecko, wszyscy traktują ją naprawdę jak Matkę Boską. Mówiliśmy o idiotach, którzy nadal szukają po całym świecie Elvisa i o tym, jak długo Michael Jackson przetrwa w małżeńskim związku z tą białą kobietą. My, montażyści widzimy tych ludzi dzień po dniu, scena po scenie, przez okienko movioli. Wiemy, ile trzeba powtórek, ile ujęć, by dany aktor dobrze się zaprezentował w filmie, a jego głos zabrzmiał odpowiednio. Nagle stwierdzasz, jak niewielu jest wśród nich utalentowanych artystów. Tak sobie rozmawialiśmy o seksualnych fantazjach widzów i doszliśmy do wniosku, że często publika kocha się w jakimś aktorze, któremu w łóżku w ogóle nie wychodzi. Laurette zauważyła, że mnóstwo aktorów to geje, nawet ci, których widownia uważa za bogów heteroseksu. Niektórzy nieźle się kamuflują. Nagle Lisa powiodła oczyma i rzuciła: „Nie macie pojęcia, kochani, o czym mówicie. Nie macie nawet pieprzonego pojęcia”. Wszyscy spojrzeliśmy na nią, a wtedy powiedziała: „Wierzcie mi. Myśli człowiek, że ma do czynienia z twardzielem, a okazuje się, że to miękkie kluchy”. Roześmiała się, potem się zdenerwowała, wręcz rozzłościła, odeszła i na parę minut zamknęła w łazience. Laurette stwierdziła wówczas: „Rany, chyba ktoś komuś zaglądał w szorty”. Gdy Lisa wróciła, miała czerwony nos i była w świetnym nastroju, wie pani, co mam na myśli?

- Na haju.

Kelly wskazała palcem broń.

- Tak, jest pani detektywem, więc pewnie słyszy o tym codziennie.

- Czy często ćpała w studiu?

- Zdarzało się. Ale nie obchodziło mnie to.

- Więc rozmowa o impotencji tak ją wytrąciła z równowagi?

- Pani by nie wytrąciła? - spytała Kelly Spopsito. - Życie jest brutalne. Każdy facet chce

być *macho*; nikt nie ma czasu na „miękkie kluchy”.

*

Było po siedemnastej, gdy Petra wyjechała ze studia. Miała ochotę na gorącą kąpiel, dobry gotowy posiłek, nawet na tortury przy sztaludze. Wcześniej musiała jednak omówić notatki ze Stu. Gdyby zasugerował, że powinni jeszcze dziś wieczorem porozmawiać z Ramseyem, nie protestowałyby.

Zadzwoniła na posterunek. Stu jeszcze nie wrócił, ale recepcjonistka Lilian poinformowała ją:

- Przyszła do ciebie przesyłka od koronera, Barbie.
- Duża koperta?
- Średnio. Położyłam ją na twoim biurku.
- Dzięki.

Zjadła kanapkę z tuńczykiem w „Apple Pan”, popiła colą, przejrzała gazetę - nic o Lisie - i wróciła do Hollywood tak szybko, jak pozwolił jej na to ruch uliczny. Kiedy dotarła na posterunek, rozpoczęła się już wieczorna zmiana. Większość detektywów uganiała się po mieście za przestępcami. Przy jej biurku nie było nikogo; Stu jeszcze się nie zgłosił.

Wewnątrz brązowej koperty znajdowały się wstępne wyniki sekcji zwłok. Podpisał je doktor Wendell Kobayashi, kontrasygnował - tak jak obiecał Schoelkopf - główny koroner, doktor Ilie Romanescu.

Szybko. Zwykle wyniki trafiały do detektywów dopiero po tygodniu.

Petra usiadła i przeczytała dwie napisane na maszynie kartki. W organizmie Lisy Ramsey znaleziono ślady kokainy i alkoholu; dość dla lekkiego odurzenia, lecz za mało, by spowodować zamroczenie. Tak czy owak, w tym stanie łatwo było dziewczynę zaskoczyć. Końcowy raport z autopsji nie był jeszcze gotów, lecz lekarze policzyli rany i ustalili przyczynę śmierci. Dwadzieścia trzy rany - niewiele mniej od dwudziestu dziewięciu ran Ilse Eggermann. Koroner za śmiertelną uznał bardzo głęboką ranę brzucha, która szczególnie zapadła Petrze w pamięć: zaczynała się tuż nad kością łonową i ciągnęła się w górę przez około dwadzieścia centymetrów. Pionowe rozcięcie, które przechodziło przez jelita, żołądek i wątrobę, rozpołowiło przeponę, uniemożliwiając ofierze oddychanie.

Wypatroszona. Strategia ulicznego drapieżcy.

Kiedy upadała, dźgnął ją jeszcze dwadzieścia dwa razy.

Szaleństwo albo zabawa. Albo jedno i drugie.

Doktor Kobayashi przypuszczał, że napastnik stał blisko ofiary, zadając jej to pierwsze,

śmiertelne pchnięcie. Czyli musiał się mocno pobrudzić krwią. A jeśli się dotknęli, na jej ciele lub ubraniu powinny zostać jego ślady. Analiza włókien i płynów zajmie jednak kilka dni. Alan Lau nie zauważył żadnych odcisków stóp. Albo morderca zdjął buty, albo miał szczęście.

Petra zastanowiła się nad rewelacjami Darrella na temat seksualnych skłonności Lisy: seks oralny w samochodzie. Niczym licealistka. Czy Lisa zatrzymała się w rozwoju na etapie cheerleaderki? Cheerleaderka i starsi mężczyźni?

Kelly opisała ją jako pewną siebie, a równocześnie Lisa „obsługiwała” Darrella, nie chcąc niczego dla siebie.

Seks w samochodzie. Zabójca też zabrał gdzieś Lisę samochodem.

Macho Ramsey impotentem?

Wieloletni problem? Randka miała być dla Ramseya ostatnią próbą sprawdzenia się?

W samochodzie? Czy przedtem robili to z Lisą w samochodach?

To cholerne samochodowe muzeum! Czyżby było czymś więcej, niż tylko trofeum milionera? Pomagało mu w kłopotach małżeńskich? Cały ten chrom i stal, potężne silniki przypominały mu, że jest bogaty, przystojny, sławny - zabawki, warte setki tysięcy dolarów, niezbędne dla właściwego ukrwienia penisa?

Breshear powiedział, że Lisa wydawała się osobą seksualnie doświadczoną. Z kim zdobyła to doświadczenie? Z Ramseyem? Z innymi? Po rozwodzie czy przed?

Jednak z rachunków telefonicznych nie wynikało, by kontaktowała się z mężczyznami. Całkowity brak życia towarzyskiego. Może używała służbowego telefonu w sprawach osobistych. Niełatwo byłoby Petrze zdobyć wydruki - studio na pewno nie udzieliłoby zgody. Jutro rano będzie musiała zacząć robotę papierkową.

Wróćmy do nocy morderstwa. Lisa ubrała się elegancko.

„Samochód, w samochodzie, zróbmy to w samochodzie”.

I Ramsey zawiódł.

Znowu nie podołał.

Nie stanął na wysokości zadania, Lisa zakpiła z niego, więc ją zadźgał nożem.

A przecież był dla niej taki dobry. Wybaczył jej, że obgadała go w plotkarskim programie telewizyjnym, zdobył dla niej pracę w studio i płacił jej co miesiąc siedem tysięcy.

Dwadzieścia trzy tysiące w gotówce, rachunek u maklera w Merrill Lynch... Lisa rozmawiała z maklerem, Ghadoomianem. Kolejne zadanie dla Petry na jutro.

Seks, pieniądze, klęska.

Klęska w samochodzie i dlatego Ramsey „użył” samochodu do zabójstwa?

Zawiózł eks-żonę w miejsce, w którym miała zakończyć swe życie.

Zamordował ją na parkingu.

Jakie to typowe dla Los Angeles.

Petra potrzebowała nakazu rewizji na PLYR 0 i PLYR 1 oraz na wszystkie pozostałe pojazdy z kolekcji Ramseya. Wiedziała, że krytycznej nocy mógł jeździć którymkolwiek z nich - także tym fallicznym ferrari, które przykuło uwagę detektywów w trakcie wizyty w jego rezydencji. Pamiętała, Jak Stu i ludzie z biura szeryfa gapili się na nie, być może nieświadomi, że mają przed sobą rzeźnię na kółkach.

Nie, ferrari zbyt rzucało się w oczy, nawet w Los Angeles. Któreś z pozostałych aut...

Zadzwoił telefon; Petra była pewna, że to jej partner.

Telefonował jednakże Alan Lau z Parker Center. Sądząc po głosie, kryminolog był wyczerpany.

- Dostałem wstępną analizę moczu i opakowania po jedzeniu. Jedzenie stanowiło mieszaninę mielonej wołowiny, wieprzowiny, papryki, cebuli, sosu pomidorowego, chili w proszku, czosnku w proszku, jakichś innych przypraw, których jeszcze nie zidentyfikowaliśmy. Znaleźliśmy również okruszki chleba. Nie wmieszane, osobne. Prawdopodobnie bułka. Białe pieczywo.

- Chiliburger.

- Całkiem możliwe. Mocz jest z pewnością ludzki, mam tylko nadzieję, że nie zażyczysz sobie badania DNA, ponieważ próbka była tak niewielka, że ledwie wystarczyła do ustalenia podstawowych danych. Zresztą, doskonale wiesz, że badania DNA kosztują fortunę i zajmują mnóstwo czasu.

- Ustaliłeś coś jeszcze? - spytała Petra.

- Na opakowaniu znaleźliśmy odciski palców. Również na książce. Na okładce było ich pełno. Całkowite, częściowe, czytelne. Nie jestem ekspertem, lecz na pierwszy rzut oka wszystkie należą do jednej osoby. Wysłaliśmy je do identyfikacji. Do tej pory nie udało nam się ich dopasować do niczyich akt. Wygląda więc na to, że wasz czytelnik nie jest notowanym przestępcą ani pracownikiem rządowym. Sądząc po rozmiarach opuszek, są prawdopodobnie kobiece.

„Kloszardka, która przykucnęła na skale” - pomyślała Petra. - „Jadła ukradkiem i czytała starą książkę z biblioteki, karmiąc swoje schizofreniczne rojenia... Kto wie, co znaczyli dla niej prezydenci”.

Smutne. Jeśli nie pojawią się inne dane, może warto przepytac strażników parkowych i hollywoodzkich policjantów, patrolujących okoliczne tereny. Może pamiętają bezdomną,

która się kręci po tej części parku Griffith.

- Dzięki. Masz jakieś ciekawe dane spod mikroskopu?
- Na razie mamy tylko trochę błota. Jak na taką ilość krwi, było stosunkowo czyste.

*

Stu wszedł do pokoju detektywów o 18:34. Wyglądał jak zdjęty z krzyża. Petra zajadała akurat drugiego snickersa i zastanawiała się, gdzie w tej chwili przebywa Ramsey, jakie myśli przechodzą mu przez głowę, czy żałuje tego, co zrobił, a może z podnieceniem wspomina, jak zarzywał Lisę?

Spytała Stu, jak się miewa. Odparł, że świetnie i opowiedział o swoim dniu tonem wzorowego skauta, składającego raport. Odwiedził trzy studia, w każdym porozmawiał ze znajomymi i znalazł informatora; teraz pozostawało tylko czekać na rewelację. Petra spojrzała w przekrwione oczy partnera i oceniła, że przyczyna jego zmęczenia i smutku musi tkwić w czymś innym.

Stu zdjął marynarkę i starannie powiesił ją na oparciu krzesła.

- Nikt nie powiedział mi niczego osobistego na temat Ramseya. Najwyraźniej facet nie trzyma z żadną paczką ludzi z przemysłu. W związku z tym, że pobił Lisę, wszyscy snują przypuszczenia, że ją zabił.

- Ja mam coś osobistego. - Petra zrelacjonowała rozmowy z Breshearem i Kelly Sposito oraz opowiedziała o aluzjach Lisy dotyczących impotencji eks-męża.

- Interesujące - zauważył Stu bez emocji.

Czyżby wszyscy mężczyźni mieli podobne problemy?

- To mógłby być motyw - rzuciła.

- Niewykluczone. Niestety, trudno nam będzie sprawdzić, czy Lisa nie zmyślała. *Á propos*, ufasz Sposito co do alibi Bresheara?

- Zadzwoiłam do niej, zanim jej facet do niej dotarł. Ani chwili nie wahała się z odpowiedzią na moje pytanie. Chcesz go dokładniej sprawdzić?

- Nie, pragnę się tylko upewnić, czy możemy go wyeliminować. Trzymajmy się zwykłego dla takich przypadków sposobu działania.

Oparł się rękami o biurko, rozpościerając dłonie na blacie.

- Teraz co do tej Niemki...

Petra podała mu faks z danymi na temat Karlheinz Laucha. Stu przeczytał go i odłożył.

- Co z tym zrobimy? - spytała.

- Ponownie zwrócimy się do austriackiej policji. Interesują nas również porty lotnicze w

innych niemieckojęzycznych państwach, czyli... chyba Szwajcaria. Sprawdzimy w Interpolu, w Amerykańskim Urzędzie Imigracyjnym... Chociaż po trzech latach kontrola paszportowa niewiele nam chyba powie.

- Sorensen już to wszystko zrobił.

- Minęły trzy lata, więc musimy powtórzyć wszystko jeszcze raz. Ponieważ znaleźliśmy jedną podobną sprawę, musimy szerzej zarzucić sieć i upewnić się, czy nie przegapiliśmy innych. A zatem Orange County, Ventura, Santa Barbara, może nawet San Francisco. Jeśli nie znajdziemy żadnego lokalnego seryjnego mordercy, poczuję wielką ulgę. Ale nigdy nie wiadomo. Był taki facet kilka lat temu, Jack Unterhoffer - okazał się Austriakiem. Latał między Europą i Stanami i dusił tu kobiety. Minęło mnóstwo czasu, zanim skojarzyliśmy fakty. Wobec braku innych poza Ramseyem tropów, Schoelkopf może nam kazać sprawdzić cały kraj, więc lepiej uprzedźmy go i przejrzyjmy uważnie akta Laucha. Skontaktujmy się z federalnymi.

Petra odniosła wrażenie, że Stu sam się pcha w bagno straszliwej harówki. Takie zachowanie nie pasowało do jej teorii zatytułowanej „szansa na awans”. A może pasowało?

- Świetnie - mruknęła, zaskoczona zniecierpliwieniem we własnym głosie. - Tym niemniej Ramsey pozostaje naszym głównym podejrzanym, a teraz poznaliśmy dodatkowy potencjalny motyw. Wiem, że pogłoski o impotencji są...

- Mniej niż pogłoski. Lisa mówiła dość ogólnikowo.

- Niby tak, ale jeśli nie zweryfikujemy rzetelnie tego wątku, pozostanie to w sferze domysłów.

- Zgadzam się z tobą - odparł, prostując się na krześle. Bawił się szelkami. - Nie spierajmy się o to, Petro, po prostu ustalmy priorytety. Jest nas tylko dwoje, więc albo poprosimy o wsparcie, a wtedy mogą nam przydzielić - detektywów z wydziału zabójstw przy biurze szeryfa... albo podzielimy się robotą. Może wezmę na siebie całą sprawę Eggermann/Lauch, a ty porozmawiasz z Ramseyem? Ślęczenie przy telefonie też podzielimy między siebie.

Petra nie wierzyła własnym uszom. Partner wyraźnie dawał jej befsztyk, zatrzymując dla siebie frytki.

- Chcesz, żebym sama rozpracowała Ramsey'a?!

- Widzę w tym same korzyści, Petro.

- Jakie?

- Jeśli Ramsey naprawdę ma problemy z kobietami, twoja obecność może go zdenerwować i zdradzi się czymś przed tobą.

Zauważyła, że Stu użył określenia „problemy z kobietami”. Nie problemy z potencją, nie męskie problemy...

- Okej, chociaż wiesz, że nie mam nic przeciwko czarnej robocie - asekurowała się.

- Nie martw się o mnie, Petro. Prawdę mówiąc...

Chyba chciał jej coś powiedzieć, lecz zrezygnował. Przypomniała sobie, czego jej uczył, gdy zaczęli ze sobą pracować: Uważaj na podejrzanych, którzy mówią „szczerze mówiąc”, „prawdę mówiąc” albo „tak naprawdę”. Tacy zwykle coś ukrywali.

- Naprawdę uważam, że łatwiej ci będzie rozgryźć Ramseya sam na sam - powiedział. - Nie chodzi tylko o płeć. Gdybyśmy pojechali razem, mógłby się poczuć przyciśnięty do muru. Niech nadal się nie domyśla, że go podejrzewamy. Jedna osoba lepiej sobie z nim poradzi niż dwie. Zresztą podczas ostatniego spotkania Ramsey wyraźnie się tobą interesował.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Niby cię nie podrywał, ale przypatrywał ci się z dużym zaciekawieniem. Zastanawiające, co? Właśnie zamordowano jego byłą żonę, więc z jednej strony udaje pogrążonego w smutku męża, a równocześnie zerka na inne kobiety.

A zatem Stu zauważył spojrzenie Ramseya i nic jej nie powiedział. Jakimi jeszcze przemyśleniami się z nią nie podzielił?

- Nie będziesz przynętą, Petro. Jeśli jednak nie chcesz sama z nim rozmawiać, rozumiem. Tyle że... wierz mi, jesteś utalentowanym psychologiem. Świetnie sobie poradzisz.

- Dzięki. - Dlaczego wzięła to za komplement? Czyżby popadała w paranoję?

Pokiwała głową.

- Okej, załatwione. - Podniósł słuchawkę telefonu.

Rozdział 25

Biegnę i biegnę, bez końca biegnę. Tracę oddech.

Nie oglądam się za siebie.

Drzewa wyskakują przede mną, konary szarpią moje ciało, zmieniam kierunek.

Przedzieram się przez gałęzie; drapią mnie po twarzy, ramionach, nogach. Cały jestem pokaleczony.

Chciałbym zamknąć oczy i pędzić przed siebie na oślep, jak pocisk. Próbuję. Przez

chwile idzie mi nawet nieźle, potem jednak upadam i staczam się z pagórka. Uderzam o skały, gałęzie i ostre krawędzie, ranię sobie głowę, przecinam ramię. Czuję gorąco i wilgoć.

Krwawię. Krew spływa mi po ręce, ale nic mnie nie boli. Żadnego bólu. Czyżbym był z gliny? A może z gówna?

Nie wiem, dokąd biegnę, nie dbam o to, byle dalej stąd, park to zdrajca.

Wreszcie mogę oddychać.

Słyszę w uszach pulsowanie, mam wrażenie, że głowę wypełnia mi puch. Robię wdech i wydech, wciągam dziwnie gęste powietrze. Kłuje mnie w piersiach.

Nie mam już kryjówek. Nigdzie nie jest bezpiecznie... Serce bije mi zbyt mocno, zbyt szybko. Nagle ogarniają mnie straszne mdłości.

Zatrzymuję się, pochylam i nie przetrawione jedzenie wylewa mi się z ust niczym lawa. Rzygam pod nogi, płonie mi gardło.

Kiedy zacznę żyć czystym życiem?

Już nie wymiotuję, nie mam czym. Muszę być cicho, muszę być cicho.

Jestem cicho.

Wszędzie panuje cisza.

Wącham i czuję swój zapach. Cuchnę jak martwe zwierzę.

*

Jeszcze trochę biegnę, upadam, wstaję, znowu biegnę, idę, zaczynam czuć się lepiej i zatrzymuję się dla zaczerpnięcia oddechu, ale potem zaczynam się trząść i nie mogę przestać.

Jestem w części parku, w której chyba kiedyś już byłem. Chociaż nie jestem tego pewny.

Mnóstwo drzew, cały teren zasypany liśćmi, wszędzie wokół skały i błoto. Mogę się znajdować w jakimkolwiek rejonie parku. Kładę się na ziemi i zwijam w kłębek. Gardło nadal mi płonie, zęby zaczynają mi szczekać: „te-te-te”.

Dreszcze ustępują. Chcę usiąść prosto, lecz jestem strasznie zmęczony. Ziemia jest tu nierówna. Znajduję kamień, gładki i zimny, trzymam go w obu rękach, ściskam mocno, potem wyrzucam i robię głęboki wdech.

Krwawe przecięcie zasklepiło się w purpurową linię, na której dostrzegam kilka mokrych miejsc; sączy się z nich jakieś paskudztwo w kolorze złota. Pewnie osocze. Mam nadzieję, że rana zaschnie.

Zaczyna mnie boleć całe ciało. Oglądam się uważnie, obmacuję i znajduję wiele rozcięć i głębokich otarć na ramionach. Czuję też ból pokiereszowanej twarzy. Drapię się, odkrywam krwawiące miejsca. Już się zasklepiają.

Mój organizm działa całkiem sprawnie.

Słyszę krzyk ptaka i aż podskakuję. Serce podnosi mi się do gardła i obawiam się, że znowu zwymiotuję.

Oddychać, oddychać, oddychać... Mam tylko zawroty głowy.

Oddychać! Słyszać ptaki, to przecież tylko ptaki.

Nic mi nie jest. Nic.

Czas znowu zacząć się poruszać.

*

W końcu nadchodzi noc.

Jestem gdzieś wysoko, chyba na wzgórzu, nic nie widzę z wyjątkiem drzew, za którymi mającą ogromne, czarne cienie prawdziwych gór.

Ciągle jestem w parku, ale już niedługo. Zdrajca!

Wszystko straciłem: książki, ubrania, plastikowe torby, jedzenie, wszystko zostało w kryjówce numer pięć.

Nie mam już „tamponowych” pieniędzy. Z wyjątkiem reszty z pięciu dolarów, które wzięłem do ZOO. Sięgam do kieszeni. Wyczuwam trzy banknoty i trochę drobnych.

Jak mogło do tego dojść? W jaki sposób mnie wysledzili?

Pewnie często bywali w parku.

Moja wina. A ja głupi myślałem, że jestem tu bezpieczny i mogę się odprężyć.

Teraz jest przyjemnie i ciemno. Ciemność to mój sprzymierzeniec, osłania mnie. Czas iść, ponownie ruszyć w drogę.

Idę dopóty, aż słyszę samochody. Ciągle jeszcze ich nie dostrzegam, lecz wiem, że zbliżam się do Los Feliz Boulevard. Rękę, w której trzymałem gównno bez przerwy ocieram o skały, ziemię, o pnie drzew. Po pewnym czasie przestaje śmierdzieć. Ruch uliczny zrobił się naprawdę głośny. Rzeczywiście trafiłem na Los Feliz. Wreszcie wiem, gdzie jestem.

Ukrywam się za grubym drzewem, rozmyślam nad przyszłością i nagle znowu przypominam sobie ofiarę.

Dziewczyne, którą bestialsko pociął w parku morderca!

Dlaczego stale spotykam złych, odrażających, chorych ludzi?

Czyżbym miał na twarzy wypisaną wiadomość: „To dziecko jest ofiarą losu, możecie się nad nim znęcać?” Czy wyglądam na słabeusza, mięczaka, na zwierzątko, które każdy może sobie upolować?

A może zachęcam ich w jakiś sposób, nieświadomie daję im znaki?

Dlaczego jestem inny?

Jedno jest pewne - muszę się umyć.

I odejść stąd jak najdalej.

Rozdział 26

Piętnaście minut po dziewiętnastej Petra zadzwoniła do domu Ramseya. Latynoska służąca odpowiedziała: „Psze poczekać” i odeszła.

Minęły dwie minuty, trzy, pięć, sześć.

Czyżby Ramsey postanowił jej unikać? A może zadzwonił z drugiej linii do swojego prawnika? Przygotowała się na dłuższe czekanie. Zanotowała sobie, by później jeszcze raz przekreślić do Boehlingarów.

Nagle w słuchawce rozległ się męski głos.

- Pani detektyw Connor?

- Dobry wieczór, panie Ramsey.

- Dowiedziała się pani czegoś?

- Obawiam się, że nie, proszę pana, pomyślałam jednak, że warto byłoby jeszcze raz porozmawiać.

- Świetnie. Kiedy i gdzie?

- Może u pana. Jak najszybciej.

- Zapraszam.

*

Jadąc do San Fernando Valley, Petra trafiła na końcówkę wieczornego szczytu. W pobliżu wejścia do Canoga Park jakiś idiota przewrócił ciężarówkę pełną mebli ogrodowych i każdy przejeżdżający kierowca zwalniał i gapił się na krzywe tapczany i potrzaskane cementowe baseniki. Cóż tak fascynuje ludzi w nieszczęściach innych? Zresztą... Czy miała prawo osądzać kogokolwiek? W pewnym sensie zarabiała na życie, oglądając ludzkie tragedie.

No dobrze, teraz najistotniejsze, by właściwie wykorzystać spotkanie z Ramseyem. Powinna poddać go swego rodzaju psychoanalizie.

Nie przygotowała jednak żadnego wymyślnego planu, nie miała też w zanadrzu szczegółów sprawy do omówienia. Uważała, że jeśli brak faktów, lepiej improwizować niż

tworzyć skomplikowane plany działania. Jedno było jasne: Petra nie może dopuścić do konfrontacji. Przyjedzie przyjaźnie nastawiona i nawet jeśli Ramsey będzie nieuprzejmy albo znowu zacznie ją podrywać, nie da się sprowokować.

W tym tkwiła przecież, jej siła. Potrafiła w subtelny sposób skłaniać mężczyzn do zwierzeń - równie skutecznie jak policyjni brutale, a czasem nawet skuteczniej. Stu dodał jej pewności siebie, gdy pozwolił jej przejąć tak poważne śledztwo. „Niech twoja osobowość stanie się twoją bronią, Petro - doradził jej. - Działaj tak, jak postępują terapeuci”.

Nigdy nie myślała o terapii jako o broni, lecz doskonale zrozumiała sugestię Stu. Chodzi o manipulację, a najlepsi manipulatorzy nigdy nie szarżują.

Stu podczas przesłuchań był „uprzejmym, ale surowym starszym bratem” - bystry, sympatyczny, lecz mocny facet, którego ludzie się trochę boją, jednak równocześnie podziwiają go i bardzo chcą mu się spodobać.

Petra zachowywała się jak „normalna dziewczyna”. Z takimi mężczyźni lubią rozmawiać.

Jej partner powiedział: „Nie będziesz przynętą”, wspominał też o jej talencie. Jednak cholernie dobrze wiedział, że Petra spełni właśnie rolę przynęty. Ramsey, uważając się za playboya, na pewno chętnie z nią poflirtuje.

Aktor. I miękkie kluchy.

Ramsey nie wymienił jeszcze nazwiska prawnika, ale Petra była pewna, że ma jakiegoś na podorędziu. Kogoś, kto podpowiada mu, co ma robić. Jak nazywało się takich podczas kręcenia filmów? Ach, tak, suflerami. Teraz wystarczą urządzenia - telepromptery.

Ramsey od lat miał praktykę w odpowiednim dobieraniu słów. Świetnie wiedział, które brzmią dobrze.

Nawet kiepski aktor miewa przewagę nad przeciętnym podejrzanym. Typowe „smutne duszyczki”, które Petra przesłuchiwała, były zaniepokojone i - nawet kiedy sądziły, że skutecznie kłamią - mówiły więcej niż trzeba. Takich ludzi wystarczyło przycisnąć i wydusić z nich prawdę słowo po słowie. Wyjątkiem byli zawzięci psychopaci, którzy nie wyglądali na zdenerwowanych, ci jednak bywali tak bardzo skupieni na autodestrukcji, że zwykle prędzej czy później plątali się we własnych kłamstwach.

Do jakiej kategorii Petra powinna zaklasyfikować Ramseya? Był wyrachowanym zabójcą czy tylko żalonym impotentem, biednym frajerem, który zbzikował?

Usiądzie przed nim rozluźniona, rzuci kilka uprzejmych pytań i wysłucha, co mężczyzna ma jej do powiedzenia. Może sam się z czymś zdradzi, a jeśli nie, przynajmniej Petra pozna go lepiej.

*

Dotarła do „Ranch Haven” o dwudziestej czterdzieści. Spytała strażnika, czy pełnił dyżur w niedzielną noc. Zaprzeczył, po czym zamknął drzwi wartowni.

Petra wjechała na wzgórze. Sztuczne światło lamp przed podjazdem rozjaśniło różowy dom odzieniem złamanej bieli i sprawiło, że budynek wydawał się jeszcze większy, lecz jego architektura nie była przez to mniej eklektyczna.

Po dzwonku drzwi uchyliła młoda Latynoska; nie była to Estrella Flores. Sądząc po frontowych oknach, w domu panowały ciemności.

- Dzień dobry - odezwała się Petra. - Detektyw Connor do pana Ramsey.

- Tak? - Kobieta była ładna, miała owalną twarz, duże oczy w kolorze fioletowych winogron i czarne włosy związane w kok. Wyglądała na około dwadzieścia pięć lat. Nosiała taki sam różowo-biały uniform, jaki miała na sobie Estrella Flores.

Petra powtórzyła swoje nazwisko i pokazała odznakę.

Służąca zrobiła krok wstecz.

- Psze czekać. - Ten sam głos, co przez telefon. Gdzie się podziała stara służąca?

- Czy zastałam Estrellę Flores?

Młoda kobieta, bardzo zmieszana, zaczęła się odwracać, więc Petra chwyciła ją za ramię.

- *Donde esta Estrella?*

Służąca potrząsnęła głową.

- *Es trel la Flores? La... gosposia?*

Żadnej odpowiedzi. Ciepły uśmiech zamarł Petrze na wargach na widok beznamietnej miny kobiety.

- *Como se llama usted, señorita?*

- *Maria.*

- *Nombre de familia?*

- *Guerrero.*

- *Maria Guerrero.*

- *Si.*

- *Usted no sabe Estrella Flores?*

- *No.*

- *Estrella no trabaja aqui?*

- *No.*

- *Cuanto tiempo usted trabaja aqui?*

- *Dos dias.*

Dwa dni. Estrella zniknęła. Wiedziała coś, z czym nie mogła sobie poradzić i uciekła? Petra żałowała, że nie porozmawiała z nią wcześniej.

Kiedy Maria Guerrero ponownie odwróciła się z zamiarem odejścia, odezwał się męski głos:

- Pani detektyw.

Z mroku wyłonił się Ramsey. Ubrany był w białą, mocno pomiętą płócienną koszulę, kremowe jedwabne spodnie, kremowe mokasyny. Nie miał skarpetek.

Widoczek w pastelowych barwach. „Jestem taki dobry!”

Przytrzymał drzwi i Petra weszła. Dom pachniał stęchlizną. Na tyłach dużej jadalni świeciła się tylko lampa stołowa. W muzeum samochodowym także panowały ciemności, szklana ściana wydawała się czarna.

Ramsey kroczył pół metra przed Petrą. Podeszedł do drugiej lampy, włączył ją i skrzywił się, jak gdyby nagła jasność poraziła jego oczy. Czyżby do tej pory siedział w ciemnościach? Rękawy miał niedbale podwinięte do łokci, zaś jego kręcone włosy wyglądały na tłuste i nieuczesane.

- Proszę siadać. - Począł, aż Petra usiadzie na jednej z miękkich sof, potem zajął miejsce po jej prawej stronie; ich kolana były pół metra od siebie.

Położył ręce na udach i siedział bez ruchu. Był wymizerowany na twarzy, a przez to wydawał się starszy. Wśród loków Petra dostrzegła więcej siwych włosów. Złudzenie wzrokowe czy też farba wyblakła?

- Dziękuję, że mnie pan zaprosił.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekł, ostentacyjnie ciężko wzdychając i pocierając kącik ust.

Petra wyjęła notes z błękitnym stemplem Departamentu Policji Los Angeles na boku. Poły kurtki rozsunęły jej się, ukazując Ramseyowi odznakę wsuniętą w kieszonkę koszuli. Kątem oka Petra obserwowała jego reakcję na te subtelne przejawy oficjalnego charakteru jej wizyty.

Ramsey patrzył jednak w bok, na duży kamienny kominek, zimny i ciemny.

- Napije się pani czegoś, pani detektyw?

- Nie, dziękuję.

- Jeśli zmieni pani zdanie, proszę powiedzieć.

- Oczywiście, panie Ramsey. - Otworzyła notes. - Jak tam sprawy?

- Paskudnie. Absolutnie wstrętne.

Petra posłała mu najbardziej wyrozumiałe z uśmiechów, jakie miała w repertuarze.

- Zauważyłam, że od mojej ostatniej wizyty zmienił pan służącą.

- Poprzednia odeszła.

- Estrella Flores?

Spojrzał na nią uważnie.

- Tak.

- Długo dla pana pracowała?

- Dwa lata. Chyba. Mniej więcej. Powiedziała, że pragnie wrócić do Salwadoru, ale wiem, że chodziło o to... co się przydarzyło Lisie. Estrella lubiła Lisę. Sądzę, że wszyscy... Kiedy byliście tutaj... to prawdopodobnie wytrąciło ją z równowagi, bo jeszcze tej samej nocy się spakowała. - Wzruszył ramionami. - Zresztą, te wszystkie telefony z mediów. Sam nie doszedłem jeszcze do siebie.

- Wiele ich było?

- Setki, wszystkie na oficjalny numer. Ten, który podałem pani, jest prywatny. Musiałem wszystkich odsyłać do biura Grega. Greg z nikim nie rozmawia, więc mam nadzieję, że telefony się skończą. - Przetarł oczy, po czym potrząsnął głową.

- Więc natychmiast pan znalazł nową służącą - zauważyła Petra.

- Greg mi ją wyszukał.

Petra tkwiła w bezruchu, niczego nie zapisując. Czekala, aż Ramsey coś doda, lecz nie przerwał milczenia, opuścił tylko głowę. Zgarbił ramiona i osunął się na siedzeniu w klasycznej pozie rozpaczającego męża. Podbródek podparł dłonią. Myśliciel!

- Estrella Flores lubiła Lisę - podsunęła w końcu - lecz nie odeszła wraz z nią, gdy pana żona się wyprowadziła.

- Nie - odparł Ramsey, podnosząc wzrok. - A właściwie dlaczego Estrella jest taka ważna?

- Wcale nie jest, proszę pana. Po prostu zbieram dane na temat Lisy, na temat jej osobowości... Czy coś powstrzymało Estrellę przed odejściem z nią? Czy dla pańskiej eks-żony trudno się pracowało?

- Wątpię - stwierdził Ramsey. - Prawdopodobnie Estrelli chodziło o pieniądze. Płaciłem jej więcej niż Lisa mogłaby jej dać. Ubezpieczenie, podatki, wszystko legalnie. Lisa miała małe mieszkanie i nie potrzebowała tak kosztownej służącej.

Najwyraźniej więc nerwowość pani Flores w dzień po morderstwie nie wiązała się z problemami imigracyjnymi. A teraz odeszła... Ramsey rozsiadł się wygodniej.

- Nie, Lisa nie była osobą trudną we współżyciu. Była inteligentna, pełna energii, miała wspaniałe poczucie humoru. Czasami bywała trochę... ostra dla niektórych, ale nie, nie

nazwałbym jej trudną we współżyciu.

- Ostra?

- Sarkastyczna.

Dokładnie tak samo oceniła ją Kelly Sposito.

- Nie była złośliwa - rzucił Ramsey. - Tylko trochę... no ostra. Hmm. Po części wynikało to z jej poczucia humoru... Opowiadała dowcipy lepiej niż wszystkie inne kobiety, jakie kiedykolwiek...

Przerwał i oparł ciężko ręce na kolanach.

- Boję się, że zabrzmi to na męski szowinizm, jednak naprawdę niewiele znam kobiet, którym sprawia przyjemność opowiadanie dowcipów. Pomijając oczywiście kobiety w rodzaju Phyllis Dillers czy Carol Burnetts, które robią to zawodowo.

- Więc Lisa lubiła opowiadać dowcipy.

- Kiedy była w dobrym nastroju... Rany, wciąż nie domyślacie się, kto ją zabił?

- Jeszcze nie, panie Ramsey. Jesteśmy otwarci na wszelkie sugestie.

- Dla mnie cała ta sprawa nie trzyma się kupy. Lisa, która umawia się z jakimś szaleńcem i idzie z nim do Griffith Park? Szczególnie że preferowała starszych mężczyzn... w typie konserwatywnym, a nie... wariatów.

- Po waszym rozwodzie preferowała starszych mężczyzn?

- Skąd mogę wiedzieć - obruszył się. - Ale słyszałem, że zanim zaczęliśmy się spotykać, miała dwóch starszych facetów. Jeszcze w Cleveland. Dentystę i dyrektora szkoły średniej.

- Dużo byli od niej starsi?

- Byli starzy. Starsi ode mnie - dodał z uśmiechem. - Zaczęła się ze mną umawiać, chociaż byłem dla niej zbyt młody. W owym czasie miała dwadzieścia cztery lata, ja zaś czterdzieści siedem.

Więc teraz miał pięćdziesiąt.

- Zna pan nazwiska tamtych dwóch mężczyzn?

- Szczerze mówiąc, nie zdołam sobie przypomnieć... Dyrektor miał na imię Pete, nazwiska chyba nawet nie znałem, a dentysta miał na imię Hal. Tak mi się wydaje. A może Hank.

Spotykała się z Pete'em tuż przede mną, zerwała z nim w dzień parady, na której ją poznałem. Była Miss Ohio. Wspominałem pani o tym, prawda?

Petra skinęła głową.

- Starzeję się. - Puknął się w głowę. - Jest tylko jedna korzyść z choroby Alzheimera - codziennie poznajesz nowych ludzi.

Myśląc o swoim odchodzącym w mrok ojcu, Petra zmusiła się do uśmiechu. Ojciec zachorował w wieku lat sześćdziesięciu; lekarze mówili, że to bardzo wcześnie... Choroba czyniła straszliwie szybkie postępy i Kenneth Connor odszedł, mając sześćdziesiąt trzy lata...

- Wszystko w porządku? - spytał Ramsey.

- Słucham?

- Przez sekundę bałem się, że wytrąciłem panią z równowagi. Chodzi o ten dowcip z Alzheimerem? Lisa mi go opowiadała. Należał do jej ulubionych... Jeśli wydał się pani niesmaczny, przepraszam...

- Nie, wcale nie o to chodzi, panie Ramsey - odrzekła przerażona, - Cóż takiego dostrzegł na jej twarzy? - Więc Lisa lubiła dowcipy?

- Tak... Orientuje się pani, kiedy odbędzie się pogrzeb?

- Wszystko zależy od koronera. I zapewne od decyzji rodziców Lisy.

- Przyjeżdżają do Los Angeles?

- Nie wiem.

- Tak przy okazji, w końcu sam do nich zadzwoniłem. Uważałem, że ja powinienem ich zawiadomić, nie zaś ktoś... obcy. Trafiłem niestety na automatyczną sekretarkę.

- Dotarłam do doktora Boehlingera, panie Ramsey.

Zmarszczył brwi.

- Jack... Serdecznie mnie nienawidzi. Zawsze tak było. Pewnie pani powiedział, że byłem okropnym mężem i trzeba mnie przesłuchać jako podejrzanego.

Wyrzuty sumienia? Zdradzi się z czymś. Petra milczała i czekała.

- To trudny facet, ale nie można powiedzieć żeby był zły - ciągnął Ramsey. - Lisa wychodząc za mnie, naprawdę go zdenerwowała. - Dotknął wąsika, potarł palcem jego środek, potem pogłaskał lewą stronę, prawą, wreszcie znowu środek.

- Nie pochwałał wyboru córki - podpowiedziała Petra.

- Oszalał ze wściekłości. Nie przyszedł na ślub... Ceremonia była cywilna i bardzo skromna w ich *country clubie* - Jacka i Vivian. Vivian przyszła. I brat Lisy, John... nazywany też Jackiem juniorem. Pracuje w Mobil Oil w Arabii Saudyjskiej, lecz przyjechał. Jack senior nie raczył nas zaszczyścić swoją obecnością. Zadzwoił do mnie na tydzień przed ślubem i próbował mnie odwieść od mojej decyzji. Powiedział, że kradnę Lisie młodość, że zasłużyła sobie na coś lepszego - na dzieci, rodzinę, na kogoś młodszego.

- Nie chciał pan dzieci?

- Nie mam nic przeciwko dzieciom. To Lisa nie chciała. Oczywiście nie powiedziałem mu tego. Lisa wyjaśniła mi wszystko na samym początku. Nie była domatorką, nigdy nie

spotkałem dziewczyny, która mniej lubiła siedzenie w domu... Jednak Jack uważał ją za urodzoną gospodynię domową. Jest bardzo apodyktycznym facetem. Chirurg, przywykły do wydawania poleceń. Był twardy dla Lisy, kiedy dorastała.

- W jaki sposób?

- Był perfekcjonistą i stawiał jej wysokie wymagania. Lisa miała dostawać same piątki, chodzić na wszystkie zajęcia nadobowiązkowe, brylować we wszystkich przedmiotach. Powiedziała mi, że gdy miała dwanaście lat, Jack kupił jej konia. Musiała się nauczyć jeździć i skakać, a następnie startować w zawodach. Czy chciała, czy nie. Parady natomiast to pomysł Vivian.

- Była pod ciągłą presją.

- Tak, ciosy spadały ze wszystkich stron. Lisa nazywała ten okres piekłem. Pewnie dlatego wyszła za mnie.

- Co ma pan na myśli?

- Kiedy byliśmy razem, mogła robić, co chciała. Czasami... - Zamachał ręką.

- Czasami co, proszę pana?

Ramsey usiadł sztywno wyprostowany.

- Czasami sędzę, że byłem zbyt opanowany, toteż mogła myśleć, że mi na niej nie zależy. Nie chcę pani pouczać, na pewno świetnie pani potrafi wykonywać swoją pracę, detektyw Connor, ale nie sędzę, żeby ważna była, hmm... biografia. Lisę zamordował jakiś maniak, a my spędzamy czas rozmawiając o jej dzieciństwie.

Temat, który sam zaczął.

- Nie zawsze od razu wiadomo, jakie szczegóły mają znaczenie dla sprawy, panie Ramsey.

- No cóż - odparł - po prostu nie widzę sensu.

Petra naszkicowała owal w swoim notesie i umieściła poziomą linię dwie trzecie drogi w dół. Kilka kresek ołówkiem i na rysunku powstał wypielęgnowany wąż jej rozmówcy. Wyrysowała jego błękitne oczy, nachylając nieco kąci, by mężczyzna wyglądał smutno.

- Czy doktor Boehlinger nienawidzi pana jeszcze z jakiegoś powodu? Poza tym, że był pan zbyt stary dla Lisy?

- Nie wiem - odrzekł. - Między mną i teściem nigdy nie doszło do żadnych niesnasek, więc naprawdę nie wiem.

- Żadnych niesnasek?

- Żadnych... Dlaczego?

- Doktor Boehlinger wspomniał o pewnej sprawie. O pewnym incydencie...

- A tak - przerwał ostro Ramsey i Petra dostrzegła coś jeszcze w jego oczach. Ostrożność. Zatwardziałość. - Wiedziałem, że w końcu dojdziemy do tego tematu. Wie pani, dlaczego Lisa wystąpiła publicznie? Oprócz tego, że chciała mnie zranić?

- Dlaczego?

- Dla pieniędzy.

- Telewizja jej zapłaciła?

- Piętnaście tysięcy. Nazwała to dodatkowym zadośćuczynieniem.

- Musiała być na pana mocno wściekła.

- Gorzej... Lisa ma temperament Jacka.

Ponownie użył czasu teraźniejszego. Najwyraźniej w jakimś sensie nadal dla niego żyła.

- Proszę mi opowiedzieć o incydencie, panie Ramsey.

- Nie ogląda pani telewizji?

- Chciałabym wiedzieć, co zdarzyło się naprawdę.

Wysunął dolną szczękę i mlasnął.

- Cóż mogę powiedzieć? Ta sprawa jest paskudna, obrzydliwa, niewybaczalna... Ciągle przyprowadza mnie o mdłości. Wyszliśmy na kolację, wróciliśmy do domu, pokłóciliśmy się... Nie pamiętam nawet o co.

„Założę się, że pamiętasz, draniu” - pomyślała Petra.

- Zdenerwowałem się, Lisa zaczęła mnie odpychać, potem bić. Pięścią. Nie pierwszy zresztą raz. Wiele razy to znosiłem, wiedziałem przecież, że jest ode mnie mniejsza i słabsza. Tym razem nie wytrzymałem. Nie mam usprawiedliwienia. Co mogę powiedzieć? Straciłem panowanie nad sobą i tyle.

Popatrzył na swoją pięść, jakby nie mógł uwierzyć, że uderzył nią swoją eks-żonę.

Petra przypomniała sobie migawkę z programu telewizyjnego. Sine oko Lisy i rozcięta wargę.

- Zdarzyło się to tylko raz?

- Tak - przyznał. - Jeden jedyny raz. Naprawdę. - Potrząsnął głową. - Na jeden głupi moment przestałem się kontrolować i to wszystko.

Świetny opis morderstwa!

- Czułem się okropnie i obrzydliwie, gdy zobaczyłem ją leżącą na podłodze. Próbowałem pomóc jej wstać, lecz tylko na mnie nakrzyczała, żebym jej nie dotykał. Przyniosłem jej worek z lodem, ale nie chciała mieć ze mną nic wspólnego. Więc poszedłem nad staw, a kiedy wróciłem, jej samochód zniknął. Nie wracała przez cztery dni. W tym czasie poszła do „Historii domowych”. Nigdy mi o tym nie powiedziała. Wróciła i zachowywała się Jak gdyby

nic się nie stało. Potem, w kilka dni później, jedliśmy kolację. Nagle włączyła telewizor i uśmiechnęła się. Gdy zobaczyłem na ekranie siebie i ją w gorącej kąpieli, wtedy Lisa oświadczyła: „Zniewaga jako rekompensata cielesnych obrażeń, Cart. Nigdy więcej nie podnoś na mnie cholernej łapy”.

Ramsey ponownie wpatrzył się w swoją pięść, po czym otworzył dłoń.

- Nigdy więcej już jej nie uderzyłem... Idę po jakiś napój. Na pewno niczego się pani nie napije?

- Nie, dziękuję.

Wyszedł na kilka minut, wrócił z puszką diet sprite'a. Otworzył puszkę, usiadł prosto i pił.

- Wspomniał pan o pójściu nad staw - powiedziała Petra. - Nie pamiętam, żeby widziała staw na tyłach.

- Byliśmy wtedy w naszym drugim domu. - Użył określenia „nasz”, nie „mój”. Kolejna wskazówka, że nie zerwał wszystkich więzów z przeszłością. Czasami mordercy zmieniają Opcję w trakcie wypowiedzi. Zaczynają od „my”, potem mówią „ona i ja”. Ramsey nie robił tego. Petra czytała kiedyś raport FBI, z którego wynikało, że analiza języka przestępcy daje spore podstawy do psychologicznej interpretacji. Nie do końca w to wierzyła, lecz była otwarta na tego typu nowinki.

Ramsey napił się sprite'a i popatrzył na nią ze szczerym smutkiem.

- Państwa drugi dom? - powtórzyła Petra.

- Mamy daczę w Montecito. Właściwie dom, większy nawet niż ten. Szalony pomysł, trudno utrzymać to miejsce w czystości. Obok domu jest mały staw, nad którym niegdyś spacerowałem, gdy chciałem odzyskać spokój ducha.

- Niegdyś?

- Już tam nie jeżdżę. Tak to jest, gdy się ma dwa domy. Moi znajomi podobnie zaniedbują te drugie.

- Stoją nieużywane?

Pokiwał głową.

- Człowiek szuka kryjówek, a okazuje się, że tylko dorzucił sobie obowiązków. Przede wszystkim tamten dom jest, cholera, zbyt duży. Zresztą, zauważyła pani zapewne, że ten również...

- Więc już pan tam nie jeździ.

- Ostatni raz byłem chyba... - Popatrzył na sufit... - No jakieś kilka miesięcy temu.

Wykonał nagły ruch, poderwał głowę i pochylił się do przodu. Spojrzał Petrze w oczy.

Jego były wilgotne. Wytarł je szybko.

- Ostatnio byłem tam z Lisą - powiedział - to było właśnie wtedy. Nigdy już tam nie wróciliśmy. Kilka dni po emisji programu Lisa wyprowadziła się na dobre, a później dostałem papiery... Sądziłem, że wszystko się skończyło.

Petra zatrzymała dla siebie zjadliwą uwagę, lecz zanotowała sobie w myślach, że epizod małżeńskiej przemocy miał miejsce w Montecito. Trzeba zadzwonić do Rona Banksa i zaoszczędzić mu dalszych poszukiwań.

Ramsey znowu podparł dłońią podbródek.

- Okej - powiedziała. - Bardzo mi pan pomógł. Teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko, porozmawiamy o nocy, gdy została zamordowana Lisa.

Rozdział 27

Mildred Board lubiła szorować kuchenną podłogę.

Kilka lat temu wycierała ją codziennie. Obowiązek zajmował godzinę. Po łokcie w mydlanej wodzie. Od szóstej rano do siódmej. Doskonały czas na myślenie, nie rozpraszające skupienia smarowanie albo okrężne ruchy bawełnianej szmaty na żółtym linoleum.

Jednakże odkąd cierpiała na artretyzm, przy schylaniu się i wycieraniu bardzo bolały ją stawy. Zajęcie stało się nie do zniesienia i Mildred czuła satysfakcję, jeśli udawało jej się wyszorować podłogę choć raz w tygodniu.

Parkiet w jadalni również wymagał naprawy. W niektórych miejscach drewno było spłowiałe, wypaczone i popękane, już dawno temu powinno się je odnowić.

Widoczny był każdy centymetr drewna, jadalnia była bowiem pusta, gdyż wszystkie meble pani wróciły do ludzi z Sotheby w Nowym Jorku.

Mildred poczuła nieprzyjemny ucisk na skroniach. Wciągnęła powietrze, wyprostowała grzbiet i powiedziała głośno:

- Człowiek się stara, jak może.

Wygłosiła to zdanie mocnym głosem. Głośno i pewnie. Nikt jej nie usłyszy. Pani przebywała na górze. Dwie kobiety rozdzielało wiele pokoi, wszystkie były puste i zamknięte.

Kuchnia ze starymi szafkami z drzewa czereśniowego, przemysłowymi lodówkami i trzema piecami była duża jak w hotelu. Rondelki, patelnie i sztuce pozostały, podobnie jak

ulubiony porcelanowy zestaw pani i kilka sentymentalnych fragmentów srebrnej zastawy w głównej spiżarni. I wspaniała prasa do bielizny, o której ludzie od Sotheby'ego powiedzieli: „Nie da się jej sprzedać”. Jednak śliczne przedmioty - skarby, które pani i on nabyli w Europie... wszystkie zniknęły. Przyniosły niezłą sumkę, tak, tak, nawet mimo prowizji domu aukcyjnego i podatków. Mildred widziała czek, wiedziała więc, że wszystko będzie dobrze. Na jakiś czas.

Nigdy nie dyskutowała z panią o... sytuacji finansowej. Pani nadal jej płaciła, nalegając na pełną pensję, chociaż między Bogiem a prawdą, Mildred już na nią nie zasługiwała... Jakież był z niej pożytek w jej obecnym stanie?

„Te myśli są destrukcyjne. Wygnać je, wygnać”.

Zauważyła plamę od wody na szafce pod zlewem, znalazła szmatę i wytarła miejsce do czysta.

Kiedyś, w dawnych czasach, w kuchni panował ciągle gwar. Pani i on stale przyjmowali gości, dostawcy kręcili się po domu, kelnerzy biegali, garnki parowały, blaty z nierdzewnej stali zastawiano tacami pełnymi smakołyków i słodyczy. Wszyscy uwielbiali słodkie placki Mildred. Niezależnie od zatrudnianych dostawców, pani zawsze tęskniła za plackami Mildred. Najbardziej lubiła śliwkowe, z jabłkami dorset i jagodowe. On je również lubił. Tak jak... wszyscy.

Mildred gotowała i sprzątała w dużym domu przez czterdzieści jeden lat; zaczęła dwa lata po wprowadzeniu się jego i pani. Pracowała także w letnim domku w Lake Arrowhead, lecz weekendy nad jeziorem państwo (kiedy jeszcze żył on) spędzali zaledwie sporadycznie i często przed wyjazdem pani zatrudniała ekipę pracowników porządkowych, którzy przygotowywali dom - sprzątaali, czyścili, zdejmowali prezenty z mebli.

Letniego domu pani nie używała już od ponad dwudziestu lat. Od tamtego straszliwego weekendu.

Mildred westchnęła i przygładziła włosy. Czterdzieści jeden lat polerowania sreber, szorowania podłóg, mycia prawie stu okien, nawet szlifowanego szkła ołowiowego, które on zdobył w jakimś kościele we Włoszech. Och, pani co prawda zawsze wynajmowała jakąś pomocnicę, ale żadna nigdy nie zatrzymała się w domu na dłużej.

Przez pierwsze dziesięciolecie Mildred miała do pomocy Annę Joslyn, bladą, chudą Irlandkę. Była nieco roztargniona, niezbyt inteligentna, lecz pracowita i silna jak żrebna klacz. Potem pojawiła się duża, głośna dziewczyna z Danii z wulgarnie wielkim biustem. Ta pracowała kiepsko; jej zatrudnienie było ogromnym błędem!

Po Duncie agencja przysyłała pani same Meksykanki. Większość z nich okazała się

dobrymi pracownikami. Zazwyczaj też były uczciwe (Mildred stale je sprawdzała). Niektóre mówiły po angielsku, inne nie. Cóż, to ich problem. Mildred nie zamierzała się uczyć hiszpańskiego - angielski i francuski zupełnie jej wystarczały. Panna Hammock, jej wychowawczyni w sierocińcu, pozostawała nieprzejednana w kwestii tych dwóch języków, a jej absolwentki już od ośmiu dekad pracowały w najświetniejszych domach Wielkiej Brytanii i Europy.

Meksykanki nie były najgorsze, jednak rzadko która pozostawała długo w jednym miejscu. Zwykle dość szybko zabierały się z powrotem do Meksyku - przeważnie ściągały je jakieś rodzinne kłopoty i wracały do dzieci, mężów, kochanków i świąt katolickich, które koniecznie chciały spędzać w domu. Mildred wolałaby wierzące i wykształcone młode damy, prostolinijne angielskie dziewczyny, które potrafiły odróżnić „Royal Crown Derby” od „Chinese Export”. Nie do niej wszakże należała decyzja.

Wiedziała, w czym tkwi problem. Nie prowadzono już takich sierocińców jak za jej czasów - porzucone i niechciane dzieci trafiały do rodzin zastępczych lub kończyły na ulicy. Wystarczyło poczytać gazetę...

Stąd tyle Meksykanek. I dziewczyn innych narodowości.

Mildred miała obecnie siedemdziesiąt trzy lata i zastanawiała się, czy pożyje dostatecznie długo, by zobaczyć na własne oczy ostateczny upadek wszystkiego, co racjonalne i stosowne.

Sądziła, że nie umrze nagle. Dokuczał jej jedynie artretyzm, poza tym czuła się całkiem dobrze. Jednak... nigdy nie wiadomo. Weźmy na przykład panią. Taka piękna kobieta, Mildred nie spotkała bardziej eleganckiej po obu stronach oceanu. Pani nigdy nie przeklinała, była bardzo spokojna, choć Bóg jeden wie, że życie z jej mężem często wymagało ogromnej cierpliwości.

A teraz... Na myśl o pani Mildred poczuła w oczach łzy.

Zasyczał ekspres. W samą porę. Mildred nalała kawy dla pani do wiktoriańskiego dzbanka. Nie był zbyt piękny - prawdopodobnie stanowił prezent od któregoś z zaproszonych na kolację gości. Śliczny dzban od Hester Bateman zniknął. Styl Jerzego III, sztandarowy rocznik, ostemplowany odpowiednimi pieczętkami, prawdziwy klasyk. Przywiózł go on - zakupił go podczas wycieczki do Londynu w świetnym sklepie na Mount Street. Ktoś inny zapewne wstawiłby taki dzbanek do oszklonej gablotki, pani wszakże uważała, że ładnych przedmiotów należy używać na co dzień, toteż ten dzbanek zawsze towarzyszył jej przy śniadaniu.

Sprzedawała go cztery lata temu.

Mniej więcej w tamtym okresie kartony ze srebrami, obrazami, nawet wyjściowe suknie

odpłynęły statkiem jak... warzywa.

Gdy Mildred rozpoczęła pracę u pani, bała się dotykać jej skarbów, obawiała się, że któryś uszkodzi. Od samego początku zdawała sobie sprawę z wartości otaczających ją przedmiotów.

Pani, wtedy jeszcze bardzo młodziutka, lecz niezwykle mądra osoba, uspokoiła ją. „To jest dom, moja droga - oświadczyła - nie muzeum”.

Wspaniały dom, w którym Mildred z radością pracowała.

Poranne światło przebijało się przez gałęzie starego sękatego platanu na śniadaniowym patio, wdzierało się przez kuchenne okno i oświetlało wykrzywione artretyzmem ręce służącej.

Jej dłonie były równie zdeformowane jak to drzewo. Jednak platan co roku obsypywał się zielenią. Ach, gdybyż ludzie co roku się w ten sposób odradzali...

Mildred potrząsnęła głową i popatrzyła na podłogę, która wymagała już szorowania. Taka wielka przestrzeń. Takie ogromne pomieszczenie... Wspomniała ostatnią pomocnicę. Była całkiem użyteczna, tyle że... Jak miała na imię?... Rosa, Rosita. Pracowała w domu trzy miesiące, niestety większość czasu przesiadywała u jednego z chłopców ogrodnika, toteż Mildred ponownie musiała zadzwonić do agencji.

- Dzień dobry, panie Sanchez.

- Dzień dobry, pani Board. Co mogę dziś dla pani zrobić?

Cieszył się. Dlaczego nie miał się cieszyć? Przecież otrzymywał kolejne zlecenie.

Mildred zorganizowała trzy spotkania z dziewczynami i po trzecim pani powiedziała jej:

„Czy naprawdę potrzebujemy dodatkowej pomocnicy, Mildred? Jesteśmy tylko we dwie, korzystamy właściwie jedynie z kuchni i naszych pokojów”.

Pani starała się mówić wesołym tonem, lecz w rzeczywistości przełykała gorzkie łzy. Mildred rozumiała. Spakowała srebra, obrazy i suknie wieczorowe.

A zatem do tego doszło. Pani zносиła swego męża przez tyle lat; a on zostawił ją bez grosza.

Och, ten to miał temperament! Gniewne nastroje i napady złości bez wątpienia przyspieszyły jego śmierć. Wysokie ciśnienie krwi, wylew... A był jeszcze młodym mężczyzną. Opuścił panią, biedną gołąbeczkę.

Po jego śmierci Mildred sądziła, że pani jest zabezpieczona finansowo, że zmarłemu pod tym względem nie można było nic zarzucić.

Cztery lata temu przestała tak myśleć.

Pokoje zostały opróżnione i zamknięte.

Pani przestała zatrudniać meksykańskie pomocnice.

Ogrodnicy nie przychodzili już codziennie, lecz dwa razy w tygodniu, a po pewnym czasie raz. W końcu zjawiał się już tylko jeden chudy młodzieniec, który z coraz mniejszym powodzeniem opiekował się dwoma akrami zieleni. A ogrody są jak dzieci, potrzebują uważnego oka, aby nie popaść w zaniedbanie.

Ogród pani, kiedyś jej chwała i duma, stał się obecnie smutnym zarośniętym ugorem. Trawniki były nierówne, spalone słońcem i krzywo skoszone, nie poprzycinane żywopłoty wyglądały dziwacznie, z drzew zwieszały się martwe gałęzie, grządki kwiatowe porosły chwastami, staw z rybami wysechł.

Mildred starała się jak mogła, lecz chore ręce odmawiały jej posłuszeństwa.

Czy pani zdawała sobie z tego wszystkiego sprawę? Rzadko ostatnio wychodziła z domu. Może właśnie dlatego. Pewnie nie chciała oglądać zapuszczonego ogrodu.

A może nic ją już nie obchodziło. Może przyczyna nie tkwiła, wcale w... kwestiach finansowych.

Mildred musiała przyznać, że pani zmieniła się dawno temu.

Najpierw ten straszliwy weekend w Lake Arrowhead. Potem śmierć jej męża. Tragedia po tragedii. Pani nigdy się wprawdzie nie skarżyła. Może lepiej byłoby, gdyby...

Nagle rozdzwonił się niemiecki zegar, wiszący nad zamrażarką po lewej stronie. Kolejny przedmiot, którego nie chcieli przyjąć mówiący z nosowym akcentem ludzie od Sotheby'ego. Mildred ich zresztą za to nie winała, bo zegar był naprawdę okropny. I rażąco niedokładny. Dziewiąta godzina na jego tarczy oznaczała ósmą pięćdziesiąt trzy. Za siedem minut Mildred zastuka lekko do mahoniowych drzwi sypialni pani. Usłyszy: „Proszę, moja droga, wejdz”. Wchodząc, postawi tacę na komodzie, pomoże pani usiąść, gawędząc zachęcająco, poprawi kilka poduszek, przyniesie wiklinową tacę na łóżko, postawi ją uważnie na kołdrze pani i poda na niej śniadanie. Posrebrzany stojak na grzanki, wypełniony lekko przybrązowionymi trójkątami bardzo cienkiego pszennego chleba. Kawa: świeżo zmielona afrykańska mieszanka z małego sklepiku na Huntington Boulevard... Człowiek potrzebuje czasem trochę luksusu, na litość boską! Obecnie pani pijała bezkofeinową, ale z dużą ilością prawdziwej gęstej śmietanki. Jakże trudno było ją nabyć! Złota marmolada, którą Mildred ciągle gotowała sama na bazie czystego cukru trzcinowego i kilku cierpkich pomarańczy, znajdujących jeszcze w sadzie.

Drzewko z kwaśnymi pomarańczami umierało już, lecz zdołało jeszcze w tym roku wydać kilka wyśmienitych owoców. Jedyne zaletą Kalifornii były właśnie owoce. Mildred nadal uwielbiała spacerować po sadzie i zbierać je. Starała się nie dostrzegać, że ziemia jest

ubita i bryłowata, udawała, że zioła są zielone i świeże i że nie przygłuszają ich chwasty porastające rabaty.

Przypomniała sobie czasy spędzone w Anglii, gdy była młodziutką dziewczyną. W hrabstwie Yorkshire.

Nie dopuszczała do siebie myśli, że teraz w niektóre dni (prawie codziennie) było słychać warkot samochodów z autostrady do Pasadeny.

Owoce i pogoda. Dwie zalety Kalifornii. Mimo iż przeżyła większości swego życia w dzielnicy San Marino, Mildred uważała Kalifornię za miejsce barbarzyńskie.

A jakież paskudne rzeczy wypisywano w gazetach. Kiedy uznała, że wiadomości są zbyt wstrętne, nie przynosiła pani gazety do śniadania.

Zresztą pani nigdy nie prosiła o gazetę. Nie czytywała już zbyt dużo, z wyjątkiem tanich romansów i czasopism poświęconych sztuce.

Właściwie pani nigdy za dużo nie robiła.

Lekarze twierdzili, że jest zdrowa. Cóż jednak mogli wiedzieć lekarze? Pani miała dopiero sześćdziesiąt sześć lat, lecz przeżyła straszliwą tragedię.

Niemiecki zegar wskazywał 8:56 i Mildred pozostały tylko trzy minuty na to, by przemierzyć kuchnię, dotrzeć do skrzypiącej windy na jej tyłach i wjechać do sypialni pani na trzecim piętrze.

Wyjęła z wazonu jedną z trzech pięknych żółtych róż. Ucięła je o świcie z ciernistego krzewu w gatunku *grandiflora*, przycięła łodyżki i umieściła kwiaty w posłodzonej wodzie. Teraz położyła różę obok talerza z gotowanymi jajkami. Pani rzadko jadła jajka, ale Mildred czasem je podawała.

Podniosła tacę i ruszyła szybko, pewnym siebie krokiem.

Biorąc pod uwagę wszystkie fakty, kuchnia nie wyglądała wcale tak strasznie.

- Świetnie - powiedziała sama do siebie.

Rozdział 28

Wybiegam z parku i idę Los Feliz. W miarę możliwości trzymam się nieoświetlonych miejsc. Nikt tędy nie chodzi, jedynie samochody śmigają obok mnie. Los Feliz kończy się, zaczyna Zachodnia Aleja - siedziba ćpunów i prostytutek. Skręcam w prawo, w aleję Franklina, ponieważ jest tam ciemniej. Stoją tu same budynki mieszkalne. Nie chcę chodzić

po Bulwarze.

Dziś wieczorem nie ma na dworze zbyt wielu ludzi, ci zaś, których spotykam, wydają się mnie nie zauważać. Potem dostrzegam dwóch Meksykanów, kręcących się na rogu w cieniu starego ceglanego budynku. Prawdopodobnie handlarze narkotyków. Przechodzę przez ulicę. Spoglądają na mnie, lecz nie odzywają się. Przecznicę dalej z mieszkania wychodzi chuda prostytutka z szopą białych włosów. Ma na sobie jasnobłękitny podkoszulek i szorty, w ręku małą torebkę. Zauważa mnie, dziko błyska oczyma.

- Hej, chłopcze - bełkocze pijacko i kiwa na mnie palcem. Jest niska i młoda; wygląda na niewiele starszą ode mnie. - Pieprzenie i mineta za trzydzieści - mówi, a kiedy idę dalej, dodaje: - Wal się, pedale.

Przez następne kilka przecznic nie spotykam żadnych ludzi, później mijam kolejną prostytutkę, starszą i tłustszą; nie zwraca na mnie uwagi, tylko stoi na rogu paląc i obserwując samochody. Potem z cienia wychodzi trzech wysokich czarnych facetów w czapkach baseballowych i workowatych spodniach. Zauważają mnie, przez chwilę wpatrujemy się w siebie. Słyszę, że coś mówią, więc znowu przechodzę na drugą stronę ulicy. Staram się zachować spokój. Słyszę śmiech i kroki, więc obracam się. Jeden z nich rusza za mną w pogoń, prawic mnie dogania. Przyspieszam, zaczynam biec, on również. Ma długie nogi i wyciąga rękę, jakby chciał mnie chwycić. Przebiegam ulicę. Mało nie wpadam pod samochód, który musi zjechać na bok, aby mnie nie potrącić. Kierowca trąbi i wrzeszczy wściekle:

- Pieprzony idiota!

Ciągle biegnę, na szczęście czarnego już za mną nie ma.

Chyba słyszę w oddali czyjś śmiech. Pewnie facet po prostu zabawiał się ze mną. Gdybym miał broń...

Spaceruję przez długi czas. Na bulwarze Cahuenga jest jaśniej. Dostrzegam wjazd do Hollywood Bowl, długą krętą drogę pod górę. Omijam ją. Miejsce zbyt mi przypomina park; nie chcę mieć już nic wspólnego z parkami.

I kolejny: Wattles Park; dziwaczna nazwa. Nigdy go nie widziałem, nigdy nie dotarłem tak daleko. Park nie wygląda zbyt zachęcająco: wszędzie wokół wysokie płoty, zamknięte bramy i znaki ostrzegające, że teren należy do miasta i jest zamykany na noc. Wszyscy trzymajcie się z dala od niego! Za płotem dostrzegam jedynie rośliny. Wydaje mi się, że wewnątrz panuje brud i nieład. Prawdopodobnie pełno tam zбочeńców.

Aleja Franklina kończy się i znowu trafiam na Hollywood Boulevard. Nie sposób od niego uciec, stale mnie dopada, hałaśliwy i jaskrawo oświetlony. Są tu stacje benzynowe,

mnóstwo samochodów, autobusów, budek z przekąskami i tłumy najgorszych na świecie ludzi (niektórzy mierzą mnie wzrokiem zgłodniałego wilka). Przekraczam La Brea, na powrót otacza mnie cisza. Podziwiam budynki z apartamentami, wiele domów jest naprawdę ładnych. Bulwar zawsze kojarzył mi się wyłącznie ze sklepami, teatrami i dziwolągami, ale teraz patrzę na budynki i myślę o ludziach, którzy mieszkają w tak przyjemnych miejscach.

Może powinienem był przyjść tu wcześniej.

Rozcięcie na ramieniu zaschło już i nie boli za bardzo, za to rany na twarzy swędzą.

Oddycha mi się dobrze, chociaż nadal czuję ból w piersi. Jestem głodny, lecz za trzy dolary nie kupię zbyt dużo, więc rozglądam się za śmietnikami, które mógłbym przeszukać. Nie znajduję niczego. Nawet małego pojemnika na śmieci.

Idę trochę dalej i skręcam w jakąś spokojną uliczkę. Wokół mnie same domy mieszkalne; sympatyczna, ciemna ulica. Niestety, tutaj również nie ma śmietników ani bocznych alejek. Samochody stoją tak ciasno zaparkowane, że niemal stykają się zderzakami. Przed sobą widzę bardziej jaskrawe światła i słyszę hałas - kolejny bulwar. Zatrzymuję się i rozglądam. Niektóre z domów wyglądają na zadbane, inne są brudne; samochody parkują na trawnikach.

Dochodzę do domu, przed którym nie ma samochodu - ani na podjeździe, ani na trawniku. W żadnym oknie nie palą się światła. Budynek wygląda na stary, wykonany jest z ciemnego drewna, ma spadzisty dach, który opada nad bardzo szerokim gankiem. Nie ma płotu, nawet przed wjazdem. Jednak trawa jest przycięta, więc w domu ktoś musi mieszkać. Przychodzi mi do głowy, że może na tyłach znajdę kontenery ze śmieciami.

Drogę dojazdową stanowi cementowy pas, porośły na środku kępami trawy. Nie dostrzegam jego końca. Sprawdzam wokół siebie, czy nikt mnie nie obserwuje i ruszam drogą. Gdy mijam frontowy ganek, dostrzegam przed drzwiami wielki stos korespondencji. We wszystkich oknach jest ciemno. Prawdopodobnie lokatorzy wyjechali na dłuższy czas.

Nie ma napisu „ZŁY PIES”, z wnętrza domu nie dochodzą również odgłosy szczekania.

Nadal idę i w końcu zauważam koniec drogi dojazdowej. Jest tu garaż z drewnianymi drzwiami. Podwórze wydaje się małe jak na taki duży dom, porośłe trawą i kilkoma drzewami - jedno z nich jest gigantyczne, lecz nie ma na nim owoców.

Za garażem stoją trzy pojemniki: dwa metalowe, jeden plastikowy. Puste. Może mieszkańcy domu już się stąd wyprowadzili.

Odwracam się i kieruję z powrotem na ulicę. Nagle zauważam pomarańczowy punkcik nad tylnymi drzwiami. Mała żarówka, tak słaba, że oświetla zaledwie górną połowę drzwi. Drzwi są wykonane z siatki; za siatką widzę szybę. Siatkę utrzymują w miejscu dwie pętelki z haczykami. Pociągam za nie i drzwi się otwierają.

Za siatką znajduje się nie jedna szyba, lecz układ kwadratowych okienek w drewnianej ramie. Jest ich dziewięć. Dotykam delikatnie jednego z nich. Trzęsie się lekko, lecz nic się nie dzieje. Pcham mocniej, stukam kilka razy. Ciągle nic. Stukam w drewno drzwi. Cisza.

Zdejmuję podkoszulek, owijam go wokół ręki i dość silnie uderzam pięścią w niższy kwadrat po lewej stronie. Tkwi mocno. Walę po raz drugi, szybka poluznia się, wpada do wnętrza i rozbija się.

Rozlega się straszny hałas.

Nikt nie reaguje.

Sięgam do środka, macam i znajduję gałkę. Na jej środku znajduje się guzik, a kiedy obracam gałkę, guzik wyskakuje z cyknięciem i drzwi się otwierają.

Nakładam podkoszulek i wchodzę do środka. Mija parę sekund, zanim moje oczy przyzwyczajają się do ciemności. Pomieszczenie okazuje się pralnią z pralko-suszarką, dużym pudełkiem proszku i kilkoma małymi ręcznikami. Obok jest kuchnia, która pachnie środkiem przeciwko insektom. Na kontuarach stoi mnóstwo roślin w doniczkach. Otwieram lodówkę, w środku zapala się żarówka. Mimo iż wewnątrz znajduję jedzenie, zamykam szybko drzwiczki, ponieważ to światło mnie przeraża. Na drzwiach zauważam naklejkę z hipisowską pacyfką i drugą z napisem: „JESTEŚMY SIOSTRAMI. TYLKO TO SIĘ LICZY”.

Serce bije mi strasznie szybko. Strach, który odczuwam w tej chwili jest jednak zupełnie innego rodzaju niż wtedy w parku; buszowanie po obcym domu nawet mnie podnieca.

Chodzę po ciemnych pomieszczeniach, zwiedzam je, wszędzie wokół siebie dostrzegam jedynie meble. Wracam do kuchni. Za zamkniętymi drzwiami znajduje się łazienka. Nawet na półeczce za klozetem stoi sporo roślin. Włączam światło i błyskawicznie wyłączam. Odchrząkuję nerwowo. Nic się nie dzieje.

Dom jest pusty.

Czuję się nawet zabawnie.

Wracam do kuchni. Na oknie nad zlewem wiszą firanki z wzorkiem w kwiaty o zwisających pąkach. „Siostry”. W tym budynku z pewnością mieszkają kobiety; mężczyźni nie pielęgnowaliby roślin.

Okej, znowu podchodzę do lodówki. Na górnej półce stoją dwie puszkę korzennego piwa Barq i półlitrowy plastikowy karton z resztką soku pomarańczowego na dnie. Zostały trzy łyki. Sok smakuje gorzko. Pakuję puszkę z piwem korzennym do kieszeni. Dostrzegam pudełko margaryny mazda i kostkę śmietankowego sera philadelphia. Otwieram serek; jest pokryty błękitno-zieloną pleśnią. Margaryna wygląda na dobrą, ale nie bardzo wiem do czego

jej użyć.

Poniżej leży kubeczek jogurtu truskawkowego i trzy plasterki amerykańskiego sera, sztywne i zakręcone na krawędziach. Nie widzę pleśni, więc zjadam wszystkie trzy.

Lokatorki wyraźnie wyjechały na kilka dni.

Na najniższej półce zauważam zamkniętą paczkę niskotłuszczowej wędzonej kiełbasy - wkładam ją do kieszeni obok piwa - i cały ananas, z zielonymi liśćmi; owoc w kilku miejscach jest rozmiękły.

Zostawiając drzwi lodówki otwarte (ze względu na światło), zabieram ananasa, kładę na ladzie i otwieram szuflady, w poszukiwaniu widelca i noża. W trzech szuflach znajduję wsuwki i opaski na włosy.

Wyjmuję największy nóż i przekrawam ananasa na połowę. Miąższ jest gęsto usiany miękkimi brązowymi plamami, rozprzestrzeniają się po nim niczym choroba. Odcinam je - nóż jest bardzo ostry - i znajduję parę smacznych kawałków: dojrzały, wyborny, superśłodki ananas.

Owoc wzmacnia mój głód, otwieram kiełbasę i w końcu zjadam ją całą, do ostatniego kęsa. Potem znowu kawałek ananasa. Sok spływa mi po brodzie i koszuli. Szczypią mnie zadrapania na twarzy.

Popijam korzennym piwem.

Tak się najadłem, że zaczął mnie boleć żołądek.

Wchodzę do łazienki tuż obok kuchni, sikam, myję ręce i twarz. Nagle zauważam prysznic. Na półce leży mydło, szampon, odżywka i płyn do układania włosów.

Puszczam gorącą wodę. Dodaję trochę zimnej, temperatura jest idealna. Odkręcam kurki prawie maksymalnie. Zamykam drzwi, zdejmuję ubranie i wchodzę pod prysznic. Woda niemal boleśnie kłuje mnie drobnymi igielkami, ale czuję się znakomicie.

Biorę najdłuższy prysznic w życiu - przed łazienką nie czeka mama, by zająć ją na pół dnia, robiąc się na bóstwo dla Barana-Morana; Baran też nie będzie przez godzinę się załatwiał.

Ciągle się namydlam i spłukuję naprzemian. Myję się dokładnie i wszędzie - włosy, pod paznokciami, w nozdrzach, między pośladkami. Chcę pozbyć się z siebie najmniejszej nawet drobinki brudu.

Potem szoruję się z przodu, pod jądrami.

Mam wzwód.

Sprawia mi przyjemność.

*

Siedzę w łazience i schnę. Uwielbiam być czystym i bezpiecznym. Błądzą w wyobraźni po odległych miejscach... Widzę ogromne góry - purpurowy majestat, jak w piosence - srebrny ocean, o surferów, narty wodne, dziewczyny w bikini tańczące taniec hula, delfiny, Jacques'a Cousteau, niebieskie i żółte wodorosty, morenowe węgorze i wielkie głowonogi.

Nagle słyszę dziwny dźwięk i przez minutę zdaje mi się, że naprawdę trafiłem do własnego filmu o tropikalnej wyspie, że stworzyłem nawet ścieżkę dźwiękową. Później głosy stają się coraz bardziej donośne i wrywają mnie z zadumy.

Kobiece głosy. Wtem łomot - ktoś stawia coś ciężkiego.

Światło pod drzwiami. Z kuchni.

Krzyk.

Prawdziwy.

Rozdział 29

- Muszę coś przekąsić - oświadczył nagle Ramsey. - Pozwoli pani, że przejdziemy do kuchni?

Zgłodniał ze zdenerwowania?

- Ależ proszę się nie krępować moją obecnością - odparła Petra.

Dobra okazja, by zwiedzić kawałek domu.

Podążyła za nim; włączył światło, oświetlając kiczowate obrazy i toporne meble. Kuchnia specjalnie nie zaskoczyła Petry: powierzchnia futbolowego boiska, ściany z imitacji surowej cegły, rustykalne belkowe sufity, białe euroszaflki, kontuury z szarego marmuru, chromowane wykończenia, na jednej z belek miedziany stelaż wypełniony kuchennymi nożami - arsenałem śmiercionośnej broni. W kuchni na kontuarach stało mnóstwo sprzętu do przyrządzenia posiłku: robotów kuchennych, tosterów, mikrofalówek. Ciepłarniane okno wychodziło na ścianę ze stiuku. Tu znajdowała się wschodnia granica domu. I boczne drzwi.

Przez środek kuchni ciągnął się długi, wąski drewniany stół z sosny, pokiereszowany i spolerowany na satynowy mat; połysk zachował się jedynie we wgnieceniach i rysach. Prawdopodobnie stół był autentycznym antykiem z francuskiej wsi. Petrze skojarzył się z klasztorem. Ładny. Jednak osiem krzeseł stojących wokół niego - z chromowanymi okuciami w stylu Breuera i pasami niewyprawionej skóry - tak bardzo nie pasowało do nastroju całości,

że policjantka miała ochotę głośno zaprotestować. Ciekawe, czy ten eklektyzm był pomysłem Ramseya czy Lisy?

Gospodarz otworzył lodówkę po lewej stronie. Była świetnie zaopatrzona. Mężczyzna sprawiał wrażenie domatora. Wyjął kolejnego diet sprite'a i karton serka wiejskiego ze szczypiorkiem.

- Proszę mi wybaczyć - przeprosił, trzymając łyżeczkę w dłoni. - Na pewno nie mogę pani niczym poczęstować? Może jednak się pani czegoś napije?

- Nie, dziękuję.

Usiadł na szczycie sosnowego stołu, Petra zaś zajęła boczne krzesło.

- Pewnie się, pani dziwi, że tam niespodziewanie ogarnął mnie głód - stwierdził, wkładając łyżeczkę do sera. - Nie jadłem nic przez cały dzień i czuję, że brakuje mi cukru we krwi.

- Hipoglikemia?

- W mojej rodzinie często zdarza się cukrzyca, więc staram się uważać. - Zaczął jeść twarożek; co jakiś czas wycierał białe plamki z wąsa. Nie starał się dobrze przed nią wypaść. Czyżby myliła się co do próby podrywu. A może po prostu zrezygnował. Obserwowała Ramseya. Wziął łyk napoju, potem dwie łyżeczki wiejskiego sera, gdy jego uwagę przyciągnął ruch Petry, która wyjęła notes.

- Okej, tamta noc - zaczął. - Mówiłem pani, że byłem nad Jeziorem Tahoe, prawda? Za pierwszym razem, gdy tu byliście.

Pokiwała głową.

- Szukaliśmy plenerów na następny sezon - ciągnął. - Dostaliśmy scenariusz z jakimś epizodem w kasynie i lustrowaliśmy miejsca, gdzie moglibyśmy go nakręcić. Zdjęcia rozpoczną się za mniej więcej miesiąc.

- Kto był z panem na tym wypadzie?

- Greg i nasz specjalista od lokalizacji, Scott Merkin. Obejrzeliśmy kilka nieruchomości nad jeziorem, odwiedziliśmy parę kasyn, zjedliśmy kolację u Harrah i poleciliśmy do domu.

- Kurs liniowy?

Odłożył łyżeczkę, wypił więcej sprite'a.

- No tak, przechodzimy teraz do szczegółów. Zatem jestem podejrzany?

W jego głosie nie dosłyszała zaskoczenia. Miała wrażenie, że chciał dodać słówko „wreszcie”.

- To czysta formalność, panie Ramsey.

Uśmiechnął się.

- Jasne, że tak. W moim programie mówiłem dokładnie to samo setki razy do podejrzanych. „Czysta formalność” oznacza, że Dack Price ściga faceta.

Petra odwzajemniła uśmiech.

- W realnym świecie formalność to formalność, a procedura to procedura, panie Ramsey. Jednak nie jest to najlepsza pora na tego typu rozmowy...

- Tak, tak, świetnie. - Utkwił jasne oczy w oczach Petry. Zjadł trochę sera, podniósł do ust puszkę sprite'a, zauważył, że jest pusta i poszedł po następną. - To chyba ma sens... fakt, że jestem podejrzany. Z powodu tamtego... incydentu. Podobnie sugerowano w wiadomościach.

Spojrzał na nią.

No cóż, miała do czynienia z aktorem.

- Przez tą sprawę - odezwał się - ludzie mają o mnie fatalne zdanie. Szczególnie po wiadomościach... Nie, nie - wrócił do tematu - nie był to lot liniowy, wybraliśmy prywatny czarter, zawsze tak postępujemy. Linia Westward Charter, nasz stały partner. Mamy swojego pilota. Wtedy również z nami leciał. Nazywa się Ed Marionfeldt. Lubię go, ponieważ był kiedyś pilotem myśliwca i lata jak ci z *Top Gun*. Wylecieliśmy z Burbank, wszystkie dane zanotowano w dzienniku „Westward”. Wyruszyliśmy około ósmej rano, wróciliśmy mniej więcej o dwudziestą trzydzieści. Scott pojechał do domu, a Greg przywiózł mnie tutaj. Zwykle on prowadzi, kiedy robi się późno, gdyż w nocy nie widzę najlepiej.

- Ma pan kłopoty z oczami?

Ramsey ponownie wytarł wąsy, choć tym razem nie było na nich sera.

- Wczesne stadium katarakty. Mój okulista chce mnie operować laserem, ciągle jednak odkładam decyzję.

Czyżby sugerował Petrze, że nie mógłby zawieźć Lisy do parku w środku nocy?

- Więc pewnie nie wychodzi pan zbyt często wieczorami?

- Wychodzę, oczywiście, że wychodzę. Nie jest tak źle... Po prostu światło mnie oślepia. -

Uśmiechnął się. - Policjanci jakoś nie dają mi mandatów, rozumie ich pani, prawda?

Petra posłała mu uśmiech.

- Rozumiem.

Mężczyzna wbił łyżeczkę w serek, popatrzył na Petrę i zamarł. Zauważyła, że drżą mu usta. Dostrzegła plamki za uszami i szereg prostych linii - zapewne pooperacyjne blizny. Z ucha wyrastały siwe włosy. W jasnym świetle kuchni widać było dokładnie każdą zmarszczkę i żyłkę.

Najwyraźniej Ramsey zaczął zawodzić własne ciało. Miał problemy z cukrem we krwi.

Z oczyma...

Z penisem...

Chciał, żeby Petra się nad nim litowała? Liczył na jej kobiecą wrażliwość, której nie oferowała mu sarkastyczna Lisa?

- Zatem Greg zawiózł pana do domu - podsunęła.

- Dotarliśmy tu jakiś kwadrans czy dwa po dwudziestej pierwszej. Załatwiliśmy trochę roboty papierkowej, a potem... zasnąłem. Następnego ranka Greg wstał przede mną i pracował, aż do czasu, gdy poszedłem na salę gimnastyczną... Mam własną. Poćwiczyłem trochę, wziąłem prysznic, zjedliśmy we dwóch śniadanie, zdecydowałem się pograć w golfa, więc pojechałem do klubu na osiemnaście dołków. Agoura Oaks Country Club. Gdy wróciłem, pojawiliście się wy.

„Przepraszam, że zepsułam panu dzień, Herbercie” - pomyślała z ironią.

- W porządku - powiedziała Petra. - Przypomina pan sobie coś jeszcze?

- To chyba wszystko - odparł. - Kto mógł przypuszczać.

Zamknęła notes i ruszyli do frontowych drzwi.

- Jak tam samochody? - spytała, mijając szklaną ścianę.

- Nie myślałem o nich ostatnio zbyt wiele.

Zatrzymała się i zajrzała przez czarną szybę. Czy mercedes stał zaparkowany w wyznaczonym miejscu? Niestety przy braku światła widoczność była zerowa.

Ramsey włączył przycisk. Mercedes rzeczywiście wrócił. Duży sedan, szary metalik.

- Zabawki - mruknął Ramsey, wyłączając światło.

Odprowadził Petrę do forda, a kiedy usiadła za kółkiem, dodał:

- Proszę pozdrowić ode mnie Grega.

Odwróciła się i spojrzała na niego pytająco. Posłał jej nieznaczny, smutny uśmiezek. Uśmiech starca.

- Wiem, że będzie pani weryfikować moje alibi - wyjaśnił - Czysta formalność. Procedura.

Rozdział 30

Stu czuł się winny i bezużyteczny, na szczęście wyglądał na opanowanego i stanowczego. Poprawił krawat i założył marynarkę. Pięć godzin rozmów telefonicznych nie dało efektów -

nie znalazł żadnych spraw podobnych do morderstwa Lisy Ramsey. Albo Ilse Eggermann.

Nie wiedział, co począć ze sprawą młodej Niemki. Nie uzyskał pomocy ani od austriackiej policji, Interpolu czy linii lotniczych. Jutro spróbuje w amerykańskim urzędzie celnym i kontroli paszportowej. O co poprosi? Aby szukali Laucha? Hmm, powodzenia. Popatrzył na wiedeńskie zdjęcie. Facet o podejrzanym wyglądzie, ale łatwiej byłoby znaleźć igłę w stogu siana.

Może Petrze się poszczęści z Ramseyem.

A może nie. Stu trudno się było skupić... Uporządkował biurko, pozasuwał szuflady i przeszedł przez pokój detektywów. Wilson Fournier rozmawiał przez telefon, lecz gdy Stu go mijał, czarny detektyw odłożył słuchawkę, spojrzął spode łba i sięgnął po marynarkę. Partner Fourniera, Cal Baumlitz, był nieobecny (wracał do zdrowia po operacji kolana), toteż Fournier pracował od kilku dni sam i wyglądał na mocno zmęczonego.

- Nowe wezwanie? - zagaił Stu, zmuszając się do przyjaznego tonu.

- Kiepski żart. - Fournier był średniego wzrostu, szczupły, miał ogoloną głowę i bujnego wąsa, dzięki czemu kojarzył się Stu z pewnym aktorem z „Ulicy Sezamkowej”. Gdy pracował nocami, poranki spędzał z dziećmi przed telewizorem.

Fournier przypiął kaburę i zebrał swój sprzęt. Wyszli.

- Życie jest wredne, Ken. Ty i Barbie dostaliście Lisę Ramsey, sławne osobistości... Mnie dali jakiś ochłap - rzekomego włamywacza czy też gwałciciela.

- Mam ci oddać sprawę żony Ramseya?

Fournier roześmiał się.

- Tak, tak, wiem, że sława ma swoją cenę.

- Co to za potencjalny włamywacz-gwałciciel?

Czarny detektyw potrząsnął głową.

- Gwałt, nie gwałt, co mnie to może, kurde, obchodzić. Podobno jesteśmy wydziałem zabójstw, na litość boską, a tam nikogo nie zraniono, a tym bardziej nie zabito. Czemu więc dali mi tę sprawę? Wiesz, że mam cztery nierozwiązane sto osiemdziesiątki siódemki i szef na mnie naciska. Cholerny stary i jemu podobni!

Kilka kroków dalej Stu spytał ot tak, z uprzejmości:

- Co się właściwie zdarzyło, Wil?

- Dom na North Gardner, dwie lesbijki wróciły do domu po tygodniu w Big Sur. Zauważyły, że ktoś kręcił się po kuchni, zjadł im trochę zapasów, skorzystał z prysznica. Gdy weszły do łazienki, okazało się, że prysznic nadal działa... Wariatki zaczęły wrzeszczeć, wypadły z krzykiem frontowymi drzwiami, przestraszyły całą dzielnicę.

- Było włamanie?

- Wziął tylko żarcie. Zjadł kawałek ananasa, wędzoną kielbasę, wypił jakiś napój. Paskudna zbrodnia, co?

- A co z gwałtem?

- No sam widzisz. - Fournier posłał mu zdegustowane spojrzenie. - Głupie lesbijki. Sterta listów przy frontowych drzwiach. Wyjechały na cały tydzień i zdziwiły się, że ktoś im wlaź do chaty? Może powinny postawić zakaz wstępu! Albo nie gasić świateł? Trzeba było kupić sobie alarm, rottweilera, jadowitego węża albo AK-47! Ken, kurde, niektórzy ludzie ciągle myślą, że jesteśmy ich aniołami stróżami!

Rozdział 31

„Czysta formalność”.

„Czy jestem podejrzany?”

Zgrywał się?

Zadzwoiła do Stu na posterunek. Okazało się, że jej partner wyszedł już godzinę temu. Spróbowała do domu, ale nikt nie odebrał. Czyżby Kathy i dzieci wyjechały? Szczęśliwe życie rodzinne...

Gdy wróciła do Los Angeles, kupiła sałatkę w sklepiku spożywczym na Fairfax; zjadła ją w domu, oglądając wiadomości. Ani słowa o Ramseyu. Ponownie spróbowała zlokalizować Stu. Bez rezultatu.

Czas poudawać, że Petra również ma jakieś życie osobiste.

Założyła bawełniano-akrylowy dres, włączyła Mozarta i wycisnęła farbę na paletę. Zgarbiona pracowała, siedząc na stołku aż do północy. Najpierw malowała krajobraz, który oddawał jej nastrój. Była wręcz hipnotycznie skoncentrowana na pracy. Później wzięła kolejne płótno: większe, czyste, zachęcające. Położyła dwie warstwy białego gruntu, następnie grubą warstwę czernidła. Kiedy wszystko wyschło, zaczęła szkicować od niechcenia serię owalów, które zmieniły się w twarze.

Żadnej kompozycji, tylko twarze, dziesiątki twarzy - nachodziły na siebie, niczym owoce, zwisające z niewidocznego drzewa. Niektóre przedstawiała z ustami niewinnie otwartymi, wszystkie z pozbawionymi źrenic czarnymi oczyma... Puste oczodoły, upiorne dyski, każde oblicze osobiście zakłopotane.

Każda kolejna twarz była młodsza od poprzedniej - odwrócenie procesu starzenia - aż w końcu Petra malowała już tylko dzieci.

Skonsternowane dzieci, rosnące na niewidzialnym dziecięcym drzewie... Petrze zadrżała ręka, upuściła pędzel. Zamiast się nad sobą zastanawiać, roześmiała się głośno, wyłączyła muzykę, zerwała płótno ze sztalugi i umieściła je na podłodze, przodem do ściany. Rozebrała się do naga i rzuciła ubranie na podłogę, po czym wzięła długi prysznic i położyła się do łóżka. Wyłączyła światła i odtworzyła w pamięci jeszcze raz rozmowę z Ramseyem.

Była prawie przekonana, że mężczyzna nią manipulował.

Nie miała pojęcia, jak to dalej rozegrać.

*

Obudziła się w środę o poranku i nadal się zastanawiała nad przesłuchaniem. Przypomniała sobie, jak zapalił światło w garażu i pokazał jej mercedesa, prowokując ją do drążenia tematu. Pomyślała o aluzjach na temat zdrowia, które miały wzbudzić jej współczucie - cukier we krwi, katarakta. Nie może jeździć w nocy...

Biedny rozsypujący się staruszek... A jednak nie poruszył przy niej swego najważniejszego problemu zdrowotnego...

Tego, który mógł być powodem straszliwej furii.

Wciąż rozmawiał z nią bez prawnika. Coś w rodzaju podwójnego blefu? Zadał niewłaściwe pytanie, a natychmiast wejdzie adwokat?

A może po prostu był pewny siebie, ponieważ miał doskonałe alibi?

Nie daj się wciągnąć w tę grę. Nie przypuszczaj ataku od frontu. Uderz z flanki. Przesłuchaj ludzi z jego otoczenia. Znajdź Estrellę Flores, pogadaj z pilotem czarteru, chociaż w ten sposób niczego nie da się udowodnić - Ramsey miałby wiele czasu, by dotrzeć do domu, wyjść, wziąć do samochodu Lisę i zabić ją. I ostatnie, choć nie mniej ważne - porozmawiaj z Gregiem Balchem, oddanym sługą i prawdopodobnym krzywoprzysięcą. Petra była pewna, że Ramsey zadzwonił do swojego dyrektora finansowego w minutę po jej odjeździe, ale czasami podwładni żywią głęboką urazę do swoich szefów - Petra pamiętała, jak Ramsey traktował Balcha podczas zawiadomienia o zabójstwie Lisy. Prawnik stał obok i znosił wszystko bez słowa sprzeciwu. Przyzwyczyił się do roli chłopca do bicia? Trzeba go przycisnąć, zajrzeć tę ewentualną urazę, obnażyć jakąś głęboko skrywaną złość. Często w takich przypadkach podwładni obracają się przeciwko swoim szefom.

Do swojego biurka dotarła o ósmej rano. Znalazła tam notatkę od Stu. Napisał, że się spóźni, a prawdopodobnie przyjdzie dopiero po południu.

Powodów nie podał.

Poczuła, że się rumieni; zmięła notatkę i wyrzuciła ją.

W Westward Charter potwierdzono lot Ramseya i Balcha nad Jezioro Tahoe o dwudziestej trzydzięci. Lądowanie w Burbank. Pilot Ed Marionfeldt był na miejscu. Rozmawiała, z nim. Przyjemny, łagodny głos; mężczyzna wykonał dziesiątki lotów dla „Mediatora”, bez jakichkolwiek problemów, tym razem nie było inaczej. Petra nie chciała zadawać zbyt wielu pytań, aby nie zasugerować mu, że uważa Ramseya za głównego podejrzanego. Chociaż był głównym podejrzanym... Potrafiła sobie wyobrazić, jak jego obrońca wykorzystuje zeznania Marionfeldta, by zilustrować nastrój Ramseya tamtego dnia. O ile kiedykolwiek dojdzie do procesu! Pomarzyć można.

W Urzędzie Ubezpieczeń Społecznych ustaliła, że Estrella Flores rzeczywiście przebywa w kraju legalnie. Zameldowana była w domu Ramseya w Calabasas.

- Więc czeki będziecie przysyłać tam? - spytała urzędnika.

- Nie występowała o świadczenia, więc nie wysyłamy jej czeków.

- Jeśli dostaniecie nowy adres, proszę mnie powiadomić, panie...

- Vicks. Jeśli sprawa trafi do mnie, zawiadomię panią, jednak nie rozpatrujemy indywidualnych petycji, chyba że mamy do czynienia z nietypowym problemem...

- To jest bardzo nietypowy problem, panie Vicks.

- Jestem pewny, że tak... Dobrze, zapiszę sobie, ale mam sporo pracy, więc proszę dzwonić do mnie co jakiś czas i pytać.

Zadzwoiła do Player's Management. Nikt nie podniósł słuchawki, nie włączyła się również automatyczna sekretarka. Może Balch jechał akurat do Montecito. Lub też wziął sobie urlop, aby - na polecenie szefa - zatrzeć ślady.

Następny na liście był makler z Merrill Lynch. Morad Ghadoomian miał przyjemny, pozbawiony obcego akcentu głos. Odniosła wrażenie, że oczekiwał jej telefonu.

- Biedna pani Boehlinger. Przypuszczam, że chce pani usłyszeć o jej inwestycjach finansowych. Niestety, nie miała żadnych.

- Żadnych?

- Nie miała czego lokować - odparł.

- Nie miała pieniędzy na koncie?

- Nic konkretnego.

- Mógłby pan mówić trochę dokładniej?

- Chciałbym, ale... Dość powiedzieć, że spodziewałem się rzeczy, które nigdy nie doszły do skutku.

- Powiedziała, że zainwestuje spore sumy i nie zainwestowała?

- No cóż... Naprawdę nie jestem pewny, jak dalece sięgają wymogi zawodowej dyskrecji. Mój szef również nie wie... Nigdy wcześniej nie mieliśmy do czynienia z morderstwem. Co jakiś czas któryś z naszych klientów umiera, przychodzą prawnicy od nieruchomości, ludzie z izby skarbowej, ale policja... Cóż, prawdę mówiąc, pani Boehlinger odwiedziła moje biuro tylko raz. Miała wypełnić formularze i otworzyć konto.

- Jak duża miała być pierwsza wpłata? - spytała Petra.

- Och... nie wiem, czy mogę... Zdradzę jedynie, że dla tego typu rachunku była to wpłata minimalna.

Petra milczała, czekając na kwotę.

- Tysiąc dolarów - wydukał w końcu Ghadoomian. - Zwyczajna wpłata na otwarcie.

- Papiery wartościowe?

Makler zachichotał.

- Tak, pani Boehlinger istotnie chciała założyć konto papierów wartościowych. Sporych rozmiarów. Nie mogła lepiej wyczuć sposobności - z pewnością pani wie, jak dobrze stoi obecnie rynek akcji. Klientka nie poczyniła jednakże dalszych kroków, toteż ów tysiąc pozostał do dyspozycji funduszu rynkowego. Oprocentowanie wynosiło cztery punkty.

- Ile zamierzała zainwestować?

- Nigdy nie powiedziała wprost, raczej dawała do zrozumienia. Odnosiłem wrażenie, że suma będzie spora.

- Sześciocyfrowa?

- Mówiła o osiągnięciu finansowej niezależności.

- Kto ją do pana skierował?

- Hmm... Chyba sama zadzwoniła. Tak, jestem tego pewien. Zadzwoniła na nasz koszt. - Znowu zachichotał.

- Ale w końcu niczego nie zainwestowała.

- Nie. Próbowałem się z nią skontaktować. Wie pani, czułem się bardzo rozczarowany.

*

Finansowa niezależność? Lisa oczekiwała niespodziewanego przyływu gotówki? A może tylko zdecydowała się zacząć poważnie oszczędzać, ponieważ zbliżała się do trzydziestki. Chciała gromadzić comiesięczne alimenty i żyć z pensji montażystki? Odsetki od osiemdziesięciu tysięcy rocznie to spory zastrzyk gotówki.

Coś jednak pokrzyżowało jej plany inwestycyjne.

Czyżby Ramsey posłużył się szantażem, gdy Lisa dostała pracę, zagroził, że obniży alimenty, więc wstrzymała się z założeniem konta?

A może wytłumaczenie było prostsze... Może po prostu wybrała innego maklera?

Prawdopodobnie nie. Niby dlaczego zostawiała tysiąc dolarów Ghadoomianowi?

Czyżby o pieniądze Ramseyowie także się kłócili?

Pieniądze i kłopoty w łóżku - nie ma lepszego motywu morderstwa.

*

Spędziła godzinę na telefonicznych rozmowach z urzędnikami stanu cywilnego i w końcu odnalazła oryginalne akta rozwodowe Ramseya. Ostateczna decyzja zapadła nieco ponad pięć miesięcy temu. Nie było specjalnych komplikacji, formalnych próśb o zmianę sumy alimentów, jeśli więc Ramsey miał ochotę zmniejszyć wypłaty eks-żonie, nie zrobił tego oficjalnie.

Potem otrzymała wiadomość. Miała zadzwonić do wydziału identyfikacyjnego w Parker Center. Rozmówca się nie przedstawił.

- Przełączę panią do funkcjonariusza Portwine'a - oświadczyła recepcjonistka.

Petra kojarzyła nazwisko mężczyzny, nie pamiętała wszakże, jak wyglądał. Portwine należał do specjalistów od odcisków palców; widywała jego podpis na raportach.

Mężczyzna miał piskliwy, poważny głos. Wydawał się pozbawiony poczucia humoru i mówił bardzo szybko.

- Dzięki, że pani oddzwoniła. Jest problem. Albo coś spieprzyliśmy, albo chodzi o interesujący przypadek. Mam nadzieję, że potrafi mi pani odpowiedzieć na pewne pytanie.

- Co się stało? - spytała Petra.

- Przesłała mi pani materiał z miejsca zbrodni Lisy Boehlinger-Ramsey - papier po hamburgerze i książkę. Zdjęliśmy wiele odcisków palców, sądząc po rozmiarze, najprawdopodobniej kobiecych. Nie pasują do żadnych akt. Już miałem napisać dla pani raport, kiedy otrzymałem kolejny materiał, przypuszczalnie dotyczący innej sprawy - włamania na North Gardner, odciski pobrano z kuchennego noża i pojemników z jedzeniem. Miałem trochę czasu, więc je obejrzałem. Pasowały do tych ze sprawy Boehlinger-Ramsey. Chciałbym się dowiedzieć, czy ktoś przypadkiem nie pomieszał paczek, numerów albo formularzy? Przyzna pani, że to dziwne - dostajemy dwie odrębne przesyłki z Hollywood, jedna po drugiej i zdejmujemy dokładnie te same odciski palców. Szkoda, że nie ma ich w naszych rejestrach. Jesteśmy wprawdzie skrupulatni, ale wie pani, ile dostajemy materiałów. Proszę sprawdzić, czy ktoś z waszej strony czegoś nie pomylił.

Jak można tak prędko mówić? Petra podczas tej przemowy wbiła sobie paznokcie w dłoń.

- Kiedy miało miejsce to włamanie? - spytała.

- Ubiegłej nocy. Odciski pobrał patrol z Szóstki i odesłał jednemu z waszych detektywów... W. B. Fournierowi.

Petra spojrzała na biurko Wila. Było puste. Czarny detektyw wyszedł i to chyba na dłużej.

- Na jakich pojemnikach znaleźliście odciski palców?

- Plastikowe pudełko z sokiem pomarańczowym... odciski znajdowały się na papierowej etykietce. I na ananasie... Interesujące, nigdy wcześniej nie zdejmowałem odcisków z ananasa. Inne próbki są opisane: odciski pobrano z kranów, butelki szamponu i... tak, chyba z lodówki. Włamanie do kuchni, co? Zna pani tę historię?

- Nic nie wiem o tym włamaniu. Przysłałam wam tylko materiały ze sprawy Ramsey - opakowania po jedzeniu, książkę i ubranie ofiary.

- Zatem ten drugi materiał nie jest pani?

- Absolutnie nie - odparła.

Portwine gwizdnął.

- Dwa zestawy odcisków tej samej osoby i dwa różne przestępstwa.

- Tak to wygląda - mruknęła Petra. Jej serce gwałtownie biło. - Ciągle ma pan materiały ze sprawy Ramsey... Szczególnie chodzi mi o książkę?

- Nie, odesłaliśmy dowody wczoraj o siedemnastej. Mam tylko kopię odcisków palców. Zauważyłem pewne dość charakterystyczne linie.

- Okej, dzięki.

- Proszę bardzo - powiedział Portwine niechętnie. - Przynajmniej rozwiązaliśmy problem.

*

Petra zostawiła Wilowi Fournierowi notkę z prośbą o kontakt. Nie miała żadnej informacji od Stu, a nie zabrał ze sobą komórki.

Dojechała do śródmieścia. Wjechała na parking dla pracowników Parker Center i weszła na trzecie piętro do sali dowodowej, gdzie wypełniła formularz - zapotrzebowanie na książkę biblioteczną. Obsługiwała ją farbowana na blond Murzynka nazwiskiem Sipes, na której nie zrobił wrażenia fakt, że ofiarą zbrodni była L. Boehlinger-Ramsey. Kobieta wytknęła Petrze, że nie wpisała wyraźnie numeru sprawy. Petra wymazała numer i napisała go ponownie, a Sipes zniknęła za niekończącymi się rzędami pomalowanych na beżowo metalowych półek. Wróciła dziesięć minut później, potrząsając głową.

- Tego numeru jeszcze nie przeanalizowano.

- Jestem pewna, że tak - zaproponowała Petra. - Wczoraj, funkcjonariusz Portwine z wydziału identyfikacyjnego przesłał materiały wczoraj o siedemnastej.

- Wczoraj? Dlaczego pani mi tego nie powiedziała? Będzie w innym miejscu.

Minęło piętnaście minut. Petra otrzymała kopertę z dowodami i zgodę Sipes na wypożyczenie.

W fordzie wyjęła książkę. Nasi prezydenci: Marsz amerykańskiej historii.

Kloszardka-włamywaczka zainteresowana historią Stanów Zjednoczonych. Włamuje się do domów i kradnie jedzenie? Najprawdopodobniej schizofreniczka. Petra przekartkowała książkę, szukając notatek na marginesie albo zakładkach. Niczego nie znalazła. Znakomicie, karta wypożyczeń znajdowała się nadal za obwolutą.

Filia w Hillhurst. Petra zapamiętała ten szczegół. Książki nie wypożyczano od dziewięciu miesięcy.

Wtedy trafiła do kloszardki?

Petra próbowała sobie wyobrazić, jak się mieszka na ulicy. Kradzieże, czytanie... Kradzież jedzenia i wiedzy. Był w tej sprawie jakiś pomyłony romantyzm.

Kuca, aby się wysikać na skale. Schizofreniczna dziewczyna od Thoreau.

Wróciła do Hollywood, odnalazła filię Hillhurst w pasażu kilka przecznic na południe od Los Feliz. Budynek zupełnie nie przypominał biblioteki. Pozbawiony okien szary barak. Tuż obok supermarketu. Stragany handlowe prawie blokowały frontowe drzwi. Ze znaku wynikało, że lokalizacja jest tymczasowa.

Petra weszła z książką i swoją wizytówką. Znalazła się w dużym pokoju. Siwowłosa bibliotekarka przy biurku w rogu rozmawiała przez telefon, młodsza kobieta za kontuarem, jeden klient - staruszek w bawełnianej czapce czytał poranną gazetę. Na stole przy jego łokciu leżał złożony parasol, chociaż czerwcowe niebo było czystoniebieskie, a deszcz nie padał od miesiąca.

Regały z naturalnej brzozy, stoły do czytania z tego samego jasnego drewna. Plakaty turystyczne zamiast okien - miejsce wyglądało przez nie trochę żałośnie.

Starsza bibliotekarka była pochłonięta rozmową telefoniczną, więc Petra skierowała się do młodszej - wysokiej Latynoski, ubranej w klasyczny elegancki szary kostium ze sztucznego jedwabiu, który wyglądał wyjątkowo dobrze na jej zgrabnej figurze. Dziewczyna miała sympatyczną twarz, ciepłe oczy, ładną cerę, lecz uwagę Petry przyciągnęły szczególnie jej włosy - czarne, gęste, proste, zwisały jej aż po skraj minispódniczki. Jak piosenkarce country, Crystal Gayle.

- Mogę pani w czymś pomóc?

Petra przedstawiła się i pokazała wizytówkę.

- Magda Solis - odparła kobieta, wyraźnie poruszona słowami: „Wydział zabójstw”.

Petra wyjęła książkę i położyła ją na ladzie. Magda Solis przyłożyła dłoń do serca.

- Och, nie, czy coś mu się przydarzyło?!

- Komu?

- Małemu chłopcu, który... - Solis zerknęła na siwowłosą bibliotekarkę.

- Chłopcu, który ukradł książkę? - spytała Petra. Małe ciało, małe ręce: nie kobieta, lecz dzieciak... Dlaczego nie pomyślała o takiej możliwości? Nagle przypomniał jej się obraz, który zaczęła malować ubiegłej nocy - drzewo pełne zagubionych dzieci; z trudem zwalczyła drżenie ramion i tułowia.

Młoda bibliotekarka podrapała się po policzku.

- Możemy porozmawiać na zewnątrz?

- Jasne.

Solis pospiesznie podeszła do starszej koleżanki. Chodziła w osobliwy sposób, który dodawał jej wdzięku - lekko powłóczyła nogami, obejmowała się ciasno ramionami. Piękne włosy falowały wzdłuż jej pośladków. Powiedziała coś szefowej, która zmarszczyła brwi, po czym odwróciła się, zagryzając wargę.

- Okej, mam przerwę.

*

Wyszły przed budynek i stanęły przy fordzie Petry.

- Jestem stażystką - zaczęła Solis - i nie chciałam, żeby kierowniczka słyszała naszą rozmowę. Czy coś mu się przydarzyło?

- Może najpierw powie mi pani, co wie, pani Solis?

- Ja... to tylko mały chłopiec. Miał może dziesięć czy jedenaście lat, na początku nie byłam pewna, czy chodzi o niego. Czasem bierze książki. Tę zaginioną czytał jako jedyny... To znaczy czytał ją na miejscu przez wiele dni, a potem zniknęła.

- Więc inne książki również zabierał.

Kobieta była przejęta.

- Jednak zawsze je zwracał... Taki poważny mały chłopiec. Udawał, że odrabia pracę domową. Chyba nie chciał zwracać na siebie uwagi. W końcu podpatrzyłam go, jak... wynosił jedną. Zniknęła. Coś o oceanografii, jak sędzę.

- Udawał, że odrabia pracę domową?

- Tak mi się wydawało. Zawsze odrabiał algebrę. Algebrę... Hmm, może być zatem nieco

starszy. Albo wyjątkowo uzdolniony... Sądząc po książkach, które wybierał, jest zdolny. - Solis potrząsnęła głową. - Gdy przychodził, odrabiał więc przez jakiś czas matematykę, później zaś kierował się ku półkom, wybierał książkę i czytał ją przez dwie godziny. Widać było, że uwielbia czytać, a to takie rzadkie... Zawsze starałyśmy się przyciągać do nas dzieci i proszę mi wierzyć, nie jest to łatwe. Kiedy przychodzą do biblioteki, wygłupiają się tylko i robią hałas. A ten chłopiec był zupełnie inny. Dobrze wychowany. Mały džentelmen.

- Poza tym, że kradnie książki.

Solis zasmuciła się.

- Tak. No cóż, wiem, że powinnam była mu zwrócić uwagę, ale zawsze je oddawał. Nic złego się nie działo.

- Dlaczego nie zaproponowała mu pani karty bibliotecznej?

- Przy zakładaniu karty wymagany jest dowód tożsamości i podpis osoby dorosłej, a mogłabym się założyć, że ten chłopiec mieszkał na ulicy. Widać to było po jego ubraniu... Próbował wyglądać schludnie, zwilżał włosy i czesał je, jednak ubrania miał stare, pogniecione i dziurawe. Podobnie jak buty. Często przychodził w tym samym stroju. Przydługa czupryna opadała mu na czoło. Prawdopodobnie nie ścinał jej od długiego czasu. - Sięgnęła w tył i przeczesła palcami włosy, po czym się uśmiechnęła. - Sądzę, że byliśmy bratnimi duszami... Proszę mi powiedzieć, pani detektyw, czy coś mu się przydarzyło?

- Prawdopodobnie był świadkiem pewnego zdarzenia. Co jeszcze może mi pani o nim powiedzieć?

- Mały, chudy, typowo amerykańskie rysy, ostry wydatny podbródek. Błada cera, jak u anemika. Włosy jasnobrązowe, proste. Nie jestem pewna co do koloru oczu - chyba niebieskie. Czasami trzymał się prosto, innymi razy mocno się garbił. Niczym mały stary człowiek... Miał w oczach dojrzałość. Na pewno widziała pani takie oczy u dzieci ulicy.

- Rozmawiała z nim pani?

- Gdy pojawił się pierwszy raz, podeszłam do niego i spytałam, czy mogę mu w czymś pomóc. Potrząsnął głową i wbił wzrok w blat stołu. Wydawał się przerażony, więc zostawiłam go w spokoju.

- Dziecko ulicy...

- Podczas ostatniego roku college'u zgłosiłam się na ochotnika do pracy w schronisku. Ten chłopiec przypominał mi dzieci, które tam spotykałam.... Ale te książki, które czytał! Biograficzne, przyrodnicze, poświęcone polityce - najbardziej chyba lubił właśnie tę o prezydentach. Dziecko, które wierzy w nasz system, choć prowadzi tak nieszczęsną egzystencję... Nie sądzi pani, że to nadzwyczajne? Chłopiec z pewnością jest bardzo

inteligentny. Nie mogłam go zdradzić... Czy moja kierowniczką musi się o wszystkim dowiedzieć?

Petra uśmiechnęła się i zaprzeczyła ruchem głowy.

- Pomyślałam sobie - ciągnęła Magda Solis - że najlepsze, co mogę dla niego zrobić, to pozwolić mu swobodnie korzystać z biblioteki. Zwracał zresztą wszystkie książki. Z wyjątkiem tej o prezydentach... Gdzie ją pani znalazła?

- W pobliżu - odrzekła Petra.

Bibliotekarka nie naciskała jej.

- Przez jak długi czas przychodził do biblioteki?

- Dwa, trzy miesiące.

- Co tydzień?

- Dwa lub trzy razy w tygodniu. Zawsze po południu. Przychodził około czternastej, zostawał do szesnastej albo siedemnastej. Przyszło mi do głowy, że wybiera popołudnia, ponieważ większość dzieci wychodzi wtedy ze szkoły. O tej porze nie wywoływał niczych podejrzeń.

- Ciekawe spostrzeżenie - oceniła Petra.

Jej rozmówczyni zarumieniła się.

- Może się mylę co do niego. Może jest bogatym dzieciakiem z Los Feliz, który po prostu lubi się zachowywać dziwnie.

- Kiedy ostatnio go pani widziała, pani Solis?

- Niech pomyślę... kilka dni temu... W ubiegłym tygodniu. Chyba w zeszły piątek. Tak, w piątek. Przeglądał wielką stertę egzemplarzy „National Geographic” i „Smithsonian”. Niczego nie wyniósł.

Dzień przed morderstwem Lisy. Od tej pory się nie pojawił.

Dziecko, które mieszka w parku. Czyta po ciemku. Jak? przy latarce? Ukrywa się i walczy o przetrwanie.

Z parkingu Griffith Park do miejsca włamania w North Gardner było od sześciu i pół do ośmiu kilometrów. Chłopiec szedł zatem na zachód - dlaczego? Skoro wcześniej regularnie bywał w bibliotece, można założyć, że mieszkał w jednym miejscu. Dlaczego nagle zmienił się w wędrowca?

Przeraził się? Ponieważ coś zobaczył?

- Nie chcę go narażać na niebezpieczeństwo - odezwała się bibliotekarka.

- Ja również, pani Solis. Jeśli go znajdę, uchronię go przed wielkim niebezpieczeństwem. Właśnie po to go szukam. - Solis pokiwała głową, wyraźnie starając się uwierzyć policjantce.

Petra dostrzegła, że kobieta ma podkrążone oczy. „Bratnia dusza”. Czy miała na myśli coś jeszcze poza długimi włosami?

- Dziękuję pani za pomoc - rzuciła Petra.

- Jest pani pewna, że nie został... ranny?

„Zeszłej nocy czuł się doskonale - pomyślała z ironią. - Włamał się do czyjegoś domu i zajadał ananasa”.

- Nic mu nie jest, ale muszę go znaleźć. A pani mi może w tym pomóc.

- Powiedziałałam już wszystko, co wiem.

Petra wyjęła notes i ołówek numer trzy.

- Umieję rysować. Spróbujemy sporządzić portret.

Rozdział 32

- Gwałciciel! Policja!

Dlaczego tak krzyczą? Narzucam na grzbiet ubranie. Krzyki oddalają się, szarpnięciem otwieram tylne drzwi, wyglądam na dwór; nic nie widzę, ale wybiegam.

Kobiety są chyba od frontu. Ciągłe wrzeszcza: „Gwałciciel!” Wariatki. Nigdy nikogo nie zgwałciłem. Nawet nie wiedziałbym, jak się do tego zabrać. Wiem natomiast, jak się czuje człowiek ścigany.

Biegnę za garaż, wspinam się na drewnianą furtkę, przeskakuję na następne podwórze. W tym domu palą się światła - widzę migające kolory, telewizor za firankami, słyszę czyjś śmiech.

Przebiegam podwórze, wypadam na ulicę, wracam na Hollywood Boulevard, gdzie skręcam w kolejną ulicę, potem w jeszcze jedną. Przemykam się tak, by nikt mnie nie zobaczył. Idę, nie biegnę. Wmieszać się w tłum, wtopić... Żadnych syren. Gliniarze jeszcze nie dotarli.

Jeśli te kobiety będą twierdziły, że je zgwałcono, policja może wysłać za mną helikoptery z tymi wielkimi białymi promieniami. Będę jak robak na kartce papieru... Nagle zdaję sobie sprawę z faktu, że właścicielki domu ani przez chwilę mnie nie widziały. Dlaczego ktoś miałby podejrzewać właśnie mnie?

Zwalniam jeszcze bardziej, udaję, że po prostu sobie spaceruję. Trafiam na kolejną cichą uliczkę. Ludzie tkwią zamknięci w domach, przekonani o własnym bezpieczeństwie.

A może zamartwiają się, że nie są dostatecznie bezpieczni.

Będę stale szedł na zachód, jak najdalej od parku i Hollywood. I od głupich kobiet, które opiekują się mnóstwem roślin, a równocześnie zostawiają jedzenie, żeby zgniło.

*

Następną ruchliwą ulicą jest Bulwar Zachodzącego Słońca. Sporo dziwaków, znacznie więcej dzieci niż w Hollywood, jeszcze więcej samochodów. Mnóstwo restauracji i klubów. Po drugiej stronie ulicy widzę lokal z ogromnym napisem: „Ciało, ciało, ciało!” i plastikowym wizerunkiem nagiej kobiety. Potem miejsce o nazwie „Wąż”. Klub z dużymi drzwiami i dwoma ogromnymi facetami, którzy nie pozwalają nikomu wejść do środka.

Czy ten facet w czerwonym samochodzie nie patrzy na mnie zbyt dziwnie?

Skręcam w następną cichą uliczkę. Kręcę się. Zaczynają mnie boleć stopy; chodzę przecież przez cały dzień. Na zachód, może na plażę! Plaża jest czysta, prawda?

Nie mam pieniędzy. I nie jestem w stanie się obronić.

Powinienem był zabrać nóż, którym przecinałem ananasa.

Rozdział 33

Stu studiował portret chłopca.

Wpadł tuż przed szesnastą i nawet słowem się nie zająknął na temat swojego spóźnienia. Petra paliła się do wyjścia, ale ten nowy trop w postaci potencjalnego świadka zmuszał ją do pozostania na posterunku.

- Dobra robota - ocenił jej partner. - Nie pokazuj tego Haroldowi.

Harold Beatty miał sześćdziesiąt lat, kiedyś pracował w wydziale narkotyków, teraz zaś czasem pełnił funkcję policyjnego rysownika. Wszystkie narysowane przez niego twarze wyglądały niemal identycznie. Detektywi nazywali je za plecami Harolda „Rodziną Beattych”.

Stu bawił się szelkami i ten niedbały gest nagle strasznie zdenerwował Petrę. Potrzebowała potwierdzenia, że jej wysiłek na coś się przyda.

Nie była wcale pewna, czy nowe fakty posuną śledztwo naprzód.

Przynajmniej szkic był dobry. Omówiła z Magdą Solis każdy rys twarzy chłopca i stworzyła bardzo szczegółowy, dokładny, wzbogacony cieniami portret pamięciowy. Bibliotekarka popatrzyła na końcowy efekt i wyszeptwała: „Zadziwiające podobieństwo”.

Chłopiec był ładny, miał duże, szeroko rozstawione oczy - które Petra na szkicu lekko zacieniła (mogły być brązowe lub błękitne) - kształtny nos z małymi nozdrzami, wąskie wargi, spiczasty podbródek z dołeczkiem. Solis nie była pewna koloru oczu chłopca, lecz doskonale zapamiętała dołeczek.

Proste włosy, jasnobrązowe, gęste, zaczesane na prawo, przykrywały czoło aż do brwi, wisiały nad uszami; krzywo przycięte na ramionach. Z podkoszulka wyłaniała się chuda szyja. Solis twierdziła, że chłopiec był mały, mierzył sporo poniżej metra pięćdziesiąt, ważył mniej więcej około trzydzieści pięć kilo, nosił podkoszulki, dżinsy, dziurawe tenisówki, czasami stary szary sweter.

Och, tak. I zegarek, jeden z tych tanich cyfrowych.

Zegarek zainteresował Petrę. Prezent gwiazdkowy? Może go ukradł? Gdzie znajdował się dom chłopca? Jak długo już był uciekinierem?

Dziecko. Kiedy ubiegała się o stopień detektywa, zaoferowano jej wybór: wydział zajmujący się młodocianymi albo kradzieżami samochodowymi. Wybrała auta. Nikt nie spytał jej o powody...

- Wygląda ponuro - zauważył Stu.

I była to prawda. Chłopiec wydawał się poważny, wręcz zmartwiony. Solis nazwała go „stłamszonym przez życie”.

- Bierze sobie jedzenie z lodówki, prysznic - stwierdził Stu. - Odciski pasują do naszych. Niewiarygodne.

- Może to opatrność - mruknęła Petra. - Może Bóg nagradza cię za pobożność i czas spędzany w kościele.

- Jasne - odparł Stu bez humoru, zgrzytliwym głosem. Petra nigdy słyszała w jego tonie takiego gniewu.

Co się z nim działo? Zawsze żartowała sobie z niego w kwestiach religijnych. Zanim zdołała się odezwać, wstał i zapiął marynarkę.

- Okej, przekazmy dobrą nowinę Schoelkopfowi.

Odwrócił się do partnerki plecami. Znowu! Odkąd wszedł do pokoju detektywów, nie spozrywał jej w oczy.

- Później - powiedziała Petra. - Mam robotę papierkową...

Natychmiast się obrócił.

- O co ci chodzi, Petro? Zróbmy to natychmiast. Szef wyraźnie powiedział, że chce być informowany na bieżąco, a o tym tropie koniecznie należy go poinformować.

Dotarł już do drzwi, kiedy Petra dogoniła go i spytała scenicznym szeptem:

- Co się, do cholery, dzieje?
- Nic się nie dzieje. Musimy powiadomić Schoelkopfa.
- Nie o tym mówię. Co się z tobą dzieje?

Ciągle szedł, nie odpowiadał.

- Do diabła, Bishop, zachowujesz się jak skończony cholerny palant!

Zatrzymał się. Usta mu drżały, ręce zacisnął w pięści. Nigdy przy nim nie przeklinała i teraz przygotowała się na jego wybuch. To byłoby interesujące!

Nie zdenerwował się, wręcz przeciwnie - twarz mu złagodniała.

- Wysyłasz mnie do diabła? Może masz rację.

*

W biurze Schoelkopfa oboje starali się uspokoić.

Kapitan zerknął na szkic i odłożył go.

- Ty go zrobiłaś, Barbie? No, no... Ukryty talent... Może powinniśmy wreszcie odesłać Harolda na emeryturę?

Rozsiadł się wygodnie i położył nogi na biurku. Nowe buty, włoskie, podeszwy wciąż były czyste i czarne.

- Ta wiadomość to żadna rewelacja, ale może się na coś przydać. - Wydarł szkic z notesu Petry. - Porozmawiajcie z ludźmi od młodocianych, sprawdźcie, czy ktoś zna tego dzieciaka. Przytułki, schroniska przykościelne, pracownicy opieki społecznej... Popytajcie wszystkich, którzy mają do czynienia z uciekinierami. Zrobię kopie dla rzecznika.

- Dla mediów? Chce pan zamieścić ten szkic w prasie?! - spytała Petra.

- A macie lepszy sposób, by przekazać go do publicznej wiadomości?

- Jest pan pewien, że powinniśmy nagłośnić tę sprawę?

- Dlaczego nie, do cholery?

- Kiedy znaleźliśmy tę książkę, uważał pan, że nie stanowi żadnego dowodu... Zauważył pan, że trudno czytać w ciemnościach. Jaka zatem jest szansa, że chłopiec faktycznie coś widział? Gdy powiadomimy świat o jego istnieniu, a on mieszka na ulicach Hollywoodu, zacznie się szalone polowanie. Jeśli zabójca zna Hollywood, może dopaść małego jako pierwszy...

- Nie sądzę - przerwał jej Schoelkopf. - Przemawia przez ciebie instynkt macierzyński. - Postawił stopy na podłodze. Petra pomyślała, że jej szef ma ochotę splunąć. - Chcesz rozwiązać sprawę czy matkować uciekinierowi?

Petrę wręcz rozsadzała wściekłość, a jednak zdołała odpowiedzieć spokojnym głosem:

- Wolałabym po prostu zachować ostrożność, szefie. Jeśli chłopiec jest świadkiem...

Schoelkopf uciszył ją machnięciem ręki.

- Mówisz o zabójcy jak o kimś abstrakcyjnym, a przecież podejrzewamy pieprzonego Ramseya. Twierdzisz, że mógłby znaleźć uciekiniera przed nami? Niech no pomyślę, co tu zrobić. Skoro się martwisz o bezpieczeństwo dzieciaka, obserwuj Ramseya, a może nawet odniesiemy z tego korzyść: on goni dzieciaka, my łapiemy go na gorącym uczynku, zupełnie jak w telewizji. - Schoelkopf zaśmiał się metalicznie. - Tak, śledź Ramseya, niech to będzie jedno z twoich zadań. Kto wie, może zostaniesz bohaterką dnia.

Petrze nagle zabrakło powietrza. Próbowwała oddychać normalnie i nie okazać zdenerwowania.

- Użyjemy więc chłopca jako przynęty? - spytał Stu tonem ojca sześciorga dzieci.

- Ty też przeciwko mnie? - spytał Schoelkopf. - Śledzimy potencjalnego świadka zabójstwa. Jezu, nie mogę uwierzyć, że odbywamy taką dyskusję. O czym, do cholery, w kółko gadamy? O ostrożności. Nie pamiętacie? Do diabła, co się waszym zdaniem zdarzy, jeśli dzieciak naprawdę coś widział, a my nie wysilimy się, by go odnaleźć? Nie marnujcie więcej mojego czasu. Sami znaleźliście ten trop, więc teraz odpowiednio go wykorzystajcie!

- Świetnie - podsumował Stu - ale jeśli Petra zajmie się inwigilacją podejrzanego, wszystko inne spadnie na moją głowę.

- A cóż takiego na nią spadnie?

- Mamy jeszcze jeden ślad. Podobną sprawę. Kazał pan nam odnaleźć takie przypadki. - Stu opowiedział mu o Ilse Eggermann i o poszukiwaniu Karlheinz Laucha.

Schoelkopf ukrył zaskoczenie zadowolonym uśmiechem.

- A zatem... rzeczywiście, przyznam, że potrzebujecie wsparcia... Jeden człowiek powinien wystarczyć. Niech Fournier zajmie się sprawą razem z wami. I tak już dzieciak do niego trafił - wielki okrutny włamywacz. We troje odwalicie kawał dobrej roboty. Przynajmniej oczyścicie ulice z lodówkowych bandytów.

*

- A co mam zrobić z moją drugą sto osiemdziesiątką siódemką? - spytał Fournier.

- Gadaj z szefem - odparł Stu. - Sam narzekałeś, że rzucają ci ochłapy. Oto twoja szansa na sławę.

- Tak, zostałem opiekunem ananasów... Okej, jak się dzielimy pracą?

- Mam się zajmować Ramseyem - wyjaśniła Petra. - Już z nim rozmawiałam, zna mnie, więc łatwiej mi go podejść. Ale niech mnie diabli, jeśli zamierzam całymi dniami wystawać

przed bramą „Ranch Haven”.

- Świetnie cię rozumiem - mruknął wesoło Fournier i poklepał się po ogolonej głowie.

Petra знаła go słabo, lecz była do niego pozytywnie nastawiona. Stu twierdził, że Fournier jest bystry. Miała nadzieję, że to prawda, ponieważ musiała go szybko wprowadzić w sprawę.

Zacząła mówić, Fournier robił notatki. Stu znowu wyglądał na roztargnionego.

Na liście zadań Petry zostało sprawdzenie miejsca pobytu Estrelli Flores i rozmowa z Gregiem Balchem, może jeszcze jedna krótka pogawędka z Ramseyem. Stu miał się zająć sprawą Eggermann, a Fournier skontaktować z hollywoodzkim wydziałem zajmującym się młodocianymi przestępcami, sprawdzić okoliczne schroniska i izby dziecka - jednym słowem, miał spróbować odnaleźć chłopca.

Zanim Petra skończyła mówić, Stu wstał i odszedł.

- Czy on się dobrze czuje? - spytał Fournier.

- Jest tylko trochę zmęczony - odburknęła Petra. - Zbyt wiele rozrywek.

*

Usiadła za biurkiem i zadzwoniła do biur osób zaginionych przy wszystkich posterunkach policji Los Angeles. Znalazła kilku Floresów, lecz żadnej Estrelli. Zapisała sobie dwie osoby w podobnym wieku - Imeldę, sześćdziesiąt trzy lata, z Wschodniego Los Angeles i Doris, pięćdziesiąt dziewięć lat, z Mar Vista. Zatelefonowała do ich rodzin. Nie znały Estrelli.

Nic nie wskórała także w biurze szeryfa.

Co teraz? Czy Flores wróciła do swojego kraju? Czyli dokąd? Do Meksyku? Salwadoru?

Nagle Petra przypomniała sobie coś, co powiedział jej Ramsey. Greg Balch zatrudnił nową służącą, więc może swego czasu wyszukał również Estrellę.

Kolejny powód, by pogawędzić sobie ze starym Gregiem.

Najpierw jednak musiała dotrzymać obietnicy danej Ronowi Banksowi - zatelefonować do niego i poinformować go, że Ramsey pobił Lisę poza hrabstwem Los Angeles.

Banks był w pracy.

- Och, cześć! - Ucieszył się. - Nie dzwoniłem do ciebie, ponieważ nie znalazłem jeszcze żadnej skargi.

- I nie znajdziesz, Ron - stwierdziła. - Właśnie się dowiedziałem, że Ramsey ma drugi dom w Montecito. Tam pobił Lisę.

Petra przypomniała sobie, że jeszcze jednej rzeczy nie zrobiła...

- No cóż - stwierdził Banks. - To teren szeryfa Carpinterii. - Odchrząknął. - Słuchaj...

Wracając do naszej ostatniej rozmowy. Prosiłem cię, żebyś się ze mną umówiła, ale to nie musi być teraz, kiedy pracujesz nad sprawą. Nie chcę zwracać ci głowy...

- Nie ma sprawy, Ron.

- Miło z twojej strony, że tak mówisz, jednak...

- W porządku, Ron, naprawdę.

- Zachowałem się nieprofesjonalnie. Na swoje usprawiedliwienie mogę jedynie powiedzieć, że rozwiódłem się zaledwie rok temu i naprawdę nie mam wprawy w tego rodzaju rzeczach, i...

- Spotkajmy się - przerwała, zaskoczona własną odwagą.

Milczenie.

- Jesteś pewna? To znaczy... świetnie, doceniam to! Kiedy masz czas?

- Może dziś wieczorem... Gdzie mieszkasz?

- W Granada Hills, ale będę jechał z centrum, więc możemy się spotkać, gdzie zechcesz.

- Lubisz bary?

- Wszystko lubię.

- Może u Katza na Fairfax? Powiedzmy o ósmej.

- Fantastycznie! - Prawie wyśpiewał to słowo.

Niesamowite, że potrafiła wzbudzić u kogoś tak wielką radość!

Rozdział 34

Niebo jest pełne gwiazd. Ocean ryczy głośniejsze niż zwierzęta z ZOO.

Jestem na plaży, pod moło pachnącym smołą i solą. Zimno mi, chociaż owinąłem się warstwami czarnych plastikowych worków.

Zewsząd otacza mnie mokry piasek, na szczęście znalazłem suchy obszar w pobliżu dużych grubych słupów wspierających moło. Nie mogę zasnąć, obserwuję więc i słucham fal uderzających o brzeg. Nie czuję się zmęczony. Ocean jest czarny jak atrament, małe kropki księżycowej łuny tworzą ukośną linię na wodzie. Jest zimno, znacznie zimniej niż w parku. Jeśli tu dłużej zostanę, będę musiał zdobyć prawdziwy koc.

W pewnej chwili jakiś zgarbiony facet przeszedł nieopodal mnie, co rusz uskakując przed jęzorami zalewających piasek fal. Jeden jedyny człowiek na pustej plaży. Z jego zachowania - klaskał i podskakiwał co kilka sekund - wywnioskowałem, że jest szalony.

Kiedy słońce wszędzie, będę musiał stąd odejść.

Dwie noce temu widziałem, jak PLYR zabił kobietę i z tego powodu trafiłem nad ocean. Nieprawdopodobne! Wszystko zdarzyło się samo, nie miałem na to żadnego wpływu.

Wczoraj wieczorem przemykałem między Bulwarem Zachodzącego Słońca i bocznymi uliczkami. Minałem tak wiele restauracji, że nos mi aż spuchł od zapachów jedzenia. Faceci w czerwonych kurtkach parkowali samochody, ludzie się śmiali. Żołądek ciągle jeszcze miałem pełen, a mimo to z ust zaczęła mi cieknąć ślina.

Nie miałem pojęcia dokąd zamierzam dotrzeć, wiedziałem jedynie, że nie mogę tkwić w miejscu. Doszedłem do tej części Bulwaru, która wyglądała bardziej luksusowo - lepiej ubrani ludzie, ogromne billboardy reklamujące filmy, ubrania i alkohol. Potem pojawiło się więcej klubów. Przed ich drzwiami stały muskularne wielkoludy z grubymi ramionami założonymi na piersiach.

Jeden z klubów nazywał się „U-nik”. Znajdował się w ciemnym zaułku obok sklepu z alkoholem. Budynek był pomalowany na czarno; frontowa ściana przypominała bryłę czarnego granitu. Przed wejściem stał tusty facet. Palił papierosa i wyglądał na znudzonego. Nikt nie próbował wejść do środka. Plastikowy szyld ponad drzwiami reklamował grające w klubie zespoły: Mięiste Członki, Orgazm Elvisa i Lepkie Figurki.

Sklep monopolowy był otwarty. Za kasą siedział facet w turbanie. Pomyślałem, by kupić gumę do żucia i zwinąć przy okazji parę innych drobiazgów, ale właściciel patrzył na mnie podejrzliwie, odkąd wszedłem, więc zrezygnowałem. Akurat wtedy wysoki chudy facet z bardzo długimi kędzierzawymi czarnymi włosami i pryszczami na twarzy wyszedł z „U-niku”, niosąc bębny. Podeszedł do czarnej furgonetki zaparkowanej na rogu, otworzył tylne drzwiczki i włożył do środka bębny. Furgonetka była w wielu miejscach wgnieciona i porysowana; na bokach miała mnóstwo naklejek. Mężczyzna nie zamknął drzwiczek.

Wykonał jeszcze dwa kursy, po czym wrócił do klubu i długo nie wychodził.

Nie zamknął auta kluczykiem.

Tłusty facet również wszedł do lokalu.

Podeszedłem do furgonetki i zajrzałem do środka przez okienko pasażera. Tylko przednie siedzenia; resztę przeznaczono na bagaż.

Otworzyłem drzwiczki. Alarm się nie włączył.

Na siedzeniu znalazłem jedynie śmieci: papierki po cukierkach, puste puszkę i butelki, strzępy gazet. Zastanowiłem się nad radiem. Może mógłbym je sprzedać? Ale jak je wyjąć?

Nagle usłyszałem głosy i zobaczyłem chudego faceta. Zwrócony plecami do furgonetki, rozmawiał z niewysoką dziewczyną o żółtych włosach, przez które biegł różowy pasek.

Dziewczyna stała frontem do mnie, na szczęście wpatrywała się intensywnie w mężczyznę. Chyba się kłócili. Nagle facet się odwrócił.

Nie mogłem już wyskoczyć z auta.

Wsiadłem na siedzenie, zamknąłem za sobą drzwi, potem rzuciłem się do tyłu i schowałem za bębnami. Były na wpół zakryte przez grubą warstwę czarnej plastikowej folii. Gdy wsuwałem się pod nią, uderzyłem kolanem o metal. Strasznie mnie zabolęło, że aż musiałem zagryźć wargę, aby nie krzyknąć.

Plastik był zimny i pachniał wybielaczem.

Tylne drzwi otworzyły się. Furgonetka się zatrzęsła i jakiś przedmiot wylądował tuż obok mnie.

Trzask. Kolejny trzask.

Z przodu samochodu dotarł do mnie dziewczęcy głos:

- Jesteście, kurde, nieźli.

- Pierdolisz.

- Nie, naprawdę tak myślę, Wim.

- Skopaliśmy, każdy wie, że musimy się podlizywać, więc nie chrzań mi... Przyniosłaś moją kurtkę?

- Uff... przepraszam, wrócę po nią.

- Cholera! Byle szybko!

Kolejne otwarcie drzwi i trzask.

Kaszel.

- Pieprzona wiedźma... - Facet włączył silnik i metalowa podłoga pode mną zaczęła drzeć. Próbowałem się czegoś przytrzymać, żeby się nie turlać, niestety bębny były okrągłe. Nie chciałem robić hałasu, więc przyłgnąłem do podłogi niczym pająk.

Facet włączył radio i przeszukał szereg kanałów, po czym rzucił:

- Same gówna!

Wyłączył radio.

Rozległ się odgłos pocierania, potem kliknięcie i zapachniało mi jakoś znajomo.

Trawka. W przyczepie często zasypiałem z nosem pełnym oparów trawy i zastanawiałem się, czy uszkodzi mi mózg.

Trzask.

- Proszę, kochanie.

- Wiesz, co to jest? Jagnięca skórka z pieprzonej Mongolii, Tybetu czy innego zadupia. A ćwieki zostały wykonane ręcznie i zamontowane przez ślepych wieśniaków, którzy

odmawiali w tym czasie specjalne modlitwy albo coś... Oddałem za nią litry własnej pieprzonej krwi, a ty ot tak o niej zapominasz! Niech cię jasna cholera!

- Przepraszam, Wim.

Palili i przez jakiś czas się nie odzywali. Silnik pracował, ja zaś przyciskałem palce do podłogi. Starłem się nie ruszać i nie oddychać. „Ciekawe, dokąd mnie zawiozą”, pomyślałem. Nie mogłem uciec, ponieważ bębny blokowały tylne drzwi.

Przynajmniej było mi ciepło.

- Daj mi jeszcze macha - powiedziała dziewczyna. Ten towar jest klasa!

- Hej, dość tego dobrego. Oddawaj!

- Dokąd jedziemy, Wim?

- Dokąd? Do Europy... Jak ci się, kurwa, zdaje? Do chaty, muszę się przekimnąć.

- Nie chcesz pojechać do „Whiskey”?

- Cholera nie, po co miałbym tam jechać?

- Mówiłeś... Pamiętasz?

- Co?

- Zanim wyszliśmy, mówiliśmy, no wiesz, że może pojedziemy do „Whiskey”, że może będzie tam ktoś, kogo znasz, a wtedy wciśniesz się...

- Wtedy było wtedy, a teraz jest teraz... Ktoś, kogo znam. Zgadza się. Znać kogoś to, kurde, gówno znaczy. Ważne jest, żeby działać, a dziś wieczorem daliśmy, kurwa, dupy, sama wiesz... Mała, nie mogę uwierzyć, że tak to, kurde, skopaliśmy. Skootch był trupio bładny, a tamten facet w drugim rzędzie - jestem prawie pewny, że był z Geffena - wyszedł wcześniej! Cholera, chyba nie zdobędę sławy przed śmiercią!

- Będziesz sław...

- Zamknij się, kurwa!!

Furgonetka ruszyła. Przez jakiś czas jechaliśmy na południe, potem skręciliśmy w prawo, czyli znowu na zachód. Wim prowadził wściekle - przyspieszał, wykonywał ostre skręty, zatrzymywał się niespodziewanie.

Minęło trochę czasu, zanim dziewczyna ponownie się odezwała.

- Hej, Wim?

Chrząknięcie.

- Wim? Co powiedziałaś przedtem?

- Eee?

- Że nie chcesz jechać do tamtej budy? Ale będą inne lokale, no nie? - Chichot.

- Daj mi, kurde, spokój. Zdaje ci się, że mam za sobą noc triumfów i teraz będę

romantyczny?! Lepiej się zamknij, a szybciej dowiozę nas do domu. Cholera, nie mogę uwierzyć, żeśmy tak zjebali!

Od tej pory żadne się już nie odezwało.

Próbowałem śledzić zakręty i rysować sobie w głowie mapę trasy, lecz po pewnym czasie zgubiłem się.

W końcu facet się zatrzymał i pomyślałem, że jestem ugotowany. Będzie teraz wyciągał bębny, znajdzie mnie, rozzłości się jeszcze bardziej i wyżyje się na mnie.

Szukałem po omacku pod plastikiem jakiejś prowizorycznej broni. Dotknąłem zimnego metalu, ale nie zdołałem go podnieść. Tak, tak, wpadłem na dobre.

Otworzyły się drzwi. Trzask. Kroki. Oddalają się. Cisza.

Wyszedłem spod plastiku. Furgonetka cuchnęła jak jeden wielki skręt.

Parkowała na cichej uliczce pełnej budynków mieszkalnych.

Wspiąłem się na przednie siedzenie i otworzyłem okno. Mogłem być gdziekolwiek. Może nawet facet przywiózł mnie z powrotem do Hollywood. Na zewnątrz było zimno, więc wczółgałem się ponownie na tył, zwinąłem czarny plastik, wetknąłem pod pachę, wróciłem na przód i wysiadłem.

Otoczył mnie nowy zapach.

Sól. I ryby.

Kiedy byłem mały, mama zabrała mnie raz na plażę. Jechaliśmy długo autobusem z Watson. Nie wiem dokładnie, która to była plaża i nigdy później na nią nie wróciliśmy, lecz pamiętam, że piasek był równy i ciepły, a mama kupiła nam obojgu lodowe rożki. Było gorąco i tłoczno. Zostaliśmy nad oceanem przez cały dzień. Kopałem dołki w piasku, mama siedziała w bikini i słuchała radia. Niestety nie wzięła kremu, toteż oboje się przypaliliśmy. Mam jaśniejszą cerę niż mama i gorzej zniósłem kontakt ze słońcem; porobiły mi się bąble i całe ciało mnie piekło. W drodze powrotnej do autobusu krzychałem z bólu. Mama kazała mi być cicho, ale jej skóra również zaróżowiła się jak guma balonowa i mama wiedziała, że naprawdę cierpię.

W przyczepie próbowała wlać mi do ust wino, na szczęście jej się nie udało. Zapach alkoholu odrzucał mnie, a poza tym, chociaż miałem zaledwie cztery czy pięć lat, wiele razy widziałem mamę pijaną i bałem się pić. Starła się mnie zmusić do wypicia, wepchnęła mi butelkę w usta i podnosiła ją, ja jednak ciągle odwracałem głowę i zamykałem usta, aż w końcu dała mi spokój i odeszła. Przez długi czas leżałem na tapczanie, szczypał mnie każdy centymetr mojego ciała, mama natomiast sama dokończyła wino.

Ta historia przypomniała mi się pod wpływem zapachu soli.

Pamiętam mamę siedzącą na ręczniku w czarnym bikini. Może miała nadzieję, że zauważy ją jakiś facet, lecz nikt nie podszedł, prawdopodobnie z mojego powodu.

Byłem zatem gdzieś w pobliżu plaży.

I nie miałem dokąd pójść.

Rozdział 35

Telefon w biurze Grega Balcha nadal nie odpowiadał. Petra zdecydowała się tam pojechać.

O osiemnastej opuściła parking posterunku, wybrała bulwar Cahuenga, którym pojechała do alei Franklina i dalej przez wzgórze.

Studio City mieściło się w San Fernando Valley, ale wydawało się nietypowe dla tej dzielnicy. Okolica na północ od Ventura Boulevard zmieniała się w zwykłą sieć anonimowych parceli z apartamentami, jednak na południu ciągnęły się ładne wzgórza aż do Mulholland, kręte ścieżki i domy na palach, które przetrwały trzęsienie ziemi. Przy Ventura znajdowało się mnóstwo rozmaitych sklepów (niektóre nieco odrapane), jedno kiepskie centrum handlowe, lecz także szereg komisów z antykami, studiów nagraniowych, barów z *sushi*, klubów jazzowych, kilka knajp dla gejów - okolica z pewnością była bardziej rozrywkowa niż reszta Valley.

Siedziba Player's Management nie wyglądała wszakże zbyt awangardowo. Spółka zajmowała ponury dwupiętrowy budynek w kolorze mlecznej czekolady, który stał z dala od ulicy, frontem do parkingu. Chwasty wyrastały ze szczelin w asfalcie, rynny były pokrzywione, stiukowe narożniki - wyszczerbione. H. Carter Ramsey nie był zbyt troskliwym właścicielem.

Czarny lexus był jedynym pojazdem na parkingu. Zatem Balch przebywał w środku, choć nie odbierał telefonów. Polecenie szefa, aby zniechęcić media? Petra zajrzała do samochodu. Pusto.

Parter czekoladowego sześcianu dzierżawiły dwa przedsiębiorstwa - agencja turystyczna, reklamująca zniżkowe loty na Bliski Wschód (na drzwiach wisiał plakat przedstawiający flagę Libanu z zielonym drzewkiem) oraz magazyn hurtowni kosmetyków. Obie firmy były zamknięte.

Rdzewiejące stopnie po prawej stronie prowadziły do cementowego pasażu. Trzy pary

drzwi w kolorze musztardowym z pewnością wymagały odnowienia. Apartament A mieścił Easy Construction Incorporated, B - coś o nazwie „Depilacja La Darcy”. Za nimi znajdowało się Player's Management. Na Zachodniej ścianie nie umieszczono okien. Przytłaczające.

Petra zastukała, nie otrzymała odpowiedzi, więc zastukała ponownie. Otworzył jej Balch.

Miał na sobie czarny aksamitny dres z zapinaną na suwak bluzą i białymi lamówkami. Na widok Petry okazał szczere zaskoczenie. Dziwne! Ramsey na pewno do niego zadzwonił. Widocznie Balch również miał aktorskie zdolności.

- Witam. - Podał jej miękką rękę. - Proszę wejść. Detektyw Connors, prawda?

- Connor.

Przytrzymał dla niej drzwi. Apartament składał się z dwóch nisko sklepionych pokoiów połączonych - obecnie otwartymi - drzwiami. Tylne pomieszczenie było większe i bardziej niechlujne. Wszędzie na tanim zielonym dywanie wały się stosy papierów i kartony po daniach na wynos. Frontowy pokój umeblowano obitym w kolorze złota tapczanem i tandetnym dębowym biurkiem zarzuconym jeszcze większą ilością papierów. Ściany pokrywała brzydka pseudoboazeria z podróbki drewna różanego i mnóstwo fotografii, przeważnie czarno-białych, takich, jakie można spotkać w starych kinach - widniały na nich uśmiechnięte stare gwiazdy i pewnikiem podrobione autografy.

Na wielu z nich dostrzegła Ramseya. Ramsey jako kowboj, funkcjonariusz policji, żołnierz, rzymski centurion. Szczególnie śmieszne wydało się Petrze zdjęcie młodego H. Carta przebranego za jakąś obcą istotę z kosmosu - w typowym dla lat sześćdziesiątych plastikowym kombinezonie z wypchanymi ramionami i prawdopodobnie gumowymi antenkami, sterczącymi z dziwnego hełmu. Nie miał wtedy wąsa, zaś usta zdobił mu szeroki, aktorski uśmiech mówiący: „zatrudnij mnie”. Na fotografii Ramsey wykazywał niewielkie podobieństwo do Seana Connery. Był dość przystojny.

Na samym szczycie Petra dostrzegła niedawno wykonaną kolorową fotografię Ramseya, ubranego w drogą sportową marynarkę i golf. Cwany twardziel, pozujący z pistoletem kaliber dziewięć. Podpis brzmiał: „Dack Price, Mediator”. Petra pomyślała, że powinna w końcu obejrzeć ten cholerny program.

Już miała wejść do tylnego pomieszczenia, kiedy dostrzegła zdjęcie, które potwierdziło jej podejrzenia co do aktorstwa Balcha. Wisiało na dole ściany, na w pół ukryte przez biurko. Chyba nisko cenił swoje aktorskie dokonania, skoro ukrył ich dowód.

Balch miał na fotografii dwadzieścia kilka lat. Całkiem dobrze się prezentował. Ważył dobre dwadzieścia kilo mniej, miał słoneczne blond włosy, był nieźle umięśniony. Przypominał bohatera „plażowych” filmów, z których Petra kiedyś lubiła się pośmiać.

Jednak nawet w młodości przybierał tępy służalczy uśmieszek, z którym nie miał szans zostać gwiazdą.

- Starocie powiedział Balch, wyraźnie skrepowany. - Uświadamiamy sobie, że są stare, gdy przestajemy się na nich rozpoznawać.

- Więc również pan grywał?

- Właściwie nie. Powinienem zdjąć te paskudztwa. - Bluza dresu opinała mu brzuch, spodnie wisiały na pośladkach. Na nogach Balch miał nowe białe tenisówki. Teraz, gdy się dobrze przypatrzyła, odkryła, że jego rzadkie, wymodelowane żelem włosy stanowiły mieszaninę blondu i siwizny. Prześwitywała spod nich różowa skóra.

- Napije się pani kawy? - Wskazał na tylne pomieszczenie, stanął przy drzwiach i poczekał, aż Petra wejdzie.

- Nie, nie, dziękuję. - Weszła. W pokoju było parę okien, lecz zasłonięto je kordonkowymi draperiami w kolorze pożółkłej gazety. Do pomieszczenia nie wpadało zatem żadne naturalne światło, zaś pojedyncza lampa biurowa, którą włączył Balch, niemal nie rozjaśniła mroku.

Wszędzie panował niewyobrazalny bałagan - papiery wały się po podłodze i krzesłach otaczających inne tanie biurko, większe, w kształcie litery „L”. Księgi podatkowe, książki ekonomiczne, prospekty, formularze. Na krótszym ramieniu biurka stał biały plastikowy ekspres do kawy z brązowymi plamami, w rogu - karton z Kentucky Fried Chicken; otwarta pokrywka była poplamiona od tłuszczu. W środku tkwiła - pewnie zapleśniała - potrawka drobiowa.

Totalny niechluj. Może dlatego Ramsey kazał mu pracować w tak kiepskim miejscu. A może na tym polegał ich układ.

Przez tyle lat Balch pełnił funkcję lokaja. Jak rozgryźć takiego faceta? Mieszkał w Rolling Hills Estates, bardzo bogatej dzielnicy, można więc sądzić, że Ramsey całkiem dobrze płacił mu za lojalność.

Gospodarz opróżnił dla Petry fotel, rzucając papiery w kąt, po czym usiadł za biurkiem i złożył ręce na brzuchu.

- Noo... Jak idzie? Znaczą śledztwo.

- Posuwa się. - Petra uśmiechnęła się. - Ma pan jakieś informacje, które mogłyby mi pomóc, panie Balch?

- Ja? Obawiam się, że nie, nadal nie potrafię uwierzyć... - Nerwowo poruszył podbródkiem. - Lisa była... miłą dziewczyną. Trochę porywczą, ale naprawdę wspaniałą osobą.

- Porywczą?

- Tak, wiem, co pani słyszała. Uderzył ją... Tyle mówili na ten temat w telewizji, ale przydarzyło mu się to tylko raz. Nie próbuję go usprawiedliwiać... Źle zrobił. Jednak... Lisa miała gwałtowny temperament! Przez cały czas atakowała Carta.

Próbował ukazać ofiarę w złym świetle, by wytłumaczyć postępowanie swego szefa? Czy wiedział, że w ten sposób podsuwa jej motyw wściekłości Ramseya?

- Czyli Lisa miała zwyczaj krytykować pana Ramseya?

Balch dotknął ust i zmrużył oczy.

- Nie mówię, że było im bardzo źle. Kochali się. Po prostu Lisa bywała... cóż, potrafię ją zrozumieć... Proszę zapomnieć, co powiedziałem, tak mi się wymknęło.

- Działała ludziom na nerwy?

- Jak każdy. Jej zachowanie nie ma związku z tym, co się stało. Na pewno zabił ją jakiś szaleniec.

- Dlaczego pan tak sądzi, panie Balch?

- Sposób... Morderstwo. To musiał zrobić wariat. - Podniósł rękę do czoła, potarł je, jakby próbował wymazać ból głowy. - Cart jest zdruzgotany.

- Jak długo się znacie?

- Dorastaliśmy razem, na północy stanu Nowy Jork, chodziliśmy do tej samej średniej szkoły i do college'u w Syracuse, graliśmy w futbol - on był *quarterbackiem*, cholernie dobrym. Kusili go szefowie drużyn zawodowych, niestety pod koniec ostatniego sezonu naderwał sobie ścięgno Achillesa.

- A pan?

- Grałem na pozycji *linemana*.

Lineman chroni quarterbacka.

- Przeszliście więc razem długą drogę.

Balch uśmiechnął się.

- Stulecia. Zanim się pani urodziła.

- Razem przyjechaliście do Hollywood?

- Tak. Po maturze często podejmuje się takie nagłe decyzje. Ostatni wyskok przed ustatkowaniem się. Chciałem tym pomysłem rozweselić Carta, którego trochę wytrącił z równowagi fakt, że nie dostał się do NFL-u. Jego ojciec posiadał sklep z towarami żelaznymi i chciał, żeby syn go przejął. Cart nawet miał taki zamiar...

- A pan?

- Ja? - Był wyraźnie zaskoczony, że Petra chce rozmawiać na temat jego życia. -

Zrobiłem właśnie dyplom z rachunkowości, dostałem kilka ofert z firm księgowych, sądziłem, że w końcu zdobędę tytuł biegłego.

Petra rozejrzała się po chlewie, który Balch nazywał biurem. Czy księgowy nie powinien być osobą dobrze zorganizowaną?

- Jak zatem stał się pan aktorem?

Jej rozmówca pogładził tył łysej głowy.

- To była naprawdę niesamowita sprawa. Chociaż nie tak zaskakująca, jak odkrycie Lany Turner przez Schwaba... Ma pani dość lat, by znać tę historię?

- Jasne - odparła Petra. Znała ją od ojca. Rodzice miesiąc miodowy spędzili w Kalifornii. Kenneth Connor kochał Los Angeles. Nazywał to miasto marzeniem antropologa. „Popatrz na mnie teraz, tato. Zadaję się ze sławami. Pracuję dla show-biznesu!”

- Ktoś odkrył pana i Carta? - spytała.

Balch znowu się uśmiechnął.

- Nie. Tylko Carta. Istna bajka. Za kilka dni mieliśmy wracać do Syracuse. Wypiliśmy po kilka piw w „Trader Vic's”... w pobliżu Beverly Hilton, zanim Merv go przejął. Tak czy owak, podszedł do nas jakiś facet i powiedział: „Obserwuję was, przystojniaczki. Chcielibyście zagrać w filmie?” Dał nam wizytówkę. Sądziliśmy, że picuje albo może to jakiś pedał i nas podrywa. Jednak następnego ranka Cart wyjął wizytówkę i stwierdził: „Słuchaj, zadzwońmy, co nam zależy. Niech się dzieje, co chce. Skoro i tak mamy wrócić do domu i podjąć normalną pracę, czemu nie mielibyśmy spróbować”. Okazało się, że facet naprawdę był z agencji castingowej. Pojechaliśmy na przesłuchanie, obaj dostaliśmy role... Nie żeby coś wielkiego... Nawet nie film kategorii B, raczej D. Western. Kino dla zmotoryzowanych.

Balch przełożył papiery na szczyt biurka. Bałagan pozostał ten sam.

- W każdym razie jedno spotkanie prowadziły do następnych i w końcu zdecydowaliśmy się zostać w Los Angeles, zdobyć przez następny rok kilka kolejnych ról. Nie należeliśmy do związku zawodowego, więc płacili nam niewiele, toteż ledwie starczało na czynsz. Potem ja przestałem dostawać zlecenia, zaś Carta zarzucano propozycjami. Miał ich coraz więcej i coraz lepsze. Wreszcie zdobył agenta i zaczął zarabiać całkiem przyzwoite pieniądze. Przeważnie grywał w westernach. Postanowiłem wracać do domu. Była zima, zbliżało się Boże Narodzenie. Pamiętam, co pomyślałem. Że moi rodzice nakręcą na mnie za zmarnowany rok. Zastanawiałem się też nad świątecznym obiadem.

- Przestał pan wierzyć w Hollywood?

Balch uśmiechnął się.

- Nie chodziło o wiarę. Nie uczyłem się aktorstwa, nie miałem też talentu do grania.

Nigdy nie dostałem mówionej roli, pojawiałem się jedynie w scenach zbiorowych i epizodach. Takie tam bzdury. Nie mogłem znaleźć pracy jako księgowy, a odrzuciłem już wszystkie oferty ze wschodnich stanów. Sądziłem jednak, że w domu czegoś sobie poszukam. Wtedy Cart poprosił mnie, żebym został. Powiedział, że będzie zabawnie i że załatwi mi pracę. I załatwił. Zostałem księgowym w Warner Brothers.

Rozłożył ręce i znowu się uśmiechnął.

- Tak przedstawia się cała ta niesamowita historia.

- Odkąd zarządza pan sprawami Ramseya?

- Zajmowałem się jego finansami od chwili, gdy tylko zaczął poważnie zarabiać. Wiedział, jak postępują z ludźmi pozbawieni skrupułów menedżerowie i chciał mieć przy sobie kogoś zaufanego. Wtedy pracowałem w księgowości ABC i wiedziałem już co nieco o show-biznesie.

- Kierował pan również interesami innych osób?

Balch poprawił się na krześle, po czym wygładził fałdę na czarnym aksamitnym dresie.

- Zdarza się, że raz po raz oddam komuś przysługę lub pomogę w zawarciu kontraktu, jednak sprawy Carla zajmują mi większość czasu.

- Więc panu Ramseyowi nieźle się wiedzie.

- Zapracował sobie na to.

Mówił jak prawdziwy *lineman*.

- Zatem... zajmuje się pan kontraktami?

- Cart ma do tego specjalnego prawnika, ale tak, sprawdzam wszystko.

- Co jeszcze pan dla niego robi?

- Zajmuję się jego podatkami, doglądam innych rzeczy. Lokujemy pieniądze w różnych dziedzinach - nieruchomości, papiery wartościowe. Zarządzam tym mieniem. Zajmuje mi to sporo czasu... Jak jeszcze mogę pani pomóc?

- Proszę kontynuować - odparła Petra. - Chodzi mi o osobiste szczegóły.

- Na temat Carta?

- Carta, Lisy.

Prośba najwyraźniej wymagała długiego namysłu, bo Balch zamknął oczy. Po chwili otworzył je, ręce zaś ponownie założył na brzuchu. Jasnowłosa Budda.

- Cart i Lisa - zaczął bardzo cicho - to bardzo smutna historia. On naprawdę się w niej zakochał. Czuł się skrepowany z powodu różnicy wieku. Mówiłem mu, że to drobiazg bez znaczenia, że jest w lepszej kondycji niż faceci o połowę od niego młodszy. A Lisa szalała za nim. Sądziłem, że są dla siebie stworzeni. - Grymas bólu przemknął przez puciołowatą twarz

mężczyzny. - Naprawdę nie wiem, czemu ich związek się rozpadł. Małżeństwo to trudny układ. - Otworzył szeroko oczy. - Dwa razy byłem żonaty, dwa razy się rozwiodłem. Kto wie, dlaczego ludzie się rozchodzą?

Petra wyjęła notes i Balch zdenerwował się trochę, jakby odczuwał niechęć wobec oficjalnej procedury.

- Proszę mi opowiedzieć o niedzieli. O podróży nad Jezioro Tahoe i o powrocie. Jak najdokładniej.

- Niedziela... Jasne.

Opowieść Balcha pokrywała się z historią Ramseya i pilota Marionfeldta co do szczegółów. Podróż nad Jezioro Tahoe, interesy, spokojny lot powrotny, obaj mężczyźni idą spać przez dwudziestą drugą, budzą się, ćwiczą, biorą prysznic, jedzą śniadanie, grają w golfa.

Śpią sobie rozkosznie, a w tym czasie Lisa zostaje zamordowana.

- Okej, dzięki... - rzuciła Petra. - Tak przy okazji, zainteresowało mnie, dlaczego nazwał pan swoją firmę Player's Management.

- Och. - Balch parsknął śmiechem. - Nawiązałem do czasów, gdy graliśmy w futbol. Byliśmy amatorami, szukaliśmy czegoś wpadającego w ucho. I anonimowego... Nie chcieliśmy wymieniać nazwiska Carta. Więc wymyśliłem takie hasło.

Petra wątpiła, czy był w tej kwestii całkowicie szczerzy. W show-biznesie rządzą aktorzy. Czyżby marzył o takiej władzy?

- A więc pańska praca - odezwała się - polega na ochronie interesów pana Ramseya. Jak się pan zachował, kiedy Lisa publicznie opowiedziała o akcie małżeńskiej przemocy?

- Cóż miałem zrobić? Po prostu stało się.

- Nie poprosił jej pan, by zdementowała swoje oświadczenie?

- Chciałem, lecz Cart mi zakazał. Twierdził, że to sprawa osobista, nie biznes. Nie zgadzałem się z nim.

- Dlaczego?

- W tym mieście czasami nie sposób oddzielić od siebie spraw prywatnych i interesów. Jednak Cart tak zdecydował i go posłuchałem.

Petra przekartkowała notes, po czym spytała:

- Czyli płaci pan rachunki swojego szefa?

- Przechodzą przez moje ręce, tak.

- Łącznie z alimentami dla Lisy.

- Tak... Proszę zauważyć, jak dobrze świadczą one o Carcie. Prawnik Lisy zażądał oburzającej sumy. A przecież Ramseyowie byli małżeństwem niewiele ponad rok.

Rozwodziłem się dwukrotnie i doskonale wiedziałem, czym zadowoliliby się Lisa, ale Cart nie chciał negocjować i dał byłej żonie tyle, ile chciała.

Znowu zmarszczył brwi. Urażony? Zazdrosny?

- Pan Ramsey jest więc raczej człowiekiem hojnym - podsunęła Petra.

- Niewątpliwie. - Balch wstał. - Jeśli nie ma pani nic przeciwko... Zrobiło się trochę późno...

- Jasne - zgodziła się Petra. Uśmiechnęła się i również wstała. Balch poczekał na nią przy drzwiach. Przeszła tak blisko niego, że poczuła jego zapach. Ciężka owocowa woda kolońska i pot.

Gdy znalazła się w pierwszym pokoju dodała:

- Och, jeszcze jedna drobna kwestia. Służąca pana Ramseya, Estrella Flores. Wie pan, gdzie mogę ją znaleźć?

- Cart powiedział mi, że odeszła bez wymówienia. Nie była chyba zbyt lojalna... Znalazłem mu nową dziewczynę.

- Przez tę samą agencję?

- Tak.

- Pamięta pan jej nazwę?

- Agencji? Jakaś z Beverly Hills... Ach, tak, agencja Nancy Downey. - Uniósł mankiet i popatrzył na zegarek.

- Dziękuję, że poświęcił mi pan tyle czasu, panie Balch.

Zanim Petra wyszła z biura, zerknęła na ścianę z fotografiami dwóch młodych mężczyzn pozujących do zdjęcia. Aktorzy. Gracze. Stojący obok fotek Balch wyglądał naprawdę staro.

Rozdział 36

Podjechała na stację benzynową, by skorzystać z telefonu. Sprawdziła numer agencji Nancy Downey i zadzwoniła, chociaż było już po godzinach pracy. Nikt nie podniósł słuchawki, nie włączyła się też automatyczna sekretarka. „Zadanie na jutro rano” - pomyślała Petra.

Wybrała drogę Laurel Canyon, wróciła do centrum i przejrzała ponownie zapiski z rozmowy z Balchem.

Nic imponującego, chociaż zdobyła trop związany z Estrellą Flores i dowód tarć między

Lisą i Ramseyem.

„Przez cały czas atakowała Carta”.

Stwierdzenie pokrywało się ze słowami Kelly Sposito na temat sarkazmu Lisy.

Eks-mąż impotent. Żona o ciętym języku. Ramsey powiedział, że miała zwyczaj go odpychać. Czyżby w końcu odepchnęła go zbyt mocno?

Ile wiedział Balch? Czy słyszał, jak Ramsey wychodzi z domu wczesnym rankiem? Jak wchodzi do samochodowego muzeum i wyjeżdża mercedesem? A może jeepem?

Jak daleko posunie się *lineman*, by chronić *quarterbacka*? Dwaj aktorzy. Gracze. Kiedy mówili prawdę, a kiedy grali?

Czas porozmawiać ze strażnikiem, który pełnił dyżur w niedzielną noc. Nagle Petrze coś przyszło do głowy. „Ranch Haven” zajmowało spory teren, z pewnością więc musiało prowadzić zeń drugie wyjście - ze względów bezpieczeństwa i na wypadek pożaru. Jeśli tak, czy również było strzeżone? A może mieszkańcy mogli nim wyjeżdżać i wjeżdżać niepostrzeżenie?

Zbyt wiele znaków zapytania. Petra miała do siebie żal o to, że od razu nie porozmawiała ze strażnikiem. Cóż za amatorszczyzna! Poczula się jak ślepy malarz.

Czy warto było teraz jechać do Calabasas? Jeździła przez cały dzień. Powinna odpocząć, przespać się, w przeciwnym razie będzie oszołomiona i podenerwowana, więc może popełnić kolejne błędy.

Jutro rano jej dzieło pojawi się we wszystkich mediach i na posterunek zaczną napływać informacje związane z chłopcem; większość z nich oczywiście okaże się zupełnie bezużyteczna. Szaleństwo! Do tego jeszcze coś w oczach chłopca martwiło Petrę - mały widział już zbyt wiele. Petra wolała nie myśleć, jak wpływa na umysł dziesięciolatka widok morderstwa.

Zamyśliła się nad chłopcem. Sam jadł kolację w Griffith Park. Czytał. Kradł książki. Patetyczne, ale jakież czarujące! „*Dość! Wróć na ziemię, E. T. Wymocz się w wannie, zjedz kanapkę...*” O rany, nie mogła wrócić do domu. O dwudziestej umówiła się z Ronem Banksem! Co ją opętało, że przyjęła jego zaproszenie?

Przejechała Bulwar Zachodzącego Słońca i spojrzała na zegarek. Dziewiętnasta czterdzieści sześć. Ledwie starczy jej czasu, by dotrzeć do „Kacza”, nie mówiąc o odświeżeniu i przebraniu się.

Facet zobaczy czarownicę.

Wielka sprawa! To nie była przecież prawdziwa randka.

Więc co?

Dojechała w trzy minuty, zapłaciła za parking i weszła do „Kacza” pachnącego peklowaną wołowiną. Powitał ją szeroki, fałszywy uśmiech zgryźliwej kelnerki, która pamiętała skąpe policyjne napiwki. Petra wybrała ławę z tyłu lokalu, zamówiła colę i skierowała się do damskiej toalety, by się odświeżyć.

Przed lustrem poplamionym mydłem poprawiła włosy i skrzywiła się na widok własnej twarzy. Strasznie wymizowana, zmęczona. Bledsza niż zwykle, kąciki ust opuszczone, zmarszczki. Przynajmniej czarny kostium ze spodniami wyglądał nieźle. Niech żyje wiskoza!

Kiedy wróciła, napój stał na stole, zaś Banks wchodził frontowymi drzwiami. Pomachała do niego.

Uśmiechnął się i usiadł.

- Dobrze cię znowu widzieć. - Położył ręce na stole i zabębnił palcami o blat. Rozwinął papierową serwetkę i umieścił ją sobie na kolanach. Ani na chwilę nie przestał poruszać rękoma.

- Duży ruch? - zagała.

- Nie jest źle. - Wyglądał inaczej. Bardziej obco.

Ale przecież był nieznajomym. Czowała się dziwnie. Miała ochotę na kąpiel, a traciła czas na rozmowy z nieznajomym mężczyzną o nerwowych dłoniach.

Kelnerka przyniosła czarkę z piklami. Petra wzięła jednego, w ten sposób określając podstawowe zasady spotkania: „Pachnę czosnkiem, nawet nie próbuj się do mnie zbliżyć”. Banks wyraźnie się odprężył i sięgnął również po pikla.

- Są świetne - powiedział. - Jeszcze nigdy tu nie byłem.

- Przyjemny lokalik.

- Czasami jeżdżę do „Langera” na Alvarado. Ludzie chodzą po MacArthur Park i wpadają na pastrami do „Langera”.

- Byłam tam - odparła Petra. - Lubię takie przysmaki.

- Nie martwisz się cholesterolem?

- Dobre geny - odparła. - Na razie nie mam kłopotów.

Roześmiał się. Dlaczego wyglądał tak osobliwie? Wydał jej się młodszy, jeszcze bardziej chłopięcy niż w domu Ramseya. Mimo iż był ubrany bardziej elegancko - w granatowy dwurzędowy garnitur, jasnoniebieską koszulę, bordowy krawat. Miły facet. Kiedy znalazł czas, by się tak wystroić?

Nagle Petra zdała sobie sprawę, w czym tkwiła różnica. Banks zgolił wąsa. Pamiętała go. Krótki, blond-siwy, prezentował się mizernie w porównaniu z sumiastymi wąsiskami partnera. Brak wąsa zmienił wygląd mężczyzny. W jego włosach nie dostrzegła siwizny i

dlatego teraz wydawał się młodszy o kilka lat. Banks miał ujmującą twarz: małą, wąską, nos trochę skrzywiony, ładnie rozmieszczone oczy. Orzechowe. Długie rzęsy. Miękkie wargi. Pozbawione owłosienia ręce. Młoda skóra. Wyglądał na mężczyznę, który późno dojrzał.

Kąciki ust Banksa lekko się unosiły, układając się w wieczny uśmiech. Petra pomyślała, że w szkole miał być może kłopoty z jego powodu. „Banks, przestań się tak głupio uśmiechać!”

Uświadomiła sobie, że od dłuższego czasu gapi się na swego towarzysza; dotknęła górnej wargi i zmarszczyła pytająco brew.

- Zgoliłem go ostatniej nocy - stwierdził, prawie skruszony. To był eksperyment. Moje córki nie lubiły wąsa, mówiły, że je łaskocze. Pozbyłem się go dla nich. Uważały zresztą, że jest śmieszny.

- Ile masz córek?

- Dwie. Pięć i sześć lat.

Była przekonana, że ma ze sobą zdjęcia, więc spytała o nie.

- Właściwie... - odparł, wyciągając kilka z portfela.

Dwie ładne małe istotki, obie ciemnowłose, ale o jasnej skórze i nieco latynoskich buziach. Duże brązowe oczy, długie kręcone włosy, identyczne różowe sukienki z frotki. Nie były podobne do ojca, chociaż Petrze wydało się, że młodsza przypomina go z uśmiechu.

- Absolutnie urocze. Jak mają na imię?

- Starsza - Alicia, mała - Beatrix Nazywamy ją Bee albo Honeybee.

„A” i „B”. Jej nowy znajomy wyraźnie lubił porządek. Oddała mu fotografie. Banks zerknął na nie, zanim je wsunął między karty kredytowe.

Podeszła kelnerka i spytała, czy są gotowi złożyć zamówienie.

Petra wiedziała czego chce, tym niemniej wzięła menu, aby dać mężczyźnie czas na podjęcie decyzji.

Kelnerka zastukała niecierpliwie obcasem.

- Mogę wrócić później...

- Nie, nie, chyba już zamówimy. Wezmę pastrami i sałatkę z kapusty. I frytki.

- A pan?

- Wędzony indyk na bułce kajzerce. I sałatka ziemniaczana.

- Coś do picia?

- Proszę kawę.

- Jak często udaje ci się z nimi spotkać? - spytała Petra, gdy ponownie zostali sami.

- Mieszkają ze mną.

- Ach tak.

- Ich matka jest Hiszpanką. Trenuje konie, uczy jazdy konnej. Wróciła do pracy w kurorcie na Majorce i zostawiła je pod moją opieką. Odwiedza je co kilka miesięcy. Ciągle jeszcze nie wie, gdzie chce mieszkać.

- Twarda kobieta - oceniła Petra.

- Tak. Staram się przekonać dziewczynki, że je kocha i że ją obchodzą, ale małe wiedzą jedno: że nie ma jej z nimi. Przykre. Zabrałem je nawet na terapię. Na szczęście pomogła.

Policjanci w większości unikają psychiatrów jak ognia, póki nie popadną w załamanie nerwowe. Petrze spodobało się podejście Banksa.

Obserwowała go, jak chrupał kolejnego pikla. Szczupłe dłonie. Wolną ręką nadal bębnił w stół. Palce długie, lecz silne. Nienaganne paznokcie.

Żuł powoli. Wszystko robił spokojnie, powoli i z rozmysłem. Tylko jego ręce szalały. Całe napięcie przeniósł w czubki palców.

- Zawsze chciała, żebym zapuścił wąsa. Mówię o mojej byłej żonie. Twierdziła, że z wąsem będę *muy macho*. - Roześmiał się. - Więc po jej odejściu zgoliłem go. Pewnie terapeuci mieliby coś do powiedzenia w tej kwestii. Tak czy owak, moja eks nadal próbuje odnaleźć swoje miejsce w życiu. Mam nadzieję, że wkrótce znajdzie.

- Jak długo już szuka?

- Ostateczne orzeczenie zapadło ponad rok temu. Współczuję jej, ma poważne problemy z samą sobą, ale... A tak przy okazji, rozmawiałem z szeryfem Carpinterią. Powiedział, że Lisa Ramsey nigdy nie złożyła skargi na Ramseya za pobicie. Nie mają również żadnych wezwań z tamtego domu. Kropka.

Nagła - zmiana tematu. Banks wiedział o tym i zarumienił się. Petrze nie przychodziły do głowy żadne słowa, którymi mogłaby rozładować nieco napiętą atmosferę.

Na szczęście wybawiła ich kelnerka, stawiając kawę tak gwałtownie, że rozlała trochę na podstawek.

- Jedzenie za chwilę - warknęła.

Pospiesznie odeszła, zaś Petra powiedziała:

- Dzięki, że sprawdziłeś, Ron.

- Drobnostka. Chętnie pomógłbym ci bardziej.

Wypili kilka łyków. Restauracja była prawie pełna. Goście stanowili typową mieszanicę siorbiących zupeł starców i smutasów reprezentujących „pokolenie X”, ostentacyjnie pogardzających zdrową żywnością. Za wielkimi kartonami sprzedawcy kroili jedzenie, pakowali je i rzucali dowcipami. Pachniało solonym śledziem, konserwowanym mięsem,

kiełbasą i słodkimi świeżymi liśćmi ryżowymi, wynoszonymi z kuchni na stalowych tacach.

Nagle Petra poczuła głód i równocześnie się rozluźniła.

- A ty? - spytał Banks. - Byłaś mężatką?

- Rozwiodłam się dwa i pół roku temu. Nie mam dzieci - dodała szybko, zanim zdążył zapytać. - A więc masz swoje córeczki przez cały czas. Opieka nad nimi musi być wyzwaniem dla samotnego mężczyzny.

- Pomaga mi mama. Odbiera dziewczynki ze szkoły i przedszkola, kiedy muszę iść do pracy. Są wspaniałe, słodkie, bystre, wysportowane. Alicia lubi piłkę nożną, już daje chłopakom popalić. Bee nie jest pewna, czy woli piłkę nożną czy amerykański futbol, ale ogólnie jest bardzo zręczna.

Sportowy tatuś. Jej ojciec radził sobie w ten sposób z całą piątką. Futbol dla chłopców, softball dla Petry. Każdej niedzieli zakładała ten ohydny strój. Nienawidziła wszystkiego, co się wiązało ze sportem, jednak udawała entuzjazm, by go zadowolić i utknęła w sporcie na trzy sezony. Po latach ojciec powiedział jej, że zrobiła mu wielką przysługę porzucając sport, bowiem pragnął mieć trochę wolnego w weekendy.

Samotny ojciec... Czy dlatego właśnie spotkała się z Banksem?

Wydawał się zbyt ufny i szczerzy jak na gliniarza. Spytała go, w jaki sposób trafił do biura szeryfa.

- Mój ojciec był strażakiem. Miałem do wyboru pracę w straży pożarnej albo w policji - wyjaśnił. - Zawsze brałem pod uwagę jedynie taką alternatywę.

- Nie zrozum mnie źle, ale dlaczego wybrałeś akurat biuro szeryfa, a nie Departament Policji Los Angeles?

Uśmiechnął się.

- Interesowała mnie prawdziwa robota policyjna... A poważnie mówiąc, Lulu, czyli moja eks, marzyła o otwarciu własnej szkoły jeździeckiej. Potrzebowaliśmy jednej stałej pensji, więc zgłosiłem się do szeryfa. Jak to było z tobą?

W dużym skrócie opowiedziała mu, jak przeobraziła się z artystki w detektywa.

- Malujesz? - spytał. - Beatrix jest uzdolniona artystycznie. A przynajmniej tak mi się wydaje. Jej mama próbowała garncarstwa. Ciągle mam w domu koło... Stoi nieużywane. Chcesz je?

- Nie, dziękuję, Ron.

- Jesteś pewna? Nie jest nam potrzebne.

- Doceniam twoją propozycję, ale ja tylko maluję.

- No tak. Jakie obrazy malujesz?

- Wszystko.
- I na pewno robisz to w sposób absolutnie profesjonalny.
- No, żaden tam ze mnie Rembrandt.
- Och, jestem przekonany, że jesteś niezłą malarką.

Opowiedziała mu w skrócie o okresie pracy w agencji reklamowej. Mówiąc, myślała o tym, że każde z nich woli słuchać o losach drugiego niż przedstawiać własną historię - Podobało jej się to. Sama trochę się broniła przed szczerością, jednak Banks sprawiał wrażenie faktycznie zainteresowanego jej osobą. Stanowił całkowite przeciwieństwo Nicka. A także wszystkich mężczyzn, z którymi spotykała się od czasu rozvodu - artystów, a później gliniarzy. Nawet kiedy pozwalali jej opowiadać o sobie, i tak tylko marzyli, by wrócić do „ja, ja, ja”.

Banks wydawał się inny. A może tylko to sobie wmawiała?

- Ostrzegalam, że to nic wielkiego - zakończyła.
- A jednak - naciskał - twórcze życie nie jest łatwe. Miałem wuja, który trochę rzeźbił. Zawsze był bez grosza... Ach, nadchodzi jedzenie. Hej, popatrz na te porcje!

Jadł powoli, więc Petra też starała się zapanować nad głodem. Detektyw Banks miał na nią wyraźnie dobry wpływ.

Między kolejnymi kęsami gawędzili o pracy. Prowadzili ogólnikową rozmowę o korzyściach płynących z pracy i o ubezpieczeniach, porównywali biurokrację „niebieskich” i „jasnobrązowych”, żartowali na temat międzywydziałowych zawodów sportowych. Znajdowali więcej podobieństw niż różnic. Petra zauważyła, że Banks nie nosi broni.

Po kanapkach zamówili jabłecznik *à la mode*. Petra skończyła pierwsza i dziobała nieuważnie okruszki zębami widelczyka.

- Lubisz jeść - zauważył Banks. - Dzięki Bogu.
- Widelec zatrzymał się w pół drogi. Odłożyła go.
- Mężczyzna ponownie się zarumienił.
- Nie... nie chciałem cię obrazić. Uważam... że to świetnie. Naprawdę. To świadczy... Przynajmniej jeśli chodzi o mnie... - Potrząsnął głową. - Och, Boże, nie jestem w tym dobry.
- Wbrew sobie roześmiała się.

- Okej, Ron. Tak, mam zdrowy apetyt, o ile oczywiście pamiętam, by coś zjeść.
- Nadal potrząsał głową. Wytrzeł usta serwetką, złożył ją starannie i umieścił obok talerza.
- Cokolwiek wybełkotałem, proszę, uznaj to za komplement.
 - Tak to właśnie potraktowałam - odparła Petra. - Więc twierdzisz, że miłość do jedzenia to zdrowa rzecz.

- Absolutnie. Zbyt wiele dziewcząt się ostatnio odchudza. Myślę o tym, ponieważ mam córki. Moja była żona zawsze starannie im wydzielala jedzenie. Miała obsesję na punkcie figury. - Przerwał. - Niezbyt to inteligentne z mojej strony wspominać o niej co minutę.

- Ależ Ron, ta kobieta była częścią twojego życia. To normalne. - Dała mu do zrozumienia, że sama równie często mówi o Nicku. Tyle że to była nieprawda. Petra nigdy z nikim nie rozmawiała o byłym mężu.

- Była - przyznał. - Czas przeszły. - Machnął ręką z grymasem niechęci. - Dość tego. Powiedz lepiej, jak się posuwa sprawa?

- Niespecjalnie. - Nie wdawała się w szczegóły. Lubiła Banksa, nie zapomniała jednak, że nie był jej kumplem z pracy.

- W sytuacjach, gdy w grę wchodzi rozgłos - stwierdził - nie ma mowy o właściwym wykonywaniu swojej pracy.

- Miałeś kiedyś taką sprawę?

- Kiedyś. - Poglądził serwetkę, później popatrzył w bok. Też był ostrożny?

- Kiedyś - powtórzyła.

- Znasz nas, wiejskich prawników. Biegamy za koniokradami i chronimy ekspresy konne.

- Aha - uśmiechnęła się Petra. - Mogłam o którejś z twoich spraw słyszeć?

- No cóż - odparł - Hector i ja rozpracowaliśmy pewnego nożownika z County Gen.

Megasprawa sprzed trzech lat. Psychopata zabijał pielęgniarki na terenie szpitala okręgowego. Cztery ofiary w trzy miesiące. Przystępcą okazał się sanitariusz, który siedział już wcześniej za gwałt i napaść. Sfałszował dokumenty i zatrudnił się w szpitalu. Pracował głównie na chirurgii, miał więc dostęp do narzędzi. Zanim go schwytano, pielęgniarki tak się przeraziły, że szykowały się do strajku.

- Ty rozwiązałeś tę sprawę?

- Razem z Hectorem.

- Jestem pod wrażeniem.

- Wierz mi, nie potrzeba było Sherlocka - odrzekł. - Wszystkie fakty wskazywały na pracownika szpitala. Wystarczyło przejrzeć papiery, sprawdzić karty kontrolne, wyeliminować niewinnych, żeby znaleźć winnego.

Petra przypomniała sobie feministyczną frustrację i hałas w mediach. Czy sprawą nie zajmowała się specjalna ekipa?

- Zajmowałeś się nią od początku?

Znowu się zarumienił.

- Nie, wezwali nas po kilku miesiącach.

- I tak zostaliście wybawcami.

- Tak bywa - przyznał. - A czasami to nas wybawiają. Wiesz, jak to jest.

Petra wiedziała jedno: sprawa nożownika z County Gen była ważna. I takich świetnych gliniarzy szeryf wysłał do zawiadomienia Ramseya?

Dlaczego Banks nie chciał mówić o tej sprawie? Skromność? A może „jasnobrązowi” przysłali go, by wyciągnąć od niej szczegóły?

- Masz jakieś pomysły w sprawie Ramseya? - spytała.

- Jak powiedziałem w jego domu, facet wydaje się podejrzany, ale trudno mieć pewność.

- Uśmiechnął się. - Daj mi trochę czasu.

Również się uśmiechnęła. Banks bębnił palcami w stół lub pocierał nieistniejącego już wąsa. Kelnerka podała mu rachunek i mimo protestów Petry, upierał się, że zapłaci.

- Hej, znosisz moje towarzystwo, więc zasłużyłaś sobie na kanapkę.

- Było bardzo przyjemnie - odparła lekko.

Wyszli z lokalu. Banks odprowadził Petrę do jej samochodu. Noc była ciepła. Nadal sporo pieszych chodziło po Fairfax, mały tłumek otaczał też kiosk z gazetami po drugiej stronie ulicy. Powietrze pachniało jedzeniem z „Kacza”. Banks nie zbliżał się do Petry, wręcz starał się jej nie dotknąć.

- Tak - odezwał się, gdy dotarli do forda. - Naprawdę kwietnie się bawiłem. Hmm... Chciałabyś dokądś pójść? Jeśli nie jesteś zmęczona. To znaczy... może chcesz posłuchać muzyki? Lubisz muzykę?

- Szczerze mówiąc, jestem skonana, Ron.

Z jego smutnej miny domyśliła się, że dla Banksa było to prywatne spotkanie i nie miało ono nic wspólnego ze sprawą. Petra złażała się w myślach za nieuzasadnione podejrzenia.

- Jasne - odparł. - Na pewno.

Wyciągnął dłoń. Uścisnęli sobie krótko ręce.

- Bardzo ci dziękuję, Petro. Naprawdę bardzo mi miło, że się ze mną spotkałaś.

Czy jakiś mężczyzna kiedykolwiek podziękował jej za wspólnie spędzony czas?

- To ja ci dziękuję, Ron.

Pochylił się do przodu, jakby chciał ją pocałować, potem zakolysał się w tył, lekko zamachał dłonią w jej kierunku i odwrócił się, wsuwając ręce w kieszenie.

- Jaką muzykę lubisz? - spytała. Spodziewała się tradycyjnego country.

Zatrzymał się, ponownie na nią popatrzył, po czym wzruszył ramionami.

- Przede wszystkim rocka. Stare rzeczy: bluesa, Steve'a Millera, Doobie Brothers. Grałem kiedyś w zespole rockowym.

- Naprawdę? - Zapanowała nad chichotem. - Miałeś długie włosy?

- Wystarczająco długie - odrzekł i podszedł do niej. - Nie zrozum mnie źle... Nie byliśmy profesjonalistami. Widzisz, graliśmy trochę po klubach, raczej amatorsko. Tam spotkałem moją... - Położył rękę na ustach.

- Jasne - roześmiała się Petra - i nie tylko ją, zgadza się? Miałeś tony panienek. Pewnie także z powodu dziewczyn przyłączyłeś się do zespołu. Grałeś na... Nie mów mi... Perkusji. - Te ruchliwe ręce.

- Zgadłś.

- Perkusieści zawsze mają mnóstwo panienek, prawda?

- Nie mnie o to pytać - stwierdził Banks. - Zawsze głównie starałem się utrzymać rytm.

- Ciagle grywasz?

- Od lat już nie. Mój stary sprzęt rdzewieje w garażu.

Razem z kołem garncarskim, rowerami, prawdopodobnie stosami starych zabawek, dziecięcymi ubrankami i Bóg wie czym jeszcze. Petra wyobraziła sobie mały domek pełen mebli Levitza. I marzenia o końskim ranczu, które nigdy się nie zmaterializowały.

- Dokąd chodzisz słuchać muzyki? - spytała.

- Kiedyś bywałem w „Country Club” w Reseda. Grają tam zespoły rockowe, wcale nie country...

- Wiem, gdzie to jest.

- Och. Przepraszam.

- A po tej stronie wzgórza? - spytała.

- Nie bardzo - rzucił. - Nie wychodzę zbyt często. - Wyznanie zakłopotало go i popatrzył na zegarek.

- Musisz wracać? - spytała.

- Nie, małe i tak już śpią. Dzwoniłem do nich przed kolacją. Moja mama z nimi została. Chcę tylko zatelefonować i sprawdzić, czy wszystko w porządku...

- Zadzwoń ode mnie - zaproponowała. - Mieszkam niedaleko.

„Powiedział matce, że wróci późno. Wielkie plany czy ślepy optymizm?” - pomyślała.

Z jakiegoś powodu nie obchodziło ją to.

*

Gdy Banks rozmawiał z matką, Petra umalowała się. Na szczęście, w apartamencie panował jako taki porządek. Od początku sprawy Lisy Petra tylko w nim sypiała. Poprosiła Banksa, by zdjął marynarkę i powiesił. Na stojąco wypili w kuchni po lampce wina.

Mężczyzna skomplementował wystrój wnętrza. Ponieważ nalegał, pokazała mu obrazy. Nie te zaczęte, lecz starą teczkę ze zdjęciami obrazów, które sprzedała jednej z galerii.

Banks był wyraźnie pod wrażeniem. Nadal nie próbował dotknąć Petry.

Przeszli do salonu i przejrzeni jej małą kolekcję kompaktów, starając się znaleźć coś, co oboje lubili. Znaleźli jedynie *Derek and the Dominos* Erica Claptona.

Siedząc na tapczanie w odległości pół metra od siebie przesłuchali pół albumu, potem Banks położył rękę piętnaście centymetrów bliżej. Petra przysunęła swoją dłoń i ich palce się dotknęły, a następnie splotły.

Oboje mieli spocone dłonie, lecz żadne nie ośmieliło się wytrzeć swojej. Petra uznała, że zaciska palce zbyt mocno i poluźniła uścisk.

Banks oddychał szybciej, lecz nie poruszył się.

Podczas *Bell Bortom Blues* obrócił głowę ku jej i pocałowali się.

Przez długi czas tylko dotykali się wargami; pachnieli czosnkiem. Później rozsunęli usta i całowali się namiętnie - języki wirowały, zęby dotykały się, ręce muskały karki. Banks miał delikatne wargi. Petra cieszyła się, że zniknął wąs. Kiedy przerwali, obojgu brakowało powietrza.

Banks pragnął więcej, lecz pożądanie w jego oczach spłoszyło Petrę i odsunęła się. Wysłuchali do końca piosenki, siedząc nieruchomo i znowu trzymając się za ręce. Petra była podniecona, obrzmiałe sutki sprawiały jej ból, ciało pragnęło miłości. Jednak nie chciała: nie z nim i nie teraz. Po kolejnej piosence wstała i poszła do łazienki. Gdy wróciła, Banks stał - już w marynarce.

Usiadła, zapraszając go, ale mężczyzna nadal stał przed nią. Wyciągnął dłoń i dotknął jej włosów, później policzka i brody. Podniosła oczy i zauważyła, że Banks zaciska dolne zęby na górnej wardze.

Zadrzała. Gdyby spróbował ponownie, kto wie, co by się zdarzyło.

Nie spróbował.

Wstała, wzięła go pod ramię i odprowadziła do drzwi.

- Bardzo chciałbym się z tobą znowu zobaczyć - powiedział.

Mówił nieco pewniejszym głosem, ciągle jednak pozostawał niepewny.

- Ja również tego chcę.

*

Pół godziny później leżała sama w łóżku, naga, po kąpieli, w ciemnościach. Przez chwilę słuchała odgłosów czyjś telewizora, potem pomyślała o wszystkich sprawach, które musi

zrobić rano.

Rozdział 37

Słońce wschodzi za mną. Pomarańczowe. Bardziej jaskrawe niż w parku, bo nie zasłaniają go żadne drzewa. Ocean ryczy. Szary. Czarny plastik jest zbyt cienki i odczuwam zimno.

Jeszcze nikogo nie ma na plaży, więc leżę bez ruchu, obserwując słońce i kilka samochodów pędzących przybrzeżną autostradą. Grube pale, które wspierają molo, są czarne od smoły i zeskorupiałe od pąkli. Jedna z nich jest otwarta, sięgam po nią, dotykam jej, a wtedy się zamyka.

W książce Jacques'a Cousteau był rozdział o pąklach. Tkwią w miejscu i żywią się tym, co przepływa obok nich. Wytwarzają klej, równie dobry jak superglue. Czasami są tak mocno przytwierdzone do podłoża, że nie można ich ruszyć.

Okej, robi się trochę cieplej. Lepiej pochodzę. Wstaję, strząsam piasek z włosów, zwijam plastik i wsuwam go za jeden z pali. Dla obciążenia kładę na nim kamień.

Czas zdobyć nowe rzeczy. Jedzenie, pieniądze. Czapkę. Przypominam sobie tamto poparzenie słoneczne. Może kupię też krem do opalania.

Dokąd mam iść? Czy powinienem opuścić Los Angeles? Nie ruszę na północ, ponieważ w tamtą stronę leży Watson. Na południe, do San Diego? A jeśli nie będzie mi tam dobrze? Następnym przystankiem jest Meksyk, lecz nie sposób się przedostać do obcego kraju.

Jeśli zostanę w Los Angeles, gdzie się ukryję?

Rozmyślałem przez długi czas i powoli moje przerażenie rośnie. To samo uczucie miałem przypatrując się PLYR-owi. Muszę przestać o nim myśleć...

Głupio z mojej strony tworzyć jakikolwiek plan działania. Przecież nie mam przyszłości. Nawet jeśli przeżyję kilka miesięcy, rok, ba, dwa lata, co dalej? Nadal będę dzieckiem bez wykształcenia, bez pieniędzy, bez kontroli nad czymkolwiek.

Na plaży ciągle nie ma nikogo. Jest jasnobrązowo i spokojnie. Ocean nadal szary jak stal z wyjątkiem białej piany rozbryzgujących się bałwanów. Jak gdyby pluły w niebo.

Plują w Boga...

Czy nie byłoby przyjemne wejść do wody i pozwolić, by uniosła mnie w dal? Może nawet utopić się. A może zdarzyłby się cud i - niczym butelkę z listem - ocean wyrzuciłby

mnie na brzeg jakiejś wyspy z palmami. Dziewczyny ubrane jedynie w spódniczki z trawy, długie czarne włosy aż do pośladków... Wychodzę z wody niczym bóg, a one wszystkie pragną mnie zobaczyć, walczą o mnie między sobą. Każda chce być moją dziewczyną, zaopiekować się mną, nakarmić mnie pieczoną świnią z jabłkiem w pysku i owocami, które dopiero co zerwały z drzew. Nikt nie musi tam pracować.

No i nie ma żadnych zmartwień.

Wstaję, przemierzam plażę do linii brzegu, podwijam nogawki spodni i przez chwilę stoję w bezruchu. Woda przecieka mi przez palce nóg.

Zimno. Stopy mi drętwieją. Wyglądają jak z białego wosku.

Ile mija czasu, zanim człowiek przestaje czuć zimno? Zanim jego ciało przestaje czuć cokolwiek?

Czytałem w książce od przyrody, że gazy i gnu ścigane przez lwy przestają odczuwać ból, dzięki czemu ich śmierć staje się lżejsza.

Gdy gonili mnie zbrojeńcy, czułem ból, więc może tamta umiejętność zastrzeżona jest dla zwierząt.

Albo może nie otarłem się o śmierć... wystarczająco blisko.

Gdybym nic nie czuł i nie martwił się, mógłbym po prostu poddać się niczym ofiara - jak Jezus.

Chyba bezwiednie zrobiłem kilka kroków, ponieważ stoję już w wodzie po kolana. Mam mokre spodnie, które na przemian wydymają się i przylegają mi do nóg. Nie jest już tak zimno. Ocean jest taki czysty. Ciągle idę przed siebie. Woda sięga mi do pasa. Przystaję i patrzę w wodę. Może zobaczę łódź albo przepływającego wieloryba.

Widzę jedynie kilka ptaków. Latają wokół mnie i nurkują. Robię kolejny krok. Tylko jeden, lecz różnica jest ogromna, bowiem dno ucieka mi spod stóp i nagle jestem w wodzie aż po szyję, próbuję się cofnąć, ale nie mam się czego chwycić i nagle czuję nadchodzącą falę, która przykrywa mnie, łykam wodę, dławię się. Wynurzam się, dostrzegam taflę oceanu, widzę, że plaża się oddala. Zaczynam płynąć, nie mam jednak dość sił. Coś pcha mnie do przodu, nie mam nad tym kontroli, zaczynam machać nogami i rękami. Wiem, że postępuję głupio, powinienem raczej trwać nieruchomo i spokojnie, lecz przecież prąd mnie przez cały czas sypcha! Nie chcę odpływać! Walczę. Jestem maleńki, słabszy nawet niż pąkla, ponieważ nie wytwarzam kleju. Dlaczego myślę teraz o mamie? Jak się poczuje, gdy się dowie? Tak mi zimno, oczy mi płoną, w gardle mnie pali, nie zamierzam zamykać oczu, ale... och... nie mogę utrzymać głowy nad...

Znowu się wynurzam. Kaszlę, pluję, oczy mi płoną, gardło boli jak kłute nożem. Woda

nadal mnie unosi w dal. Nie, nie, plaża się przybliża...

Ocean odrzuca mnie, zbliża się piasek. Woda wypuszcza mnie niczym Jonasza? Niestety nie, ponownie wpadam w głębinę, łykam tak wiele wody, że chyba pęknę, jeszcze raz w górę. Kaszlę, wymiotuję, kamienne dno uderza mnie, woda mnie żądli.

Ocean bawi się ze mną. W którą stronę mnie rzuci?

Moje pośladki boleśnie ocierają się o kamienie. Grunt. Piasek.

Wróciłem na brzeg.

Piasek przykleja mi się do przemoczonego ubrania. Pod wpływem soli zadrapania płoną. Turlam się. Byle dalej od wody.

Bezpieczny.

Kolejna szansa.

Bóg?

A może nawet ocean uznał mnie za śmiecia i wypluł jak niestrawne jedzenie?

*

Pospiesznie wracam ku molo, ciągle kaszląc i wypluwając słoną wodę. Kładę się, staram się złapać trochę słońca i wyschnąć. Teraz na plaży jest już kilka osób. Staram się myśleć tylko o sobie. Po godzinie ubranie mam bardziej suche, choć ciągle jeszcze nieco wilgotne. Boli mnie klatka piersiowa i jestem cały podrapany od piasku, lecz... Żyję!

Muszę się skoncentrować. Pieniądze i czapkę. Jedzenie. Krem przeciwsłoneczny.

Mniej więcej suchy idę w stronę molo. Dostrzegam diabelski młyn, samochodziki i karuzelę, lecz wszystko zamknięte na głucho. Nic tu po mnie. Dalej mijam kilka restauracji, ale również jeszcze nie działają. Jedyne jadalne drobiazgi to wyschnięte kawałki popcornu, przylepione do podłogi.

Na końcu molo jest otwarta buda z przynętami. Za kontuarem stoi facet o niechlujnym wyglądzie, obok dwie duże białe wanny pełne sardeli; niektóre ryby są martwe i pływają brzuchami do góry. Kilka osób łowi w oceanie, przeważnie starzy Chińczycy i kilku czarnych. Nikt niczego nie łapie. Wędkarze wyglądają na znudzonych.

W dwóch pojemnikach na śmieci znajdują mnóstwo rybich wnętrzności. Śmierdzą tak strasznie, że prawie wymiotuję. Opuszczam molo.

Za plażą ciągnie się ulica zabudowana luksusowymi restauracjami i hotelami. Nic tu po mnie. Na północy jest mały park pełen starych ludzi i bezdomnych. Ulica znika nagle wśród drzew.

Idę zatem na południe. Po pewnym czasie okolica staje się trochę bardziej swojska -

wokół motele, budynki mieszkalne i pomyleńcy; pewnie przybyli z Bulwaru. Znajduję na chodniku pół pączka. Wygląda nieźle, więc zjadam go. Na następnej przecznicy zauważam kawałek twixa, jednak jest zbyt roztopiony i brudny, toteż zjadam jedynie mały fragment.

Po kilku minutach spaceru dostrzegam znak z napisem: „Venice”. Małe domki, sporo ludzi, wielu Meksykanów. Idę dalej. Na końcu ulicy znowu widzę ocean i wkrótce trafiam na dużą szeroką drogę - gigantyczny deptak - zwaną Ocean Front Walk. Ocean po jednej stronie, sklepy po drugiej, wszystkie rodzaje ludzi: punki, Murzyni, piękne dziewczyny w bikini na rolkach. Faceci gapią się na wypięte pupy. Dużo młodzieży, pewnie uczniowie college'ów. Starcy siedzą na ławkach, wszędzie jeżdżą wytatuowani rowerzyści, mnóstwo dużych, złośliwych psów. W wydzielonych miejscach ćwiczą mężczyźni w typie młodego Arnolda Schwarzeneggera; ciała mają nasmarowane oliwką, toteż ich mięśnie wyglądają jak grejpfruty, które niemal rozsadzają skórę. Kulturyści podnoszą ciężary, nacierają ręce kredą, prezentują mięśnie, popisują się siłą.

Tutejsze sklepy są najczęściej małe i wyglądają na tanie. Budki z przekąskami, stoiska sprzedające lody, zimne napoje, okulary przeciwsłoneczne, upominki, widokówki, podkoszulki, stroje kąpielowe.

Czapki z napisem „KALIFORNIA!”, „MALIBU!” albo „VENICE!” Potrzebuję suchego ubrania, ale boję się coś wziąć z powodu zbyt dużego tłoku.

Mimo wszystko mógłbym tu chyba zamieszkać. Rozejrzę się.

Decyduję się przejść od jednego końca Ocean Front do drugiego. Może znajdę coś ciekawego.

W połowie deptaku dostrzegam szary budynek z sześcioramienną gwiazdą ponad drzwiami. Jest to gwiazda żydowska - znam ją z mojej książki od historii, z rozdziału: „Środkowy Wschód: Narodziny cywilizacji”.

Żydowski kościół - jak go nazywają? Synagoga? Tak jakoś. Podchodzę. Żydowskie litery obok drzwi, pod nimi angielskie. Ponad drzwiami napis: „KONGREGACJA BETH TORA”.

Dobre miejsce. Żydzi zawsze mieli pieniądze. Przynajmniej tak mawiał Baran-Moran - gadał, że są pieprzonymi bankierami, którzy żerują na państwie, zabili Jezusa, a teraz chcą okraść także nas.

Jak gdyby Baran kiedykolwiek miał pieniądze.

Myślę sobie: „Dlaczego miałby mieć rację? Mylił się we wszystkich innych sprawach”. A jednak... Co robiłby kościół wśród całego tego biznesu, gdyby nie miał związków z forszą?

Zresztą nie tylko Baran przeklinał Żydów. Mama zwykle się z nim zgadzała i mówiła:

- Kowboju, oni naprawdę mają talent do robienia pieniędzy, mają to we krwi.

- Ty głupia suko. - Śmiał się. - To nie talent, lecz zwyczajne oszukiwanie. Oszukują nas. Pieprzony SRO. Wiesz, co to jest? Syjonistyczny Rząd Okupacyjny. Chcą nad nami zapanować. Wiesz, że nawet nie są ludźmi? Pochodzą od diabła, który się pieprzył z wężem. Wiedziałaś? Tak naprawdę ludem wybranym jest rasa aryjska.

Tamtej nocy siedziałem przy kuchennym stole i próbowałem czytać książkę o wojnie secesyjnej. Potem jednak mama zaczęła opowiadać jakąś historię i przysłuchiwałem się jej. Mówiła o bogatej żydowskiej rodzinie, która posiadała dużą farmę truskawkową w pobliżu Oxnard. Mama wraz z rodzicami zbierała dla tych ludzi owoce, gdy była dzieckiem. Żydzi mieli duży biały dwupiętrowy dom i cadillaca - Pieprzeni kapitaliści. Wysysali krew z przywoitych ludzi - powiedział Baran.

- Właściwie byli okej, nawet mili... - zaczęła mama, lecz Baran tak na nią popatrzył, że dodała: - Tyle że na pewno bardzo kochali pieniądze. Żona zawsze ubierała się tak elegancko, jakby szła na proszoną kolację, a była przecież zwyczajną farmerką. Mieli duży dom, może nawet trzypiętrowy, i mnóstwo telewizyjnych anten na dachu, ale my, pracownicy spaliśmy w małych budach kempingowych przy grzejnikach naftowych.

- Pieprzone żydki.

Nawet jeśli większość z tego była kłamstwem, czasem przecież w kłamstwie jest ziarno prawdy. A ja nie potrzebuję tysiąca żydowskich dolarów, tylko garści nikomu niepotrzebnych drobniaków.

Ze znaku obok drzwi synagony wynika, że modlitwy odprawia się tu w piątek wieczorem, zaś czas na zapalenie świec - cokolwiek to znaczy - przypada o 19:34.

Nikt nie patrzy. Naciskam klamkę. Drzwi są zamknięte. Następne miejsce nosi nazwę „Cafe Eats” i również jest zamknięte.

Dostrzegam przejście między kościołem i „Cafe Eats”. Przemykam się na tyły. Widzę aleję i zaparkowane samochody, ale nikt nie jeździ. Dwa wolne miejsca za synagonem; żadnych samochodów. Więc Żydzi modlą się w piątek wieczorem. Czyli jutro.

Docieram do tylnych drzwi. Lakierowane drewno, po prawej stronie do ramy przybito jakiś drewniany przedmiot, z żydowską gwiazdą. Prawdopodobnie był to jakiś talizman lub prośba do Boga o pieniądze.

Tylne drzwi są także zamknięte. Tuż obok jest okienko, małe, zbyt małe dla dorosłego, lecz nie dla mnie. Na szybie wisi siatka, tak samo jak w domu z ananasek. Radzę sobie z nią równie łatwo.

Nie muszę wybijać tego okna; jest luźne. Kiedy go dotykam, trzęsie się. Pcham je mocniej i czuję, że ustępuje jeszcze bardziej, potem coś pęka i okno gwałtownie się otwiera.

Rozglądam się po alei.

Nadal żywej duszy. Wchodzę do środka.

Jestem coraz lepszym włamywaczem.

*

Ładuję w łazience - małej, ale czystej. Toaleta, zlew, lustro, nie ma prysznicza. Patrzę w lustro i odkrywam, że nie wyglądam tak źle jak sądziłem, dostrzegam jedynie lekkie zadrapania na twarzy i białe ziarenka zaschniętej soli wokół uszu i warg. Zmywam je, później korzystam z toalety.

Jak na niedoszłego topielca, wyglądam całkiem dobrze.

Dzięki ci Boże, jeśli to Ty mnie uratowałeś!

Myję ręce.

A teraz poszukajmy żydowskich pieniędzy.

Rozdział 38

Petra obudziła się o wpół do siódmej. Była półprzytomna. W głowie szalały jej myśli związane z Ronem Banksem, Estrellą Flores, Ramseyem, czytającym książkę o prezydentach chłopcem... Otuliła się szlafrokiem i przyniosła przed drzwi poranną gazetę.

Portret pamięciowy chłopca zamieszczono na stronie trzeciej, w środku artykułu. Nazwiska autorki rysunku nie wymieniono.

Z artykułu wynikało, że policja - w domyśle: przez opieszałość - nie dokonała żadnego postępu w sprawie. Rzecznik departamentu nazwiskiem Salmagundi sugerował, żeby nie przywiązywać zbyt dużego znaczenia do osoby świadka. Chłopiec był „tylko jednym z wielu tropów, które sprawdzimy”.

Podczas czytania ostatniego akapitu zaczęła oddychać szybciej.

Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów nagrody dla osoby, która dostarczy informację o chłopcu albo inny trop, który doprowadzi do aresztowania podejrzanego. Pieniądze pochodziły od doktorostwa Boehlingerów. Zaznaczono, że należy się kontaktować wyłącznie z detektywami hollywoodzkimi.

Podano numer wewnętrzny Petry. Cholera! Prawdopodobnie kontaktowali się z Schoekopfem, niech go diabli! Doszła do wniosku, że nie potrafi w ten sposób pracować.

Teraz całymi dniami będą dzwonić telefony z bezużytecznymi informacjami. Czy Stu

czytał już gazetę?

Normalnie natychmiast zadzwoniłaby do niego. Obecnie jednak sytuacja nie była już normalna.

Petra ubrała się w pierwszy strój, który wyjęła z szafy, wzięła ze sobą gazetę i pojechała - prowadząc o wiele za szybko - na posterunek.

Na biurku czekało już dziesięć wiadomości - dziewięć osób podobno widziało chłopca, zaś jakiś psychiczny z Fontana twierdził, że wie kto zamordował Lisę. Co przyniesie popołudnie?

Stu jeszcze nie przyszedł. Do diabła z nim. Fourniera również nie było na miejscu.

Machając gazetą, jak burza wpadła do biura Schoelkopfa. Szef siedział przy biurku; na jej widok podskoczył i wycelował w nią palec.

- Nie zwalaj na mnie winy za całe to gówno. Rodzice ofiary przyjechali wczoraj do miasta i poszli prosto do zastępcy szefa policji, do Lazary, który wezwał mnie na dwudziestą drugą. Musiałem się z nim spotkać. Ojciec Lisy to pieprzony dupek przywykły do rządzenia ludźmi. Kto wie, co dzisiaj przyjdzie mu do łba.

„Próbowałam cię ostrzec, idioto, a ty mnie zbyłeś” - pomyślała.

- Nie mógł pan do mnie zadzwonić?! - warknęła Petra.

- Mogłem czy nie mogłem... O co ci chodzi, Barbie?

Pseudonim, który nigdy dotąd jej nie przeszkadzał, teraz zabolał jak brzytwa sunąca po żywej tkance nerwowej.

- O to że...

- O to, że wtrącam się w wasze śledztwo, chociaż gówno odkryliście. Lazara wyrwał mnie z łóżka, nieźle mi się od niego oberwało, ponieważ oświadczył, że on pracuje do późna. W końcu stary usuwa się i zostawia mnie z łkającą mamą i nadętym tatą, wygłaszającym głupawe gadki o przestępcach. „Od czasu Menendez’a i O.J. Simpsona - wpada w słowotok wszyscy wiedzą, że policja Los Angeles nie potrafi łapać żonobójców”. Daję więc facetowi twój rysunek z nadzieją, że go nim uspokoję. Pyta, jak sobie radzimy. Odpowiadam, że szukamy dzieciaka. Nazywam faceta panem Boehlingerem, a ten mnie poprawia i każe się zwracać per „doktorze”. Potem stwierdza, że nasze poszukiwania nie wystarczą i potrzeba zachęty w postaci nagrody. Próbuję mu wyjaśnić, że nagrody przyciągają przeważnie szaleńców i sprawdzanie wszystkich durnych informacji zajmie nam sporo czasu. Na to facet podnosi słuchawkę mojego telefonu i dzwoni do jakiegoś prawnika nazwiskiem Hack i mówi do niego: „Porozmawiaj ze swoim kolegą z «Timesa» i innymi w stacjach telewizyjnych”. Sugeruje mi, że ten Hack to szycha. Pewnie tak, skoro o dwudziestej trzeciej udało mu się

umieścić szkic w porannej gazecie. Miałem cię budzić o północy? Jeśli masz do mnie żal, wnieś skargę. A póki co, zasuwasz do roboty.

Wyprosił ją machnięciem ręki.

Gliniarz z telewizyjnego serialu rzuciłby w tym momencie odznakę i broń na jego biurko.

Prawdziwy gliniarz trzyma głowę na kłódkę. Petra lubiła swoją pracę i wiedziała, że w departamencie obowiązują sztywne zasady hierarchii. Szef był szefem, a detektyw detektywem. Jednostka musi się podporządkować. Człowiek sika w dół, nie w górę.

Przykładem detektyw Milo Sturgis. Pracowała z nim nad jedną sprawą i wiedziała, że jest naprawdę świetny w swoim fachu. Jednak zewsząd słyszała na jego temat jedynie przekleństwa. Co z tego, że najszybciej w Zachodnim Los Angeles rozpracowywał wszystkie zbrodnie. W departamencie i tak go nienawidzono, ponieważ był gejem.

Petra odwróciła się do biurka, odsunęła dziesięć fiszek z informacjami i zatelefonowała do agencji Nancy Downey w Beverly Hills. Odebrała kobieta z hiszpańskim akcentem.

- Powinna pani porozmawiać z panem Sanchezem - wyjaśniła. - Przebywa w naszym drugim biurze w San Marino.

San Marino i Beverly Hills. Drogie dzielnice. Wschód i zachód.

Mężczyzna, który podniósł słuchawkę, mówił z podobnym akcentem.

- Pan Sanchez?

- Tak.

Petra przedstawiła się i powiedziała, że szuka Estrelli Flores.

- Ja również.

- Słucham?

- Właśnie otrzymałem telefon od jej syna z Salwadoru. Jest zmartwiony, ponieważ od niedzieli matka się z nim nie skontaktowała. Czy chodzi o morderstwo popełnione na pani Ramsey?

- Chcieliśmy tylko porozmawiać z panią Flores, panie Sanchez. Dlaczego jej syn się martwi?

- Twierdzi, że matka zwykle dzwoniła do niego dwa, trzy razy w tygodniu. Powiedział, że telefonował do domu Ramseyów, niestety trafił na automatyczną sekretarkę. Spróbowałem. To samo. Zostawiłem wiadomość, nikt jednak nie oddzwonił.

- Podobno pani Flores rzuciła pracę u pana Ramseya.

- Kiedy?

- W dzień po morderstwie.

- Ach tak.

- Więc nie dzwoniła do pana w sprawie następnego miejsca pracy?

- Nie - odparł zaniepokojony Sanchez.

- Domyśla się pan, gdzie może obecnie przebywać?

- Przykro mi, ale nie. Pracowała dla Ramseya od... proszę poczekać, sprawdzę... O, mam. Dwa lata. Nigdy się nie skarżyli.

- Gdzie pracowała przedtem?

- Przedtem... Niestety, nie mam na ten temat informacji. - w głos mężczyzny wkradła się ostrożność.

- Przebywała nielegalnie?

- Kiedy do nas przysła, przebywała w kraju legalnie. W każdym razie przedłożyła papiery. Robimy, co w naszej mocy, by...

- Panie Sanchez, nie interesują mnie kwestie imigracyjne...

- Nawet gdyby panią interesowały, pani detektyw, nie mamy nic do ukrycia. Wszystkie nasze pracownice przebywają w Stanach legalnie. Umieszczamy je w najlepszych domach i nigdy nie może istnieć najmniejsze podejrzenie...

- Oczywiście - przerwała mu Petra. - Proszę mi podać imię i numer telefonu syna pani Flores.

- Javier - odparł, recytując adres na Santa Cristina w San Salvador oraz numer telefonu. - Jest prawnikiem.

- Nie ma pan adresów innych miejsc, w których pracowała pani Flores?

- Twierdziła, że pracowała dla jakiejś rodziny w Brentwood, lecz zaledwie przez trzy miesiące. Nie podała nazwiska - nie chciała od nich referencji, ponieważ byli, jak się wyraziła, „niemoralni”.

- W jakim sensie?

- Sądzę, że chodziło o alkohol. Pani Flores jest osobą bardzo... moralną.

Gdy Petra się rozłączyła, zamyśliła się na chwilę nad zniknięciem służącej. Jeśli Flores odeszła z własnej inicjatywy, dlaczego nie skontaktowała się z synem? Nie trzeba być osobą szczególnie „moralną”, by poczuć odrazę z powodu morderstwa. Czyżby coś widziała? A może to ją ktoś widział?

Nie miała pojęcia, co dalej począć z tym tropem. Znowu obdzwaniać okoliczne posterunki i pytać, czy nie znaleziono ciała latynoskiej służącej? Mało prawdopodobne. Jeśli Ramsey ją wyeliminował, by nie podważyła jego alibi, z pewnością doskonale ukrył ciało.

Lepiej wrócić do „Ranch Haven”, porozmawiać ze strażnikami, zadać zaległe pytania. Może przypadkiem natknie się na Ramseya, a wtedy ostrożnie podpyta go o Flores i sprawdzi

jego reakcję.

Do pokoju detektywów wkroczył Wil Fournier i kiwnął na Petrę palcem. Wyglądał na rozgniewanego. Czy jego zachowanie miało coś wspólnego z chłopcem? Petra pospiesznie do niego podeszła.

- O co chodzi?

- Są tu ludzie, którzy koniecznie chcą cię poznać. - Kiwnął głową w stronę korytarza. Petra wyrzała. Na drugim końcu stała para po pięćdziesiątce. Dobrze ubrani, odwróceny do siebie plecami.

- Rodzice?

- A kóżby inny - odrzekł Fournier. - Schoelkopf dorwał mnie, gdy tylko wszedłem i oświadczył, że państwo B. żądają raportu z pierwszej ręki od nas trojga. Gdzie Ken?

- Nie wiem. - Jej ton zaskoczył Fourniera. - Czego dokładnie chcą?

- Informacji. Masz jakieś?

- Nie, a ty?

- Dzwoniłem do kilku schronisk, kościołów, ludzi z wydziału do spraw nieletnich. Nikt nie zna tego dzieciaka. Paru pracownikom opieki społecznej wydawało się, że widzieli go w okolicy, ale nigdzie się nie zgłosił.

- Bezdomy dzieciak - podsumowała Petra, myśląc o tym, jak wielkiej odwagi wymaga od jedenastoletka samotny pobyt w parku.

- Chodźmy się przywitać - powiedział Fournier. - Kobieta detektyw i Murzyn. Ci ludzie sprawiają wrażenie sztywniaków.

*

Pani Boehlinger wyglądała dokładnie tak, jak Petra się spodziewała: drobna, bardzo zadbana, przystojna. Przypominała anielsko cierpliwą Pat Nixon. Kok z trwałych loków w kolorze wytrawnego szampana wieńczył okrągłą twarz. Podkreślone brwi. Starannie utrzymana figura w konserwatywnie skrojonym czarnym kostiumie od „St. John's Knits”, Czarne zamszowe czółenka i torebka. Zaczerwienione oczy.

Jej mąż zawiódł oczekiwania policjantki. Wyobrażała sobie postawnego mężczyznę, jowialnego, w typie Ramseya. Doktor John Everett Boehlinger mierzył metr sześćdziesiąt pięć, ważył najwyżej sześćdziesiąt pięć kilo, miał wąskie ramiona i pospolitą twarz o prostych rysach: mięsistym nosie, małych ciemnych oczkach i obwisłych policzkach. Łysina na czubku głowy otoczona rzadkim wianuszkim siwych włosów po bokach. Przycięta kozia bródka w kolorze stali. Mógłby grać Freuda w *country club* na przyjęciu z okazji Halloween.

Nosił czarny trzyczęściowy garnitur, białą koszulę, szary krawat, gęsto zadrukowany maleńkimi czarnymi kropkami. Z kieszonki na piersi wystawała biała jedwabna chusteczka. Spinki do mankietów przyozdobione były onyksami. Wypolerowane buty ze wzmocnionymi noskami lśniły jak plama oleju silnikowego.

Dwoje małych ludzi w żałobnych strojach. Pani Boehlinger nadal wpatrywała się w ścianę, którą miała przed sobą, ściskając i rozwierając rękę; w drugiej kurczowo trzymała torebkę. Pociągnięte połyskującym pastelowym lakierem paznokcie były wyszczerbione. Nawet gdy Petra i Fournier podeszli do nich, kobieta pozostała odwrócona plecami do męża i nie podniosła wzroku.

Doktor Boehlinger za to od razu skoncentrował uwagę na parze detektywów. Niczym bokser przed walką, pochylił się do przodu. Kiedy znajdowali się o trzy metry od niego, odezwał się do Petry:

- To z panią rozmawiałem przez telefon.

- Tak, proszę pana. Nazywam się detektyw Connor. - Wyciągnęła rękę. Mężczyzna musnął ją przez pół sekundy dłonią, którą natychmiast cofnął. Wytarł rękę o garnitur. Rany boskie!

Petra przypomniała sobie, że nieszczęsny człowiek stracił dziecko. Nie ma nic gorszego na świecie.

Nic!

- Vivian? - odezwał się do żony.

Kobieta odwróciła się powoli. Zmęczone, zapłakane oczy, przekrwione siecią naczynek białka. Tęczówki jasnobłękitne - tak jak Lisy. W ogóle córka była bardzo podobna do matki. Czy Lisa tak by właśnie wyglądała za trzydzieści lat: elegancka, zapięta pod szyję matrona; uosobiona wytworność?

- To detektyw Connor, Vivian - wyrecytował doktor zrzędlawie.

Na twarzy Vivian Boehlinger widniało wyraźne pytanie: „Jakie to ma teraz, do diabła, znaczenie?”

- Miło mi panią poznać - powiedziała.

Kobieta wyciągnęła lodowatą rękę.

Petra uśmiechnęła się.

- A to jest detektyw Fournier...

- Już się poznaliśmy - odburknął doktor Boehlinger. - Gdzie jest ten trzeci... Bishop?

- W terenie - wyjaśniła Petra.

- W terenie... - mruknął Boehlinger. - Dobra, skończmy z tymi uprzejmościami.

Powiedzcie mi lepiej, jak wam idzie z Ramseyem.

Pani Boehlinger patrzyła przez chwilę, po czym ponownie odwróciła się, pokazując mężowi plecy. Doktor zlekceważył jej zachowanie.

- No i?

Detektyw nazwiskiem Bernstein wszedł do korytarza, nalał sobie kawy, po czym wrócił do pokoju detektywów.

- Porozmawiajmy gdzieś na osobności - zaproponowała Petra.

*

Wszystkie trzy sale przesłuchań były okropne - mniejsze niż cela więzienna, pozbawione okien. Jedną ścianę zajmowało lustro weneckie, na które większość idiotów wprowadzanych na przesłuchanie początkowo zwracała uwagę, ale natychmiast o nim zapomniała.

Zapach we wszystkich trzech był nieprzyjemny: pot, pomada, tanie perfumy, tytoń, hormony.

Petra wybrała salę numer jeden, gdyż stały w niej trzy krzesła zamiast dwóch; Fournier przyniósł czwarte. Stłoczyli się wokół maleńkiego metalowego stolika. Atmosfera nagle zgęstniała. Pani Boehlinger stale patrzyła na swoje paznokcie, kolana, buty, wszędzie, byle nie na otaczających ją ludzi. Chirurg wyglądał na gotowego do operacji.

Petra zamknęła drzwi, i w sali zapanowała klaustrofobiczna atmosfera. Pani Boehlinger miętoszyła dzianą spódnice. Jej mąż starał się patrzeć z góry na Fourniera.

Próbował dominować. Z jakiego powodu? Siłą przyzwyczajenia?

Petra przypomniała sobie, co mówił Ramsey. Jego zdaniem oboje rodzice próbowali rządzić życiem Lisy.

- Przede wszystkim chciałabym powiedzieć, że bardzo współczujemy państwu z powodu utraty córki. Robimy wszystko, co w naszej mocy, by znaleźć zabójcę Lisy...

Wzmianka o córce sprawiła, że pani Boehlinger się rozplakała. Doktor nie wykonał najmniejszego ruchu, by ją pocieszyć.

- Wiemy, kim jest zabójca! - oświadczył.

- Jeśli ma pan jakiegokolwiek dowody, proszę...

- Pobił ją, a ona go zostawiła. Czego więcej potrzeba?

- Niestety...

- Ten chłopiec, potencjalny świadek - przerwał Boehlinger. - Jestem pewny, że ktoś się zgłosi po naszą nagrodę.

- Było kilka informacji - potwierdziła Petra.

- No i?

- Nie sprawdziliśmy ich jeszcze, proszę pana. Badaliśmy inne tropy.

- Rany Boskie! - Boehlinger trzasnął pięścią w stół. Jego żona aż podskoczyła, lecz nie spojrzała na niego. - Sięgam do przeklętego portfela, odwalam za was robotę, a wy nie macie dość przyzwoitości, by sprawdzić...

- Sprawdzimy, proszę pana - zapewniła go Petra. - Gdy tylko będziemy mieli dość czasu.

- Co wam przeszkadza?

- Chwilowo jesteśmy w tej sali, proszę pana - odrzekł Fournier obcesowo.

Boehlinger ponownie podniósł rękę i przez sekundę Petra sądziła, że spróbuje uderzyć Wila. Na szczęście pięść zatrzymała się w pół drogi. Drżała. Chirurg zbliża się do kresu kariery? A może to stres?

- Pokrzyżowaliśmy wasze plany? Przeszkadzamy...

- Nie, proszę pana - odparł Fournier. - Doceniamy cały pański...

Ręka znowu uderzyła w stół.

- Tak - powiedział bardzo cicho - jest pan gburem. Oboje nie macie za grosz taktu.

- Johnie!

- To typowe - ciągnął Boehlinger, obrzucając piorunującym spojrzeniem najpierw Petrę, a następnie Fourniera. - Urzędnicy państwowi. Zatem nie wiecie nic o chłopcu. Kapitalnie, po prostu kapitalnie! Wasze postępowanie potwierdza moje najgorsze... Sądzę, że będziemy musieli wykonać kolejny krok, Vivian. Wynajmiemy naszych własnych...

- Przestań. Johnie. Proszę cię!

Boehlinger roześmiał się szyderczo.

- Na pewno zatrudnimy detektywa, ponieważ ci dwoje wyraźnie nie są...

- Zamknij się, John!!

Jej krzyk wypełnił pomieszczenie. Boehlinger zbladł i przesunął paznokciami po blacie, po czym rozpostarł dłoń. Nie odwracając się do żony, powiedział:

- Vivian, będę ci wdzięczny, jeśli nie...

- Po prostu się zamknij, John! Zamknij się, zamknij!

Teraz kobieta podniosła rękę. Dłoń pożeglowała przez powietrze niczym samolot i wylądowała na piersi, na sercu. W następnej sekundzie pani Boehlinger wybiegła z pokoju, kopniakiem otwierając sobie drzwi; nie zamknęła ich za sobą.

Fournier błagał oczyma Petrę, by poszła za zrozpaczoną matką i spróbowała ją pocieszyć.

Petra dogoniła kobietę na końcu korytarza. Pani Boehlinger siedziała na górnym stopniu schodów, zwrócona czołem do ściany; wspaniały kok podskakiwał wraz z każdym tknięciem.

- Proszę pani...

- Przepraszam!

- Nie ma potrzeby przeproszać, pani Boehlinger.

- Bardzo mi przykro, tak bardzo mi przykro!

Petra usiadła obok kobiety, a po chwili zastanowienia zdecydowała się objąć jej falujące ramiona. Pod dzianiną wyczuła delikatne kości. Poczowała mieszaninę zapachów makijażu, miętowego odświeżacza do ust i perfum Chanel numer pięć.

- Znajdźmy spokojne miejsce, by porozmawiać.

Vivian Boehlinger wyprostowała się i wskazała na salę przesłuchań.

- Nie przy nim!

- Nie, nie - zgodziła się Petra. - W cztery oczy.

W pokoju z automatem do kawy nie było nikogo, więc Petra wprowadziła kobietę i zamknęła drzwi. Nie było w nich zamka. Petra ustawiła krzesło przy drzwiach, usiadła na nim i dała znak Vivian Boehlinger, aby wybrała jedno z krzeseł stojących obok składanego stolika, przy którym detektywi jadalі śniadania.

- Kawy?

- Nie, dziękuję. - Mówiła teraz opanowanym, stonowanym głosem. Po napadzie wściekłości wyraźnie odczuwała wstyd i zmęczenie. Drobne dłonie położyła na udach, przykrytych czarną spódnicą. W świetle jarzeniówek Petra dostrzegła głębokie zmarszczki, spłycone przez wprawnie wykonany makijaż. W oczach kobiety zauważyła udrękę i brak nadziei. Ich wyraz mocno ją poruszył, tylko w nich bowiem odbijała się tragedia kobiety; poza tym matka Lisy trzymała się nieźle.

- Przepraszam - powtórzyła.

- Naprawdę nic się nie stało, pani Boehlinger. W takiej sytuacji...

- Kiedy wszystko się skończy, odejdę od niego.

Petra nie odezwała się.

- Zamierzałam to zrobić jeszcze w tym roku - kontynuowała Vivian Boehlinger. - Teraz poczekam. Trzydzieści sześć lat małżeństwa, kiepski żart!

Potrząsnęła głową; wydała okropny dźwięk: bardziej papuzi skrzek niż śmiech.

- On wciąż robi skoki w bok z jakimiś dziwkami - jęknęła. - Sądzi, że jestem głupia i niczego się nie domyślam. - Znowu ten sam straszliwy odgłos. Pod jego wpływem Petrze ścierpło całe ciało. - Tanie, niechlujne dziwki. A teraz jeszcze Lisa nie żyje.

Dziwne zestawienie, chociaż może wcale nie. Kobieta wymieniała po prostu swoje nieszczęścia. Petra czekała na dalszą część wywodu, lecz Vivian Boehlinger powiedziała jedynie:

- Moja Lisa, moja śliczna Lisa.

Na kilka minut zapadło milczenie.

- Sądzi pani, że córkę zabił Cart Ramsey? - spytała Petra.

- Nie wiem. - Odpowiedź padła bardzo szybko. Najwyraźniej kobieta sporo zastanawiała się nad tą sprawą. Żałośnie wzruszyła ramionami i pociągnęła nosem. Petra poszła po papierową serwetkę.

- Dziękuję. Jest pani przemiła. Mam mętlik w głowie. - Usiadła bardziej wyprostowana, wyżej. - John uważa, że może wszystko kupić. Zaoferował Lisie pieniądze, aby nie wychodziła za mąż za Cartera, a kiedy go nie posłuchała, chciał jej dać jeszcze więcej pieniędzy za rozwód. Jakież to idiotyczne... Przecież Lisa i tak zamierzała się rozwieść. Powiedziała mi o tym. Gdyby tylko John z nią o tym porozmawiał, nie musiałby jej składać oferty. Tak wyglądała cała sprawa. Lisa rozwiodła się z Carterem, ale nie wierzę, by John dotrzymał umowy.

Straszliwy uśmiech rozciągnął cienkie wargi. Pomadka i konturówka podkreślały koralowe granice i, gruntownie zmieniały zarys ust. Bez makijażu kobieta byłaby nie do poznania.

- Nie zapłacił? - spytała Petra.

- Oczywiście, że nie. Nie dał Lisie ani centa. Powiedział, że nie mówił poważnie, że rozwód i tak córce dobrze zrobi, więc nie powinna się skarżyć Lisa nie przejęła się, wiedziała w końcu, z kim ma do czynienia. A jednak... Nie sądzi pani, że to straszne?

- Jaką kwotę zaoferował mąż pani córce?

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Ciekawe, że teraz proponuje tylko połowę, nieprawdaż? - Potrząsnęła głową. - Niech się pani nie spodziewa, że zapłaci komukolwiek tę nagrodę, pani detektyw. Współczuję ludziom, którzy wierzą, że John da coś komuś... A czy sądzę, że Carter zabił Lisę? Nie wiem. Dla mnie zawsze był uprzejmy. Potem jednak Lisa oświadczyła mi, że ją pobił, więc sama już nie wiem.

- Ile razy ją pobił?

- Twierdziła, że tylko raz. Posprzeczali się, Carter stracił nad sobą panowanie i uderzył ją. Nie był to zwyczajny policzek... Córka miała podbite oko i rozciętą wargę.

- Tylko raz - powtórzyła Petra.

- Lisie raz wystarczył. - Wyraźnie się tym chełpiła, być może sama nie potrafiła się w ten

sposób postawić. - Powiedziała mi, że nie będzie tolerować przemocy. I zgodziłam się z nią. Mimo wszystkich świństw, jakie wyrządził mi jej ojciec przez trzydzieści sześć lat, nigdy nie podniósł na mnie ręki. Gdyby podniósł, kto wie, co bym zrobiła. - Wzięła torebkę, trzymając ją jak broń. - Oczywiście, nie wiedziałam, że Lisa zamierza pójść do telewizji. Gdyby mi o tym powiedziała, prawdopodobnie odradziłabym jej.

- To zbyt publiczne?

- Niesmaczne. Ale może się mylę. Po co tłamsić taką sprawę w sobie? Jaki jest sens być cichą, ładną i subtelną?

Popłakała jeszcze trochę, delikatnie dotknęła oczu.

- Czy sądzę, że Carter to zrobił? A dlaczegoż by nie? Jest przecież mężczyzną, a mężczyźni są odpowiedzialni za całą przemoc na świecie, prawda? Czy jestem tak pewna jak John? O nie. Nikt nigdy nie bywa tak pewny jak John.

Wstała.

- Wiem, że stara się pani ze wszystkich sił, pani detektyw. John pragnie krwi, ja zaś chcę tylko... czegoś, czego nigdy nie dostanę: chcę, by moja mała dziewczynka wróciła do mnie. Mam prośbę. Proszę wezwać dla mnie taksówkę.

- Oczywiście, proszę pani. - Petra została z nią, przytrzymując drzwi. - Tu jest moja wizytówka. Jeśli coś jeszcze pani sobie przypomni... cokolwiek, proszę dać mi znać.

Wróciły na korytarz. Drzwi do sali przesłuchań numer jeden nadal pozostawały zamknięte.

- Biedny ten pani kolega - oznajmiła Vivian Boehlinger. - John jest uprzedzony do policji... Naprawdę nim gardzę.

- Zadzwońię po taksówkę - powiedziała Petra. - Dokąd chce pani jechać?

- Beverly Wilshire. On zatrzymał się w hotelu Biltmore.

*

Ledwie po dziewiątej rano, a Petra już była wyczerpana; czas spędzony z Boehlingierami całkowicie pozbawił ją energii. Biedny Wil ciągle siedział sam na sam z wściekłym chirurgiem.

Co za para, nawet biorąc pod uwagę tragedię, którą przeżyli. Z pewnością nie stanowili dla córki wzorowego modelu małżeństwa. Raczej symbol uwięzienia.

Stosik wiadomości na biurku Petry wzrósł. Pojawiły się dodatkowe cztery informacje na temat chłopca. Bała się, co będzie dalej. Wielu na pewno skuszą pieniądze doktora Boehlingera.

Przy pewnych sprawach Petra czuła się mocno związana z rodziną ofiary. Teraz nie czuła żadnej więzi. Nie lubiła nadętego chirurga, a od ptasiego śmiechu jego żony cierpła jej skóra. Niedobrze. A Stu nadal nie było. Najwidoczniej miał pracę w nosie. Petra nie rozumiała jego zachowania, przecież wcześniej tak bardzo się troszczył o swoją karierę. Może naprawdę miał problemy małżeńskie.

Daremnie sprawdzała biura osób zaginionych, szukając Estrelli Flores. Gdy odłożyła słuchawkę, usłyszała głos partnera.

- Dzień dobry.

Świeżo ogolony, nienagannie uczesany w pięknym łupkowoszarym gabardynowym garniturze, perłowszarej koszuli, stalowo-czerwonym krawacie. Wszystko idealnie do siebie pasowało.

Petra zdenerwowała się.

- Jak dla kogo - warknęła.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju detektywów.

Rozdział 39

Sam Ganzer zaparkował lincolna niezbyt starannie. Dwudziestoletnie auto nie mieściło się na jednym miejscu parkingowym, więc Sam zajął dwa.

Nie było nikogo, kto mógłby się poskarżyć. Działalność synagogi - niegdyś centrum życia społecznego Żydów z Venice - ograniczała się obecnie do weekendowych nabożeństw.

Zresztą w piątek wieczorem trudno było niekiedy zebrać dziesięć osób do *minianu*. Kongregacja Beth Tora nie była wystarczająco ortodoksyjna dla *yuppies* z jarmułkami na głowach, którzy wprowadzali się do Venice, wobec czego założyli własną kongregację kilka przecznic dalej. Przywieźli fanatycznego brodatego rabina z Nowego Jorku i wprowadzili w synagodze przepierzenie pomiędzy częścią przeznaczoną dla mężczyzn a tą dla kobiet. Dla starego, przeważnie lewicującego tłumku, który bywał w *szulu*, [*szul* (jidysz) - synagoga (przyp. tłum.)] coś takiego było nie do pomyślenia.

Od założenia kongregacji młodych minęło pięć lat. Większość dawnych bywalców *szulu* zmarła. Sam wiedział, że w końcu będzie musiał zamknąć Beth Tora i sprzedać posesję. Może *yuppies* ją przejmą - lepsze to, niż zamienić ją w kolejną z tuzinów tandetnych sklepików, które stały przy Ocean Front Walk. *Yuppies* drażnili Sama mniej niż niektórzy starzy

socjaliści. Miał w sobie głęboko zakorzenioną nieufność wobec władzy, lecz w głębi serca był biznesmenem. Tymczasem parkował, jak mu się żywnie podobało.

Nie czuł się stary. Mógłby żyć wiecznie. Przez siedemdziesiąt jeden lat jego ciało dobrze się sprawowało. Jego brat Emil, który mieszkał w Irvine i zupełnie nie był religijny, liczył sobie sześćdziesiąt sześć lat. Mieli dobre geny - ich przodkowie byli przysadzistymi, krzepkimi kowalami i stolarzami, i to zahartowanymi przez srogie ukraińskie zimy.

Trzeba było prawdziwego zła, by odciąć całą gałąź drzewa genealogicznego rodu Ganzerów.

Matka, ojciec, trzech młodszych braci i dwie siostry trafiło do Sobiboru. Przepadli bez wieści. Awram, Motl, Baruch, Małka, Szejndl. Gdyby dotarli do Ameryki, jak brzmiałyby ich imiona? Najbliższe odpowiedniki to: Abe, Bernie, Marilyn, Shirley. W zeszłym tygodniu Sam podniósł tę kwestię w rozmowie z Emilem, ale brat nie miał ochoty dyskutować na ten temat.

Ogólnie rzecz biorąc, ukraińska policja aresztowała czterdzieścioro pięcioro Ganzerów i Lejbowiców i przekazała ich wszystkich okupującym kraj nazistowskim zbrodniarzom. Sama i Emila - muskularnych, młodych mężczyzn (Emil był bokserskim mistrzem wagi lekkiej gimnazjum w Kowelu) - oszczędzono i skierowano do pracy jako robotników przymusowych. Osiemnastogodzinne dni pracy o cienkiej zupce i razowym chlebie. Nocna ucieczka przez śnieg, życie w lesie na diecie z liści i orzechów, nieustannie głodni, na skraju wycieńczenia, póki nie trafili do domu pewnej pobożnej katoliczki. Kiedy jej syn wrócił z frontu, chciał ich wydać, więc bracia Ganzer ponownie uciekli. Wędrując, wiele razy otarli się o śmierć. Dotarli aż do Szanghaju. Chińczycy okazali się przyzwoitymi ludźmi. Czasem Sam zastanawiał się, jak by to było zostać w Chinach, poślubić jedną z tych przepięknych dziewczyn jak z porcelany. Po wojnie wybrał jednak Kanadę, później Detroit, w końcu Los Angeles.

Od lat nie rozmyślał o tych sprawach. Dopiero ostatnio wspomnienia zaczęły powracać, nieproszone. Prawdopodobnie coś niedobrego działo się z jego mózgiem. Ciało Sam miał mocne i zdrowe, lecz imiona osób i nazwy miejsc umykały mu z głowy. Zdarzało mu się wejść do pokoju i nie pamiętać, po co przyszedł. Starość nie radość. Jasne jak słońce. Stał się też nieco nerwowy i często wstrząsał nim - fatalny dla ciśnienia krwi - gniew.

Sam wyłączył silnik lincolna i wysiadł. Od śmierci pana Ginzburga w piątek wieczorem i w sobotę przyjmował na siebie obowiązki *szamesa*. Z funkcją wiązało się nieodpłatne sprzątanie w synagodze. A dlaczego nie? Cóż miał innego do roboty poza graniem na mandolinie i siedzeniem przed domem, narażając się na kontakt ze zbyt intensywnym słońcem - wycięto mu już cztery zmiany nowotworowe na twarzy i jedną na łysinie. Na słońcu musiał nosić idiotyczny kapelusz niczym starzec.

Zdjął kapelusz, wrzucił go do lincolna, przekręcił kluczyk w drzwiach i obrzucił spojrzeniem samochód. Jak zwykle zaparkował dziwacznie. Wolał ustawić samochód w poprzek niż zostawić miejsce dla jakiegoś narkomana, który ukradnie auto, by w nim przyćpać. Często się zdarzało coś takiego. W tej okolicy zawsze pojawiała się mnóstwo pomyleńców. Dzielnica stanowiła istną ludzką panoptikum. W dzień (szczególnie w weekendy) pełno tu było gapiących się turystów, nocami z kartonów wylazili bezdomni i szaleńcy.

Większość Ocean Front zmieniała się aktualnie w jedno wielkie szwindlowisko. Niebieskie ptaszki sprzedawały tu za bezcen kradzione towary, a w weekendy panował taki tłok, że nie sposób było zrobić dwóch kroków, by nie wpaść na czyjś stragan.

Przez czterdzieści lat Sam i Emil sprzedawali artykuły żelazne i elementy instalacji wodno-kanalizacyjnej w sklepie przy bulwarze Lincolna. Byli rzetelnymi handlarzami, a w dodatku obaj świetnie umieli wszystko zainstalować: potrafili „obrurować” dom od piwnic po dach. Dzięki tym umiejętnościom nie byli od nikogo zależni. Opuszczając Szanghaj. Sam przyrzekł sobie, że nigdy nie będzie od nikogo zależny. Może dlatego nigdy się nie ożenił. A przecież kobiety go uwielbiały. Wręcz szalały na jego punkcie. Zresztą, nawet teraz co jakiś czas łądował w łóżku z jakąś babcią zawstydzoną swą obwisłą skórą. Starość zniszczyła ciała kobiet, lecz Sam wiedział, jak sprawić, by jego wybranki ponownie czuły się młode i piękne. Poszukał w kieszeni klucza do *szulu*, znalazł go i otworzył tylne drzwi. Nie zauważył, że siatka z łazienkowego okna leży na ziemi, ponieważ częściowo przykrywała ją prawa opona lincolna.

*

Gdy wszedł do środka, niemal natychmiast uświadomił sobie, że do bóżnicy ktoś się włamał.

Na podeście, gdzie czytano Torę, stała posrebrzana *puszka*, błyszcząc na tle niebieskiej narzuty z aksamitu. Była otwarta. Sam pamiętał, że puszki na jałmużnę nie używano od piątku wieczorem, kiedy wystawiono ją przed nabożeństwami. Po ostatnim osobiście schował ją do szafki pod biblioteczką. Wyposażona była w tanią kłódkę na szyfr, ponieważ nie skrywała niczego kosztownego - zaledwie kilka dolarów w monetach.

A jednak ktoś włamał zamek i połasił się na te parę groszy. Ach tak... Zniknęło też jedzenie z szafki. Przekąski serwowane garstce stałych bywalców w sobotni rano. Krakersy „Tam Tam” i różowe pudełko z piekarni przy Fairfax - lukrowane *kichlen* w kształcie muszki. Sam kupił je w ubiegłym tygodniu. Nie zawierały konserwantów, więc do tej pory musiały

już szczerstwieć; zapomniał je wyrzucić.

Okruchy na błękitnym aksamicie. Ćwierćdolarówka i dziesięciocentówka zniknęły z *puszke*. Głodny złodziej. Co jeszcze wziął?

Jedynymi wartościowymi dla ćpunów przedmiotami były srebrne kwiatony i zawieszki zdobiące trzy rodąły wewnątrz arki. Sam ruszył ku rzeźbionej skrzyni z orzecha włoskiego, gotów odsunąć kotarę z błękitnego aksamitu. Obawiał się, co za nią znajdzie.

Nagle zatrzymał się i odruchowo uniósł muskularne ramiona. Może włamywacz ciągle tu jest. Tylko tego brakuje, żeby jakiś ćpun rzucił się na niego.

Nikt na niego nie skoczył. Panowała cisza i kompletny bezruch.

Sam stał w miejscu i rozglądał się.

Szul składał się z czterech części: małego holu wejściowego od frontu, toalety damskiej i męskiej na tyłach oraz - pomiędzy nimi - głównego pomieszczenia, w którym ciągnęły się rzędy ław z drzewa orzechowego na sto pięćdziesiąt osób.

Dwustronna zasuwą zabezpieczała frontowe drzwi - nie sposób wejść lub wyjść bez klucza. Podobnie tylne drzwi. Więc jak...

Sam odczekał jeszcze kilka minut, przekonał się, że nikt go nie obserwuje i zaczął sprawdzać szkody. Na początek wrócił do frontowego pomieszczenia. Było zamknięte. Żadnych śladów włamania.

Gdy wszedł do damskiej toalety, odkrył okno, przez które wszedł złodziej. Było wprawdzie zamknięte, ale brakowało siatki... Tak, leżała na ziemi, obok opony jego samochodu. Na parapecie zauważył białe odpryski suchej farby.

Zamknął okno po wyjściu? Przesadnie ostrożny złodziej?

Sam wrócił do głównego pomieszczenia, otworzył arkę i obejrzał Torę. Srebra nie ruszono. *Puszke* w kształcie butelki nie była chyba otwierana, zaś na zamku nie dostrzegł żadnych zadrapań. Tylko Sam i pan Kravitz znali szyfr. Opróżniali na przemian tygodniowe wpływy, które oddawali do prowadzącego działalność charytatywną sklepiku Hadassah na Broadwayu. Kiedyś Kongregacja Beth Tora z dumą przekazywała biednym pięćdziesiąt dolarów tygodniowo; teraz kwota ta zmniejszyła się do dziesięciu, dwunastu dolarów. Żenująco mało, więc Sam dokładał z własnej kieszeni dwadzieścia. Nie miał pojęcia, ile dawał Kravitz; facet był trochę skąpy.

Sprawdził *puszke*, potrząsając nią. Nadal pełna. Złodziej zabrał zatem jedynie ćwierćdolarówkę i dziesięciocentówkę. Dziwne.

Wiele *kichlen* zniknęło i - z tego, co widział Sam - całkiem sporo krakersów.

Głodny *ganew*. Prawdopodobnie jakiś włóczęga, zbyt zaćpany, aby wiedzieć, co robi,

jeden z tych szaleńców, którzy ślaniając się krążyli po deptaku. Czasami Sam dawał im pieniądze, innymi razy wołał nie mieć z nimi nic wspólnego.

Pomyleniec musiał być bardzo chudy, ponieważ okienko toalety było maleńkie. Ćpuni są przecież chudzi. I pewnie stale mają ochotę na słodczyce. W porządku, niewielka strata. Sam włożył monety z powrotem do *puszki*, oczyścił aksamit z okruszków, zamknął pudełko z krakersami i pudło z piekarni; zaniósł je do biblioteczki. Otworzył dolną szafkę, gdzie trzymali jedzenie, a wtedy zobaczył, że *ganew* nie tknął jeszcze jednej rzeczy: alkoholu.

Sznapsy dla stałych bywalców. Prawie pełna butelka Crown Royal i pół Smirnoffa.

Ćpun abstynent?

Obok butelek leżały złożone szale modlitewne. Wiązka małych jedwabnych taśesów w niebieskie paski, ale także duży wełniany *tales* w czarne pasy, zakładany przez prowadzącego modlitwę. Ten ostatni zwykle leżał w przegródce pod mównicą, więc jak się tu dostał?

Czy Sam go tam położył? A może Kravitz? Usiłował sobie przypomnieć, niech szlag trafi jego pamięć! ...Ostatni *szabes*... Tak, tak, pani Rosen nie czuła się dobrze i Sam wyszedł wcześniej, aby odwieźć ją do domu; zostawił *szul* pod opieką Kravitz, który wyraźnie nie dbał o ustalony od dawna porządek.

Podniósł wełniany szal modlitewny i odkrył, że Kravitz nie złożył go właściwie. Zakuty łeb! Przez całe życie był urzędnikiem w wodociągach. Czego można się spodziewać po urzędasie?

Złożył szal, gładząc grubą wełnę, i zaniósł go na podest. Pochylił się i otworzył drzwiczki przegródki.

Wewnątrz znajdował się chłopiec.

Zwinięty w rogu mały chudy dzieciak, który wyglądał na śmiertelnie przerażonego.

Ciężko oddychał. Sam widział, jak pierś dziecka porusza się i słyszał jego szybkie, zgrzytliwe jak u astmatyka wdechy i wydechy.

A jego mina!

Sam znał ją. Widział ją na twarzach swojego rodzeństwa; i na innych twarzach w oknie tamtego pociągu.

Czasem mieli ją robotnicy w obozie pracy.

Widział ją nawet na zazwyczaj kamiennym obliczu Emila, gdy brat chorował na zapalenie płuc. Tak, to była dokładnie ta sama mina.

Wykrzywiła także twarz Sama tamtej straszliwej zimy. Znalazł wtedy w śniegu kawałek popękanej szyby, użył jej jako lustro i zobaczył, jak bardzo się zmienił.

Chłopiec patrzył właśnie w ten sposób.

- Wszystko w porządku - powiedział uspokajającym tonem.

Mały drżał. Obejmował się ramionami, jakby odczuwał chłód i chociaż był słoneczny czerwiec, Venice w Kalifornii, piękny gorący dzień, Sam poczuł, jak ukraiński przymrozek szarpie jego ciałem.

- Wszystko w porządku - powtórzył. - Wyjdź, nie ugryzę cię.

Chłopiec nie ruszył się.

- Chodź, nie możesz tu siedzieć przez cały dzień... Nadal jesteś głodny? Krakersy nie wystarczą, zdobądźmy trochę prawdziwego jedzenia.

*

Minęło sporo czasu, zanim zdołał namówić chłopca do wyjścia. Sam stanął w takiej odległości, by dzieciak mógł się swobodnie wyczołgać. Kiedy w końcu wyszedł, wyraźnie miał zamiar uciec.

Sam chwycił go za ramię... Skóra i kości. Kolejna fala wspomnień.

Chłopiec walczył. Próbował kopać. Sam, doskonale wiedząc, jak czuje się człowiek w potrzasku, puścił chłopca, a wówczas ten rzucił się ku frontowym drzwiom.

Szarpał klamkę, lecz drzwi były zamknięte.

Wracając do głównego pomieszczenia *szulu*, ominął Sama szerokim łukiem. Dzikie oczy strzelały to w lewo, to w prawo. Najwidoczniej złodziejasek myślał jedynie o ucieczce.

Sam usiadł w pierwszej ławce, trzymając w ręku nie napoczęte pudełko pączków, które chłopiec przeoczył. Prawdziwy *chazerej*. Pokryte czekoladą puchate pączki od Entenmanna, ukryte za starymi modlitewnikami. Tajemna kryjówka Kravitz... Kogo stary chciał oszukać? Obok pączków stał również zamknięty słoik z kulkami *gefilte fisz* w galarecie. Sam nie sądził, by chłopiec miał ochotę na ten żydowski przysmak.

- Proszę - powiedział, wyciągając pączki. - Weź je ze sobą.

Chłopiec stał w miejscu i nieufnie wpatrywał się w niego. Był brudny, obszarpany i chudy, miał podrapaną twarz, a jednak wydawał się miłym dzieciakiem. Jedenaście, może dwanaście lat. Co robił sam na ulicy? Taki młody. Po Venice włóczyło się wielu uciekinierów, lecz przeważnie byli kilka lat starszymi, nadętymi i zbuntowanymi nastolatkami, z agrałkami i kolczykami w rozmaitych miejscach ciała, szalonymi fryzurami, tatuażami; ogólnie rzecz biorąc, prezentowali się kiepsko. Chłopiec zaś wyglądał jak zwyczajne dziecko, tyle że był niedożywiony i przerażony.

Zdecydowanie *gojsze* - ten zadarty nosek, brudne blond włosy. Sam wiedział, że goje czasami biją swoje dzieci, maltretują je, Bóg wie, co jeszcze. Może ten mały uciekł. Żydzi

pewnie też biją dzieci, chociaż nigdy nie spotkał się z takim przypadkiem.

Co właściwie wiedział o dzieciach?

Emil miał syna jedynaka, prawnika, który mieszkał w Encino - jeździł niemieckim samochodem! - i już nie rozmawiał ani ze swoimi rodzicami, ani z Samem.

- Proszę - powiedział, potrząsając pudełkiem z pączkami. - Weź je.

Żadnej odpowiedzi. Dzieciak był bardzo wystraszony, podejrzewał Sama o nie wiadomo co. Dżinsy miał strasznie poplamione, podkoszulek zaś podziurawiony. Zaciskał ręce w pięści. Twardy mały *piszer!*

Sam postawił pudełko na podłodze, wstał i oświadczył:

- No dobrze, otworzę ci drzwi, nie musisz wychodzić przez okno. Ale jeśli chcesz wiedzieć, jakie jest moje zdanie, powiem ci, że powinienesz zdobyć czyste ubranie i zjeść prawdziwe jedzenie z witaminami.

Pogrzebał w kieszeni spodni, po czym wyjął dwa banknoty z portfela. Dwudziestki... Może był zbyt hojny dla zupełnie obcego dzieciaka, ale co mu tam, do diabła!

Położył pieniądze na podłodze obok pączków, poszedł na tył *szulu* i otworzył tylne drzwi. Potem wszedł do męskiej toalety, ponieważ cisnął go pęcherz. Dał chłopcu szansę na spokojne wyjście.

Rozdział 40

Petra z niedowierzaniem wpatrzyła się w drzwi, przez które wyszedł Stu, po czym ruszyła za nim.

Zanim dotarła do wejścia, pojawił się w progu. Dał jej znak głową.

Chodź.

Ach, tak, wierna młodsza partnerka skoczy na byle skinienie.

Wymienili spojrzenia. Twarz miał bez wyrazu; Petra nie spodziewała się przeprosin. Starając się zachować godność, powoli zeszła za nim po schodach i wyszła z budynku na tylny parking, gdzie stał zaparkowany jego terenowy chevrolet suburban. Zwykle nieskazitelnie czysty, dziś miał brudne okna. Zeskorupiałe ptasie odchody plamiły białą maskę.

- Co się, do cholery, dzieje, Stu? - spytała.

Jej partner otworzył drzwi po stronie pasażera, nakazał jej gestem, by wsiadła, obszedł

samochód i usiadł za kierownicą.

- Nigdzie nie jedziemy - zaproponowała, opierając się łokciem o drzwi. - Niektórzy z nas pracują.

Zapatrzył się w przednia szybę. Zachodzące słońce zabarwiło kontury jego profilu na pomarańczowo. Pozuje lepiej, niż, niejeden model do okładki harlequina. Jeszcze jeden zgrywus.

Petra niechętnie wsiadła i zatrzasnęła drzwi tak mocno, że samochód aż się zatrząsł.

- Jestem ci winien wyjaśnienie - odezwał się Stu.

- Okej, słucham.

- Kathy ma raka.

Jakby kamień utkwiał Petrze w gardle. Przez moment Petra nie mogła złapać oddechu.

- Och, Stu...

Podniósł palec.

- Jutro będzie miała operację. Robili jej testy. Nie mieliśmy pewności... Niestety, teraz mamy.

- Tak mi przykro. Stu - Dlaczego jej nie powiedział? Oczywiście, nie są sobie dostatecznie bliscy. Osiem miesięcy ganiań za bandytami bynajmniej nie zbliża ludzi.

- Jedna pierś - ciągnął. - Doktor znalazł go podczas rutynowej kontroli. Sądzą, że chodzi o pojedynczy guzek.

- Jak mogę ci pomóc?

- Nie, nie, dzięki, dajemy sobie radę. Matka zajmuje się dziećmi, ojciec załatwia sprawy w szpitalu.

Położył prawą rękę na desce rozdzielczej. Petra dotknęła palcami jego rękawa.

- Idź do domu. Stu. Wil i ja poradzimy sobie ze wszystkim.

- Nie, w tym właśnie rzecz... Zamierzałem wziąć urlop, lecz Kathy nalega, żebym pracował. Mam być w domu wieczorem, zabiorę ją do szpitala. Powiedziała, że mogę z nią zostać, aż zaśnie. A jutro przyjdę po operacji. Jednak nalega, bym tymczasem nie zmieniał trybu życia. Nawet podczas jej naświetlań... Lekarze nie są pewni, jak dużą część piersi trzeba będzie wyciąć.

- Masz zamiar pracować w tej sytuacji? - spytała zaskoczona Petra.

- Kathy tego chce. Znasz Kathy.

Petra bardzo niewiele wiedziała o Kathy. Miła, ładna, świetna żona, supermatka. Nigdy jej nie widziała bez makijażu. Królowa balu w szkole średniej, uzyskała uprawnienia nauczycielskie i nigdy z nich nie skorzystała. Podczas rodzinnych wycieczek prezentowała się

jako doskonała organizatorka. Trochę powściągliwa... no, szczerze mówiąc, bardziej niż powściągliwa. Mimo powierzchownej przyjaźni, żona Stu zawsze utrzymywała dystans. Petra nazywała ją królową śniegu.

Trzydzieści sześć lat. Sześcioro dzieci.

Petra pomyślała o swoim własnym ojcu, wychowującym samotnie pięcioro dzieci. Stu przez cały czas starał się zachować spokój.

- Jest silna - stwierdził Stu. - Nigdy nie spałem z nikim innym.

Wygłosił to stwierdzenie zdumionym głosem. Petra poklepała go po ramieniu.

- Większość facetów męczy się, żyjąc z jedną kobietą. A ja zawsze pragnąłem tylko Kathy. Naprawdę ją kocham. Petro.

- Wiem o tym.

- Próbuje postępować właściwie, żyć w odpowiedni sposób... Wiem, że nie można zawierać układów z Bogiem. On ma własny plan, a jednak...

- Nic jej nie będzie - zapewniła go Petra. - Operacja się uda, zobaczysz.

- Popatrz na Ramseya - kontynuował. - Miał zdrową żonę, a ją zabił. Albo ta mała Eggermann. Wszystkie te zbrodnie, które widzimy.

Położył głowę na kierownicy i zaczął przeraźliwie szlochać.

Najpierw Vivian Boehlinger, teraz Stu.

Chociaż tych dwóch spraw w żaden sposób nie da się ze sobą porównać. Przecież Stu był częścią jej życia.

Petra wyciągnęła ręce ku partnerowi i przytuliła go.

Rozdział 41

Kiedy Mildred Board zbliżyła się do windy, usłyszała kroki z góry. Potem odgłos spuszczonej wody w toalecie, wreszcie wody puszczonej do wanny. Duży dom był zbudowany naprawdę pięknie, jednak w niektórych miejscach dźwięk przemieszczaj się zbyt swobodnie.

Pani sama przygotowywała sobie kąpiel?! Coś nowego!

Może to będzie dobry dzień.

Mildred wróciła do kuchni, zjadła sadzone jajka i wypiła kawę przy starym stole z cisowego drewna, później wyrzuciła fusy, zaparzyła świeży dzbanek kawy i poczekała

chwile. Niech pani się wymoczy do woli. Za piętnaście siódma ruszyła po raz drugi ze śniadaniem.

Na tacy nie położyła gazety, lecz wcale nie dlatego, że przejrzała ją, znalazła przykre wiadomości. Prawdopodobnie roznosiciel zapomniał o ich domu dziś rano. Nie po raz pierwszy. Tak to jest na tym świecie.

Postanowiła, że zajmie się tą sprawą po powrocie od pani. Zadzwoń do działu prenumeraty. Da im popalić!

Czasami chciała, by pani przerwała prenumeratę. Nie warto czytać tego, co wypisują w gazetach.

Wysiadła z windy na pokryte dywanem najwyższe piętro. Przeszła obok wielkiego Steinwaya, kufra (z okresu Regencji) z misternie wykonanym szylkretowym frontem, pary monumentalnych waz Kang Xi - niebieskiej jak niebo i białej jak mleko - stojących wysoko na postumentach z marmuru carrara. Na widok smugi kurzu we wnętrzu Mildred zatrzymała się i wytarła brud rąbkiem fartucha.

W drodze do apartamentu pani minęła kolekcję chińskiej porcelany oraz dwie złożone skrzynie (jedną wypełniały rzeźby zwierząt z brązu, w drugiej stało mnóstwo japońskich waz z jadeitu, kości słoniowej i różnych metali).

Wszystko piękne i cenne. Jak choćby kasetka, inkrustowana skorupą żółwia. Obecnie nie wolno było zabijać żółwi. Nienarodzone dzieci - owszem, ale nie gady.

Mildred zastukała do drzwi pokoju pani, usłyszała oczekiwaną słabą odpowiedź i weszła.

Pani leżała w łóżku, ubrana w koszulę nocną z kremowej satyny z ukrytymi guzikami (jakże trudno było znaleźć pralnię chemiczną, która wzięłaby odpowiedzialność za tak delikatny materiał), włosy miała owinięte w biały francuski ręcznik. Bez makijażu - a jednak nadal piękna. Zapach wody różanej wypełniał jej ogromny pokój. Na szafce nocnej znajdowało się jedynie pudełko z chusteczkami i czarna satynowa maska na oczy. Pościele były tylko lekko pogniecione; nawet we śnie ta kobieta pozostawała damą.

Tym niemniej zachowywała się dziwnie: patrzyła prosto przed siebie i nawet nie uśmiechnęła się do Mildred.

Znowu złe sny?

W pokoju było jeszcze ciemnowo z powodu wciąż zaciągniętych podwójnych zasłon. Mildred stała nieruchomo, nie chcąc niepokoić pani, która w sekundę później odwróciła się do niej.

- Dzień dobry, moja droga.

- Dzień dobry pani.

Jej twarz była bardzo blada, niemal kredowo biała. Zmęczona, strasznie zmęczona. Chyba jednak dzień nie będzie dobry.

Mildred zastanowiła się, czy powinna nakłaniać panią do wyjścia z domu... Może znowu pojechałyby do ogrodów Huntington? W zeszłym miesiącu spędziły przyjemnie godzinę, spacerując w typowym dla pani żółtym tempie. Tydzień później Mildred zasugerowała ponowną wyprawę - na przykład do galerii sztuki - lecz pani się sprzeciwiła. „Może innym razem, moja droga”.

Kiedys zatrudniali kierowcę, który jeździł cadillakiem i lincolnem. Cadillaca już nie było, lincolna zaś musiała prowadzić Mildred... Ile benzyny zostało w baku?

Jeśli nie przejażdżka, może chociaż spacer na tyłach domu. Trochę świeżego powietrza. Na przykład po lunchu.

- Śniadanie dla pani.

- Dziękuję ci, Mildred - powiedziała to mechanicznie i uprzejmie. Mildred natychmiast zorientowała się, że pani nie jest głodna i prawdopodobnie niczego nie tknie.

Ciało potrzebowało pożywienia. Prosta logika. Mimo tak doskonałego wykształcenia - ukończyła college w Wellesley, najlepszą żeńską szkołę w Ameryce - pani czasami wydawała się całkowicie nieświadoma podstawowych rzeczy. W takich chwilach Mildred czuła się jej starszą siostrą. Dbała o nią jak o dziecko.

- Musi pani coś zjeść.

- Dziękuję ci, Mildred. Postaram się z całych sił.

Mildred odstawiła tacę z jedzeniem, odsunęła zasłony i podała pani śniadanie do łóżka. Zauważyła zmarszczkę w plisach kotary, wyprostowała ją i wyjrzała przez okno. Wyłożony błękitnymi kafelkami basen, który zbudował on, wzorując się na basenie pani Hearst w San Simeon był pusty i upstrzony brązowymi plamami. Za nim ciągnął się - niegdyś idealnie zadbany - ogród... Obecnie na jego widok, Mildred odczuwała wręcz ból. Spojrzała w dal, na majaczące w oddali kontury Centrum Los Angeles. Cała ta stal i szkło, tak ohydna z bliska, z daleka prezentowała się nawet nieźle.

Kiedy odwróciła się, pani wycierała oczy.

Płakała? Mildred nie słyszała szlochu.

Pani wyjęła chusteczkę higieniczną z porcelanowej szkatułki i bardzo cicho wydmuchała nos. Przeziębienie? A może jednak płakała?

- Proszę pani, tost. Taki, jak pani lubi.

- Daj spokój, Mildred... To wspaniałe śniadanie, lecz... Dobrze, może uda mi się wmusić choć kęs. Zostaw tacę.

- Trochę kawy na pobudzenie apetytu, proszę pani?

Pani już chciała odmówić, a jednak powiedziała:

- Tak, proszę.

Mildred chwyciła otulony watowanym kapturkiem dzbanek i skierowała hebanowy strumień do filiżanki Royal Worcester. Pani podniosła kawę. Ręce trzęsły jej się tak bardzo, że potrzebowała obu, by utrzymać naczynie.

- Co się stało, proszę pani?

- Nic. Wszystko w porządku. Och, Mildred... jaka piękna róża.

- Róże wspaniale kwitną tego roku, proszę pani. To będzie dla nich dobry rok.

- Tak, jestem pewna, że tak... Dziękuję, że zadałaś sobie tyle trudu.

- Żaden kłopot, proszę pani.

Ten sam dialog wymieniały co rano. Setki poranków. Rytuał, ale nie formalność, ponieważ wdzięczność pani wydawała się absolutnie szczerą. Pani traktowała Mildred łaskawie i po królewsku. Szkoda, że jej królewskość była już tylko fasadą. Mildred trudno było myśleć o pani jako o Amerykance. Była raczej... obywatelką świata.

Pani sięgnęła po kolejną chusteczkę i przytknęła do oczu. Mildred podniosła tę pierwszą i wrzuciła ją do weneckiego kosza na śmieci stojącego pod tylnym stolikiem. Nagle zauważyła coś w środku.

Gazetę. Dzisiejszą!

- Wstałam bardzo wcześnie i przyniosłam ją, Mildred... Nie gniewaj się na mnie.

- Wcześnie, proszę pani? - Mildred była na nogach od szóstej. Wykąpała się - dziesięć minut wspaniałych bąbelków. Nie słyszała pani, zapewne jej kroki stłumiła płynąca woda!

- Wysłałam na zewnątrz, aby rzucić okiem na drzewa. Te wichury... W Santa Ana strasznie wiało ubiegłej nocy.

- Rozumiem, proszę pani.

- Och, Mildred, było pięknie.

Pani lekko zamrugła oczyma.

Mildred skrzyżowała ramiona na fartuszk.

- Jak wcześnie, proszę pani? - powtórzyła pytanie.

- Naprawdę nie wiem, moja droga... Szósta, szósta trzydzieści. Przypuszczam, że zasnęłam zbyt wcześnie, co zakłóciło mój rytm snu.

- No dobrze - mruknęła Mildred. - Życzy pani sobie czegoś jeszcze?

- Nie, nie, dziękuję, moja droga. - Ręce pani znowu się zatrzęsły i kobieta chwyciła się mocno pościeli. Uśmiechała się, lecz uśmiech wyglądał na wymuszony. Mildred modliła się,

aby pani nie dostała kolejnego ataku. Popatrzyła na gazetę.

- Możesz ją wziąć - rzuciła pani. - Jeśli chcesz ją przeczytać.

Mildred złożyła papierowe paskudztwo i wsunęła sobie pod pachę. Przeczytać, też coś! Natychmiast ją wyrzuci do kuchennych śmieci.

Rozdział 42

Kiedy zazgrzytał zamek na tyłach żydowskiego kościoła, przeraziłem się i zastygłem w bezruchu.

Co ci Żydzi mi zrobią? Koniec ze mną.

Tylne drzwi zaczęły się otwierać, więc wskoczyłem pod duży stół, wczołgałem się do szafki i cicho zamknąłem za sobą drzwiczki. Słyszałem kroki.

Wiedziałem, że weszła tylko jedna osoba. Tak, tylko jeden człowiek.

Szafka była pusta. Pachniała drewnem i starymi ubraniami. W ustach miałem smak krakersów i strachu. Wcisnąłem się w kąt i nie ruszałem się. Modliłem się, żeby Żyd nie otworzył moich drzwiczek.

Z tabliczki przed wejściem wynikało, że modlitwy są dopiero jutro. Czyżby jakiś Żyd przyszedł się pomodlić w tajemnicy przed innymi?

Na razie tylko chodził, zatrzymywał się, znowu chodził.

Zbliżył się nagle do mojej szafki. Jeśli ją otworzy, wyskoczę, będę krzyczał jak szaleniec, zaskoczę go i ucieknę.

Ucieknę? Ale jak? Przecież nie przez tylne drzwi, chyba, że ich nie zamkną.

A frontowe... Czy można je było otworzyć od środka? Przez okno łazienki? Do tego trzeba było czasu. Żołądek zaczął mnie boleć naprawdę mocno. Miałem wrażenie, że się duszę.

Nie zrobiłem nic złego - zjadłem im tylko trochę jedzenia. Nie było zresztą zbyt smaczne. Cebulowe krakersy, czerstwe ciasteczka w kształcie motyla.

Nawet nie majstrowałem przy srebrnej butelce z żydowską gwiazdą, jedynie potrząsałem nią, chcąc zobaczyć, co wypadnie. Mimo że kłódka wyglądała na bardzo słabą. Myślałem, by rozbić butelkę, była jednak taka ładna, że nie chciałem jej uszkodzić.

Byłem w żydowskim miejscu, ale to przecież również kościół, więc może i tutaj znajdował się Bóg.

Powiem mu to wszystko, jeśli mnie złapie!

Nie, nie powiem, lecz wykrzyczę. Będę wrzeszczał, a później pobiegnę do łazienki, zamknę się w niej i ucieknę oknem.

Pamiętałem, co Baran mówił o Żydach. Że zabijają chrześcijan... Szalona historia, co jednak jeśli...

Żyd oddalił się od mojej szafki. Raz się zbliża, raz odchodzi... Co robi?

O rany, znowu podchodzi. Słyszę grzechotanie... Potrząsa srebrną butelką. Teraz drapie po blacie stołu - prawdopodobnie sprząta okruchy krakersów... Znowu odchodzi. Może mnie nie znajdzie i po prostu stąd wyjdzie...

Nagle znowu wraca...

Drzwiczki się otwierają.

Nie skaczę i nie krzyczę.

Wciskam się tylko głębiej w narożnik.

Patrzy na mnie twarz. Stara twarz, nieco pyzata. Okulary w grubych czarnych oprawkach, duży czerwony nos, dość spore uszy.

Facet wygląda zabawnie. Cofa się. Jest ubrany jak starzec: biała koszula, workowate jasnobłękitne spodnie i zapinana na zamek jasnobrązowa kurtka. Palce ma naprawdę grube; jego ręce wydają się zbyt wielkie w porównaniu z resztą ciała.

Nie wydaje się rozgniewany. Raczej zaskoczony. Ciągłe wciskam się w róg. Twarde drewno uwiera mnie w plecy i pośladki, ale nie potrafię się powstrzymać i staram się odsunąć jeszcze bardziej.

Mężczyzna robi kolejny krok w tył i mówi:

- Wszystko w porządku.

Głęboki, zrzędlawy głos.

Siedzę nieruchomo.

- Wszystko w porządku. Wyjdź, nie ugryzę cię.

Przysuwa się bliżej, uśmiecha się, szczerząc do mnie zęby, jakby starał się udowodnić, że nie jada dzieci. Zboczony dziadek uśmiechał się do mnie w podobny sposób.

Żyd robi mi miejsce, abym mógł wyjść, jednak nie mogę się ruszyć. Po prostu nie mogę się ruszyć!

Sądzę, że jeśli mężczyzna zacznie się nade mną znęcać, dam radę go odepchnąć. Mimo tych wielkich, grubych rąk, jest tylko starcem.

W końcu udaje mi się przezwyciężyć lęk i wyczołguję się z szafki. Żyd chwytą mnie za ramię. Jest dość silny. Gdy próbuję go kopnąć, puszcza mnie. Wybiegam na przód synagonu,

lecz drzwi są zamknięte. Nie mam klucza, więc utknąłem.

Wracam. Facet siedzi w ławie kościelnej. Śmieje się, wyciąga pudełko czekoladowych pączków, próbuje mi je dać, ale nie ma mowy, nie podejdę do niego.

Nie dlatego że jest Żydem. Jest człowiekiem, a nikomu nie można ufać.

Zaczyna znowu do mnie przemawiać. Mówi, że otworzy dla mnie tylne drzwi, że nie muszę się wyczołgiwać przez okno.

Potem wyjmuję pieniądze! Dwa dwudziestodolarowe banknoty... Czterdzieści dolarów!

Co stara się kupić?

Nie biorę pieniędzy. Kładzie je na podłodze razem z pączkami, po czym wstaje, otwiera drzwi i idzie do łazienki.

Łapię wszystko i wybiegam na dwór.

*

Na zewnątrz odzyskuję oddech. Pieniądze w mojej kieszeni ważą chyba z tonę. Pierwszy pączek, którego jem, idąc przez aleję, pachnie fantastycznie. Zjadam następnego. Później zaczyna mnie boleć żołądek i decyduję się zostawić resztę na później.

Nadchodzi pora otwierania sklepów. Wielu ludzi spaceruje po alei lub jeździ na rolkach. Kupuję czapkę z logo Dodgersów. Ma taśmę regulacyjną z tyłu. Dopasowuję czapkę i pochylam głowę. Tak, czapka uchroni moją twarz przed promieniami słonecznymi. No i ukryje ją przed ludzką ciekawością.

Kupowanie to dziwne doświadczenie. Czapkę nabywam w małej budzie parę kroków od synagonu. Sprzedawca jest brzydki, ma niezdrową cerę, lustrzane okulary przeciwsłoneczne i długie, tłuste blond-siwe włosy. Patrzy na mnie zabawnie. Jakby mnie znał.

Domyślam się, że może być z Hollywood, choć nigdy przedtem go nie widziałem. Mówi z niesamowitym akcentem, jak czarny charakter z filmu szpiegowskiego. Rosjanin? Gada jak ruski szpieg...

Dlaczego więc patrzy na mnie w ten sposób? Właściwie... nie wiem, jak patrzy. Z powodu tych lustrzanych okularów.

Odnoszę jednak wrażenie, że bacznie mi się przygląda, stale przekrzywiając głowę. Sporo czasu zajmuje mu wydanie reszty.

Gdy się odwracam, mówi:

- Hej, ty, dzieciak...

Wolę odejść. Nasuwam czapkę głęboko na czoło. Kiedy po kilku chwilach ponownie się odwracam, sprzedawca nadal stoi przed budą i ciągle gapi się w moim kierunku, toteż

skręcam między budynki. Przez jakiś czas idę aleją, następnie wracam na deptak Ocean Front, w miejscu na tyle odległym od budy, że facet mnie już nie zobaczy.

Ocean stał się teraz czystobłękitny, a słońce wreszcie rozgrzewa moje kości. Czuję zapach hot-dogów i popcornu. Mam pieniądze, mogę sobie je kupić, lecz ciągle czuję się syty od krakersów i pączków. Otacza mnie tłum ludzi. Idę wraz z nimi niczym po ruchomym chodniku. Jakbyśmy wszyscy wykonywali jakiś taniec, podczas którego nikt nikomu nie przeszkadza.

Za sprawą zapachu hot-dogów czuję się jak na festynie. Byłem raz na szkolnym festynie. Nie miałem pieniędzy, by sobie kupić coś do jedzenia. Odnoszę wrażenie, że znalazłem się w ciepłym jasnym śnie.

Docieram do końca deptaku. Dalej jest już tylko piasek.

Plaża wygląda jak koniec świata.

Zamierzam wrócić na drugi koniec deptaku, skręcam, idę przez chwilę, aż nagle ponownie dostrzegam szpetnego Rosjanina. Sunie w moją stronę. Niby gubi się w tłumie, choć wyraźnie się w nim wyróżnia. Wszyscy inni dobrze się bawią, a on wygląda na rozgniewanego i nieprzytomnym wzrokiem rozgląda się na boki. Szuka czegoś... Mnie?

Kolejny zbokol?

Nie mam ochoty poznać odpowiedzi na to pytanie. Wchodzę z powrotem w aleję i wracam w kierunku, z którego przyszedłem. Stale oglądam się przez ramię. Dostrzegam mnóstwo różnych ludzi. Rosjanina nie ma. Potem aleja znów pustoszeje i znowu staję przed synagodem. Za budynkiem stoi ogromny stary biały lincoln continental z brązową budą. Musi należeć do starego.

Żydowskie kajaki. Tak nazywał je Baran-Moran. To znaczy cadillaki i lincolny continentale.

Mawiał, że to miękkie samochody dla słabych ludzi.

A jednak starzec miał sporo siły w rękach.

Dał mi tyle pieniędzy... czterdzieści dolarów. Dał mi je jakby nic dla niego nie znaczyły. Więc Żydzi są bogaci. I... ten stary niczego ode mnie nie chciał.

*

Mógłbym pewnie wydębić od niego jeszcze trochę pieniędzy. Ciągle stoję w alei i zastanawiam się, gdy nagle Żyd wychodzi, dostrzega mnie i posyła mi zaskoczony uśmiech. Mężczyzna jest bardzo niski. Tym razem zauważam, że ma nieco zbyt białe zęby. Prawdopodobnie sztuczne.

Mama miała kilka sztucznych zębów z tyłu (jej własne spróchniały i wypadły), lecz nigdy ich nie wkładała i miała zapadnięte policzki.

Starzec rozkłada ręce. Wydaje się zakłopotany.

- Co jest? - mówi. - Czyżbyś już wszystko wydał?

Rozdział 43

Przez chwilę Stu pozwolił jej się pocieszać, po czym gwałtownie wyrwał się z jej uścisku. Dziś pierwszy raz w ogóle się dotknęli.

- Wracajmy do pracy - rzucił.

Gdy znaleźli się przy swoich biurkach, oświadczył:

- Dostałem informację od jednego z moich ludzi w studio.

Scott Wembley zadzwonił do niego zeszłej nocy. Stu podał Petrze podstawowe fakty, opuszczając jęk asystenta reżysera: „To nic wielkiego, detektywie, ale kazał pan dzwonić”.

- Co masz, Scott?

- Siedzieliśmy w kilkoro przy stoliku i gadaliśmy o tym i owym. Zeszło na Ramseya, a wtedy ktoś powiedział, że podobno program kręca czasami w Griffith Park. Górskie tereny, szlaki konne, no i blisko - park leży niedaleko od Burbank.

- Kręcili tam ostatnio?

- Nic więcej nie wiem. Tylko tyle.

- Kto ci o tym powiedział?

- Pewna asystentka reżysera. Nie pytaj mnie, gdzie to słyszała, ponieważ starałem się jej nie wypytywać. Mówiłeś, żebym postępował dyskretnie, prawda?

- Wiedziała na pewno czy tylko zgadywała?

- Powiedziała, że tak jej się zdaje. Chyba od kogoś o tym słyszała. W jakiejś... przypadkowej rozmowie. Ludzie różne rzeczy gadają.

- Na przykład co?

- No cóż, wszystko sprowadza się do stwierdzenia, że Ramsey jest takim białym O.J. Simpsonem.

- Okej, Scott, dzięki.

- Najlepszym podziękowaniem będzie, jeśli mnie pan zostawi w spokoju.

- A więc istnieje możliwość, że Ramsey zna Griffith Park - podsumowała Petra.
- Ale czy w takim razie nie wybrałby bardziej odosobnionej części parku?
- Może, ale wówczas musiałby przejść z Lisą kawał drogi. Zajeżdżając na parking, mógł ją po prostu namówić na rozmowę przed samochodem, a potem dźgnąć z zaskoczenia.
- Twierdzisz, że to zaplanował?
- Sądzę, że tak. W którymś momencie, kiedy jeszcze byli ze sobą. Samochód również mógł mieć pewne znaczenie - w sensie psychologicznym. Ramsey kolekcjonuje auta. Lisa zaś lubiła uprawiać w nich seks. Gdzie lepiej zakończyć ten związek, jeśli nie parkingu?
- Idealna para z Los Angeles... Brawo! To mi się podoba. - Położył ręce na kierownicy. Ogolił się dziś niedbale, opuszczając maleńki fragment blond zarostu pod prawym uchem. - Interesujące byłoby sprawdzić, czy któryś epizod z „Mediatora” pasuje do morderstwa.
- Życie imitujące kiepski serial? - podsunęła Petra.
- Ci ludzie nie posiadają wyobraźni. Zdobycie prawdziwych scenariuszy zabrałoby sporo czasu, ale mogę przejrzeć streszczenia fabuł w „Przewodniku telewizyjnym”.
- Świetnie - odparła Petra. Kolejne żmudne zadanie. Stu wyraźnie cieszył się, że może je wykonać.

Do sali detektywów wszedł Fournier, wziął stosik karteluszków z informacjami i podszedł do Stu i Petry.

- Cześć - przywitał się.
- Cześć - rzucił Stu z taką miną, jakby w dzisiejszym dniu nie zdarzyło się nic szczególnego.

Fournier zamachał plikiem karteczek.

- Wziąłem je sobie z twojego biurka, Barbie.
- I bardzo dobrze - stwierdziła. - Coś nowego?
- Na temat dzieciaka niewiele się dowiedziałem. W przytułkach, schroniskach i wydziale do spraw nieletnich nic nie mają. Znalazłem jeden maleńki trop - Koreańczyk, który prowadzi „Oki-Ramę” na Zachodniej Alei, twierdzi, że dzieciak co jakiś czas kupował u niego żarcie. Przez jakieś trzy, cztery miesiące. Zawsze późno wieczorem. Zapamiętał go, ponieważ pora wydawała się zbyt późna na takiego małego chłopca. Dzieciak tylko zamawiał, nigdy z nim nie rozmawiał, nigdy nie patrzył w oczy, bardzo starannie liczył resztę, każdego centa. Koreańczyk nazywał go „małym bankierem”. Mówił, że chłopak często przychodził kraść torebki keczupu, musztardy i majonezu, gdy myślał, że właściciel tego nie widzi. I wiecie co jeszcze powiedział? Po raz ostatni dzieciak przyszedł w niedzielę około dziewiątej wieczorem. Kupił chiliburgra.

- No proszę - rzuciła Petra, rozmyślając o dziecku, które mieszka samo w parku przez trzy miesiące. Gospodaruje finansami. Skąd chłopiec brał pieniądze? Skąd w ogóle przyjechał? - Sprawdź uciekinierów w całym kraju.

- Już przefaksowałem portret pamięciowy - odparł Fournier. - Mają tony akt, więc poszukiwania zajmą trochę czasu. Tymczasem Koreańczyk chce nagrody. - Roześmiał się. - Wszyscy inni również. Dzwonią do nas głównie chciwe typki lub wariaci. Rzekoma jasnowidzka z Chula Vista twierdziła, że jakaś satanistyczna sekta zamordowała Lisę, by zdobyć jej grasicę. Zdaje się, że wśród wyznawców Szatana zapanowała moda na ten gruczoł.

- Sekcja zwłok nie wykazała uszkodzeń grasicy - zauważyła Petra.

- Powiedziałem tej pani, że tym razem nie zgadła. Nie wiedziałem, że jasnowidze potrafią tak strasznie przeklinać. Aha, jeszcze jedno. Schoelkopf się wścieka. Góra na niego naciska. Mamy informować starego natychmiast o wszystkim, co choć trochę wygląda na trop. Mamy cokolwiek?

Stu powiedział mu o plotkach na temat filmowania programu Ramseya w Griffith.

Fournier zastanowił się.

- Hmm, chyba nie poda tego do prasy.

- Naprawdę rozmawiał z tobą w sali detektywów? - spytała Petra. - W obecności wszystkich?

- Perorował przez całe pięć minut, Barbie. Nasmaruj trybiki i zabierz się do pracy.

Rozdział 44

Świadek.

Jak to możliwe?

Obudził się tego ranka z dość dobrym samopoczuciem. Przeciągnął się, ziewnął, zrobił sobie kawę, nalał trochę soku. Otworzył gazetę.

I zobaczył portret pamięciowy.

Żołądek aż mu się zatrząsł.

Dzieciak?!

Z artykułu wynikało, że „prawdopodobnie” dzieciak był świadkiem. Policja badała również inne tropy.

Czyli policja niewiele wie o dzieciaku. Albo blefują, próbując go zdenerwować.

Dręczyła go ta niepewność.

Dzieciak? W parku o tej porze?

Może to fałszywy ślad, zmyłka. Żeby go spłoszyć.

Nie, nie, przecież wyznaczono nagrodę. Gdyby zamieszczono podobiznę niewinnego dzieciaka, którego rozpoznałby jakiś pazerny idiota, wtedy rodzice niechybnie zaskarżyliby policję. Mieliby na karku całą armię prawników.

Więc trop zapewne był prawdziwy... Ale skąd by wiedzieli o dzieciaku, skoro się nie zgłosił?

Chyba że... mają jakiś dowód... Czyżby dzieciak coś zostawił?

Zabawne, lecz po zabiciu Lisy faktycznie wydawało mu się, że słyszy jakiś szelest w górze, za skałami. Szelest chrobotanie, głośniejsze niż jego własne odgłosy.

Pozwolił sobie na moment rozkoszy, gdy spojrzał Lisie w twarz. Nawet w ciemnościach dostrzegł jej strach. A może tylko go sobie wyobraził.

Wmówił sobie, że szelest też mu się przesłyszał. Zatrzymał się, stał przez chwilę nieruchomo i ponownie spojrzał na Lisę.

Taka ładna i bezwolna.

Miał zakrwawioną koszulę, ale starał się nie wdepnąć w kałużę krwi, ponieważ odciski butów mogły sprowadzić na niego kłopoty. Trzymał się asfaltu. Jak najdalej od błota. Zanim wrócił do samochodu, zdjął buty.

Był tak uważny, a jednak... Dzieciak! O tak późnej porze w parku... Nie, bez sensu. Ponownie spojrzał na rysunek. Biały dzieciak, jedenaście, dwanaście lat. Jeden z tysiąca podobnych. Jeśli w ogóle istniał.

Nawet gdyby go znaleźli, co mógł dostrzec w ciemnościach?

Na pewno nie jego twarz.

Na pewno?

A co z samochodem? Błysk tablicy rejestracyjnej... Na krawędzi parkingu chyba paliły się światła. Czy przejeżdżał obok nich?

Wtedy nie martwił się o to, gdyż sądził, że nikogo tam nie ma.

Jeśli dzieciak naprawdę istniał, dlaczego sam się nie zgłosił? Może zatem jednak trop był fałszywy...

Z drugiej strony, nie ulegało wątpliwości, że pojawił się problem. Nie ogromny... Na szczęście sprawa nie łączyła się z tą złośliwą suką, Estrellą.

Ludzki śmieć. Nikomu niepotrzebni ludzie. W Los Angeles było ich pełno.

Dzieciak... Właściwie się nim nie przejmował, lecz... Chryste, serce waliło mu jak

cholera!

Wydarł stronicę z gazety i ze złości zmiażdżył ją w małą wilgotną od potu kulkę. Później się zreflektował i rozprostował rysunek. Spróbował kawy, jednak mu nie smakowała.

Starł się pocieszyć myślą o leżącej na ziemi Lisie.

Prawdziwa miłość nigdy nie umiera, a jednak Lisa umarła.

Tak łatwo.

Najwspanialsze ze wszystkiego było jej zaskoczenie.

Puśćmy wszystko w niepamięć. Co było, minęło. Uściskajmy się na zgodę. A potem traaach!

Nie objął jej, lecz zrobił coś zupełnie innego.

- Coś całkiem innego - powiedział głośno z wytwornym brytyjskim akcentem. Głosem Davida Nivena... Jedna z tysiąca ról, których nigdy nie dostał do zagrania.

Nikt nie docenił jego talentu.

Lisa zaś doceniła, zwłaszcza w ostatnich sekundach swego życia. To jej spojrzenie... W końcu zaczęła go postrzegać w nowym świetle.

Jakby pytała: „Jesteś do tego zdolny?”

Patrząc jej w oczy, wbił nóż i szarpnął.

Był to jeden z tych pięknych momentów, gdy wszystko wychodzi. Najlepsza rola, jaką kiedykolwiek zagrał. Tylko oni dwoje, tańczący w ciemności.

Oni dwoje i dzieciak?!

Co miał zrobić? Włóczyć się po wzgórzach, zostawiając swoje ślady wszędzie wokół miejsca zbrodni? Nawet przygłupy z policji Los Angeles mogłyby tam coś znaleźć.

Przygłupy? A jednak dowiedzieli się o dzieciaku. Jak?

A teraz jeszcze nagroda. Stary pierdziel oferował swoją krwawicę.

Może dzieciak był na miejscu wcześniej, lecz odszedł, zanim on i Lisa się pojawili.

Może, może, może... stara piosenka, jedna z jego ulubionych. Śpiewał ją jakiś girlsband: Chantelles albo Shirelles.

Nagrada prawdopodobnie przyciągnie samych świrów. Z całej sytuacji jasno wynikało, że policja Los Angeles nie ma żadnych śladów.

- Żadnego cholernego tropu - oznajmił głosem Davida Nivena.

Ani tamci klauni od szeryfa, którzy pojawili się pierwszego dnia, ani ta parka z wydziału zabójstw Hollywood. Bishop, twardy i milczący, oddający inicjatywę tej Connor.

Pani detektyw. Długie nogi. Zero biustu, ale niezła dupcia. Ile może mieć lat: dwadzieścia sześć, siedem? Ciemne włosy i jasna karnacja. Zgrabne szczupłe ciało, które nago mogło się

okazać zbyt kościste, lecz w ubraniu prezentowało się świetnie. Wyobraził ją sobie nagą nad basenem. Biała i gładka, bez grama zbędnego tłuszczu. Uległa wobec jego rąk, jego ust, jego...

Inny czas, inne miejsce...

Roześmiał się i przeciągnął.

Nie mieli śladów, żadnych.

Z wyjątkiem tego domniemanego dzieciaka?!

Który się nie zgłosił?

Bo nie istnieje?

Pora była przecież tak późna.. Dzieciak musiał być zatem jakimś ulicznym punkiem, uciekinierem... Może był zamroczony od narkotyków albo AIDS.

Prawdopodobnie nie ma się czym martwić.

Siedział przez długi czas w bezruchu, próbując przekonać samego siebie. W końcu doszedł do paskudnego wniosku: powinien tę sprawę potraktować z całą powagą.

Zbada tę kwestię. W przeciwieństwie do gliniarzy nie obowiązywały go żadne reguły. Życie nauczyło go jednego - należy tworzyć własne zasady.

Po tych wszystkich latach przekonał się, że najskuteczniejsze działanie sprowadza się do hasła: „Bierz, co chcesz”.

Jak owej nocy w Redondo. Niemiecka stewardesa. Siedziała w restauracji i kłóciła się z tym brzydalem, swoim chłopakiem.

Obserwował ich ze stołka przy barze po drugiej stronie sali, pieszcząc w dłoniach heinekena, wycierając pianę z fałszywej brody i zastanawiając się, co taka dziewczyna widzi w tak odpychającym osobniku.

Dziewczyna zwróciła jego uwagę ze względu na swe podobieństwo do Lisy. Chłopak był okropnie brzydki.

Przypatrywał się parze i snuł seksualne fantazje na temat pięknej i bestii. Nie podniecił się. Z pewnością dlatego, że para nie była w najlepszych stosunkach. Obrzucali się wściekłymi spojrzeniami, niewiele jedli.

W końcu dziewczyna wstała i ciężkim krokiem wyszła z restauracji. Gdy szła, bardzo przypominała Lisę, mimo iż była trochę wyższa, miała większe cycki; bujne ciało w krótkiej błękitnej sukience, silne, muskularne nogi.

Brzydał rzucił banknoty na stół i wyszedł za nią. Duży facet, ale miękki jak worek nawozu.

Patrzył, jak odchodzili, zapłacił za heinekena, upewnił się, że nikt go nie obserwuje i

zszedł na parking za restauracją. Schował się za samochodem i przyglądał się dalej. Brzydal próbował wciągnąć blondaskę do swego samochodu. Oboje szaleńczo gestykulowali. Za każdym razem, gdy dziewczyna się poruszała, podskakiwały jej cycki - po tych ruchach ocenił, że nie ma w nich ani grama silikonu. No, no, no. Takie piersi u tak szczupłej dziewczyny! Nie widuje się tego zbyt często.

Ciągle się kłócili, potem brzydal chwycił dziewczynę, która się wyrwała. Chwycił ją znowu, ona go spoliczkowała, on jej oddał. Upadła, wstała.

Niezła zabawa.

Teraz kłocowaty brzydal wyglądał na skruszonego. Kretyn naprawdę padł na kolana i przeproszał.

A co zrobiła blondynka?

Naplula na niego.

Obserwując ich zza samochodu, nieomal się głośno roześmiał. No, no, no, cóż za walka! Brzydal podskoczył, zamachnął się na dziewczynę, zrobił gigantyczny lecz niezdarny zamach i - zapewne zbyt wiele wypił - chybił. Blondynka przebiegła parking, jej cudowne cycki wznosiły się i opadały. Brzydal pogroził pięścią, ale nie ruszył za nią.

Blondynka zatrzymała się na skraju parkingu, położyła ręce na wspaniałych piersiach. Brzydal potrząsnął głową, wsiadł do auta i odjechał.

Gdy została sama, opuściła bezradnie ręce. Stwierdziwszy, że jest ciemno i nikogo nie ma w pobliżu (molo było opustoszałe), rozejrzała się za taksówką. Taksówka w Redondo Beach o tej porze!

Najinteligentniejszym rozwiązaniem byłby powrót do restauracji. Nie zrobiła tego, tylko stała w miejscu. I płakała.

No dobra, *Fräulein*, za głupotę czeka cię nagroda.

Teraz jego kolej.

Doskonale. Już drugi raz. Pierwszą ofiarą była mała Sally Tosk, jeszcze w Syracuse, w dziesiątej klasie... Już w ósmej była niezłe rozwinięta. Obserwował, jak jej piersi rosą w zawrotnym tempie. Nie była naturalną blondynką. Rozjaśniała włosy o kilka odcieni. Ciągle jeszcze nosiła aparat korekcyjny na górnych zębach. Leciała na niego przez cały sezon futbolowy; w końcu raczył się z nią umówić. Randka była potajemna, bo Sally miała chłopaka, ale chciała przespać się także z nim.

Przyjechał pod jej dom nowym buickiem swego ojca. Jej rodzice mieli wrócić bardzo późno z jakiejś rotariańskiej kolacji. Toskowie mieszkali na dużej posiadłości za granicami miasta. Kiedyś była tam farma. Sally stała gotowa przy drzwiach: króciutka nocna koszulka,

nic pod nią. W salonie pocałowali się głęboko, w kuchni pocałował jej cycki. Poszli na górę do jej sypialni, a wtedy dostała hysterii, ponieważ nie chciał jej powiedzieć, że ją kocha. Próbowała go odepchnąć, więc musiał położyć jej rękę na ustach, żeby przestała wrzeszczeć.

Przykrył jej usta i nos. Trzymał. Nagle posiniął. Spanikował. Po chwili zrozumiał swoją szansę i zabawił się z jej ciałem; tylko penetrował. Ostrożnie, aby nie zostawić śladów. Wrócił do domu, drżąc z przerażenia i rozkoszy równocześnie.

Toskowie przyjechali do domu dwie godziny później. W mieście wybuchła panika i pojawiły się plotki o maniacu seksualnym.

Nie sypiał przez parę tygodni, ponieważ bał się, że Sally zwierzyła się komuś z ich spotkania. Schudł. Wmówił matce, że ma gripę.

Na szczęście dziewczyna nikomu nic nie powiedziała. Bała się swojego chłopaka.

Gliniarze rozmawiali również z nim.

Nie mieli żadnych tropów. Wziął udział w pogrzebie Sally, płakał wraz ze wszystkimi. Nic nie może się równać z młodzieńczą żądzą.

Sally. Niemka. Lisa.

Nie żeby był seryjnym mordercą. Nie odczuwał wewnętrznego przymusu zabijania.

Ale kiedy nadarzała się sposobność...

Na pogrzebie Sally naprawdę nie wytrzymał, kiedy błoto uderzyło o trumnę. Jedna z przyjaciółek Sally, też cheerleaderka, wzięła go za rękę, wytarła mu oczy i powiedziała, że jest taki wrażliwy.

- Nasza kochana zmarła - oznajmił głośno melodyjnym głosem. Nie Nivena, wtedy...
Może Johna Housemana? Kogoś w tym typie.

A Oscara otrzymuje...

Rozdział 45

Mówię staremu:

- Nie, nie, jeszcze nic nie wydałem, ale nie mam nic przeciwko większej ilości gotówki.

Może mógłbym wykonać dla pana jakąś pracę?

Żyd podciąga okulary na nosie.

- Noo, zawsze możemy porozmawiać. Chcesz pracować, co? Ile masz lat?

- Jestem wystarczająco duży.

Podchodzi bliżej.

- Słuchaj, jeśli masz kłopoty, uciekasz przed kimś... Mógłbym ci chyba pomóc. Chłopiec w twoim wieku nie powinien mieszkać w tym mieście zupełnie sam.

Robię krok w tył.

- Nie potrzebuję pomocy, tylko pracy.

- Masz pozwolenie na pracę?

Nie odpowiadam.

- Pozwolenie - powtarza. - Takie jest prawo. Chroni dzieci. Kiedyś zmuszano je do pracy, teraz już nie. Przynajmniej nie w Stanach Zjednoczonych.

Więc nie zamierza mi pomóc. Powoli odchodzę.

- Poczekaj, poczekaj. Chcesz pracować? W porządku.

Zatrzymuję się.

- Co miałbym robić? I ile mi pan zapłaci?

Stary znowu się uśmiecha.

- Mały biznesmen. Okej, posłuchaj, ten *szul*. - to znaczy synagoga - wskazuje przez ramię
- nie jest w tygodniu często używana, ale dobrze byłoby mieć kogoś, kto by ją wysprzątał przed piątkowymi obrządkami. No i popilnował... Wiesz, o czym mówię?

- Stróż?

- Nie nocny, lecz dzienny, ponieważ tam nie ma gdzie spać... A tak w ogóle masz gdzie spać?

- Jasne.

- W nocy jest tu niebezpiecznie - mówi, podchodząc bliżej. - Mieszkasz na ulicy od dość długiego czasu, prawda?

Nie odpowiadam.

- Nie chcę być wścibski, synu. Chcę ci pomóc, ponieważ, wierz mi, sam przez to kiedyś przeszedłem.

Gdy to mówi, w rysach jego twarzy zachodzi jakaś zmiana. Kojarzy mi się z czymś, o czym uczyłem się na biologii. Metamorfoza. Czy tak brzmiało to słowo? Tak czy owak, wiem, że mówi prawdę.

- To musiało być dawno temu - szepczę.

Patrzy na mnie i pośpiesznie jeszcze bardziej.

- Tak, naprawdę dawno. Jeszcze w epoce kamiennej.

Jego śmiech jest zabawny - głęboki, jakby wychodził mu z dołu brzucha. Nie mogę się powstrzymać i uśmiecham się. Kąciki ust same mi się rozsuwają.

- Ach, więc nasz gość potrafi się również uśmiechać. Zatem... Może mimo wszystko życie nie jest aż takie straszne, co?

Po tych słowach mój uśmiech znika.

- Jest? - pyta. - Ktoś aż tak bardzo cię zranił?

Wewnątrz *szulu* Żyd pokazuje mi małą szafkę w męskiej toalecie. Trzymają w niej sprzęt do sprzątania. Szczotka, szufelka, mop i wiadro, płyn do mycia szyb, cytrynowa pasta do drewna. Jest też pasta do srebra, lecz starzec nie wyjmuje jej. Widzi, że na nią patrzę.

- Podejź tu, synu... Tak przy okazji, masz jakieś imię? Ja jestem Sam Ganzer.

- Wystarczy „synu”.

Żyd wzrusza ramionami, wyciąga rękę, którą ściskam. Przypomina w dotyku kawał suszonego mięsa.

- Miło cię poznać - mówi.

- Mnie też.

Wprowadza mnie do głównego pomieszczenia *szulu*. Na przedzie stoi duża rzeźbiona szafa z drewna, której nie zdążyłem wcześniej otworzyć; sięga po sam sufit i jest pokryta błękitną aksamitną zasłoną. Stary pociąga sznur i zasłona się rozsuwa. Za nią znajdują się drzwi z dwunastoma małymi płaskorzeźbami - scenami biblijnymi. Rozpoznaję Arkę Noego, Mojżesza w kołyse. Pozostałe obrazki stanowią dla mnie zagadkę.

Nic o Jezusie. Oczywiście! „To niesamowite - myślę. - Co ja tu robię?”

Za rzeźbionymi drzwiami znajdują się trzy przedmioty, okryte również błękitnym aksamitem z żydowskimi napisami. Górą i dołem wystają z nich drewniane drążki ze srebrnymi uchwyty na samej górze. Na najbliższym przedmiocie widnieje napis: „Ofiarowane przez Saula i Isidore Levine'ów ku pamięci ich ojca, Hymana”. Od przodu wiszą

na nich srebrne tabliczki.

- Wiesz, co to takiego? - pyta Sam.

- Nie.

- To są zwoje Tory. Żydowskiej Biblii... Wierzysz w Biblię, prawda?

Nie wiem w co wierzę, lecz kiwam głową.

- Więc rozumiesz, że są święte, prawda?

- Niech się pan nie martwi, nie ukradnę srebra - oświadczam.

Robi się czerwony jak pomidor.

- Nie to miałem na myśli, synu. Chcę tylko, żebyś wiedział, że są bardzo ważne. Więc kiedy cię poproszę, abyś wypolerował srebro, będziesz wyjątkowo ostrożny, dobrze? Rozumiesz?

- Jasne. - Chociaż wiem, co naprawdę chciał powiedzieć.

*

Ustalamy plan pracy. Będę zamiatał i mył mopem podłogę całego *szulu*, łącznie z łazienkami, czyścił okna płynem do szyb, a cytrynową pastą - drewno. Na koniec wypoleruję srebra, tylko stary musi przynieść więcej szmat.

- No i - szepcze - pasta do srebra pachnie dość intensywnie. Postaraj się jej nie wdychać, zgoda?

- Jasne.

- Mówię poważnie - stwierdza. - Nie wachaj jej, dobra? Klej, farba... Nie wdychasz ich, prawda? Nie bierzesz narkotyków?

- Ależ skąd - odpowiadam. - Nigdy niczego nie wzięłem.

- Wierzę ci - mówi. - Wydajesz się miłym dzieciakiem. Jestem ciekaw, dlaczego mieszkasz na ulicy i żywisz się krakersami, lecz to nie moja sprawa.

Milczę.

- Wolałbym po prostu - ciągnie - nie zastać cię tu po przyjściu, odurzonego oparami pasty do srebra. Wierz mi, znam się na tym, przez czterdzieści lat prowadziłem sklep z towarami żelaznymi. Wielu ćpunów przychodziło po klej i utrwalacz... Było oczywiste, że żaden z nich nie składał komody.

Rany, ten Żyd naprawdę potrafi gadać.

- Będę ostrożny - przerywam mu.

- Jeszcze jedna kwestia. Dzisiaj jest czwartek, jutro wieczorem mamy nabożeństwa. W sobotę również, więc w sobotę nie będziesz mi potrzebny.

- Świetnie. Jutro zniknę.

Wkłada ręce do kieszeni.

- No dobrze, teraz najważniejsze: Ile mam ci zapłacić?

- Tyle, ile uważa pan za uczciwe.

- Ile ja uważam?! To znaczy, że jeśli powiem, dwa centy na godzinę", będziesz zadowolony?

- Pan na pewno będzie uczciwy.

- Pochlebia mi to, synu, jeśli jednak zamierzasz zostać biznesmenem, naucz się wyceniać własną pracę.

Myślę przez chwilę. Ile płacą dzieciakom, które podają burgery u McDonalda? Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

- Dwa dolary na godzinę.

- Dwa dolary? Minimalna płaca wynosi ponad pięć. Nie sądzisz, że jesteś wart minimalną stawkę?

- Okej, sześć.

- Pięć pięćdziesiąt.

- Świetnie! - krzyczę i własne podniecenie mnie zaskakuje.

- Nie jestem głuchy - zżyma się. - Pięć pięćdziesiąt na godzinę. Sądzę, że praca zajmie ci osiem, dziewięć godzin... Powiedzmy w sumie pięćdziesiąt dolarów. Oto zaliczka.

Wyciąga portfel i nagle mam w ręku dwa dziesięciodolarowe banknoty. Nie wierzę we własne szczęście. Wciskam je do kieszeni.

- Resztę dostaniesz, kiedy skończysz. Przyjdę za parę godzin sprawdzić, jak ci idzie.

Podchodzi bliżej, zatrzymuje się.

- Jeszcze jedna rzecz. Umówiliśmy się na gotówkę. Bez podatków, bez ubezpieczeń. Nie donieś na mnie do urzędu skarbowego, dobrze?

Rozdział 46

Motor Moran uważał, że gdyby miał dobry motocykl, niczego więcej w życiu by nie potrzebował.

Miał trzydzieści lat i z wyjątkiem czterech miesięcy pilnowania sklepu ze starzyzną w Salinas, nigdy się nie imał prawdziwej pracy. Robota w więzieniu się nie liczy - zresztą,

nigdy nie przebywał w prawdziwym pudle, tylko w lokalnych pierdlach. Za pijaństwa i rozboje. Miesiąc tu, miesiąc tam.

Należało mu się coś od życia przed śmiercią. Na przykład dobry motor.

Maszynę, na widok której mu stanie. Jak shovelhead z 1972 z silnikiem Zenitha. Atomowy zryw, polerowane kufry - wszystko polerowane, satynowany chrom. Ekstra wykończenia, cylindry na bezołowiową, pomalowana proszkowo rama z łuskami. Jak się ma taką maszynę, to do szczęścia potrzeba tylko otwartej drogi i niezbyt ostrych zakrętów, jeśli nie chce się zbyt ryzykować. No i koniecznie taka maszyna musi być wyposażona w siedzenia z osłonami i oparciami, ponieważ Motora często bolały plecy, szczególnie rano.

Podwójne siedzenie. Chromowane uchwyty dla pasażerki. Laska siada z tyłu i przykleja się do ciebie, drżąc o swe drogocenne życie, kiedy kładziesz motocykl na zakrętach.

Chętnie by kogoś tak przewiózł. Ale nie Sharłę, tę zaćpaną dziwkę. Raczej jedną z tych dupencji z *Easy Rider*. Jazda podkreśli laskę, a wtedy trzeba tylko zjechać na pobocze i zaprosić ją na „turbo golonkę” w ramach lunchu.

Och, rany, gdyby Motor dysponował szmałem, mógłby to wszystko mieć.

Jego aktualny pojazd wołał o pomstę do nieba. Wstrętny składak, zespawane do kupy skorodowane żelastwo, trzymające się na sznurek i słowo honoru. W niewidocznych miejscach Motor zainstalował kilka japońskich części. Umieścił emblemat harleya davidsona na ramie, a jednak mimo wszystkich harleyowych części maszynę spokojnie można by nazwać „super japońcem”.

Przynajmniej robiła hałas. Zwyczajne japończyki nigdy nie hałasowały.

Zanim wsiadł w autobus do Bakersfield, przez trzy dni z rzędu nie mógł odpalić motoru. Dość szybko zlokalizował awarię. Dziura w starym, zniszczonym rozruszniku. Cewka indukcyjna do wyrzucenia. Świece kompletnie zużyte. I - co najgorsze ze wszystkiego - pokruszone przewody regulatora napięcia, słabsze niż włosy Sharli. Setka dolców minimum, jak do tej pory... a przecież wał napędowy też pilnie domagał się wymiany, czyli kolejne dwie setki.

Z zasiłku Sharli zostało sześćdziesiąt dolców, więc Motor wziął je i wyszedł, zostawiając kobietę chrapiącą i niczego nieświadomą. Odbił nieprzyjemny spacer na przystanek autobusowy Bolsa Chica.

Wiedział, że za sześćdziesiątka niewiele załatwi u Spanky'ego, może jednak Spanky pozwoli mu powywozić śmieci ze sklepu albo da mu jakąś robotę budowlaną przy domu. Suka Spanky'ego stale coś przerabiała.

Motor gotów był zrobić wszystko, by znowu móc wsiąść na swą maszynę.

Gdy jechał pieprzonym autobusem, cała ta banda meksykańskich przygłupów gapiła się na niego. W ich wilgotnych brązowych ślepiach dostrzegął pytanie: „Gdzie twój motor, człowieku?”

Na pierwszy rzut oka widać było, że jest motocyklistą. Nie powinien jeździć autobusem. I wcale nie miał na to ochoty.

Naprawdę wyglądał jak motocyklista, cholera. Niepowtarzalne dzinsy, tak pobrudzone od oleju, że same stały. Czarny podkoszulek w rozmiarze XL z trupią czaszką - symbolem Hell's Angels, podczas gdy żadnych harleyowców nie było w pobliżu. Ćwieki, wzmacniane stałą buciory, skóra, skóra, skóra.

Czadowa kolorowa czapka o wyglądzie bandany... Pieprzyć nakaz noszenia kasków!

Autobus pozarł dwanaście z sześćdziesięciu dolców, miał spóźnienie, stale się zatrzymywał po drodze; meksy wysiadały przy sadach, gdzie pracowały. Motor zmarnował pół dnia, by dotrzeć do warsztatu i sklepu bandyty Spanky'ego. Gdy przybył, sklep był zatłoczony, niedzielni kierowcy gapił się na maszyny, przerobione przez Spanky'ego. Faceci w garniturach ślinili się nad kiczowatymi rigidami z 1995, parą softtailów, kilkoma antykami. Na ich widok Motorowi aż jaja cierpły. Rany, i do tego jeszcze czarno-czereśniowy lakier pokrywy silnika, a na baku wymalowana cycata półnaga laska!

Jakieś bogate cipki oglądały towar, jak gdyby wiedziały, z czym mają do czynienia. Spanky wskazywał detale i podlizywał się klientkom.

A jeśli cipka kupi taką maszynę, czym będzie? Cipką na motorze.

Motor krążył po salonie wystawowym. Oglądał części, kartkował „Motocyklistę” - lisczka miesiąca została Meksykanka. Ale, ale, niezłe te brązowe sutki!

Potem poszedł do warsztatu za sklepem, gdzie dwóch mechaników pracowało nad motorami. Coś tam przykręcali, dwa dupki, których nigdy przedtem nie widział.

Kolejne meksykańskie palanty! Cholerny Spankster!

W końcu cipki odłożyły prospekt, a Spanky wrócił za kontuar, rozwiązał kیتę i potrząsnął tłustymi kłakami... Cholera, facet siwieje. Ciało bez grama tłuszczu, twarz kościotrupa, zgniłe zęby. Ogólnie rzeczy biorąc, dupek wyglądał jak kostucha; łeb jak trupia czaszka. Kiedy zaczął nosić okulary?

Motor podszedł do kontuaru. Spanky trzymał w jednej ręce butelkę budweisera. Prawe ramię miał pokryte tatuażami od ramienia po pazury. Na lewym zaś tylko jeden - na bicepsie - imię jego starej, Tary. Kiedyś Motor spytał go o to i Spanky odparł:

„Używam lewej do podcierania tyłka. Jak Hindus”.

Niesamowite.

- Hej, człowieku - zagaił Motor.

Spanky nie podniósł wzroku. Osuszywszy pół butelki piwa, wyciągnął reklamówkę zlotu w Chillicothe i udawał, że czyta. Motor zerknął na tylną okładkę pisemka. Czadowa impreza w Dzień Pracy, jazda aż do Ohio. Panie Boże, ten to się lubi zabawić, krążyć pod więzieniem w szyku. Bracia za płótem podniosą pięści na znak solidarności.

Spanky ciągle czytał, nie zwracając na niego uwagi.

- Chillicothe - mruknął Motor. - Lepszy od tego byłby Sturgis, no nie? Albo może Dzień Pamięci w Laconii, co?

Spanky nadal go ignorował.

Motor zakaszłał i w końcu chudy drań podniósł ślepiec.

- Hej, człowieku - warknął Motor. - Co się dzieje?

Spanky odczekał chwilę, później wymamrotał:

- Cześć, Buell.

Użył imienia, którego Motor nienawidził.

- Cześć, Spank. - Motor podniósł rękę do klepięcia. Spanky nie ruszył się. Potem założył obrączkę na brodę, zmieniając ją, w siwy koński ogon. Skończył piwo i przez ramię odrzucił butelkę na stertę śmieci.

- Nie dostaniesz na kredyt, Buell. Ciągłe mi wisisz za pieprzone koła.

- Zapłaciłem ci, stary.

- Tak, zgadza się... Zabrało ci to całe dwa lata. Takie kółka upchnąłbym w dwa dni. Od ciebie dostałem forszę po dwóch pieprzonych latach.

Bzdura! Koła były używane, ściągnięte z jakiegoś wraku i przefasonowane. Jedno wygięte w miejscu, którym zaryło się w hałdę żwiru.

- Spank...

- Nie ma mowy, Buell.

- Słuchaj, chodzi o drobiazg. Poza tym mam trochę siana.

- Ile?

Motor wyjął dwudziestkę i dziesiątkę. Spanky popatrzył na pieniądze jak na psie gówno.

- Daj spokój, człowieku, wiesz, że nie dam się nabrać.

Spanky westchnął i pierś zapadła mu się niczym policzki laski ciągnącej druta. Spanky nie miał włosów na piersi ani na ramionach, ale siwa broda, która rosła mu aż do samych oczu - była gęstsza niż u Świętego Mikołaja.

- To zaliczka - wyjaśnił Motor.

- Tak, jasne... Powiem ci coś, stary. Nie licz na żadne nowe kawałki. Jeśli pozwolę ci coś

wybrać, będzie używane.

- Świetnie - odparł Motor. - Pozwól mi poszperać.

- Poszperać? Za trzydzieści dolców chcesz szperać?

- To zaliczka, człowieku - powtórzył. - Stara dostanie czek w przyszłym tygodniu. - Totalne kłamstwo; Sharla nie otrzyma żadnej forsy do końca miesiąca. - Gdy tylko przyjdzie, dostaniesz szmal... Przywiozę ci osobiście.

- Osobiście? - Spanky uśmiechnął się i broda z obrączką poruszyła się jak pięć kilo waty.

- Dlaczego nie przyślesz mi FedEx-em, Buell? Wszystko teraz przychodzi FedEx-em... Używałeś go kiedyś, Buell?

- Tak, jasne. - Kolejne kłamstwo.

- Masz własne konto, co? My mamy. Mamy też komputer. - Spanky poklepał kasę. - Wszystko jest teraz skomputeryzowane, Buell. Na tyłach stoi drugi do zamawiania części. Założyłem też konto internetowe. Wiesz co to e-mail, Buell?

Motor nie odpowiedział. Co za dupek z tego Spanky'ego! Zaświtało mu we łbie, że z wyglądu przypomina... Żyda. Wygląda z tą brodą jak ich rabbi. Założmy mu kapelusz i odeślijmy do pieprzonego Izraela.

- E-mail, Buell. Wysyłasz informacje przez komputer, jak przez telefon, niewiele kosztują. W komputerze można też znaleźć niezłe porno. Zdjęcia i filmy, Buell. Amatorki, anal-kanal, minetka, wszystko. Albo możesz wysłać jakiemuś dupkowi wiadomość: „mam cię w dupie”... Każdą, jaką chcesz. Mówię ci tylko, Buell, że otacza nas teraz nowy świat. Nawet nędzne mieszcuchy mają szansę coś zdziałać. Kiedyś mogłeś siedzieć na tyłku, składać sobie motor, żyć swobodnie. Teraz same pieniądze na benzynę już nie wystarczają.

Spanky gapił się na niego z mieszaniną współczucia i pogardy. Do czego ten dupek zmierzał?

- Dzisiaj musisz mieć coś do sprzedania, Buell. Towary lub usługi... Wytwarzasz motor albo go regulujesz. Weź doktorów, prawników. Mają mercedesy, ale ciężko główkują. Ludzie muszą coś wytwarzać!

- Prawnicy - mruknął Motor - wytwarzają więcej gówna niż niedźwiedź ze sraczką.

Spanky nie roześmiał się. Nawet się nie uśmiechnął.

- Zgadza się, Buell. Dlatego właśnie są w stanie płacić za części, podczas gdy ty próbujesz mi wcisnąć marne trzydzieści dolców.

- Hej, człowieku...

- Tak, tak, chcesz pogrzebać w kupie starych części, w porządku, ale po raz ostatni. Poza tym najpierw przejdziesz się do Bell i przyniesiesz mi jakieś żarcie. - Spanky podłubał w

lewej dziurce nosa. - Trzy porcje *tacos*... Tylko żeby były miękkie. Wołowe *burrito*, dodatkowo *guacamole* i inny sos. Serową *enchiladę*. I wielką colę. Zapłacisz za moją kolację, to może pozwolę ci poszperać. Przynajmniej zrobisz coś pożytecznego - nie towar, to chociaż usługę. Takie są prawa ekonomii. Buell.

*

Taco Bell znajdowało się o trzy przecznice od warsztatu. Przy każdym kroku Motora bolały pięty, powłóczył nogami, a zdarte buty nie ułatwiały marszu. Uda ocierały się o zeszywniałe z brudu nogawki dżinsów. Kiedy dotarł do celu, był spocony. Zamówił jedzenie dla Spanky'ego, krzywiąc się do meksykańskiego dzieciaka, który spytał: „Słucham pana?” i przestał się uśmiechać na widok skwaszonej miny Motora.

Już miał wyjść, kiedy zobaczył portret pamięciowy. Na jednym ze stolików.

Gazeta z Los Angeles. Nie czytał gazet... Po cholere? Ale ten obrazek przyciągnął jego uwagę.

Niech to szlag, jeśli dzieciak nie wyglądał jak pomiot Sharli.

Motor podniósł gazetę. Przeczytanie artykułu zajęło mu sporo czasu. Musiał go przejrzeć jeszcze dwa razy, by się upewnić, że zrozumiał. Zawsze miał kłopoty z czytaniem, słowa nie miały dla niego sensu, niektórych liter nie pamiętał. Jego stary nazywał go „opóźnionym w rozwoju”. I kto to mówił? Pierdolony bezrobotny stróż, który umarł w wieku czterdziestu pięciu lat, bo tak wcześnie wykończył sobie wątrobę. Mama nie była dużo lepsza od niego. Pijaczka, ale przynajmniej go nie wkurzała. Również nie potrafiła za dobrze czytać.

W końcu przebrnął przez tekst. Czy to się działo naprawdę? Świadek morderstwa? W Hollywood?

Przestudiował rysunek dokładniej. Smark wyglądał idealnie jak dzieciak Sharli.

Kiedy ten gnojek zwiął... Ile? Cztery miesiące temu?

Dzieciaki zawsze spieprzają do Hollywood. Motor sam tam trafił po tym, jak stary pijak skopał mu dupę, za to że trzeci raz nie zdał do dziesiątej klasy. Powiedział sobie: „Chromolić to, odchodzę”.

Wziął greyhonda i zwinął plik docłów z kieszeni dżinsów starego pijaka. Gdy dotarł na miejsce, przeraził się. Miasto było ogromne, lecz trzymał fason, dając wszystkim wokół do zrozumienia, że nie przyjmie byle gówna.

Był już dorosły, a w dodatku wyglądał poważnie jak na swój wiek, więc nie miał zbyt wielu problemów na ulicach Hollywood. Wyłudzał pieniądze od młodszych dzieciaków, napadał na starych pierdzieli, wrywał japońskie motocykle z parkingu przed hotelem Roosevelt,

rozbierał je, sprzedawał na części i kupił starego składaka harleya davidsona „Shovelnose” od jednego z motocyklistów, którzy pili w „Jaskini”.

Najlepszy motor, jaki kiedykolwiek posiadał. Ktoś ukradł mu go prawie spod dupy.

Nocował w opuszczonym budynku na... Gdzie to było? Na Argyle. Tak, na Argyle, duże puste mieszkanie pełne ćpunów; lokal pachniał rzygowinami i gównem. Motor nigdy nie spał tam spokojnie, zawsze czuwał w obawie, że ktoś go dopadnie. Wysoki wzrost był nieocenionym atutem. Potrafił nakopać do dupy każdemu mniejszemu, który wlaźł mu w paradę. A pewnego czarnucha pchnął nożem tylko za to, że gapił się na niego w nieodpowiedni sposób. I tak został przestępcą.

Dzięki czarnej skórzanej kurtce, którą kupił w lumpeksie w Van Nuys zbliżył się do motocyklistów z „Jaskini”. Jeden z nich sprzedał mu fałszywe papiery. Sądził, że naprawdę się przyjaźni z bywalcami speluny, gdy ni stąd ni zowąd zaczęli go traktować wrogo - nigdy właściwie nie zrozumiał powodów ich nagłej niechęci.

Tak, tak, więc dzieciaki nadal sieprzają do Hollywood.

Dzieciak Sharli też? Dlaczego nie? Tyle że gówniarz był za mały, by walczyć o siebie, więc prawdopodobnie się kurwi, oddając komu popadnie swoje chude małe ciałko; pewnie złapał już AIDS.

Zniknął cztery miesiące temu. Co jakiś czas Sharla z tego powodu płakała i Motor musiał wrzeszczeć, żeby się zamknęła. Płakała, ale nie zrobiła nic, by odszukać gówniarza. Udawała, że ją to guzik obchodzi... Co za głupia dziwka! Kiedyś usiadła wyprostowana na łóżku w środku nocy, krzycząc jakieś niezrozumiałe bzdury. Potrząsał nią przez chwilę, pytając, o co, do cholery, jej chodzi. W końcu popatrzyła na niego i odparła: „O nic, kowboju. Miałam zły sen”.

Czas skończyć z tym bajzlem, ruszyć w drogę i zdobyć sobie prawdziwą laskę.

Dwadzieścia pięć tysięcy nagrody. Nieźle na początek.

Miał przewagę nad innymi: znał Hollywood i znał gówniarza.

Choćby miał zatankować motor krwią, pojedzie tam.

Było dobrze po zmroku, gdy wreszcie wrócił do przyczepy.

Sharla stała w kuchni. Otwierała piwo.

- Hej, kowboju, gdzie byłeś?

Nie zwracając na nią uwagi, odszukał latarkę, wyszedł na zewnątrz, przymocował światło do kierownicy i zaczął instalować wyszperane części. Świece były nowiutkie; świsnął je, gdy Spanky nie patrzył. Najnowszego „Motocyklistę” także gwizdnał. Lisiczką miesiąca była Jody z El Paso. Te czarne sutki! Napisałi, że dziewczyna lubi jeździć na motorze bez majtek.

Motor właśnie się brandzlował, kiedy drzwi przyczepy nagle się otworzyły i stanęła w nich Sharla w podkoszulku i szortach; boso. Ręce na biodrach, jeden z tych zachęcających do pocałunku uśmiezków.

- Włóż do środka i zrób mi coś do żarcia - fuknął na nią.

- Nie pocałujesz mnie?

- Daj mi coś do żarcia. Ruszaj się.

Posłała mu spojrzenie zranionego dziecka.

- Co chcesz zjeść?

- I tak mi nie dasz tego, co chcę, więc ugotuj którąś z tych telewizyjnych kolacji.

Makaron z serem, stek z Salisbury... No dalej, rusz się!

Posłuchała go. Przynajmniej umiała suka słuchać!

*

Do dwudziestej trzeciej uruchomił motocykl, najadł się i wypił trzy piwa.

Dwadzieścia pięć patyków! Poczł się łowcą nagród.

Sharla czekała aż skończy, potem zaczęła się stawać romantyczna. Wepchnął jej głowę między swoje uda i szybko zakończył sprawę.

Wyżyty, najedzony, gotów do drogi!

Kiedy Sharla płukała w łazience usta, przetrząsnął jej torebkę; znalazł pięć baksów w drobnych.

Był już przy drzwiach, kiedy stanęła za nim i odezwała się:

- Hej.

Zlekceważył ją i sprawdził, czy ma w kieszeni kluczyki.

- Dokąd się wybierasz, kowboju?

- Wyjeżdżam.

- Znowu? - Nienawidził, gdy mówiła tym tonem rozkapryszzonego dziecka.

Chwyliła go za ramię.

- Wyluzuj się, kowboju, dopiero co przyjechałeś.

- A teraz spieprzam.

- Daj spokój, nie chcę siedzieć tu sama.

- Obejrzyj telewizję.

- Nie potrzebuję telewizji, tylko towarzystwa. A poza tym. - Zamrugła rzęsami, po czym położyła jego rękę na swoim cycku. - Zrobiłam ci dobrze. Co ze mną?

Dotykając jej (a także patrząc na nią i słuchając jej) miał ochotę zwymiotować. Historia

stale się powtarzała. Napalał się na nią, robił to z nią, a później myślał o niej jak o zepsutym, robaczywym mięsie.

Zabrał rękę. Chwyciła ją znowu i usiłowała sobie wsunąć w majtki.

- Skoro tak strasznie tego pragniesz - warknął - idź poderwij jakiegoś bogatego kutasa.

- Co takiego? - spytała. - O czym ty mówisz? O kim?

Zmieszał się, a kiedy czuł zmieszanie, rosła jego wściekłość. Uderzył kobietę w twarz. Sharla upadła do tyłu, uderzając się o kant kuchennego kontuaru. Leżała bez ruchu. Przynajmniej wreszcie zamknęła jadaczkę!

Otworzył drzwi. Noc była ciepła. Zamknął je kopniakiem.

W kilka sekund później zjeżdżał drogą prowadzącą na parking przyczep. Gdy dotarł na autostradę, przypomniał sobie, by włączyć reflektory.

Rozdział 47

W czwartek o osiemnastej trzydzieści, zmarnowawszy mnóstwo czasu na sprawę morderstwa Ilse Eggermann, Stu był gotów do wyjścia. Petra poszła akurat do toalety. Pomyślał, że powinien na nią poczekać i pożegnać się.

Jutro przejrzy egzemplarze „Przewodnika telewizyjnego”. Na pewno znajdzie je w którejś z większych bibliotek. Jedną widział w pobliżu szpitala.

Zamknął szuflady biurka. Starał się nie myśleć o kłopotach. Rokowania na temat guza były złe. Nowotwór zaatakował już węzły chłonne.

Kiedy był z Kathy, udawał optymizm. Nie spierała się z nim, choć na pewno coś podejrzewała.

„Wszystko musi wyglądać normalnie dla dobra dzieci, kochanie”.

Dzieci były najważniejsze. Zgodził się z żoną - rodzina była dla nich obojga wszystkim, ale... Jak jutro będzie wyglądać ich rodzina?

„Mama idzie do szpitala na rutynowe badania kontrolne, moi kochani. Tylko na parę dni. Wszystko będzie dobrze”.

Kathy nie uroniła nawet łzy. Odkąd się dowiedziała o chorobie, niczego nie zmieniła w swoim harmonogramie - Spędzała każdy dzień dokładnie w ten sam sposób: odwoziła dzieci, gotowała, sprzątała, działała w kościelnej fundacji. Nawet uprawiali seks. Stu nie miał ochoty, lecz Kathy nalegała, a nie chciał, by sądziła, że przestał jej pożądać.

Dziewiętnaście lat temu wybrano ją królową szkolnego balu w Hoover High, w rok później zdobyła tytuł Miss Glendale, potem „Najmilszej Studentki” żeńskiego koła studenckiego w Occidental. Poza tym miała w college’u średnią stopni 4,0. Jej kierunkowym przedmiotem była historia.

„Tylko jeden guzek - zapewnił Stu doktor Drizak - stosunkowo mały”. Historia rodziny nie rokowała bardzo źle: mama Kathy nigdy nie chorowała na raka, choć ciotka umarła na nowotwór piersi.

„Ogólnie rzecz biorąc, prognozy są przyzwoite” - oświadczył Drizak. Jednak Stu był synem lekarza i wiedział, jak nieprecyzyjna potrafi być medycyna.

Ojciec nieraz mu opowiadał o przykrych niespodziankach, będących częścią życia chirurga. Dodawał, że dlatego wszyscy musimy pokładać wiarę w Panu.

Stu bardzo chciał uwierzyć i od kilku dni modlił się z żarliwością misjonarza. Niestety, w swoim wnętrzu czuł pustkę ateisty.

Wszystkie te „Proszę Cię, Boże” i „Drogi Jezu”... Jakie miał prawo zanosić prośby do Pana?

Dla dobra dzieci. Zawsze dzieci.

Aż podskoczył, gdy ktoś położył mu dłoń na ramieniu.

- Przepraszam - bąknęła Petra.

- Chyba już pójdę.

Partnerka nie cofnęła ręki.

- Słuchaj, jeśli mogę coś dla ciebie zrobić...

- Dzięki, Petra, w porządku. Jestem przekonany, że wszystko pójdzie dobrze.

- O której jest operacja?

- O szóstej rano.

- Nie spiesz się z powrotem - powiedziała. - Wil i ja zajmiemy się sprawą.

- Dobra - odparł. Zastanawiał się, czy Petra znowu spróbuje go uściskać. Miał nadzieję, że nie. Nie tutaj, przy innych.

- Jakie masz plany? - spytał.

- Zamierzam pojechać do domu Ramsey’a, pogadać ze strażnikiem, sprawdzić, czy istnieje drugie wyjście z „Ranch Haven”.

- Dobry pomysł - stwierdził. Petra już na początku śledztwa nadmieniła, że powinni byli porozmawiać z nocnym strażnikiem natychmiast po zbrodni, on jednak wtedy z przerażeniem myślał tylko o jednym: „Co zrobię bez Kathy?”

Pochwalił Petrę mówiąc, że świetnie się spisuje i wyszedł.

Stąpił pewnym krokiem, uważnie stawiając stopy. Kolana miał miękkie jak z ciasta. Czuł się, jakby jakaś niewidzialna siła pchała go do przodu.

Rozdział 48

W Salwadorze było godzinę później niż w Los Angeles i Petra wątpiła, czy syn Estrelli Flores nadal będzie w swojej kancelarii prawnej. Niemniej jednak wystukała jego numer. Nikt nie podniósł słuchawki, więc połączyła się z międzynarodową informacją, gdzie otrzymała trzy inne numery Javiera Floresa. Trafiała na prawnika pod drugim z kolei.

- Martwię się o moją matkę - powiedział poprawną angielszczyzną lecz z wyraźnym obcym akcentem. - Wasze miasto jest takie niebezpieczne, a moja matka nie prowadzi samochodu. Dokąd mogłaby pójść? Zostawiłem Ramseyowi wiadomość, ale nie oddzwonił. Matka powiedziała mi, że jej pracodawca mieszka poza miastem. W jaki sposób miałaby opuścić jego posiadłość? Przecież nie ma nawet prawa jazdy. Dokąd mogła pójść? Nic w tej sprawie nie pasuje!

Flores zadawał jej pytania, jakby ją przesłuchiwał. Wypowiadał słowa wyraźnie, tonem człowieka wykształconego. Dlaczego zatem jego matka pracowała jako sprzątaczką?

Być może często go pytano o tę kwestię, ponieważ natychmiast wytłumaczył się Petrze.

- Namawiałem ją do powrotu. Mogłaby zamieszkać z nami, lecz matka jest bardzo niezależna. Wracając do tematu, powtarzam, że nie prowadziła samochodu. Dokąd mogła pójść? Jej zniknięcie nie wiąże się chyba ze śmiercią pani Ramsey... Prawda?

- Pańska matka mówiła coś panu o tej sprawie?

- Nie, ostatni raz rozmawiałem z nią w niedzielę, na dzień przed zdarzeniem. Przeczytałem o morderstwie w gazetach. Czytuję amerykańskie gazety. Co pani zrobiła, by znaleźć moją matkę, pani detektyw?

- Skontaktowałam się ze wszystkimi biurami osób zaginionych, panie Flores. Dzwonię do pana, ponieważ chcę zapytać, czy wie pan, dokąd mogłaby się udać. Może jacyś krewni, znajomi...

- Nie, nie - odparł Flores. - Matka nikogo tam nie zna. Więc nie przypuszcza pani, by te dwie sprawy się ze sobą łączyły?

- Nie mamy na to żadnych dowodów, proszę pana...

- Błagam! - wybuchnął Flores. - Proszę mi nie mydlić oczu! Mogła się przecież

dowiedzieć czegoś, co naraziło ją na niebezpieczeństwo!

- Szczerze mówiąc, nie wiem, panie Flores... Powtarzam, że do tej pory, nie ma na to żadnych dowodów. Czy matka kiedykolwiek mówiła panu o Ramseyach coś, co mogło się wiązać z zabójstwem? Szczególnie w ubiegłą niedzielę?

- Nie, wtedy w ogóle nie rozmawialiśmy o jej pracodawcy. Spytała tylko, ile ma na koncie bankowym, nic więcej. Przesyła mi pieniądze, które deponuję. Odkładała na własny dom.

- Wszystkie pieniądze wysyłała do Salwadoru?

- Z wyjątkiem podatków.

- A w poprzednich rozmowach? - spytała Petra. - Jaka była opinia pani Flores o Ramseyach?

- Mówiła mi, że żona pana Ramseya była młoda, ładna, niezbyt upierdliwa.

- A pan Ramsey bywał upierdliwy?

- Trochę... Posiadał kolekcję samochodów, które stale kazał polerować. Ale matka miała dobrą pracę, lepszą niż poprzednia. Tamci ludzie byli strasznie kapryśni. Wiecznie wszystko krytykowali.

- Pamięta pan ich nazwisko?

- Mieszkali w innej dzielnicy... W Bel-Air. Nazywali się Hooper. Tak, pan i pani Hooper. Mężczyzna nieustannie przesuwiał palcem po meblach, szukając kurzu. Kobieta piła zbyt wiele. No i płacili dość kiepsko.

- Imiona?

- Nie... Zaraz, proszę poczekać, adres mam w notatniku... Chyba że go wyrzuciłem, kiedy matka... Nie, nie, mam, Hooper... Jest numer telefonu.

Petra przepisała.

- Zadzwoń do nich, panie Flores.

- Ja również - powiedział. - Nie sądzę jednak, by matka do nich wróciła.

- Co jeszcze może mi pan powiedzieć o Ramseyach?

- Najbardziej nie lubiła dyrektora finansowego... Był odpowiedzialny za wypłatę jej pensji i zawsze się spóźniał z wysłaniem czeku. W końcu poskarżyła się pani Ramsey i pomogło.

- Pan Balch?

- Nigdy nie wymieniła nazwiska, mówiła tylko, że mężczyzna jest... snobem. Że stara się pokazać, jaki jest ważny. Nie lubiła go.

- A Ramseya?

- Nie chciała o nim mówić. Sądzi pani, że zabił swoją żonę?

- Panie Flores, w tym momencie nie...

- Okej, okej, interesuje mnie tylko moja matka.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby ją znaleźć, proszę pana. Zatem, zgodnie z pana wiedzą, nie doszło do żadnego konfliktu z panem Ramseyem? Nie zna pan żadnego powodu, który mógłby skłonić pana matkę do odejścia?

- Często nie było go w domu. Dom był wielki, a matka nie lubiła długo być sama. - Głos mu się załamał. - Czuję, że coś jest nie w porządku.

Gdy Petra zakończyła rozmowę i odłożyła słuchawkę, telefon natychmiast zadzwonił. Dyżurna sekretarka oznajmiła:

- Dzwonił niejaki doktor Boehlinger.

- Zostawił jakąś wiadomość?

- Tylko, żeby pani zadzwoniła. Brzmiało jak polecenie, nie prośba.

Jeszcze tego jej brakowało! Zaciskając szczęki, wystukała numer hotelu Boehlingera. Nie było go. Dzięki ci Boże za drobne przysługi!

Zatelefonowała do Hooperów w Bel-Air. Linia była zajęta. Pewnie uprzedził ją Javier Flores.

Spróbowała znowu i połączyła się z kobietą o chrypliwym głosie.

- O Jezus, właśnie rozmawiałam z jej synem. Nie, nie widziałam jej. - Parsknęła śmiechem. - Więc teraz policja wzięła się za nielegalnych? Odstawiacie ich z powrotem?

- Dziękuję, pani Hooper.

„To przecież pani ją zatrudniała, gdy była tu nielegalnie, pani Hooper” - pomyślała ze złością Petra, odkładając słuchawkę.

Na horyzoncie pojawił się Wil Fournier. Pokazał jej jakiś skrawek papieru. Widniało na nim mniej więcej czterdzieści nazwisk, wszystkie poza trzema były już odhaczone.

- Bzdury. Naszego małego włamywacza widziano w różnych rejonach stanu, czasem nawet w kilku równocześnie. Dzwoniło mnóstwo świrów, jak gdyby ktoś ich nagle wypuścił z psychiatryka. - Poluźnił krawat. Jasnobrązowy palec miał poplamiony atramentem. - Jedna panienska z Frisco twierdzi, że chłopiec jest jej synkiem, którego oddała zaraz po urodzeniu. Nawet chciała zadzwonić do „Nierozwiązanych tajemnic”. Dodała, że pieniądze jej się przydadzą, ponieważ chce studiować psychologię. Jeden facet twierdzi, że to nie dzieciak, lecz mistyczny guru, który pojawia się w czasach kryzysu i „przynosi wyzwolenie”. Być może nadchodzi koniec świata.

- Może ma rację - mruknęła Petra.

- Najpierw chciałbym doczekać emerytury - odparł Fournier. Stuknął w każde z niesprawdzonych nazwisk. - Zostały trzy potencjalne osoby. Dwie dzwoniły z tego samego miejsca - jakiegoś farmerskiego miasteczka o nazwie Watson. Leży między Bakersfield i Fresno. Żadna z rozmówczyń nie знаła chłopca z nazwiska, ale obie twierdziły, że widziały go w okolicy. Sądząc po głosie, nie są ani wariatkami, ani pazernymi kłamczuchami. Zresztą, dwie pomyłone kobiety w tak małej miejscowości to już interesująca sprawa. Zadzwoiłem do lokalnej policji. To musi być naprawdę zabita dechami dziura, ponieważ mają tam tylko dwóch szeryfów. Żadnego nie zastałem. Rozmawiałem z recepcjonistką, która miała chyba ze sto lat. Trzecia osoba to chciwy facet, ale z pewnością zdrowy na umyśle. Mówił z rosyjskim akcentem. Podobno widział dzieciaka w Venice dziś rano, opisał jego ubranie - podkoszulek, dzinsy... Mówił, że mały wygląda, jakby sypiał na ulicy, miał zaschniętą sól morską na twarzy. Może mył się wodą z oceanu. I był podrapany.

- Dobrze oko do szczegółów.

- Z tego też względu nie zbyłem go od razu. Prowadzi budkę z pamiątkami na Ocean Front w Venice. Upiera się, że sprzedał dzieciakowi dziś rano czapkę. Potem chłopiec odszedł na północ. Facet powiedział, że to dziwne - dzieciak sam, w środku dnia. No i kupił czapkę... Ruski mówi, że nigdy nie sprzedał takiej czapki samotnemu dzieciakowi.

- Nasz świadek próbuje ukryć twarz? - spytała Petra.

Fournier wzruszył ramionami.

- Może. O ile przeczytał dzisiejszą gazetę, a wiemy, że lubi czytać. Z drugiej strony, gdy jest się bezdomnym i bez grosza przy duszy, a w dodatku ucieka się przed czymś... i nagle ktoś oferuje dwadzieścia pięć tysięcy za ciebie, nie zgłosiłabyś się? Nie próbowałabyś zdobyć nagrody?

- To tylko dziecko, Wilu. Prawdopodobnie maltretowane dziecko. Dlaczego miałby komukolwiek zaufać? Rozumiesz ten schemat? A jeśli chłopiec widział mordercę, może jest zbyt przerażony, by myśleć o forsie.

- Tak, pewnie masz rację. A może był na miejscu, lecz nie podczas morderstwa i uważa, że nie warto się zgłaszać. Tak czy owak, ten Rosjanin bardzo chce pieniędzy.

Petra głośno przeczytała nazwisko mężczyzny:

- Władimir Żukanow.

- To swoją drogą ciekawe - ciągnął Fournier. - Fakt, że jest Rosjaninem. Nie jestem uprzedzony, ale wiesz, o co niektórych z nich podejrzewano. - Złożył listę i schował ją do kieszeni. - Wpadnę do niego i pogadam... Mam dziś wieczorem randkę w Santa Monica. Jemy kolację u Loewa. Byłaś tam kiedyś?

Petra potrzęsnęła głową.

- Żukanow mówił, że poczeka na mnie do późna. Ostatnia sprawa: znowu dzwonił do mnie Schoelkopf. Wypytywał o szczegóły. Naciskał. Chyba będę musiał mu coś zdradzić, Barb. Tyle że on wszystko przekazuje mediom, a my potem zapierdalamy jak szaleni.

- Jak mus, to mus - oceniła Petra. - Nie do nas należą decyzje.

*

O siódmej była gotowa do wyjścia, gdy ponownie zadzwonił telefon.

Odezwała się młoda kobieta:

- Łączę z panem Lawrence'em Schickiem.

Dziesięć sekund kiepskiej muzyki, potem senny męski głos zapytał:

- Z jakim detektywem mam przyjemność?

- Detektyw Connor.

- Dobry wieczór, pani detektyw, mówi Lawrence Schick.

Wymowna pauza. Prawdopodobnie powinna wiedzieć, kim jest jej rozmówca. I wiedziała. Prawnik, dostawał sześćset dolarów za godzinę, obrońca kryminalistów, najczęściej przyłapanych na jeździe po pijanemu sławnych osobistości, dzieciaków aktorów, bawiących się bronią, i innych „specjalnych” przestępców. Słyszała, że potrafił ostro pokąsać, lecz dotąd go nie poznała. Chwytni przez nią złoczyńcy nie mogli sobie pozwolić na papugę z Zachodniej Alei.

- Dobry wieczór, panie Schick.

- Jak się posuwa sprawa pani Ramsey?

No, no, w końcu pojawia się więc adwokat.

- Pyta pan jako zaniepokojony obywatel?

Schick roześmiał się.

- Zawsze niepokoję się o nasz świat, ale nie o to chodzi. Zostałem zaangażowany przez pana Ramsey'a, by go reprezentować w tej sprawie. Zatem proszę kierować wszystkie przyszłe pytania przez moje biura.

Biura. Liczba mnoga!

„Popatrz, mała, jaki jestem ważny!”

- Pytania - powtórzyła Petra.

- Wszystko, co odnosi się do sprawy - uściślił Schick.

- Chce pan powiedzieć, że nie mogę rozmawiać z panem Ramsey'em bez uprzedniego uzgodnienia tego z panem?

- W chwili obecnej - odrzekł prawnik - byłoby to wskazane, pani detektyw. Dobranoc.

- Dobranoc, panu - rzuciła Petra do głuchego już telefonu. Wczoraj rozmawiała z Ramseyem w kuchni. A teraz coś takiego. Z punktu widzenia Ramseya od tej pory zdarzyły się dwie rzeczy: ich powtórna rozmowa i jej rozmowa z Balchem. Czyżby powiedziała komuś z nich coś, co zaniepokoiło Ramseya?

Pospiesznie chwyciła notes i przejrzała notatki. W rozmowie z Ramseyem nie znalazła nic szokującego... Wspomniał, że mógłby być podejrzanym... Podkreśliła to. Jeden nowy temat - Estrella Flores.

Przejrzała rozmowę z Balchem. „Odkrycie” Ramseya przez Hollywood, temperament Lisy, sprawa jej pobicia przez męża. I znowu Estrella Flores.

Czy służąca stanowiła sedno problemu?

Co widziała tamtej nocy?

A może nagła nerwowość Ramseya miała coś wspólnego z podobizną chłopca w gazecie? Ramsey sądził dotąd, że popełnił zbrodnię idealną, a tu nagle trafia na najgorszy koszmar każdego przestępcy - tajemniczego świadka?

Bardzo chciałaby zajrzeć w te błękitne oczy. Czy był w nich strach?

Tego oczywiście nie mogła zrobić.

Jednak nikt, nawet przepłacany prawnik z Beverly Hills, nie był w stanie jej powstrzymać przed całkiem przypadkową wizytą w okolicy domu Ramseya. Może nawet wpadnie do niego na pogawędkę.

*

Zatrzymała się po kanapkę z pieczoną wołowiną u Arby'ego na Bulwarze Zachodzącego Słońca. Zjadła w samochodzie, żując mięso, rozmyślając i obserwując, jak nocne stworzenia wychodzą z mroku. Przed laty bałaby się przebywać o tej porze w takim miejscu. O dziewiętnastej czterdzieści wyruszyła do Calabasas. Było już po godzinach szczytu, więc dojechała do wartowni „Ranch Haven” o 8:33.

Dyżur pełnił młody mężczyzna o zapadniętych policzkach i zniechęconej postawie. Był szczupły z wyjątkiem wydatnego brzucha, który opinała obcisła koszula munduru. Kiedy Petra podjechała, strażnik złożył ramiona na piersi. Ostentacyjna czujność - śmieszna wobec braku zagrożenia - znikła, gdy zobaczył policjantkę z bliska. Fałszywy uśmiešek rozświetlił jego nijaką twarz. Flirciarz. Świetnie! Brwi miał bardzo blade, prawie niewidoczne. Z plakietki wynikało, że nazywa się D. Simkins.

Wyszedł, popatrzył na nią, otworzył bramę. Podjechała do niego.

- Jak leci? - Żadnego „proszę pani”. Lekki ton, ponieważ prowadziła hondę, nie porsche, nie należała zatem do grona lokatorek luksusowych posiadłości.

Pokazała mu odznakę.

- Och - jęknął, po czym cofnął się o krok i podciągnął spodnie. - Najwyższy czas, pani detektyw.

- Na co?

- Miałem zmianę tej nocy, gdy została zamordowana Lisa Ramsey. Ciągłe się zastanawiałem, kiedy do mnie przyjdziecie. - Pokiwał palcem, udając dezaprobatę.

Tym razem Petra się uśmiechnęła.

- No cóż, już jestem, panie Simkins.

Zaparkowała, wysiadła i nie prosząc o pozwolenie weszła do wartowni. Mężczyzna wszedł za nią. Oszklone pomieszczenie, tak małe, że z trudem starczało w nim miejsca dla dwojga. Simkins oparł się o kontuar, zmierzył Petrę spojrzeniem. Bezwstydnie.

W środku stało niewiele przedmiotów: mała szafka na zapasy, jedno krzesło, które Simkins podsunął policjantce. Wołała postać.

Wyjęła notes, lustrując spod oka środki bezpieczeństwa. Centralka telefoniczna, CB-radio, przenośne walkie-talkie. Dwa monitory telewizji przemysłowej zawieszono nad kontuarem: jeden pokazywał wylot głównej drogi, drugi był tak ciemny, że nawet nie wiedziała, czy jest włączony. Obok telefonu leżała zatłuszczona torba i egzemplarz „Rolling Stone”. Na okładce widniało zdjęcie jakiejś gwiazdy rocka z przekłutymi brwiami i srebrnym kolczykiem w języku.

- Cóż mogę zrobić dla koleżanki po fachu? - spytał Simkins.

Petra ponownie się uśmiechnęła.

- Był pan tu przez całą tamtą noc, panie Simkins?

- Proszę mi mówić Doug. Tak, byłem. Panował zupełny spokój, jednak... no sam nie wiem... Miałem jakby uczucie, że jest zbyt cicho. Jak gdyby coś się miało zdarzyć.

- I zdarzyło się?

Simkins potrząsnął głową.

- No nie, ale wie pani, po prostu czułem, że noc jest niesamowita. Następnego ranka, jak tylko usłyszałem, co się stało, pomyślałem: „O rany. Chyba miałem przecucie”.

„Panie, chroń mnie przed nawiedzonymi świrusami!” - pomyślała Petra.

- Tu chyba zwykle panuje spokój.

- Byłaby pani zaskoczona - odparł, nagle się nadymając. - Bywa różnie. Na przykład sprawa pożarów. Musimy przez cały czas trwać w pogotowiu.

- Co wtedy robicie?
- Zawiadamiamy ludzi, że trzeba się ewakuować.
- Straszne - mruknęła Petra.
- Po to tu jesteśmy. - Dotknął z dumą plakietki. Była z nierdzewnej stali i wyglądała jak replika odznaki policji Los Angeles. Czy departament mógłby ich zaskarżyć?
- Czyli... Doug, od której godziny dyżurowałeś tamtej nocy?
- Od dziewiętnastej do trzeciej miałem normalną zmianę. Poranny strażnik zadzwonił, że jest chory, więc wziąłem podwójny dyżur.
- Aż do której?
- Do jedenastej. Wtedy zaczęła się dzienna zmiana.
- Dzienna zmiana to strażnik... Dillbeck. - Przypomniała sobie nazwisko starego strażnika.
- Tak, Oliver - powiedział Simkins, marszcząc brwi. Prawdopodobnie zirytował się wiadomością, że Dillbecka przesłuchiowano przed nim.
- Czy ktoś z domu Ramseya wjeżdżał albo wyjeżdżał podczas twojego pobytu tutaj? - spytała.
- On. To znaczy pan Ramsey. Wraz z przyjacielem, blondynem, którego zawsze z nim widuję, przyjechali tego wieczoru.
- O której?
- Około dwudziestej pierwszej.
- Okolo?! Nie zapisują wejść i wyjść?
- Zapisał pan to?
- Nie, nie wtrącamy się w sprawy mieszkańców. - Znowu obronny ton.
- Kto prowadził, Doug?
- Przyjaciel.
- Czy pan Ramsey albo jego towarzysz wychodzili ponownie owej nocy?
- Nie - odrzekł Simkins stanowczo i z zadowoloną miną. Po chwili dodał: - Nikt z całej posiadłości nie wychodził, chociaż kilka osób wróciło do domu. Jak mówiłem, noc była spokojna.
- A służąca pana Ramseya?
- Nie. Nie wychodziła. Okolica jest naprawdę cicha. Zbyt cicha. Ja lubię działanie.
- Petra stłumiła śmiech.
- Wiem, co masz na myśli, Doug. Co możesz mi powiedzieć o Ramseyach?
- No cóż - zaczął Simkins w zadumie - pracuję tutaj dopiero od trzech tygodni. Widzę

tylko, jak facet wjeżdża bądź wyjeżdża. Podobnie jego przyjaciel. Myśli pani, że on to zrobił?

- Nic jeszcze nie myślę, Doug. - Trzy tygodnie na dyżurze. Zatem nie poznał Lisy. Nawet gdyby posiadał mózg, ten facet byłby dla niej bezużyteczny. - Czy pan Ramsey jest teraz w domu?

- Podczas mojej zmiany nie wjeżdżał ani nie wyjeżdżał.

- Czy istnieją inne wyjścia z „Ranch Haven“?

- Nie.

- Co pokazuje ten drugi ekran?

Oczy Simkinsa błysnęły ku konsoli.

- Och, ten. To tylko droga pożarowa na tyłach posiadłości, ale nikt jej nie używa. Nawet zgodnie z planem ewakuacyjnym mamy wyprowadzić wszystkich frontowym wyjściem.

- Ekran wygląda na dość ciemny.

- Tam jest dość ciemno.

Petra pochyliła się nad monitorem.

- Nie ma tam żadnego strażnika?

- Nie. Aby otworzyć furtkę, trzeba posiadać specjalną kartę. Wszyscy mieszkańcy posiadają te karty. Jednak nikt nie używa tego wyjścia.

- Chciałabym się tam rozejrzeć, Doug. Tylko rzucę okiem.

- Nie wiem...

- Możesz pójść ze mną, jeśli chcesz. - Podeszła blisko do mężczyzny. Niemal dotknęli się pierś o pierś. Strażnik obficie się pocił.

- No cóż...

- Tylko rzucę okiem, Doug. Obiecuję, że niczego nie ukradnę. - Mrugnęła do niego, a wtedy Simkins się cofnął.

- No dobrze, tylko proszę nie niepokoić mieszkańców, okej? Tu chodzi o mój tyłek. Tutejsi ludzie lubią spokój i ciszę. Za to mi płacą.

- Jak dotrę do wyjścia przeciwpożarowego?

- W górę główną drogą aż na szczyt. - Wskazał dłonią, przysunął się jeszcze bliżej Petry; ich ramiona się dotknęły. - Dokładnie mówiąc, po drodze do domu pana Ramseya... Jednak zamiast skręcać w prawo, pojedzie pani dalej w lewo i po jakimś czasie zobaczy pani duży pusty teren, na którym mieli kiedyś zbudować pole golfowe na dziewięć dołków. Nigdy go jednak nie zbudowali... Pewnie dlatego, że wszyscy mieszkańcy i tak grają w jakichś klubach. Dalej proszę jechać w lewo. Trzeba objechać cały teren. Droga zatoczy łuk i nagle zmieni kierunek. Musi pani jechać do jej samego końca.

Podziękowała strażnikowi i poklepała go po ramieniu. Znowu się cofnęła.

*

Jechała bardzo powoli. Zatrzymała się, gdy zobaczyła dom Ramseya. Z zewnątrz był bardzo intensywnie oświetlony. Słabsze światło emanowało z wnętrza. Przed domem nie parkowały żadne samochody. Pieprzyć to jego muzeum! Nie sposób się dowiedzieć, czy facet jest w domu.

Petra zapatrzyła się w dom. Spokój. Pobliskie budowle wyglądały podobnie. Im bogatsza dzielnica, tym bardziej martwo prezentowały się domy.

Zgodnie ze wskazówkami Simkinsa dotarła do niedoszłego pola golfowego, które objeżdżała przez dziesięć minut. Był to płaski szary teren obsadzony młodymi jałowcami i otoczony ogrodzeniem z kutego żelaza. Droga zwęziła się do wąskiej dróżki, po czym zmieniła w odkryty tunel o wysokich ciemnych ścianach. Ponad nimi Petra dostrzegła powyginane i powykręcane konary dębów, karłowate na tle czarnego nieba. Przez mgłę przebijały się nieliczne gwiazdy i duży, szaro-biały księżyc.

Pachniało końskim nawozem i wyschniętym błotem.

Reflektory samochodu utworzyły w mroku bursztynową ścieżkę. Petra włączyła długie światła i jechała z prędkością piętnastu kilometrów na godzinę. Nagle pojawiło się przed nią wyjście przeciwpożarowe - pojedyncza brama, wysoka na trzy i pół metra, elektryczna, ozdobiona tym samym żelaznym motywem co główne wyjście. Grube ceglane słupy, znaki ostrzegawcze. Na stalowym słupku znajdował się otwór na klucz magnetyczny.

Petra zatrzymała auto w odległości dziesięciu metrów od bramy, wyjęła latarkę ze schowka na rękawiczki, zostawiła samochód na jałowym biegu i wysiadła.

Na górze mocniej pachniało końmi. Panowała cisza, nie słychać było nawet ptaków. Do uszu Petry docierały jedynie barytonowe odgłosy z autostrady: natarczywe, odległe.

Machnęła latarką, oświetlając drogę. Kiepsko utrzymana, zasypana ziemią. Simkins twierdził, że nikt nie używa tylnego wyjścia, lecz policjantka zauważyła nikłe ślady opon. Nieco końskich śladów i mniejszych, które mogły należeć do psów albo kojotów... Nie wiedziała dokładnie, nie znała się na tropach.

Pomyślała, że przydałby się tu jej ojciec.

Trzymając się pobocza dróżki, podeszła do bramy, później wróciła. Jeszcze raz przeszła tę samą drogę. Błoto było mocno ubite, Petra odnosiła wrażenie, że idzie po asfalcie. Wokół szczeliny na kartę zauważyła nieco rdzy. Po drugiej stronie ogrodzenia znajdował się podobny otwór.

Bezproblemowe wejście i wyjście.

Ponadto dom Ramseya stał niemal na skraju „Ranch Haven”, stąd też facet mógł się niepostrzeżenie wymknąć, nie narażając się na zbyt wiele wścibskich oczu.

Petra wyobraziła sobie, jak sobie poradził.

Począł, aż Balch zaśnie... albo wrzucił mu do napoju środek nasenny. Następnie wytoczył mercedesa z megagarażu. Lub jeepa, którego wcześniej sprowadził z Montecito. Z wyłączonymi reflektorami ruszył powoli ku drodze przeciwpożarowej. Okoliczne domy stały daleko od drogi, w dodatku były otoczone płotami, bramami i wysokimi żywopłotami. Z pewnością nikt go nie zauważył. Mieszkańcy „Ranch Haven” - posiadający baseny, jacuzzi, zestawy kina domowego i pola golfowe - na pewno nie spędzali wieczorów gapiąc się przez frontowe okna. Ponad wszystko cenili sobie prywatność, toteż często udawali, że nie istnieje nic poza ich czterema ścianami.

Petra przyjrzała się bacznie śladom opon. Słabo widoczne, pozbawione znaków bieżników. Wątpiła, czy można by po nich zidentyfikować pojazd. A jednak warto byłoby zrobić odlew. Tyle że nie sposób było go zdobyć bez nakazu, a nie miała żadnych podstaw, by o niego wystąpić. Szczególnie odkąd na scenie pojawił się wielmożny pan Larry Schick - teraz nawet rozmowa z Ramseyem może się okazać niemożliwa.

Nawet gdyby ślady opon pasowały do któregoś z samochodów Ramseya, od morderstwa minęły już cztery dni. Aktor może się przyznać, że wyjeżdżał tą drogą - na przykład na przejażdżkę po wzgórzach, gdy starał się uspokoić nerwy i ukoić żal po śmierci eks-żony.

Wzgórza... Doskonały teren na ukrycie ciała.

Czy Estrella Flores została gdzieś tam pochowana?

Czy droga pożarowa prowadziła tylko w góry Santa Susanna?

Petra wycofała auto aż do najbliższej skarpy, zakręciła i wróciła do wartowni. Gdy Simkins zobaczył, że nadjeżdża, odłożył „Rolling Stone'a” i otworzył dla niej bramę wyjazdową. Okna wartowni były zamknięte; strażnik wyraźnie nie miał ochoty na pogawędkę. Tym niemniej Petra zatrzymała się przy budynku. Mężczyzna skrzywił się, lecz podszedł. Wiedział, że jego pięć minut już minęło, czuł się pewnie kiepsko i chciał, by Petra po prostu odjechała.

- Znalazła pani coś?

- Nie... Tak jak mówiłeś, Doug. Powiedz mi, dokąd wiedzie droga pożarowa?

- W góry.

- A dalej?

- Łączy się z wieloma bocznymi drózkami.

- Czy nie łączy się ze Sto Pierwszą?

- Kiedyś ciągnęła się aż do Sto Pierwszej ale teraz już się z nią nie łączy. - Ostatnie słowo wypowiedział tak, aby zabrzmiało sproszenie.

- Jednak... da się dojechać do autostrady bocznymi drogami, prawda?

- Tak, jasne. W końcu zawsze się trafia na autostradę. Wiem, bo dorastałem w West Hills. Zanim zbudowali „Ranch Haven”, przyjeżdżaliśmy tutaj i polowaliśmy na króliki. Czasami zwierzaki wybiegały aż na szosę.

- Stare dobre czasy - odpowiedziała Petra.

Anemiczna twarz Simkinsa wyjaśniała na to wspomnienie, choć jednocześnie mężczyzna z urazą zmarszczył brwi. Przypomniawszy sobie, że już jako dziecko mógł jedynie roić o fortunę?

- Musi tam być teraz bardzo pięknie - westchnął, szczerze poruszony. W tym momencie Petra prawie go polubiła. Prawie.

Rozdział 49

- Hej, nieźle - ocenia Sam.

Pracowałem cały dzień. Okna pucowałem tak długo, aż nie było na nich ani jednej smugi. Wytarłem mopem drewniane podłogi; dodałem pasty, żeby błyszcząły. Wyczyściłem jedynie połowę siedzeń, ale te, które skończyłem, wyglądają całkiem dobrze, zaś całe pomieszczenie przyjemnie pachnie cytryną.

Sam próbuje mi wcisnąć resztę pieniędzy.

- Nie skończyłem jeszcze.

- Ufam ci, synu... Tak przy okazji, teraz, gdy dla mnie pracujesz, mógłbyś mi już podać swoje imię?

Jestem tak zaskoczony, że bez zastanowienia mamrocze: „Bill”.

- Bardzo mi miło. Billu.

Ależ dużo czasu minęło, odkąd ktoś się do mnie zwrócił po imieniu. Odkąd w ogóle z kimś rozmawiałem!

Sam pokazuje mi papierową torebkę.

- Przyniosłem ci kolację. Bajgiel od Noaha... tyle że bez dodatków, bo nie wiedziałem, czy wolisz cebulowy czy jakiś bardziej wymyślny. No i serek śmietankowy. Lubisz serek śmietankowy?

- Jasne. Dzięki.

- Hej, jesteś teraz człowiekiem pracującym, musisz się dobrze odżywiać. - Wręcza mi torebkę i chodzi po *szulu*. - Lubisz tę cytrynową pastę, co? Wykończyłeś całe pudełko?

- Prawie.

- Kupię jutro nowe... To znaczy, o ile chcesz jutro popracować.

- Pewnie, że chcę.

- Proszę, weź pieniądze.

Biorę. Sam patrzy na zegarek.

- Czas iść, Bill. Nie chcę, by mnie oskarżano o zatrudnianie nieletnich.

Wychodzimy na dwór. Sam zamyka drzwi *szulu*. Aleja jest pusta, lecz przez szczelinę między budynkami słychać szum oceanu i ludzi rozmawiających na deptaku. Duży lincoln stoi dziwacznie zaparkowany, przednim zderzakiem prawie dotykając budynku. Sam otwiera

drzwi kierowcy.

- A zatem...

- Do widzenia - mówię.

- Do zobaczenia jutro, Bill. - Wsiada do samochodu. Zaczynam odchodzić. Kieruję się na południe, jak najdalej od ruskiego zbieżnicy. Podoba mi się ciężar banknotów w mojej kieszeni, zastanawiam się jednak, dokąd pójść. Wrócić pod moło? Ale tam było tak zimno. I teraz mam pieniądze...

Słyszę głośny pisk opon, odwracam się. Sam wycofuje lincolna z alei. Ma dużo miejsca, lecz ciągle cofa i zatrzymuje się, szarpiąc autem. Hamulce zgrzytają.

Ho, ho, zaraz uderzy w płot... Nie, na szczęście omija go. Waham się, czy powinien pokierować nim, zanim zrobi sobie krzywdę, na szczęście radzi sobie sam. Obraca kierownicę obiema rękami, głowę pochyla mocno do przodu, jakby starał się przebić wzrokiem przednią szybę.

Zamiast wszakże jechać do przodu, cofa i zatrzymuje się obok mnie.

- Hej, Bill. Naprawdę masz gdzie spędzić noc?

- Jasne.

- Gdzie? Na ulicy?

- Nic mi nie będzie. - Ruszam przed siebie. Sam bardzo powoli jedzie obok mnie.

- Dałbym ci pieniądze na hotel, jednak dziecku nikt nie wynajmie pokoju, a poza tym jeśli pokażesz dużo gotówki, ktoś ci ją ukradnie.

- Poradzę sobie - powtarzam.

- Jasne, jasne... Nie mogę ci pozwolić spać w bóżnicy, ponieważ... Co zrobię, jeśli na przykład poślizgniesz się i upadniesz, miałbym prawne problemy... Mógłbyś mnie zaskarżyć.

- Nigdy bym tego nie zrobił.

Sam śmieje się.

- Tak, prawdopodobnie nie zrobiłbyś tego, niemniej jednak nie mogę... Posłuchaj, niedaleko stąd mam dom. Sporo pokojów. Mieszkam sam. Możesz się u mnie zatrzymać na dzień lub dwa. Do czasu aż wymyślisz, co robić dalej.

- Nie, nie, dzięki. - Mówię te słowa trochę zbyt chłodno. Nie odwracam się, by spojrzeć mu w twarz, gdyż podejrzewam, że Sam może wyglądać na obrażonego.

- Jak chcesz. Bill. Nie mam ci za złe tej nieufności. Prawdopodobnie ktoś cię skrzywdził w życiu. Nie ufasz nikomu... Boisz się pewnie, że okażę się jakimś, hmm... pomyłką.

- Jestem pewny, że nie jest pan szalony.

Dlaczego to powiedziałem?

- Skąd możesz mieć taką pewność, Bill? Jak możesz w ogóle być pewny? Słuchaj, kiedy byłem w twoim wieku... no może trochę starszy... Przyszli do mojego domu pewni źli ludzie. Zabrali całą moją rodzinę. Zabili wszystkich z wyjątkiem mnie i mojego brata. To byli naziści. Słyszałeś o nich kiedykolwiek? Tyle że wcześniej znałem ich nie jako nazistów, lecz moich sąsiadów. Mieszkali obok mnie. Moja rodzina żyła w ich kraju od pięciuset lat, a jednak tak nas potraktowali... Mówię o drugiej wojnie światowej w Europie. O przeklętych nazistach. Słyszałeś kiedyś o tej... sprawie?

- Jasne - odpowiadam. - Uczyłem się historii.

- Tak, historia. - Sam śmieje się, lecz nie jest to wesoły śmiech. - Tak czy owak, nie będę cię pouczał, że powinno się ufać ludziom... Masz rację, wielu gnojków krąży po ulicach. - Zatrzymał samochód, więc ja również przystaję. Sam wsuwa mi w dłoń kolejne banknoty. Dwie dziesiątki.

- Nie musi pan, panie Ganzer.

- Nie, nie muszę, lecz chcę... Och, do diabła, śpij w *szulu* dzisiejszej w nocy. Tylko nie upadnij i nie złam sobie karku. A jeśli ci się to przydarzy, nie zaskarżaj nas.

Potem wciska wsteczny bieg i cofa auto aż do *szulu*. Robi to w straszny sposób. Szarpie i stale zbacza z drogi. Cud, że nie uderza w ścianę.

Rozdział 50

Petra otworzyła frontowe drzwi mieszkania kompletnie wyczerpana. Nie była już tak wytrzymała jak kiedyś. Pomyślała o jutrzejszej gehennie Kathy Bishop. Czymże przy operacji żony Stu były własne problemy policjantki. Żadnego rozczulania się nad sobą. Nie masz prawa, mała!

Otworzyła puszkę coli i odsłuchiwała automatyczną sekretarkę. Propozycja reklamowa jakiejś firmy telefonicznej. Ron Banks dzwonił o dziewiętnastej, zostawił numer na 818, prawdopodobnie domowy; prosił, by oddzwoniła. Adele, jedna z sekretarek z posterunku prosiła o to samo. O dwudziestej piętnaście.

Petra miała wielką ochotę porozmawiać najpierw z Ronem. Spotkać się z nim, usiąść na tapczanie i pogawędzić... Niech będzie, co ma być! Najpierw jednak praca. Zadzwoiła do Adele.

- Dobry wieczór, detektyw Connor. Dostałam wiadomość dla pani z wydziału w Pacific od niejakiego detektywa Grauberga. Podam jego numer.

Pacific to rejon, w którym znaleziono ciało Ilse Eggermann. Czyżby w tej sprawie pojawiło się coś nowego?

Zadzwoiła. Grauberg wyszedł, telefon odebrał detektyw nazwiskiem Salant.

- Mój partner już rozmawiał z ludźmi od was.

- Z kim?

- Proszę poczekać, mam zapisane... z kapitanem Schoelkopfem. Pewnie Grauberg nie zdołał poinformować nikogo z was, więc skierowano go do szefa.

- Poinformować o czym?

- Znaleźliśmy wrak samochodu, którym się interesowaliście. Czarne porsche, zarejestrowane na Lisę Boehlinger Ramsey.

- Wrak? Obrobiony?

- Wypatroszony i pozostawiony na pastwę sępów. Prawdopodobnie do tej pory większość części tkwi w tijańskich taksówkach. Mamy świadka, który twierdzi, że auto zaparkowano tam przynajmniej cztery dni temu.

- Gdzie?

- Za parkingiem autobusów blisko Pacific Avenue. Świadkiem jest jeden z kierowców.

- Kiedy go obrobili?

- Był patrolowany stopniowo. Ubiegłej nocy ktoś go podpalił. Wtedy nas powiadomiono.

Cztery dni i żadnego raportu!

- Od ulicy jest niewidoczny - dodał Salant. - Widok blokują magazyny. Stale znajdujemy tam kradzione auta.

- Gdzie jest teraz porsche? - spytała Petra.

- W centrum. Życzę powodzenia.

Petrę łączono z wieloma kryminologami, zanim trafiła do kobiety nazwiskiem Wilkerson, która zajmowała się pojazdem Lisy. Z samochodu pozostał zwęglony szkielet. Nie było kół, siedzeń, silnika i przedniej szyby.

- Jak gdyby przeszło przez niego stado szarańczy - mruknęła Wilkerson.

- Co z odciskami?

- Nic jak do tej pory. Jeśli coś znajdę, zawiadomię panią.

Petra wypięła czołę i spróbowała sobie wyobrazić eskapadę Lisy z Doheny Drive do Griffith Park. Dzielnica Venice zupełnie nie pasowała do tej trasy. Czy odstawiono tam porsche, czy też Lisa sama pojechała za parking autobusów? Spotkała się z mężczyzną na opuszczonej ulicy w dzielnicy słynącej z przestępstw?

Jak ten szczegół miał się do scenariusza Petry pod tytułem „Ostatnia randka”? A może Lisę ktoś porwał, zastraszył i kazał się zawieźć do Venice? Ktoś obcy?

A może ktoś, kogo znała? Załóżmy, że wyruszyła z Doheny na randkę z jakimś znajomym. Morderca obserwował ją, śledził, jechał za nią, skorzystał z okazji...

Ramsey pasował do tego obrazka jak ulał.

Hmm, Venice... Kelly Sposito, aktualna kochanka Darrella Bresheara, mieszkała na Czwartej Ulicy, zaledwie parę kroków od parkingu autobusów.

Jaki był adres Bresheara? Petra sprawdziła w notesie. Z danych wynikało, że mieszkał na Ashland w Ocean Park, stanowiącym granicę między Santa Monica i Venice. Bardzo blisko.

Wszystko zmierzało ku plaży. Łącznie z chłopcem, jeśli wierzyć rosyjskiemu informatorowi Wila.

Breshear. Kolejny były aktor. Wszyscy tu grają jakieś role... Informacja o odnalezionym samochodzie trafi jutro do gazet. Petra uznała, że musi porozmawiać z czarnoskórym montażystą, zanim facet zdąży przygotować sobie historyjkę.

Dochodziła dwudziesta druga. Breshear był z żoną czy z Kelly? Postawiła na tę pierwszą możliwość, ponownie się ubrała i pojechała w kierunku zachodnim.

*

Ashland okazała się ładną pochyłą ulicą w najlepszej części Ocean Park. Budynki w rozmaitych rozmiarach reprezentowały wszelkie style architektoniczne, jakie można sobie wyobrazić. Dom Bresheara stał na szczycie. Był mały, dobrze utrzymany, nowoczesny. Przed frontem rosło mnóstwo kaktusów, nie było trawnika. Biały kabriolet BMW parkował na podjeździe za żelazną bramą. Jaskrawe światła nad wjazdem oświetlały ładne podwórko za domem. Petra wcisnęła dzwonek. Otworzył Breshear, ubrany w czarny podkoszulek i workowate zielone szorty. W ręce trzymał butelkę heinekna. Na widok policjantki wytrzeszczył oczy.

- To kiepska pora - burknął. - Moja żona...

- Mogłaby być gorsza - odparła. - Sądzę, że mnie pan okłamał. Znaleźliśmy dzisiaj samochód Lisy. Tutaj w Venice. Miał pan z nią randkę w niedzielę wieczorem? Proszę nie kręcić, i tak dowiem się prawdy.

Spojrzał przez ramię, później zamknął drzwi, wyszedł i spytał:

- Możemy pomówić na chodniku?

- Pańska żona nie będzie ciekawa powodów pańskiego wyjścia?

- Kąpie się.

Petra poszła z Breshearem na chodnik.

- Tak naprawdę nie mieliśmy randki - wyjaśnił. - Lisa powiedziała, że chce po prostu pogadać.

- O czym?

- Nie wiem... Och, do cholery, w porządku, chciała się spotkać.

- Więc jednak kontynuowaliście wasz związek po tamtych wspaniałych siedmiu dniach?

- Właściwie nie - odparł. - Noo... co jakiś czas, góra raz na miesiąc.

- Z pana inicjatywy?

- Oczywiście, że nie! Lisa chciała.

- No, no, no - mruknęła Petra. - Lisa, Kelly, pańska żona... Tak przy okazji, jak jej na imię?

- Marcia. - Breshear odwrócił się i spojrzał na dom. - Proszę posłuchać...

- Jest pan rozrywany - ciągnęła Petra.

- To nie przestępstwo.

- Za to utrudnianie śledztwa jest przestępstwem.

- Niczego nie utrudniam. To... Nic pani nie mówiłem, ponieważ moje słowa nie mogłyby pani w żaden sposób pomóc. Gdy dotarłem na miejsce spotkania, Lisy już nie było. Rozumie

pani chyba, że wolałem nie opowiadać, jak poszedłem się z nią spotkać tamtej nocy. - Popatrzyl na Petrę. - W końcu jestem czarny. Wiem, co by pani sobie pomyślała.

- Niech mi pan nie wyjeżdża z rasowymi bzdurami - zdenerwowała się Petra. - Lisę zamordowano, a panu chyba nikt nie zrobił krzywdy, prawda? O której godzinie mieliście się spotkać?

- O dwudziestej drugiej trzydzieści.

- Kiedy pan to zorganizował?

- Nie ja, Lisa. Tego samego dnia. Zadzwoiła do mnie do pracy około dziewiętnastej.

- Pracował pan w niedzielę?

- Tak, kończyłem ostateczny montaż. Proszę sprawdzić w studio: meldowałem się strażnikowi.

- Sprawdzę - odrzekła Petra. - A zatem... Lisa zadzwoniła do pana z prośbą o spotkanie.

- Powiedziała, że czuje się samotna, że jest zdołowana. Spała cały dzień, wzięła trochę koki i teraz źle się czuje, kręci się bez celu. Zaproponowała przejażdżkę.

„Samochód. Stale te samochody” - pomyślała Petra.

- Przejażdżkę - powtórzyła Petra.

- Chciała się spotkać o dwudziestej pierwszej, ale wyjaśniłem, że pracuję do późna, a zaraz potem umówiłem się z Kelly w jej mieszkaniu. Dodałem, że może zdołam się wyslizgnąć o wpół do jedenastej. Mieliśmy się spotkać za parkingiem autobusowym.

- Dlaczego tam?

- Spotykaliśmy się tam wcześniej. Tak jest...

- Intymnie?

- Nie lubię tego miejsca, okolica słynie z przestępstw. Lisa jednak nalegała. Ryzyko ją nakręcało. - Wzruszył ramionami.

- Proszę kontynuować - powiedziała Petra.

- Nie mogłem zbyt szybko wyjść. Kelly... zatrzymała mnie aż do dwudziestej trzeciej. W końcu oznajmiłem, że chcę zaczerpnąć świeżego powietrza, że zamierzam się kawałek przejechać. Wyszedłem mniej więcej dziesięć minut po dwudziestej trzeciej. Sądziłem, że Lisa poczekała i odeszła.

- Samochód stał na miejscu, Lisy nie było - ciągnęła Petra. - Nie zaniepokoiła pana taka sytuacja?

- Jak już mówiłem, Lisa lubiła ryzyko. Uprawiała seks na światłach albo gdy mijal nas samochód policyjny. W kanionie Coldwaler... W tego rodzaju miejscach. Podejrzywałem, że spotkała się z kimś innym i że się dobrze bawi. Byłem zadowolony. Właściwie nie chciałem

się z nią spotykać tej nocy. Nie chciałem w ogóle jej widywać, ale...

- Ale co?

- Wie pani, jak to jest. Nie potrafię odmawiać kobietom.

- Kiedy wrócił pan do Kelly?

- Dwadzieścia pięć, trzydzieści minut po jedenastej.

- I spędził pan u niej noc.

- Tak, na prawdę.

- Kelly zapewniła panu idealne alibi.

- Niech pani da spokój - odburknął. - Nie było mnie zaledwie pół godziny, najwyżej godzinę. Niemożliwe, abym dotarł do Griffith Park...

- Pan i Kelly jesteście oboje winni krzywoprzysięstwa i utrudniania śledztwa - rzuciła Petra.

- Tylko bez przesady! Robi pani z igły widły!

Petra podeszła do niego blisko, wskazała palcem na jego pierś, ale jej nie dotknęła.

- Pana kłamstwo kosztowało mnie parę godzin roboty, Breshear. Jeśli kryje pan w zanadru jeszcze jakieś rewelacje, niech mi pan lepiej opowie o nich teraz.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Popatrzyła na niego z góry.

- Nie mam - powtórzył.

- Proszę posłuchać - powiedziała, znowu na niego wskazując. - Nie aresztuję pana. Na razie. Ale niech pan nie próbuje wyjeżdżać z miasta. Policja będzie obserwować pański dom i studio. Oraz panią Kelly. Zróbcie jeden niewłaściwy ruch, a popamiętacie. Może nawet odbędę miłą długą pogawędkę z Marcją.

Breshear zamrugnął nerwowo powiekami.

„To mi sprawia przyjemność” - przyznała się Petra przed sobą. W końcu mogła kogoś postraszyć w tej cholernej sprawie.

Kiedy odeszła, otworzyły się frontowe drzwi i kobiecy głos spytał:

- Darrell, kochanie? Kto to był?

*

Petra pojechała z powrotem do swojego mieszkania. Nagle cała sprawa zaczęła jej się klarować w myślach, ostatnie godziny Lisy zaczęły się wyraźnie zarysowywać. Oczywiście, o ile Breshear mówił prawdę.

Spotkanie o 22:30, zatem Lisę uprowadzono między tą godziną a 23:20. Ktoś zawiózł ją

do Griffith Park. Jazda tam zajmuje przynajmniej pół godziny, może dłużej. Zamordowana między północą a czwartą nad ranem.

Samochód. Który? PLYR 1? PLYR 0? Któreś z pozostałych czterech kółek? Ramsey - posiadacz wielu pojazdów, wielu koni, wielu domów, płotów, bram, klient Larry'ego Schicka - był koszmarnie kłopotliwym podejrzanym. Zbrodnia popłaca, gdy jest, się bogaczem.

Była prawie dwudziesta trzecia, gdy Petra weszła do mieszkania. Zbyt późno, by zadzwonić do Rona? Ech tam, i tak zadzwoni.

Cztery dzwonki, potem piskliwy głosik małej dziewczynki:

- Kiedy usłyszysz sygnał, zostaw wiadomość. Pii, pii, pii...

Ron przerwał wiadomość.

- Banks.

- Cześć, tu Petra.

- Petra. - Wymówił jej imię z wyraźną radością. Powinna mu rzucić jakieś miłe słówko. -

Co u ciebie?

Powiedziała mu o znalezionym porsche, skorygowanej opowieści Bresheara, nowej ramie czasowej.

- Sądysz, że jest zamieszany?

- Jeśli jego dziewczyna nie kłamie w sprawie alibi, nie miałby czasu, ale kto wie? A co u ciebie?

- Dzwoniłem jeszcze raz do szeryfa Carpinterii z pytaniem, czy mogliby poobserwować dom Ramseya w Montecito. Mają częściej patrolować teren. Dzisiaj o osiemnastej czterdzieści pięć dostałem informację, próbowałem cię złapać w biurze, lecz powiedziano mi, że już wyszłaś. Podobno Ramseya nie widzieli od kilku dni, Greg Balch natomiast zjawił się rano, zostawił swojego lexusa i odjechał należącym do Ramseya jeepem, tablica rejestracyjna...

- PLYR zero - odpowiedziała Petra.

- Więc już wiesz.

- Wiedziałam, że Ramsey posiada jeepa, nie miałam jednak pojęcia, że Balch go wziął.

- Nie chciałem wam przeszkadzać, dzwoniąc do Carpinterii... ale skoro już nawiązałem z nim kontakt, sądziłem, że lepiej sam sprawdzę ten trop. Jeden z ludzi szeryfa zatrzymał Balcha, gdy ten opuszczał posiadłość około południa. Facet pokazał mu dowód tożsamości, wizytówkę, swoje zdjęcie z Ramseyem, klucze od domu. Twierdził, że przyjechał po samochód, który musi zawieźć do serwisu. Dziwne, prawda? W Santa Barbara jest przecież wielu mechaników.

- Dodatkowe gruntowne czyszczenie? - bąknęła Petra. A może Ramsey potrzebował samochodu z napędem na cztery koła, ponieważ planuje przejażdżkę po jakichś wertepach? Te wzgórza...

- Może Ramsey wystraszył się potencjalnego świadka.
- Może. - Zreferowała Ronowi telefon od Larry'ego Schicka.
- Sama widzisz - odparł. - Tak czy owak...
- Dzięki jeszcze raz, Ron. Twoja córeczka ma miły głosik.
- Co... Och, to była Bee, uwielbia grywać różne role. Obie małe już śpią. Nareszcie.
- Masz pełne ręce roboty?
- Trochę czasu zabiera mi utulenie ich do snu. Moja mama mówi, że owijają mnie sobie wokół palca. Jutro sobie pośpię. Mam wolny dzień. Mama zawiezie dziewczynki do szkoły.
- Świetnie - rzuciła Petra. - Ja może jutro pojedę do Montecito. Chciałbyś się przyłączyć?
- Jasne - odrzekł szybko. - To przyjemna przejażdżka.

*

Leżąc w łóżku, w ciemnościach tak nieprzeniknionych, że czuła się jak w czarnej dziurze, pomyślała o uprowadzonej i zarżniętej Lisie oraz o Balchu, który pojechał do Montecito po jeepa.

Ramsey zdenerwował się z powodu chłopca, który kradnie książki? Gdziekolwiek dzieciak jest...

Nikt nie widział małego na ulicach. Fakt ten mocno zaintrygował Petrę. Chłopiec nie zaprzyjaźnił się z innymi uciekinierami, nie szukał też pomocy w żadnej instytucji zajmującej się pomocą społeczną. Samotnik. Gdy przyjrzeć się szczegółom, miało to nawet sens. Zapalony czytelnik nie pasuje do świata ulicy. Prawdopodobnie w domu również czuł się obco. Czy dlatego nikt nie zgłosił jego zaginięcia? Gdzie przebywali jego rodzice?

Pewnie znęcali się nad nim. Jedenastoletni intelektualista... Uciekający przed Bóg wie czym. I taki dzieciak był świadkiem morderstwa. Nieufny malec. Nie miał powodów, by komukolwiek zaufać.

Opanował sztukę przetrwania. A teraz policja zmieniała go w łowną zwierzynę. I Petra się do tego walnie przyczyniła.

*

Ledwie zasnęła, zadzwonił telefon. Było dobrze po północy i serce Petry załomotało, bowiem na jeden straszliwy, irracjonalny moment panicznie zaczęła się bać o stan ojca i dopiero po chwili przypomniała sobie, że nie musi się już o niego martwić. Któryś z jej braci

miął kłopoty?... Kathy?!

Na linii odezwała się kobieta o nerwowym głosie.

- Detektyw Connor? Tu ponownie Adele z posterunku. Bardzo przepraszam, że pani przeszkadzam, ale dzwonią z bardzo daleka do detektywa Bishopa... To rozmowa międzynarodowa, a w domu detektywa nikt nie podnosi słuchawki. Pani jest jego partnerką i wiedząc, że chodzi o międzynarodową, zdecydowałam...

- Międzynarodową? Skąd?

- Z Wiednia. Inspektor policji nazwiskiem Tauber. Chyba nie obliczył różnicy czasu.

- Dzięki, proszę go połączyć.

- Detektyw Bishop? - spytał po chwili chrapliwy głos.

- Mówi jego partnerka, detektyw Connor.

- Ach, tak, tak. Z tej strony inspektor Ottemar Tauber. Wiedeń. - Doskonałe połączenie.

Mężczyzna mówił z twardym niemieckim akcentem. Zakaszłał, odchrząknął parę razy.

- Witam, inspektorze. Czy chodzi o Karlheinz Laucha?

- Tak, dwa dni temu detektyw Bishop wypytywał nas o niego - odparł Tauber. - Zlokalizowaliśmy dla was pana Laucha. Niestety, nie sposób go już przesłuchać, ponieważ zmarł.

- Kiedy?

- Zdarzyło się to piętnaście miesięcy temu.

- Co było przyczyną jego śmierci, inspektorze?

- Marskość wątroby.

- Młody człowiek i taka śmierć - mruknęła Petra z lekkim niedowierzaniem.

Tauber mlasnął językiem.

- Czasem tak bywa.

W ten sposób Lauch został wyeliminowany jako podejrzany w sprawie Lisy. Czyli że podobieństwo w sprawach Lisy i Ilse Eggermann było diabła warte.

A może jednak istniało?

Ramsey wielokrotnym zabójcą?! Nie, takie rozwiązanie byłoby zbyt niesamowite.

Telefon Taubera odebrał Petrze ochotę na sen. Poczula nagły przyпіływ energii. Weszła do kuchni, napiła się mineralnej z lodem, pochodziła, usiadła przy stole, wstała, włączyła stereo. *Derek and the Dominos*. Od wizyty Rona nie włączała muzyki.

Myśleć, myśleć... Lauch wyeliminowany. Trzeba się zatem skoncentrować na Ramseyu. Śledził Lisę, chodził za nią. Mężczyźni, którzy biją swe żony, często mają na ich punkcie obsesję. To miało sens.

Wysłał Balcha po jeepa? Czy to oznacza, że właśnie ten pojazd brał udział w zbrodni? Może brak mercedesa miał zmylić policję? Zamyśliła się. Przypomniała sobie ruch, z jakim Ramsey włączył światła w „muzeum samochodowym”. Pokazał jej szarego sedana; pewnie miał nadzieję, że Petra będzie chciała obejrzyć auto. Uległby jej prośbie, ponieważ wiedział, że policjantka niczego nie znajdzie.

Balch wykonał brudną robotę.

Nagle, ni z tego ni z owego, pomyślała, że... Może noc sprzyjała myśleniu. Tak czy owak, Petrze przysłała do głowy jeszcze inna możliwość.

Może udział Balcha był, hmm... bardziej aktywny?!

Może chciał chronić siebie?!

Petra siedziała bez ruchu, napięta jak struna skrzypiec, skupiona. Rozmyślała o nowym rozwiązaniu sprawy.

Wystarczyło nieco zmienić punkt widzenia i natychmiast wyłaniały się nowe możliwości.

Balch mordercą?!

Petra przemyślała wszystkie hipotezy pod kątem Balcha, po prostu wstawiła jego nazwisko zamiast nazwiska jego chlebodawcy.

Wszystkie detale znakomicie pasowały.

Lisa i Balch... Kolejny starszy facet. Romans... Plus kwestie finansowe?

Przecież to Balch wypisywał czeki, prowadził finanse Ramseya, prawdopodobnie wiedział o pieniądzach szefa więcej niż on sam. Stale się o tym słyszy... Jak dyrektorzy finansowi oszukują sławne osobistości.

Balch spiskował z Lisą, by wykończyć Ramseya? Eks-żona i od dawna niedoceniony lokajczyk znajdują wspólne tematy - niechęć do bogacza i jego forszę?

Lisa w rozmowie z maklerem Ghadoonianem wspomniała o większej inwestycji. Miała nadzieję wkrótce uzyskać niezależność finansową. Nigdy jednak jej nie osiągnęła.

Tato poskąpił pięćdziesięciu tysięcy? A może inne plany obróciły się w perzynę?

Czy Lisa stała się chciwa, zaczęła naciskać na Balcha i ich spółka się rozpadła?

Petra rozważała tę hipotezę przez długi czas. Balch nie był ideałem, lecz Lisa nie była też konwencjonalną dziewczyną. Motywacje Balcha nie stanowiły zbyt dużej zagadki. Sypianie z byłą żoną *quarterbacka*, kobietą, której Ramsey nie potrafił zadowolić, mogło się wydawać ogromnie podniecające - szczególnie komuś, kto tak niewiele w życiu osiągnął jak Balch.

Przez wiele lat chronił tyłek Ramseya na boisku futbolowym i w życiu, obserwując, jak jego własne marzenia o aktorskiej sławie i fortunie zmieniają się w nieosiągalną ułudę. Podczas gdy Ramsey zarabiał miliony! Balch pewnie początkowo podziwiał przyjaciela,

później jednak zrozumiał, że ten - mimo obietnic - nie zamierza pomóc mu się rozwinąć. Dyrektor finansowy powiedział Petrze, że nie posiada talentu, lecz przecież wybitnie uzdolnionych aktorów jest naprawdę niewielu. Prawdopodobnie Ramsey bez problemu mógł załatwić kumplowi świetną pracę w show-biznesie. A jednak upchnął Balcha w obskurnym biurze. Gdy sam pędził żywot prawdziwej gwiazdy, jego przyjaciel przekładał papiery. Dlaczego nie załatwił mu przynajmniej lepszego biura?

Jak gdyby mówił Balchowi: „Nie zasługujesz na więcej”.

Może Balch w końcu uznał, że jednak zasługuje?

Lisa mu pomogła. Lubiła ryzyko. Posunęła się zbyt daleko i znalazła nad samą krawędzią?

Potem inny fakt uderzył Petrę. Balch mieszkał w Rolling Hills Estates, blisko Palos Verdes. Ciało Ilse Eggermann podrzucano w pobliżu Marina del Rey, lecz randka stewardesy z Lauchem odbyła się w Redondo Beach, zaledwie kilka przecznic od półwyspu.

Może Balch zatrzymał się przy moło w Redondo na kolację albo coś do picia. Przyglądał się kłótni Ilse i Laucha. Ilse wyszła sama. Pozwoliła się Balchowi zaprosić do samochodu.

Czy ta historia była prawdopodobna?

Ze względu na podobieństwo Ilse do Lisy?

Dziewczyna pewnie skorzystałaby z propozycji podwiezienia. Dobrotliwy starszy pan, rycerski. Ilse czuła się zraniona, w dodatku była sama. W środku nocy. I w dodatku była cudzoziemką.

Po takiej świni jak Lauch. Balch na pewno wydałby jej się istnym księciem z bajki.

Podobieństwo między Lisą i Ilse nie było zatem zbiegiem okoliczności! Ponieważ Balch pożądał Lisy od lat.

Podwładny, wieczny podwładny... Wybawił Ilse z kłopotu, później próbował ją poderwać, dostał kosza.

Wściekł się, zarznął ją i pozbył się ciała.

W kilka lat później, szantażowany, podstawiony pod ścianą... Dlaczego znów nie zamordować?

Petra przemyślała ponownie całą sprawę. Balch wyszedł z domu, gdy Ramsey spał. Użył drogi przeciwpożarowej, jadąc jednym z samochodów Ramseya. Ale dostrzegła go Estrella Flores. Nigdy go nie lubiła, może wszystko, co robił uważała za podejrzanę.

Wyliminował ją.

Policjantka powtórzyła w myślach jeszcze raz całą historię... Nadal wszystkie fragmenty układanki pasowały do siebie.

„Niewykluczone, że rano hipoteza wyda mi się śmieszna” - pomyślała Petra. Chwilowo jednak koncepcja z Balchem w roli głównej ogromnie jej się podobała.

Rozdział 51

Na randkę z Leanną, Etiopką, modelką od Macy'ego Wil Fournier założył swój najlepszy garnitur. Nie chciał się zbliżyć do Rosjanina. Facet budził w nim obrzydzenie, wyglądał wręcz paskudnie.

Sprzedawał podkoszulki i inne śmieci dla turystów. Z pozoru prowadził legalny interes. Ale te oczy, to zachowanie!

Wil pracował przez dwa lata na bulwarze Wilshire w wydziale zajmującym się oszustwami, a także współpracował z biurem szeryfa Zachodniego Hollywood w sprawach wielu rosyjskich przestępców. Z najbardziej niesamowitym przypadkiem miał do czynienia pięć lat temu, gdy badali sprawę grupy mafijnej prześladującej nowo przybyłych imigrantów. Pewnego dnia Wil i detektyw z biura szeryfa zadzwonili do mieszkania jednego z podejrzanych. Drzwi otworzył im zalany krwią facet z nożem do krojenia mięsa w dłoni. Okazało się, że właśnie zaszlachtował rodaka. O czym myślał, gdy tak beztrosko otwierał im drzwi?

Mniej więcej wtedy Wil postanowił się przenieść do wydziału zabójstw.

Intuicyjnie czuł, że sprzedawca pamiątek coś ukrywa.

Podejrzany był choćby sposób, w jaki Żukanow pochylił się nad kontuarem i bacznie przypatrzył się Wilowi, podejrzane były wszystkie te rupiecie zwisające z każdego centymetra przed kioskiem. Mężczyzna przejawiał nazbyt ostentacyjny brak zainteresowania, zachowywał się niedbale, jakby cała rzecz nie miała dla niego znaczenia, udawał porządnego Amerykanina, który stara się wykonywać swe obywatelskie obowiązki. Jednak na wzmiankę Wila o dwudziestu pięciu tysiącach na dziobatym nosie Rosjanina pojawiły się kropelki potu.

Był absolutnie przekonany, że widział chłopca. Wil odniósł wrażenie, że mężczyzna wmawiał to sobie wcześniej przez cały dzień. No bo... Jak mógł być tak pewny? Szkic Petry wyglądał nieźle, ale zdaniem Wila dzieciak nie wydawał się aż tak charakterystyczny.

Uśmiechnął się do siebie. Wszystkie białe dzieciaki wyglądają tak samo, czyż nie?

Potraktował Rosjanina z dużym dystansem; robił notatki, kiedy Żukanow wskazał na północ, w górę Ocean Front, gdzie chłopiec podobno zniknął. Kiedy jednak Wil włączył się

później po tej okolicy, pokazując właścicielom kafejek rysunek, okazało się, że żaden z nich nie widział małego. Większość innych sklepów już zamknięto, więc detektyw przypuszczał, że będzie musiał wrócić tu nazajutrz. Wątpił, czy jego działanie przyniesie jakieś korzyści. Dla niego sprawa wyglądała beznadziejnie.

Wrócił po własnych śladach. Rosjanin właśnie zamykał interes, ale zamachał na Wila, który minął go i skierował się do samochodu. Leanna miała być u Loewa za dwadzieścia minut... Kolacja z pięciu dań, wino. Poznał ją w jakimś klubie... Te ogromne brązowe oczy...

- Proszę pana! - zawołał Żukanow.

- Tak, o co chodzi?

- Będę miał oczy otwarte. Zadzwonię, kiedy zobaczę go znowu.

Tego akurat Wil potrzebował najmniej! Żeby jakiś ruski mafioso zabawiał się w samozwańczego detektywa.

*

Następnego ranka potrafił myśleć jedynie o słońcu, oświetlającym ramiona leżącej obok, niego Leanny. Zapowiadał się piękny dzień.

Wil dotarł do pracy punktualnie o siódmej. Wprost tryskał energią. Na jego biurku leżał stosik kolejnych nawiedzonych wiadomości do sprawdzenia, Rosjanin jednak nie dzwonił, więc albo dzieciak zniknął z Venice, albo - co bardziej prawdopodobne - nigdy tam nie był.

Wila znacznie bardziej zainteresowały dwa telefony z Watson. Dwie poważne starsze kobiety. Sądziły, że widywały chłopca w miasteczku. Wil ciągle jeszcze nie zdołał porozmawiać z miejscowym szeryfem.

Zadzwoił telefon. Nowe zadania.

- Cześć Dubba, stary druhu, mówi Vee.

- Vee, minęło sporo czasu.

Val Vronek był detektywem drugiego stopnia, z którym Wil pracował w wydziale narkotyków na Wilshire, obecnie jako tajniak zajmował się poważnymi sprawami kryminalnymi z centrum. Vronek uwielbiał pracę w przebraniu, najbardziej zaś lubił kręcić się wśród odzianych w skórę motocyklistów.

Rosły i barczysty, zapuścił ostatnio włosy do ramion i brodę, która nadawała mu groźny wygląd.

- Zgadnij, gdzie jestem, Wil? Działam w twojej okolicy.

- Tak?

- Nie mogę ci zdradzić szczegółów, ale pewnie sam zgadniesz, że tropię zbira z klanu

miłośników motocykli. Przypadkiem spędziłem trochę czasu w jakiejś spelunie o nazwie „Jaskinia”.

- Coś dla ciebie, Vee. Szumowiny z marginesu.

- Żebyś wiedział. „Tatuś odjechał w siną dal, mamusia gryzła ziemię” - zaśpiewał Vronek. - Stara melodia country. Błękitnooka dusza.

- Błękitnooka dusza łączy się z Braćmi Prawomyślnymi.

Vronek roześmiał się.

- Dzwonię do ciebie z powodu pewnego zdarzenia, do którego doszło w owej speluncie. Wczoraj późnym wieczorem wszedł do „Jaskini” facet z wyciętym z gazety portretem pamięciowym dzieciaka, którego poszukujecie. Rozpytywał o małego. Szukał kogoś, kto pomoże mu skasować nagrodę.

- Po co ktoś miałby się z nim dzielić? - spytał Fournier. - A już najmniej ze wszystkich twoje skórzane bractwo. Gdyby wiedzieli, gdzie jest chłopak, sami by go wydali i zgarnęli całe dwadzieścia pięć patoli.

- Nie twierdzą, że facet był bystry, Wil. Raczej buc. Zresztą, nikt nie zareagował na jego gadkę. To było tak, jakby ktoś zawołał: „Wszystkie palanty, wystąp”. Żaden się nie palił. Udawałem zainteresowanego i starałem się wyczuć faceta. Przycisnąłem go. Kompletny kretyn.

- Masz jego nazwisko?

- Nie zaprzyjaźniliśmy się na tyle. Podam ci rysopis: biały, dwadzieścia osiem do trzydziestu pięciu lat, kręcone kasztanowe włosy, niebieskie oczy, rudawe baczki, mojego wzrostu plus przynajmniej dwadzieścia kilo.

- Kawał chłopca - ocenił Fournier.

- Wyglądał jak jeden z Hell’s Angels, ale w „Jaskini” nikt go nie znał. Spytałem, gdzie mam go szukać, jeśli zobaczę chłopaka. Odparł, że wpadnie znowu dziś wieczorem, około ósmej. Jeśli chcesz, wyjdę przed knajpę, gdy się pokaże i zawiadomię cię.

- No to mamy układ, Vee. Dzięki.

- Nie ma sprawy. Niestety, nie mogę ci postawić drinka. W „mojej” speluncie nie lubią kolorowych.

Gdy Fournier odłożył słuchawkę, zadzwonił Schoelkopf.

- Jesteś wolny? Potrzebuję kogoś ze sprawy Ramseya.

- Co mogę dla pana zrobić, szefie?

- Nie czytasz gazet?

- Jeszcze nie...

- Powinieneś, to sprawa publiczna. Znalaziono samochód dziewczyny. Spalony. W Venice. Sam o tym przeczytałem w cholernej gazecie. Przejrzyj artykuł, a potem migiem do mnie.

Rozdział 52

Czarnuch.

I nie wziął go poważnie.

Władimir Żukanow ściągnął z półki lalkę i ścisnął jej brzuch. Blond troll z napisem „SURFUJ, CZŁOWIEKU!” wydrukowanym na koszulce. Nienawidził uśmiechu tej pierdolonej kukły. Wymyślił ją Szwed czy Duńczyk, ale te z budy Żukanowa wykonano w Korei. Podroby. Kupił dziesięć hurtem od starego przyjaciela z Moskwy, który pracował w dokach na Long Beach. Sto dolców, zero pytań.

Gruzin nazwiskiem Makaszwili - służyli razem w wojsku. Rozpędzali protestujących w pobliżu Kremla, rozwalali łby Żydkom, segregowali kosmopolityczne śmieci.

Przyjaciół przynosił mu po kilka lalek, Żukanow sprzedawał je, gotówkę zaś chował do własnej kieszeni. Pieprzyć szefa!

Władimir Żukanow, niegdyś dumny sierżant moskiewskiej milicji, obecnie sprzedawca zabawek!

Ameryka, kraina marzeń.... By do niej dotrzeć, musiał się podać za Żydka. Zapłacił fortunę imigracyjnemu prawnikowi, który skłamał w jego imieniu, a po przyjeździe sypiał w norze w Zachodnim Hollywood, pełnej zapchlonych Żydków, póki nie znalazł sobie ciekawszego lokum w Los Angeles. A w kilka miesięcy później Jelcyn otworzył bramy dla wszystkich, drań!

Miasto roiło się od czarnuchów i meksów. Żukanow długo nie mógł sobie znaleźć w nim miejsca. Jeździł taksówką, bez powodzenia próbował zaferować swoje umiejętności płatnego zabójcy gangowi z Van Nuys, w końcu udało mu się załapać do bandy złodziei samochodów z Zachodniego Hollywood, lecz nie potrafił wystarczająco szybko uruchomić pojazdu, więc go wykopali. Przez pewien czas pracował jako nocny stróż, pilnując jakiegoś rosyjskiego klubu na Trzeciej Ulicy, aż paru punków rozbiło mu nos... Pięciu na jednego! Kretyński właściciel klubu upierał się, by nie nosił broni, a później zwał na niego całą winę!

Teraz utknął tutaj. Dostawał pięć baksów na godzinę od Żydka - właściciela stoiska z

pamiątkami. Na boku wyciągał dodatkowo przynajmniej pięć procent, Żydek wiedział o tym, ale o to nie dbał - zarabiał sporą forszę na dwudziestu innych stoiskach rozproszonych po całym mieście, mieszkał w Hancock Park, za swoje diamenty kupił sobie żonę z krzywym nosem.

Żukanow wyobrażał sobie, że pewnego dnia włamie się do jego domu i zwałdzi mu te kamyki.

Tymczasem sprzedawał zabawki. Aż do dziś. Dziś zaświtała mu w głowie myśl o zbawieniu. Przybrało postać poszukiwanego dzieciaka.

Rozpoznał go od razu. Żukanow znał się na polowaniu, więc doskonale wiedział, jak pachnie ścigana zwierzyna.

Opowiedział o wszystkim czarnemu gliniarzowi, ale palant nie wziął go poważnie. Nic dziwnego, że w tym wielokulturowym bagnie dochodzi do tak wielu zbrodni, skoro mają czarnych gliniarzy. To tak, jakby lisom kazać strzec kurczaków.

Nie ma mowy, żeby czarnuch pokrzyżował mu plany. Dwadzieścia pięć patyków oznaczało ucieczkę stąd, może szybki skok po diamenty szefa, lot do Nowego Jorku, Brighton Beach, Coney Island... Nie zabraknie tam ludzi, którzy docenią jego talenty. Zresztą, z takimi pieniędzmi otworzy własny interes.

Właściwie pracuje już na swoim - jest prywatnym łapsem, który szuka dzieciaka.

Jak daleko mógł zajść ten kurdupel? Żukanow był przekonany, że gdy tylko chłopak się pojawi, on, stary sierżant, bez trudu go złapie.

Błysk optymizmu poprawił mu humor. Mała wódka, może wejdzie gdzieś na dobry posiłek.

Zacznie jutro. Będzie w pełnym pogotowiu.

Rozdział 53

Po przebudzeniu się w piątkowy rano Petra nadal uważała Balcha za podejrzanego. Jej historyjka ciągle miała ręce i nogi. Balch pasował na mordercę równie dobrze jak Ramsey.

Który z nich? Obaj? Żaden? Ta ostatnia możliwość szczerze Petrę przeraziła.

Notka o znalezieniu spalonego samochodu Lisy znajdowała się na stronie piątej, razem z pomniejszoną kopią portretu pamięciowego chłopca. Na szczęście ani słowem nie wspomniano o informatorach - ani o Rosjaninie z Venice, ani o kobietach z Watson.

Najwyraźniej szef nie zmusił jeszcze Wila do zdradzenia wszystkich szczegółów.

Kiedy policjantka brała prysznic, mocząc ciało pod przyjemnym strumieniem wody, uprzytomniła sobie, że właśnie w tej chwili odbywa się operacja Kathy Bishop. Pomyślała, że koniecznie musi zadzwonić do Stu. Później, gdy będzie już coś wiedział. Tymczasem, przed wyjazdem do Montecito, Petra powinna jeszcze załatwić dwie drobne sprawy.

W hotelowym pokoju doktora Boehlingera nikt nie podniósł słuchawki - chirurg wyszedł gdzieś, nie zostawiając informacji. Ponowny telefon do Biura Osób Zaginionych nie wniósł niczego nowego w sprawie miejsca pobytu Estrelli Flores.

O dziewiątej Petra była już w drodze do Granada Hills, skąd miała zabrać Rona.

Kiedy dojechała, Banks stał na krawężniku. W rękę trzymał telefon komórkowy.

Jego domek, utrzymany w stylu elżbietańskim, stał na słonecznej bocznej uliczce: jedno piętro, spadzisty dach, sporo drewna i pseudo-szczyty. Kiczowaty, ale coś w sobie miał. Ktoś bardzo się starał i zadbał o szczegóły. Trawa przed domem była skoszona i zagrabiona, choć nieco wyblakła. Z dwóch różanych krzewów po bokach kamiennej alejki zwisało sporo martwych główek, połowa zaś pomarańczy na czteroipółmetrowej valenci zbrązowiła.

Ron stanął przy drzwiach samochodu, zanim jeszcze zaparkowała. Włosy miał wilgotne po prysznicu, kosmyki kiełkowały niczym nowa pszenica. Niebieski sweter z dekoltem w serek, żółta rozpinana koszula i dokery w kolorze złamanej bieli - w tym stroju wyglądał jeszcze młodziej: na absolwenta studiów, na przykład zarządzania. Na nogach miał czerwone mokasyny. Przeszedł długą drogę od perkusisty rockowego do gliniarza. Petra przyjrzała mu się baczniej. Ubrany dość niedbale naprawdę wydawał się nawet młodszy od niej.

- Cześć - zagaiła.

Wsiadł.

- Cześć.

Limonowa woda po goleniu. Petra natychmiast przypomniała sobie ten zapach, odniosła jednak wrażenie, że od ich ostatniego spotkania minęło sporo lat. Ron nie wykonał żadnego ruchu ku niej. Zatrzasnął drzwiczki, położył sobie telefon na kolanach.

- Wziąłem na wszelki wypadek - wyjaśnił. - Gdyby moja mama musiała zadzwonić.

- Powinam chyba wreszcie wkroczyć w dwudzieste stulecie i również kupić sobie komórkę.

- I zestaw głośno mówiący - dodał. - Gdy rozmawiasz w samochodzie, inni uważają cię za wariata, który gada do siebie. Nikt cię wtedy nie ruszy.

Ze śmiechem zjechała z krawężnika. Zastanawiała się, czy wspomnieć o swojej nowej teorii dotyczącej Balcha. Nie, zbyt wiele wątych poszlak i domysłów. Ron przepracował w

policji więcej lat od niej. Był wybawcą. Chciała, by uważał ją za bystrą.

Podczas jazdy gawędzili. O niczym szczególnym, ale całkiem inteligentnie. Ron roztaczał wokół siebie atmosferę spokoju i równowagi. Okazał się za bardzo nudny dla hiszpańskiej amazonki? A może - jeśli Petra poczeka dostatecznie długo - mężczyzna ujawni nagle głęboko ukrytą ciemną stronę swej osobowości?

Jesteś nieufna, kochana! Dzięki ci za to, Nick.

- Piękny dzień - usłyszała głos Banksa. Jego ręce leżały teraz bez ruchu. Nie chwycił klamki ani w żaden inny sposób nie okazywał zaniepokojenia jej sposobem prowadzenia samochodu. Mokasyny wyglądały na świeżo wypolerowane. Petra zauważyła ostry kant na dokerach... Przecież tych spodni się chyba nie prasuje? Uśmiechnęła się na myśl, że Ron chciał na niej zrobić wrażenie.

Gdy dotarli na autostradę numer 101, poważnie i szczerze rozmawiali.

*

Pędziła przez San Fernando Valley - obok „Ranch Haven” - Thousand Oaks, Newberry Park, Camarillo. W pobliżu Oxnard owionął ich zapach pól uprawnych i nawozu. W Ventura Ron wskazał na wschodnie pobocze autostrady, gdzie znajdowało się centrum rekreacyjne „Golf N' Stuff”, do którego czasem zabierał córeczki. W centrum były zderzające się samochodziki i miniłódki; pływanie sprawiało im mnóstwo rozkoszy, choć ta przyjemność często się łączyła ze zmoczeniem ubrania. Mówił z coraz większym entuzjazmem, gdy nagle Petra, myśląc znowu o Balchu, bąknęła:

- Brzmi nieźle.

- Jeśli gustujesz w tego rodzaju zabawach - dodał wyraźnie zakłopotany.

- Tak - odparła, starając się uratować rozmowę. - Dorastałam w Arizonie, więc nie widziałam zbyt wielu łodzi, nie tylko mini, ale w ogóle jakichkolwiek. Po rozwiązaniu sprawy przyjedziemy tu i trochę się pochłapiemy.

Nie odpowiedział. Odwróciła głowę wystarczająco szybko, by dostrzec rumieniec na jego szyi.

Och, Jezu. Chyba wszystko zepsuła!

- Albo - dorzuciła - możemy zagrać w golfa. Tyle że... Dopiero po rozwiązaniu sprawy Lisy. Dziś damy sobie spokój, dobrze?

- Jasne - odrzekł i uśmiechnął się. - Jesteś z Arizony? Czy nie przenieśli tam London Bridge?

*

Na zjeździe przy Santa Ynez spytała Rona:

- Znasz Montecito?

- Tylko ze słyszenia.

- Jakie jest?

- Bogate.

Petra zjechała na pobocze przy lasku, otworzyła *Przewodnik Thomasa*, zlokalizowała ulicę Ramseya w odległości trzech kilometrów - parę skrętów w prawo i jeden w lewo - po czym ruszyła dalej. W Montecito temperatura była o dziesięć stopni niższa niż w Los Angeles, idealne dwadzieścia stopni Celsjusza. Prywatne gaje niemal dotykały Santa Ynez Road. Kraina rzeczywiście wyglądała na bogatą.

Petra była kilka razy z Nickiem w Santa Barbara. Pamiętała te niedzielne wycieczki - jedli owoce morza na molo, ona pogardała sztuką uliczną. Gdy mijali Montecito na autostradzie, Nick rozgadywał się na temat nieruchomości, wielkiej hiszpańskiej architektury, „starych” pieniędzy i mieszkańców reprezentujących „prawdziwą klasę”; podobno Beverly Hills wyglądało przy Montecito tandetnie. Wspomniał, że pewnego dnia będą tak majętni, że kupią sobie w Montecito rezydencję. Nigdy jednak nie zawiózł jej tam i nie pokazał.

Przyspieszyła. Miasteczka nie było jeszcze widać, jedynie czysty obszar asfaltu, przecinający pasy koloru umbry i zieleń starych drzew, koralowe błyski bugenwilli, pomarańcze i cytryny mieniące się niczym szlachetne kamienie. Niebo było błękitne, chmury białe, czystożółte słońce wylaniało się zza gór, ostre, piękne, tknięte odrobiną lawendy. Cóż za miejsce!

I Ramsey tu mieszkał! Posiadał też dom w Calabasas, samochody, nieruchomości... Pieniądze to nie wszystko. Lecz z pewnością uprzyjemniały życie. Dlaczego bogacze potrafili tak strasznie spieszyć dobra, które posiadali? Petra spojrzała na Rona i po jego minie odgadła, że zadawał sobie to samo pytanie.

Handlową część Montecito stanowiły cztery pasażer niskich luksusowych sklepików w ziemistym kolorze. Za nimi znowu ciągnęła się droga. Ulica Ramseya była wąska, zaciemniona przez gęste eukaliptusy. Sama posiadłość znajdowała się na końcu ślepej uliczki; zapowiadały ją błękitno-szare kamienne słupy i wysoka czarna ozdobna brama, szeroko otwarta. Samochód szeryfa Carpinterii blokował wjazd. Jeden z zastępców stał obok drzwi kierowcy, trzymając rękę na kaburze, drugi był obrócony do pojazdu; ręce położył na biodrach.

- Przyjęcie powitalne? - spytała Rona. - Uprzedzałeś, że przyjedziemy?

- Nie.

Kiedy podjechali bliżej, zastępca stojący dotąd przed radiowozem wyszedł na środek drogi i zatrzymał ich dłonią. Petra zahamowała. Gdy mężczyzna dotarł, zdążyła już wyjąć odznakę.

Policjant obejrzał ją, Petra zaś przyjrzała się jemu. Był bardzo młody. Wysoki, mocno zbudowany, rude włosy przycięte na języka, dwutygodniowy rdzawy wąsik, potężne bicepsy. Z uwagą spojrzął na Rona.

- Banks, biuro szeryfa Los Angeles. Rozmawiałem z kapitanem Sepulveda.

- Tak, mówił nam. Od morderstwa i tak zwiększyliśmy częstotliwość patroli. I dobrze, bo właśnie złapaliśmy włamywacza. - Zgiął kciuk.

- Teraz? - spytała Petra.

- Nie miał trudności, bo brama jest otwarta. Facet wygląda na świra, wrzeszczy jak oszalały. Twierdzi, że jest teściem Ramseya.

Petra spojrziała z ukosa na policyjny samochód. Przez tylne okno dostrzegła brodate oblicze doktora Boehlingera. Mężczyzna wręcz kipiał z gniewu. W pewnej chwili uderzył w szybę ramieniem, potem cofnął je z wyraźnym cierpieniem na twarzy. Chirurg. Świetnie! Pilnujący go policjant prawdopodobnie coś powiedział w tym momencie, ponieważ Boehlinger nagle zaczął krzyczeć. Petra znajdowała się zbyt daleko, aby usłyszeć, lecz widziała szeroko otwarte usta doktora. Przez szybę scenka wyglądała osobliwie. Petrze przyszło do głowy, że można by ją nazwać: „Wściekłość w słoiku”.

- To naprawdę jest teść Ramseya - oświadczyła.

- Niech pani sobie ze mnie nie żartuje - mruknął rudy gliniarz. Nazywał się Forbes.

- Doktor John Everett Boehlinger. Nie miał dokumentów?

- Miał, ale jego nazwisko nic nam nie mówiło. - Forbes skrzywił się, - Z pewnością nie zachowuje się jak lekarz... Strasznie przeklina.

- Co robił, jak go złapaliście?

- Wychodził z szopy z narzędziami na tyłach. Drzwi szopy były roztrzaskane... Na pewno sam je wyrwał. W rękę niósł łopatę. Sądziłem, że planuje wyłamać okno i splądrować dom. Rany, to naprawdę ojciec ofiary? Niemożliwe!

Petra pokiwała głową.

- Cholera. - Forbes strzelił palcami. - Zachowywał się jak pomyleniec, na sto procent. Gadał coś o zakopanych na tym terenie ciałach. Podobno zamierzał jej wykopać. Musieliśmy go skępować. Ręce, a nawet nogi! Twardziel. Gdy go skuliśmy, próbował nas gryźć. - Forbes narcystycznie popatrzył na własną dłoń, gładką i jasnobrazową. Myśl o cielesnej krzywdzie wyraźnie go zasmuciła. Pracował przecież w bogatym, spokojnym miasteczku i

prawdopodobnie do tej pory nie miał tego typu problemów.

- Mikrus - dodał - lecz nieprawdopodobnie żwawy. W końcu trochę się uspokoił, więc rozkuliśmy mu nogi. Nie chcieliśmy, żeby dostał zawału albo wylewu. - Potrząsnął głową. - Jej ojciec... Niech to diabli!

- Gdzie według niego są zakopane ciała? - spytała Petra.

- Nie pytaliśmy. Uznaliśmy go za walniętego fana. Trafiają nam się czasem, w końcu tyle hollywoodzkich gwiazd ma tu drugi dom. Zdarzają się też reporterzy z brukowców. Przygotowaliśmy się na problemy z Ramseyem.

- Mieliście jakieś?

- Do tej chwili nie. Może nikt się jeszcze nie dowiedział o jego domu.

- Czy Ramsey często tu bywa?

- Nigdy go nie widziałem, ale może przyjeżdża w nocy. Wielu typków z Hollywood tak robi. Lecą na noc do Santa Barbara helikopterami albo prywatnymi samolotami... lub jadą limuzynami prosto z Los Angeles. Nie chcą, by ich widziano. To taka gra, wiecie? Jestem sławny, ale dla was niewidzialny. Nigdy nie jeżdżą do miasta na zakupy, mają od tego ludzi. A te posiadłości są tak ogromne, że właściwie nie spotykają sąsiadów.

Petra rozejrzała się po okolicy. Niekończący się trzymetrowy mur po obu stronach. Za bramą Ramseya ciągnęła się kręta kamienna droga dojazdowa, porośnięta z obu stron palmami. Facet wyraźnie uwielbiał palmy.

- Kto się zajmuje domem, kiedy nie ma właściciela? - spytała.

Forbes wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie wynajęta firma. Regularnie, we wtorki i chyba w soboty, przychodzi ekipa ogrodników. - Forbes musnął palcami rzęsy, potem podrapał się po nosie. - Ramsey wysyła czasem swojego człowieka, by sprawdził dom. Parę dni temu wpadłem na niego w trakcie patrolu.

- Grega Balcha? - spytała Petra.

- Tak, jego.

Drugi policjant odwrócił się plecami do radiowozu. Był niższy, ciemniejszy niż Forbes, o równie potężnych ramionach, które skrzyżował na rozrośniętej piersi. Kolejny kulturysta. Departament musi mieć tu niezłą siłownię.

- Zmieniał auta - podpowiedziała Petra.

- Tak, przyjechał lexusem. Ciągle stoi zaparkowany za domem. Na początku wyglądał mi podejrzanie, jednak miał klucze od domu i list od Ramseya upoważniający go do jazdy wszystkimi jego samochodami.

Petra usłyszała stłumiony hałas z radiowozu. Doktor Boehlinger kopął w okno.

- Dlaczego go nie wypuścicie? - spytała.

- Przejmiecie go?

- Tak, chcę z nim porozmawiać.

*

Uspokajanie Boehlingera zajęło im trochę czasu. Chirurg miał na sobie szarą bluzę od dresu z napisem Uniwersytet Waszyngtoński, luźne tweedowe spodnie z wełny, prawdopodobnie od starego garnituru i białe trampki. Plamki śliny bieleły kąciki jego ust, kosmyki włosów sterczały mu we wszystkie strony, zaś kozia bródka wydawała się bardziej siwa.

Gdy w końcu wytrzymał trzydzieści sekund w milczeniu, policjanci zdjęli mu kajdanki, a wtedy natychmiast zaczął wygrażać pięściami ludziom szeryfa.

- Głupi, pieprzeni imbecyle!

Forbes i jego niższy towarzysz nazwiskiem Beckel zignorowali go. Zanim go rozkuli, trzymali na odległość ramienia. Boehlinger krzyczał i kopał - sytuacja wyglądała jak z kreskówki. Obaj policjanci skierowali się do radiowozu. Naradzali się z Ronem, podczas gdy Petra poprowadziła chirurga do swojego samochodu.

- Idioci! - wrzasnął. Zakaszał, splunął flegmą w błoto i znowu zaczął tokować. Petra ścisnęła mocniej jego ramię. Mężczyzna trząsł się jak rozwścieczony ratlerek, ciągle z pianą na ustach. - Pozbawieni mózgu idioci...

- Proszę, doktorze!

- Niech mnie pani nie prosi, młoda damo...

Popędzając go, szepnęła mu do ucha:

- Doktorze Boehlinger, wiem, że przeszedł pan piekło, lecz jeśli się pan nie uspokoi, będziemy zmuszeni pozwolić, by pana aresztowali.

- Pani również jest idiotką! - odparł. - Ten rzeźnik chodzi sobie wolno, liczba trupów rośnie, a pani mi grozi! Niech was diabli, wszystkich was wyrzucą z pracy, już ja się...

- Gdzie są te trupy? - przerwała mu Petra.

- Tutaj! - energicznym ruchem wskazał na furtkę. - Za stawem... W niebie naprawdę jest Bóg! Przyjechałem, bo chciałem wejść do domu i przejrzeć papiery tego rzeźnika, znaleźć dowody, że zabił Lisę, lecz zobaczyłem cholernie dużo więcej niż chciałem...

- Jakiego rodzaju dowodów pan szukał, doktorze?

- Jakichkolwiek - odparł szybko.

- Skąd przypuszczenie, że Ramsey zostawił dowody?

- Niczego nie przypuszczałem, miałem jedynie nadzieję! Doskonale wiedziałem, że po was nie można się wiele spodziewać... Że nic nie robicie! Wyłożyłem kupę forsy z własnej kieszeni, a wy nie macie mózgów i przyzwoitości, aby ścigać...

- Doktorze Boehlinger - warknęła Petra. - Jakiego rodzaju dowody miał pan nadzieję tutaj znaleźć?

Milczał. Opuścił wilgotne błękitne oczy.

- Nie wiedziałem... dokładnie. Pomyślałem jednak, że nie zaszkodzi poszperać. Przecież tu właśnie pobił moją Lisę. Może coś napisał, może Lisa coś zapisała... Niech pani przestanie wchodzić mi w słowo, młoda damo. Chodzi o to, że poszedłem znaleźć coś do rozbicia okna...

- Łopatę.

- Nie, nie, nie! Wybrałem łopatę, gdy już to zobaczyłem! Szukałem czegoś, by pogrzebać w zamku. Dobrze sobie radzę z narzędziami.

Ostatnie zdanie zabrzmiało jak żałosna przechwałka: „Popatrz, mamusiu, jaki jestem pomysłowy”. Boehlinger oddychał niespokojnie, w jego oczach czaiło się przerażenie. Może nie był najlepszym ojcem na świecie, ale śmierć Lisy zupełnie go rozbiła. Biedny mały facet.

- Wybrał pan łopatę, gdy pan... - podsunęła.

- Gdy zobaczyłem grób. Za tym jego stawem.

- Grób? Skąd może pan być...

- Niech się pani założy - odburknął Boehlinger. - Świeży grób długości około metra osiemdziesiąt. Po drugiej stronie stawu. Część roślin wokół niego była podeptana, inne wyrwano. Byłem tu kiedyś. Po weselu, kiedy drań próbował zrobić na mnie wrażenie. Mam oko do szczegółów, natychmiast dostrzegłem różnicę.

- Może pogłębiają staw? - spytała Petra. - Może coś naprawiają...

- Tak, a Charles Manson jest kandydatem na papieża. Niech pani nie udaje kretynki, młoda damo! Asystowałem przy autopsjach, widziałem multum zdjęć z miejsc zbrodni. Wiem, jak wygląda grób!

Przyszedł Ron.

- Chyba skończyły się pańskie kłopoty, doktorze.

Boehlinger spojrzał na niego z irytacją.

Forbes zamachał z radiowozu. Petra podeszła do niego.

- Okej, jest wasz. Mam nadzieję, że zabierzecie go sobie do Los Angeles.

- W końcu tak - odparła Petra.

- W końcu?

- Cóż, szeryfie, facet opowiada ciekawe rzeczy. Twierdzi, że widział świeży grób na posiadłości Ramseya, niestety nie mamy prawa wejść na teren posiadłości, aby to sprawdzić.

- Grób? Traktuje pani te bzdury poważnie?

- Biorąc pod uwagę specyfikę naszej sprawy, nie możemy pozwolić sobie na zignorowanie żadnego tropu.

- Och, niech pani da spokój. Zakopano tu kogoś?

Petra wzruszyła ramionami.

- Niech to. - Forbes odwrócił się i zawołał: - Gary? - Beckel siedział w samochodzie i pisał raport. Miał szeroką, stoicką twarz i mięsisty podbródek. Forbes wprowadził go w detale.

- Co, seryjny zabójca czy coś w tym rodzaju? - spytał.

- Prawdopodobnie to drobiazg - odrzekła lekko Petra. - Z drugiej strony jednak, to jest wasza jurysdykcja, wy musicie podjąć decyzję.

- Nie możemy tak po prostu wtargnąć na czyjąś posiadłość - zauważył Forbes. - Bez nakazu.

- Przecież już tam weszliście. Z powodu doktora Boehlingera, który nielegalnie... Jawne przestępstwo dało wam podstawy do wtargnięcia. Zatrzymaliście podejrzanego na terenie posiadłości i wówczas zauważyliście, że coś jest nie w porządku. Dostrzeżliście świeży grób.

- Niech się pani nie wygłupia - warknął Forbes. - Chcecie nas obarczyć... Zmusić do wzięcia odpowiedzialności.

- Nie, to nie - oznajmiła Petra. - Będę jednak musiała napisać o tym w raporcie dla mojego szefa, zaś pan Boehlinger... mogę się założyć, że od razu po powrocie do miasta skontaktuje się z mediami. Raz już tak zrobił.

Forbes przeklął pod nosem.

- Musimy to zgłosić, dziewczyno - mruknął Beckel.

- Tak - dodał Forbes. - Dzwonię do mojego szefa.

Petra skierowała się do samochodu; doktor Boehlinger siedział na tylnym siedzeniu z Ronem, któremu opowiadał o czymś z ożywieniem. Oczy miał już suche i choć nadal wydawał się bardzo zdenerwowany, mówił już chyba normalnym tonem. Ron słuchał go z uwagą, kiwając od czasu do czasu głową. Boehlinger uśmiechnął się. Ron również.

- Interesujące - powiedział.

- Bardzo interesujące - mruknął Boehlinger.

Petra wsiadła i zajęła siedzenie kierowcy.

- A zatem? - spytał chirurg.

- Powiedziałam im, że naszym zdaniem trzeba potraktować poważnie pańskie rewelacje, doktorze. Skontaktują się z przełożonymi.

- Sami - odburknął Boehlinger - nie potrafiały oczywiście podjąć żadnej decyzji.

Petra nie mogła się powstrzymać, więc się roześmiała.

- Doktorze? - odezwał się Ron zachęcającym tonem.

Boehlinger odchrząknął.

- Przepraszam za wszystko, co powiedziałem wcześniej, detektyw Connor.

- Nic nie szkodzi, doktorze.

- Ależ szkodzi. Zachowałem się jak głupi prostak... Ale nie ma pani pojęcia, jak czuje się człowiek, który utracił wszystko.

- To prawda - odparła Petra. Nagle przypomniała sobie o operacji Kathy Bishop. Było prawie południe... Prawdopodobnie zabieg dobiegł już końca. Pierś kobiety zaszyto. Jak duża część została usunięta? Petra postanowiła jak najszybciej zadzwonić do szpitala.

- Proszę mi zatem powiedzieć, doktorze - zagaił Ron. - Te autopsje, o których pan wspominał należały do pańskich obowiązków jako szefa pogotowia czy też uczestniczył pan w nich jako specjalny konsultant?

- To było wiele lat temu, Ron - odrzekł Boehlinger w zadumie. „Ron?” - Byłem jeszcze wtedy na stażu. Właściwie zastanawiałem się, czy nie zająć się patologią. Spędziłem trochę czasu z koronerem z St. Louis. W owym czasie miejsce było regularnie...

No, no, Banks zaprezentował jej swój kolejny talent - potrafił być również świetnym psychologiem.

Odgłosy szurania przyciągnęły oko Petry do bocznego okna. Forbes szedł po asfalcie, powłócząc wielkimi stopami.

- Okej - powiedział, patrząc na Petrę, unikając wzroku Boehlingera. - Szef przyjedzie. Potem rzucimy okiem na ten tak zwany grób.

*

Kapitan Sepulveda był barczystym, szpakowatym mężczyzną w wieku około czterdziestu pięciu lat. Miał brązową cerę, nosił nieskazitelną garnitur. Przyjechał nieoznakowanym samochodem z trzecim zastępcą, osobiście wszedł na posiadłość Ramsey'a, a gdy wrócił w chwilę później, rozkazał swoim trzem funkcjonariuszom wejść na teren.

Petra, Ron i Boehlinger czekali w samochodzie. Boehlinger opowiadał bez ładu i składu o szkole medycznej, którą ukończył jako prymus. Potem wspominał, jak wiele triumfów odniósł jako lekarz pogotowia.

W dwadzieścia minut później pojawił się Sepulveda. Na jego koszuli widniały smugi błota. Mężczyzna zacierał ręce. Po kilku wielkich krokach znalazł się u boku Petry. Jego oczy wyglądały jak szczeliny, tak mocno je zaciskał, że Petra zadała sobie pytanie, czy coś widzi.

- Mamy ciało. Kobieta, zakopana ponad metr pod ziemią. Robaki, ciało nadpsute, ale nieznacznie, więc oceniam, że minęło dopiero kilka dni, nie miesięcy.

- Może dwa dni - odpowiedziała Petra, myśląc: „Czyżby zmiana samochodu była przykrywką dla przyjazdu Balcha?” - Starszawa Latynoska? - spytała. - Około pięćdziesięciu dwóch, pięćdziesięciu czterech lat?

Sepulveda otworzył szerzej oczy.

- Zna ją pani?

- Sądzę, że tak. Może trzeba by również zajrzeć do czarnego lexusa.

- Czego mamy szukać?

- Krwi.

Rozdział 54

W pomieszczeniu śpi się wspaniale! Na początku budziłem się co godzinę, potem było w porządku.

Brązowe koce, które przyniósł mi Sam, są szorstkie, ale ciepłe. Prześcieradło i poduszki pachną staruszką. Zanim wyłączyłem światła, leżałem, patrząc na sufit *szulu* i czerwoną żarówkę w srebrnej oprawce, wiszącą przed arką. Sam nie zakazał mi spać w głównym pomieszczeniu, lecz pomyślałem, że nie wypada, więc ułożyłem się na podłodze blisko tylnych drzwi, obok łazienki. Co jakiś czas słyszałem samochód jadący przez aleję, a raz szuranie czyichś stóp na dworze - prawdopodobnie ktoś przeszukiwał śmietniki. Na kilka sekund straciłem oddech, później się uspokoilem.

Chyba zasnąłem, wpatrując się w czerwoną lampkę. Sam mówił mi, że ona nigdy nie gaśnie, nazywali ją wiecznym światłem, które miało przypominać Żydom o Bogu. Potem się roześmiał i dodał:

- Pobożne życzenie, co, Bill? Żarówka przepala się co parę miesięcy, wtedy wchodzę na drabinę i ją zmieniam.

Zostawił mi bajgiel, wyszedł i zamknął drzwi na klucz.

Jest 5:49. Jestem na nogach od dziesięciu minut. Widzę, jak kolorowe okna przed *szulem* jaśnieją. Mam ochotę wyjść na dwór i rzucić okiem na ocean, lecz Sam nie zostawił mi kluczy od frontowych drzwi. Trzępię i składam koce oraz prześcieradło, myję się w toalecie, którą Sam nazywa męską, i kończę bajgiel z ubiegłej nocy. Potem uchylam tylne drzwi i wypatruję.

Powietrze jest chłodne - nawet zimne - i przepełnione solą. Na alei panują pustki. Wychodzę na zewnątrz, obchodzę ścianę *szulu* aż do frontu deptaku. Nie dostrzegam nikogo, jedynie mewy i gołębie. Ocean jest ciemnoszary, w kilku miejscach rozjaśniony światłem - niczym pomarańczowo-różowymi piegami. Fale są nieduże, łagodnie cofają się z szumem. Myślę o czymś, co kiedyś widziałem w telewizji: o wyplukiwaniu złota. Bóg nachyla planetę, szukając czegoś wartościowego.

Stoję bez ruchu, obserwuję i słucham. Nagle przypominam sobie kobietę z parku, która nigdy już nie zobaczy oceanu.

Zaciskam powieki i odsuwam od siebie te smutne myśli.

Rozmyślałem o oceanie, o powietrzu. Intensywnie pachnie solą, lecz bardzo lubię ten zapach. Ocean wygląda jak kres świata - dalej nie sposób pobiec. Na deptaku leży trochę śmieci - gazety, butelki po piwie i puszki po gazowanych napojach - lecz mimo wszystko jest bardzo pięknie. Cicho, pusto i pięknie. Wokół ani jednego człowieka.

Zawszę będę kochał samotność.

Niebo za mną zaczyna się rozjaśniać, skóra na moich ramionach nabiera złotego odcienia; patrzę w słońce: wschodzące, ogromne, o barwie żółtka. Nie czuję jeszcze ciepła, lecz wiem, że słońce szybko ogrzeje powietrze.

Nie jestem już sam. Z południa, może przecnicę ode mnie nadjeżdża ku mnie facet na rolnkach. Ma na sobie jedynie kąpielówki, ręce rozłożył na boki, jakby chciał odlecieć.

Przestaje mi się podobać na dworze. Wracam do *szulu*.

*

Lincoln stoi zaparkowany jak zwykle dziwacznie. Sama znajduję w świątyni, czyta książkę.

- Dzień dobry - odzywam się.

Odwraca się szybko, zamykając książkę. Nie wygląda na zadowolonego.

- Gdzie byłeś?

- Na zewnątrz.

- Na zewnątrz?

- Chciałem zobaczyć ocean.

- Ocean. - Dlaczego powtarza każde moje słowo? Odkłada książkę i podchodzi do mnie. Przez sekundę chyba zamierza mnie uderzyć i jestem gotów się bronić, lecz przechodzi obok mnie i sprawdza, czy tylne drzwi są dobrze zamknięte. Staje do nich plecami, wyraźnie nieszczęśliwy.

- Chcesz, żebym sobie poszedł? - pytam. - Zrobiłem coś złego?

Wydycha powietrze i pociera szyję.

- Mamy problem, Bill. - Wyjmuje coś z kieszeni. Gazeta. - Wczorajsze wydanie - mówi. - Zajmowałem się tobą i nie zdążyłem jej przejrzeć. Aż do dzisiejszego ranka.

Rozkłada gazetę i pokazuje ją mnie. Dostrzegam słowo „morderstwo”. Potem szkic twarzy.

Mojej twarzy!

Próbuję przeczytać artykuł, ale słowa skaczą w górę i w dół. Zupełnie jak mój żołądek. Serce podchodzi mi do gardła, czuję chłód. Usta mam spierzchnięte.

Ciągle staram się czytać, lecz tekst nie ma dla mnie sensu, jakby go napisano w obcym języku. Mrugam zawzięcie, by powstrzymać łzy, ale słowa nadal wyglądają niesamowicie i skaczą. Wrywam *Samowi* z ręki gazetę i przysuwam sobie do oczu. W końcu zaczynam co nieco rozumieć.

Kobieta, którą zabito w parku, ma imię. Lisa! Od tej pory będę o niej myślał jako o Lisie.

Lisa Boehlinger-Ramsey. Jej eks-mąż jest aktorem. Cart Ramsey. Program nazywa się „Mediator”. Słyszałem o nim; zdaje mi się, że Baran-Moran czasem go oglądał.

Ktoś ofiarowuje za mnie dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

Biegnę do tylnych drzwi. Sam nie próbuje mnie zatrzymać.

Kiedy łapię za gałkę, martwieją mi nogi.

Dokąd mam pójść?

Zapowiada się gorący pogodny dzień. Otoczy mnie sfera ludzi goniących za tymi pieniędzmi. Gdzie się ukryję w pełnym słońcu? Ktoś - może wręcz cały tłum... Złapią mnie, zwiążą i odprowadzą na posterunek.

Sam stoi nieruchomo.

- Możesz tutaj zostać cały dzień, ale pamiętaj, że dziś jest piątek. Wieczorem mamy nabożeństwo. Przyjdzie trzydziestu, czterdziestu *alter koker* - wiernych. Pojawią się na pół godziny przed zmrokiem, nic nie mogę na to poradzić.

Oddycham bardzo płytko i zaczyna mnie kłuć w klatce piersiowej. Otwieram szeroko usta, by złapać trochę powietrza, niestety niewiele to pomaga. Żołądek jeszcze nigdy mnie,

tak nie bolał, a serce nadal szaleńczo mi bije w piersi - Trach, trach, trach... Trach, trach, trach... Tak samo jak wtedy, gdy tamten mężczyzna robił to... Lisie.

- Myślę, że powinieneś coś rozważyć, Bill. Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów to dużo pieniędzy. Jeśli wiesz coś o tej sprawie, może powinieneś się zgłosić jak dobry obywatel. Spełniłbyś obywatelski obowiązek i dostałbyś za to zapłatę.

- Nic nie wiem.

Sam wzrusza ramionami.

- Świetnie, rozumiem. Na portrecie nie jesteś ty, tylko inny, bardzo podobny do ciebie chłopiec. Jednak podobieństwo jest tak uderzające, że trudno ci się będzie włóczyć tak jak dotychczas.

Spałem tak dobrze ubiegłej nocy, lecz teraz czuję się strasznie zmęczony i mam ochotę znowu się położyć.

Siadam na ławce *szulu* i zamykam oczy.

- Taki widok, Billu, musiał cię przerazić. Wiem o tym i to rozumiem. Ja również widziałem w życiu straszne rzeczy.

Mocniej zwieram powieki.

- Gdy widzisz takie rzeczy, chcesz o nich zapomnieć, ponieważ wiesz, że kontakt ze złem cię odmieni. Jest wielka różnica, Billu, między ludźmi, których zmuszono do oglądania zła, a tymi, którzy żyją sobie beztrąsko. Nie powiem, że dobrze jest oglądać straszne zbrodnie, na pewno tego nie powiem... Nie jest to przyjemne i nikt sam by się na to nie zdecydował. Jedna jest tylko z tego korzyść... Kontakt ze złem może cię wzmocnić... Zresztą, nie muszę ci tego mówić, już stałeś się silniejszy. Żyjąc na dworze i troszcząc się o siebie, doskonale sobie radzisz. Biorąc pod uwagę, przez co przeszedłeś, jesteś mężnym młodym człowiekiem. Taka jest prawda. Bill. Radzisz sobie ze wszystkim doskonale.

Mówi miłe rzeczy, stara się poprawić moje samopoczucie. Dlaczego odbieram jego słowa jak cios w żołądek?

- Coś mi mówi - ciągnie - żeby zadzwonić na policję i chronić tego chłopca... Nie, nie martw się, nie zamierzam tego zrobić, po prostu dzielę się z tobą swoimi przemyśleniami. Z drugiej strony przypominam sobie, co mi się przydarzyło, gdy byłem niewiele starszy od ciebie. Pamiętasz nazistów, o których ci opowiadałem? Niektórzy z nich byli policjantami - diabłami w mundurach. Nie zawsze więc wybór jest prosty, jak widzisz. Człowiek chce postąpić właściwie, nie łamać prawa, jednak sprawy się komplikują, prawda?

Wyciąga rękę i dotyka mojego ramienia.

- Nie martw się, jesteś ze mną bezpieczny.

Mówi poważnie. Teraz naprawdę czuję się dobrze.

Równocześnie jednak pochylałam się tak nisko, że niemal czołem dotykam podłogi. Oczy mnie bolały i nie mogłam się opanować przed drżeniem. Kołyszę się w tył i w przód, a później ciało zaczyna mi się trząść i płacze.

Niczym cholerne małe dziecko, nie potrafię nad sobą zapanować!

Tyle rzeczy się zdarzyło. Dlaczego płaczę dopiero teraz?!

Rozdział 55

Wil Fournier wrócił z biura Schoelkopfa z myślą, że mogło być gorzej.

Kapitan był rozdrażniony, lecz na szczęście roztargniony z powodu popołudniowego spotkania z zastępcą szefa policji, Lazara.

- Łącznie z waszą sprawą, która - jak podejrzewam - utknęła w miejscu.

Twarz Schoelkopfa zaczęła się czerwienić.

Wil opowiedział mu o Rosjaninie.

- Kiedy pojawił się ten szczegół?

- Późno ostatniej nocy. Facet nie wyglądał mi zbyt wiarygodnie, sądziłem, że trzeba najpierw go sprawdzić...

- Sprawdzisz go później, masz wreszcie jakiś trop, więc wracaj do Venice i szukaj dzieciaka. Gdzie jest Barbie?

Wil sam się nad tym zastanawiał.

- Nie wiem.

Schoelkopf przeszył go pełnym nienawiści spojrzeniem.

- Zgrany z was zespół, nie ma co. Jak żona Kena?

- Chyba jest właśnie operowana, szefie.

- Prawdopodobnie nic jej nie będzie, to taka młoda kobieta... Okej, wracaj na plażę, Fournier. Jeśli dzieciak się tam chowa, masz go znaleźć. - Schoelkopf podniósł słuchawkę.

Prosto do mediów. Nikt na niego nie patrzy, a jednak facet przybiera „telewizyjny” uśmiech.

Zanim Fournier wyjechał do Venice, sprawdził dwie wskazówki z Watson. Starsza z kobiet niczego nie wniosła do sprawy, jednak druga, niejaka pani Kraft, wydawała się absolutnie pewna, że chłopak mieszkał w przyczepie na parkingu położonym na

południowym krańcu miasta.

- Kiepskie miejsce - oceniła. - Założono je dla emerytów, ale później wprowadziło się tam sporo śmiecia.

- Rodzina chłopca to śmieci? - spytał Wil.

- Jeśli dzieciak rzeczywiście tam mieszkał, raczej tak.

- Ale nie zna pani nazwiska małego?

- Nie, proszę pana, mówię tylko, co mi się zdaje. Sądzę, że kiedyś go tam widziałam. Podczas spaceru z psem. Mój Jet to słodkie maleństwo, ale chłopak nie zbliżył się do niego. Może się bał zwierząt. Spotkałam go dwa razy. Nie jestem przekonana, że to on, lecz tak mi się wydaje.

- No dobrze, pani Kraft, dziękuję - rzucił Fournier. - Jak się nazywa ten parking przyczep?

- „Senna Kotlina” - odparła. - Tak jak ta książka, no wie pan, opowieść o duchach.

Wil wystukał numer szeryfa Watson. Zajęte. Jak to możliwe? Powtórzył numer. To samo. Nagle zamachał do niego Brian Olson, siedzący przy sąsiednim detektyw.

- Ktoś do ciebie na mojej linii.

Fournier podszedł do biurka Olsona, który skorzystał z przerwy, aby pójść po kawę.

- Fournier.

- Detektywie? Mówi szeryf Albert McCauley z Watson w Kalifornii. Zadzwońbym do pana wcześniej, ale byłem na konferencji poświęconej broni palnej w Sacramento. Brał pan kiedyś udział w czymś takim? Bardzo pouczające. - Niski, cedzący wyrazy głos. Facet miał pewno wiele wolnego czasu.

- Jak dotąd nie - przerwał mu Wil.

- Bardzo kształcące - ciągnął McCauley. - A zatem. Co mogę dla pana zrobić?

Fournier zrezygnował ze szczegółów. Nie chciał przeciągać rozmowy. Spytał McCauleya o chłopca i o parking przyczep.

- Uciekinier, co? - mruknął szeryf. - Tak, „Senna Kotlina” to parszywe miejsce. Na szczęście wszakże nie dochodzi tam do zbyt wielu przestępstw. Zresztą, jak wszędzie w Watson. Cicho tutaj, spokojnie. Jedynym prawdziwym problemem są imigranci, gdy wypiją zbyt dużo tequili.

„A jednak dzieciak przed czymś uciekł” - pomyślał Fournier.

- Gdyby pan mógł sprawdzić, szeryfie...

- Jasne, nie ma problemu. Muszę najpierw nadrobić zaległości, potem pójde rozmawiać z kierownikiem „Sennej Kotliny”. Zobaczę, czy zdoła zidentyfikować chłopca. Mówi pan, że

portret był w gazecie Los Angeles.

- Sprzed dwóch dni.
- Zazwyczaj nie czytamy gazet z Los Angeles. Niezbyt są przyjazne dla policji, co?
- To zależy - odparł wymijająco Wil. - Mogę panu przefaksować szkic.
- Jasne, chętnie mu się przyjrzę.

Wil ponownie mu podziękował i odłożył słuchawkę. Postanowił, że jeśli McCauley nie zadzwoni do późnego popołudnia, sam skontaktuje się z kierownikiem „Sennej Kotliny”.

Kolejne dwie godziny spędził na sprawdzaniu schronisk i rozmowach z pracownikami społecznymi, a później ruszył na zachód. Lunch zjadł we włoskim lokaliku w centrum handlowym na Trzeciej Ulicy w Santa Monica, potem skierował się do Venice.

Piękny poranek zmarnował na gadaniu ze sklepikarzami, szefami restauracji, przesiadującymi na ławkach starcami, kulturystami, młodymi rolkarzami. Turyści patrzyli na niego jak na pomyleńca. Mimo garnituru i odznaki w niektórych rozmówcach wzbudzał lęk. No tak, był przecież czarny. Może pewnego dnia przyzwyczai się do ludzkich reakcji na swój wygląd, a może nigdy.

Obleśny Rosjanin stał za ladą budy z pamiątkami. Gdy Wil po raz pierwszy mijął jego kiosk, zignorował wrogie spojrzenie Żukanowa. W drodze powrotnej zatrzymał się jednak i spytał sprzedawcę, czy coś widział.

Mężczyzna potrząsnął głową i odrzucił z twarzy strąki brudnych włosów. Tłusta, dziobata gęba. W fałdzie lewego nozdrza ropny pryszcz. Broda rzadka i brzydka, nierówno przycięta, raczej go szpeci niż zdobi. Facet najwyraźniej nie używał też dezodorantów. Kto kupował u niego zabawki?

Opuścił powieki.

- Jeszcze nie, ale bacznie się rozglądam.
- Byle tak dalej.

Wil zaczął się oddalać.

- Ma pan bezpośredni numer? - rzucił za nim Rosjanin.

Zawrócił, wyjął wizytówkę i położył ją na ladzie, ignorując wyciągniętą dłoń Żukanowa. W oczach mężczyzny błysnęła nienawiść. Zdjął z półki lalkę-trolla i objął dwoma palcami jej szyję. Wil odszedł, zastanawiając się, czy facet oderwie lalce głowę.

Było już wpół do siódmej, a on był umówiony na dwudziestą przed „Jaskinią”. Val Vronek miał mu dać sygnał, gdy przyjedzie tłusty motocyklista. Wil podejrzewał, że wyprawa pod lokal nie jest warta jego czasu, prawdopodobnie pozna kolejnego głupca goniącego za nagrodą, ale cóż, musiał go sprawdzić, na tym między innymi polegała jego praca.

Zadzwoił na posterunek. Nie było wiadomości od szeryfa McCauleya, więc albo szeryf sprawdził „Senną Kotlinę” i zlokalizował dzieciaka albo tam jeszcze nie dotarł. Tak czy owak. Wil zirytował się.

Jedyna wiadomość pochodziła od Petry, która zostawiła numer komórki na 818. Zadzwoił. „Abonent czasowo znajduje się poza zasięgiem lub...”

Zdobył numer parkingu przyczep „Senna Kotlina” i Centrum Rekreacyjnego, zadzwonił, trafił na kolejną nagraną wiadomość i na kolejny cedzący wyrazy głos.

McCauley określił to jako „ciche, spokojne miejsce”. Raczej miasto zombich.

Wystukał numer Leanny i spytał jej automatyczną sekretarkę, czy jej właścicielka znajdzie czas na późną kolację dziś wieczorem, powiedzmy o wpół do dziesiątej lub o dziesiątej. Ponownie spróbował na komórkowy telefon Petry, z tym samym wynikiem. Była prawie dziewiętnasta. Wil miał serdecznie dość automatów. Naszła go ochota zdemolować pierwszy, jaki zobaczy. Szedł wzdłuż plaży, znalazł ławkę w ustronnym miejscu i usiadł, aby przez moment popatrzeć na ocean, poobserwować mewy i pelikany. Kochał pelikany, podobał mu się sposób, w jaki przecinały powietrze, bez wysiłku. Bardzo spokojne ptaki. Boże, tu było cudownie. Gdyby tylko mógł się całkowicie skoncentrować na naturze i zupełnie zapomnieć o ludziach.

W końcu z niechęcią opuścił ławkę. Przeszedł się jeszcze raz deptakiem. Na wypadek, gdyby dzieciak akurat się pojawił. Ach, to dopiero byłoby coś, wspaniały przypadek. Nie potrafił się odprężyć, więc wybrał kolejną ławkę, usiadł tyłem do wody i skupił się na bieżących sprawach.

*

Piętnaście minut przed dwudziestą czekał na Hollywood Boulevard, popijając napój pomarańczowy przy budce z przekąskami kilka budynków za „Jaskinią”. Ludzie nocy już się kręcili wokół. Punki, ćpuny, dziwki, transwestyci i inne dziwadła, sporo kretyńskich turystów, grupki marines na przepustce - te dzieciaki zawsze pakują się w kłopoty. Z ogolonymi głowami niewiele się różnili od skinów. Może niektórzy z nich nawet nimi byli.

Sącząc słodki napój chłodzący, Wil zobaczył coś, co naprawdę go dobiło: niska zażywna dziewczyna, na oko dziewiętnastolatka (z ogoloną głową poza kolorowym irokezem na czubku) prowadziła na smyczy faceta w podobnym wieku. Poganiała go władczo: „No chodź już, chodź”. Facet był chudy, blady, z wyglądu niezbyt rozgarnięty; na twarzy miał romantyczny uśmiech.

Fournier dopił napój, wyrzucił kubek i przeszedł spokojnym krokiem obok „Jaskini”.

Harleye stały w rzędzie przed barem. Nawet stąd słyszeć było muzykę - jakąś odmianę country; za dużo basów.

Uchylone drzwi zapewniały jako taki widok ciemnego pomieszczenia. Wil minął lokal, dotarł do narożnika, gdzie się zatrzymał i przez chwilę udawał, że ogląda ubrania w witrynie sklepu, po czym odwrócił się. Kiedy przechodził po raz drugi obok baru, akurat wychodził Val Vronek cały w skórze i łańcuchach. Prezentował się prawie równie paskudnie jak Rosjanin.

Zatrzymał się tuż za progiem, zapalił papierosa, łypnął ku Wilowi zaledwie na pół sekundy. Wykrzywił lewy policzek i bardzo nieznacznie potrząsnął głową.

Zatem tłuściocha jeszcze nie było.

Przez następny kwadrans Wil spacerował, po czym Vee zakomunikował mu dokładnie to samo: rozejrzał się, czy nikt nie patrzy i trzykrotnie pokazał dziesięć palców. „Zobaczymy się za trzydzieści minut”.

Pół godziny później faceta nadal nie było. Val zapalił papierosa, podszedł do jednego z harleyów, sprawdził łańcuch zabezpieczający i ruszył ulicą w stronę zakrętu. Po minucie Wil ruszył za nim. Znalazł detektywa Vronka w zaciemnionym wejściu do budynku mieszkalnego, kawałek za Bulwarem. Ciemne okna, zakaz wstępu na drzwiach.

- Przepraszam, stary. Facet prawdopodobnie mnie olał - oświadczył Vee. - A może ogląda telewizję.

- Co było w telewizji?

- Twój dzieciak, nie widziałeś?

- Cóż, nie siedziałem sobie przez cały dzień w barze.

Vee uśmiechnął się.

- W wiadomościach o osiemnastej, Dubba. Podobno ktoś go widział w Venice. Może tłuścioch zdecydował, że nie jestem wart rozmowy i poszedł od razu tam.

- Właśnie przyjechałem z Venice - odparł Wil „Wprost od tego informatora”, dodał w myślach. Czy któryś z motocyklistów na deptaku pasował do opisu tłuściocha? Nie, Wil nikogo takiego nie zauważył. Miał nadzieję, że go tam nie było.

- Jeśli się pojawi, zadzwonię do ciebie - oznajmił Vee. - Muszę wracać do speluny. - Twarz miał zroszoną potem.

- Gorąca atmosfera, co? - spytał Wil.

- W porównaniu z tą robotą piekło oznacza wakacje, Dubba. A zapach? Obawiam się, że nigdy go nie poznasz z tą swoją zbyt opaloną skórką.

Wil zachichotał.

- Hej, członkostwo w klubie ma swoje przywileje.

Zostawił Vronkowi numer pagera na wypadek, gdyby zjawił się tłuścioch i pojechał do domu. Zastanawiał się, czy Leanna oddzwoniła. Może spróbowała telefonować do mieszkania, sądząc, że już wrócił. Logiczne, było prawie wpół do dziesiątej. Dziś z pewnością Wil przekroczył nawet normę pracoholika.

Pager zabrzączał, gdy tylko detektyw wjechał na swój podjazd.

Odczytał numer. Szeryf McCauley. Rany, dzięki stary, że w końcu coś dla mnie zrobiłeś.

Zebrał pocztę, wszedł do mieszkania na parterze, sprawdził sekretarkę. Leanna nie dzwoniła. Otworzył butelkę heinekera i zadzwonił do McCauleya.

- Komplikacje - oświadczył szeryf. Już nie cedził słów. W jego głosie nie było tym razem nic z przyjaznego chłopka-roztropka. - Jako tako zidentyfikowałem pańskiego dzieciaka. Kierownik go znał. Nazywa się Billy Straight. William Bradley Straight, dwanaście lat, około metra pięćdziesiąt, jakieś trzydzieści pięć kilo. Od kilku miesięcy nikt go nie widział. Matka bezrobotna, żyła z opieki społecznej, zawsze miesiącami nie płaciła czynszu. O ojcu dzieciaka nic nie wiadomo. Kiepska sprawa, choć mały nigdy nie sprawiał kłopotów.

„Zniknął kilka miesięcy temu i nikt w cichym, spokojnym mieście zombich nie przejął się tym faktem i nie zgłosił go - pomyślał Wil. - Nawet wiejskie ścieżki mogą być «ulicami nędzy»”.

- Co matka powiedziała na temat zniknięcia syna, szeryfie?

- Tu właśnie mamy komplikację. Kiedy przyszedłem z nią porozmawiać, znalazłem ją martwą w przyczepie. Na oko nie żyje od paru dni. Obrażenia potylicy, początki stężenia pośmiertnego, larwy much. W przyczepie panował upał, co prawdopodobnie przyspieszyło proces rozkładu. Sąsiedzi widzieli ją rano dwa albo trzy dni temu, więc pewnie uda się ustalić dokładną datę śmierci.

Żegnaj, Andy Grifficie. Witaj, Quincy.

- ... I znalazłem krew na krawędzi kredensu, zatem wygląda, że upadła w tył i uderzyła głową w kant. Albo została popchnięta... Denatka ma na ciele trochę sińców. Mieszkał z nią, przez dłuższy czas jakiś mężczyzna i nagle zniknął. Motocyklista, frajer, notowany za drobne przestępstwa... Dostaliśmy jego nazwisko od facetów z lokalnego baru. Buell Erville Moran, biały, trzydzieści lat, metr osiemdziesiąt pięć, sto trzydzieści kilo...

- Brązowe włosy, niebieskie oczy, rudawe baczki - dopowiedział Wil.

- Macie go?

- Nie, ale go szukamy.

Rozdział 56

Na twarzy Estrelli Flores zostało dość skóry i ciała, by Petra mogła ją zidentyfikować. Poderżnięto jej gardło od ucha do ucha, poza tym ofiara nie miała żadnych widocznych ran. Nie dokonano szaleńczej rzezi - jak w przypadku Lisy.

Oczywiście nie można wykluczyć jednego mordercy. Lisę zabito z namiętności, Flores była tylko niepotrzebnym świadkiem.

Balch czy Ramsey? A może obaj? Żaden? Nie, ta możliwość już chyba nie wchodziła w rachubę.

Doktor Boehlinger chciał zostać, lecz Sepulveda kazał funkcjonariuszowi Forbesowi odwieźć go do Los Angeles. Ironia tej sytuacji - mimo jej nieprzyjemnego wydźwięku - wywołała na twarzy Petry mimowolny uśmiech.

Biedna Estrella. Zjawiła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Ciągle miała na sobie różowy uniform. Prawdopodobnie została zamordowana we wtorek lub we środę; ciało przywieziono tu w środę.

Balcha widziano, jak stąd wyjeżdżał. Musiało to być bardzo późno w środę albo w czwartkowy rano, ponieważ przesłuchiwała go w środę wieczorem i lexus stał zaparkowany przed budynkiem Player's Management. Pusty. Czysty. W przeciwieństwie do bałaganu panującego w biurze. Czy było już wówczas po wszystkim? Czyżby ciało Estrelli leżało w bagażniku samochodu podczas przesłuchania?!

Petra i Ron towarzyszyli lokalnym technikom, którzy starali się skończyć robotę przed zapadnięciem zmroku. Posiadłość Ramseya w Montecito była ogromna. Dom - stary i majestatyczny: kremowy stiuk, czerwona dachówka, prawdziwie hiszpański styl, żadnej dzwonnicy, nic z szalonych narożników charakterystycznych dla „zamku” w Calabasas. Gigantyczne dęby ocieniały akr ogrodu wokół budynku. Projektant wziął pod uwagę kwestię cienia - rosły tam ceniolubne rośliny: paprocie, kliwie, kamelie, azalie. Urocze ścieżki z tłuczonego granitu ułożono ze znanstwem.

Posiadłość opadała ku stawowi, trzydziestometrowej długości dyskowi zielonej wody, wystawionej na pełne światło. Biało-różowe lilie zajmowały połowę jego powierzchni. Ważki w kolorze płomienia śmigały obok niczym małe samolociki. Brązowa czapla pochylała się i piła wodę. Szerokolistne rogoże i jeszcze więcej lilii w tle; żółte, białe z ametystowymi środkami. Petra dostrzegła brak opadłych liści, co zwróciło uwagę doktora Boehlingera na grób.

Rzeczywiście, miał dobre oko.

Technicy koncentrowali się na czarnym lexusie. Wnętrze obite było onyksową skórą, bagażnik - wyłożony czarną wykładziną. Na takich powierzchniach niełatwo dostrzec plamy krwi, jednak któryś z kryminalistów sądził, że widzi plamę wielkości dziesięciocentówki na wewnętrznej stronie drzwi bagażnika i test luminolem potwierdził jego przypuszczenia. Na siedzeniach samochodu niczego nie znaleziono, lecz dokładne badanie wykładziny wykazało w wielu miejscach plamy krwi przypominające atramentowe kleksy z psychologicznego testu Rorschacha.

- Powiedziałbym, że to najwyżej pół litra - ocenił kapitan Sepulveda. - Raczej jeszcze mniej. Czyli że zabił ją w innym miejscu, zawinął ciało w jakiś materiał i krew przesiąkła. Potem wyprał wykładzinę w bagażniku... Czuć szampon. Sądził, że skoro wygląda na czyste, jest czyste.

Mówił cicho. Wyraźnie nie był zadowolony, że wciąga się go w tę sprawę. Petra zastanowiła się, czy pracował kiedyś w wydziale zabójstw.

- Lepiej zdobędę nakaz na dom i teren... Kto wie, co jeszcze znajdziemy - mruknął Sepulveda. - Odwrócił się, spojrzął na Petrę i chyba skupił na niej zwięzione oczy; nie była tego pewna, ponieważ nadal nie widziała jego źrenic. - Zamierzam teraz porozmawiać z sędzią. A wy jaki macie plan?

- Balch przyprowadził tu samochód, więc ewidentnie podejrzany - odparła. - Muszę poinformować o tym mojego szefa i poprosić go o nakaz aresztowania. Nie wiem, czy Balch pracował na własną rękę czy na polecenie Ramseya, ale nie wątpię, że to morderstwo ma związek z naszym. Potrzebuję więcej danych na temat obu mężczyzn.

To było tylko stwierdzenie, nie prośba.

- Świetnie - odparł Sepulveda. - Powiniennem wrócić w przeciągu godziny. Z pytaniami zwracajcie się do sierżant Grafton. - Wskazał szczupłą, atrakcyjną, ciemnowłosą kobietę ubraną po cywilnemu. Stała przy stawie i robiła notatki.

Odjechał, Ron zaś wręczył Petrze telefon komórkowy. Zadzwoiła najpierw do Wila Fourniera. Nie było go na posterunku. Zostawiła swój numer. Schoelkopf również wyszedł - miał przez całe popołudnie zebrania - jednak Petra przekonała sekretarkę, by go znalazła. Oddzwonił po pięciu minutach.

- Byłem u Lazary, więc lepiej żebyś miała dobre nowiny.

- Mnie się wydają dość dobre, szefie. - Opowiedziała mu o wszystkim ze szczegółami.

- Cholera... Migiem się zabierzemy za nich obu.

- Ramsey wziął sobie na adwokata Lawrence'a Schicka.

- Wiem o tym, więc musimy ominąć tę przeszkodę. Na razie porozmawiamy, żadnej próby aresztowania. Zostań w Montecito, miej oczy otwarte. Nie trać kontroli nad sytuacją. I nie wyłączaj telefonu.

- Balch mieszka w Rolling Hills Estates - powiedziała Petra. - Biuro ma w Studio City. Podam panu oba adresy.

- Dawaj.

Przedyktowała numery, po czym Schoelkopf się rozłączył.

- Muszę również zadzwonić - wtrącił Ron. - Do Hectora i do mamy. Utknęliśmy tu na parę godzin.

Oddała mu telefon. Zmyślny mały ericsson.

- Prywatny gadżet czy służbowy?

- Prywatny.

- Zwrócę ci za moje rozmowy.

Uśmiechnął się i wystukał numer. Lexusa wtaczano właśnie na lawetę. Technicy otoczyli taśmą teren wokół grobu. Sierżant Grafton chodziła wokół niego, wskazując i instruując.

Pod płot podjechało kombi koronera hrabstwa Santa Barbara. Z auta wysiadło dwóch mężczyzn w bieli ze składanymi noszami. Zwłoki Estrelli Flores były niezwykle małe. Połamane nogi, ziejąca rana na szyi, z której wystawała pokierszowana tchawica.

Ron nie mógł znaleźć de la Torre'a, połączył się natomiast ze swoją matką; wówczas Petra odeszła na bok, by mu nie przeszkadzać w rozmowie. Głowiła się, jak powiadomić Javiera Floresa o śmierci matki. Schoelkopf polecił jej, aby nie wyłączała komórki. Do diabła z nimi. Aparat należał do Rona. Niech departament kupi jej telefon.

Holownicza furgonetka cofnęła się, ciągnąc lexusa wokół dębów. Kilka minut później ludzie koronera zanieśli zwłoki do kombi i również odjechali. Ogród był kompletnie zdewastowany, liście palm i paproci - przygięte do ziemi lub połamane. Petra wyczuła lekki zapach oceanu, pacyficzny wiatr niósł sól w głąb lądu. Lilie kołysały się, żółta taśma tańczyła.

Ron wrócił i podał Petrze telefon.

- No cóż - mruknęła. - A dzień zaczął się tak przyjemnie.

- Nadal jest przyjemny. - Podeszedł do niej; ich palce dotknęły się na sekundę. Chwycił jej palec wskazujący, ścisnął go delikatnie i puścił. Ruszył prosto przed siebie. Ach, te ręce perkusisty... Wybijał rytm, uderzając dłońmi o zewnętrzne boki ud. Jego oczy wyglądały jednak na pogodne.

„Kocha swoją pracę” - pomyślała Petra. Będzie pracował w wydziale zabójstw tak długo,

jak pozwoli mu rodzina.

Zadzwoił telefon.

- Connor.

- Rozmawiałem z panem Schickiem - odezwał się Schoelkopf. - Jest w drodze do was razem z Ramseyem.

- Co z Balchem?

- Ramsey twierdzi, że jego dyrektor finansowy powinien być u siebie w biurze. Zadzwoiliśmy tam. Nikt nie podnosi słuchawki, - Przydarzyło mi się to samo w dzień przesłuchania - odparła Petra. - Nie odbierał telefonów, a jednak był w biurze.

- Tak czy owak, wysłałem już tam paru naszych, a ludzie z Rolling Hills zgodzili się złożyć mu wizytę w domu.

- Po co Ramsey tu jedzie? - spytała.

- To jego dom, Barbie. Facet jest strasznie zdenerwowany!

Rozdział 57

Motor spał kiepsko i teraz ból głowy rozsadzał mu czaszkę. Nie miał koca ani poduszek, tylko skórzaną kurtkę, którą ułożył na wypaczonej podłodze opuszczonego mieszkania na Edgemont.

Po dykcie na oknach i przestrzegającym przez trzęsieniem ziemi znaku na drzwiach ocenił, że to dobre miejsce na nocleg. Użył scyzoryka do wyważenia deski na tylnych drzwiach, wtoczył motocykl do wnętrza i pchał go z pokoju do pokoju. Wszystkie były takie same - maleńkie. Żadnych mebli, instalacja elektryczna i hydrauliczna. Wszędzie na ścianach graffiti. Linoleum upstrzone mysimi odchodami, truchłami karaluchów, plamami od oleju, pustymi butelkami. W końcu wybrał pomieszczenie na tyłach. Cały budynek śmierdział pleśnią i mokrym psem, zgniłymi robalami, spalonymi zapałkami i jakimiś chemikaliami; ten ostatni zapach był najgorszy i Motorowi łzawiły od niego oczy.

Było już wszakże ciemno, on zaś czuł zmęczenie po całodziennym jeździe po Hollywood - zauważył, że niewiele się zmieniło - i po Griffith Park, gdzie chciał spenetrować terytorium szczeniaka. Niestety, park okazał się zbyt duży i Motor nie wiedział, skąd zacząć poszukiwania. Po co, u diabła, małemu popaprańcowi tak cholernie duży teren?

Kupił trzy hot-dogi z surówką, popił je napojem czekoladowym i pojechał do „Jaskini”.

Zaparkował maszynę przed wejściem obok innych, mając nadzieję, że nikt nie będzie jej się przyglądał z bliska. Liczył na to, że bywalcy lokalu potraktują go jak swego. Niestety stało się inaczej. Musiał wydać ostatni szmal na piwo, ponieważ nikt nie zamierzał mu stawiać. Jedząc trzy marynowane jajka, niepostrzeżenie wepchnął do kieszeni trochę „slim jimów”, zanim barman zmierzył go podejrzliwym spojrzeniem.

Nikogo nie zainteresował obrazek szczeniaka. Wszyscy oglądali pieprzone filmy na wielkim telewizorze. Kiedy jakaś laska na ekranie robiła coś szczególnie obrzydliwego, w barze podnosiły się basowe ryki aplauzu.

Czterdzieści, pięćdziesiąt błyszczących z podniecenia ślepiów skupiało - się na telewizorze, żaden z motocyklistów wyraźnie nie miał ochoty zarobić dwudziestu pięciu tysięcy baksów, z wyjątkiem jednego faceta, który niby też nie wydawał się zainteresowany, ale powiedział, że może się czegoś dowiedzieć. Motor umówił się z nim nazajutrz na dwudziestą... Zobaczysz się, czy tam w ogóle pójdziesz.

Chrzanić to, teraz chce mu się kimać. Mieszkanie nie przypominało wprawdzie Holiday Inn, lecz sypiał już w gorszych norach. Choć zapach chemikaliów wywoływał męczący ból głowy, doskwierał mu brak kobiety, jak wtedy, gdy kiblował w Perdido z tym wstrętnym meksem. Trzy dni wdychania cuchnących pierdnieć Sukinsyna... Miał ochotę go zadusić, gdy czwartego dnia faceta zabrali, bo okazało się, że szukają go federalni.

Był piątkowy poranek, dziesiąta, Motor miał zapuchnięte oczy i pragnął tylko jednego - urwać sobie swój pieprzony łeb i zastąpić go nowym, który nie będzie tak bolał.

Sikając na podłogę w sąsiednim pokoju, wypluł nieprzyjemną poranną ślinę i tarł oczy tak długo, aż zdołał się skupić na otoczeniu. Wreszcie wytoczył maszynę na dwór. Ostre promienie pieprzonego słońca nie ułatwiały mu życia. Motor był głodny, lecz nie miał pieniędzy; czas iść do pracy.

Dwie godziny zajęło mu znalezienie meksykańskiej dziewczyny, która szła samotnie boczną uliczką. Wokół nie było żadnych pieprzonych pokurczów, którzy mogliby bronić jej honoru. Motor podjechał do niej, zatrzymał się, zsiadł i podszedł bliżej. Była przerażona. Gdy ją minął, odprężyła się, a wówczas odwrócił się, porwał torebkę, dziewczynę zaś pchnął na ziemię.

- Nie ruszaj się, kurwa - rzucił do niej.

Nie zrozumiała ani słowa, lecz pojęła jego ton. Kopnął ją w żebra, ot tak, dla uciechy, wrócił do maszyny tak szybko jak pozwalało mu tłuście cielsko i odjechał kilometr.

W torebce znalazł dwadzieścia trzy dolce, cynowy krzyżyk i zdjęcia małego meksykańskiego dzieciaka na balu przebierańców. Wyjął szmal, resztę wrzucił do studzienki

ściekowej, pojechał z powrotem na Bulwar, znalazł tę samą budę z hotdogami i kupił dwa, a także smażone jajko na grzance z gorącym sosem, wielką kawę, którą pospiesznie wypił, potem drugą kawę, szarlotkę i karton mleka, które dostawał w szkole i więzieniu. Teraz był gotów do całodziennej pracy.

Spacerował po Bulwarze i pokazywał przechodniom portret dzieciaka - gówna, dostawał jedynie wściekłe spojrzenia. O piętnastej znowu zgłodniał, zmusił się do chodzenia jeszcze przez dwie godziny, aż w końcu nie mógł znieść skurczów pustego żołądka. Uznał, że zasłużył sobie na prawdziwy posiłek, wszedł do „Go-Ji” i wydał większość pieniędzy Meksykanki na kanapkę z peklowaną wołowiną, frytki, smażone krążki cebulowe, podwójny deser bananowy i mnóstwo kawy. Tyle razy prosił czarną kelnerkę o napełnienie szklanki, że w końcu zostawiła mu dzbanek.

Na jego ławie leżało kilka stronicy gazety, ale Motor nie mógł, się skupić na słowach, a żadnych zdjęć nie było. Telewizor nad kontuarem był włączony - wiadomości, sport, pogoda, bzdury. Potem znowu zobaczył rysunek szczeniaka. Odstawił banany z bitą śmietaną i zwrócił uwagę na ekran. Serce zabiło mu szybciej - pewnie wpływ kawy. Motor był całkowicie rozbudzony i gotów do działania, gotów na wszystko.

Dupek w telewizji mówił coś o plaży...

- ...poinformował, że chłopca widziano w pobliżu Ocean Front Walk w Venice.

Niech to... pieprzyć faceta z „Jaskini”.

Czas ruszyć na zachód - ale dopiero po zmroku. Lepiej żeby szczeniak go nie przyuważył.

Rozdział 58

Larry Schick nosił brązowy garnitur, który wyglądał na tani, a prawdopodobnie kosztował ze trzy tysiące dolarów. Jego marynarka była mocno pomarszczona przy klapach i wręcz wisiała na chudym ciele mężczyzny. Zamiast chusteczki adwokat wsunął w butonierkę misternie rzeźbioną fajkę z wykonaną z pianki morskiej lulką. Główka fajki zwisała niczym talizman. Miała kształt kobiecej głowy. Straszne!

Adwokat był młodszy niż Petra oczekiwała, liczył sobie niewiele powyżej czterdziestu lat, miał mocno opaloną pociągłą twarz, kruczoczarne włosy przycięte w stylu Valianta i ciemne okulary w różowych plastikowych oprawkach, na nogach zaś - kowbojskie buty z

wężowej skóry. Wyglądał jak jedna z podstarzałych angielskich gwiazd rocka, które starają się udawać hipisa w średnim wieku.

Schick i Ramsey podjechali pod dom w Montecito tuż po osiemnastej. Schick siedział za kierownicą czarnego rolls-royce'a silver spur, który miał na przedniej szybie naklejkę z Malibu Colony i szereg klubowych emblematów na osłonach przeciwsłonecznych. Kolejny samochodziarz.

Ramsey wysiadł pierwszy. Ubrany był w pogniecioną dżinsową koszulę, czarne dżinsy i buty do biegania. Wyglądał jeszcze starzej niż ostatnim razem, gdy Petra go widziała. Na powitanie teatralnie potrząsnął głową. Schick podszedł do niego i dotknął jego łokcia. Petra i Ron znaleźli się obok nich, zanim dwaj mężczyźni zdążyli wykonać kolejny krok. Ramsey stale patrzył na policyjną taśmę.

W posiadłości panował obecnie spokój. Pracowało tylko kilku techników. Sepulveda nie dzwonił jeszcze w sprawie nakazów. Sierżant Grafton stała nieopodal stawu. Przedstawiła się kilka godzin temu. Na imię miała Anna. Była absolwentką historii sztuki na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Barbara, dzięki czemu dwie kobiety bez problemu znalazły temat do rozmowy podczas nudnego oczekiwania. W przyszłym tygodniu Grafton leciała do Szwajcarii.

„Poważne włamanie, dawni mistrzowie - oświadczyła. - Odzyskaliśmy prawie wszystkie obrazy. Sprawa nigdy nie trafi do gazet”.

Kobieta wyraźnie nie interesowała się zabójstwami i nawet nie próbowała przejąć sprawy Petry.

Obserwowała nadjeżdżającego rollsa, napotkała wzrok Petry, przez długą chwilę przypatrywała się Ramseyowi, po czym się odwróciła.

- Dobry wieczór, panie Ramsey - odezwała się Petra.

- Larry Schick - przedstawił się prawnik, wsuwając rękę między swego klienta i policjantkę.

Ramsey cofnął się. Spojrzał na Rona, potem skoncentrował się na Petrze.

- Co tu się, do cholery, dzieje!?

- Estrella Flo...

- Wiem, wiem, ale skąd się tu wzięła?

- Zamierzamy pana o to właśnie spytać.

Ramsey ponownie potrząsnął głową i szczerknął zębami.

- Nieprawdopodobne. Świat zwariował.

Mięśnie na twarzy Schicka ani drgnęły.

- Co dokładnie przydarzyło się Estrelli Flores, pani detektyw?
 - Za wcześniej na szczegóły, panie Schick, mogę panu tylko powiedzieć, że została bardzo brutalnie zamordowana i zakopana tam. - Wskazała staw. Grób był oznaczony słupkiem.
 - Mój Boże - mruknął Ramsey i odwrócił się.
 - Panie Ramsey, czy Estrella Flores pracowała w tym domu? - spytała Petra.
 - Jasne.
 - Ostatnio?
 - Nie. Wtedy, gdy Lisa i ja byliśmy razem. - Pod koniec zdania głos Ramseya obniżył się. Mężczyzna zerknął ponownie na grób i skrzywił się.
 - Pani detektyw, czy możemy porozmawiać trochę później... - wtrącił się Schick.
 - W porządku, Larry - uciął Ramsey. - Spędzaliśmy tu kiedyś weekendy. Czasami Lisa zabierała Estrellę, aby posprzątała. Nie sądzę jednak, by służąca miała klucz. Nie potrafię zrozumieć, po co miałyby tutaj przyjeżdżać.
 - Kto teraz sprząta dom?
 - Wynajęta firma. Nieregularnie, mniej więcej raz na miesiąc. Już nie korzystam z tego domu.
 - Jak się nazywa ta firma?
 - Nie wiem. Greg załatwia takie sprawy.
 - Czy pan Balch przyjeżdża osobiście, aby wpuścić tych ludzi?
 - Jasne. - Ramsey obserwował ją uważnie.
 - Gdzie jest teraz pan Balch?
- Ramsey popatrzył na zegarek.
- Prawdopodobnie w drodze do domu.
 - Pracował dzisiaj?
 - Tak przypuszczam. - Ramseyowi uspokoił się głos.
 - Rozmawiał z nim pan ostatnio? - spytała Petra.
 - Ostatnio rozmawiałem z nim... dwa dni temu. Zadzwoił i spytał, czy czegoś potrzebuje. Zaprzeczyłem. Próbował mnie rozweselić. Kręciłem się trochę po domu, próbowałem unikać mediów... A teraz to szaleństwo.
 - Próbowaliśmy się dodzwonić do pana Balcha do biura i nie udało nam się - wtrąciła Petra.
 - Może wyszedł... Rany, o co tyle hałasu?
 - Kto jeszcze ma dostęp do tej posiadłości?
 - Dostęp? - spytał Ramsey. - Przypuszczam, że każdy może się wspiąć na furtkę. Nigdy

nie podłączyłem prądu do ogrodzenia.

- Nie było potrzeby?

- Jakoś tak wyszło. Kiedy przyjeżdżaliśmy tu z Lisą, wystarczały kłódki. Coś mnie nurtuje. Jak Estrella tu dotarła? Przecież nie prowadziła samochodu.

- Doskonałe pytanie - oceniła Petra.

- Miejmy nadzieję, że policja znajdzie rozwiązania tych wszystkich kwestii - podsumował Schick. Wyjął z kieszeni fajkę, sprawdził główkę, odwrócił ją do góry nogami. Nic nie wypadło.

- Zatem - odezwała się Petra - ostatnio nie prosił pan pani Flores o posprzątanie tego domu.

- Nigdy. Proszę posłuchać, może pani przetrząsnąć cały teren. Ma pani na to moją zgodę. Dom, ziemię, wszystko. Niech się pani nie przejmuje nakazami...

- Ależ Cart - przerwał mu Schick. - Wiem, że chcesz pomóc, ale...

- Larry, chcę się dokopać do prawdy - warknął Ramsey. - Nie zamierzam opóźnić śledztwa. - Do Petry dodał: - Proszę, do diabła, robić swoje. Rozkopcie tę przeklętą posiadłość. Nic mnie to nie obchodzi.

Przetarł oczy, odwrócił się plecami i odszedł kilka kroków. Schick podążył za nim i położył mu rękę na ramieniu. Petra przypomniała sobie, że Balch w podobny sposób próbował pocieszyć swego chlebodawcę pierwszego dnia i Ramsey stracił wtedy jego dłoń. Teraz jednak przyjął gest prawnika, kiwając głową, kiedy Schick coś do niego powiedział. Petra widziała, jak aktor drapie się po czubku nosa. Nagle mężczyźni odwrócili się.

- Przepraszam, pani detektyw, czy coś jeszcze?

- Czy pański dyrektor miał ostatnio powody, by tu przyjeżdżać?

- Jak już mówiłem, przyjeżdża tu czasem i załatwia różne sprawy. Wpuszcza pracowników. Gdyby miał coś do załatwienia, pewnie by tu przyjechał.

- Ale nie wie pan o żadnym szczególnym powodzie?

- Nie interesuję się takimi rzeczami - jęknął Ramsey. - Greg zajmuje się wszystkim.

- Obydwoma domami?

- Oczywiście.

- Czy także wymianą samochodów?

- Słucham?

- Zaprowadził stąd jeepa do Los Angeles na przegląd - wyjaśniła Petra. - A własny samochód zostawił tutaj.

- O czym pani mówi?

- Pan Balch był tu wczoraj. Lokalny szeryf widział go, jak wychodził z posiadłości. Greg Balch powiedział mu, że poprosił go pan o zawieszenie jeepa na przegląd. Zostawił tu swojego lexusa.

- To ma sens - odparł Ramsey. - Jeep stał tu od kilku tygodni... Lisa go lubiła. Rzadko używam tego auta, więc może się zatarło.

- Jednak nie wie pan tego na pewno.

- Nie, tylko zgaduję.

- Gdzie znajduje się serwis pańskiego jeepa?

- U jakiegoś dealera w Santa Barbara, jak mi się zdaje.

- Istniał powód, by wieźć go aż do Los Angeles?

Ramsey wzruszył ramionami i pogładził wąsa.

- Może Greg zmienił dealera. Może miał problemy z tamtym w Santa Barbara. Po co wszystkie te...

- Chcę po prostu wyjaśnić tę sprawę - wyjaśniła Petra, udając zmieszanie. - Nigdy nie prosił pan swego dyrektora, aby zabrał stąd jeepa?

- Nie... Do czego pani zmierza?

Wyciągnęła notes, nabazgrała coś.

- Może do niczego, proszę pana. - Po zapisaniu zaczęła szkicować karykaturę Schicka. Idiotyczna fryzura ułatwiła zadanie.

Ramsey wpatrzył się w Petrę z napięciem.

- Sądzi pani, że Greg...

Nie odpowiedziała. Ron stał obok niej nieruchomo.

- Och, niech pani da spokój - burknął Ramsey. - Nie ma mowy. Nie, to absolutnie pokręcony pomysł...

- W jakich stosunkach byli pan Balch i Estrella Flores?

- W dobrych. - Ramsey roześmiał się. - Te podejrzenia są całkowicie szalone. Jeśli Greg twierdzi, że jeep wymagał przeglądu, to wymagał. Osobiście myślę, że ktoś usiłuje mnie wrobić w te zbrodnie. Ktoś czuje do mnie ogromną urazę, więc atakuje ludzi... mi bliskich.

- Estrella Flores była panu bliska?

- Nie... nie o to chodzi. Chciałem po prostu zwrócić pani uwagę na fakt, że szaleńcy są wszędzie. Niech pani sobie przypomni śmierć Johna Lennona. Ludzie show-biznesu są czasem wręcz prześladowani. Wzięliście pod uwagę taką ewentualność?

- Sprawdzamy wszystko - odparła Petra.

- Znam kogoś, kto może to zbadać, Cart - wtrącił Schick.

Ron nadal się nie odzywał. Petra zerknęła na niego i zapewniła go kiwnięciem głowy, że wszystko jest w porządku.

- Czuje się pan prześladowany, panie Ramsey? - spytał. - Ma pan na myśli kogoś konkretnego?

- Gdybym miał, sądzi pani, że nie wspomniałbym o tym? - Z Ronem rozmawiał wyraźnie twardszym tonem. - Jezu!

Petra zamknęła notes.

- Dziękuję za zgodę na przeszukanie posiadłości. Oszczędził pan nam w ten sposób sporo czasu i formalności. Gdyby zechciał pan dać nam na piśmie...

Schick natychmiast jej przerwał:

- Zanim posuniemy się za daleko, ustalmy szczegóły.

- Niech wykonują swoją robotę, Larry - uspokoił go Ramsey. - Cokolwiek się okaże - rzucił w stronę Petry - gwarantuję pani, że Greg nie ma nic wspólnego z tą sprawą.

Schick zacisnął usta i przesunął palcem pod gęstą, czarną grzywką. Dlaczego dorosły mężczyzna nosił tak osobliwą fryzurę? Czyżby przyciągała uwagę przysięgłych? Może fajka z luką z pianki morskiej również stanowiła swego rodzaju rekwizyt.

Rzeczywistość, fantazja...

- Przygotuję pismo do podpisania, panie Ramsey - powiedziała Petra.

- Proszę się wstrzymać, pani detektyw - odezwał się Schick. - Cart, jesteś zdenerwowany, a policja wykorzystuje twój stan. Widziałem, co się zdarza podczas rewizji. Stłuczki, drobne kradzieże. Zdecydowanie odradzam ci... - Niech potrzaskają wszystko, Larry. Nie dbam już o ten dom. Powiedziałem już wam. Rozryjcie cały teren, jeśli trzeba. - Popatrzył Petrze w oczy. - Pani tylko teoretyzuje, prawda? Na pewno nie myśli pani poważnie, że Greg ma coś wspólnego z tym morderstwem.

- Chcę być przynajmniej obecny podczas rewizji. - wtrącił Schick.

- Dobrze - zgodziła się Petra. - Jeszcze jedna sprawa. - Zwróciła się ponownie do Ramseya: - Chodzi mi o zachowanie się Grega Balcha w noc morderstwa Lisy. Kiedy wróciliście z Reno...

- Pani detektyw - przerwał jej adwokat. - Z pewnością będzie lepsza pora na takie pytania.

- Co z jego zachowaniem? - spytał Ramsey.

- Czy zachowywał się jakoś inaczej niż zwykle?

- Nie. Ten sam dobry, stary Greg.

- Tamtego dnia, kiedy odwiedziliśmy pański dom po raz pierwszy, mercedes nie stał w garażu? Gdzie był?

- A cóż to ma wspólnego z zachowaniem Grega? - spytał Ramsey.

- Proszę pana, gdyby był pan uprzejmy odpowiedzieć...

- Mercedes był w serwisie - wyjaśnił Ramsey. Jeśli przesłuchanie niepokoiło go, nie dał tego po sobie poznać. - Kiedy się ma zbyt wiele zabawek, zawsze którąś trzeba wyregulować.

- Czy to Greg przyprowadził mercedesa? - spytała Petra.

Ron odwrócił się i obserwował dom.

- Nie pamiętam, może on, może dealer - zadumał się Ramsey.

- Co w samochodzie było nie tak?

- Nie mam pojęcia.

- Zatem prowadziło się go dobrze?

- Tak, świetnie. Może samochód potrzebował rutynowej wymiany oleju, nie wiem.

- Z usług którego dealera Mercedesa pan korzysta?

Ramsey położył palec na ustach.

- Gdzieś w pobliżu... Chyba w Agoura. - Roześmiał się chrapliwie. - Jak pani widzi, nie bardzo panuję nad swoim życiem.

Petra uśmiechnęła się do niego.

- Gdy po raz drugi przyjechałam do pańskiego domu, mercedes był już w garażu. Kto go przywiózł? - zniecierpliwiona powtórzyła pytanie.

- Naprawdę nie wiem. Ktoś od dealera albo Greg. Wydaje mi się, że Greg, ale co za różnica...

- Jak się Greg dogadywał z Lisą? - spytała Petra. Mówiła trochę szybciej i trochę głośniej. Gdyby Schicka tu nie było, podeszłaby bliżej do Ramseya i zmusiła go do kontaktu wzrokowego. Mimo iż prawnik stale jej przeszkadzał, z miny Ramseya wywnioskowała, że pytanie było celne. Aktor - niczym uderzony - odrzucił głowę w tył.

- Greg i Lisa? Świetnie... Wszyscy się świetnie dogadywali.

- Nie było między nimi żadnych niesnasek?

- Nie. Nie mogę uwierzyć, że marnuje pani czas na... To mój najbliższy przyjaciel, pani detektyw. Dorastaliśmy razem. Greg i Lisa pozostawali w doskonałych stosunkach. Do diabła, przecież właśnie Greg przedstawił mnie Lisie!

- Na paradzie? - spytała.

- Tak, ale znał ją już przedtem. Oni... - Ramsey przerwał.

- Co takiego, proszę pana?

- Spotykali się. Nic poważnego, tylko kilka razy. Proszę sobie zbyt wiele nie wyobrażać. Ich romans należał już do przeszłości, gdy zacząłem się spotykać z Lisą. Greg nie miał żalu.

Gdyby miał, czy przedstawiłby nas sobie?

No cóż, rzeczywiście. Rozmaite przypuszczenia przemknęły Petrze przez głowę.

Królowa piękności starała się pewnie za wszelką cenę trafić do przemysłu rozrywkowego. Najpierw wierzyła, że Balch jest hollywoodzką szychą... Może w taki sposób ją poderwał. Zaczęli się spotykać, udawał Bóg wie kogo, lecz dziewczyna przejrzała jego grę i dostrzegła obok niego kogoś, kto rzeczywiście mógł jej pomóc.

Odrzuciła płótkę, by zaprzyjaźnić się z rekinem.

- Wszyscy się dobrze dogadywali - powtórzył Ramsey, ale ciszej, pociągając za wąsik.

Na opalonej twarzy Schicka dostrzegła zdenerwowanie, lecz adwokat nie zareagował. Ron również stał nieruchomo. Petra i Ramsey grali w tej scenie główne role, pozostali dwaj mężczyźni tylko im statystowali.

- No dobrze - powiedziała - dziękuję panu za pomoc... Czy ma pan klucz od domu?

- Proszę - odrzekł Schick, wyjmując kółko z kluczami i wskazując na mosiężnego schlage'a.

Znowu ktoś odpowiada za mienie Ramseya i zajmuje się nim!

Życie gwiazdy, nawet drugorzędnej, łączyło się z powrotem do dzieciństwa.

Petra odciągnęła Rona piętnaście metrów od mężczyzn, pod największy z dębów i kopiąc żółędzie, spytała:

- Przeoczyłam coś?

- Nie zauważyłem. Musimy się dowiedzieć, czy mercedes rzeczywiście trafił do serwisu.

Myślisz, że właśnie to auto było związane z zabójstwem Lisy?

Petra skinęła głową.

- Różne samochody dla różnych zabójstw - mruknął Ron. - Zastanawiające.

- Balch wydaje się mocno podejrzany, nieprawdaż?

- Faktycznie.

- Chcesz zadzwonić do dealerów Mercedesa? - spytała Petra. - Może ktoś ma otwarte po osiemnastej.

- Zadzwonię. - Wyjął z kieszeni telefon komórkowy.

Przyjrzała się Ramseyowi i Schickowi, którzy powoli zmierzali do rolls royce'a. Schick oparł się o przedni zderzak i pieszcząc w rękach fajkę, udzielał swemu klientowi jakiejś porady. Ramsey nie wydawał się specjalnie zainteresowany.

- Lisa - zauważyła Petra - lubiła się kochać w samochodach. Dziwactwo typowe dla Los Angeles.

- Aby użyć do morderstwa Lisy jeepa, trzeba by tu po niego przyjechać - stwierdził Ron. -

Balch i Ramsey wrócili z Reno zaledwie na parę godzin przed uprowadzeniem dziewczyny. Za mało czasu, by jechać do Montecito, więc założył się, że morderca użył mercedesa, lexusa lub innego z pojazdów Ramseya. Jeśli Lisę zabił Balch, korzystając z samochodu swego chlebodawcy obarczył go równocześnie winą. Wiedział, że podejrzenia spadną na aktora. Powinniśmy także sprawdzić lotnisko w Burbank i towarzystwo czarterowe Ramseya. Balch na pewno załatwiał wszelkie loty.

- Sądysz, że uciekł samolotem czarterowym? - spytała Petra.

- Istnieje taka możliwość.

Petra zamyśliła się. Dwóch młodych chłopaków przyjeżdża do Hollywood, ale tylko jeden z nich zdobywa bogactwo. I dziewczynę. Balch wspomniał o dwóch nieudanych małżeństwach. Kolejny powód do rozgoryczenia.

Petra przypomniała sobie uwagi dyrektora finansowego na temat gniewu Lisy. Powiedział, że „atakowała Carta”. Wtedy jego stwierdzenie zaintrygowało Petrę. Dlaczego dobry kolega Greg wskazuje na ewentualny motyw szefa? Teraz zrozumiała.

I jeszcze jedna sprawa: Balch, kompletny niechluj, miał na sobie nowiutkie białe buty do tenisa.

Stare nasiąkły krwią?

- Chcę jeszcze porozmawiać z panem „Mediatorem” - powiedziała. - Dzięki, że chcesz za mnie podzwonić.

- Pamiętasz nazwę towarzystwa czarterowego?

- Westward Charter. Pilot nazywa się Ed Marionfeldt. - Podawała fakty, nie zaglądając do notesu. Wszystkie szczegóły układały się w spójną całość. Powstawała nowa historia. Petra wróciła do Ramseya i Schicka.

Ciągle stali przy rollsie, lecz żaden się nie odzywał. Schick obserwował Ramseya, zaś ten patrzył w ziemię. Kiedy Petra się zbliżyła, podniósł na nią wzrok.

- Panie Ramsey, kiedy wrócił pan znad Tahoe, był pan wyczerpany i poszedł spać wcześniej niż zwykle. Zgadza się?

- Tak, czułem się wykończony. Byliśmy na nogach od wczesnego ranka.

- Greg Balch zawiózł was obu z lotniska Burbank do pańskiego domu.

- Tak. - Wzmianka nazwiska przyjaciela wyraźnie nużyła aktora.

- Potem wspólnie zjedliście kolację w pańskim domu i pan Balch skłonił pana do podpisania jakichś dokumentów... Czy przypomina pan sobie, jakie to były dokumenty?

- Chyba umowa najmu. Posiadam kilka biurów.

Petra zapisała sobie tę informację.

- Dobrze... Przepraszam, że pytam: kto przygotował kolację?

Ramsey uśmiechnął się.

- Jedliśmy kanapki i piliśmy piwo.

- Kto przygotował kanapki?

- Greg.

- Nie Estrella Flores?

- Skończyła dyżur o siódmej, była już w swoim pokoju.

- Co robiła, proszę pana?

- Nie wiem, lecz na pewno była u siebie. Pamiętam, że słyszałem telewizor.

- Gdzie jest pokój służącej?

- W skrzydle dla służby. Niedaleko kuchni.

- W porządku - odparła Petra, dorysowując kilka drobiazgów do karykatury Schicka.

Zmarszczki skupienia na czole, wydęte wargi. - A zatem Balch przygotował kanapki i rozlał piwo.

- Tak. Grolscha, jeśli to ma znaczenie.

„Importowane jasne piwko z barbituratową wkładką” - pomyślała Petra. Balch podsunął Ramseyowi procha?

Jeśli tak, czy dyrektorowi nie zadrzała ręka? Czy nie miał ochoty dorzucić o jedną tabletkę za dużo?

Zemścić się na Ramseyu za te wszystkie lata przyjaźni?

Dziwnej przyjaźni. Jeden z przyjaciół zostaje sławnym aktorem, drugi wegetuje w obskurnym biurze i w średnim wieku wciąż pełni funkcję chłopca na posyłki.

I największa ze wszystkich zadra - Lisa!

Przecież Balch spotkał ją jako pierwszy. I oddał Cartowi. Zawsze na pierwszym miejscu był Cart.

Petra niemal czuła tę wściekłość.

Co skłoniło Balcha, by śledził Lisę owej nocy? Czyżby dziewczyna na nowo nawiązała romans, a później znów go przerwała? A może Balch po prostu uległ własnym fantazjom?

Petra wyobraziła go sobie. Blondyn czekał przed apartamentem Lisy. Obserwował, jak porsche wyjeżdża z podziemnego parkingu. Pojechał za nim.

Jednym z samochodów Carta. Miał dostęp do wszystkich. Do wszystkich zabawek.

Tego wieczoru postanowił się zabawić.

Wziąć to, co do niego należało.

W ten sam sposób, w jaki zajął się Ilse Eggermann?

Ilse. Lisa. Imiona były prawie anagramami.

Podobnie wyglądały. Szalona myśl, lecz nie sposób na to nie wpaść. Ile jeszcze blondynek zabił? Dziewczyn, które przypominały mu Lisę.

Gdzie, do cholery, jest Balch?

A może Petra straszliwie się myliła co do jego udziału w sprawie i podwładny Ramseya zjawi się nagle z doskonałym alibi, idealną wymówką... I rozwiązanie sprawy diabli wezmą. Może rzeczywiście jakiś psychol prześladował Ramseya.

Albo Ramsey prześladował Lisę?

Chłopiec z parku pewnie wiedział. Czy Wilowi udało się go odnaleźć? Postanowiła zadzwonić do niego natychmiast, gdy skończy z Ramseyem.

- Co do piwa - powiedziała. - Piliście butelkowe czy z puszki?

- Butelkowe - odrzekł Ramsey obrażonym tonem. Chyba zadała nietaktowne pytanie.

Puszki otwiera się samemu. Butelki może otworzyć ktoś inny...

- Czy zaraz gdy pan wypił, poczuł się pan jeszcze bardziej zmęczony?

- Nie - stwierdził. - Mówiłem pani, że byłem zmęczony przez cały dzień, to znaczy... alkohol mógł nasilić... ale... - Błękitne oczy rozszerzyły się. - Och, niech pani da spokój, chyba pani żartuje!

- Co do czego, proszę pana?

- Sugeruje pani, że coś było w piwie... Nie, nie. Nie ma mowy, do diabła! Wiedziałbym, gdyby... Nie, nie poczułem się bardziej senny. Po prostu padałem z przepracowania i byłem zmęczony po podróży. Wysiadłem. Obaj padliśmy.

- Jak długo pan spał tej nocy?

Ramsey pogładził wąsa, zwilżył usta językiem.

- Zakończmy w tym momencie rozmowę, pani detektyw - wtrącił Schick.

- Już prawie skończyłam - rzuciła Petra z uśmiechem.

Prawnik nie uśmiechnął się.

- Wstałem około ósmej, ósmej trzydzieści - odparł Ramsey. - Więc spałem jedenaście godzin.

- Czy zwykle pan tyle śpi?

- Nie, zazwyczaj wystarcza mi siedem godzin, tyle że... Och, niech pani da spokój. Wyczułbym coś. Zamroczenie, omamy, ból głowy... To pomysł rodem z filmów o Jamesie Bondzie, pani detektyw. Kręcę filmy. Znam różnicę między fantazją a rzeczywistością.

Z jego wzroku wywnioskowała, że jej nowa kłopotliwa teoria dała mu jednak do myślenia.

Był naprawdę zmieszany czy grał?

„Różnica między fantazją a rzeczywistością”. Petrze przyszło do głowy, że Ramsey sobie z niej drwi.

- Jestem pewna, że ma pan rację. - Obserwowała Rona, który schował telefon do kieszeni i ruszył w jej stronę. Schick przypatrywał się im czujnie.

Przeprosiła i podeszła do Rona. Stanęli w sporej odległości od Ramseya i Schicka.

- Tylko jeden dealer Mercedesa ma jeszcze otwarte - wyjaśnił. - W Sherman Oaks. Nigdy nie obsługiwał samochodów Ramseya. Natomiast w Westward Charter - pełny sukces. Ostatniej nocy Balch próbował odlecieć. Zadzwoił około dwudziestej trzeciej, chciał zamówić jednoosobowy lot do Vegas. Twierdził, że musi lecieć w interesach. Westward nie startuje po dwudziestej drugiej, więc powiedziano mu, by sprawdził loty handlowe. Trzeba obdzwonić linie lotnicze.

- O rany! - mruknęła.

- To było bezmyślne posunięcie - ocenił Ron. - Dziwię się, że próbował skorzystać z czarteru.

- Wystawił rachunek na szefa - zauważyła. Niech płaci!

Dostrzegła, że Ramsey jej się przygląda. Czyżby zasugerowała coś ruchem ciała?

Zignorowała go. Przyjemnie móc zlekceważyć kogoś takiego!

Rozdział 59

Właśnie wyszedłem z łazienki. Pobiegłem tam, gdy tylko przestałem płakać. Miałem nadzieję, że Sama nie będzie już w *szulu*, ale akurat przecierał srebrną puszkę na datki połą marynarki. Oczy miałem już suche, ale czułem się jak w złym śnie.

- Masz kilka godzin, póki nie zaczną się modlitwy wieczorne - powiedział, ciągle pucując srebro.

Usiadłem i zamyśliłem się. Żadne pomysły nie przychodziły mi do głowy. Deptak, wszyscy ci ludzie... Teraz po prostu bałem się wyjść.

Nie wymyśliłem innej kryjówki, więc zgodziłem się pojechać do domu Sama.

- Ale nie za dnia. Nie chcę, żeby ktoś mnie zobaczył.

- To będzie trochę trudne, Billu. Wierni zaczną się zbierać przed zmrokiem. Muszę być tutaj, aby wszystkiego dopilnować.

W końcu postanowiliśmy, że o osiemnastej Sam wróci z kolacją i przemyci mnie do samochodu. Na czas żydowskich modlitw ukryję się na tylnym siedzeniu pod kocami.

- Jak długo się modlicie?

- Około godziny. Później trochę sprzątam. Kiedy wokół będzie pusto, dam ci znać.

- Dzięki.

- Nie dziękuj - stwierdził. - Po prostu uważaj na siebie. - Nagle roześmiał się. - Po co w ogóle ci o tym mówię? Doskonale o siebie dbasz,

Rozdział 60

Gdy Mildred Board zastukała po raz drugi i nie otrzymała odpowiedzi, zmartwiła się.

Słyszała już pół godziny temu, że pani napełnia wannę. Czyżby upadła? A może dostała ataku? Niewykluczone, że lekarze się mylą i pani naprawdę choruje.

Przekręciła gałkę, zawołała: „proszę pani”, po czym weszła do sypialni. Pusta.

A łóżko było posłane!

Nie tak pięknie, jak potrafiła to robić Mildred, ale całkiem przyzwoicie. Najpierw kąpiel, teraz łóżko! Skąd, do diabła, nagle taka samodzielność?

Wczoraj wstała wcześniej niż zwykle. O szóstej rano usłyszała kroki. Zeszła do kuchni, gdzie znalazła panią. Przed nią leżała złożona gazeta, obok filiżanka z... rozpuszczalną herbatą.

- Dobrze się pani czuje? - spytała.

- Świetnie, Mildred. A ty? - Pani uśmiechała się, lecz wyraz jej oczu był... nieobecny.

- Gotowa powitać dzień, proszę pani.

- Doskonale.

Mildred powstrzymała się i nie zmarszczyła czoła. Przygotowała filiżankę prawdziwej English Breakfast i rzuciła okiem na gazetę.

Pani uśmiechnęła się.

- Czytam trochę o ostatnich wydarzeniach.

- To dobrze, proszę pani. Tyle że jest jeszcze dość wcześnie...

- Ostatnio wcześniej wstaję, zauważyłaś? Chyba zmieniły się moje biorytmy.

Później tego samego dnia Mildred dostrzegła panią na patio. Stała z ręką na kamiennej kolumnie, jak gdyby potrzebowała wsparcia. Wpatrywała się w... W co? W zdewastowany

ogród? Raczej nie. Pewnie tylko się zamyśliła. W jej oczach Mildred dostrzegła osobiwą pustkę, a kiedy się przywitała, pani przez długą chwilę skupiała na niej spojrzenie, wychodząc z zadumy.

Dziwne rzeczy się działy!

Mildred przeszła sypialnię i weszła do pierwszej garderoby. Nikogo. Łazienka również była pusta, wanna sucha, ręczniki poskładane.

Długi korytarz prowadził do wielkiej szafy. Stojąc w progu, Mildred ponownie zawołała:

- Proszę pani?

- Tutaj, Mildred. Możesz wejść.

Pospiesznie przeszła wąski korytarz. Tylna szafa była większa niż większość pokoi, ciągnęły się w niej mahoniowe półki, wieszaki i wbudowane szuflady. Ręcznie opisane pudła na kapelusze, dziesiątki butów ustawionych według kolorów. Z drogiej kolekcji *haute couture* pozostała jedynie para wełnianych płaszczy, deszczowiec, pięć kostiumów - czarny, brązowy, beżowy i dwa szare - oraz kilka przypadkowych sukienek i kaszmirowych swetrów; wszystko wisiało w plastikowych pokrowcach na garderobę.

Pani stała przed lustrem, nakładając makijaż, w pełni ubrana. Miała na sobie jeden z szarych kostiumów, liczący sobie trzy dekady strój od Chanel. Założyła także perłowe kolczyki, filigranowe i śliczne. Mildred pamiętała diamenty, którymi on niegdyś obsypywał swoją żonę. Denerwujący mały facet z San Gabriel badał je później pod lupą z drapieżnym uśmiechem.

Kostium od Chanel idealnie leżał na figurce pani. Ale... Jej stopy!

Założyła grube białe skarpety i białe sznurowane tenisówki.

- Pomyślałam, że wyjdę na spacer, Mildred. - Gęste, faliste włosy pani uczesała i spryskała lakierem. Kasztan przetykany siwizną. Makijaż nałożyła z wprawą, z wyjątkiem drobnego niedociągnięcia - w jednym kąciku jej pięknych ust było zbyt dużo szminki. Mildred zapanowała nad chęcią usunięcia nadmiaru, lecz rzuciła pani znaczące spojrzenia. Pani natychmiast zrozumiała aluzję i starła pomadkę.

- Spacer. Rozkoszny pomysł, proszę pani... - Mildred opuściła oczy. Te skarpety!

Pani roześmiała się z zakłopotaniem.

- Wiem, że nie jest to szczyt dobrego smaku, niestety te buty są najwygodniejsze. Zesztywniały mi stawy kolanowe, Mildred. Próbowalam je rozciągnąć, lecz ledwo chodzę. Upłynęło sporo czasu od moich regularnych spacerów, moja droga.

Cofnęła ramiona, wyprostowała plecy i ruszyła korytarzem.

- Niech pani będzie ostrożna. Załedwie dwadzieścia minut temu podlałam sad, a system

odprowadzania wody jest stary, szczególnie w tylnej części parku, przy drzewkach brzoskwiowych, więc teren jest tam błotnisty i śliski. Można by pomyśleć, że chłopak ogrodnika ma wyczucie...

Pani zatrzymała się i położyła wątlą dłoń na ramieniu służącej.

- Nie będę chodzić po posiadłości, moja droga - oświadczyła. - Zamierzam obejść kwartał.

- Och - mruknęła Mildred. - Rozumiem. - Jednak... Wcale nie rozumiała. - Bardzo chętnie pójde z panią...

- Nie, dziękuję ci, moja droga. Muszę trochę pomyśleć.

- Z całym szacunkiem, ale...

- Nic mi się nie stanie, Mildred. - Podbródek pani zaczął się trząść. Znowu wyprostowała ramiona.

Zrobiła kolejny krok. Przystanąła.

- Zawsze czuję się dobrze, nieprawdaż, Mildred?

Rozdział 61

Była 18:57. Kapitan Sepulveda ciągle nie nadjeżdżał, a technicy skończyli już pracę. Słońce wisiało nisko nad horyzontem a dęby skrywały cały teren w głębokim cieniu. Sierżant Grafton wróciła do samochodu. Petra skończyła rozmowę z Ramseyem.

Lawrence Schick z obojętną miną odprowadził swego klienta do rollsa. Ramsey usadowił się w fotelu pasażera i zagapił w otwarte okno. Wyglądał staro.

- Gdybym musiała skontaktować się z panem... - zaczęła Petra.

- Jedziemy na kolację - przerwał jej prawnik. - „Biltmore” w Santa Barbara.

- A po kolacji? - spytała Petra.

Schick przeczesał palcami grzywkę.

- Dzisiejsza noc nie jest odpowiednia na brandy i cygara, pani detektyw, więc prawdopodobnie wrócimy do Los Angeles. Miło mi było panią poznać. Proszę nadal kontaktować się z panem Ramseyem za moim pośrednictwem.

Dwukrotnie poruszył główką fajki w kieszonce, po czym usiadł za kierownicą i uruchomił limuzynę. Auto ruszyło cicho po żwirze.

W kilka minut później przyjechał Sepulveda z nakazami.

- Wszyscy sędziowie grali w golfa - wyjaśnił. Przebrał się w luźny strój. Do koszuli przypiął gwiazdę szeryfa.

Do tej pory rewizji nie rozpoczęto, ponieważ mimo oficjalnej zgody Ramseya, sierżant Grafton nalegała, by poczekać na Sepulvedę.

Wcześniej Petra zadzwoniła do Schoelkopfa, by opowiedzieć mu o próbie ucieczki Balcha do Vegas. Niestety, nie zastała szefa. Sekretarka twierdziła, że wyszedł na kolację, nie podając nazwy lokalu. Wila Fourniera również nie złapała.

Już miała zadzwonić do Stu, kiedy przyjechał Sepulveda. Ron dzwonił do dzieci.

- Skupmy się teraz na domu - oznajmił kapitan, machając nakazami. - Teren sprawdzimy jutro rano. Zabrałem z posterunku techników i specja od odcisków palców z Ventura. Facet często dla nas pracuje, bo uważam, że jest najlepszy. Będziecie w pobliżu?

- Przez jakiś czas - odparła Petra.

- Nie mogę zezwolić na wasz udział w rewizji.

- Możemy poobserwować?

Sepulveda rozważył jej pytanie.

- Może usiądziecie sobie tam. - Wskazał na pochyłą drewnianą ławkę przy pniu największego dębu. „Dość daleko” - oceniła Petra.

- Nie ma sposobu, żebym mogła popatrzeć z bliska, kapitanie?

- Jeśli coś znajdziemy, natychmiast was zawiadomię.

Petra posłała mężczyźnie uśmiech i poszła ku ławce. Twarda jak kamień i zimna. Ron ruszył za nią, ciągle rozmawiając.

- Jestem z ciebie dumny, Bee. Dzięki, że tak grzecznie słuchasz babci. Do zobaczenia. - Rozłączył się i spytał: - Nie możemy wejść?

- Mamy siedzieć na ławce rezerwowych - odburknęła. - Kolejny formalista.

- Ten kraj cierpi na nadmiar jurysdykcji - zauważył. Usiadł obok niej i musnął kciukiem jej palce. - Nie zawsze jest tak źle, prawda? Nigdy nie wiadomo, kogo się pozna w terenie.

Uśmiechnęła się. Nie miała nic przeciwko jego dotykowi, lecz nie była zdolna skupić się na czymkolwiek poza pracą. W myślach powtarzała sobie wszystkie zadania, które miała do wykonania.

Pożyczyła telefon, ponownie spróbowała połączyć się z Wilem. Nadal nikt nie podnosił słuchawki. Schoelkopf natomiast odebrał.

- Ramsey z Schickiem właśnie odjechali - poinformowała go.

- No i?

Zrelacjonowała rozmowę, powiedziała szefowi o telefonie Balcha do Westward Charter.

- No cóż, ten fakt wiele zmienia. Zatem Balch. A wy byliście tacy pewni, że mordercą jest Ramsey! Możesz sobie wyobrazić, jak zgnoiłaby nas prasa? Gdyby tylko pismacy wiedzieli... O mały włos nie wnieśliście oskarżenia przeciwko niewinnemu człowiekowi. Okej, Barbie, póki nie dam pozwolenia, nie ujawniaj żadnych informacji. Zero. Zrozumiałaś?

„To ty, palancie, zawsze informujesz media” - pomyślała ze złością.

- Oczywiście, szefie.

- Mówię poważnie... Bardzo poważnie. Sprawdzę dla was Vegas... Znam tam ludzi. Popytają w hotelach i motelach. Jeśli Balch tam jest, znajdziemy go. Tymczasem zadzwoń do linii lotniczych. I pogoń Fourniera.

- Nie mogę go złapać - jęknęła Petra.

- Widziałem go dziś po południu. Spróbuj w domu. Co się dzieje teraz w Montecito?

- Właśnie zaczęli przeszukiwać dom.

- Uważaj na tych wieśniaków. Morderstwo na Flores z pewnością łączy się z zabójstwem Lisy, więc sprawa jest nasza.

- Chciałam jeszcze spytać, co z synem Estrelli Flores w Salwadorze?

- A co ma być?

- Martwi się o matkę. Obiecałam, że go zawiadomię.

- Na razie masz trzymać wszystko w tajemnicy, jasne? Dzień czy dwa niczego nie zmieni. Kobieta i tak już nie żyje. Jeśli lokalni znajdą w domu jakieś dowody, natychmiast do mnie dzwoń.

Rozłączył się.

Ron milczał.

- Nie narzekaj więcej, że nigdy nie zabieram cię w interesujące miejsca - bąknęła Petra. - Jak tam twoje dziewczynki? W porządku?

- Tak, świetnie.

- Jeśli chcesz wracać, weź auto. Ktoś mnie podrzuci.

- Nie, nie, zostanę. Mamy coś do roboty poza czekaniem?

- Zadzwoń do linii lotniczych. - Zerknęła znacząco na telefon. - Twój rachunek będzie wielki jak dług narodowy.

Roześmiał się.

- Prześlę ci fakturę.

Towarzyszył jej przez cały dzień, trzymając się z boku. Dla kogoś tak doświadczonego rola była z pewnością trudna. A w dodatku Petra stale pożyczala od niego tę cholerną komórkę.

- Jesteś pewien, że Alicji i Bee nic nie będzie?
- Mama zabierze je na pizzę. Potem pójda spać.

Masz cudowną matkę.

- Najlepszą na świecie - przytaknął. - Po śmierci ojca... myślałem, że się załamie. Całe jej życie skupiało się wokół niego. Na początku była bardzo przygnębiona, później jakoś się otrząsnęła, zainteresowała się mini-tenisem, zapisała do dyskusyjnego klubu bibliotecznego, pojechała na kilka wycieczek. Tęskniła za nim... Stanowili wspaniałą parę... No ale teraz czuje się już dobrze.

- Kiedy umarł twój ojciec?
- Dwa lata temu.
- Tak jak mój.

Ron wyciągnął rękę i na chwilę ścisnął delikatnie jej dłoń.

- Matki też nie mam - szepnęła Petra. - Umarła przy moich narodzinach.

Milczał. Bystry facet. Bała się spojrzeć mu w oczy. Nie mogła sobie w tej chwili pozwolić na moment słabości.

Zadzwoniła po raz trzeci do domu Fourniera i wreszcie go złapała - Próbowałem parę razy na numer komórki, który mi podałaś, ale bez rezultatu - wyjaśnił. - Gdzie jesteś?

Opowiedziała mu o wszystkim.

- Nieprawdopodobne - ocenił. - Więc w tej chwili Balch może być dosłownie wszędzie.
- Strasznie głupio postąpił, dzwoniąc do Westward Charter pod własnym nazwiskiem, może zatem nam się poszczęści.

- Jak się dzielimy robotą?
- Dostosuję się do ciebie. Aha, Schoelkopf ogłosił totalną blokadę informacji.
- Szukamy Balcha z urzędu, ale po cichu?
- Dokładnie. Póki stary nie dostanie polecenia z góry.
- Świetnie - mruknął Wil. - A dzieciak? Gdzie jest jego miejsce w tym przypadku?
- Sprawa podrzędna.

Wil prychnął.

- Jasne. Wyobraź sobie, że zdobyłem jego nazwisko. Dzięki ludziom z Watson. Mały nazywa się William Bradley Straight, ma dwanaście lat, mieszkał w przyczepie na parkingu, zniknął parę miesięcy temu. Jeśli widział zabójstwo Lisy, musi być niezłe przerażony. Ale to nie jego jedyny problem. Ktoś zabił mu matkę. Chyba pobicie ze skutkiem śmiertelnym. Mamy podejrzanego, przyjaciela kobiety, motocyklistę nazwiskiem Buell Moran. I zgadnij co jeszcze? Faceta widziano w Hollywood, jak pokazywał portret dzieciaka.

- No nie! - zdenerwowała się Petra. - Te przeklęte dwadzieścia pięć tysięcy!
 - Nawet ja naładowałbym dla takiej kasy akumulatory, a przecież nie mieszkam w przyczepie.
 - Jezu Chryste - szepnęła Petra. William Bradley Straight. Dzieciak z planem przetrwania. Myślał, że ma szansę na tym świecie. Jakież to patetyczne! Co myśmy mu zrobili?!
 - Okej - podsumował Wil. - Podzielmy te linie lotnicze.
- Kiedy się rozłączyła, usłyszała pytanie Rona:
- Co się dzieje?
 - Zmiana planów.

Rozdział 62

Wielkie tomiska „Przewodnika telewizyjnego”. Bez indeksu.

Operacja trwała już godzinę. Stu szalał w poczekalni. W końcu wyszedł ze szpitala, pojechał do filii bibliotecznej w Burbank. Pokazał odznakę, błysnął dobrymi manierami i w końcu przekonał bibliotekarkę, by pozwoliła mu przejrzeć wszystko z ostatniej dekady.

Teraz tkwił z powrotem w szpitalu Świętego Józefa. Czekał wraz z innymi zatroskanymi krewnymi.

Setki streszczeń fabuł „Mediatorów”.

„Dack Price przychodzi z pomocą kobiecie nękanej przez ulicznych oprychów”.

„Dack Price pomaga w wykryciu narkotykowego gangu w lokalnym liceum”.

„Pewna kobieta twierdzi, że jest siostrą Dacka, zagubioną po urodzeniu...”

„Dack Price ratuje reputację szantażowanego politycznego reformatora...”

Te same stare bzdury, w kółko.

Żadnej wzmianki o parkach, zwłaszcza o Griffith Park. Rzadko wspomniano w streszczeniach miejsce akcji, chyba że było wyjątkowo egzotyczne: „Dack Price prowadzi śledztwo w sprawie szeregu morderstw na pokładzie łodzi podwodnej”.

Stu siedział przy łóżku Kathy, pogrążonej w narkozie, i nadal przewracał strony.

Chrapała. Wcześniej Kathy nigdy nie chrapała! Wielki opatrunek na jej piersi wyglądał jak kamizelka kuloodporna. W żyłę wenflon. Płyn kapał, cewnik odsączał, maszyny kreśliły wykresy, regularne pikanie potwierdzało życie jego żony. Stu przez jakiś czas obserwował wykres ciśnienia krwi, aż upewnił się, że jest ono normalne. Przy ostatnim pomiarze

temperatury u Kathy zanotowano lekką gorączkę. Pielęgniarka zapewniła Stu, że podwyższona temperatura jest normalną reakcją organizmu na operację.

Pokój był jednoosobowy. Z widokiem. Załatwił go jego ojciec. Wesołe tapety, tylenol za dziesięć dolarów od rolki. Pielęgniarki wydawały się rozgarnięte i sprawne.

Doktor Drizak odjął Kathy lewą pierś.

Stu zorientował się już po minucie rozmowy z chirurgiem, który wyszedł z zabiegu w zielonym fartuchu. Przez pierwszą minutę głądził o limfie, żyłach, inwazji, węzłach chłonnych, brzegach nacięcia, zachowaniu piersi.

- Czyli - przerwał lekarzowi - dokonał pan mastektomii.

- Cóż, chcieliśmy uratować życie pańskiej żony.

- Udało się?

- Słucham?

- Czy uratował jej pan życie?

Chirurg podrapał się po brodzie.

- Prognozy są doskonałe, panie Bishop. Szczególnie w połączeniu z dalszym leczeniem wspomagającym. Mówię oczywiście o radioterapii. Pańska żona będzie żyć.

Stu podziękował mu i uściśnął rękę. Chirurg westchnął, zadowolony, że nie musi się więcej tłumaczyć, i odszedł.

Utrata piersi przez żonę dla Stu nie miała absolutnie żadnego znaczenia... Lecz jak zareaguje na tę wiadomość Kathy?

Co powiedzieć dzieciom?

Mama była chora, a teraz będzie wracać do zdrowia.

Tyle że... Nie będzie lepiej. Gdy dzieci zauważą uboczne skutki naświetlania, pomyślą, że je okłamał.

Kathy poruszyła się i stęknęła. Stu odłożył tekst, przechylił się przez poręcz łóżka i pocałował żonę lekko w czoło. Nie zareagowała. Dotknął jej ręki. Zimna i bezwładna. Czyżby krew nie docierała do kończyn?

Sprawdził wykresy. Normalne, wszystko było w normie.

Obandażowana klatka piersiowa żony regularnie wznosiła się i opadała.

Była godzina dwudziesta. Zabieg odkładano dwa razy z powodu nagłych wypadków... Kathy wtaczali do sali operacyjnej, potem wytaczali i tak jeszcze dwa razy. Czekala w korytarzu na łóżku na kółkach, a ważniejszych pacjentów przesuwano obok niej.

Kraksa samochodowa i strzelanina.

Stu przyglądał się funkcjonariuszom z Burbank, którzy wchodzili na chirurgię,

towarzysząc technikom medycznym, wtaczającym ofiarę strzelaniny. Młody latynoski dzieciak, szesnaście, siedemnaście lat; blada cera, nieobecny wzrok. Stu wie, że chłopak ma marne szanse na przeżycie. Znał się na tym. Kolejny głupi dzieciak.

Gliniarze nie zauważyli Stu... Był tylko facetem w swetrze, który coś czytał w rogu poczekalni.

Nowicjusze. Strugali ważniaków. Udawali, że wiedzą, co robią.

Żałosne. Nikt tego do końca nie wie. Bóg to komediant.

Wystarczy popatrzeć na Ramseya!

„Miał żonę, a nie potrafił jej zatrzymać”.

Nie ma sposobu, by aresztować aktora za morderstwo na Lisie. Nie z dowodami, które mieli do tej pory. Egzemplarze „Przewodnika telewizyjnego” na nic się zdawały.

Stłumił gorzki śmiech.

„Dack Price zarzyna kobiety. Ani słowa od naszego sponsora”.

Rozdział 63

Rozmawiam z mamą, próbując jej wyjaśnić coś ważnego, ale ona niczego nie rozumie. Nawet mnie nie słucha.

Zaczynam się na nią wściekać, krzyczę. Mama stoi tylko nieruchomo z opuszczonymi ramionami. Ma dziwnie roztargnione spojrzenie. Jak gdybym się zupełnie dla niej nie liczył.

Nagle jej rysy zaczynają się rozplýwać. Z oczu niczym z czerwonych kurków tryska mamie krew. Nadstawia dłonie pod brodą, zbiera w nie krew i bryzga nią sobie po całej twarzy, a potem chlapie garścią na...

Budzę się spocony. Boli mnie głowa, bolą ramiona, żołądek ciąży niczym kamień, nie mogę oddychać.

Leżę w ciemnym pudełku o zimnych, twardych ścianach. Szklanych ścianach. Czuję się uwięziony, jak robak w słoiku - naprawdę nie mogę oddychać! W ścianach pudełka nie ma żadnych otworów. Niezależnie od tego, jak mocno wciągam powietrze, nie dociera ono do moich płuc. Później coś dostrzegam. Szczelinę na wierzchołku jednej ze szklanych ścian. Uchylone okienko.

Okienko w samochodzie.

Jestem w samochodzie Sama. Leżę na tylnym siedzeniu. Prawdopodobnie zasnąłem pod

kocami.

Strasznie źle się czuję w tym małym pomieszczeniu. Mam ochotę stąd uciec, ale boję się chodzić wieczorem po alei. Kto wie, na kogo się natknę? Staram się przynajmniej otworzyć nieco szerzej okno... Nie da rady, jest sterowane elektrycznie. Nie ustępuje pod moim naciskiem.

Mój casio pokazuje 20:19. Żydzi modlą się już od jakiegoś czasu. Kiedy skończą, Sam zabierze mnie do siebie. Prawie nie znam Sama i nie wiem nic o jego domu, nie mam jednak innej kryjówki, szczególnie że wyznaczono za mnie dwadzieścia pięć tysięcy nagrody.

Może powinienem spróbować zdobyć te pieniądze, tak jak sugerował mi Sam... Nie, nie, policja nigdy nie dałaby ich dziecku. Nawet gdybym otrzymał całą tę kwotę, mama i Baran-Moran dowiedzieliby się i zabraliby mi wszystko. Wróciłbym do przyczepy, a oni przećpaliby moje pieniądze.

Mógłbym zadzwonić na policję, nie przedstawiając się. Zawiadomiłbym ich tylko, że widziałem, jak PLYR I dźga Lisę. Nie, nie, nie! Może potrafią wyśledzić mój telefon... Wtedy PLYR dowie się, kim jestem i będzie mnie ścigał.

Kto właściwie mnie widział? Skąd wzięli mój rysopis do tego portretu pamięciowego?

Postanawiam, że będę trzymał buzię na kłódkę. A jeśli ponownie przyśni mi się mama, spróbuję się domyślić, do czego powinienem ją przekonać.

Rozdział 64

Kraina wolności, ojczyzna głupców!

W ciasnym pokoju magazynowym za budą z pamiątkami Władimir Żukanow dopijał właśnie butelkę wódki i zastanawiał się, czy opuszczając Rosję nie postąpił jak dupek.

Tam miał przynajmniej mundur i cel w życiu. Tam zawsze był ktoś, nad kim można było panować. Jeszcze więcej było takich ludzi teraz, gdy nastąpiła drapieżna epoka kapitalizmu. Pojawiły się gangi, a połowa gangsterów to eks-policjanci. Żukanow na pewno znalazłby zajęcie.

W Ameryce nikt go nie szanował. Tu miał tylko te kretyńskie lalki. Durny czarny gliniarz zignorował go, a potem przekazał jego informacje do telewizji. Wstrętny skurwiel!

Anonimowy informator?! To znaczy, że nie zamierzają mu zapłacić.

Fakt ten jednak uświadomił mu pewną rzecz: Żukanow przekonał się, że nie mylił się co

do dzieciaka. Phi! Jak gdyby istniały jakieś wątpliwości! Ten dołeczek w podbródku, dokładnie jak na rysunku. Zadrapania na twarzy typowe dla kogoś, kto ukrywa się w parku. Ojciec Żukanowa opowiadał mu kiedyś historie o lasach, o wojnie. O podrapanych twarzach szmalcowników ścigających Żydków wśród oszronionych gałęzi brzoź. Gołe drzewa, niebo w kolorze stali, mariaż bagnetów i ciał, krwawe plamy na śniegu.

Anonimowy informator. W wiadomościach telewizyjnych zasugerowano tym samym istnienie konkurencji w walce o owe dwadzieścia pięć tysięcy. Jak do tej pory zjawił się tylko jeden rywal, ale wydawał się wystarczająco kłopotliwy. Tłuścioch W strasznie brudnej skórze. Krążył po deptaku i pokazywał wszystkim gazetowy portret dzieciaka.

Ze swojego posterunku za ladą Żukanow obserwował tego tłustego wieprza. Chodził w tę i z powrotem, pocił się, oddychał ciężko z powodu upału. Jego wściekłość rosła z każdą godziną, ponieważ przechodnie jedynie potrząsali głowami i patrzyli na niego obojętnie.

Gdy po raz pierwszy facet podszedł do budy, Żukanow schował się w tylnym pomieszczeniu, gdzie przeliczył całodienne wpływy i zastanowił się, ile procent może wziąć dla siebie. Za drugim razem jednak był na przedzie i liczył lalki, ot tak na wszelki wypadek, by mieć pewność, że nikt z kolei nie oszuka jego!

- Sie masz, facet - zagaił tłusty wieprz i podsunął Żukanowowi szkic przedstawiający chłopca.

Rosjanin przecząco potrząsnął głową - zupełnie nie miał ochoty rozmawiać - lecz facet nie odszedł.

- Stary, nawet się nie przyjrzałeś. - Z gęby cuchnęło mu jak z kanalizacji. Żukanow nic nie powiedział i zdjął z półki lalkę-trolla. - Chcesz coś kupić? - spytał tonem sugerującym, że faceta nie stać nawet na najtańszą z jego zabawek.

Tłuścioch obrzucił go wściekłym spojrzeniem. Żukanow omal nie roześmiał się głośno. Jego rozmówca był potężny, ale mięśnie miał zwiotczałe. W Moskwie Rosjanin nie raz wdeptywał takie rzadkie gówna w chodnik.

W końcu facet się wyniósł. Cóż za imbecyl!

Tym niemniej, Żukanow miał teraz konkurenta. Od tej pory musi mieć się na baczności.

Zapadł już mrok i wszystkie sklepiki pozamykano. Otwarte pozostały jedynie kafejki na północnym końcu Ocean Front. I żydowski kościół kilka domów od budy Rosjanina w kierunku południowym. W synagodze zawodziła grupka starych Żydków. Pewnie spiskowali, bo niby, do diabła, co innego mieliby razem robić.

Żukanow schował do kieszeni procent od utargu. Wódka rozbudziła w nim zmysły. Był głodny, podochocony i z każdą upływającą minutą coraz bardziej wściekły na czarnego

gliniarza i wszystkich innych, którzy zmówili się, by pozbawić go tego, co mu się należało.

Postanowił, że jutro zadzwoni do gazet i opowie prawdę o anonimowym informatorze i o tym, jak głupi gliniarze nie szanują praworządnych obywateli.

Nie, nie, jeszcze nie teraz... Skupiłby w ten sposób jeszcze szerszą uwagę na deptaku. Więcej ludzi, a to oznacza więcej problemów. Da czarnuchowi jeszcze jedną szansę. Jakże on się nazywał, Żukanow miał gdzieś wizytówkę... Nie było jej w kieszeni. Może zostawił ją w tylnym pomieszczeniu.

Wsunął się za zasłonę, poszukał w bałaganie, ale nie znalazł. Dobra, nieistotne, w razie czego popyta na posterunku. Na pewno ktoś będzie znał łysego czarnego detektywa. Porozmawia sobie z nim po męsku, w cztery oczy. Może zaproponuje mu część nagrody. Jeśli będzie to jedyny sposób.

Gdy czarnuch nadal nie zechce z nim współpracować, wtedy Żukanow pójdzie do gazet... Nie, nie, lepiej do telewizji. Skontaktuje się z jedną z tych blondynek, które czytają wiadomości, powie jej prawdę. Może jakiś wielki producent filmowy obejrzy akurat dziennik i powie: „Hej, to świetny pomysł na film”. Arnold Schwarzenegger, rosyjski gliniarz, przyjeżdża do Ameryki, aby pokazać głupim Amerykanom, jak... Czy nie zrobili już takiego filmu? Treść brzmiała znajomo. Nieważne. Gdy temat się spodoba, można zrobić kilka podobnych filmów.

Reklama! Dokładnie tego potrzebował.

Poza pieniędzmi będzie też bohaterem - próbował przecież odnaleźć dzieciaka i rozwikłać zbrodnię, lecz nikt go nie słuchał i...

- Hej, ty - zawołał głos od frontu.

Tłuscioch!

Jak się tu dostał? Nagle Żukanow uświadomił sobie, że zapomniał zaciągnąć żaluzję i zamknąć ją na klucz. Wypił kolejny łyk wódki.

- Hej! Jesteś tam z tyłu, facet?

Głupi dupek! Musi się go pozbyć, a później znaleźć jakąś knajpkę, gdzie się w spokoju naje i napije. Założył kurtkę z napisem „Planet Hollywood” i obmacał przednie kieszenie. Gotówka w prawej, nóż w lewej. Tania tajwańska kosa... Nosił ją ze sobą z budy do samochodu, czasami wraz z dziewiątką, na którą nie miał pozwolenia. Część arsenału z tylnego pomieszczenia: nunczaka, podpiłowany kij baseballowy, poczerńiałe ze starości mosiężne kastety, które odziedziczył po ojcu. Do tej pory używał jedynie kija. Wymachiwał nim, ostrzegając dzieciaki o lepkich łapach... Jednak... nigdy nie wiadomo. Pistolet został w domu. Tandeta. Uwierał go, więc zostawił go na kuchennym stole.

- Hej!

Rosjanin zaryglował tylne drzwi, po czym rozsunął zasłonę. Obleśny drań opierał się łokciami o ladę, drapał tłusty podbródek, pocił się, oczy miał zmęczone i spuchnięte. Olbrzymia sylwetka rysowała się groźnie na tle czarnego plażowego nieba. Przypadkowy turysta mógłby się go wystraszyć, lecz dla Żukanowa facet był jedynie górą tłuszczu.

- Hej, brachu, nie słyszałeś mnie?

Żukanow nie odezwał się.

- Posłuchaj, stary...

- Nie mogę panu pomóc.

- Skąd możesz wiedzieć, człowieku, skoro jeszcze o nic cię nie spytałem.

Żukanow zaczął spuszczać frontową żaluzję. Tłuscioch sięgnął w górę i powstrzymał go.

Rosjanin szarpnął. Tłuscioch zaparł się. Mięśnie miał może zwiotczałe, ale ciężar dawał mu siłę.

- Znikaj stąd, tłusciochu - oświadczył Żukanow.

- Nie pierdol, skurwielu!

Rosjanin aż spurpurowiał z wściekłości. Czuł, jak w żyłach wrze mu krew niczym po hańsacie samogonu. Żyłki na szyi mu napęczniały, ręce zaś bolały od ściskania żaluzji.

- Zmiataj - warknął.

- Pieprzę cię, facet! Mam pytanie, mógłbyś, kurwa, przynajmniej się wysilić i odpowiedzieć.

Żukanow nie zareagował.

- Żadna wielka sprawa, brachu - nalegał tłuscioch. - Może widziałeś tego dzieciaka, odkąd się tu zjawiłem. Powiedz: „Nie widziałem” i świetnie, pójdę sobie. Ale po co mnie wkurzasz?

Żaluzja nie ustąpiła. Opór tłusciocha rozjuszył Rosjanina.

- Odejdź - powiedział bardzo cicho.

Tłuscioch pchnął żaluzję, która podskoczyła. Zachęcał Żukanowa, by spróbował ją opuścić. Zbir, przyzwyczajony narzucać wszystkim swoje zdanie.

Rosjanin pozostał w miejscu, pociągając nosem. Nie tylko oddech mężczyzny śmierdział, cały tłuscioch wręcz cuchnął. Chodząca kupa gówna.

- Widziałeś go czy nie?

- Zjeżdżaj, dupku.

Teraz tłuscioch się zaczerwienił. Szeroko otworzył świńskie oczka; w kącikach jego ust pojawiła się ślina. Żukanow uspokoił się. Sytuacja zaczęła go bawić. Roześmiał się cierpko i

oświadczył łagodnym tonem:

- Głupi, tłusty kawał gówna.

Tłuścioch wydał z siebie głęboki, grzmiący, podobny do pierdnięcia dźwięk i Żukanow czekał na następną zniewagę, gotów natychmiast się odgryźć i znowu roześmiać w twarz draniowi.

Tłuścioch jednak się nie odezwał, tylko rzucił się na niego i to z szybkością, o jaką Rosjanin go nie podejrzewał; jedna ogromna dłoń wystrzeliła, chwyciła go za gardło i cisnęła o ladę z takim impetem, że Żukanow poczuł chrzęst połamanych żeber. Ból niemal go oślepił i Rosjanin zamachał bezradnie rękoma.

Drugą dłoń tłusciuch zacisnął w pięść i potężnie grzmotnął go w twarz.

Żukanow zdołał się uchylić przed ciosem, lecz wielkie paluchy nadal ścisnęły go za szyję i czuł, jak uchodzi z niego całe powietrze. Tłuścioch warczał i przeklinał. Na opustoszałym deptaku Ocean Front panował mrok, słychać było tylko szum fal. W pobliżu nie było nikogo, nikt nie widział, jak tłusty potwór miażdży mu krtań... Jedyne Żydki parę metrów od nich śpiewali swoje pieśni o zabijaniu Chrystusa. I tak by mu nie pomogli.

Spróbował zderzyć duszącą go rękę, lecz dłonie miał śliskie od potu i strasznie słabe. A ponieważ ramię tłusciucha również było wilgotne, nie mógł go odpowiednio chwycić. Palce ślizgały mu się, ręce młóciły w panice, gdy nagle w błysku światła zobaczył przed oczyma rozwścieczoną twarz tłusciucha i zbliżająca się pięść.

Odruchowo szarpnął głową, ratując twarz. Niestety cios trafił go w skroń. Był tak silny, że go zamroczył. Rękoma Rosjanin ciągle bezradnie machał na boki. Nie pamiętał o nożu aż do chwili, gdy prawie stracił przytomność.

Potem wreszcie sobie przypomniał - kieszeń, przednia kieszeń; sięgnął szybko lewą ręką, tak jak się nauczył na kursach walki wręcz. Tłuścioch potrząsał jego szyją coraz mocniej, a ponieważ na obliczu Rosjanina rosły ból i przerażenie, nie zauważył, że sięga on do kieszeni.

Przeszukał kieszeń, znalazł nóż, ale chwycił go zbyt nisko. Zimny metal przeciął mu skórę, lecz mężczyzna wytrwale przesuwając palcami, aż w końcu dotknął ciepłego drewna.

Szarpnął w górę. Pchnął ostrze. Nie miał siły, nie wyszło mu więc nawet pchnięcie... Zaledwie słabe kobiece szturchnięcie i...

Najwyraźniej chybił, gdyż tłusciuch nadal go dusił i przeklinał... Nagle zagulgotał. Już nim nie trząsał.

Drań nie wydawał już dźwięków.

Na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie. Wydęte usta ułożyły się w małe „O”.

Jak gdyby mówił; „Och”.

Gdzie był nóż?

Nagle ręka trzymająca Rosjanina za szyję poluźniła uchwyt. Powietrze wtargnęło do tchawicy i Żukanow poczuł torsję; dusił się. Wreszcie zdał sobie sprawę, że może już normalnie oddychać, choć gardło miał straszliwie spuchnięte.

Tłuścioch już z nim nie walczył. Leżał teraz na ladzie, ramiona zwisały mu na boki.

Gdzie był nóż?

Nie dostrzegł go nigdzie w zasięgu wzroku. Musi go znaleźć. Przeklął wódkę, która spowalniała jego reakcje.

Wtedy zauważył powolny czerwony wyciek spod ramienia tłuściocha. Nie przeciął tętnicy, bowiem krew nie tryskała, lecz ciekła. Jak fale oceanu podczas letniej bryzy.

Szarpnął tłuściocha za włosy i podniósł jego ciężką głowę.

Nóż nadal tkwił w szyi mężczyzny, przechylał się w dół obok jabłka Adama. Ukośne cięcie przechodziło przez żyłę szyjną, tchawicę, przetyk. Z rany ciekła krew.

Żukanow poczuł paniczny strach. A jeśli ktoś widział całe zajście?! Świadek... taki jak dzieciak w Griffith Park, jakiś obserwator, który myśli, że chroni go ciemność...

Na szczęście wokół nie było nikogo. Tylko tłuścioch, martwa sterta gówna, i Żukanow trzymający go za głowę.

Myśliwy i jego trofeum! Po raz pierwszy od dawna czuł się wielkim, silnym syberyjskim wilkiem.

Problem tkwił jedynie w rozmiarach i wadze trupa, którego musiał przenieść do auta.

Puścił głowę, która trzasnęła o kontuar, wyłączył światła w budzie, sprawdził rozcięcie na dłoni - znalazł tylko niewielkie draśnięcie - przeskoczył ladę i rozejrzał się po deptaku, ot tak, dla pewności.

Witraż w żydowskim kościele lśnił w mroku wieloma kolorami. Stare Żydki wciąż przebywały w świątyni. Póki co, droga wolna.

Wyjął nóż, wytarł go chusteczką, potem ściągnął zwłoki na podłogę. Starł krew z lady, wepchnął chusteczkę w ranę na szyi. Musiał ją zwinąć w zwartą kulkę, ponieważ rana miała tylko kilka centymetrów szerokości.

Małe cięcie, lecz skuteczne. Ostrze było niewielkie i Żukanowowi pomógł kąt, pod jakim tłuścioch pochylił się do przodu, ściskając go za gardło. Dzięki temu zabiło go lekkie, wręcz kobiece pchnięcie; gdy wielkie cielsko opadało, pod wpływem ciężaru mężczyzny nóż zsunął się w dół po gardle, przecinając drogi oddechowe.

Rosjanin sprawdził, czy zrobiony z chustki czop tkwi odpowiednio mocno w ranie, westchnął głęboko i przygotował się na najtrudniejsze zadanie. Matko Boska, ależ bolała go

szyja! Czuł, jak zaczynała puchnąć przy wycięciu podkoszulka, więc rozpruł nieco materiału. Oddychało mu się jakby łatwiej, lecz nadal odnosił wrażenie, że tłuszczoch go dusi.

Ponownie rozejrzał się po deptaku. Było ciemno, cicho. Żydki jeszcze nie wychodziły.

W porządku.

Chwycił stopy tłuszczocha i zaczął ciągnąć zwłoki.

Przeklęty trup drgnął zaledwie o centymetr, Żukanow zaś poczuł straszliwy ból w dolnej części pleców.

Jakby ciągnął słonia! Zgiął kolana i spróbował ponownie. Kręgi znowu zabolaty ostrzegawczo, jednak dalej szarpał. Czy miał inne wyjście?

Minęło mnóstwo czasu, zanim odciągnął drania w miejsce niewidoczne z deptaku. Spocił się, brakowało mu oddechu i każdy mięsień jego ciała płonął.

Nagle usłyszał głosy. Żydki wychodziły ze swojego, kościoła.

Szarpnął zwłoki, pociągnął, zasapał się, ponownie szarpnął, pociągnął, odetchnął. Szaleńczo starał się odsunąć trupa jak najdalej od deptaku. Czy wytarł całą krew z lady?

Popędził w tył, znalazł kilka plam, użył koszuli do ich wytarcia, wyłączył światła i z trzaskiem opuścił zaluzję.

Słyszał coraz głośniejszą paplaninę starców.

Zaciągnął zwłoki prawie za budę. Przerwał, gdy stracił oddech. Ponownie zgiął kolana i ruszył dalej.

Szarpnął, pociągnął, odetchnął.

Gdy dotarł do alei, słyszał już tylko szum oceanu. Żadnych ludzkich głosów. Wszystkie Żydki poszły do domu.

Przeciągnął zwłoki obok skrzyń na śmieci należących do budy. Ponieważ szef poskapił na porządne kosze, ich rolę pełniły dwie drewniane skrzynki, które jakieś meksy opróżniały co tydzień za dziesięć dolców.

Okej... Co teraz?

Musi zostawić trupa w ciemnościach, sprowadzić samochód, załadować drania do auta i wywieźć go gdzieś, gdzie go porzuci. Jak nazywało się miejsce, które wybierali faceci z Zachodniego Hollywood? Angeles Crest Forest. Żukanow mniej więcej wiedział, gdzie to jest. Trafi tam.

Kolejny las. Gdyby ojciec mógł go teraz zobaczyć.

Dawid wykończył Goliata i wkrótce Goliat będzie gnił w byle wąwozie.

Nie, nie, najpierw Żukanow powinien po raz trzeci sprawdzić plamy krwi... W budzie i przed nią, wzdłuż ściany. Tam, gdzie ciągnął ciało tłustego wieprza.

Podjedzie samochodem, załaduje zwłoki, zostawi je w aucie i sprawdzi budę. Musiał jeszcze wyrzucić nóż i ubrania, które miał na sobie. Nunczaka i kij do baseballa także? Nie. Nie ma powodu do paniki. Dlaczego ktoś miałby go łączyć z tym tłustym draniem, nawet jeśli znajdą ciało?

Trzeba się pozbyć tylko krwi, noża i ubrania.

Całą sprawę należy zakończyć przed wschodem słońca.

Zwłoki pobrudzą mu bagażnik, będzie go musiał wyczyścić. Przemyślał jeszcze raz cały plan i zdecydował, że jest dobry.

Przeciągnął się, dotknął palcem obolałego, gorącego obrzęku na szyi. Spokojnie, spokojnie, już po wszystkim. Skąd się w ogóle ten skurwiel wziął? Mniejsza o to.

Żukanow podziękował mu w milczeniu. Nie czuł się tak wspaniale od czasu, gdy opuścił Moskwę.

Okej, czas pójść po samochód. Zrobił trzy kroki, kiedy jego oczy poraziło światło.

Tylne drzwi do synagogi otworzyły się... Ciągłe ktoś tam był!

Przycisnął się do jednego z drewnianych koszy, potknął się o nogi trupa i nieomal padł na plecy.

Zmusił się, by nie zakląć głośno, odetchnął przez nos i obserwował starego Żydka wychodzącego z synagogi. Widział go wyraźnie, starzec był bowiem oświetlony przez padające z wnętrza światło. Niewysoki, przysadzisty, w dziwnym kapeluszu.

Żydek włożył rękę do środka i wróciła błogosławiona ciemność. Jednak tylko na sekundę, ponieważ teraz facet otwierał drzwiczki samochodu.

Nie drzwi kierowcy, lecz tylne lewe drzwiczki. Ktoś na tylnym siedzeniu usiadł. Wysiadł. Przeciągnął się. Dokładnie tak samo jak Żukanow przed chwilą. Żydek przemówił do tamtego.

Tamten był niższy od Żydka... Dzieciak.

Ukrywał się w samochodzie... To na pewno był ten sam chłopak. Po co ktoś inny miałby się ukrywać?

Wzrost pasował... Zresztą... Któż inny mógłby to być?

Dzieciak wrócił na tylne siedzenie, położył się płasko, zniknął Rosjaninowi z pola widzenia.

Zatem był tu przez cały czas. Ukrywał go Żydek... Logiczne. Za dwadzieścia pięć tysięcy każdy z nich odda własne gacie.

„Zajmiemy się tą sprawą, towarzyszu!”

Samochód Żydka zastartował. Zapaliły się reflektory. Trzymając się cienia, Żukanow

pobiegł ku autu. Żydek zaczął cofać. Żukanow zdążył odczytać tablicę rejestracyjną.

Sekwencja liter i cyfr. Rosjanin wyrecytował bezgłośnie magiczną formułę.

Początkowo jego mózg odmówił współpracy.

Na szczęście stary Żydek pomógł mu, ponieważ potrzebował sporo czasu, by wycofać samochód i skręcić. Zanim odjechał, Żukanow doskonale zapamiętał całą kombinację.

Nie miał czasu, by ruszyć w pogoń za starym gratem. Zapisał numer. Jutro zadzwoni do Departamentu Pojazdów Mechanicznych. Jego pracownikom właściwie nie wolno było podawać adresów właścicieli samochodów, lecz Żukanow znał urzędniczkę w filii hollywoodzkiej, przemądrzałą wesz z Odessy, która za pięćdziesiąt dolców poda mu wszelkie dane.

Biorąc pod uwagę nagrodę, będzie to doskonała inwestycja.

Rozdział 65

Do dwudziestej drugiej rewizja domu w Montecito nie przyniosła jeszcze żadnych rezultatów.

- Budynek jest niemal zupełnie pusty - wyjaśnił Petrze Sepulveda. - Parę mebli w salonie i jednej sypialni. W pozostałych pokojach zupełnie nic.

- Sprawdziliście tajne przejścia? - spytała, tylko w połowie żartując.

Sepulveda patrzył na nią przez chwilę w milczeniu.

- Dam pani znać, jeśli pojawi się Upiór z Opery.

Wróciła z Ronem do Los Angeles. Petra nabijała Ronowi rachunek, dzwoniąc z jego telefonu komórkowego do dyspozytorów linii lotniczych. Na niektórych robił wrażenie jej policyjny stopień, inni pozostawali nieufni. Nie znalazła nic, żadnego lotu na nazwisko Balcha. O 21:50 zadzwonił do niej Wil i powiadomił ją, że również nie zdołał się niczego dowiedzieć. Powinni nadrobić robotę papierkową i wypełnić odpowiednie formularze. Petra czuła się wyczerpana i była wściekła na Schoelkopfa, że zabronił jej ujawniać informacje o dyrektorze finansowym Ramseya.

O dzieciaku natychmiast powiadomił opinię publiczną, sprawy Balcha zaś wyraźnie się przestraszył.

Petra pożałowała się Ronowi. Rozmawiali o tym aż do Oxnard, choć doskonale wiedzieli, że policjanci zawsze przeklinają swoich szefów. Kiedy dojechali do Camarillo, Ron zamilkł i po

chwili oczy mu się zamknęły.

Obudził się, gdy Petra zatrzymała samochód przed jego domem.

- Wstań i idź - mruknęła wesoło.

Uśmiechnął się oszołomiony, przeprosił, po czym pochylił się i pocałował ją.

Przysunęła się bliżej. Ron położył jej rękę na karku i lekko przyciągnął do siebie. Drugą szukał piersi Petry. Zauważyła, że kiedy jest zmęczony, zachowuje się mniej nerwowo.

Przytulił Petrę delikatnie i zaczął cofać dłoń. Przytrzymała ją. Następny pocałunek trwał długo. Ron przerwał go. Nagle wyglądał na mocno rozbudzonego.

- Dziwna ta nasza pierwsza randka - rzuciła.

- Druga. Byliśmy już przecież na kolacji.

- To prawda. - Zdała sobie sprawę, że nie uważa poprzedniego spotkania za randkę. Wtedy po prostu się zapoznali.

- No cóż, masz bardzo dużo pracy - powiedział. - Nie zatrzymuję cię.

Zainicjowała trzeci pocałunek. Ron nie próbował jej dotykać. Obie ręce trzymał przy sobie. Potem musnął jej podbródek. Petra nie lubiła się całować z Nickiem; był zbyt napastliwy. Ron wręcz przeciwnie. Przesunęła językiem po jego ustach i mężczyzna wydał cichy, barytonowy pomruk zadowolenia.

- O rany! - szepnął. - Naprawdę chcę się z tobą znowu zobaczyć... Chociaż wiem, że to nie jest dobra pora na myślenie o randkach.

- Zadzwoń - powiedziała. - Jeśli powiem, że jestem zajęta, będzie to prawda.

Pocałował ją w czubek brody.

- Jesteś bardzo piękna. Gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy... - Potrząsnął głową, wysiadł, poszukał w kieszeni kluczy, znalazł i pomachał jej.

- Poczekaj - zawołała, kiedy odwrócił się i zaczął odchodzić ku frontowym drzwiom domu.

Zatrzymał się.

- Twój telefon.

Roześmiał się, wrócił i podniósł aparat z siedzenia kierowcy.

- Dopilnuj, żeby przysłali mi rachunek - dodała. - Będzie ogromny.

- Jasne - odparł, po czym pocałował ją na pożegnanie.

*

Kiedy wróciła na autostradę numer 101, oczy jej się zamykały i z trudem walczyła z sennością. Wyczerpanie mimo tak dużego podniecenia oznaczało, że Petra ponad wszystko

potrzebuje obecnie snu. Postanowiła pojechać do domu: wypije kawę, następną godzinę spędzi przy telefonie, potem pójdzie spać.

W mieszkaniu znalazła się o 23:23. Jedna wiadomość na sekretarce. Nie odsłuchiwała jej, najpierw przebrała się we flanelową nocną koszulę i zaparzyła sobie bardzo mocną kawę. Przypomniała sobie, że nie zadzwoniła jeszcze do Stu. Teraz było już zbyt późno. Petra poczuła się podle. Czy Stu zapamięta, że zapomniała o nim w trudnej chwili?

Wiadomość była właśnie od niego. Dzwonił o 23:09 i prosił aby oddzwoniła przed północą. Telefonistka w szpitalu Świętego Józefa początkowo nie chciała jej połączyć, w końcu jednak dała się przekonać.

- Petra? - usłyszała głos partnera.

- Przepraszam, że nie zadzwoniłam wcześniej. Jak się miewa Kathy?

- Dobrze - odparł. - Teraz odpoczywa. - Gdyby go nie znała, powiedziałaaby, że jest spokojny.

- Wszystko poszło gładko?

- Bardzo gładko... Zrobili jej mastektomię. Cała pierś. Chirurg twierdzi, że Kathy całkowicie wyzdrowieje.

- To dobrze.

- Przejrzałem cztery roczniki „Przewodnika telewizyjnego”...

- Nie przejmuj się tym, Stu. Mogę ci jakoś pomóc?

- Dzięki, ale nic nam nie potrzeba - rzucił.

- Jesteś pewien? Może dzieci czegoś potrzebują?

- Tylko swojej mamy - odrzekł zmienionym głosem. - Przeżyją to, Petro. Wszyscy sobie poradzimy.

- Wiem, że tak.

„Mój Boże - pomyślała. - Cała pierś...”

- A ty - odezwał się Stu - jak spędziłeś dzień?

Pomińmy kwestię zabójstwa, pani Lincoln. A jak podobała się pani sztuka?

Trzymał ją na dystans. Raz płakał w jej ramionach i prawdopodobnie przyrzekł sobie, że nigdy więcej już się nie rozklei.

- Faktycznie, Stu, sporo się wyjaśniło. - Opowiedziała mu o Estrelli Flores, o poplamionym krwią lexusie, o próbie czarterowej ucieczki Balcha. Wreszcie o chłopcu nazwiskiem William Bradley Straight, zidentyfikowanym, choć jeszcze nie odnalezionym, osieroconym przez matkę.

- Biedna dziewczyno! - powiedział. - Zostawiam cię samą na jeden dzień i nie mogę ci

pomóc w takich kłopotach.

Właściwie, Stu od początku niewiele miał wspólnego ze sprawą Lisy Ramsey. Miał teraz na głowie większe problemy. Chciała mu powiedzieć, że nic nie szkodzi, lecz nie byłaby szczera.

- Balch - podjął. - Pasuje na mordercę?
- Równie dobrze jak Ramsey.

Stu nie ciągnął tego tematu. Był już weteranem. Może to Petra powinna się bardziej skupić.

- Zatem tropimy Balcha - odezwała się.
- Masz pomysł, gdzie można go znaleźć?

- Założę się, że jest już w innym stanie albo opuścił kraj. W dodatku Schoelkopf zakazał rozgłaszać nasze podejrzenia. Nieomal aresztowaliśmy niewinnego Ramseya, więc szef ma pewnie niezłego stracha. Czyste wariactwo, nie sądzisz? O małym Billym natychmiast powiadomił wszystkie możliwe media, ale sprawy Balcha zaś nie wolno nam podać do publicznej wiadomości. Jeśli naprawdę jest mordercą, dajemy mu w ten sposób niesłychane fory. Ach, jeszcze jedna kwestia: Karlheinz Lauch zmarł rok temu, choć podobieństwa między Lisą i Eggermann nadal mnie zastanawiają. Eggermann porwano w Redondo, ciało porzucono w Marinie. Balch mieszka całkiem niedaleko od tego miejsca - na wybrzeżu w Rolling Hills Estates.

- Seryjny zabójca?

- Niewykluczone. Może dotknęliśmy jedynie czubka góry lodowej? Czy nie byłoby to niesamowite?

Milczenie.

- Podwładny, który zazdrości szefowi sławy i chce dominować... Psychopata?
- Możliwe.

- Poczekaj chwileczkę - rzucił i Petra usłyszała, że Stu z kimś rozmawia. - Nocna pielęgniarka. Okej, jak mogę ci pomóc?

- Teraz? Daj spokój, po prostu czuwaj przy Kathy...

- Kathy śpi - przerwał jej ostro. - Chcę dzisiejszej nocy trochę popracować, Petro. Jakie linie lotnicze sprawdziłaś?

- Wil i ja podzieliliśmy je między siebie. W niektórych niczego nie załatwiliśmy. Zażyczyli sobie nakazu. Sądziłam, że...

- A linie międzynarodowe? - spytał. - Czy Balch ma paszport?
- Nie wiem...

- Kontaktowałem się już ze służbami celnymi w sprawie Eggermann. Obdzwonię więc linie międzynarodowe... I krajowych przewoźników, do których nie dotarłaś. Słyszę, że jesteś wyczerpana, prześpij się trochę. Porozmawiamy rano.

Rozdział 66

Niech myślą, że odleciał do Vegas.

Niech myślą, że mają do czynienia z idiotą.

Dzięki temu zyska trochę czasu na doprowadzenie sprawy do końca.

Lubił dokładność. Chociaż nie miał aż takiej obsesji na punkcie porządku jak Lisa, która zawsze musiała mieć wszystko perfekcyjnie poukładane. Nawet drobne odstępstwa od normalności straszliwie ją drażniły. Ten cięty języczek...

Lisa nienawidziła niespodzianek. Dlatego właśnie zrobił jej niespodziankę.

Tamtej Niemce też. I tej głupiej małej Sally.

Została jeszcze jedna niespodzianka. Tępi gliniarze ułatwili mu nieco sprawę, przekazując mediom wiadomość o „anonimowym obserwatorze”. Plaża w Venice. Deptak Ocean Front. Czy dzieciak nadal tam był? Może. Czasami sypiali tam mali uciekinierzy.

Jak daleko może uciec uliczne dziecko? Jeśli smarkacz ukryje się głęboko, czy uda się go odnaleźć?

A może powinien zapomnieć o dzieciaku? Może zareagował zbyt nerwowo? Miał obsesję na punkcie chłopca? Czasami popadał w dziwne stany. Na przykład martwił się o nie wykwitły jeszcze pryszcz, przerażała go perspektywa zakażenia i jątrzenia się wrzodu, bał się, że będzie musiał przebić go sam, posmarować neosporinem i żyć z bólem. Nikt nie znał go z tej strony.

Może dzieciaka w ogóle nie było wtedy w parku. Gdyby wówczas coś widział, czy nie zgłosiłby się? Czy nie próbowałby odebrać nagrody?

No tak, lecz trudno założyć, że chłopiec czytał gazety, oglądał telewizję, wiedział, co się dzieje na świecie. Niektóre z tych dzieciaków były tak zaćpane lub niedorozwinięte, że nie miały o niczym pojęcia.

Co powinien zrobić z tym potencjalnym świadkiem? Zapomnieć? I żyć z tą niepewnością?

Zastanawiał się przez długi czas. Sprawa nie dawała mu spokoju. Może lepiej nie

ryzykować?

Trzeba przynajmniej jakoś zweryfikować trop chłopca. Rozmyślał przez długi czas, jak tego dokonać, nie pakując się przy tym w tarapaty, aż ostatecznie wymyślił plan.

Idealny! I nieco ironiczny. Okpienie policji stanowiło nie lada wyzwanie.

Skąd czerpał motywację?

Z chęci przetrwania.

Rozdział 67

Dom składa się z salonu, kuchni, dwóch sypialni połączonych łazienką. Mam prawdziwe łóżko. Pościele wyglądały na nowe. Sam spał w drugim pokoju i słyszałem przez ścianę jego chrapanie.

Budynek stoi kilka przecznic od *szulu*, przy alei, którą Sam nazywa deptakiem. Zamiast jezdni jest tam chodnik, mniej więcej dwa razy szerszy niż zwykły.

- Powinniśmy iść piechotą - mówił Sam, podjeżdżając pod dom. - Jednak w nocy kręci się tu zbyt wielu świrów. - Zaparkował w alejce za budynkiem.

Na drzwiach frontowych i kuchennych dostrzegłem włączniki alarmu. Odwróciłem wzrok, gdy Sam wystukiwał kod; nie chciałem, żeby mnie podejrzewał o złe zamiary.

- Nie wiem jak ty, ale ja chętnie poszedłbym już spać - oświadczył i pokazał mi mój pokój. Na łóżku leżała nowa szczoteczka do zębów, pasta i plastikowy kubek. - Nie mam pidżamy, Bill. Nie znałem twojego rozmiaru. - Wydawał się zakłopotany. Stał w progu, nie wchodził.

- Dzięki - powiedziałem. - Jest świetnie. Naprawdę.

Zastukał zębami, jakby poluźniła mu się sztuczna szczęka.

- Słuchaj, chcę ci powiedzieć, że zazwyczaj nie miewam gości... Nigdy dotąd...

Nie wiedziałem, jak zareagować.

- Uwierz mi, Billu, że absolutnie nie musisz się mnie obawiać... Obawiać się, że coś się zdarzy... Lubię kobiety. Pomieszkaaj tu parę dni, a sam zrozumiesz.

- Wierzę ci - odparłem bez zastanowienia.

- Okej... Teraz lepiej się prześpij.

Sypialnia pomalowana jest na jasnozielono. Są w niej stare ciemne meble, szary dywan, a na ścianach wiszą krzywo dwa obrazki. Jeden jest czarno-białą fotografią - kobieta na niej

nosi koński ogon, facet zaś długą czarną brodę. Drugi to widoczek z drzewami, który wygląda na wycięty z czasopisma.

W pokoju unosi się charakterystyczny dla starych ludzi zapach i panuje gorąco.

Myję zęby i patrzę w lustro. Zadrapania na mojej twarzy goją się, lecz klatka piersiowa wciąż mnie boli, oczy mam przekrwione, włosy tłuste.

Rozbieram się do majtek, wsuwam pod kołdrę i zamykam oczy. W całym domu panuje cisza, potem jednak z pokoju Sama dociera do mnie muzyka. Dźwięk instrumentu przypomina gitarę, choć tony są nieco wyższe. Chyba mandolina. Grał na niej ktoś z ludowego zespołu w „Sunnyside”.

Sam słucha tej samej piosenki wiele razy. Jest jakaś smutna i brzmi staroświecko.

Po pewnym czasie muzyka cichnie i dobiega mnie chrapanie. Myślę o mamie. Wreszcie zasypiam.

*

Jest sobota. Budzę się przed Samem i wchodzę do salonu. W pokoju panuje mrok, ponieważ zasłony są zaciągnięte. Odsuwam je. Za oknem dostrzegam parę metalowych krzeseł na frontowym ganku, dalej niską ścianę i domy po drugiej stronie deptaku. Niebo robi się błękitne; w górze krążą mewy. Niesamowite, ale przysięgłbym, że przez szybę wyczuwam sól w powietrzu.

W salonie jest więcej książek niż w którymkolwiek z miejsc, w których dotychczas byłem... Oczywiście poza biblioteką. Trzy ściany po sam sufit zajmują półki zapchane tomami, po podłodze wręcz trudno przejść z powodu stosów czasopism. W jednym rogu stoi tapczan przykryty dzianą narzutą, obok telewizor i sprzęt muzyczny. Na adapterze leży stary singiel faceta nazwiskiem Smetana.

Siadam na tapczanie, z którego wznosi się chmura kurzu. Nie odczuwam porannego bólu żołądka! Nigdy w życiu nie spałem tak dobrze. Postanawiam podziękować Samowi, przygotowując dla niego śniadanie.

W chlebaku na kuchennej ladzie znajduję bochenek pszennego chleba; kroję cztery kromki. Jest ekspres do kawy, lecz nie potrafię go obsłużyć, toteż nalewam tylko mleka i soku pomarańczowego do szklanek, które stawiam na stole, razem z papierowymi serwetkami, widelcami, łyżeczkami, nożami. W lodówce są owoce i warzywa, masło, kwaśna śmietana, jajka i duży słoik czegoś srebrzystego, co wygląda jak próbka z naukowego laboratorium. Ach tak, to marynowane śledzie. Wyjmuję jajka. Mam nadzieję, że Sam lubi jajecznicę.

Jajka się smażą, kiedy słyszę kaszel Sama. Po chwili wchodzi ubrany w jasnoniebieski

szlafrok, przeciera oczy i wpycha sztuczną szczękę.

- Zdawało mi się, że coś słyszę... Co pichcisz?

- Jajecznice. Może być?

Odwraca się do mnie plecami, zasłania usta dłonią i znowu kaszle.

- Wybacz mi. Tak, jajecznica to świetny pomysł. Zwykle nie gotuję w sobotę... Mam szabas. Nie jestem aż taki religijny, ale zwykle nie gotuję. Pewnie dlatego, że moja matka też nigdy nie gotowała w soboty.

- Przepraszam...

- Nie, nie, świetnie, nie bierz tego do siebie. - Podchodzi bliżej, zagląda w patelnię. - Ładnie pachnie. Chętnie zjem coś ciepłego... Umiesz zrobić kawę?

- Nie.

Wyjaśnia zasady działania ekspresu i wychodzi. Kiedy wraca - ubrany w jasnobrązowy garnitur i białą koszulę z wywinętym kołnierzykiem, uczesany i ogolony - kawa już czeka. Jajka są już trochę zimne.

- No to jedzmy - mówi. Rozwija serwetkę i kładzie ją sobie na kolanach. - *Bon appétit*. To znaczy „smacznego”. Po francusku. - Próbuje jajecznice. - Bardzo dobra. To miło z twojej strony, że zrobiłeś śniadanie, Billu. Może jednak młode pokolenie nie jest jeszcze stracone.

Zjada swoją porcję, wypija dwa kubki kawy i głęboko wzdycha.

- Okej, plan mam taki: jadę do *szulu* na sobotnie nabożeństwo. Powinienem wrócić około jedenastej, jedenastej trzydzieści, najpóźniej w południe. Jeśli chcesz wyjść z, domu, wyłączę alarm.

- Nie, zostanę w środku.

- Jesteś pewien?

- Tak. - Nagle coś ściska mnie za gardło. - Poczytam - szepczę.

- Co poczytasz?

- Masz sporo książek.

Rozgląda się po salonie.

- Lubisz czytać?

- Bardzo.

- No, no, no, Billu... Pracujesz i czytasz. Ja również lubię czytać. Kiedyś chciałem zostać prawnikiem. Jeszcze w Europie. Nikt w mojej rodzinie nie miał wykształcenia. Uprawialiśmy ziemię, byliśmy górnikami, robotnikami. Mój ojciec znał na pamięć Biblię, jednak nie pozwalał swoim dzieciom pobierać nauk. Bardzo chciałem się kształcić, niestety wojna przekreśliła moje plany... Ciesz się lekturą. Wśród moich książek nie ma ani jednej

niewłaściwej dla chłopca w twoim wieku.

Wyciera ręce, odnosi talerz do zlewu i ogląda sobie twarz w małym lusterku nad kranem.

- Jesteś pewien, że mam zostawić alarm włączony?

- Tak.

- Nie chciałbym, żebyś się czuł jak w więzieniu. - Dotyka kołnierzyka koszuli, wygładza go, przyklepuje włosy. - W porządku, jestem gotów na spotkanie z Panem. Mam nadzieję, że On jest gotów na mnie. Jeśli będziesz głodny, jedz do woli. Przyniosę coś, gdy wrócę. Do zobaczenia o jedenastej, góra wpół do dwunastej.

*

Sam wraca o 11:27. Parkuje lincolna za domem, wysiada w pośpiechu. Niesie pakunek owinięty w aluminiową folię. Otwiera drzwi od strony pasażera i pomaga wysiąść chudej starej kobiecie o rudych włosach. Rozmawiają przez chwilę, potem znikają.

Sam wchodzi frontowymi drzwiami w piętnaście minut później.

- Odprowadziłem do domu przyjaciółkę. - Kładzie na stole foliową paczuszkę, po czym ją rozwija. Ciastka z kolorowym lukrem. - Proszę, częstuj się.

Skubię ciastko.

- Dziękuję.

- Proszę bardzo... I wiesz co? Doceniam twoje dobre maniery, jednak nie musisz mi za wszystko dziękować. W przeciwnym razie nigdy się nie dogadamy... Niczym Alfons i Gaston - dwóch bardzo uprzejmych Francuzów. - Sam kładzie jedną rękę za plecy, drugą na brzuchu i kłania się. - „Pan pierwszy. Nie, nie, pan pierwszy. Ależ proszę, pan pierwszy”.

- To jest stary dowcip... Są tak uprzejmi, że przez cały dzień nie mogą przejść przez ulicę.

Uśmiecham się.

- Co czytałeś? - pyta.

- Czasopisma.

Większość książek okazała się beletrystyką albo katalogami zlewów i toalet. A czasopisma były naprawdę interesujące, chociaż bardzo stare: głównie z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. „Life”, „Look”, „Saturday Evening Post”, „Time”, „Popular Mechanics”. Artykuły o prezydentach - aż do Eisenhowera - opowieści o wojnie koreańskiej, gwiazdach filmowych, zwierzętach w ogrodzie zoologicznym, rodzinach, które wyglądały na szczęśliwe. No i mnóstwo dziwacznych ogłoszeń.

- Jesteś głodny?

- Nie, dziękuję.

- Co zjadłeś?

- Ciastko.

- No nie...

- Wypiłem trochę mleka.

- Co powiesz na to? - Idzie do lodówki i wyjmuję słoik ze śledziami. Kawałki ryby pływają w mętnym płynie. - To jest prawdziwe białko. Billu.

Potrząsam z niechęcią głową.

- Ryby. Nie lubisz ryb?

- Nie bardzo.

Otwiera słoik, wyjmuję kawałek, zjada go, potem otwiera lodówkę znowu i zagląda do środka.

- Może trochę sałatki?

- Dziękuję, panie Ganzer. Naprawdę.

Odstawia śledzie i zdejmuję marynarke.

- Wyjdę później, to kupię steki. Nie jesteś chyba wegetarianinem, co?

- Mięso może być.

- Co za zgodny facet... Grasz w szachy?

- Nie.

- No to się nauczysz.

*

Szachy to swego rodzaju bitwa. Podoba mi się. Po sześciu grach pokonuję Sama, który mnie za to chwali.

- Nieźle, zupełnie nieźle - mruczy.

Nie jestem pewien, czy naprawdę jest zadowolony.

- Jeszcze raz, panie Ganzer?

- Nie, zamierzam się teraz trochę zdrzemnąć. - Wyciąga rękę, by dotknąć mojej głowy, lecz w ostatniej chwili rezygnuje. - Masz otwarty umysł, Billu.

Gdy Sam śpi, czytuję. Ułożyłem się wygodnie na zakurzonej tapczanie, nogi przykryłem narzutą. Kilka razy wstaję, wyglądam na zewnątrz, patrzę na błękitne niebo. Zupełnie nie przeszkadza mi, że jestem w zamkniętym pomieszczeniu.

Sam budzi się o 16:15, słyszę, że bierze prysznic. Kiedy wychodzi z sypialni, ma na sobie inny garnitur - brązowy, niebieską koszulę, jasnobrązowe buty.

- Wyjdę kupić steki - mówi. - Nie, poczekaj sekundę... - Otwiera zamrażalnik nad

lodówką i wyciąga paczkowanego kurczaka. - Co powiesz na drób?

- Czemu nie, panie Ganzer, ale właściwie nie jestem głodny...

- Jak możesz nie być głodny?

- Po prostu nie jestem.

- Zwykle nie jadasz zbyt wiele, prawda?

- Jakoś sobie radzę.

- Od dawna jesteś poza domem?

- Jakiś czas.

- W porządku, nie chcę wścibiać nosa w twoje sprawy. Rozmrozę go i upiekę. Tak będzie najzdrowiej.

Do 19:20 kurczak jest gotowy i zjadam więcej, niż się spodziewałem. Nagle zauważam, że Sam ledwie tknął pałkę, którą ma na talerzu.

- Pan również potrzebuje białka, panie Ganzer.

- Bardzo zabawne - odpowiada, ale z uśmiechem. - Nie mogę się przejadać - dodaje. - Umówiłem się dziś na kolację... Czy możesz zostać tu sam?

- Jasne. Jestem do tego przyzwyczajony.

Marszczy brwi, przekłada pałkę na mój talerz, wstaje.

- Nie wiem, kiedy wrócę. Prawdopodobnie o dwudziestej drugiej, może pół godziny później. Normalnie zaprosiłbym tę panią tutaj, sądzę jednak, że nie masz ochoty z nikim się widzieć. Zgadza się?

- To pański dom. Mógłbym nie wychodzić ze swojej sypialni.

- Co? Miałbyś się ukrywać jak jakiś... Nie, nie, pójdę do tej pani. Jeśli będziesz mnie potrzebował, jestem sześć domów dalej. Biały dom z błękitnym gontem. Nazwisko na skrzynce - Kleinman. Pani Kleinman.

- Baw się dobrze, Sam - rzucam.

Rumieni się.

- Dzięki... Posłuchaj, Billu, trochę rozmyślałem. Te dwadzieścia pięć tysięcy. Jeśli prawnie ci się należą, powinieneś ich zażądać. To spora sumka dla jednej osoby. Dopilnowałbym, żeby nikt cię nie oszukał. Mam sąsiada po drugiej stronie ulicy, był kiedyś prawnikiem. Komunista, ale bystry, zna wszelkie prawne kruczki. Nie wzięłyby od ciebie ani centa, miałbyś ochronę...

- Nikt nie może mnie ochronić.

- Dlaczego tak mówisz?

- Ponieważ nikt nigdy mnie nie chronił.

- Ależ posłuchaj...

- Nie - przerywam. - Policja na pewno nie da dziecku tak dużej kwoty. Zresztą, i tak nie mogę pomóc, ponieważ nie widziałem twarzy tamtego mężczyzny, jedynie tablicę rejestracyjną...

- Tablicę rejestracyjną?! Billu, w takim razie bardzo byś pomógł. Policja ma swoje sposoby, by po tablicy rejestracyjnej dojść...

- Nie! - krzyczę. - Nikt nigdy nie zrobił niczego dla mnie, więc nie dbam o to... A jeśli z tego powodu uważasz mnie za złego obywatela i nie chcesz, żebym tu mieszkał, odejdę!

Wstaję i biegnę do drzwi. Sam chwytam mnie za ramię.

- No dobrze, już dobrze, dziecko. Poczekaj, uspokój się...

- Puść mnie!

Puszczam. Sięgam do klamki, zauważam czerwone światło alarmu, zatrzymuję się. Dopada mnie ból żołądka.

- Proszę, Billu, uspokój się.

- Jestem spokojny - odpowiadam, choć wiem, że to kłamstwo. Oddycham szybko i czuję ucisk w piersi.

- Słuchaj, przepraszam - mówi. - Zostawmy to, po prostu pomyślałem... Jesteś wspaniałym chłopcem. Czasami, gdy dobry chłopiec nie postępuje właściwie, wtedy czuję się... Ach! Kim, do diabła, jestem, żebym mówił ci takie rzeczy? Świetnie wiesz, co robić.

- Niczego nie wiem - mamroczę.

- Co takiego?

- Za każdym razem, gdy chcę się uczyć, coś mi staje na przeszkodzie... Tak jak tobie wojna.

- Wiesz, co? Przetrawisz to. Tak jak ja.

Chce mi się znowu płakać, ale nie mogę sobie na to pozwolić. Za nic nie będę beczał! Wbrew sobie zaczynam mówić:

- Nie wiem co robić, panie Ganzer. Może powinienem zadzwonić na policję... Na przykład z budki telefonicznej... Podam im tablicę rejestracyjną, a potem odłożę słuchawkę.

- Jeśli tak postąpisz, jak odbierzesz pieniądze?

- Nie chodzi mi o forszę, i tak nigdy mi jej nie dadzą. A nawet gdyby dali, mama znajdzie dolary, a potem Baran-Moran... facet, z którym mieszka. To z jego powodu uciekłem. Zabierze mi pieniądze, niech mi pan wierzy, nie dostanę ani centa, nie ma mowy. A w dodatku wrócę tam, skąd uciekłem.

- Baran, co? Zakuta pała? - Puka się w głowę, po czym parska śmiechem.

- Tak.

Nie wytrzymuję i śmieję się jeszcze głośniej niż on. Właściwie wspomnienie mojego prześladowcy wcale mnie nie bawi, lecz śmiech przynosi mi ulgę. Jak gdybym zrzucił z siebie cały ten ciężar.

- Taki inteligentny młody człowiek jak ty i tępak - stwierdza. - Potrafię zrozumieć, skąd problem... No dobrze, słuchaj, teraz podam ci kod alarmu. Tak na wszelki wypadek, gdybyś chciał odetchnąć świeżym powietrzem. Jeden, jeden, dwadzieścia pięć. Pierwszego stycznia 1925 roku. To moje urodziny. Urodziłem się w nowy rok.

- Nie mam zamiaru wychodzić.

- Podaję ci kod na wszelki wypadek - powtarza. - Wciska cyfry, światełko zmienia się na zielone. Sam otwiera drzwi. - Leż sobie, odpoczywaj... I skosztuj śledzi.

- Nie ma mowy! - wołam. Sam wychodzi z uśmiechem na ustach.

Szachownica nadal stoi na kuchennej ladzie. Chyba poćwiczę sobie kilka posunięć. Za obu graczy.

Rozdział 68

W sobotni poranek o 6:46 Petrę obudził telefon. Głos Schoelkopfa postawił ją na nogi.

- Dostałem oficjalny nakaz na biuro Balcha i dom. Zanim wysłemy za facetem list gończy, ty i Fournier macie dokładnie wszystko sprawdzić. Posłałem ci papiery i klucze, powinny do ciebie trafić w każdej chwili. Skończcie dzisiaj, żebyśmy mogli zarzucić sieć na drania.

- Dlaczego musimy czekać tak długo?

- Ponieważ, Barbie, tak sobie życzy góra! Szefów śmiertelnie przeraził fakt, że niemalże aresztowaliśmy Ramseya. Dość pytań. Do roboty!

- Czy Fournier wie o przydziale?

- Ty mu powiedz.

Dzwonek do drzwi zabrzączał akurat w chwili, gdy Petra wyszła spod prysznica. Wytarła się pobieżnie, owinęła ręcznikiem kąpielowym, pobiegła do drzwi, zobaczyła przez wizjer policjanta w mundurze i wysunęła rękę przez szczelinę w drzwiach po szarą kopertę z nakazami i kluczami. Mundurowy, wysoki facet, uśmiechnął się lubieżnie i oznajmił Petrze, że musi podpisać.

- Wsuń akta pod drzwiami. - „Po tym jak walnę cię w głowę” - dodała w myślach.

Obudziła Wila, telefonując piętnaście po siódmej. Był wyraźnie oszołomiony. Petrze wydało się, że słyszy w tle kobiecy głos.

- No dobra - mruknął w końcu. - Dokąd najpierw?

- Ty zdecyduj.

- Biuro Balcha jest bliżej. Może o... dziewiątej? Albo o dziewiątej trzydzieści.

- Mam po ciebie przyjechać?

Nie odpowiedział od razu. Tak, była u niego kobieta. Przemawiała niskim, rytmicznym, prawie śpiewnym głosem.

- Nie trzeba - odparł. - Spotkajmy się na miejscu.

*

Ponieważ ulice nie zdążyły się jeszcze zakorkować, poranna jazda do Studio City zabrała Petrze zaledwie piętnaście minut. Policjantka miała więc czas, by się zatrzymać przy „Du Pars” w pobliżu Laurel, gdzie kupiła kawę na wynos i jabłkowego faworka. Na parkingu przed frontem brązowego budynku stała szara acura bez kierowcy. Na tablicy rejestracyjnej widniał napis SHERRI. Petra zaparkowała tuż obok i właśnie jadła w swoim samochodzie, kiedy podjechał Wil prywatnym autem - czarną toyotą supra. Miał na sobie płócienny garnitur w odcieniu złamanej bieli, czarną koszulkę polo i dziurkowane czarne buty. Wyglądał na gotowego spędzić weekend w Palm Springs. Petra założyła swój tradycyjny kostium ze spodniami.

Wil popatrzył na budynek.

- Co za nora!

- Ramsey mieszka po królewsku, Balcha zaś traktuje jak wyrobnika. Może facet w końcu eksplodował.

- Nie wiedziałem, że jesteś psychiatrą - mruknął. - Chociaż... Rzeczywiście, twoja teoria brzmi sensownie.

- Chcesz więcej szczegółów? Przyszły mi do głowy ubiegłej nocy. Ciało Lisy pozostawiono na widoku, prawdopodobnie celowo. Tak samo było ze zwłokami Ilse Eggermann. Jak gdyby morderca chciał się swoim czynem... Popatrzcie, czego potrafię dokonać. Przez całe życie Balch jest podporządkowany Ramseyowi, żyje skromnie i w dodatku nieustannie zbiera ciągi... ustne, oczywiście. Najlepszy sposób na odreagowanie - dobrać się do kobiety szefa, potem sprzątnąć ją i oznajmić to światu...

- Dobrać się... - powtórzył Wil. - Sądysz, że Balch i Lisa to robili?

- Balch chciał na pewno. Niby żaden z niego Adonis, lecz Lisa umawiała się z nim wcześniej, wiemy zresztą, że lubiła starszych facetów. Tylko Balch wie, czy się spotykali. No chyba, że czegoś się doszperamy.

Zanim weszli, wyciągnęli pistolety. Znali dane statystyczne - detektywi rzadko brali udział w strzelaninach, jeśli jednak im się zdarzały, przeważnie miały miejsce podczas wręczania nakazów.

Petra otworzyła drzwi i wkroczyła pierwsza. Ktoś siedział przy biurku we frontowym pokoju. Petra potrząsnęła dziewczątką.

Młoda kobieta w niedrogim klasycznym kostiumie rozwiązywała krzyżówkę. Przeraziła się na widok broni. Ładna brunetka, bardzo krótkie włosy, ciemne oczy, może Latynoska.

- Kim pani jest? - spytała Petra. Wil stał za nią. Słyszała jego oddech.

Odezwała się cicho, prawie niesłyszalnie:

- Sherri Amerian... Jestem prawniczką.

Tak, tak, acura na parkingu.

- Prawnিকką pana Balcha?

- Nie - odparła. - Pracuję dla Lawrence'a Schicka. - Jej głos stał się silniejszy, trochę zbyt wysoki z powodu tłumionej urazy. Oczy pozostały zimne. - Mogę się wylegitymować? Mam dokumenty w torebce, o tam. To znaczy... Nie chciałabym zostać zastrzelona przy byle ruchu.

- Proszę wyjąć - powiedziała Petra.

Amerian okazała prawo jazdy i wizytówkę firmy „Schick & Associates”. Z dokumentu wynikało, że dziewczyna ma dwadzieścia siedem lat. Była zatem świeżo po studiach prawniczych. Odwalała za Schicka sobotnią robotę.

- W porządku? - spytała władcym tonem. Była dopiero młodszą asystentką, lecz zachowywała się jak przed Sądem Najwyższym. Ciekawe, jak długo utrzyma tę prawniczą pozę? - I proszę opuścić te pistolety.

Nie czekając na odpowiedź, wyszła zza biurka. Miała świetną figurę.

Wil schował broń do kabury.

- Co pani tu robi?

- Reprezentuję interesy pana H. Carta Ramseya, panie...

- Detektyw Fournier. To jest detektyw Connor.

Wzruszenie ramion Amerian sugerowało, że ich tytuły i nazwiska nie mają dla niej znaczenia.

- Naszą firmę poinformowano, że zamierzacie przeprowadzić rewizję siedziby firmy, ponieważ szukacie rzekomych dowodów związanych z panem Gregorym Balchem. Mogę

zobaczyć nakaz?

- Dlaczego? - spytał Wil.

- Ponieważ ten teren należy do pana Ramseya i reprezentuję jego...

- Proszę. - Petra schowała broń do torebki i podała nakaz na Studio City.

Młoda prawniczka przestudiowała dokument.

- W zasadzie w porządku, tyle że nakaz dotyczy pana Balcha, nie zaś pana Ramseya. W tym biurze znajduje się szereg dokumentów natury poufnej dotyczących finansów pana Ramseya i moja firma nalega, byście ich nie przeglądali. Zostanę tutaj podczas waszej rewizji. Proponuję taki układ - wskazujecie szufladę albo półkę a ja przeglądam jej zawartość przed wami...

- Jeśli będę musiał wydmuchać nos - przerwał jej złośliwie Wil - zamierza pani zrewidować chusteczkę?

Amerian zmarszczyła brwi.

- Naprawdę nie widzę powodu...

- Świetnie - warknął Wil. - Zabierzmy się do roboty. Najpierw górna szuflada biurka. I żadnych pogawędek czy przerw na kawę. Proszę też odłożyć krzyżówkę.

*

Trzy godziny zajęło im przeszukanie całego mieszkania, centymetr po centymetrze. Po pierwszej godzinie Amerian znudziła się swoją rolą strażniczki i powtarzała tylko: „Proszę, proszę”, ilekroć Wil albo Petra wskazywali książkę na półce czy pudło na podłodze. Słabą kondycję miała ta przedstawicielka pokolenia „Ulicy Sezamkowej”.

Po Balchu pozostały jedynie pudełka po daniach na wynos, jadłospisy z lokalnych restauracji i górna szuflada pełna biurowych śmieci. Żadnych zdjęć rodzinnych. Petra uznała ich brak za logiczny, przecież Balch dwa razy się rozwodził.

Mężczyzna bez żadnych więzi? Niezdolny do nawiązania trwałszych związków z innymi? Nie potrafił się przywiązywać? Nawet jeśli tak, to co? To samo można powiedzieć o milionach ludzi, którzy nikogo nie zabili.

Szukali. Wszystkie dokumenty wiązały się z osobą Ramseya. Nagle Amerian znowu zaczęła się wtrącać. Dokumenty dzierżawne, zwroty podatków, papierowe teczki ze spisem odliczeń, umowy o pracę. Dokumenty, które jeszcze parę dni temu Petra bardzo chciała przejrzeć. Balch pracował tutaj od lat, lecz nie zostawił po sobie najmniejszego śladu.

Czyżby ten fakt miał związek z jego stosunkiem do własnej pracy?

Petra zdjęła z półki *Kalifornijskie przepisy podatkowe*, przerzuciła kilka stron, potem

odwróciła księgę do góry nogami. Nic z niej nie wypadło. Podobnie w przypadku następnych dziesięciu. W biurze panował jeszcze większy bałagan niż podczas przesłuchania Balcha. Jak na tak zdezorganizowanego faceta, Balch okazał się sprytnym i ostrożnym zabójcą... Tyle kroków, tak przemyślane zachowanie...

Dlaczego w takim razie postąpił tak głupio, dzwoniąc do Westward Charter i trąbiąc wszystkim o swoim planie ucieczki?

Autodestruktywne zachowanie typowe dla zwykłego psychopaty?

A może podstęp?

Tak czy owak, gdzie jest w tej chwili Balch?!

*

Wyszli o trzynastej, zatrzymali się na lunch przy bulwarze Ventura w restauracji serwującej owoce morza. Rozmowa się nie kleiła. Wil od początku był w nie najlepszym humorze, a teraz, po czterech godzinach zmarnowanych na daremną rewizję, po prostu zrzedził. Powoli jadł zamówioną płastugę, pił spore ilości mrożonej herbaty, często wypatrywał przez okno. Krabowe kostki Petry smakowały jak hokejowe krążki smażone w głębokim tłuszczu...

Około piętnastej wjechali oddzielnymi samochodami na drogę 101, skierowali się ku rozjazdowi. Czekala ich godzinna jazda trasą 405 aż do Rolling Hills Estates; dom Balcha stał na Saddlewax Road.

Wil wjechał przed Petrą na Imperial Highway i na chwilę straciła go z pola widzenia, ponieważ się zamyśliła. Przyspieszyła, dostrzegła suprę tuż obok Hermosa Beach. Pomachała partnerowi, by stanął przy wyjeździe do Redondo Beach. Oba auta wjechały na skarpe. Petra pobiegła do samochodu Wila.

- Wyśmiej mnie, jeśli chcesz - zawołała - ale mam ochotę obejrzeć miejsce na molo, gdzie ostatnio widziano Ilse Eggermann. Dopiero potem skręcę do Balcha.

- Świetnie - ocenił. - Dobry pomysł. Pojadę za tobą.

Jechali piętnaście minut na zachód po bulwarze Redondo Beach. Dotarli do dawnego lokalu Antoine'a, gdzie teraz mieścił się „Dudley Jones Steak House” - restauracja z widokiem na port. W pomieszczeniu o ścianach w kolorze głębokiej czerwieni siedziało sporo weekendowych amatorów przekąsek, panował hałas, jasnowłosi kelnerzy żonglowali tacami z krwistym mięsiwem i pieczonymi ziemniakami wielkości melonów.

Petra wyobraziła sobie scenkę sprzed lat. Ilse Eggermann pokłóciła się z Lauchem. Wyszła z lokalu i zbiegła drewnianymi schodami z molo - dokładnie tak samo jak para

policjantów teraz. Tak jak oni zeszła na parking. Późna noc, wokół pustka... Musiała się strasznie bać...

Droga do Rolling Hills Estates zmęczyła Petrę.

Sześciomilowa jazda Hawthorne Boulevard. Mijali samochodowych dealerów, centra handlowe i magazyny biurowe, później droga się zwężyła - tuż przed Palos Verdes Drive, gdzie pojawił się pas zieleni, obsadzony eukaliptusami, sosnami i przypominającymi wierzby drzewami o czarnych pniach i gęstych gałęziach. W Rolling Hills Estates powitał ją biały drewniany znak i niskie białe ogrodzenie na obu poboczach.

Dziesięć minut od Redondo, jadąc niezbyt szybko. Terytorium Balcha.

Petra wyobraziła go sobie, jak wracał do domu po długim dniu pracy jako „poddany” Ramseya. Zatrzymał się na drinka, zauważył Ilse i Laucha, którzy się kłócili. Wyszedł za nimi na zewnątrz, zobaczył odjeżdżającego Laucha, zabrał dziewczynę, mając ją obietnicą podwiezienia do hotelu w pobliżu Mariny. Nigdy tam nie dotarli.

Otwarty śmietnik na parkingu.

„Zobaczcie, co potrafię!”

Potem wrócił do domu. Jakież to proste.

Dzień na plaży.

Rozdział 69

Piękny ocean, lecz zbyt wielu nad nim ludzi.

Przykleił sobie świetną, fałszywą brodę wykonaną z prawdziwych włosów, podobną do tej, której użył podczas zabójstwa Niemki. Założył też słomkowy kapelusz o szerokim rondzie, na starą białą koszulę i tanie szare spodnie z bawełny narzucił zaś długi postrzępiony brązowy deszczowiec. Włożył buty do biegania, stosunkowo nowe, ale przybrudził je, by pasowały do image'u.

Chodził w charakterystyczny sposób - niezdarnie, sztywno, powłócząc nogami. Kiedy szedł, udawał, że patrzy na ziemię, co jakiś czas łypał jednak w górę, ukrywając oczy pod kapeluszem. Gdy ktoś mu się przyglądał, natychmiast opuszczał powieki i skupiał się na stawianiu kroków.

Udawał niezrównoważonego psychicznie bezdomnego. Ocean Front Walk był pełen takich osobników; siedzieli na ławkach, błakali się wśród tłumu, gapili się w piasek, na palmy

lub na ocean, jakby tam działo się coś ważnego. I co mogli tam zobaczyć? Wymagowane wieloryby? Syreny z dużymi cyckami, pluskające się dookoła blisko brzegu?

Jego matka zwariowała, kiedy miał czternaście lat. Nigdy nie zastanawiał się dlaczego, ani nie próbował jej zrozumieć. Po prostu trzymał się od niej z dala, jak od osoby zakaźnie chorej.

Bardzo powoli chodził w tę i z powrotem po deptaku Ocean Front. Co jakiś czas siadał, udawał naćpanego i przypatrywał się przechodniom.

Nikt nie zwracał na niego uwagi. Gliniarzy na rowerach interesowała wyłącznie przemoc, spokojne i samotne osoby zaś beztrudnie ignorowali. Turyści natomiast unikali bezdomnych z obawy przed żebraniem. Kutwy.

Problem stanowił tłum. W tę ładną ciepłą sobotę wszyscy podążali gromadnie ku plaży. Nieprzerwany strumień ludzi sunący powoli deptakiem Ocean Front wydawał się tak zwarty, że niemal nie sposób było w nim wyróżnić pojedyncze osoby.

Mnóstwo dzieci, lecz nie dostrzegł wśród nich poszukiwanego chłopca. Po godzinie potrafił już podzielić je na dwie grupy: czyste białe pociechy turystów i grupki ciemnoskórych, wielkoustych lokalnych bachorów kręcących się w tłumie pieszych, prawdopodobnie małeletni kieszonkowcy.

Dlaczego właściwie ów dzieciak miałby łączyć po dworze za dnia?

Po co w ogóle miałby tu nadal tkwić? Szczególnie po rewelacjach „anonimowego informatora”?

Obserwacja deptaku była więc pewnie stratą czasu, jednak biorąc pod uwagę wszystko, czego dotąd dokonał, uznał, że na wszelki wypadek warto tu jeszcze trochę powęszyć.

Zresztą, dzień był naprawdę piękny. Upłynęło sporo czasu odkąd chodził po deptaku ostatnim razem. Wiele się od tej pory zmieniło. Deptak nabrał bardziej handlowego charakteru, wokół widać było więcej sklepów, ulicznych bud z przekąskami, restauracji. Postawiono nawet synagogę - dziwne!

Niektóre pasażerki sięgały aż do autostrady. Wiele sklepów zajmowało partery wielopiętrowych przedwojennych budynków mieszkalnych. Chłopak mógł się ukrywać w każdym z nich. Jak go znaleźć?

Mógł być wszędzie.

Trzeba poczekać jeszcze kilka godzin. Tak postanowił. Był zgrzany z powodu brody, kapelusza i płaszcza. Chętnie napiłby się czegoś zimnego. Miał w kieszeni dziesięć dolarów - resztę pieniędzy w zaparkowanym sześć przecznic dalej samochodzie. Pomyłony włóczęga płacący banknotem za napój mógłby jednak przyciągnąć czyjąś uwagę, postanowił więc, że

zadowolony się wodą z fontanny.

Dostrzegł odpowiednią na drugim końcu deptaku - w pobliżu synagogi. Powłócząc nogami dotarł do najdalej wysuniętego na północ krańca Ocean Front, odwrócił się, podszedł, napił się, kilka razy odchodził i wracał, trochę poudawał, że drzemie na ławce, zastanawiając się, co robić dalej.

Dobra, chrzanić gówniarza. Wmawiał sobie, że wszystko jest w porządku, czuł jednak jakiś dziwny ucisk w gardle. Odnosił wrażenie, że wyrósł mu wielki, gorący i swędzący, nabrzmiały ropą wrzód i domaga się wyciśnięcia.

Wolał poddać się wewnętrznemu przymusowi. Zwykle, gdy próbował go zlekceważyć, stawał się kłębkim nerwów.

Jego matka była osobą nieprawdopodobnie nerwową, jeszcze zanim zupełnie zwariowała. Paliła pięć paczek papierosów dziennie, drapała się po twarzy, kołysała się podczas szycia, straszliwie się objadała, by potem głodzić się przez wiele dni. Kiedy umieścili ją w szpitalu, nabrała zwyczaju uderzania głową o ścianę, niczym autystyczne dziecko, i lekarze zmusili ją do noszenia futbolowego kasku. Sukienka w kwiatki i kask... Na jakiej pozycji grasz, mamó? Wyglądała groteskowo, więc bardzo się starał odwiedzać ją jak najrzadziej.

Umarła dziesięć lat temu, a on był jedynym żyjącym członkiem jej rodziny. Przez lokalnego prawnika poinstruował administrację szpitala, aby matkę poddano kremacji, urnę zaś pochowano na szpitalnym cmentarzu.

Wspomnienie matki nie wywoływało w nim żadnych emocji.

Było mu gorąco, czuł się zniechęcony i niezadowolony, że dzisiejsze poszukiwania nie przyniosły rezultatów. Najbardziej doskwierał mu upał. Nic innego praktycznie nie miało w tej chwili znaczenia.

Poświęcił jeszcze godzinę. Dwukrotnie przeszedł w tym czasie deptak. Napięcie spowodowane zmarnowanym dniem rosło.

Ani jednego dzieciaka, który przypominałby tego z rysunku.

Ponownie dotarł do fontanny, napełnił żołądek wodą, wytarł brodę. Turysta, który również chciał się napić, na jego widok zmienił zamiar. Ależ przekonująco zagrał swą rolę!

Najbliższą ławkę zajmowało dwoje młodych ludzi. Mamrocząc, podszedł do nich i przysiadł na skraju. Para natychmiast wstała i odeszła.

Świetnie!

W synagodze prawdopodobnie dopiero co skończyło się nabożeństwo, ponieważ kręciło się przed nią sporo starych mężczyzn i kobiet. Powoli rozchodzili się. Osobiście nie mam nic przeciwko żadnym innym nacjom, nawet przeciw Żydom, pragnął tylko, by wszyscy, którzy

nie potrafią się już o siebie troszczyć, umarli i zrobili na świecie miejsce innym.

Zauważył jednak, że ktoś" nie lubił Żydów i to bardzo.

Sprzedawca ze stoiska z upominkami parę domów dalej. Gapił się na starców z otwartą wrogością.

Brzydał, około czterdziestu pięciu lat, o długich, tłustych blond włosach, prawdopodobnie rozjaśnianych. Niezdrowa cera, chuderlawe ramiona sterczące z rękawów wyjątkowo szkaradnego purpurowego podkoszulka z napisem: „KALIFORNIO, DO CIEBIE IDEĘ”.

Stoisko zarzucone było podobnie tandetnymi koszulkami, kapeluszami, czapkami, okularami przeciwsłonecznymi, zabawkami, chorągiewkami i pocztówkami. Maleńka buda wypełniona rupieciami. Nikt niczego nie kupował, prawdopodobnie dlatego, że właściciel wydawał się równie serdeczny jak pirania.

Wrogi i nerwowy. I również stale się rozglądał po Ocean Front Walk.

Interesujące!

Obok stoiska przejechała para gliniarzy na rowerach. Oczy brzydala rozszerzyły się, ciało szybko pochyliło do przodu; prawie położył się na ladzie.

Chciał im coś powiedzieć?

Tak czy owak, powstrzymał się, podniósł jakąś lalkę i udawał, że sprawdza jej cenę.

Dziwne...

Gliniarze chyba pomyśleli podobnie, ponieważ zatrzymali się przy stoisku i zagadnęli sprzedawcę. Brzydał błysnął znudzonym uśmiechem i potrząsnął głową. Gliniarze nie zrezygnowali od razu. Coś w tym facecie ich zastanowiło. Mężczyzna ciągle się uśmiechał, wskazując lalkę i w końcu odjechali.

Sprzedawca stał przez długi czas w miejscu i obserwował ich, dopiero po długiej przerwie znowu wrócił do rutynowego gapienia się na deptak - patrzył na północ, później na południe, znowu na północ, na południe. Ani razu nie spojrzął na plażę.

Szukał czegoś w szczególności? A może kogoś?!

„Anonimowy informator”. Czyżby to on? Czy Bóg jest tak wspaniałomyślny, że podał go na tacy?

Przypatrywał się sprzedawcy pamiątek przez kolejne dwadzieścia minut. Zachowywał się jak automat: robił krok do przodu, rzucał okiem na deptak, brał w rękę lalkę, ścisnął ją, odkładał, robił krok do tyłu... Nagle zrobił coś nowego - zniknął za zasłonką z taniego perkalu, która wisiała za stoiskiem z pamiątkami. Prawdopodobnie miał tam magazyn. Może poszedł do toalety.

Na pięć minut stoisko opustoszało. Miejscowe dzieciaki podbiegły i wyciągnęły ze

stojąca kilka pocztówek. Kiedy brzydał wrócił, wycierał usta.

No tak, zrobił sobie przerwę na drinka. Wrócił i znowu kręcił się za ladą. Wyglądał jak zwierz na polowaniu.

Czy to naprawdę był on? A może tylko czekał na dealera narkotykowego?

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

Przecież takiej ofierze losu, sprzedającej śmieci, których nikt nie kupował, dwadzieścia pięć tysięcy wydawało się zapewne ogromną sumą. I stanowiło wystarczający powód do zdenerwowania.

Poobserwował jeszcze kilka minut sprzedawcę, który nadal postępował według ustalonego harmonogramu. Zrobił jeszcze jedną przerwę na alkohol. Zachowywał się jak robot, sterowany automatycznym pilotem, dokładnie tak samo jak szaleńcy, których widywał podczas odwiedzin u matki.

Chyba warto się skupić na brzydału... Co zresztą miał do stracenia?

Wstał, przeszedł sto metrów na południe, zawrócił, obejrzał kilka sklepowych witryn, minął stoisko, szukając kartki z godzinami otwarcia. Znalazł.

LATEM ZAPRASZAMY
W NASTĘPUJĄCYCH GODZINACH:
PN-PT 11:00-17:00, SB-ND 11:00-20:00.

Odszedł, wrócił około dwudziestej. Miał nadzieję, że tłum rozproszy się do tej pory i że brzydał nie zamknie interesu wcześniej albo nie pojawi się jego ewentualny zmiennik. Gdyby tak się stało, trzeba będzie wrócić jutro.

Biorąc pod uwagę brak innych tropów, nie miał wyboru: musiał skorzystać z tej okazji. Powtórzył sobie w duchu, że podstawą jest nadzieja.

Optymizm był kluczem. No i byle nie tracić ironii.

Rozdział 70

Saddlewax Road leżała w odległości czterystu metrów od zakrętu do Palos Verdes. Po drodze Petra zauważyła dwie małe dziewczynki w kompletnych strojach do jazdy konnej kłusujące na wspaniałych brązowych wierzchowcach. Za nimi jechała kobieta na czarnym wierzchowcu, przypatrując się bacznie postawie panienek, koni albo jednych i drugich.

Dom Balcha stał mniej więcej w połowie cienistej uliczki. Jednopiętrowy, w stylu ranczerskim, z morelowym stiukiem, mocno obrosnięty dzikim bluszczem. Teren Balcha i wszystkich sąsiadów okolony był identycznym białym ogrodzeniem. Chłopcy rzucali piłką do koszy. Mężczyzna w jaskrawozielonej koszulce polo polewał węzem corvette w kolorze wina. Dzielnica dla szczęśliwych rodzin z zaprojektowaną przyszłością.

Dziwne miejsce dla samotnego mężczyzny. Może pozostałość po którymś z jego małżeństw.

Na garażu Balcha również wisiała koszykarska obręcz. Petra nie dostrzegła na podjeździe żadnego samochodu. Posadzone obok domu róże były zbyt rozkrzewione i brązowiły, dach zaś wydawał się nieco wypaczony. Stosy poczty - co najmniej czterodniowe - leżały przed siatkowymi drzwiami. Niewielka kartka przymocowana do siatki głosiła, że miejscowy szeryf zajął posiadłość. „Wstęp surowo wzbroniony”. Lokalna policja najwyraźniej nie zainteresowała się pocztą.

Wil zatelefonował do biura szeryfa i otrzymał pozwolenie wejścia na posiadłość. Mieli tylko zrobić listę przedmiotów, które zabiorą ze sobą i przesłać mu kopię. Wil wyjął torby na dowody i formularze z bagażnika, Petra podniosła pocztę i weszli do domu.

W salonie panowała ciemność, unosił się nieświeży zapach. Pomieszczenie zarzucone było nie rozłożonymi gazetami, brudnymi ubraniami, pustymi puszkami po piwie i pepsi, butelkami po soku pomarańczowym i wódce. Facet wyraźnie lubił mieszanki.

Chlew, tak samo jak w biurze. A lexus był taki nieskazitelnie czysty! Kiedy Petra przeglądała pocztę, Wil zajął się sofami - rozcinał obicia, rozdzierał poduszki, wyszarpywał gąbkę.

W stosie poczty Petra znalazła rachunki za wywóz śmieci, bezwartościowe zaproszenia na przeróżne imprezy promocyjne, reklamówki, talony zniżkowe. Trzy dni temu Balcha widziano w Montecito, gdy zmieniał samochody po pochowaniu zwłok Estrelli Flores. Gdzie

podciął służącej gardło? Prawdopodobnie gdzieś na wzgórzach za „Ranch Haven”. Petra przypuszczała, że obezwładnił kobietę w domu, wywiózł ciało drogą pożarową, znalazł ciche, spokojne miejsce, w którym dokonał zabójstwa. Potem owinął ciało w plastik, ukrył je w bagażniku, czterdzieści pięć minut jechał do Montecito, pogrzebał ciało, zostawił lexusa. Sądził, że jest poza wszelkimi podejrzeniami... Zresztą, po co gliniarze mieliby sprawdzać weekendowy domek Ramseya?

Wziął jeepa. Dlaczego? Ponieważ ten pojazd brał udział w morderstwie Lisy i morderca chciał sprawdzić, czy nie zostawił w aucie śladów?

Przypomniała sobie zachowanie Balcha podczas przesłuchania. Trochę powściągliwy, starał się trzymać w cieniu. Nie przejawiał wprawdzie najmniejszej nerwowości, ale cóż, jeśli był psychopata, czemu miałby się denerwować?

Wspomniał o humorach Lisy, o jej napastliwości wobec Ramseya. A te nowiutkie buty do biegania. Sprytny drań z tego Gregory'ego Balcha. Dlaczego zatem przez całe życie był tylko podwładnym?

Może sprzeniewierzył nieco gotówki szefa i czekał na właściwy moment, by odejść. Planował zacząć nowe życie z Lisą, lecz coś poszło nie tak? Czyżby Balch wylegiwał się obecnie na plaży w Brazylii z walizką pieniędzy i cieszył się, że uprzykrzył Ramseyowi życie na wszelkie możliwe sposoby?

Petra weszła do kuchni. Zawartość lodówki stanowiła modelowy przykład smutnej kawalerskiej diety: piwo, wino, sporo soku pomarańczowego i smirnoffa, mnóstwo kartonów z jedzeniem na wynos. Wołowina *lo mein* i żeberka z chińskiego lokalu na bulwarze Hawthorne'a. Wiaderko chrupiących kurzych skrzydełek od KFC - nie było na nim adresu, lecz Petra mijiała bar przy drodze, również na Hawthorne. Pół gigantycznej pizzy z lokalu o nazwie „De Monas” w Studio City, przy Ventura Boulevard, zaledwie kilka przecznic od biura. Wszystko od kilku dni nie nadawało się już do zjedzenia. Pizza była kompletnie wyschnięta.

W salonie Wil pracował intensywnie i w milczeniu. Stawiał pionowo tapczany, rozcinał dna worków, zdjął zegar ze ściany i tak mocno nim potrząsnął, że go uszkodził, zerknął nawet w górę kominka.

Petra postanowiła obejrzeć cały dom. Znalazła trzy sypialnie - dwie były zupełnie puste, w trzeciej zaś panował odrażający bałagan - dwie łazienki, małą jadalnię przy kuchni i, obok salonu, wyłożony boazerią niewielki gabinet, którego okna wychodziły na tylny dziedziniec. W gabinecie znajdowała się jedynie brązowa skórzana otomana i sześćdziesięciocalowy odbiornik telewizyjny; na telewizorze stało czarne pudełko - nielegalny dekodery. Petra

włączyła go i z ekranu natychmiast zaatakował ją ogromny penis, wsuwający się w pochwę, powolna muzyka, elektroniczna, jęknięcia i pomruki.

- Och, ci faceci - mruknął Wil ze śmiechem.

Petra wyłączyła telewizor, rozsunęła zasłony. Dziedziniec był dość spory, okolony szpalerem bujnych drzew; w centrum znajdował się owalny basen pływakki. Pozory luksusu... Lecz wysoka na dwadzieścia pięć centymetrów trawa była żółkła i zeschnięta, zaś basen przypominał kloakę upstrzoną wodorostami. Wielkie mury i krzewy zasłaniały widok sąsiadom. Na szczęście dla tych ostatnich.

Gdzież temu domowi do książęcego pałacu (i stylu życia) Ramseya. Przez tyle lat Balch tylko się temu przyglądał.

Zdecydowała się zacząć od zabałaganionej sypialni. Pokój cuchnął stęchłą brudną bielizną. Stało w nim łóżko królewskich rozmiarów z tanim podgłówkiem, czarną pościelą i poduszkami pokrytymi tłustymi szarymi plamami. Petra założyła rękawiczki i spakowała pościel do torby na dowody. Materac był spleśniałą ruiną. Choć policjantka dotykała go w chirurgicznych rękawiczkach, czuła odrazę.

Przed łóżkiem stał kolejny telewizor, o równie ogromnym ekranie i drugie czarne pudełko. Ten sama program porno. Pudełko higienicznych chusteczek i świerszczyki na nocnej szafce dopełniały portretu życia seksualnego samotnego mężczyzny. Petra przerzuciła czasopisma w poszukiwaniu naprawdę paskudnych zdjęć sado-maso, by spotęgować w sobie niechęć do Balcha, lecz większość z nich obrazowało zwykłe męskie heterofantazje. Na najgorszym kobieta była skrepowana.

Porno trafiło do torby, dokładnie opisane.

Serty brudnych slipów i skarpetek tworzyły nierówną hałdę między ścianą i lewą stroną łóżka. Balch prawdopodobnie spał w prawej części, wrzucał więc brudną bieliznę na drugą stronę. Szafa ścienna była wypełniona po brzegi bluzami sportowymi w różnych kolorach, spodniami od dresu, dżinsami, koszulami; wszystkie ubrania nosiły metki od „Macy'ego”. Plastikowa torba z emblematem pralni chemicznej - na bulwarze Hawthorne'a - zawierała dwie pary spodni i trzy koszule, łącznie z jaskrawoniebieską, którą miał na sobie, gdy Petra go poznała w dniu zawiadomienia o śmierci Lisy.

Wyjęła ubrania z plastikowej torby. Balch był niekonsekwentny. Dziesiątki brudnych ciuchów walało się po podłodze, a tych kilka oddał do czyszczenia? Dlaczego?

Prawdopodobnie któryś z zestawów miał na sobie podczas zabójstwa Lisy. Dwie pary spodni, trzy koszule.

Gdyby były poplamione krwią, czy pralnia nie powiadomiłaby policji? Petra dołączyła

notkę do ubrań i włożyła je do torby, po czym ruszyła do półki ponad szafą. Stało tam trzynaście segregatorów. Podatkowe akta Balcha.

Petra poświęciła im kilkanaście minut.

Jedyny dochód Balcha stanowiła pensja od Ramseya. Dwadzieścia pięć lat temu zarabiał dwadzieścia pięć tysięcy rocznie.

Regularne podwyżki podniosły pensję do stu sześćdziesięciu tysięcy. Nieźle, lecz cóż to było w porównaniu z milionami szefa.

Odliczeń nie miał zbyt wiele. Potrącał sobie koszty, które poniósł na zakupiony czternaście lat temu dom przy ulicy Saddlewax oraz leasing na samochody: najpierw buicki, potem cadillaki, teraz lexusa; poza domem nie posiadał żadnej innej nieruchomości. Od trzynastu lat co miesiąc płacił alimenty Helen Balch z Duluth w stanie Minnesota, od dziewięciu zaś również Amber Leigh Balch.

Helen - pierwszą żonę - Petra wyobraziła sobie jako kobietę w średnim wieku. Balch kupił dom czternaście lat temu... Czyżby tuż po ślubie? Jeśli tak, rozkład pożycia nastąpił już w rok później.

„Amber Leigh” Petra uznała za typowy dla show-biznesu pseudonim. Pomyślała o atrakcyjnej dziewczynie. Długie nogi, bujne włosy - prawdopodobnie blond, ponieważ przypadki Lisy i Ilse sugerowały, że Balch lubi blondynki. Amber Leigh - kociak z dużym biustem i laleczkowatą buzią. Drugie małżeństwo także nie trwało długo.

Dwa tysiące miesięcznie dla Helen, tysiąc pięćset dla Amber.

Miesięczne wynagrodzenie netto Balcha wynosiło nieco powyżej ośmiu tysięcy. Za lexusa płacił sześćset dolarów. Po odjęciu tej kwoty oraz alimentów, Balchowi zostawało na miesiąc trochę ponad trzy tysiące dziewięćset. Przez ostatnie kilka lat otrzymywał zwrot nadpłaconego podatku w wysokości około dwudziestu tysięcy. Nie biedował zatem, lecz na tle innych osób z branży rozrywkowej zarabiał grosze. Choćby na tle Ramseya.

Nigdzie w domu Petra nie dostrzegła śladów jakiegoś kosztownego hobby ani zbyt licznych przedmiotów. Grał na wyszcigach? Wąchał kokę? Oszczędzał? Zbierał na coś? Okradał swego szefa?

Przeszukała każdy kąt pokoju, nie znalazła jednak ani książeczek bankowych, ani akcji. W przeciwieństwie do Lisy, Balch najwidoczniej nie miał żadnych życiowych planów. Czy dawał Lisie pieniądze?

Może nagle zażądała więcej. Albo próbowała go szantażować. Pieniądze i namiętność - rozwiązanie nasuwało się samo.

Trzasnęły drzwi. Petra wyjrzała przez okno i zauważyła Wila, który kierował się do

garażu. Wcisnął pilota i drzwi się rozsunęły. Pomieszczenie okazało się puste. Petra wróciła do podatkowych segregatorów. Na każdy nakleiła etykietkę.

Pora na sprawdzenie reszty domu.

W pierwszej z pozostałych sypialni były jedynie gołe ściany i szafa. Niby nic ciekawego, lecz po sekundzie na półce w szafie policjantka znalazła jednak cenny łup - trzy pudełka po butach wypełnione leżącymi luzem fotografiami. W pierwszym leżały profesjonalne fotki zespołów futbolowych sprzed trzydziestu lat, zdjęcia ze szkoły średniej i college'u (twarze były na nich zbyt małe, by je rozpoznać), dalej amatorskie fotografie ukazujące Ramseya i Balcha w kompletnych strojach sportowych: gigantycznie wypchane ramiona, wcięte talie.

Wysoki przystojny brunet i jego płowowłosy kumpel - obaj uśmiechnięci, próżni, gotowi podbić świat.

Dalej znajdowały się zdjęcia ze ślubów: Balch jeszcze szczupły i opalony, w szarobłękitnym smokingu i plisowanej koszuli; na twarzy wyraz niepewności. Helen okazała się smukłą, atrakcyjną dziewczyną o krótkich ciemnych włosach i kształtnych ustach. Na późniejszych fotografiach uroczo się starzała: pozostała szczupła, czasami nosiła okulary. Na jednym zdjęciu trzymała na rękach dziecko.

Owinięte w różowy becik. Czyli córka. Balch nie wspomniał podczas przesłuchania o dziecku, dlaczego jednak miałby jej o nim mówić, przecież rozmowa dotyczyła głównie życia innych ludzi. Petra przypomniała sobie, że unikał osobistych pytań. Wtedy wydawało jej się to dziwne, teraz zrozumiała.

Plus minus dwadzieścia fotografii dziecka. Na odwrocie nie było imienia. Ładna ciemnowłosa dziewczynka, podobna do matki. Ostatnią fotografię wykonano, gdy córka Balcha miała osiem lat. Potem nic.

Przyczyną był rozwód? Może czyjaś śmierć? Jeszcze jedna strata w nieszczęsnym życiu Balcha?

Pudełko numer dwa zawierało mniejsze wersje zdjęć wiszących na ścianie biura Balcha. Przeważnie Ramsey, rzadziej jego dyrektor. Różni fotografowie, z Hollywood i z San Fernando Valley.

Trzecie pudło było prawie puste. Tylko ślubny portret, pieczętka fotografa z Las Vegas... Szybki ślub w Vegas? Balch w ciemnym garniturze i białej koszuli z pasiastym kołnierzykiem. Różowy na twarzy, podpuchnięty, lekko nie w sosie. Górował nad Amber Leigh, maleńką Azjatką o niesamowicie wydatnych kościach policzkowych i płaskim biuście, który wręcz domagał się powiększenia. Zupełne przeciwieństwo kociaka, którego wyobraziła sobie Petra.

Poślubił dwie brunetki, ale zabijał blondynki.

Pod zdjęciem leżała koperta zaadresowana do pana G. Balcha, ulica Saddlewax. Na odwrotnej stronie, Caitlin Balch, bez adresu. Stempel pocztowy Duluth w stanie Minnesota.

To samo pismo na pojedynczej kartce papieru z liniowanego notesu.

Drogi Tato,

No cóż, ukończyłam gimnazjum i zdobyłam nagrodę za wyniki w nauce, lecz nie sądzę, żeby cię to obchodziło. W ogóle nie dzwonisz, nie przyjeżdżasz już do nas i nigdy nie przysyłasz nam alimentów na czas. Mama jest chora, więc żyje nam się naprawdę trudno. Piszę tylko z jednego powodu. Mama powiedziała, że powinnam cię zawiadomić o ukończeniu szkoły. I tak cię to nie obchodzi, prawda?

Twoja córka (tak sądzę)

Caitlin Lauren Balch

*

Żałosny palant. Czy kiedykolwiek odpisał? Nie było dalszej korespondencji, więc prawdopodobnie nie.

Nie było też zdjęć Lisy. Ani Ilse Eggermann. Zresztą Petra od początku zbytnio na to nie liczyła.

Gdyby Balch miał obsesję na punkcie którejś z zabitych kobiet, prawdopodobnie zniszczyłby dowód. Albo nosił ze sobą niczym trofeum.

Petra związała wszystkie pudełka gumą i wyniosła je. W tym momencie usłyszała krzyk Wila.

*

Ułożył wszystkie przedmioty na podłodze garażu.

Sześć sztuk broni ręcznej - dwa rewolwery, cztery pistolety automatyczne - trzy strzelby, dwie dubeltówki, jeden kosztowny mossler. Pudełka amunicji do wszystkich. Garaż pachniał smarem do czyszczenia broni.

Stojak przy ścianie ponad pustym stołem warsztatowym, dwa ogromne pudełka na narzędzia pełne rozmaitych urządzeń, para pudeł ze sprzętem wędkarskim, sześć wędek, siedem kołowrotek.

- Dalekomorskie i jeziorowe - mruknął z uznaniem Wil. - Ma też znakomite przynęty. Ręcznie wykonane. I popatrz na to!

Noże. Petra naliczyła trzydzieści dwa.

Myśliwskie, sztylety do walki, ostre noże o długich ostrzach do przecinania kości. Wil powiedział, że wyjął je z wędkarskich pudeł.

- Facet lubi strzelać i ciąć, Petro. Na ostrzu noża do kości jest krew. Może pstrąga. A może nie.

- Łowi i poluje - zauważyła Petra. - Pewnie ma też małą chatkę w lesie.

- A niech to, faktycznie do szczęścia brakuje nam jedynie chłopaczka bawiącego się w trapera... Obozy przetrwania, takie sprawy... Lepiej skupmy się na robocie. Muszę założyć nowe rękawiczki i przynieść kamerę wideo.

*

Skończyli dopiero o 20:14. W domu zrobiło się nieznośnie parno. Petra przyzwyczaiła się już do zapachu stęchlizny.

- Dobra, dziś zarobiliśmy na utrzymanie - oświadczył Wil i włączył telewizor. Przełączył z seksu oralnego na lokalne wiadomości. - Na wypadek, gdyby coś powiedzieli. Nigdy nic nie wiadomo.

Wiadomości niemal w całości poświęcono sprawom kryminalnym: dziewięcioletnia dziewczynka uprowadzona w Willow Glen, stłuczka w Florence, ciało w Angeles Crest Forest. Ani słowa o Lisie czy o Williamie Bradleyu Straightcie.

- Praca, praca, praca - bąknął Wil, ziewając i podwijając rękawy. Złożył lnianą marynarkę i położył ją na gzymsie kominka, na ochronnej folii z napisem: „Departament Policji Los Angeles”. Wyglądał na równie zmęczonego co Petra.

Gdy znowu ziewnął, odezwała się:

- Wiem, że trzeba zarzucić sieci na Balcha, ale muszę najpierw coś zjeść...

Podniósł palec i gestem nakazał jej milczenie. Jakaś wiadomość w telewizji przyciągnęła jego uwagę.

- ...biały mężczyzna - mówił reporter. - Policja nie podała jeszcze nazwiska ofiary, lecz ludzie szeryfa opisali osobnika jako bardzo dużego. Wzrost dobrze ponad metr osiemdziesiąt, sto trzydzieści kilo wagi lub więcej. Ciało zostało rozczłonkowane, ale poszczególne części porzucono blisko siebie w tej samej odległej części lasu. Być może zabójcy przeszkadzili skauci, którzy dostrzegli samochód, odjeżdżający szybko z wyłączonymi światłami. Na razie nie wiemy nic więcej, Chuck. Będziemy informować studio na bieżąco.

Fournier pstrykał pilotem, szybko zmieniając kanały. Obejrzał jeszcze trzy programy informacyjne, lecz nie dowiedział się niczego więcej - albo sprawę rozczłonkowania już utajniono albo na razie tylko jedna stacja dotarła do źródła, a inne nie zdążyły jeszcze zareagować.

- Co takiego? - spytała Petra.

- Metr osiemdziesiąt parę, sto trzydzieści kilka kilo - powtórzył. - Może to zbieg okoliczności, lecz dane faceta cholernie mi przypominają Buella Morana, głupca, który szukał małego Straighta. Wiesz, chodzi o tego, który prawdopodobnie zamordował matkę chłopca. To znaczy... Wiem, że w naszym kraju sporo osób zmaga się z problemem otyłości, ale... Sądzę, że usłyszał w telewizji o plażowym informatorze i skierował się na zachód. Może spotkał tam kogoś, kogo uważał za przyjaciela, jednak facet wcale mu nie pomógł. Nie mówię, że to on... Ciała paru innych motocyklistów znaleziono w Angeles Crest Forest, wielu z nich to tędzy faceci, lecz... Nie możemy przejść do porządku dziennego nad takim zbiegiem okoliczności.

- Rzeczywiście, podejrzana zbieżność - mruknęła Petra. - Trzeba to sprawdzić.

- Jest jeszcze jedna rzecz, Petro. Rozczłonkowanie i Angeles Crest Forest przypominają mi o sprawach, z którymi miałem do czynienia przed laty, gdy rozpracowywałem rosyjskie podziemie mafijne. Wiesz, że Rosjanie uwielbiają kroić ciała? Jednego złapaliśmy na gorącym uczynku. Koncentrowali się na głowie i odciskach palców. Sądzi, że ich brak utrudni identyfikację trupa. Często porzucali ciała w Angeles Crest Forest. Traktowali to miejsce jak swoje. Facet, który widział chłopca w Venice to Rosjanin. Gdy spotkałem go po raz pierwszy, miałem co do niego przeczucie. Te fałszywe oczka.

- Dlaczego miałby zabić Morana?

- Może chodzi o likwidację konkurencji w wyścigu po dwadzieścia pięć tysięcy? Może obaj są zachłanni, a ponieważ żadnemu z nich się nie przelewa, nie potrafili nad sobą zapanować i doszło do walki. Rosjanin - nazywa się Żukanow - dostrzegł zapewne Morana, który pokazywał przechodniom zdjęcie dzieciaka. Zaniepokoił się... A może Moran podszedł do niego, przedstawił się jako ojciec dziecka, oświadczył, że ma do niego prawa. Żukanow powiedział: „Dość tego zamieszania”. Rosjanie bywają podli, Petro. Facet, którego złapaliśmy, zabijał za dwieście dolarów. Wyobraź sobie, do czego można by go skłonić za dwadzieścia pięć tysięcy.

- Jeśli Żukanow poczuł się tak zagrożony, że zabił Morana - stwierdziła Petra - może poznał aktualne miejsce pobytu małego Straighta, może wie więcej niż ci powiedział. Zadzwoń na posterunek, kto wie, czy nie pojawiły się nowe informacje.

- Faktycznie coś przyszło - odparła sekretarka - ale tu panuje straszliwy kołowrót. Nie mogę wstać i po nie pójść. - w pokoju detektywów nikt nie podniósł słuchawki. Petra zrezygnowała. Wil zdjął marynarkę z obramowania kominka. Czoło detektywa połyskiwało czernią niczym lukrecja; Wil starł pot i wystukał numer, który Petra rozpoznała: centrum, biuro szeryfa Los Angeles; miejsce pracy Rona.

- Poczciwi starzy mądrale - mruknął. - Rozwiązują mniej więcej dwa razy więcej spraw niż my, ale nie muszą się borykać z zabójstwami bez świadków... Dzień dobry, mówi detektyw Fournier, Departament Policji Los Angeles, oddział hollywoodzki. Czy mogę prosić...

Petra odniosła do samochodu pudełka ze zdjęciami. Na ciemnej uliczce Balcha panowała cisza i spokój; szczęśliwe rodziniki siedziały sobie wygodnie przed telewizorami. Gdyby tylko mieszkańcy tej dzielnicy wiedzieli, obok kogo mieszkają! Petra wciągnęła do płuc intensywny sosnowy zapach. Jaka była teraz pogoda w Duluth, stan Minnesota? Co Helen Balch pomyśli sobie, gdy na ekranie telewizora pojawi się twarz byłego męża?

Kiedy wróciła, Wil uśmiechał się.

- Nie zidentyfikowali jeszcze zwłok, ale opis rysów twarzy... bo dzięki skautom znaleźli również głowę... Więc opis pasuje do Morana. Wiem, że przepracowaliśmy już mnóstwo nadgodzin i cholernie chciałbym się przespać, sądzę jednak, Petro, że przynajmniej musimy sprawdzić tego Rosjanina. Może nie zdołamy od razu rozwikłać sprawy Lisy, ale czy nie byłoby miło rozwiązać choć drobny jej fragment? Odpowiedzieć sobie na parę pytań...

- Byłoby rozkosznie - odburknęła Petra. - Tylko zatrzymajmy się po drodze, żeby coś zjeść, co? Jest taki chiński lokalik na Hawthorne, w którym często bywał Balch. Wątpię, czy ma dobry gust... Zresztą, kto go tam wie.

Rozdział 71

Kathy Bishop obudziła się o dziewiątej, złana zimnym potem. Odczuwała straszliwy ból. Stu zadzwonił po pielęgniarkę i podczas oczekiwania na nią trzymał żonę za rękę. Patrzyła na niego, ale z wyrazu jej twarzy nie mógł odczytać, czy w ogóle go widzi. Gdzie, do cholery, są te pielęgniarki?! Korciło go, by wyskoczyć na posterunek, nie chciał jednak zostawić Kathy samej.

W końcu przyszły dwie pielęgniarki. Stu z trudem zapanował nad chęcią zrugania ich za

opieszalność.

Jego żonie podano środek uspokajający i ponownie zasnęła. Stu uprzytomnił sobie, że wcale długo nie cierpiała.

Pomyślał, że musi bardziej nad sobą panować.

Szpitalny pokój kojarzył mu się z całą. Opuścił go tylko na godzinę około siedemnastej trzydzieści, kiedy matka przywiozła wszystkie dzieci. Poszli na hamburgery i frytki do pobliskiego McDonalda. Cała szóstka była bardziej milcząca niż zwykle, nawet maleństwo. Stu zapewnił dzieci, że wkrótce zobaczą mamę, będą mogły z nią porozmawiać i pobawić się. Sądził, że mu uwierzyły, choć nie miał co do tego stuprocentowej pewności. Czuł się jak oszust.

Gdy dzieci zaczęły się nudzić, ich babcia natychmiast zareagowała: „No, droga gromadko, pora wracać”.

Gdy wychodzili, Stu zauważył ciekawskie spojrzenia innych klientów lokalu i ogarnął go gniew.

„Co jest, mądrale - pomyślał - nigdy przedtem nie widzieliście dużej rodziny?”

Przez całą drogę powrotną do Szpitala Świętego Józefa był zdenerwowany. Niesamowicie! Wcześniej rzadko bywał aż tak pobudliwy.

Tymczasem Petra i Wil ścigali przestępcę podejrzanego o wielokrotne morderstwo. Stu obdzwonił linie lotnicze i odbył mnóstwo kretyńskich pogawędek z tępyimi biurokratami. Efekty były zerowe - Balch nie zarezerwował biletu na żaden lot. Stu nie miał wszakże pewności, czy któryś z urzędników po prostu nie zbył go, niczego nie sprawdzając.

Stu zwykle świetnie sobie radził z takimi ludźmi. Kathy nazywała ten jego talent mormońskim wdziękiem; mówiąc to, całowała go w czoło i zalotnie mrugała. Jakże ją wtedy kochał!

Dzisiejszego wieczoru nie czuł w sobie ani krzty tego wdzięku. Trzymał Kathy za rękę. Bezwładna dłoń, bez życia. Gdyby nie czuł ciepła skóry żony, wpadłby w panikę.

Oddychała rytmicznie. Z pomiarów aparatury wynikało, że nic złego się nie dzieje.

Ponieważ zatelefonował już do wszystkich linii lotniczych, nie pozostawało mu nic innego poza czekaniem.

Na co? Aż Kathy ponownie zacznie cierpieć?

Zbyt pobudzony, by zasnąć, wstał i przeszedł się po pokoju. Wiedział, że powinien się przespać, żona może go potrzebować... Na tylnym stoliku leżał stos tomów „Przewodnika telewizyjnego”. Stu pomyślał, że może uspią go te głupie fabułki o Dacku Prisie.

Był przy drugim tomie, gdy faktycznie poczuł senność. Powieki mu opadały. Lektura

trzeciego tomu strasznie go znudziła.

Nagle coś sobie uświadomił i mimo zmęczenia szeroko otworzył oczy.

Słowa, zdania... Coś!

Usiadł prosto. Czuł się całkowicie rozbudzony.

Trzeba ponownie przeczytać... przemyśleć... Czy powinien od razu zadzwonić do Petry?

Dziwne... Może to nic ważnego... Jednak...

Nawet nie wiedział, gdzie jest Petra. Pewnie nieuchwytna. Zastanowił się, czy może zaufać własnej intuicji.

Koniecznym powinien znaleźć Petrę. W najgorszym razie zmarnuje trochę czasu.

Marnowanie czasu stawało się powoli jego nowym hobby.

Rozdział 72

Biały gliniarz potraktował go bardzo poważnie.

Nareszcie. Właśnie to słowo Żukanow wymówił, gdy mężczyzna pojawił się przy jego kontuarze, tuż przed zamknięciem budy. Pokazał odznakę i portret pamięciowy dzieciaka.

- Nareszcie.

- Słucham?

- Rozmawiałem już z jednym waszym człowiekiem, ale nie oddzwonił. Czarny detektyw.

Biały gliniarz przyglądał mu się przez chwilę.

- Tak, proszę pana, wiem.

- Czego pan chce? - spytał Żukanow.

- Ponownie wszystko sprawdzam, proszę pana. - Gliniarz oparł łokcie na ladzie i położył gazetę. Spory facet, blondyn, rumiany na twarzy, w ciemnym garniturze i podobnym w odcieniu krawacie. Przypominał Żukanowowi pułkownika, z którym kiedyś pracował jeszcze w Rosji przy tłumieniu demonstracji, prawdziwego sadystę. Pułkownik uwielbiał wyłamywać więźniom stawy, wiedział, jak spowodować ogromny ból, tylko raz przekręcając nadgarstek... Borokowski. Ten policjant bardzo przypominał Borokowskiego. Czyżby miał rosyjskie pochodzenie? Nazywał się detektyw D. A. Price, ale mógł przecież zmienić nazwisko.

- Ponownie? Jak to możliwe, że nikt nie chce ze mną rozmawiać, a jednak moje informacje trafiają do telewizji?

- Tak się prowadzi śledztwo w wydziale zabójstw, proszę pana. Musimy zachować

ostrożność - odparł jasnowłosy gliniarz, patrząc ponad ramieniem Rosjanina na półki z zabawkami.

Mimo iż facet zwracał się do niego z wręcz przesadną uprzejmością, Żukanow czuł się początkowo nieco ośmieszany. Ten protekcyjny ton... Zdenerwował się. Tłusciuch też nie traktował go na serio i gdzie skończył!

Upłynęło już parę godzin od jego śmierci. Rosjanin przemyślał sobie wszystko i tak, tak, czuł się dobrze, że go zabił... Nawet doskonale! Syberyjski wilk uśmierca swoją zdobycz, nurza pysk we krwi, wyje do księżycy. Podczas krojenia ciała Żukanow czuł się naprawdę świetnie.

Umieszczenie zwłok w samochodzie i późniejsze wyjęcie ich z auta okazało się prawdziwą torturą. Rosjanina jeszcze teraz bolały mięśnie pleców i ramion. Rozczłonkowanie również okazało się skomplikowane. Powinien był lepiej naostrzyć kuchenne noże. Tasak powinien gładko przeciąć stawy, a jednak kilkakrotnie utknął.

Głowę wszakże udało się odciąć dużo łatwiej niż Żukanow sądził. Odtoczyła się jak piłka futbolowa. Oczy trupa pozostały otwarte. Zabawne! Żukanow miał ochotę ją pokopać, wiedział jednak, że musi się jej pozbyć, podobnie jak palców z odciskami. Resztę zwłok gliniarze mogą znaleźć. Planował zabrać głowę ze sobą, gdzieś, gdzie nikt nigdy by jej nie znalazł, niestety plany pokrzyżowali mu kręcący się po lesie skauci; wrzeszczeli jak pijani. Teraz więc gliniarze mieli i korpus, i głowę. Może dowiedzą się, kim był tłusciuch. Wielka sprawa! Rosjanina nic z tym facetem nie łączyło. Wytarł całą krew z budy. Gliniarz pochylał się teraz o tę samą ladę. Nie pozostał żaden ślad.

Żukanow zapanował nad uśmiechem. Wrzucił każdy z pięciu noży do innej studzienki kanalizacyjnej - od Valencii aż po Van Nuys. Ubranie tłusciucha i portfel trafiły na śmietnisko w pobliżu Fairfax i Melrose - niech policja obwini Żydków.

W portfelu nie było banknotów, tylko prawo jazdy i ładne zdjęcie nagiej dziewczyny z rozłożonymi nogami; Rosjanin schował fotkę do kieszeni. Prawo jazdy wsunął do kolejnego kanału. Tłusciuch nazywał się Moran. No i co z tego?!

Po powrocie do domu Żukanow wyprał zakrwawione ubranie, wziął prysznic, przekąsił coś, rozłożył pistolet i obejrzał go; ciągle nie wiedział, co jest nie w porządku z tą bronią. Potem wypił kilka szklaneczek wódki i o trzeciej rano padł. Pięć godzin później stał już za ladą budy. Cekał, aż Żydki wrócą z dzieciakiem. Jeśli nie wrócą, w poniedziałek wybierze się do lokalnego oddziału Departamentu Pojazdów Mechanicznych.

Samochód przyjechał o dziewiątej i wjechał za żydowski kościół. Rosjanin wiedział, że teraz Żydki jak zwykle będą się modlić - mniej więcej do jedenastej. Co piętnaście minut

sprawdzał aleję. W końcu dostrzegł starego faceta, który ukrywał chłopaka; wychodził ze starą kobietą. Odjechali; Żukanow pojechał za nimi swoim samochodem. Nie zauważyli go - zbyt byli pochłonięci rozmową.

Teraz więc miał adres, który nie kosztował go ani centa. Sunrise Court 23.

Nie zapisał go, nie był już taki głupi jak wtedy, gdy sprawdził tablicę rejestracyjną. Nikt nie pozna miejsca pobytu dzieciaka, chyba że zapłaci za tę wiadomość.

Sam siebie podziwiał za spokój, z jakim stawiał czoło białemu gliniarzowi. Chociaż gdyby facet pokazał mu tylko odznakę, gdyby nie miał ze sobą portretu chłopca... Co, do diabła, Żukanow by zrobił, gdyby policjant wypytywał o Morana? Jak by się zachował?

- Wszystko powiedziałem tamtemu czarnemu facetowi - powtórzył Rosjanin. - Nie oddzwonił do mnie.

- Przykro mi, proszę pana. Jesteśmy ogromnie zajęci...

- Wy szukacie chłopaka - mruknął - a ja go widuję.

- Widział go pan podobno kilka dni temu.

- Może i tak. - Żukanow uśmiechnął się pod nosem.

- Może?

- Może znowu go widziałem.

Blondyn wyjął mały notesik.

- Kiedy, proszę pana?

- Powiedziałem już pańskiemu czarnemu koledze, a on nie oddzwonił.

Gliniarz zmarszczył brwi i pochylił się trochę bliżej Rosjanina.

- Proszę pana, jeśli ma pan informacje...

- No, nie wiem - warknął Żukanow, wruszając ramionami. - Może zapomniałem. Tak jak tamten czarny zapomniał do mnie zadzwonić.

Gliniarz zamknął notes. Wyglądał na zakłopotanego, lecz uśmiechał się.

- Chyba rozumiem pańską frustrację. Czasami mamy tak wiele pracy, że nie doprowadzamy zaczętych spraw do końca. Jeśli ktoś nie dotrzymał obietnicy, jestem gotów...

- Każdą sprawę należy doprowadzić do końca. To ważne - pouczył policjanta Żukanow, niepewny o co chodzi. - Ale pieniądze również się liczą.

- Pieniądze? - spytał gliniarz.

- Dwadzieścia pięć tysięcy.

- Ach - mruknął gliniarz. - Jasne. Jeśli znajdziemy chłopca i okaże się pomocny, pieniądze są pańskie. Przynajmniej tak mi powiedziano.

- Nic o tym nie wiem.

- Widziałem formularze. Podpisał je mój kapitan. Jeśli chce pan do niego zadzwonić...

- Nie, nie - przerwał mu Żukanow. - Chciałbym jedynie dostać tę forszę, rozumie pan? Może wiem coś więcej, niż powiedziałem temu czarnemu, lecz co się stanie, jeśli dzieciak ucieknie i go nie znajdziecie? Co wtedy?

- Jeśli pańskie informacje są rzetelne, otrzyma pan część nagrody - wyjaśnił gliniarz. - Część z dwudziestu pięciu tysięcy. Zawsze tak postępujemy. Nie twierdzą, że na pewno dostanie pan całą sumę, jednak...

- Jak dużą część?

- Nie wiem, proszę pana, lecz zazwyczaj w takich sytuacjach procent wynosi od jednej trzeciej do połowy... Zapewne dziesięć, dwanaście tysięcy. Ale jeśli znajdziemy chłopaka pod wskazanym przez pana adresem, otrzyma pan całe dwadzieścia pięć tysięcy... Lepiej niech pan jednak porozmawia z moim kapitanem...

- Nie, nie - przerwał mu Żukanow, myśląc: „Jeśli ten stary Żydek wziął dzieciaka ze sobą do domu, dzieciak i tak może uciec. Lepiej się pospieszyć”. - Chcę, żeby pan to spisał.

- Co takiego?

- To, co pan powiedział. Dziesięć, dwanaście tysięcy dla Żukanowa, jeśli zdradzi adres, całe dwadzieścia pięć tysięcy, gdy dzieciak znajdzie się we wskazanym miejscu.

- Ależ, proszę pana - bronił się blondas. Westchnął. - Nie jestem w stanie... Ach, zresztą, w porządku, proszę bardzo.

Wydarł kartkę z notesu.

- Jak się pisze pańskie nazwisko? - spytał.

Żukanow przeliterował.

Blond gliniarz napisał starannie:

*

Gwarantuje się, że panu W. Żukanowowi przysługuje dwanaście tysięcy dolarów za jego informację o miejscu pobytu zaginionego chłopca, nieznanego z nazwiska, związanego ze sprawą L. Ramsey, paragraf 187 Kodeksu Karnego. Jeśli informacje pana W. Żukanowa doprowadzą bezpośrednio do chłopca, informacje chłopca zaś pomogą w ujęciu podejrzanego, panu W. Żukanowowi należy się dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

Detektyw D. A. Price.

odznaka numer 19823

- Proszę - powiedział gliniarz. - Ale szczerze mówiąc, nie mogę obiecać panu, że to wiele znaczy...

Żukanow chwycił notkę, przeczytał ją i wepchnął do kieszeni spodni. Teraz zawarł kontrakt. Jeśli policyjne dranie sprawią mu kłopoty, wynajmie Johnniego Cochran'a i poda ich do sądu.

- Wiem, gdzie jest dzieciak - odezwał się. - Moja informacja jest warta całych dwudziestu pięciu tysięcy.

Blondyn czekał z przygotowanym piórem.

- Żydki... To znaczy Żydzi stamtąd go mają. - Wskazał w kierunku południowym, ku synagodze. - Tam stoi ich kościół. Jeden stary Żyd go w nim ukrywał, a potem zabrał do domu.

- Widział pan to? - spytał gliniarz. Podniósł głowę i wyprostował ramiona.

- Jasne. Dziś rano wsiadłem w samochód i pojechałem za starym do jego domu.

- Dobra robota, panie Żukanow. Mógłby pan być detektywem.

- W Rosji byłem policjantem.

- Doprawdy? No cóż, dostanie pan swoje pieniądze, proszę pana. Dziękuję. Proszę mi wierzyć, mogę zapewnić panu każdego centa z tych dwudziestu pięciu tysięcy dolarów.

- Świetnie - odparł Żukanow. Triumf wilka!

- Jaki to adres? - spytał blond gliniarz.

- Sunrise Court 23. - Adres za dwadzieścia pięć tysięcy.

- To tutaj w Venice?

- Tak, tak, niedaleko. - Idiota, nie zna własnego miasta. Żukanow zgiął kciuk. - Od alei pojedzie pan autostradą, potem do Pacific Coastal. Dom stoi pięć przecznic dalej.

- Doskonale. - Gliniarz zamknął notes. - Był pan ogromnie pomocny, panie Żukanow... A kiedy użył pan określenia „aleja”, miał pan na myśli tamtą?

- Tak, tak... Pokażę panu.

Przeskoczył ponad ladą - naładowany adrenaliną, mimo obolałych kończyn - i poprowadził blondasa za budę. Obok skrzyń na śmieci. Gdyby tylko ten facet wiedział, co w nich leżało wczoraj.

- O tam - wskazał. - Tam jest ten żydowski kościół, gdzie widziałem samochód. Okej?

- Jakiej marki?

- Lincoln. Biały z brązowym dachem.

- Rocznik?

- To bez znaczenia, mam dla pana coś lepszego. - Uśmiechając się, Żukanow

wyrecytował numer rejestracyjny. Gliniarz nabazgrał go w ciemnościach. - Tak czy owak go znajdziecie.

- Teraz na północ - powiedział gliniarz.

- Tak, tak, prosto w górę autostradą, a potem Pacific Coastal pięć przecznic.

Gliniarz powtórzył instrukcję, naprawdę z siebie dumny.

- Dokładnie - podniecił się Żukanow. Idź, znajdź go, ty głupi draniu. Podaję ci go na talerzu!

Gliniarz schował notes i wyciągnął rękę.

- Dziękuję panu.

Uścisnęli sobie dłonie. Mocny, męski uścisk. Gdyby gliniarz tylko wiedział, że ta ręka, którą teraz ścisnął, jeszcze kilka godzin temu była zakrwawiona aż po łokieć. Żukanow spróbował przerwać uścisk, skłonić faceta do odejścia, nie udało mu się jednak: gliniarz trzymał go, szarpał i przyciągał do siebie... O co mu, do diabła, chodziło? Uśmiechał się, jakby zamierzał go pocałować. Coś było nie w porządku, coś było złe!

Żukanow starał się wyrwać.

Blondyn chwycił go za nadgarstek, wykręcił rękę, stawy trzasnęły i Rosjanin poczuł straszliwy ból od koniuszków palców aż po uszy. Jeden szybki ruch, dokładnie tak samo robił pułkownik Borokowski. Żukanow krzyknął mimowolnie i nagle poczuł straszliwy ból w brzuchu.

Ból wzrastał się, był coraz gorszy, wręcz palił wnętrzności Rosjanina, rozszerzał się po nich niczym pożar lasu na wietrze.

Zaczął się tuż pod pępkiem, potem rozprzestrzenił się w górę jak płonąca lina. Nagle Żukanow poczuł chłód, zupełnie nieznaną mu dotąd odczucie - zimne powietrze wiało... w jego wnętrzu, głęboko w środku i wiedział już, co się stało. Blondyn wbił mu nóż w trzewia, rozcinał je, patroszył. Rosjanin zabił niedawno tłustego drania, a teraz ktoś inny potraktował go identycznie. I nie mógł zrobić nic, zupełnie nic. Leżał i cierpiał.

W ostatniej sekundzie przed śmiercią poczuł rękę przeciwnika. Wsunęła mu się do kieszeni.

Wyłowiła kontrakt. Kłamca! Oszust! Nie będzie pieniędzy...

Rozdział 73

Zostałem sam w domu, ale nie czuję się źle. To zupełnie odmienny rodzaj samotności od tej w parku. I od tej w Watson.

Mam do dyspozycji kilka pomieszczeń, mam książki, ktoś mi ufa. Co jakiś czas słyszę kroki na chodniku przed budynkiem, czyjs głos, śmiech albo przejeżdżający samochód. Ludzie mnie jednak nie niepokoją. Jestem w domu, drzwi są zamknięte. Nie budzę się w nocy, nie rozglądam. Mogę czytać bez latarki.

Wiele rozmyślałem o całej sprawie i wiem, że Sam ma rację. Jutro znajdę telefon i zadzwonię na policję. Opowiem o PLYR 1. Może zadzwonię również do mamy. Powiem jej, że dobrze się czuję, poproszę, żeby się nie martwiła, dodam, że radzę sobie dobrze, że pewnego dnia wrócę, a wtedy będę potrafił zapewnić jej utrzymanie.

Jak zareaguje? Co zrobi? Rozpłacze się? Wścieknie na mnie? Będzie mnie błagała, żebym wrócił?

Albo, co gorsza... w ogóle nie będzie mnie błagała?! Rany, chyba choć trochę za mną tęskni.

Porzucam te myśli, wyciągam nogi na otomanie, naciągam na kolana narzutę, zaczynam czytać następny numer czasopisma „Life”. Główny artykuł poświęcono Johnowi Kennedy'emu i jego rodzinie; zdjęcie: piękna, szczęśliwa gromadka na plaży.

Plaża kalifornijska, ten sam piasek, tylko chyba nieco na północ stąd. Mógłbym tam pójść, obejrzeć to miejsce, poudawać, że jestem Johnem Kennedym. Szybko bym wrócił...

Nie, nie, przyrzekłem przecież Samowi, że tu zostanę, chociaż podał mi kod alarmu.

1-1-2-5. Wstaję i próbuję. Pojawia się zielone światelko.

Czerwone, zielone, czerwone.

Zielone. Otwieram drzwi, wciągam do nosa zapach soli, zapach plaży. Na zewnątrz nie ma nikogo; większość domów jest pogrążona w ciemnościach.

Wychodzę na ganek. Czuję zimno i ogromny strach.

Wracam do domu. Dlaczego tak bardzo przeraziło mnie zwyczajne wyjście z domu?

Później znowu spróbuję. Na razie wracam do Kennedych.

Rozdział 74

Właściciel chińskiej restauracji nie pamiętał Balcha. Petra i Wil zamówili krokiety wiosenne na wynos i zjedli je w samochodzie. Postanowili pojechać oddzielnie do Venice i spotkać się na skrzyżowaniu Pacific Coastal i Rose; potem pójdą razem do budki Żukanowa.

Petra zadzwoniła na posterunek.

- Detektyw Bishop dzwonił do pani pół godziny temu - oznajmiła sekretarka.

Czyżby Stu dowiedział się czegoś na temat lotu Balcha?

Szpitalna telefonistka nie chciała połączyć Petry.

- Po dwudziestej pierwszej nie łączymy do pacjentów po operacjach, proszę pani.

- Jestem policjantką i oddzwaniam na prośbę mojego partnera, detektywa Stuarta Bishopa.

- Czy pan Bishop jest naszym pacjentem?

- Nie, leży u was jego żona.

- W takim razie przykro mi, ale nie mogę pani połączyć.

- Chcę porozmawiać z pani przełożonym.

- Ja jestem tutaj przełożoną. Zasady ustanowiono dla dobra naszych pacjentów i ich komfortu. Jeśli pani sobie życzy, mogę przekazać panu Bishopowi, że pani dzwoniła.

- Świetnie, poczekam.

- Nie może pani. To trochę potrwa. Mamy niedobór personelu i nie wolno nam blokować linii. Skoro to takie ważne, jestem pewna, że partner do pani oddzwoni.

- Jasne - warknęła Petra. - Przyjemnej nocy.

Wróciła do samochodu i ruszyła. Miała nadzieję, że informacje Stu nie były szczególnie ważne. Nawet jeśli znalazł rezerwację lotniczą, Petra miała wątpliwości, czy Balch pojawi się w samolocie. Telefon do Westward Charter prawdopodobnie miał ich tylko zmylić. Balch postępował zbyt ostrożnie we wszystkich pozostałych sprawach, by popełnić tak naiwny błąd w tej jednej.

Tak swoją drogą, co to oznaczało?

Gdzieś się ukrył, lecz z pewnością nie w Las Vegas. W Vegas brał swój drugi ślub. Jutro Petra spróbuje się skontaktować z Amber Leigh. I z Helen. Dowie się, dlaczego się rozwiodły z Balchem. Wypyta o jego zbrocenia, nałogi i humory, słowem o wszystko, co mogłoby

wskazywać, że facet jest zdolny do morderstwa.

Czyżby ukrył się w... leśnej chacie? Zabójca w stylu Thoreau? Jeśli policja nie znajdzie wkrótce żadnych tropów, Schoelkopf pewnie pójdzie prosto do programu „Najbardziej poszukiwani ludzie Ameryki”. Zresztą, kto wie, czy nie byłby to najlepszy sposób zakończenia tej sprawy. Petra i Wil odzyskaliby spokój. Spokój odzyskałby również William Bradley Straight, obecnie osierocony, biedny, bezdomny dzieciak.

A teraz domniemanego mordercę jego matki ktoś zarznął niczym nędznego wieprza, którym zresztą zapewne był.

Jeden przestępca mniej. Na myśl o nim Petra poczuła nagle ponurą satysfakcję.

Która oczywiście nie powstrzyma jej przed gonitwą za mordercą-rzeźnikiem.

Rozdział 75

Ładny mały domek. We frontowym pokoju włączone światło, lecz przyćmione. Lincoln zaparkowany na tyłach.

Zatem starzec z dzieciakiem byli w domu. Czy facet jest żonaty? Żukanow nie wspominał o żonie, ale fakt ten nic nie znaczył, ponieważ stary mógł zostawić ją w domu, gdy szedł do świątyni. Może leżała chora albo była inwalidką.

Łatwizna.

Po głębszym namyśle uznał, że deptak sprzyja jego planom. Wprawdzie nie było samochodów, za którymi mógłby się ukryć, lecz z drugiej strony nie musiał się obawiać kierowców. Podczas trzydziestu minut, które poświęcił na obserwację domu z trzech różnych miejsc, nie dostrzegł również żadnych pieszych.

Poszedł ponownie na tylną aleję. Gumowe podeszwy tłumiły jego kroki. Nowe buty do biegania. Wypróbował je wcześniej - sprawdził, czy nie skrzypią.

Zrzucił tandetny kostium tajniaka i przebrał się w czarny dres i czarną wiatrówkę z kieszeniami. Furgonetka, wynajęta w nielegalnej wypożyczalni przy lotnisku, okazała się idealną garderobą. Zapłacił gotówką, nie okazał żadnego dowodu tożsamości, zostawił właścicielowi dodatkowe pięćset dolarów w gotówce jako zastaw. Pięćsetka, której już nie odzyska. Ale było warto tyle zapłacić. Zaparkował furgonetkę cztery przecznice stąd, na wschód od Main, na willowej uliczce.

Odbył przyjemny spacer do Sunrise Court. Plażowe powietrze było intensywne i

orzeźwiająca. Nigdy nie mieszkał przy plaży. Może pewnego dnia...

W kuchni również paliło się światło. Dwudziesta druga trzydzieści osiem. Nie spali czy zostawili światło jedynie dla bezpieczeństwa? Prawdopodobnie chodziło o tę drugą możliwość, ponieważ w kuchni nikogo nie było.

Dlaczego stary przyjął dzieciaka do siebie? Był jego krewnym? Chłopak na rysunku nie wyglądał na Żyda, ale nigdy nic nie wiadomo. Nie, gdyby był krewnym małego, na pewno zgłosiłby się po nagrodę!

Miłosierny Samarytanin? Postępował zgodnie z zasadami swojej religii? Udzielił dziecku schronienia w świątyni? Czy Żydzi zawsze tak się zachowywali? Jacy właściwie byli? Nie miał pojęcia. Wrócił do frontowych drzwi i ukrył się za kępą krzewów, po czym dalej wpatrywał się w dom.

Jak to zrobić?

Musi zaatakować znienacka. To był jedyny sposób. Po prostu wtargnie do domu. Tak postępowali gangsterzy, szczególnie Azjaci. Dom był mały. Ile mogło w nim być pomieszczeń?

Najlepszą bronią byłby w tej sytuacji nóż, ponieważ zabijał bezgłośnie, lecz bieganie od pokoju do pokoju z nożem wydawało się niebezpieczne. Chociaż ofiara była dzieckiem, zawsze istniało ryzyko, że ucieknie.

Alternatywę stanowił glock, ale pistolet oznaczał hałas. Venice była znana z przestępczości, sam słyszał o gangach na Ocean Front; nawet podczas dzisiejszej obserwacji widział facetów o wyglądzie gangsterów. Sąsiedzi byli więc prawdopodobnie przyzwyczajeni do nocnych strzałów. Jednak na takiej uliczce jak ta, gdzie domy stały bardzo blisko siebie, wersja z glockiem mogła okazać się trudna. Włamię się, zastrzelił dzieciaka, porzuci broń i natychmiast ucieknie do furgonetki.

Ryzykowne!

Ale przy tym podniecające! Ryzyko stanowiło nieodłączną część zabawy, jeden z jej dwóch podstawowych elementów. Drugim było poczucie dumy, że po prostu jest w stanie tego dokonać.

Wiedział już, co zrobi. Wpadnie do budynku niczym świetnie wyszkolony komandos. Jedną ręką na nożu, drugą na pistolecie. Jeśli w środku przebywa jedynie dzieciak i starzec, w dodatku jeżeli siedzą w jednym pomieszczeniu, nóż prawdopodobnie wystarczy. Pistolet weźmie na wypadek ewentualnych komplikacji.

Zdecydował, że najpewniej wejdzie od tyłu.

Deptak miał jeszcze jedną zaletę - wszyscy parkowali za domami, więc swobodnie można

było chodzić aleją; nikt nie uważał tego za dziwne. Jeśli ktoś go zauważy, uda odprężonego faceta, który wyszedł pospacerować, uda, że mieszka gdzieś w okolicy. Zabrzęczy kluczami i skieruje się do jednego z aut. Miał nadzieję, że jego wygląd - biały mężczyzna w sportowym stroju - nie powinien nikogo zaniepokoić.

Bolały go kolana. Zbyt długo kucał. Stawy odmawiały mu posłuszeństwa. Lisa twierdziła, że koka jest znakomitym środkiem znieczulającym. Podobno dentyści używali narkotyku do smarowania dziąseł. Lisa nieustannie namawiała go do skosztowania. Pieprzyć Lisę. Kupował jej kokę, patrzył, jak czerwienieje jej mały ostry nosek; gdy była na haju, próbował się z nią zabawić, niestety przeważnie nic mu z tego nie wychodziło... Nie tylko stawy odmawiały mu posłuszeństwa.

Porzucił próżne rozważania. Czas skupić się na robocie.

Przeczekał ból. W porządku. Był gotów do akcji.

Już miał wrócić za dom, gdy otworzyły się frontowe drzwi i ktoś wyszedł na patio.

Rozejrzał się.

Dzieciak!

Idealnie! Wystarczy przebiec chodnik, złapać małego, podciąć mu gardło i spokojnie odejść. Bóg wyraźnie mu sprzyjał!

Niestety, gdy był już gotów do skoku, dzieciak wbiegł z powrotem do domu.

Wystraszył się?

Powinieneś, synu, masz się czego bać!

Rozdział 76

- To tutaj - oświadczył Wil. Czekał z telefonem przy uchu.

Deptak Ocean Front był słabo oświetlony i opustoszały. Petra z trudem dostrzegła budkę z pamiątkami. Kiedy podeszli bliżej, zobaczyła, że buda jest maleńka i zdezelowana. Frontowa żaluzja była zasunięta.

- Okej - rzucił Wil do telefonu, po czym oznajmił Petrze: - Mam jego domowy adres. Zachodnie Hollywood. Oczywiście!

Stali sześć metrów od budy. W odległości przynajmniej stu metrów na deptaku nie było nikogo widać. Po drodze - na skrzyżowaniu Paloma i autostrady - minęli jedynie samotnego bezdomnego, Petra zauważyła też, że ktoś siedział na ławce od strony północnej, na ich widok

wstał jednak i odszedł, powłócząc nogami. Fale jednostajnie szumiały, w ciemności plaża błyszczała jak lodowisko.

Już mieli zawrócić, kiedy Petra coś zauważyła. Pięć centymetrów prześwitu pod żaluzją. Błaszka, przyspawana do stalowej rolety w prawym dolnym rogu, zahaczona była o skobel przy ladzie. Ale kłódki nie było widać.

Policjantka wyjęła broń i pospieszyła do przodu. Wil podążył za nią. Skomplikowany zamek, ale otwarty. Petra zajrzała do środka przez szczelinę. Mimo panującego mroku rozróżniała niektóre przedmioty. Plastikowe prostokąty zwisały z wieszaków... Pocztówki. I czapki. Taką samą kupił sobie William Straight.

Wycofała się, przeszła na drugą stronę Ocean Front i przypatrując się stoisku, powiedziała cicho do Wila:

- Są ślady włamania. Musimy wejść do środka.

- Masz rację - odparł. - Tyle że facet może być świrem i czaić się wewnątrz... Sprawdźmy najpierw tyły.

Wyjęli latarki i ruszyli od północnej strony za budkę. Było cholernie ciemno i cicho. W pracy detektywa Petra najbardziej lubiła główkowanie, rozgryzanie psychiki przestępcy, najmniej zaś podkradanie się z bronią - czuła się jak bohaterka kiczowatego serialu o policjantach.

Za budynkiem stały dwie ogromne pakowe skrzynie o drewnianych bokach i pokrywach z listewek. W świetle latarki Petry pojawił się napis - skrzynie pochodziły z doków w Long Beach.

Tylne drzwi budy były zaryglowane, wisiała na nich pokaźna kłódka. Z pewnością nikogo nie było w środku. Może nie mieli do czynienia z włamaniem, a tylko z jakimś przypadkowym... Pakowe skrzynie cuchnęły śmieciami. Przy sąsiednich budkach stały normalne, zgodne z miejskimi przepisami metalowe lub plastikowe śmietniki. Czyżby Rosjanin chciał zaoszczędzić trochę grosza?

Listewkowy wierzch skrzyni łatwo się podnosił. Petra wsunęła pod klapę czubek buta, poniosła klapę pierwszej skrzyni, zajrzała do środka. Pusto.

W drugiej skrzyni znalazła ciało Żukanowa. Mężczyzna leżał na wznak na stosie śmieci. Usta miał otwarte w typowej dla trupów głupawej minie, jedno ramię wyciągnięte, drugie zgięte za głową pod dziwacznym kątem; gdyby żył, pozycja byłaby bolesna nie do zniesienia.

Mnóstwo ran kłutych, rozcięty brzuch. W świetle latarki jelita wyglądały jak przekarmione węgorze.

Śmierć zadano mu w identyczny sposób jak Lisie.

Zatem Balch wcale nie opuścił miasta; telefon do firmy czarterowej miał zmylić policję - dokładnie tak jak Petra podejrzewała... Po co więc Stu do niej telefonował?!

Nie miała czasu na zastanowienie. Przesunęła latarkę w górę, oświetlając teren za śmieciami. Na stercie papierów również dostrzegła krew, ogromny, karmazynowy podłużny rozprysk krwi.

Wil także to zauważył. Plamy i krwawe smugi na przedzie skrzyni, ogromna kałuża na ziemi. Petra stała w niej, cholera! Jak mogła nie zauważyć?!

Zadzwonili do wydziału przy Pacific; kazano im zabezpieczyć miejsce zbrodni. Musieli jakiś czas poczekać na lokalne władze, ponieważ na Oakwood doszło do strzelaniny; niektóre z ofiar jeszcze żyły.

W budzie nie znaleźli jakichkolwiek śladów włamania; wszędzie stosy głupawych zabawek, na tyłach magazyn z krzesłem i małym stolikiem zawałonym pokwitowaniami i paragonami. Kurtka z napisem Planet Hollywood wisiała na wbitym w ścianę gwoździu. Na sąsiednich gwoździach tkwiły nunczaka, połówka kija baseballowego ze skórzanym paskiem i zmatowiały mosiężny kastet.

Rosjanin gotów na wojnę. Najwyraźniej ktoś dopadł go z zaskoczenia.

Co nieco tłumaczył rząd butelek stojących w rogu. Tani rosyjski alkohol, szarawe etykiety, mętna wódka. Jedna z butelek była prawie całkowicie opróżniona. Najwyraźniej Żukanow nieźle popijał, pewnie dlatego nie zdołał się obronić. Zabił Morana w alkoholowym amoku?

O ile w ogóle to zrobił. Może Moran był jego koleś, łącznikiem narkotykowym i razem chcieli zdobyć dwadzieścia pięć tysięcy.

Balch ich rozszyfrował i obu wykończył?

W takim razie po co męczyłby się z ciałem Morana, ciągnąc je aż do Angeles Crest Forest, podczas gdy zwłoki Żukanowa porzucił tutaj, w miejscu, gdzie na pewno zostaną znalezione?

„Zobaczcie, co potrafię!”

Rana cięta brzucha Żukanowa przypominała rany Lisy i Ilse. Zabójstwo Morana zaś nie pasowało do tego schematu. Tego ostatniego chyba zatem uśmiercił Rosjanin. A Balch zamordował Żukanowa.

Mógł istnieć tylko jeden powód: Rosjanin wiedział coś ważnego o Williamie Bradleyu Straightie.

Wilowi powiedział tylko, że chłopiec kupił u niego czapkę.

Nie była to na tyle cenna wiadomość, by dla niej zabić.

Czy Rosjanin zachował dla siebie jakieś inne informacje? Czy wiedział więcej?

Petra podzieliła się swoimi wątpliwościami z Wilem, który stał we frontowym pomieszczeniu i badał ścianę pod ladą; szukał śladów krwi.

Petra mówiła obłędnie szybko, niezrozumiałym nawet dla siebie podnieconym głosem. Wil wysłuchał jej spokojnie, po czym spytał:

- Sądzisz, że Żukanow ponownie widział chłopca? Że odkrył kryjówkę małego? Tylko jak Balch się tego dowiedział?

- Nie wiem. Ale wyraźnie go zaskoczył. Może walczyli. Albo Żukanow był kompletnie zalany. Mógł też go czymś skusić. Facet kompletnie oszalał na punkcie nagrody. Pewnie wystarczyło wspomnieć o pieniądzach i przestawał logicznie myśleć.

- Skusić - powtórzył Wil. - Spytał o chłopca, podając się za kogoś, kto mógłby legalnie załatwić pieniądze?

- Tak - zgodziła się Petra. - Za pracownika społecznego lub... gliniarza. Może Balch podał się za gliniarza.

Wil zastanowił się.

- Wystarczy tani garnitur i fałszywa odznaka. Tak, to ma sens. Zachłanność Żukanowa dopełniła reszty. Po co jednak Balch ryzykował kolejne morderstwo teraz, kiedy wie, że go poszukujemy?

- Przecież wystawił nas do wiatru. Zresztą, może nawet nie wie, że jest ścigany - rzuciła Petra. - Mógł uznać, że jeśli dzięki Rosjaninowi trafi do chłopca, gra jest warta świeczki. Sądzę, że Żukanow wiedział sporo o małym Billym.

Wróciła do magazynu i zaczęła go nerwowo, wręcz szaleńczo przeszukiwać. Zabawki, wszędzie kretyńskie zabawki... Rany, jak to możliwe, że taki zwyrodnialec jak Żukanow handlował dziecięcymi zabawkami... Kieszeń kurtki z napisem Planet Hollywood była pusta. Stolik... Pokwitowania. Petra złapała cały plik i zaczęła je przeglądać.

Dziesięć karteluszek. Znalazła fakturę bez cen i bez dat. Tylko jedna linijka chwiejnego pisma:

2RTRM34

Numer rejestracyjny? Czyżby Rosjanin dostrzegł Williama Straighta w samochodzie i zapisał numer tablicy? Powszechnie wiedzieli, że wśród urzędników Departamentu Pojazdów Mechanicznych szerzy się korupcja. Kilka miesięcy temu gazety rozpisywały się o wielkim

skandalu łapówkowym. Dla takiego oślizgłego cwaniaka jak Żukanow zdobycie adresu właściciela auta z pewnością byłoby błahostką. Potraktowałby łapówkę jako inwestycję.

Petra przetrząsnęła budę w poszukiwaniu telefonu. Bez skutku. Cóż za nędzna nora. Fournier nadal szukał śladów krwi.

Petra pożyczyla od niego telefon... Jaki był nocny numer do Departamentu Pojazdów? W końcu sobie przypomniała.

Długo musiała przekonywać urzędniczkę, która okazała się przesadną formalistką.

„Panie, ochroń mnie przed ludźmi, którzy kochają przepisy”.

Na szczęście już niewielka stanowczość wystarczyła. Kobieta kliknęła kilka razy komputerową myszą i przekazała policjantce potrzebne dane. Samuel Morris Ganzer, Sunrise Court 23, Venice.

Urodzony w 1925.

Stary.

Czyżby William znalazł sobie opiekuna?

Rozdział 77

Lincoln stał zaparkowany kilka centymetrów od tylnej ściany domu. Po przednim zderzaku łatwo byłoby się wspiąć do okna.

Na oknie wisiały zasłony, choć nie były szczelnie zaciągnięte. Był stąd idealny widok na kuchnię, głównie dzięki niewielkiej świetlówce nad kuchenką. Widać było także salon, oddzielony jedynie sięgającą do pasa ladą. Stojąca lampa rzucała mroczne cienie na szary dywan. Światło, choć słabe, wystarczało, by dojrzał frontowe drzwi. Po prawej stronie zauważył czerwony punkcik. Cholera, alarm. Kiepsko! Dobrze jednak, że w porę dowiedział się o jego istnieniu.

Po lewej stronie znajdowały się trzy pary drzwi: prawdopodobnie dwie sypialnie i łazienka. Wąski korytarz, maleńkie pokoiki. Świetnie, w małym pomieszczeniu łatwiej się dźga nożem.

I to był cały rozkład domu. Doskonale...

Nie zauważył nigdzie chłopca, który wcześniej wyszedł na ganek. Ani starego Żyda. Drzwi do obu sypialni były zamknięte. Chłopak i starzec - z żoną czy też bez - spali? Albo stary był pedałem i chłopak z nim spał.

To wyjaśniałoby, dlaczego zabrał go do domu.

Jeśli śpią, to świetnie! Wystarczy wpaść do środka, otworzyć drzwi sypialni, machnąć kilka razy ostrzem i zniknąć bez śladu.

Przedtem zdemoluje mieszkanie, ukradnie parę drobiazgów. Policja pomyśli, że to napad rabunkowy.

Zszedł ze zderzaka, czujnie zlustrował aleję, ale nie spostrzegł żadnych intruzów; zbadął tylne drzwi domu. Dwie zasuw. Niedobrze! Gdy jednak naparł na drewno, poczuł, że lekko ustępuje. Jeden albo dwa porządne pchnięcia i zawiasy puszcza. Prawdopodobnie nadwyręży sobie ramię, ale zdążył już do tego przywyknąć. Często w ten sposób radził sobie z przeszkodami. Drzwi były niczym w porównaniu z linią obrony drużyny przeciwnika na futbolowym boisku.

Okej! Więc, do ataku! Nóż załatwi sprawę, jeśli nie wystarczy, trzymał w pogotowiu pistolet. Tak czy owak, powinien wykonać całą akcję w kilka sekund, później pobiegnie na tyły i wtopi się w noc.

Po raz ostatni rzucił okiem na kuchnię.

Był przerażony, niech to! Czuł się zupełnie inaczej, niż wtedy gdy mordował Lisę, Niemkę, Sally czy głupiego Rosjanina. W tamtych sytuacjach sam wybierał scenериę.

Czasem jednak trzeba improwizować.

Ponownie wspiął się na zderzak lincolna. Ciągle się jeszcze wahał. Znowu w górę i z powrotem na dół. Musiał działać, nie miał wyjścia. Jego niepokój gwałtownie rósł i wtedy przypomniał sobie coś. Matkę uderzającą głową o ścianę. Głupia suka! Zasłużyła sobie, by umrzeć w tym głupim kasku.

No dobra, ostatnie spojrzenie... Tym razem zobaczył chłopca... No proszę, cierpliwość się opłaca!

Dzieciak wyszedł ze środkowych drzwi. Była to łazienka, tak jak przypuszczał.

Chudy szczeniak, dość lekki i zapewne słabiutki. Wystarczyłoby raz kopnąć. Obserwował go. Dzieciak wszedł do kuchni, otworzył lodówkę, wyjął coś... Marchewkę.

Umyje ją? Zlew był tuż pod oknem. Trzeba się uchylić!

Kucnął przy zewnętrznej ścianie, usłyszał odgłos odkręcaniej wody. Czyścioszek z tego małego frajera!

Cisza. Dzieciak zakręcił kran.

Odczekał jeszcze chwilę, w końcu podniósł głowę i powtórnie zajrzał do środka. Chłopiec stał w salonie, zwrócony tyłem do kuchennego okna. Jadł marchewkę. Pochłonał połowę, po czym ruszył do frontowych drzwi i wystukał kod na panelu alarmowym...

Cholera, zbyt szybko, nie sposób zauważyć kombinacji.

Dzieciak otworzył drzwi i wyszedł na dwór. Jednak tylko na kilka sekund; wrócił, zamknął drzwi, obrócił się, stając niemal przodem do okna.

Czy mógł go dostrzec tutaj, czającego się za oknem, w ciemnościach? Prawdopodobnie nie, chyba żeby stanął tuż przy szybie. Tak czy owak, trzeba zachować wyjątkową ostrożność i znowu się schylić.

Przeczekał trzydzieści sekund, zanim ośmielił się spojrzeć po raz kolejny. Dzieciak ciągle stał w salonie i chrupał marchew. Nastawił profil niczym do portretu.

Kolejna buzia.

Chłopiec skończył marchewkę, schylił się i podniósł coś z podłogi. Czasopismo. Zdrowo się odżywia, myje warzywa, czyta. Ależ z tego malca wspaniały obywatel!

Tyle że lekkomyślny i nieostrożny! Światełko na alarmowym panelu przy frontowych drzwiach pozostało zielone!

Zapomniał uruchomić ten przeklęty alarm!

Boże, cudowny zbieg okoliczności!

Czas przystąpić do akcji!

Rozdział 78

- Sunrise Court - oznajmiła Petra, przerzucając *Przewodnik Thomasa*.

Wil wyjął z ust wąską latarkę.

- Wiem gdzie jest. To jeden z deptaków.

Stał przed budką i zapisywał w notesie szczegóły dotyczące miejsca zbrodni Żukanowa.

- W którym kierunku? - spytała.

- Na północ, pięć, sześć przecznic stąd.

Numer rejestracyjny i nazwisko Samuela Ganzera nie zrobiło na nim specjalnego wrażenia.

- Facet może być szefem albo klientem Żukanowa. Rosjanin mógł zapisać numer rejestracyjny, by sprawdzić czek.

- Może i tak - przytaknęła bez sprzeciwu Petra, choć intuicja podpowiadała jej coś zupełnie innego. Zamknęła przewodnik po Los Angeles. - No dobra, więc zostajesz tutaj, tak? Dotrzymasz towarzystwa Żukanowowi.

- Taki mam zamiar. Może facet nauczy mnie rosyjskiego.

Rozdział 79

Jest prawie dwudziesta trzecia. Sam powinien wkrótce wrócić. Planowałem poczekać na jego powrót, ale jestem strasznie zmęczony i chyba już pójdę spać.

Prawdopodobnie Sam nieźle się bawi z panią Kleinman. Mógłbym zjeść jeszcze jedną marchewkę, lecz właściwie nie jestem głodny... Może wezmę kolejny prysznic. Nie, raczej nie, nie mogę zużywać zbyt wiele wody.

Wstaję, by wyłączyć lampę w salonie... Może wezmę do łóżka kilka czasopism... O rany! Zapomniałem włączyć alarm!

Kieruję się do panelu, sięgam do przycisków i nagle za sobą słyszę wybuch, potem trzask tłuczonego szkła... Z tyłu domu.

„Och, tylko nie to - myślę. - Czyżbym zostawił włączony piec?”

Nie czuję jednak zapachu gazu ani dymu, a kiedy się odwracam, widzę wielką czarną dziurę w miejscu, gdzie znajdowały się drzwi do kuchni. Drzwi leżą na podłodze i jakiś facet idzie w moją stronę. Jest w domu! Dostrzega mnie, otwiera drzwi od pokoju Sama, zagłada, podchodzi...

Zbliża się do mnie.

Jest cały ubrany na czarno.

Ma niesamowitą, pomarańczowo-różową skórę i blond włosy.

Jest ogromny.

Patrzy na mnie z pogardą. Nie znam go, ale najwyraźniej on zna mnie!

PLYR 1!

Jak to?

O Boże, nie, och, nie! Idzie wprost na mnie i trzyma w ręku nóż... Barczysty różowy facet z nożem. Chcę krzyknąć, lecz głos więźnie mi w gardle. Sięgam do gałki na drzwiach, chwytam jedynie powietrze. Facet podchodzi szybciej, bliżej, ma taki wielki nóż... Biegnę na lewo, ale PLYR zapędza mnie w narożnik. Nie mam, dokąd uciec, za mną są półki z książkami. Muszę coś zrobić - rzucić w niego czymś... Przypomina mi się udany rzut gównem! Tak, książki!

Zaczynam zdejmować je z półek i rzucać w niego z całych sił. Kilka trafia go,

mężczyzna jednak wciąż się do mnie zbliża. Podchodzi całkiem blisko, uśmiecha się okrutnie, zwleka, wyciąga nóż i dźga nim powietrze.

Ciągle w panice wyciągam książki i rzucam w niego. Uderzają go w twarz, w pierś, w żołądek. Facet śmieje się, zbija je wolną ręką, nie przestaje iść. W pokoju jest ciemno, lecz PLYR z pewnością mnie widzi. Stale idzie prosto na mnie.

Próbuję pchnąć mu pod nogi zakurzony tapczan, niestety jest zbyt ciężki.

Facet śmieje się.

Podnoszę wieżę stereo i ciskam nią w niego.

Mój pomysł go zaskakuje. Facet traci równowagę, a wtedy przebiegam obok niego i pędzę do kuchni, ku tylnym drzwiom.

Nagle padam na podłogę.

Coś ściska moją kostkę.

Mój wróg ciągnie mnie, widzę, że zgina kolana, widzę dół jego podbródka, jego ramię, nóż opada...

Wiję się niczym piskorz, bezustannie się wiercę, wykręcam... Jeśli będę się ruszał, chybi, a ja wybiegnę przez tylne drzwi. Ściska mnie za kostkę, prawie ją miażdży, więc walę w niego pięścią. Nadal rozpaczliwie się wykręcam, dopadam jego rękę trzymającą mnie za kostkę i gryzę go w dłoń. Wbijam zęby z całych sił. Billy Piskorz! Billy Żmija!

PLYR krzyczy i puszcza mnie. Chcę popędzić na tyły, lecz zagradza mi drogę. Dokąd mam uciec, co robię, Boże?! Pozostaje mi tylko oszukać go, ruszam więc w lewo, potem w prawo, postanawiam wbiec do łazienki i zamknąć się od środka.

Rzucam się, pędzę jak błyskawica... przebiegam przez kuchnię, PLYR goni mnie oddycham z trudem wpadam do łazienki zatraskuję za sobą drzwi zamykam je na klucz wciskam się między muszlę klozetową i wannę... zimne kafelki... oddycham szybko... w piersiach tak strasznie mnie kłuje...

Żadnego dźwięku.

Po chwili ciszę przerywa przeraźliwy rechot faceta. Słyszę kroki stóp. Stąpa powoli. Jest wyraźnie odprężony. Staram się uspokoić, ale na próżno, bo przy każdym oddechu rżęzę.

Przez drzwi słyszę jego głos.

- Głupi mały gnoju. Sam się zapędziłeś w kozi róg.

To prawda.

W łazience nie ma okna.

Mój prześladowca zaczyna kopać w drzwi drewno drży wydyma się jak balon pęka dokładnie w środku podskakuję otwieram apteczkę macam w ciemnościach szukam czegoś

ostrego brzytwy albo nożyczek ani brzytwy ani nożyczek wyczuwam zaostrowany czubek czegoś, pilniczek do paznokci chyba nie jest zbyt ostry lecz chwytam go, facet kopie część jego nogi pojawia się ma czarny dres i czarne tenisówki dźgam pilniczek w spodnie uderza w kość ale ześlizguje się nie wbija PLYR krzyczy nazywa mnie skurwysynem...

Kolejna eksplozja. Tym razem znacznie głośniejsza.

Coś przechodzi przez drzwi leci tuż obok mnie lustro w apteczce drzwi roztrzaskują się czuję ból w tyle głowy kładę rękę tam ciepło i lekko igły szkło igły szkło...

Pistolet... ma również pistolet!

Rzucam się do wanny on znowu strzela teraz drzwi są podziurawione rozszczerzone w wielu miejscach dostrzegam fragment faceta po drugiej stronie jego nogi buty spodnie on ciągle strzela leżę twarzą w dół w wannie najniżej jak potrafię kula uderza w wannę i porcelit się roztrzaskuje część ściany odpada tak tak tak jestem w pułapce to koniec robię co mogę nie jest dobrze nienawidzę wszystkich...

Kolejna eksplozja kula wbija się w coś ponad moją głowę coś spada na mnie kurz kafelki przysypują mnie.

Nie ma już drzwi do łazienki tylko on PLYR widzę jego duży wielki ogromny nóż w jednej ręce pistolet w drugiej.

Włącza światło.

Nadal trzymam pilniczek. Widzi go i parska śmiechem.

Chowa pistolet do kieszeni.

Niestety, nie chowa noża.

Kulę się nie chcę tego widzieć Boże spraw żebym nic nie poczuł!

Facet chwytam mnie za włosy podciąga w górę tak że klękam odciąga mi głowę w tył.

Sikam w spodnie i sram. Wszystko zsuwa mi się po nodze. Boże nigdy cię już o nic nie poproszę nie istniejesz ty kłamco...

Kolejna eksplozja.

Kolejna kolejna i koleeejna nie mogę znieść hałasu nie rozumiem co on robi...

Facet puszcza mnie i osuwam się do wanny.

Słyszę kobiecy głos.

- Mój Boże! - szepcze. Po chwili dodaje: - Już wszystko w porządku, malutki.

Czyjaś ręka dotyka mojego karku.

Wrzeszczę.

Rozdział 80

Fontanna krwi tryska z pleców Balcha, z szyi, z tyłu czaszki. Później Petra dowiedziała się, że strzeliła do niego aż dziewięć razy z odległości pół metra. Każdy strzał był śmiertelny. Zwarty krąg śmierci.

Balch upadł na twarz obok wanny i leżał nieruchomo z pistoletem u boku. Policjantka kopnęła broń, następnie mężczyznę, by się upewnić, że nie żyje, chociaż pewnie nie był to jedyny powód. Nóż upadł na bok. Długie, brzydkie komandoskie ostrze z czarną rękojeścią z twardej gumy. Również je odkopnęła i wreszcie przestąpiła przez zwłoki mężczyzny w czarnym dresie. Kawałki różowej od krwi kości zasypały wyłożoną kafelkami podłogę. Potrzaskane drzwi łazienki wisiały na jednym zawiasie.

Chłopiec tkwił skulony w pozycji embrionalnej w wannie.

A raczej w tym, co z niej zostało - dziurawym jak sito poszczerbionym porcelitowym szkielecie wanny! Wszędzie wokół leżały skorupy szkła i popękane kafelki, w powietrzu unosił się kurz. Krew spływała po plecach Balcha i kapiała na podłogę. Łazienka wyglądała jak pobojuwisko.

Czy ten idiota naprawdę sądził, że się wywinie?

O mało nie zabił chłopca.

*

Wcześniej Petra przejechała wzdłuż domu, ale nigdzie nie znalazła miejsca do zaparkowania. Chociaż nie zauważyła śladów włamania, miała dziwne przeczucie, że coś jest nie w porządku, więc zaparkowała byle jak w poprzek tuż za rogiem.

Wysiadła z samochodu, wciągnęła głęboko morskie powietrze. Spodziewała się, że ma do czynienia z kolejnym tropem, który nie doprowadzi jej donikąd.

Nagle strzały z pistoletu gwałtownie przerwały ciszę. Petra wyjęła broń, obiegła dom, znalazła wyważone drzwi, słabo oświetloną kuchnię, po lewej następne wyrwane z futryny drzwi, a w progu mężczyznę. Potężnie zbudowany, ubrany w czarny dres, niemal całkowicie wypełniał wejście... W podniesionej ręce trzymał nóż.

Dostrzegła też bezwładne nogi dziecka.

- Stój! - krzyknęła, nie było to jednak ostrzeżenie, bowiem w tym samym momencie zaczęła strzelać.

*

Kiedy dotarła do chłopca, nie chciał się wyprostować. Przejmująco zaszlochał, gdy do niego przemówiła, wrzasnął, gdy go dotknęła. Takie wychudzone maleństwo! Jego długie włosy były uwalane krwią, upstrzone odpryskami szkła. Wiedziała, że ma dwanaście lat, lecz wyglądał najwyżej na dziesięć. Wokół niego dostrzegła żółtą kałużę. Wyczuła odór ludzkich odchodów i zauważyła plamę na siedzeniu dzinsów.

Chciała go natychmiast podnieść, przytulić i ukołysać w ramionach. Klęknięta, zaczęła mówić do niego. W końcu udało jej się pogłaskać go po głowie, a on jej nie odepchnął.

Przestał się trząść, zeszywniał, po chwili zrobił się bezwładny. Przytuliła do piersi jego głowę. Nie bronił się. Wiedziała, jak go pocieszyć. W tym momencie pomyślała, ni stąd, ni zowąd, o Nicku. Myliłeś się, kutasie, myliłeś się!

Kiedy chłopiec oddychał już regularnie, położyła go delikatnie w wannie i zadzwoniła po ambulans oraz po mundurowych. Instrukcja numer trzy. Wróciła do dziecka i została z nim. Cierpliwie oczyściła mu włosy z odłamków szkła; skaleczyła się przy tym w palec... Ból nie miał dla niej znaczenia, czuła się potrzebna. Nazywała go Williamem, przemawiała kojącym tonem. Właściwie nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, co mówi, chciała tylko uspokoić chłopca. Jak jednak pocieszyć dziecko, które przeżyło coś takiego?

Usłyszała syreny, po chwili zaś do domu wpadli policjanci z oddziału na Pacific. Potem pojawili się sanitariusze. Petra puściła dłoń chłopca, dopiero kiedy znalazł się na noszach. Znowu zwinął się w pozycję płodową. Był taki drobny pod kocem przeciwwstrząsowym. Do korytarza wbiegł jakiś starzec. Wyraźnie był w szoku i coś niezrozumiale bełkotał. Sanitariusze o smutnych minach wynosili chłopca.

Petra obserwowała ich przez chwilę, ignorując pytania starego. Mundurowych także zlekceważyła i poszła prosto do ciała Balcha. Odwróciła je na plecy.

Tyle że to nie był Balch, lecz jakiś nieznajomy!

Doznała szoku, poczuła ukłucie w sercu i zimny pot na czole.

Chwilę później przeżyła jeszcze większy wstrząs. Rozpoznała napastnika.

Ramsey!

Zgolił wąsa, a jego cera miała dziwny odcień - łososioworóżowy teatralny makijaż pokrywał całą jego twarz i szyję; puder łuszczył się przy nozdrzach. Pod oczyma morderca namalował sobie ciemnoszare cienie. Gęsta blond peruka przekrzywiła się na głowie, spod niej wyłaniał się półksiężyc czarnych kędziorów. Nawet brwi zabarwił na żółto.

Błękitne oczy, mętne jak woda ściekowa.

Usta otwarte w typowo trupim rozziwie. Petra zajrzała mu w usta: zobaczyła zwinięty

język. Na dnie gardła mężczyzny zbierała się krew.

Gdy pomyślała o tym, co ten psychopata zrobił chłopcu, Lisie, Ilse i Estrelli Flores, chętnie zabiłaby go jeszcze raz.

Rozdział 81

Ciało Gregory'ego Balcha policja znalazła następnego dnia. Było zakopane pod warstwą błota, siana i końskiego nawozu w stajni za domem w Calabasas. Mężczyzna miał poderżnięte gardło, identycznie jak Estrella Flores.

Pogrzebany w łajnie. Nie trzeba być psychiatrą, by odczytać symboliczne znaczenie takiego pochówku.

Dokładna rewizja różowego pałacu przyniosła coś, co mogło wskazać im motyw zbrodni - pojedynczą kartkę papieru listowego pod wałkiem w sypialni Ramseya. Na środku kartki widniał napis:

L i G?

Lisa i Greg. Według policyjnego psychologa zaschnięte krople potu pod napisem wskazywały na silny stres. Bardzo silny stres! Psycholog - mądrała, który nie lubił się opierać na faktach, lubował się za to w pompatycznym podejściu do każdej sprawy - zasugerował, że to on powinien „przesłuchać” Billy'ego Straighta.

Petra miała inny pogląd na tę kwestię i nie ustąpiła.

Znalezisko Stu okazało się niezwykle interesujące. Było to streszczenie odcinka „Mediatora” sprzed dziesięciu lat, którą wyszukał w egzemplarzach „Przewodnika telewizyjnego”.

„Zawodnik futbolowy próbuje obciążyć najlepszego przyjaciela winą za dokonane przez siebie morderstwo. Dack Price prowadzi śledztwo”.

Być może dzięki temu drobiazgowi Stu poczuł, że odegrał jednak jakąś rolę w sprawie Ramseya. W tej chwili najważniejszym dla niego problemem była rekonwalescencja Kathy. Natychmiast po odzyskaniu przytomności żona zgodziła się, by Stu wziął miesięczny urlop ze względów rodzinnych.

„L i G?” Czy Lisa i Balch faktycznie sypiali ze sobą? A może cała historia rozegrała się

jedynie w paranoicznym umyśle Ramseya? Albo chodziło po prostu o pieniądze? Lisa i Balch spiskowali, by okraść aktora? Nikt nie pozna już prawdy, chyba że wykażą coś finansowe akta Ramseya, o ile uda się je wyrwać z łap Larry'ego Schicka. W gruncie rzeczy Petrę przestały już interesować motywy mordercy.

Podobnie jak i szczegóły zabójstwa Lisy.

Teraz czekało ją mnóstwo papierkowej roboty. Wróciła do pierwotnego scenariusza. Przypuszczała, że Ramsey podał Balchowi środek nasenny w niedzielę wieczorem, a gdy dyrektor finansowy zasnął, aktor śledził Lisę, a później ją uprowadził. Użył mercedesa, nie jeepa. Billy Straight widział tablicę rejestracyjną. PLYR 1.

Okazało się, że tylko tyle widział. Nie wystarczy, by wskazać zabójcę. Chłopiec zupełnie bez powodu stał się łowną zwierzyną.

A może Ramsey zmienił tablicę i jednak użył jeepa? Lub innego samochodu. Miał ich przecież kilka. Nieważne, niech technicy rozwiążą tę zagadkę.

Estrellę Flores zabił na wzgórzach nad „Ranch Haven”, ponieważ widziała, jak się wymykał. Albo mogła go widzieć... Do morderstwa służącej pożyczył lexusa Balcha. Niewykluczone też, że Balch mimo wszystko mu pomógł, może do końca pozostał lojalnym przyjacielem. Trudno powiedzieć. Tak czy owak, Ramsey wykorzystał go, potem zabił, a ciało ukrył w stajni.

„Zawodnik futbolowy próbuje obciążyć najlepszego przyjaciela winą za...” Rozegrał sprawę zgodnie ze scenariuszem, który, nawiasem mówiąc, był kiepski. Zero wyobraźni. Przemysł.

Grube ryby z przemysłu. Uważali się za aktorów, też coś...

Ramsey stroił się w piórka gwiazdy filmowej, a w rzeczywistości był wręcz żaloszny. Jego notowania stały nisko, grał okropnie. A w dodatku mu nie stawał.

Do diabła z nim! Teraz ważny był tylko mały Billy.

Przebywał już szósty dzień w Zachodnim Szpitalu Pediatrycznym; chłopiec okazał się nadzwyczaj trudnym pacjentem. Petra zaniedbywała robotę papierkową, lekceważyła wezwania Schoelkopfa i większość czasu spędzała przy łóżku dziecka. Kiedy wychodziła, zastępował ją szpitalny terapeuta. Początkowo Billy ignorował ich oboje. Trzeciego dnia przyjął książki i czasopisma, które przyniosła mu Petra. Czwartego pojawił się Ron i zabrał policjantkę na kolację do „Biltmore” w centrum.

Było bardzo miło, a jedzenie - wyśmienite. Ręka Rona szukała dłoni Petry. Mężczyzna wspaniale potrafił słuchać.

Wcześniej Petra zastanawiała się czasem, czy to, co się zdarzyło między nimi, nie było

przypadkiem spowodowane napięciem związanym ze sprawą.

Teraz, gdy emocje opadły, policjantka z satysfakcją odkryła, że towarzystwo Rona sprawia jej prawdziwą przyjemność. Może wkrótce pozna jego córeczki.

Słodkie fantazje... Petra uświadomiła sobie, że sama nie jest w stanie pomóc małemu Billy'emu, zadzwoniła więc do doktora Aleksa Delaware, psychologa, specjalisty od „gojenia emocjonalnych ran”. Pracowała z nim już kiedyś i ufała mu. Alex był przyjacielem Milla Sturgisa i człowiekiem, który potrafił zrobić wszystko dla sprawy, w którą wierzył. Niestety, wraz z przyjaciółką wyjechał czasowo z miasta. Miał wrócić właśnie dziś.

Tymczasem Billy'ego leczono w szpitalu antybiotykami i wzmacniano odżywkami. Policyjny strażnik siedział w korytarzu, trzy metry od drzwi sali. Zdaniem Petry, ochrona chłopca nie była już konieczna, lecz mimo to Schoelkopf polecił go pilnować. Czyżby czuł się winny? Tak czy owak. Petra nie oponowała.

Mundurowy musiał zareagować tylko raz, gdy przed drzwiami pojawił się Sam Ganzer, nalegając na odwiedzin u chłopca. Zdenerwowany starzec strasznie się burzył, wymachiwał rękoma, niemal krzyczał. Petra wstawiła się za nim i zezwoliła mu na wizytę, wcześniej jednak zabrała go na kawę w poczekalni dla odwiedzających, by go uspokoić.

Chciał wiedzieć, co będzie z Billym, kiedy opuści szpital. Powiedział Petrze, że jest odważna („prawdziwa bohaterka”), lecz z pewnością nie pozwoli ani jej, ani nikomu innemu odesłać chłopca do jakiegoś „głupiego domu dziecka”. Twierdził, że zna tego typu instytucje. „Do cholery - zawołał - prędzej sam go zaadoptuję niż pozwolę wam na coś takiego”.

Petra obiecała, że zajmie się sprawą Billy'ego. Przez jej głowę również przemknął pomysł adopcji.

Chłopiec miał przebywać w szpitalu co najmniej przez trzy tygodnie. Pamiątką po spotkaniu z mordercą były wprawdzie tylko powierzchowne zadrapania, jednak dokładne badania medyczne ujawniły u małego infekcję bakteryjną w płucach, grzybicę stóp, lekko podwyższone ciśnienie krwi i stan przedwrzodowy żołądka. Lekarze stwierdzili, że te dwa ostatnie symptomy są wynikiem stresu. Całkiem prawdopodobne, wzięwszy pod uwagę to, co przeszedł. Zresztą, główną troską lekarzy pozostawała infekcja płuc i z jej powodu Billy'emu podawano dożylnie antybiotyki. Nikt jeszcze nie powiedział chłopcu o śmierci matki. Delaware obiecał się podjąć tego zadania i Petra była mu za to ogromnie wdzięczna.

Sprawy Ilse Eggermann nigdy oficjalnie nie rozwiązano, lecz Petra była przekonana, że niemiecką stewardesę również zabił Ramsey. Gdy przypominała sobie, że niewiele brakowało, a dałaby się wywieść w pole - ogarnęło ją przygnębienie. Ale cóż... lekcja pokory nigdy nie zaszkodzi. Ani psychice, ani karierze. Dzięki tej sprawie Petra w przyszłości na

pewno nie będzie tak pochopnie wysuwać podejrzeń.

Wyobrażała sobie spotkanie Ramseya i Ilse. Aktor odwiedził Balcha w Rolling Hills Estates, wypili parę piw; w drodze do domu - przyjemnej, łatwej jazdy Hawthorne - Ramsey zdecydował się na krótki postój przy moło. Czy tamtej nocy również wystąpił w przebraniu? Zaplanował coś już wcześniej? A może uznał, że cudzoziemka i tak go nie rozpozna? „Mediatora” nigdy nie sprzedano do Europy.

Przypadek Ilse sugerował, że Ramsey mógł mieć na sumieniu także inne kobiety. Petra jednak darowała sobie poszukiwania. Niech federalni się w tym grzebią, jeśli chcą. Jeśli pragną sławy. Schoelkopf już zorganizował konferencję prasową, na której puszył się „swoim” śledztwem.

Kwestia nagrody pozostawała wciąż nierozstrzygnięta. Doktorostwo Boehlingerowie wrócili na razie do Ohio, by zorganizować pogrzeb Lisy i nie oddzwaniali mimo pozostawianych przez Petrę wiadomości. Nawet jeśli Billy'emu nagroda nie przysługiwała w świetle prawa, na pewno należała mu się z powodów moralnych. Boehlinger prawdopodobnie spróbuje uniknąć wypłaty. Wprawdzie to jego nieodpowiedzialność naraziła Billy'ego na niebezpieczeństwo i Petra uważała, że należy go przycisnąć, ale co mogła zrobić? Może powinna anonimowo powiadomić gazety. Albo porozmawiać z panią Boehlinger.

Później.

Billy spał po obfitej kolacji i środkach nasennych.

Anielska buzia, blada i gładka, bardzo spokojna.

Petra pochyliła się i pocałowała chłopca w czoło, po czym opuściła pokój i poszła po dziecięcego terapeutę.

*

Gdy wychodziła ze szpitala, zaczepił ją jeden z dyrektorów administracyjnych, mężczyzna w średnim wieku nazwiskiem Bancroft.

- Jak się czuje nasz mały bohater, pani detektyw?

- Świetnie.

Bancroft chwycił ją pod ramię i puścił natychmiast, kiedy spojrzała wymownie na jego rękę.

- Jeśli ma pani chwilę, proszę do mnie. Ktoś chciałby z panią porozmawiać.

- Kto taki?

- Zobaczysz pani. Zapraszam do mojego biura.

*

Biuro było duże, urządzone w błękitnym tweedzie, naśladowało styl kolonialny. W fotelach siedziały dwie kobiety po sześćdziesiątce. Jedna była przysadzista, miała szerokie ramiona, sztywne siwe włosy splecione pod małym czarnym kapelusikiem. Nosiła nijaką tweedową garsonkę i stale obrzucała swą towarzyszkę zatroskanymi spojrzeniami. Druga z kobiet była bardzo chuda, miała wymyślną fryzurę w kolorze brandy, gustowną biżuterię i lekki makijaż. Jej granatowa garsonka wyglądała jak od Chanel, buty były świetnie dopasowane. Pociągła twarz kobiety wydawała się boleśnie kanciasta. Staruszka była kiedyś prawdopodobnie bardzo piękna, teraz jednak wyglądała na przestraszoną. Petra czuła się zmieszana.

- Pani detektyw - odezwał się Bancroft - to jest pani Adamson. Ona i świętej pamięci pan Adamson należeli do naszych najhojniejszych dobroczyńców.

Lekki nacisk na czas przeszły. Bancroft skrzywił się. Szczupła kobieta uśmiechnęła się nieznacznie. Ręce miała kredowo białe, pokryte błękitnymi żyłkami i plamami wątrobowymi. Petra zauważyła, że palec wskazujący kobiety kreśli maleńkie kółka na torebce. Eleganckie buty, wspaniałe kapelusze, lecz strój - podobnie jak garsonka przysadzistej towarzyski - zdecydowanie tracił myszką.

Drugiej kobiety nikt nie przedstawił, ona zaś przyglądała się Petrze jak żona rybaka oceniająca barwę.

- No cóż, zostawię panie same. Porozmawiacie sobie - oświadczył Bancroft i wyszedł.

Krępa kobieta wstała także, choć nie wydawała się tym faktem uszczęśliwiona.

- Dziękuję ci, Mildred - oświadczyła pani Adamson. Kobieta ponuro pokiwała głową, po czym wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Pani Adamson odwróciła się do Petry. Usta jej drżały.

- Proszę nazywać mnie Corą. Przepraszam, że zabieram pani czas, ale... - Zamiast kontynuować, wyjęła coś z torebki i wyciągnęła w stronę policjantki.

Kolorowe zdjęcie Billy'ego. Trochę młodszego - miał na nim może jedenaście lat. Stał przy doku dla łodzi i machał.

- Skąd je pani ma?

- Jest moje. Sama zrobiłam tę fotografię.

- Zna pani Billy'ego Straighta?

Podbródek kobiety zadrżał, oczy wypełniły się łzami.

- Chłopiec na fotografii to nie jest Billy Straight, pani detektyw. To Billy Adamson. William Bradley Adamson junior. Mój syn. Świętej pamięci.

Petra odwróciła zdjęcie. Ręcznym pismem napisano: „Billy. Arrowhead, 1971”. Kolory

rzeczywiście były trochę wyblakłe. Powinna się była domyślić. W końcu była detektywem!

Chłopiec na łódce uśmiechał się, choć jakoś z wysiłkiem.

Cora Adamson przyłożyła chusteczkę do oczu.

- Może trzeba było ułożyć inaczej pewne sprawy, lecz nie umiałam... Zresztą, teraz już nie wiadomo...

- Czego nie wiadomo, pani Adamson?

Proszę mi wybaczyć, że nie mówię zbyt składnie, muszę się skupić... Billy... to znaczy mój syn... był jedynakiem. Wspaniały chłopak. Sam nauczył się czytać. Miał wtedy cztery lata. Ukończył kalifornijską szkołę prawniczą trzynaście lat temu i od razu podjął pracę dla Związku Zawodowego Pracowników Farm. Mój świętej pamięci mąż nazywał to okresem buntu. Ja jednak wiedziałam, że Billy zawsze był wrażliwy na ludzką krzywdę. Nawet jako mały chłopiec nie chciał nikogo ani niczego ranić. Nie łowił ryb. Bill senior kochał wędkowanie, Billy jednak odmawiał... Tego dnia, kiedy zrobiłam to zdjęcie, właśnie się o to pokłócili. Mój mąż chciał nauczyć małego łowić, syn płakał i krzyczał, że za nic nie wsiądzie do łodzi i nie będzie zabijał. W końcu Bill oświadczył, że skoro jego syn nie potrafi się zachować jak mężczyzna, niech zostanie z matką. I tak się stało. Jednak Billy zdenerwował się, ponieważ kochał ojca. Zrobiłam tę fotografię, by go rozweselić.

Petra popatrzyła na zdjęcie. Te same oczy, te same włosy. Ten sam podbródek z dołeczkiem. Jezu! Nawet identyczna mina!

- Mając dwanaście lat został wegetarianinem - ciągnęła Cora Adamson. - Bill stwierdził, że to mu przejdzie, lecz nasz syn nigdy już nie tknął mięsa ani ryby... Proszę mi wybaczyć, że mówię trochę chaotycznie... Na czym skończyłam? Ach, tak praca dla Związku. Billy mógłby dostać posadę w każdej firmie w kraju, ale wybrał ciągłe rozjazdy po Kalifornii z robotnikami. Zajmował się naruszaniem ich praw, żył tak jak oni. Wydawał się szczęśliwy, potem nagle pojawił się w domu i oznajmił, że stamtąd odchodzi. Przyjął pracę jako obrońca z urzędu. Nie był tam jednak szczęśliwy i szybko zrezygnował. Wtedy zaczął się chyba gubić. Jeździł po całym stanie starym samochodem, zapuścił długie włosy i długą brodę. Był doradcą prawnym przeróżnych instytucji, ale nie osiadł już w jednym miejscu. Wiedziałam, że coś go dręczy. Nie powiedział mi, o co chodziło. Odwiedzał nas rzadko i na krótko. Ojciec gniewał się na niego... Billy stale się przemieszczał, nie zostawiał ani numeru telefonu, ani adresu... Wiedziałam, że się stacza. Nie chciał przyjąć mojej pomocy...

Wyprostowała się w fotelu, miętosząc chusteczkę.

- Nagle w któryś weekend pojawił się w naszym domu w Arrowhead. Mieliśmy akurat gości - współpracowników mojego męża - i Bill był zakłopotany wyglądem syna. Billy nie

przywiązywał wagi do zdania ojca... Przyjechał porozmawiać ze mną. Przyszedł do mojego pokoju późno w nocy, przyniósł świecę i zapalił ją. Oświadczył, że nadszedł czas na zwierzenia. Potem opowiedział mi, że miał romans z pewną dziewczyną w Delano, jedną z pracownic na farmie. Te osóbkę stale się przemieszczały... Młoda dziewczyna, nieletnia... Zaszła w ciążę. Tak w każdym razie twierdziła. Billy nigdy nie widział dziecka, ponieważ wystraszył się, gdy mu wspomniała o ciąży. Był prawnikiem, wiedział, co mu grozi za gwałt na nieletniej. Martwił się również, że któryś z hodowców dowie się o jego romansie i wykorzysta tę informację przeciwko związkowi. Zamiast przyjąć na siebie odpowiedzialność, wręczył dziewczynie wszystkie pieniądze, jakie miał przy sobie i wyjechał z miasta. Wtedy podjął pracę w biurze obrońcy z urzędu. Nigdy jednak nie przestała go dręczyć sprawa dziecka i w pewnym momencie zaczął krążyć po Kalifornii, próbując odnaleźć dziewczynę. Wyznał mi, że nazywała się Sharla i była niewykształcona, ale miała dobre serce. Nigdy jej nie odnalazł.

„Ale powiedzmy sobie szczerze, mam - obwieścił mi. - Gdybym naprawdę chciał ją odszukać, znalazłbym, nieprawdaż? Nie jestem pewny, czy chcę się dowiedzieć... Tak, tak, ojciec ma rację, jestem tchórzem, mięczakiem. Jestem bezużyteczny". Odparłam, że przyznając się teraz, postępuje bardzo odważnie i nadal ma szansę nadrobić stracony czas. Obiecałam, że pomogę mu znaleźć tę młodą osobę, a dziecko zabezpieczyć finansowo. „O ile jakieg jest” - dodałam, ponieważ sceptycznie podchodziłam do sprawy. Zasugerowałam, że dziewczynie mogło chodzić o pieniądze. Moja uwaga rozwścieczyła Billy'ego. Zaczął walić pięścią w łóżko, krzycheć, że jestem taka sama jak wszyscy, że myślę tylko o pieniądzech. Potem zdmuchnął świecę i wyszedł. Nigdy wcześniej nie widziałam go w tak strasznym stanie. Byłam zszokowana jego zachowaniem. Pomyślałam, że powinnam poczekać, aż syn ochłonie. Niestety, zabrakło mi czasu, bowiem następnego ranka wyłowiono ciało mojego syna z jeziora Arrowhead. Podobno wypadek. Nigdy nie próbowałam odszukać dziewczyny. Nie byłam pewna, czy Billy w ogóle mówił prawdę. Zastanawiałam się wprawdzie od czasu do czasu, lecz... Wie pani, jak to jest... A później zobaczyłam portret chłopca w gazecie. Od razu wiedziałam, że to mój wnuk. Odnalazłam wnuka, pani detektyw!

Petra rzuciła jeszcze raz okiem na zdjęcie i oddała je. Podobieństwo było ogromne. I czas się zgadzał. William Bradley Adamson. William Bradley Straight.

- Co mogę dla pani zrobić, pani Adamson?

- Pani detektyw, wiem, że nie mam prawa... Może w sensie prawnym tak, ale nie w moralnym... Chodzi mi o dobro tego biednego dziecka. To przecież mój wnuk. Nie ma innego racjonalnego wyjaśnienia... Jestem przekonana, że można udowodnić nasze pokrewieństwo

przy pomocy testów genetycznych. Lecz nie teraz, nie po tym wszystkim, co przeszedł... Pragnę mu tylko... pomóc.

Nagle spuściła wzrok na kolana.

- Nie mam takich pieniędzy, jakimi niegdyś dysponowałam. Mój mąż nie radził sobie najlepiej w ostatnim okresie przed śmiercią.

Petra ze współczuciem pokiwała głową.

- Prawda jest taka - podjęła Cora Adamson, nadal unikając spojrzenia policjantki - że przez wiele lat żyłam z oszczędności. Nie jestem bogata. Gdy jednak dowiedziałam się o Billym - o moim wnuku - postanowiłam dokonać pewnych zmian. Mieszkam w groteskowo wielkim domu, który od dawna pragnę sprzedać. Aż do dziś brakowało mi motywacji... i ochoty, więc nie potrafiłam podjąć żadnych decyzji. Teraz je podejmę. Dom nie jest obciążony kredytem hipotecznym. Kiedy go sprzedam, powinnam mieć dość pieniędzy - nawet po zapłaceniu podatków - by utrzymać siebie i mojego wnuka na przyzwoitym poziomie.

Ostatnie słowa kobieta wypowiedziała błagalnym tonem. Stara kobieta w staroświeckiej garsonce od Chanel błagała o prawa rodzicielskie. Petra milczała.

Cora Adamson podniosła nagle głowę.

- Tak będzie chyba najlepiej. Bogactwa i przywileje mają swoje złe strony.

Petra już miała rzucić: „Skąd mam wiedzieć”, lecz ugryzła się w język i pokiwała głową.

- Kocham dzieci, pani detektyw. Zanim wyszłam za mąż, uczyłam w szkole. Zawsze chciałam mieć dużo dzieci, niestety narodziny Billy'ego spowodowały pewne komplikacje i lekarze odradzali mi powtórny ciążę. Poza śmiercią syna, męża i moich rodziców, ta informacja była najsmutniejszym momentem mojego życia.

Wiotka biała ręka chwyciła Petrę kurczowo za rękaw.

- Jestem przeświadczona, że mam coś do zaoferowania temu dziecku. Nie zamierzam usprawiedliwiać własnego braku zainteresowania... Pani detektyw, potrafi mnie pani zrozumieć i pomóc mi?

Skupiła wzrok na Petrze. Głodne, zrozpaczone spojrzenie.

Delaware miał przylecieć do miasta dziś wieczorem. Dlaczego nie było go tu teraz?

- Bardzo panią proszę - dodała Cora Adamson.

Powinnyśmy o tym porozmawiać.

Rozdział 82

Wczoraj doktor Delaware powiedział mi o mamie. Natychmiast rozbolał mnie żołądek. Chciałem wyrwać wenflon z ręki i rzucić się na psychologa z pięściami.

Siedział nieruchomo. Wyglądał na smutnego. Jakie miał prawo, by i mnie zasmucać?

Odwrociłem się plecami do niego i zignorowałem go. Postanowiłem, że nie zobaczy moich łez, lecz gdy tylko wyszedł, zacząłem płakać i płakałem przez cały dzień i całą noc. Tylko kiedy ktoś wchodził do pokoju, udawałem, że śpię.

Czasami, kiedy myślą, że zasnąłem, dyskutują o mnie... Pielęgniarki, młodzi lekarze na stażu.

„Biedny dzieciak”.

„Tak wiele przeszedł”.

„Twardziel z tego małego”.

Nie jestem twardy. Muszę tu być. Jaki mam wybór?

Myśląc o mamie, zapragnąłem umrzeć, ale wtedy przyszło mi do głowy pytanie: „Co by mi z tego przyszło?” Prawdopodobnie nie ma Boga, więc mojej mamy i tak już nigdy nie zobaczę.

Tej pierwszej nocy wbiłem paznokcie w dłonie i tak trzymałem. Bez końca. Aż do krwi. Dodatkowy ból sprawił mi dziwną ulgę.

*

Jest już następny dzień i ciągle nie mogę uwierzyć w śmierć mamy. Stale myślę, że za chwilę wejdzie drzwiami. Powiem, że przepraszam za ucieczkę, ona też mnie przeprosi, a wtedy uściskamy się serdecznie...

Nagle znowu uderza mnie ta straszna myśl. Mama odeszła! Tak już będzie. Nigdy więcej jej nie spotkam. Nigdy!! Jak to bardzo boli!

Płaczę dużo, zasypiam, budzę się, płaczę jeszcze więcej.

Nie płakałem od godziny. Może już zabrakło mi łez.

Hej, lekarze, nalejcie mi trochę łez do kroplówki.

Pluję na podłogę. Chciałbym wyrzucić wszystkie myśli z głowy w taki sam sposób, w jaki sanitariusze opróżniają mój kosz na śmieci. Won ze wszystkimi śmieciami!

Kiedy jestem sam, myślę o mamie. Mimo że rani mnie to.

Przyzwyczailem się być sam. Samotność mi nie przeszkadza. Tylu tu lekarzy, stażystów i pielęgniarek. Czasem nie mogę znieść tego hałasu i ich litości. Mam ochotę pobić ich wszystkich.

Ale nie Sama. Sam przychodzi co rano, przynosi mi słodycze i czasopisma, głaszcze mnie po ręce i opowiada, że jesteśmy jak dwa groszki pozostałe z całego strączka, najtwardsze osobniki, które przetrwały trudny czas. Mówi, że nie pozwoli mnie nigdzie oddać, do żadnego domu dziecka, zapewnia, że nie mam się o co martwić, że on ma znajomości. Powtarza wiele rzeczy w kółko i czasami jego głos mnie usypia. Walczę z sennością, nie chcę, by Samowi było przykro. Okazał się moim prawdziwym przyjacielem, kiedy wszyscy inni byli przeciwko mnie. Pewnego razu przyszedł z panią Kleinman, ale mnie zdenerwowała, bo stale dotykała mojego policzka. Przyniosła jedzenie, na które nie miałem ochoty i próbowała mnie karmić. Byłem dla niej uprzejmy, lecz Sam chyba się domyślił, ponieważ nie przyprowadził jej ponownie.

Petra przynosi mi książki. Jest bardzo ładna, niezamężna i nie jest mamą. Sądzę, że mnie lubi i uczy się przy mnie macierzyństwa na później. A może chce się oderwać od pracy detektywa.

To ona go zabiła. Jest poważna, nie opowiada dowcipów, nie próbuje mnie rozweselać, kiedy tego nie chcę. Nawet gdy się uśmiecha, pozostaje poważna.

Nawet gdy jestem kompletnie wyczerpany, staram się być dla niej miły.

Jest mniej więcej w wieku mamy... Po co mama wzięła do domu tego idiotę Barana-Morana, dlaczego pozwoliła, by rządził jej życiem. Przecież to on rozbił naszą rodzinę!

Dlaczego nie potrafiła się nauczyć życia w samotności?

Doktor Delaware powiedział, że mama zginęła prawdopodobnie przez przypadek. Baran pchnął ją, mama upadła... Co za różnica, jak umarła! Nic jej nie ożywi!

Ciągle myślę: „Gdybym tam był, mógłbym ją uratować”.

Doktor Delaware rozmawiał ze mną o poczuciu winy, mówił, że jest normalne i że minie. Powiedział, że obowiązkiem rodziców jest zajmować się dzieckiem, nie zaś odwrotnie. Tłumaczył, że mama mnie kochała i chciała dla mnie dobrze. Po prostu miała w życiu pecha. Powiedział także, że przydarzyło jej się coś strasznego... Nie wmawiał mi, że wszystko jest w porządku, bo to nieprawda.

Był jednak pewny, że mama byłaby dumna z tego, jak dobrze sobie radzę sam.

Może.

Delaware uważa, że jestem „niesamowity”.

Na początku wydał mi się dziwny. Siedział, patrzył i niewiele mówił. Myślałem, że nic

go nie obchodzę. Teraz wiem, że się myliłem. Doktor przychodzi codziennie o osiemnastej, zostaje ze mną przez dwie godziny, czasami dłużej. Zdarza się, że zbyt dużo nie rozmawiamy ani nic nie robimy, tylko tak siedzimy.

Dziś już miał wyjść, gdy zauważył szachownicę, którą zostawił Sam i spytał, czy chcę zagrać. Chciałem, więc zagraлиśmy. Gra prawie tak dobrze jak Sam. Wygrałem z nim dwa do jednego.

- No dobra, odegram się następnym razem - powiedział, a ja rzuciłem: „Przygotuj się na przegraną”. Roześmiał się. Spytałem, kto płaci mu za to, żeby grał ze mną w szachy. Odpowiedział, że policja, i że bym się nie martwił, bo z pewnością przeze mnie nie straci.

Czasami opowiada dowcipy. Niektóre z nich są zabawne. Pielęgniarki chyba go lubią. Słyszałem, jak jedna pytała drugą, czy jest żonaty, a ta druga odpowiedziała, że nie jest pewna, ale prawdopodobnie jest kawalerem.

Doktor Delaware i Petra stanowiliby ładną parę.

Wyobrażam ich sobie w ładnym domku, z dobrym samochodem, kilkorgiem dzieci i psem. Albo tylko jednym dzieckiem, wtedy miałoby ich tylko dla siebie.

Sympatyczna szczęśliwa rodzinka, która jeździ na wycieczki chodzi do restauracji.

Może tak się stanie. Nie wiem. Ani na chwilę nie przestaję myśleć o mamie.

Drzwi się otwierają i przez moment myślę, że to właśnie mama.

Wchodzi jednak Petra. Ma na sobie czerwoną garsonkę.

Wygląda jakoś inaczej; zawsze chodziła w czerni. W ręku trzyma torbę i daje ją mnie.

Wewnątrz jest książka.

Książka o prezydentach! Nie ta z biblioteki, lecz nowiutka! czysta okładka, świeże białe kartki. Pachnie świeżością. Kolory na ilustracjach są bardzo wyraźne. Bardzo fajny prezent.

- Dzięki - wołam. - Wielkie dzięki.

Petra wzrusza rozbrajająco ramionami.

- Ciesz się nią. Kto wie, Billy, może któregoś dnia twoje nazwisko znajdzie się w takiej książce.

- Tak, jasne. - Szalony pomysł. Ale ciekawy!